

Moi współcześni





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Moi współcześni

TOM PIERWSZY. WŚRÓD OBCYCH

I

Byłem dotychczas wrogiem historyków literatury, którzy grzebali w duszy i życiu artysty, by w ten sposób dojść do zrozumienia jego tworu.

Ale gdy sobie powoli uświadomiłem, do jakiego stopnia życie artysty, oczywiście nie to rzeczywiste, na jawie, ale to podziemne, nieskończenie zróżniczkowane — wpływa na jego twór, poczynam rozumieć tę rozpaczliwą, gorączkową ciekawość, z jaką ci panowie do duszy artysty dogrzebać się starają.

Ale daremna ich praca: algebra, jaką dusza twórcza artysty się posługuje, jest doszczętnie inną jak ta¹, którą posługuje się zwykły człowiek, chociażby był nawet najwytworniejszym i najwięcej² przenikliwym krytykiem.

Dla zwykłego człowieka dwa razy dwa będzie zawsze cztery, dla artysty — czasem tysiąc, a może i więcej; bo to proste *dwa* mieszczą tyle tysięcy możliwości kojarzeń, tyle niezliczonych jednostek, nieistniejących dla zwykłego mózgu, a stanowiących właśnie najważniejszy moment twórczy w duszy artysty, tak że te najprostsze pierwiastki, 2×2 , stają się nieskończenie skomplikowanym integralnym.

Stąd całe nieporozumienie.

Historyk literatury zacietrzewia się w jakimś przeżyciu zewnętrznym artysty, analizuje je na wszystkie strony; opisuje z drobiazgowością, przypominającą badacza, który lupież rozszczepia; wyciąga z tego przeżycia Bóg wie jakie wnioski; konstruuje analogie między tym przeżyciem a tworem artysty, a zapomina przy tym o najważniejszej rzeczy, że to przeżycie nie było pochopem³ do tworu, lecz na odwrót: twór był pochopem do przeżycia. Artysta przeżywa już twórcze swoje przeżycia, i to do tego stopnia, że często nie umie pociągnąć granicy między tym, co twórcze, a tym, co się zewnętrznym naokół niego rozgrywa.

Kiedyś powiedziałem, że artysta nie żyje tak, jakby chciał, ale tak, jak żyć musi. To znaczy, że wszystkie jego przeżycia są tylko materiałem, surowym materiałem, prostą gliną rzeźbiarską, z której on dopiero twór swój kształtuje.

Ale zupełnie tak samo, jak potrzeba kilkudziesięciu tysięcy ton podłego kruszcu, by wydobyć z niego jedną tonygramową gramu radu, tak samo odrzuca artysta całe zwały swego materiału, by wydobyć jeden nikły moment, tę oś, naokół której twór jego kształtował się począł.

Historyk literatury może być pewien, że z całego romansu Mickiewicza z Marylą, romansu, który on jedynie tylko twórczo przeżywał — wszystko oczywiście widział w całkiem innych wymiarach niż zwykły śmiertelnik: złocił, cackał, wypieszczał, stroił w niesłychane bogactwo barw, na prostej szarej kanwie tkął wzorzysty złocisty haft o niesłychanej piękności — pozostał w końcu jeden tylko, nieuchwytny prawie, moment: może róża wpleciona we włosy, może jakiś kryjomy uścisk dłoni, spojrzenie, w którym się nagle cała dusza, jak do krzyku, rozwiera, i ten to moment, nic nieznaczący w prostej ludzkiej algebrze, stał się dla artysty wyjściem dla jego tworu, punktem, naokoło którego wszystko się krystalizuje, osią dla nowego świata w porodzie.

I teraz dopiero w tworze samym realizuje się „twórcze przeżycie”: Mickiewicz nigdy nie widział Maryli takiej, jaka ona była dla otoczenia swego w istocie, zawsze tylko taką, jaką miała wejść w ramy jego tworu.

Dusza jego twórcza dała już w podświadomej swej pracy z góry takie kształty i tę anielskość i powiewność, w jakich w tworze samym występuje; twórca tchnął w „marny puch” olbrzymie zasoby własnej duszy i osadził puch-kobietę na królewskim tronie własną potęgą uczuć.

U artysty istnieje właściwie tylko jeden sposób przeżycia — *potencjalny*: w fantazji twórczej, a ten jest, zależnie od siły twórczej, nieokreślony i obejmuje nieskończone

¹jest doszczętnie inną jak ta — jest całkowicie inna niż ta. [przypis edytorski]

²najwięcej — popr. stopień najwyższy przymiotników tworzony jest z użyciem: najbardziej. [przypis edytorski]

³pochop (daw.) — tu: bodziec; być pochopem: stanować bodziec do czego. [przypis edytorski]

horyzonty, gubi się w bezwymiarowych perspektywach; realny rodzaj przeżycia, jakim nie-twórca żyje, jest dla niego tylko karmią⁴ tamtego — zasilającym go źródłem. Im bogatsza będzie ta karm⁵, im obfitsze źródło, tym bogatszy materiał, w którym artysta tę jedną tysięczną grama radu dla swego tworu odnajdzie. Jedynie w tym celu są dla artysty ważne zewnętrzne, i to jak najróżnorodniejsze, przeżycia.

Z każdego z nich pozostaje mu jakiś osad, jakiś kosztowny kamyczek, z którego układa różnobarwną mozaikę swego tworu.

Dlatego w im szerszych granicach życie artysty się przelewa, tym bogatszy będzie twór.

Fantazja artysty uboższego w przeżycia może być wspaniała, nawet imponująca, ale, o ile nie jest zasilana przeżyciami rzeczywistymi, będzie zawsze bezkrwista i blada.

Wprawdzie istotny artysta jest zespołem wszystkich możliwych dusz ludzkich, ale li tylko „rzeczywistość”, wszystko jedno jakiego rodzaju, daje tej zbiorowej duszy tę całą pełnię życia, jaka *istotny* twór cechuje.

Artysta właściwie nie zna innego przeżycia ponad twórcze, to znaczy, że każde już w swym zarodzie nosi twór: twór sam jest niejako tylko skondensowanym osadem tego przeżycia, osadem, którego żaden artysta przewidzieć oczywiście nie może. Tę zdumiewającą alchemię dokonuje dusza w swym tajemniczym, podświadomym laboratorium — i w tym sensie życie artysty samo może się tak ułożyć i tak się też istotnie częstokroć układa, że samo w sobie staje się tysiącokrotnie potężniejszym tworem aniżeli ten ujawniony w formie słowa lub kształcie.

Co za wspaniały twór takie życie Byrona — jaka straszna tragedia życia Mickiewicza, beznadziejne, rozpaczliwe szamotanie się Słowackiego, a chyba nie ma potężniejszego arcydzieła nad życie Napoleona!

I w tej myśli będę snuł nic swych wspomnień — raz jeszcze przeorzę dawno odłogiem już leżącą glebę (niejeden cmentarz obejdę), spocznę na rozstajnych drogach, skąd wszystkie drogi wychodzą i w nich się gubią — nie dlatego, by stworzyć jakąś „anegdotyczną” historię ani też by wyzyskać naiwną ciekawość publiczności; ale po prostu w tym przeświadczeniu, że krocząc wstecz drogą mego ubiegłego życia, przeżywając raz jeszcze rzeczy dawno prześnione, ale przeżywając je w nowym świetle — nie w tym rozżarzonem, ogniem buchającym, ale w tajemniczych fioletach półsnu, półmroku: przyćmionym świetle rzeczy gasnących — kształtuję twór, który może być w większej mierze „istotnym” tworem aniżeli jakikolwiek bądź utwór literacki.

Z góry jedno zastrzeżenie:

Jeżeli będę w tych wspomnieniach pisał też o sobie, to nie dlatego, bym się uważał za jakąś „czołową” osobistość, bez której społeczeństwo obejść by się nie mogło, za jakieś ważne kółko w jego zegarowym organizmie, bez którego przyrząd mógłby stanąć lub co najmniej narażony byłby na poważne zaburzenia, więc słusznym jest, aby się je z tak ważnym czynnikiem dokładnie zapoznało, a nawet ma ono prawo żądać od tego osobnika, by je w tajniki swego życia wprowadził — ach nie!

Nic mi więcej obcego i dalekiego nad taką myśl — ja doskonale sobie zdaję sprawę z mego stanowiska wśród mego społeczeństwa, a jeżeli *vatum irritabile genus*⁶ częstokroć choruje na megalomanię, ja od dziecka choruję na manię małości — mikromanię — a z wszystkich legend, jakie o mnie krążą, jedna jest istotnie autentyczna:

— Mistrzu! — zwrócił się do mnie emfaticznie młodzieniec jakiś podczas antraktu mego dramatu.

— Nie jestem mistrzem — szepnął mistrz tajemniczo młodzieńcowi do ucha — ja taki sam osioł, jak ty, robaczku!

Odtąd już młodzieńca więcej nie widziałem tego wieczoru.

Jeżeli więc będę pisał o sobie, to jedynie tylko wtedy, gdy będę rozważał, jakie czynniki wpływały na moją twórczość, co duszę moją kształtowało, jakim wpływem ulegałem; a pisząc o sobie, będę się starał dać przyczynek do rozjaśnienia jednej z największych tajemnic duszy ludzkiej: twórczości.

Gdybym na poparcie mej teorii o „nagiej duszy” nie miał innego argumentu nad

Artysta, Twórczość

Dusza

⁴karmią — dziś N.l.p r.ż.: karmą. [przypis edytorski]

⁵karm — dziś forma M.l.p r.ż.: karma. [przypis edytorski]

⁶*vatum irritabile genus* (lac.) — wrażliwy (a. drażliwy) poetów ród. [przypis edytorski]

tajemnicę twórczości, już bym zaiste żadnego innego nie potrzebował.

Dusza — krocząca od jednej wieczności do drugiej, materializująca się tu, na ziemi, coraz to w nowej osobowości; dusza, która raz w tej masce się ukaże, to znów po upływie wieków w całkiem innej — pozostaje i pozostać musi wierną temu zadaniu, jakie jej Odwieczny od samego początku w swym planie stworzenia wyznaczył.

Artysta rodzi się twórcą, był już nim przed wiekami, a może i częściej pojawiał się na ziemi, a za każdym razem Bóg przywołał przed jego oczy całe stworzenie, aby mu nadawał imiona, a według żydowskiej Kabały⁷ dał mu dwadzieścia dwa znaki pisma hebrajskiego, by w bezustannych kombinacjach tych znaków starał się dotrzeć do tajemnicy Jego Imienia.

Oczywiście nie myślę się wdawać w żadne wywody teo- ani też antropozoficzne, które ostatecznie są mniej lub więcej fortunnymi koncepcjami ludzkiej fantazji — jedną mam tylko wiarę niezłomną: byłem już na tym świecie może raz, może kilka razy. Może byłem raz kiedyś włóczęgą, rybałem w średnich wiekach, nad moimi madrygałami prowansalskimi ślęczą dziś uczeni filolodzy — może byłem jakimś bezdomnym urwipolciem, coś w rodzaju François Villona⁸, który nieraz ocierał się o szubienicę; w każdym razie nigdy żadnych dostojeństw nie piastowałem. Może za nicowanie wszystkich wartości na ręby język mi kiedyś ucięto, a może wtedy, gdy z Panem Bogiem poszedł na udry, więziono mnie o chlebie i wodzie w piekielnym jakimś *in pace*⁹ — to wszystko możliwe, jedno tylko wyłączone: „czołowe” jakieś stanowisko — zawsze znalazłem się jakoś poza społeczeństwem, już to wskutek drwiącego jakiegoś nihilizmu, dla którego „wartości życiowe” przedstawiają fatalną bezwartość, już to dla maniackiego ducha przekory, który zawsze mówi: „nie!”, gdy wszyscy inni mówią: „tak!”.

Ale równie dobrze mogę sobie wystawić siebie jako żarliwego mnicha-poetę, który w świętych ekstazach wypisywał hymny na cześć Niepokalanej, a może opętanego jakiegoś ascetę, który wszystkie bogactwa między biednych rozrzucił, a gdy już nic więcej do rozdania nie miał, wziął na siebie zbrodnię innego, wskutek czego według praw ludzkich obwieszonym został, a w jego łachmanach znaleziono bezbożny hymn nie ku Bogu, ale — o zgrozo! — ku Tęsknocie!

Zdawałoby się, że zbyt jowialnie wyobrażam sobie drogę ducha mego w jego rozmaitych bytowaniach: ależ nie! ja tymi wszystkimi duszami po dziś dzień żyję — ja żyję jeszcze tysiącem innych dusz (by je wszystkie wymienić, nie starczyłoby skóry wołowej, chociażby na najcieńsze paski pokrajanej), a możliwość wysuwania jednej duszy przeciw drugiej, żonglowanie nimi, jak żongler piłkami, możliwość życia raz tą, raz inną duszą, trzecią, bądź setną, ba! nawet tysiączną; moc w danej chwili być zbrodniarzem, a równocześnie świętym, niechlujnym opojem, to znowu archanielsko czystym ascetą, wszystko przebacającym Chrystusem, to znowu mścicielem-szatanem, obłądnym maniakiem, a równocześnie twardym jak spiż Shylockiem¹⁰ — otóż to stanowi twórcę, to jest tajemnicą jego mocy twórczej.

Jak przerażająco bogatą, o jak potwornie rozległym horyzoncie musiała być dusza Szekspira, jeżeli w tysiącach jego postaci każdy człowiek swój wizerunek znaleźć może, a on jedyny ma tych tysiące dusz w sobie!

Jak przepastnie, rozpaczliwie głęboka dusza Dostojewskiego¹¹, w której wszelaka najpotworniejsza zbrodnia a zarazem największa świętość z taką przerażającą jasnością i wyrazistością się odzwierciedla!

⁷*kabala* — mistyczna nauka w judaizmie, powstała w średniowieczu; kabaliści stosowali w swych dociekaniach kombinacje liczb i liter, którym przypisywali głębsze znaczenie. Do Kabały rozumianej jako zbiór tekstów napisanych w duchu mistycyzmu zaliczają się: *Zohar* (Blask), *Tefet jeciva* (Księga Stworzenia) oraz *Echachaim* (Drzewo Życia). [przypis edytorski]

⁸*Villon, François* (1431 a. 1432–po 1463) — śrdw. poeta fr., magister Sorbony, członek organizacji złodziejskiej i awanturnik; jego doświadczenia z paryskiego półświatka i więzień stały się kanwą poematu *Wielki Testament* (ok. 1461). [przypis edytorski]

⁹*in pace* (łac.) — dosł.: w pokoju; odwołanie do formuły wymawianej nad zmarłymi: *requiescat in pace*, tj. „niech spoczywa w pokoju”; tu: tajne więzienie dożywotnie. [przypis edytorski]

¹⁰*Shylock* — bohater *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare’a, stereotypowo przedstawiony Żyd-lichwiarz. [przypis edytorski]

¹¹*Dostojewski, Fiodor Michajłowicz* (1821–1881) — rosyjski powieściopisarz, wybitny twórca prozy realistycznej i psychologicznej. Dzieła: *Zbrodnia i kara* (1866), *Idiota* (1868), *Biesy* (1871–1872), *Bracia Karamazow* (1879–1880). [przypis edytorski]

Artysta, Bóg, Słowo,
Sztuka, Obraz świata

Samotnik, Odrodzenie,
Wierzenia, Marzenie

Tęsknota

A przecież ani Szekspir, ani Dostojewski w niczym nie wykroczyli przeciw prawom boskim ani ludzkim, ale móc przeżywać potencjalnie życie tych tysiąca dusz w sobie — znaczy tworzyć.

Móc ten potencjalizm przeżywać w takiej potędze, że się widzowi, słuchaczowi czy czytelnikowi narzuca gwałtownie jako rzeczywistość, rzeczywistsza od tej na jawie — to przywilej geniusza.

Tym razem dusza moja widocznie długo błąkała się w międzyplanetarnych przestworzach, zanim wskutek nakazu, wobec którego wszystkie prawa przyciągania, ciężkości, grawitacji są dziecinny wymysłem, sposobie się musiała na to, że znowu fala wieczności wypłuje ją na sromotny, niechlujny, nędzny padół płaczu.

Długo — długo błądziła, bo nie odczuwa w sobie ani buntów chłopskich, ni fanatycznej zaciekłości wojen religijnych (płacze nad tymi zabytkami sztuki, które przez nie zniszczone zostały), cały okres renesansu, rokoka i baroku dla niej nie istnieje, wstręt ma do oprawców wielkiej rewolucji, głęboką pogardę dla wszystkiego, co demokracją i ochlokracją¹² trąci — zdaje się więc, że ostatni raz bytowała na świecie, kiedy gotyk jął zamierać.

Błądziła dusza moja — wprawdzie wyznaczona była jej droga, ale ociągała się, bo całe to życie jej w oskorupieniu tam w dole było jej przytomne, gdyby jakaś skomplikowana formuła matematyczna, zawierająca całą jego mękę, ból, cierpienie i tyle szczęścia, ile go nawet wielki wybraniec losu, Goethe, nie doznał, który twierdził, że gdyby policzył wszystkie te chwile szczęścia, jakie przeżył, nie wypełniłyby jednej półgodziny.

Aż wreszcie dokonał się okres błędzenia i szukania: dusza stuliła skrzydła i zawisła nad śpiącą wsią. Wprawdzie tam noc była, ale dla duszy noc — wiekuistą jasnością, a jasność ziemi nocą.

I w tej wiekuistej jasności ujrzała dusza olbrzymią przestrzeń, równiuteńką jak stół, nagą prawie, tylko tu i ówdzie parę dróg obsadzonych wierzbami. Z jednej strony moczary i torfowiska, a miast¹³ drzew długie rzędy kup torfu, poprzedzielanych głębokimi rowami, z drugiej strony urodzajne pola: ogromny szmat ziemi obsianej różnorodnym zbożem — jakaś mała górką, na niej wiejski kościółek. W dali szczątka małego lasku, a może tylko zagajnik? Obejrzała się wstecz — srebrna, wielka tafla jeziora, na horyzoncie majaczyła jakaś wieża — jakaś klisza astralna odżyła w pamięci podświadomej duszy: aha! to tu kolebka rodu polskiego — Kruszwica.

A taki bił od wszystkiego smutek, taka bezbrzeżna melancholia, takie korne składanie rąk do trosk i cierpieniem przesyconych pacierzy i takie kajanie się przed raz już wyznaczoną dolą ludzką, a ponad wszystkim przeolbrzymi całun tęsknoty, lśniący, mieniący się w takim przepychu, jakiego dusza jeszcze nigdy nie zaznała.

— To tu! — szepnęła dusza.

W samym środku wsi szkoła o wysokim, słomianym dachu — tam cichutka i pokorna weszła.

I porodził się syn człowieczy, któremu dano na imię Stanisław.

II

To nie przypadek, że przeznaczenie duszę moją właśnie w ten zakątek ziemi polskiej wysłało.

Nie ma chyba nic smutniejszego, więcej monotonnego, większą melancholią przesyconego jak ta beznadziejna równina.

Jeszcze przed rozpoczęciem żniw, gdy się złote fale żyta w wietrze kołyszą i rozśpiewają się jakimś uroczystym, tajemniczym szumem, gdy pola pokładają się pod ciężarem kłosów pszenicznych, bo każdy z nich w sto ziarn bogaty, kiedy grochowiska kwitnąć poczynają, a łany koniczyny i wyki rozścielają się sytymi barwami tkanym kobiercem, kiedy modraki patrzą błękitnymi plamami, jęczmień lśni połyskami starego złota, a maki rozkwitają hektycznym¹⁴ rumieńcem i kąkol smętnieje już przez Odkupiciela potępionym fioletem — to jeszcze pół biedy: jakaś nadzieiowość w powietrzu, bujna otucha, oczy

¹²ochlokracja — rzędy tłumy, motłochu. [przypis edytorski]

¹³miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

¹⁴hektyczny — pelen podniecenia; wynikający z podniecenia i niepokoju; wyniszczający. [przypis edytorski]

się skrzą i krok wzdłuż miedz raźniejszym się staje, niebo łaskawie się uśmiecha, przybiera odświętne szaty i zdaje się brać jak najgorętszy udział we wszystkim, co serce ludu, rozgospodarzonego na tej ziemi, najwięcej skupionym nabożeństwem przepelnia.

Gdybym znalazł się nagle na tej ziemi podczas dnia, nie wiedząc ani dnia, ani godziny, ani w ogóle nie wiedząc, gdzie się znajduję, z niechybną pewnością mógłbym powiedzieć, że to święto nad święta: Boże Ciało. A gdybym o zmroku błąkał się wzdłuż pól, szedł ścieżynami i miedzami tam dotąd, gdzieby mnie nieomylnie coś poprowadziło — w stronę kościółka na małym wzgórk w górce — wiedziałbym z całą pewnością, że odbywa się w nim wieczorne nabożeństwo podczas oktawy¹⁵ Bożego Ciała.

Teraz ksiądz zaintonuje jedną z najpotężniejszych pieśni, jaką Kościół duszę grzesznego człowieka z sobą nierozzerwalnie spętał, cały kościółek zdrży straszną mocą tego, tak na wskroś polskiego, *Dies irae*¹⁶: „Święty Boże, Święty Mocny!” — hymnu nad hymny; teraz na wsze strony zaświeci wybawczym słońcem złota monstrancja, a lud legnie pokotem przed tak wielkim Majestatem.

Wątpię, czy coś tak intensywnie przeżywałem, jak uroczystości i nabożeństwo związane z tym wielkim świętem!

Tak, tak: to byłoby jeszcze wszystko pól biedy.

Nadziejne wesele kuma się z wnąkliwością, zbożną pieśnią modlitewną, uroczystą wielką tajemnicą ciała i krwi Pańskiej; roztapia się w oceanie złota upalnego słońca lub mrok spowija je w gęstsze jeszcze całuny — i pól biedy jeszcze w żniwnym czasie, kiedy pola zarają się od żniwiarzy, a niezliczone wozy nieraz dniem i nocą wożą do spichrzy przebogaty plon...

Ale niech tylko rozpocznie się czas późniwy, kiedy rozpoczynają rozorywać nagie rżyska, kiedy aż zbyt często wśród nagich mgieł i mżącego ciągle deszczu rozpocznie się kopanie perek (ziemniaków) i wybieranie buraków — wtedy dusza poczyna się skręcać, wić, kurczeć i chorzeć.

I znowu: gdybym się znalazł na tej ziemi o zmroku, nie znając daty ani miesiąca, ani miejsca, w którym jestem, wiedziałbym niechybnie, że w kościółku na górce odbywa się wieczorne nabożeństwo Zaduszek¹⁷.

Ten czarny katafalk na środku kościoła, wokół którego ksiądz odbywa żałobne nabożeństwo, te jarzące się wokół gromniczne świece, monotonne, a tak do szpiku kości przejmujący śpiew funeraliów¹⁸ niczym jeszcze wobec przerażenia, strachu i grozy, która cały kościół już wypełniać ją w przygotowaniu czegoś strasznego:

O północy rozewrą się groby cmentarza i wszyscy zmarli powstaną, i podążą do kościółka, i siądą naokoło katafalku — i z grobowców swych, przylegających do murów kościoła, powstaną z martwych zmarli tu księża — pięciu ich było czy sześciu — i będą odprawiać nabożeństwo.

W co te wszystkie ponure obrządki i opowiadania, te upiorne straszaki w duszy twórcy-dziecka się przeobraziły, jakim trującym jadem osiadły na dnie jego serca, ten zrozumie, kto trochę głębiej w mój twór się wczyta.

Od Zaduszek począwszy, nic już prócz beznadziejnego, bezpamiętnego smutku — dawno już szerniało melancholijne babie lato — jak widno i daleko czarne rozorane pola zlewają się z czarnymi moczarami, przepadliskami, torfowiskami, ciągnącymi się po drugiej stronie wzdłuż Gopła: jedna przeolbrzymia, czarna, błotna pustynia. A na niej szaleją wściekle wichry, a deszcz leje od rana do nocy, od nocy do rana, tygodniami całymi; aż wreszcie wszystko się rozplywa w jednej czarnej kałuży.

Och! Co za rozkoszna karm¹⁹ dla dziecka, którego dusza od samego początku była skierowana w stronę najwyższego napięcia bólu i tęsknoty! Dziecka, które w siódmym roku życia błagało Boga o większe cierpienia nad te, jakimi Syna swego nawiedził.

¹⁵oktawa (z łac.) — osiem dni następujących po dniu świątecznym. [przypis edytorski]

¹⁶*Dies irae* (łac.) — dosł.: dzień gniewu; incipit łacińskiego średniowiecznego hymnu kościelnego o Sądzie Ostatecznym. [przypis edytorski]

¹⁷Zaduszki — święto w kościele katolickim poświęcone pamięci zmarłych, przypadający na 2 listopada. [przypis edytorski]

¹⁸funeralia (z łac.) — teksty związane z uroczystością pogrzebową. [przypis edytorski]

¹⁹karm — dziś: karma. [przypis edytorski]

Święto, Religia

Śpiew, Muzyka, Religia

Dusza, Wieś, Chłop

Wierzenia, Śmierć,
Obrzędy, Wierzenia

Jesień

*De la musique, de la musique, avant toute chose!*²⁰

A czy mógłbym mieć rozkoszniejszą muzykę nad te wściekle harce, jakie nadgoplańskie wichry wygrywały na potwornych piszczałkach, szatańskich fletach, waltorniach i fagotach, jakie się widuje na obrazach van Aacka²¹ lub Breughla piekielnego?

A mózg ludzki nie zdołał jeszcze wymyślić instrumentów, które by mogły, choćby w najodleglejszym przypomnieniu, oddać tę muzykę szalejącego Gopła, które mnie do snu kołysało!

Ale tę wściekłą, szatańską muzykę buntu, sprzeciwu, wściekłego rozmachu, żądy odwetu i pomsty koila, rozpaczne ręce w bezsilnym bólu załamująca, beznadziejna pieśń wielkopiątkowych uroczystości — pod wieczór, w żalobnym kirem wybitym kościele przy grobie Chrystusa! Och, ta pieśń, ta jedyna pieśń: „Żegnaj mi, głowo święta w cierniowej koronie...”, wżarła mi się w duszę do samego dna.

Stąd pewno to wieczne żeganie w chwale „cierniowej korony” w całym moim tworze.

A w zmroku wyłania mi się postać mej matki — tak drobnej i wątłej, że zdawałoby się, iż żadnego trudu nie zniesie — a wątpię, czy by zdołała jakaś niewiasta przeżyć do późnego wieku to, co ona przeżyła i zniosła — wyłania się jej postać nad odwiecznym klawikordem i śpiewa słabym, dla mnie seraficzną pięknnością przepelnionym głosem:

Blade kłosa na odłogu
Jak sieroty twarz,
Pójdę, powiem Panu Bogu,
Że to zagon nasz.

Prosząc o deszcz bezustannie
Wyprosiłam grad,
Pójdę, powiem Marii Pannie,
Że już dosyć strat...²²

A po szybach zlewał się strumieniami deszcz, na dwór wyjść nie było można, bo tonęło się w błocie, a wicher nadgoplański targał zaciekle wierzchołkami topoli i żywopłotem z „nygusu”, osłaniającym pasiekę mego ojca.

Oj! rozhułała się dusza dziecka w tej roztoczy bólu, żalu, smutku i tęsknoty!...

De la musique, de la musique!

Dosyć było tej muzyki w najróżnorodniejszych tonacjach — ale nie pomnę ani jednej wesołej nuty — a! dziwne: jak nie licują sprośne słowa kujawiaków z ich nieskończenie smutną i rozżaloną muzyką!

Nieraz zastanawiałem się nad tym zdumiewającym faktem. Podłoże prawie pogrzebowe, smętne, pełne jakiejś bolesnej tęsknoty, a na tym sklepieniu wyprawia harce rozpusta, a nawet bezwstyd!

Jakim cudem kojarzy się bluźnierstwo z kornym kajaniem się przed mocą boską, zbrodniczy nihilizm z najwięcej pozytywną wiarą, *religion de la souffrance humaine*²³ z potwornym, zimnym wyrachowaniem anarchisty, który z największym spokojem w teatrze bomby na publiczność rzuca, tego samego anarchisty, który przed chwilą bandażował nogę kota, zranioną o jakiś kolec płotu żelaznego!?

To są pewnie te rozmaite dusze w człowieku, z których jedna po drugiej w pewnych warunkach uzyskuje całkowitą autonomię i działa wbrew woli innych dusz.

Może tak być, a może inaczej — *ohé, les psychologues*²⁴! Nic wspanialszego nad widok

Walka, Dusza

²⁰*De la musique, de la musique, avant toute chose* (fr.) — muzyki, przede wszystkim muzyki; wyraz pragnienia a. postulatu umuzykalnienia sztuki: w epoce modernizmu czytelne nawiązanie do wiersza Paula Verlaine'a (1844–1896) *Art Poétique* (*Sztuka poetycka*) z 1874 r., wydane w 1884 r. w tomie *Jadis et Naguère*, dedykowane innemu poecie fr., Charles'owi Morice'owi i stanowiącego rodzaj poetyckiego manifestu symbolizmu. [przypis edytorski]

²¹*na obrazach van Aacka* — zapewne chodzi o niem. malarza manierystę nazwiskiem: *Hans von Aachen* (1552–1615). [przypis edytorski]

²²*Blade kłosa na odłogu (...)* *Że już dosyć strat* — dwie pierwsze strofy wiersza Cypriana Kamila Norwida, opublikowanego w partyturowej edycji dwu pieśni, opracowanych na głos i fortepian, wyd. przez Kaziemierza Lubomirskiego; na przełomie XIX i XX w. tekst pieśni popularny, choć funkcjonował jako anonimowy. [przypis edytorski]

²³*religion de la souffrance humaine* (fr.) — religia ludzkiego cierpienia. [przypis edytorski]

dwóch dusz, które na wspólnej arenie mózgu pokłóca się, schwycą za bary i poczynają się zmagać! Walka ich nie jest *fair*: nie ma podstępu, którego by w tej walce nie użyły, nie ma tak wyrafinowanego lotrostwa, jakim nie usiłują się zwalczyć — a z wszystkich stron, jam i szczelin wypełniają setki innych dusz, otaczają kołem zapaśników, dodają otuchy, to znów osłabiają przekleństwem — a najciekawszy *match*, to ten między już zasiedziałą duszą, cuchnącą „starzyzną”, a jakąś nową, która do jej siedziby wtargnęła, jakaś ultramodernistyczna, rewolucyjna, wywrotowa — wtedy sam Pan Bóg się śmieje i chwyta się za boki!

A czyż jest artysta, w którym by się ta walka nie odgrywała wciąż i wciąż? — tylko u ciasnych, płytkich doktrynerów dławi ta nowa, przybłąkana dusza tę jedyną prawowitą, autochtoniczną.

Oczywiście, komplikuje się niezmiernie cała ta zaciekle walka, jeżeli wszystkie dusze na raz wplątane są w jej rozszalały wir — wtedy jedno uczucie ujarzemia inne albo rozbryzguje się w całym tym chaosie — a bywa, iż dwie całkiem różnorodne dusze zawierają z sobą niemy sojusz, nie czyhają na wzajemną zgubę, ale za obopólnym milczącym porozumieniem — porozumieniem, często zgrzytającym zębami i oślinionym pianą bezsiły — godzą się na to, że jedna odprawia mszę, druga wygrywa na organach bezwstydne *shimmy*²⁵. A gdy jedna święci swe wniebowstąpienie, druga porykuje rozkoszą wpięklówięcia.

Och, jak daleko odbiegłem od tematu!

Tematu!? Och, nie! To właśnie najistotniejszy temat: dusza artysty, zasadnicza dominanta, niemożliwa jednak do pomyślenia bez setek innych piszczałek.

Poza tym nie potrzebuję trzymać się jakiegos tematu — nie piszę pamiętników, błąkam się po ciemnych krużgankach własnej duszy, by móc się zorientować w pieczarach, wąwozach, żłebach obcej duszy.

Nie mógłbym nawet pisać żadnego pamiętnika, przecież ja to wszystko całkiem inaczej, odrębnie, na opak prawie przeżywałem i przeżywam, jak człowiek, który nie jest twórcą.

Kiedym się siłił w moim odczycie o Kasprowiczu („Synem Ziemi” go nazwałem) o oddanie tego tajemniczego czaru, uroku, piękności ziemi kujawskiej, pytał ponoć Władysław Rabski²⁶, zdumiony w najwyższym stopniu, obok stojącego Kujawiaka:

— Przecież tego wszystkiego tam nie ma — gdzie on to widział?!

Ale cóż mnie to na Boga żywego może obchodzić, czy to *tam* jest, czy to nie ma?

Ja *to* widziałem, ja *to tak* właśnie przeżyłem — więc jest. Dla jednego żyzną ziemią pszeniczną lepszą od sandomierskiej, przebogatym źródłem eksploatacji buraków — dla mnie jednym wielkim cudem.

Dałem tylko przykład twórczego przeżycia.

I mocą tego przeżycia będzie może już w przyszłej generacji nadgoplański Kujawiak inaczej patrzył na tę beznadziejną równinę i te błota, moczary i torfowiska aniżeli teraz — a co moc twórczego przeżycia znaczy, chyba już najwspanialszym dowodem „twórcze” odkrycie Tatr przez Chałubińskiego, Eliasza²⁷, Witkiewicza.

Trudno i darmo: artysta tworzy wszystkie wartości — bez niego nie byłoby pojęcia ojczyzny, narodu, ziemi — he, he — artysta stworzyć musiał człowiekowi nawet kieszenie w spodniach!

Ale to nie tylko ja widziałem te nadgoplańskie Kujawy w mirażu tych dziwów i uroków: w nieporównanie większej potędze ujrzał je prawdziwy syn tej ziemi, najrodowitszy jej autochton, Jan Kasproicz, największy z „moich współczesnych”.

Artysta, Naród, Twórczość

²⁴*ohé, les psychologues* (fr.) — wykrzyknik: o, psychologuzy! [przypis edytorski]

²⁵*shimmy* — ruch taneczny znany w różnych tańcach (korpus pozostaje w bezruchu, ręce lekko zgięte w łokciach, dłonie nieruchome, natomiast ramiona poruszają się w nieco hieratyczny, ale płynny, naprzemienny sposób do przodu i do tyłu, co daje efekt erotyczny z powodu poruszających się i falujących piersi); także: taniec związany z jazzem, narodził się w Stanach Zjednoczonych po I wojnie światowej; inaczej: *shimmy-sha-wabble, hootchy-kootchy*. [przypis edytorski]

²⁶Rabski, Władysław (1863–1925) — publicysta i polityk związany z endecją; redaktor „Przeglądu Poznańskiego” (1894–1896), od 1897 r. współpracował z „Kurierem Warszawskim”, publikując m.in. artykuły o Przebyszewskim. [przypis edytorski]

²⁷Eliasz-Radzikowski, Walery (1840–1905) — malarz, twórca obrazów historycznych i rodzajowych, znawca folkloru góralskiego, autor publikacji: *Ubiory w Polsce* oraz *Ilustrowany przewodnik do Tatr*. [przypis edytorski]

Czytajcie jego „Święty Boże, Święty Mocny” — on też *tego* nie widział oczyma, marną funkcją mózgu, on widział je duszą, kiedy przed sześciu wiekami tu bytowała: w czasach straszliwego pomoru, czarnej śmierci, w czasach gdy olbrzymie procesje flagelantów zalały ten szmat ziemi, kiedy człowiekowi zdawało się jeszcze, że zniewoli gniew Boga, gdy ołowianymi prętami rozorze swoje plecy, gdy krzyżem się położy i pozwoli się trutować, jak trutuje się rzepak na boisku stodoły; on widział tę połąć ziemi w piekielnej czerwieni nieustępującego z nieba krwawego komety, którego miotła różgami po niebie się rozprysła, i on widział, jak rowy napelniły się trupami dżumą zatrutych cielsk — widział, jak niebo się rozpałiło i wściekle zarzewie na ziemię ciskało.

Tak on widział!

I tak przeżył twórczo Kasprowicz tę samą ziemię, którą by czterema kreskami narysować można, bo przecież *nic* na niej nie ma. A wspomnienie cholery, jaka nawiedziła ziemię kujawską pod rok 1873, po wojnie francuskiej, wyrosło w „Święty Boże”, w przeolbrzymią wizję, godną zaiste jakiegoś Ezechiela.

Och! jak dobrze pomnę to straszne, upalne, pożarne lato, mimo że miałem wtedy dopiero pięć lat... Całymi nocami włóczyły się procesje chłopów od wsi do wsi, a wystraszone dziecko budziło ze snu o litość skowyczące „Święty Boże” albo nad rozwartymi grobami krwawym szlochom zawodzące: „Witaj Królowo! *Ad te clamamus, flentes, gementes exules, filii Haevae*^{28!}”

Nie pomogły ni jęki, ni prośby i błagania: co dzień przeciągały przez moją wieś rodzinną chłopskie wozy z trumnami, skleconymi z czterech desek, które na „cholerycznym cmentarzu”, tuż za wsią, wyrzucano do wspólnych dołów.

Taki sobie prosty fakt, dawno zapomniany! Już na wiosnę porosła trawa na cholerycznym cmentarzu, rozplenilo się na nim najprzedniejsze zielsko, bo o ten cmentarz nie było komu dbać. Twórcza potęga Kasprowicza wyolbrzymiła ten biedny fakt do rozmiarów jakiegoś kosmicznego, żywiołowego kataklizmu.

Teraz zamykam oczy i śnię na jawie.

Kiedy się przejdzie rynek w Inowrocławiu, na którym przed pięciu laty jeszcze sterczał pomnik poległych w 1871 roku Kujawiaków — ohydna „Maryna”, jak tę brzuchatą „Germanię” lud nazywał — skręca się na lewo, a potem już na prawo, idzie się prostą drogą do Szymborza. W lecie, kiedy jest sucho, droga od biedy znośna, ale niech Bóg broni na wiosnę lub jesień: przepastne błoto, w którym szymborzanie szczeniaki topili, a koła wozów aż po osie grzęzły. Ani jednego drzewka przez całą drogę, tylko tuż niedaleko Szymborza figura św. Marcina, wyobrażająca świętego, jak rozcina płaszcz i patrzy z głupkowatym uśmiechem na wyciągającego dłonie żebraka.

Pod tą figurą zakopane są nieczystym sposobem zdobyte skarby — tak lud twierdzi — a często widziano, jak się o północy niesamowitym, diabelskim ogniem pałą.

Jeszcze kawałek, może jakiś kilometr, a już widne gospodarstwa Posadzych, Habrów, Łodygów... kawałek jeszcze: na rogu karczma, a za nią obszerny plac, cały zapełniony brudną sadzawką, potworną w swym brudzie i kale, gdy ją letnie upały wysuszać jęły.

Na prawo od karczmy droga, wzdłuż której liczne zabudowania gospodarskie, a na samym brzegu dwupiętrowa, przez rząd pruski wybudowana szkoła — może jedyny murowany budynek w Szymborzu, stanowił zawsze szczególny mój podziw²⁹ — trochę dalej schludnie słomą poszyta — chałupa? — nie, to już coś w rodzaju dworku i siedziba nauczyciela szymborskiego, Dybały, alias Dybalskiego, który bardzo ważną rolę miał odegrać w życiu Kasprowicza.

Zabudowania wokół tej chałupy-dworku: stodoła, stajnia, chlew, a nawet — niesłychane na owe czasy — króliczarnia, tworzyły z tej zagrody coś niezmiernie wzorowego; nie dziw też, że nauczyciel Dybała otrzymał na wystawie, jaką szlachta okoliczna kiedyś pod rok 1875 w Szymborzu urządziła, pierwszą nagrodę za chów belgijskich królików i niewidzianych dotąd na Kujawach gołębi.

Dybała-Dybalski był niezwykłym człowiekiem. Jako prosty parobczak w Łojewie zwrócił na siebie uwagę mego ojca, prefekta słynnej na całą okolicę „analfabetycznej

²⁸*ad te clamamus, flentes, gementes exules, filii Haevae* (lac.) — do ciebie wołamy płaczący, jęczący wygnańcy, synowie Ewy. [przypis edytorski]

²⁹*jedyny murowany budynek w Szymborzu, stanowił zawsze szczególny mój podziw* — błąd logiczny i stylistyczny; popr.: (...) stanowił zawsze przedmiot szczególnego mojego podziwu. [przypis edytorski]

akademii łojewskiej”, bo ojciec mój byłby mógł być raczej ogrodnikiem i pszczelarzem, aniżeli nauczycielem — zdumiewała jednak mego ojca niesłuchanie rzutka inteligencja parobczaka, jego żywy, gorący umysł, rwący się do nauki. Pomiedzy moim ojcem a młodym Dybałą zawiązał się serdeczny stosunek nauczyciela do niesłuchanie zdolnego i pojętnego ucznia — prawdopodobnie jedyne go ucznia, którym ojciec mój na serio się zajmował — i tak się stało, że po paru latach mógł młody Dybała wstąpić do seminarium nauczycielskiego, a po kilku dalszych latach otrzymał *posadę* nauczyciela w Szymborzu — gospodarstwo zyskał sobie pewno ożenkiem, tego już nie wiem.

Z Dybałą, teraz już Dybalskim, istniała aż do śmierci Dybalskiego między rodzicami moimi a jego rodziną serdeczna i zażyła przyjaźń. Trochę było kiepskawo z niemczyzną Dybalskiego, więc czasami, a nieraz i parę razy na tydzień, przybiegał z Szymborza do Łojewa, by się ojca mego poradzić, jak ten lub ów raport, podanie lub rekurs napisać.

Droga z Szymborza do Łojewa nie była daleka. Jeżeli się przeszło „rynek” szymborski, a raczej okrążyło się tę niechlujną sadzawkę, ciągnęła się już droga wprost wśród domostw prostych „chałupników”; między nimi stała chałupa, a raczej mała zagroda ojca Jana, która od dziecka wzbudzała we mnie jakiś tajemniczy szacunek — mówiono mi, że jest przepelniona książkami i pismami; tajemnicę tę zdradził mi rówieśnik mój, Władek Dybalski. Potem skręcało się na lewo, szło się długo, długo przez Sikorowo, wieś zamieszkaną przez kolonistów niemieckich, sprowadzonych tam jeszcze przez Fryderyka Wielkiego — znamienne, że teraz już droga aż do samego Łojewa była obsadzona rozłożystymi, cienistymi wierzbami. Zwykle szło się do Łojewa przez tak zwane górki — jakie pojęcie ma się w Kujawach o górach, najlepszy dowód, że wzniesienia dziesięciometrowe górami się zowią — a potem wzdłuż rowów torfowisk, nad zamulonym kanałem, po ścieżynach na trzęsawiskach, po których idąc nogi się zapadały jak po najpyszniejszym wschodnim kobiercu, poprzez belki, na których trzeba było ostrożnie balansować, by się nie zwalić w błotnistą topiel, aż już wreszcie ścieżynką przez ogromną łąkę, ciągnącą się nad Gopłem aż pod nasz dom.

Tym razem przybył Dybalski ani z żadnym raportem, ani podaniem — był mocno zaaferowany, a nowy kaszkiet zafarbował mu spotniałe czoło czarną pręgą.

— Przyszedłem do kolegi po poradę.

— Cóż takiego?

— Mam ucznia w mojej szkole o tak zdumiewających zdolnościach, że Bóg by mnie skarał, gdybym tego nie rozgłosił, bo nie można pozwolić, by taka zdolność miała się zmarnować.

I wyciągnął z kieszeni parę rysunków.

Widzę to wszystko, jakby się dziś działo.

— Niech kolega tylko spojrzy! Ten Żyd na tym obrazku, to ten, który co niedziela lata po wszystkich wsiach i wykrzykuje: „skórki, skórki!” — (Co niedziela pod jesień wybiegała z Inowrocławia chmara Żydków i skupywała po okolicznych wsiach skórki zajęcze.) — Przecież w tej chwili go poznać: to Szmul Zadek!

— Istotnie! — potwierdził ojciec.

— Albo tu, ten szmaciarz, który odważa gałgany na swojej złodziejskiej wadze! Ale to nie tylko to — ciągnął Dybalski — ten smarkacz wiersze pisze — podał ojcu kartkę papieru — a pamięć ma, bestia, taką, że co raz przeczyta, to słowo w słowo na pamięć wyrecytuje.

Ojciec głęboko się zamyślił.

— Tak! To rzeczywiście niepospolity talent! Trzeba tu coś poradzić, pomóc; szkoda, by się taki chłopak zmarnował.

Odsunął od siebie książkę, w którą przed chwilą się wczytywał — z jaką łapczywością chwyciłem ją po odejściu ojca: Kraszewskiego *Poeta i świat*. „Trzeba pomóc...”, a po chwili:

— Wie kolega co, właśnie wrócił Józef Kościelski³⁰ z Egiptu czy też z Jerozolimy, słyszałem, że krok w krok idzie śladami Słowackiego, pełen jest szczytnych ideałów, trzeba

³⁰Kościelski, Józef Teodor Stanisław (1845–1911) — poeta, dramaturg (autor m.in. *Sonetów nadgoplańskich* 1868 i dramatu *Władysław Biały* 1874 oraz zbioru reportaży *Szkice egipskie. Wrażenia z podróży*, wyd. 2007); pochodził z magnackiej rodziny wielkopolskiej z okolic Inowrocławia, w młodości przyjaźnił się z pruskim następcą tronu, późniejszym cesarzem Wilhelmem II; zasiadał w Izbie Panów Sejmu pruskiego (od 1881), był posłem na Sejm

mu to wszystko pokazać, z nim pogadać — odstrychnął się całkiem od okolicznej szlachty, uważają go tu za całkiem czerwonego...

To jedno jeszcze pamiętam, że poszli do starego gospodarza Słabęckiego z prośbą o furmankę i tego samego wieczoru ruszyli do Józefa Kościelskiego, który rezydował w bardzo pięknym pałacyku nad Gopłem — w Szarleju, ongiś warownym zamku, który Władysław Biały, książę „Szarlejko”, zdobywał (Józef Kościelski napisał dramat o tym księciu Szarlejko pod tytułem *Władysław Biały*), a który Szwedzi podczas najazdu Wielkopolski doszczętnie zburzyli. Stał on naprzeciw ogromnego kopca na przeciwnej stronie Gopła, usypanego przez Szwedów, z którego Szwedzi Kruszwicę ostrzeliwali; kopiec ten po dziś dzień istnieje, a zaiste jest godzien, by społeczeństwo polskie gorąco się nim zajęło.

Kopiec ten, dorównywiający wysokością kopcowi Kościuszki, jest otoczony wysokim obronnym wałem, oddzielonym od kopca samego głęboką fosą. W przesądnych wierzeniach okolicznego ludu odgrywa on niezmiernie ważną rolę, a wątpię, czy kiedy znalazł się taki śmiałek, który by nocą nań wejść się odważył.

Natomiast widziano częstokroć okolicznych obywateli niemieckich, którzy przeważnie byli masonami (piękną lożę murowaną w kształcie wieży mają stąd niedaleko we wsi Tupadły) zamienionych w ogromne czarne psy z jarzącymi się ślepiami, grzebiących za ukrytymi w tym kopcu skarbami.

Stary torfiarz Piernik opowiadał mi, że raz takiego psa-masona ubił poświęconym trojakiem, a jak podszedł bliżej, ujrzał, że z psa została tylko kupka smoły.

Jakim skutkiem wizyta mego ojca i Dybalskiego u Kościelskiego uwieńczona została — nie wiem. Wiem tylko jedno, że młody Jan strasznie się przemęczał w gimnazjum inowrocławskim, do którego oddany został. Och! jaką żołąć musiał być zaprawiony jego tam pobyt od najrychlejszej młodości, ten tylko zrozumieć jest w stanie, kto znał ówczesne stosunki w Poznańskim.

Między panem a chłopem, dworem a chłopską chałupą, zionęła ta sama przepaść, co ongi za czasów Sasa.

Do gimnazjum mogła tylko szlachta swe dzieci posyłać: chłopskie dziecko w gimnazjum było tak niesłychanym, nieprawdopodobnym zjawiskiem, że wszystkie szlachciątka oglądały takiego raroga z tą samą pogardą, z takim lekceważeniem, w jakim je od dziecka troskliwie chowano: cham nie był człowiekiem.

Sam byłem świadkiem, jak głupi czternastoletni smarkacz w obecności swego ojca, właściciela obszernych dóbr — „posiedzicielem” nazywa się taki pan w byłej dzielnicy pruskiej — uderzył starego stangreta kilkakrotnie w twarz, bo przyprzągnął konie trochę za luźno.

Uśmiech zadowolenia i dumy wykwitł na ustach jaśnie wielmożnego pana na ten rycerski czyn swego spadkobiercy.

I raz jeden zdobyłem się na agresywny czyn: wyciąłem jednemu synowi szlacheckiemu policzek, bo głośno wykrzykiwał, że trzeba by podwyższyć o tysiąc procent szkolną opłatę w gimnazjum, aby temu chamstwu zagrozić drogę do wyższych studiów — ono to „zasmradza” coraz więcej wyższe uczelnie — przecież nie sposób z tą hołotą na jednej ławie siedzieć!

Chłopskie dziecko poonczas³¹ w gimnazjum! Chryste Panie! Dziś stosunki się zmieniły, ale wówczas, 1870 roku, w Poznańskim, kiedy Kasprowicz był całkiem nieprawdopodobnym zjawiskiem wśród całej tej kpiącej, wzgardliwej, szydzącej, dokuczliwej zgrai płytkich, wystrojonych i wymuskanych paniczyków — pobyt dziecka chłopskiego wśród nich musiał być ciężką męką i przebolesnym martyrium!

Dzieje takiego dziecka wśród tego wrogiego, bezlitośnie okrutnego otoczenia stokroć razy tragiczniejsze aniżeli najwięcej tragiczny los dorosłego człowieka.

Jaka olbrzymia siła musiała tkwić w małym Kasprowicu, jaka harda duma, jakie wściekle pragnienie obrony swej godności, jeżeli zdołał uratować swą duszę od ostatecznego spaczenia i ani na chwilę nienawiść nie obciążyla w jego duszy słońca miłości ciężkim, czarnym kirem. Już wtedy musiała bić od niego wielka moc, bo już po paru latach

Rzeszy (od 1884); jako działacz polityczny dość długo zwolennik polityki ugodowej wobec władz pruskich; mecenas sztuki i filantrop. [przypis edytorski]

³¹poonczas — wówczas; wtedy. [przypis edytorski]

Zabobony, Pies

Chłop, Szlachcic, Szkoła,
Polska, Polak, Obyczaje,
Pogarda, Przemoc

zyskał sobie tę umysłową przewagę nad swoimi rówieśnikami, która i najzacieklejszych wrogów chamstwa ku niemu zniewalała.

Po Kujawach, oczywiście na tym inowrocławskim odcinku, krążyły tajemnicze wieści o młodym poecie, który ponoć już w Warszawie drukuje swoje wiersze. Koledzy Kasprowicz przyjeżdżali na wakacje i rozsiewali dziwne gadki: jeden widział cały duży zeszyt, opiewający piękność Gopła, inny zaś początek jakiegoś dramatu, tamten znowu czytał bardzo pochlebną odpowiedź jakiejś redakcji warszawskiego pisma — dość, że Kasprowicz był na Kujawach już popularny, kiedy nie przekroczył osiemnastego roku życia. A właśnie wtedy sposobili się Kujawy do uroczystego obchodu pięćdziesięcioletniego jubileuszu pracy Kraszewskiego.

W tym samym czasie, kiedy ja, w najgłębszej tajemnicy przed rodzicami, mozoliłem się, by w uroczystym wierszu wyrazić Kraszewskiemu mój nabożny hołd, wierszem, z którego tyle tylko jeszcze pamiętam:

Choć dziesięcioletni chłopczyzna
Wykształcenia nie ma...

wędrował młody, osiemnastoletni Kasprowicz od jednej wsi do drugiej i wypożyczał u okolicznych gospodarzy i okolicznej szlachty konie wierzchowe.

W dniu uroczystości wjeżdżał na czele może dwudziestu dorodnych parobczaków na koniach, w kujawskim stroju chłopskim, Jan Kasprowicz do Kruszwicy, gdzie na wzgórk, kędy sterczy Mysza Wieża, cała uroczystość się odbyła.

Pomysł tej symbolicznej banderii chłopskiej był wówczas niesłychanie śmiałym protestem przeciw uroszczeniom szlachty, która niechętnie dopuszczała do obchodów mieszczanństwo, a tym mniej chłopów.

Jak pruski dyrektor gimnazjum w Inowrocławiu zareagował na tę manifestacyjną eskapadę Kasprowicza, nie wiem, może nie dowiedział się o niej, a może wiedzieć nie chciał — mój hołd, złożony Kraszewskiemu, zwiął nagle na katedrę mego ojca list z Drezna, adresowany do Stanisława Przybyszewskiego.

Można sobie wyobrazić niesłychane zdumienie mego ojca. Widzę go jeszcze, siedzącego na katedrze i przesywającego mnie surowym wzrokiem — jak ten smarkacz ośmielił się coś bez jego wiedzy zrobić?

Przeczuwałem coś złego, ale widziałem, jak w trakcie czytania twarz ojca łagodniała, a nawet się uśmiechał. Nie dziw!

Własnoręczny list Kraszewskiego, w którym pisze, jak nieskończenie mu drogie te życzenia dziecka, jak gorąco prosi, by niebiosa wszystkie łaski zlały na moją „główkę” — więc tym razem ominęła mnie kara, bo bez woli i wiedzy ojca nie wolno było nic robić.

III

Gopło w ciągu ubiegłego wieku znacznie opadło wskutek pogłębienia koryta Noteci, osuszenia moczarów i wycięcia lasów. Miejsce, skąd się cofnęło, znaczyły wysokie parowy, gdzie posadzano srebrne topole, które po upływie kilkudziesięciu lat rozrosły się w królewskie drzewa.

Tam wybiegałem latem w największy popołudniowy skwar i upał, kładłem się w cieniu topoli, wsłuchiwałem się w pobrzęk srebrnych liści, potrząsanych leciuteńkim wietrzykiem, wpatrywałem się w wysokie łany trzciny, sitowia i tataraku, wśród których gnieździło się mnóstwo kuligów. W poszum tych jeziornych traw wplątywałem wszystkie melodie, jakie matka na fortepianie wygrywała, patrzyłem, jak słońce miriadem³² diamentowych szpileczek łechtalo w psotnej igraszce ciemne łono Gopła — słuchałem, aż wszystkie rozhowy³³ topoli, ostre głosy kuligów, brzęki chrząszczów, poszumy łanów trzciny i kęp sitowia zlały się w jeden falisty ton, wznoszący się i opadający w bezustannych nawrotach i powrotach na „kseb” i na „ocib”³⁴; patrzyłem, aż oczy mi ślepyły od żarzącego się blasku, a gdy je zamknąłem, kołowały pod powiekami delikatne koła w szybkim, tęczoobarwnym obiegu, a w duszy dziecka rodziła się bolesna, niepokojem i lękiem trawiąca

³²miriadem — dziś r.ż.: miriadą. [przypis edytorski]

³³rozhowy — rozmowy; gadanie. [przypis edytorski]

³⁴na kseb, na ocib — po kujawsku: „do siebie”, „od siebie”. [przypis edytorski]

Chłop, Poeta, Duma

Woda, Rzeka

Tęsknota, Dzieciństwo,
Światło, Dźwięk

tęsknota, nieznająca ani przyczyn, ani powodów, bez żadnych pragnień i celów; tęsknota za niczym i za wszystkim; tęsknota sama w sobie — najfatalniejsza z wszystkich tęsknot, bo z niej się rodzi ten ponury, beznadziejny fatalizm życiowy kornego poddania się losowi, jaki by on tam był, ubezwładnienia rąk wobec każdej przeszkody i niesprzeciwiania się złemu.

Błogosławiona tęsknota, co w bolesnym napięciu rozwarła swoje skrzydła od jednego krańca do drugiego i rwie się, by bohaterskim szturmem niebiosą zdobywać, błogosławiona i ta, która, z tysiąca ran brocząc, jednak, choćby z połamanymi skrzydłami³⁵, u progu upragnionego celu się rozłoży — cóż z tego, że w tej samej chwili skona? Błogosławiona i ta, która w pijanym szale tacza się z jednej stacji kalwaryjnej do drugiej z obłąkaną wiarą, że gdzieś, kiedyś dokonana zostanie, ale ta tęsknota, która niczego się nie czepia, nie patrzy ani wstecz, ani w przyszłość, bo nic za nią i nic przed nią, to najboleśniej z wszystkich tęsknot.

O, znał ci ją doskonale Szopen. Jego preludium *Fis*-moll (Op. 28 nr 8) pod koniec — pięć czy sześć taktów z jednym *cis* — to: *cis, cis, cis*, więcej opowiada o tej tęsknocie, aniżeli bym był w stanie choćby i na kilku stronicach ją zanalizować. I jeszcze jedno *cis*, ale tym razem z towarzyszącym mu cichym chęłchaniem zmarłego w krtani płaczu: *dis, dis, fis, dis*, i znowu *cis, cis* bez końca — o Jezu, Jezu!

Jeden kwiat sobie ukochałem: dziewannę!

Wśród pustynnego ugoru nad Gopłem, wśród tej rozpaczliwej *cis*-pustyni, nagły cichy szloch ziemi — dziewanna: *dis, dis, fis, dis!*

W duszy dziecka przetworzyło się to wszystko na tę bezdenną tęsknotę, łkającą cichym, zdławionym płaczem, który gwałtem się z krtani wyrывa, ale w tejże samej chwili milknie, zduszony załęcznionym wstydem.

A z wszelkich dali i поблизу ustawicznie, wciąż ten sam maniacki refren:

Błade kłosa na rozłogu,
 Jak sieroty twarz...

Poonczas niezłe grałem na fortepianie.

Jeżeli mówię o fortepianie, to trzeba sobie wyobrazić coś w rodzaju bardzo lichego mozartowskiego szpinetu. Cieniuteńkie tony, a raczej brzdęki — coś w rodzaju harfy, a na domiar bardzo kiepskiej, wiecznie rozstrojonej: jedyna puścizna mej matki po zmarłym dziadku. Wiecznie łamały się młoteczki, osadzone na gęsich piórkach; struny, ze starości zardzewiały, chryły bezustannym katarą, a ponieważ niejednej brakło, więc głuchy, suchotniczy kaszel przerywał wszelką melodię częstym: *Memento mori*³⁶!

Matka z miłością uczyła chciwego muzyki syna, a jedyne popołudnia niedzielne, których nie zabijała śmiertelna nuda, to te, w których wszyscy z domu się porozchodzili, a ja z matką godzinami całymi grałem na cztery ręce z nut, pisanych ręką mojego dziadka. Poonczas błąkał się po wszystkich dworkach jakiś jeden drukowany egzemplarz, który skrętnie dziesiątki rąk przepisywało — drukowane nuty, jako bardzo drogie, były rzadkością.

— Moje dziecko — powiedziała mi raz moja matka — jaka bym była szczęśliwa, gdybyś został muzykiem!

Te słowa opadły ciężkim kamieniem na dno duszy dziecka i już mu nie miały dać spokoju. — Ale to nie było żadnym jakimś celem, raczej jakimś ciężkim prerażeniem — słyszałem przecież, że muzycy dają koncerty na publicznych salach, mnóstwo ludzi przychodzi, by ich gry posłuchać, a myśl o tym, żeby mnie mogło mnóstwo ludzi słuchać, tak mnie paraliżowała, że tchu załapać nie mogłem.

Natomiast myśl, że mógłbym zostać muzykiem tak dla siebie, już mnie nie opuszczała.

I zdarzyło się, że jakoś w lipcu przypadł odpust w Markowicach, po drugiej stronie Gopła. Kiedyś bogaty klasztor, który zamieszkiwało zgromadzenie oo. kapucynów, jeśli się nie mylę. Prusacy zakon rozpędzili, przemienili go na szkołę i mieszkanie dla proboszcza, kapelana, organisty i nauczyciela — jeden tylko splendor klasztoru pozostał nietknięty:

³⁵skrzydły — dziś N.lm: skrzydłami. [przypis edytorski]

³⁶memento mori (łac.) — pamiętaj o śmierci. [przypis edytorski]

jego słynny odpust. Na odpust ten zjeżdżała się cała okolica z tej i z tamtej strony Gopła: z dwudziestu parafii zjeżdżali się księża — prócz w Kruszwicy na św. Piotra i Pawła nie było nigdzie w okolicy tak uroczystego odpustu, jak w Markowicach — czy nie na św. Anny?

Ojciec powiódł mnie na ten odpust, bo był on równocześnie zjazdem wszystkich okolicznych nauczycieli wiejskich, nie powiódł mnie jednak do Markowic, ale do znajomego kolegi, który mieszkał po drodze w Żernikach, i tam kazał mi na siebie czekać.

Czekałem jakiś czas, wyszedłem potem na drogę, zboczyłem do jakiegoś parku (Żerniki były ongiś rezydencją generała Kołaczkowskiego), błądziłem po nim tam i sam — nagle posłyszałem dźwięki fortepianu. Z bijącym sercem podszedłem pod okna pałacu, z którego gorącą, płomienistą falą lała się ku mnie jakaś niesłychana muzyka.

Tylem odwrócona do okna, sięgającego do samej ziemi, siedziała jakaś piękna pani z rozpuszczonym włosom przy fortepianie — Chryste Panie! Co to był za niesłychany fortepian! Grzmiał, wył, ryczał, dzwonił jak na Anioł Pański, śpiewał i kwilił — Jezus Maria! Ja bym nie był śmiać palcem w taki klawisz uderzyć! A piękne ręce tej „anielskiej” pani przebiegały całą klawiaturę z jednego końca na drugi z taką chyżością, że poszczególne palców nie widział, a ręce te latały jak oszalałe, wyskakiwały w górę, to znów spadały na klawisze, przerzucały się jedna przez drugą, to znowu łączyły w grzmiących akordach na jednym miejscu, to znowu grzmiała lewa ręka w basie, a prawa wyciągała niesłychanie długi tryl, a tak szybko i tak, że nawet ruchu nie było widać...

Pani wstała od fortepianu i znikła, a biedny dzieciak wpadł, zataczając się, w zarośla parku.

Teraz dopiero zrozumiał, co to znaczy grać, umieć grać, i ciężki smutek zwałił się grzszym jeszcze młyńskim kamieniem na jego serce.

A ten młyński kamień nie był dla niego frazesem, podziwiał go już nieraz u młynarza w Łojewie, kiedy rozmyślał nad słowami Pana, że temu, który zgorszy jednego z małuczkich, należałoby kamień młyński przywiązać u szyi.

U szyi? Pół biedy — ale on spadł mu na serce i tak go do ziemi przytłoczył, że ruszyć się nie mógł.

— Cóż tak, Stasiu, osowiałeś? — pytała matka po powrocie moim do domu.

— Nic, mammo, tylko głowa mnie boli.

— Połóż się spać.

Ale Staś nie spał — a dla matki były wysoce niepokojące te bezsenne noce dziecka — ale tym razem nie zdradził się, że nie śpi: modlił się żarliwie do patronki muzyki, św. Cecylii, której obraz wisiał nad fortepianem, by mu wyjednała dar muzyki u Pana Boga, aby cud się ziścił i mógł grać tak, jak ta piękna pani z rozwianymi włosami. — Nad ranem usnął snem gorączkowym, a po południu schował się w stodole i wyciągnięty na sianie jął pisać żarliwą litaniją do św. Cecylii, a w antyfonie zaklinał ją, by prośbę jego spełnić raczyła.

A znał doskonale z *Żywotów świętych* życie św. Cecylii.

Był to mój pierwszy utwór, pisany z niezłomną wiarą, że cud się stanie i już wkrótce będę tak grał, jak ta piękna pani w Żernikach.

Ale na próżno wyczekiwałem cudu. Natomiast znalazła matka moją litaniją — ja nigdy nic ukryć nie umiałem — i poszła z nią do księdza proboszcza, tak wyraźnie żyjącego w mej pamięci księdza Kompfa.

— Dziecko przedwcześnie dojrzałe — powiedziała — zdaje się, że mógłby zostać przyjęty do pierwszej komunii, katechizmowo już jest przeze mnie przysposobiony.

Ksiądz Kompf raz jeszcze przeczytał antyfonę.

— Skończył już dziesięć lat?

— Teraz ma dziesięć i pół.

— Tak, to rzeczywiście wyjątkowo rozwinięte dziecko — niech jutro przyjdzie do spowiedzi — pojutrze razem z przygotowanymi dziećmi do komunii.

Pierwszy i ostatni raz, że jakiś mój twór tak po królewsku wynagrodzony został.

V

W dwunastym roku mego życia oddał mnie ojciec mój do niemieckiego gimnazjum w Toruniu.

Niewesołe były to czasy dla młodego chłopaka, który zaledwie kiepsko język niemiecki rozumiał, a w klasie, liczącej około 60 uczniów, było, prócz mnie, trzech tylko Polaków. Toteż bezustannie byłem narażony na pośmiewisko i złośliwe kpiny moich współuczniów Niemców, którzy zanosili się od śmiechu, wraz z gospodarzem klasy, profesorem, nad moją wymową niemieckiego języka, przedrzeźniali mnie w ten złośliwy i okrutny sposób, jakim rozporządza tylko z natury złośliwy i do okrucieństwa zdolny dzieciak. Nazwisko moje łała im języki, toteż przekręcano je, skręcano, wywracano na ręby, aż wreszcie zostało jakieś „Sibi”³⁷ i to „Sibi” wyrzuciło mnie za obręb synów bogatych mieszczan, oficerów, bankierów, profesorów, wyższych urzędników — gimnazjum w Toruniu zdawało się być przeznaczone li tylko dla arystokracji wszelakiego stanu.

Ale to błogosławione „Sibi” zrobiło³⁸, żem istotnie począł żyć tylko w sobie i dla siebie: *sibi*³⁹.

Zdawałoby się, że to głupi jakiś, nic nieznaczący przypadek!

Och nie!

Nie uznaję żadnych przypadków, a już całkiem nie widzę ich w moim życiu.

Przecież to nie przypadek, żem się właśnie tam urodził: tam, a nigdzie indziej urodzić się nie mogłem — nie przypadek, żem to nazwisko otrzymał, które noszę. Byłem zawsze i wszędzie przybyszem, a przeważnie uważano mnie za rodzaj intruza, który wdarł się Bóg wie jakim prawem nie tylko w obręb społeczeństwa, ale — o zgrozo! — w ojczystą literaturę! Gdziekolwiek w życiu się znalazłem, czy za granicą, czy u „swoich”, wszędzie byłem „przybyszem”.

A nawet imię „moje” nie jest przypadkowe, aż nadto stało tej „sławy”, a raczej osławienia, bo „przybysze” wzbudzają li tylko ciekawość i właśnie naokół nich snują się najrozmaitsze legendy i to doprawdy nie najpochlebniejsze. Wiąza się z nimi domysły najfatalniejsze i nie bardzo dla nich korzystne, toteż nie dziw, że w średniowiecznych procesach o czary często gęsto wędrował na sromotny stos taki bliżej nieznan, a więc niesamowity „przybysz” — taki sobie *certain*⁴⁰, „włóczęga”, „powsinoga”, „łapserdak”, a nawet „zakala” społeczeństwa.

Nie piszę tego w jakimś rozżaleniu — niech ręka Boska broni — ja pragnę tylko wykazać, jak nic nie jest w życiu człowieka przypadkowym, przeciwnie: symbolicznym określeniem drogi, jaką ma w życiu kroczyć.

W mojej wsi rodzinnej istniała chłopska rodzina o nazwisku Kruk. I co powiedzieć na to: Kruk w Kruka był złodziejem, a co jeden to gorszy. Inna rodzina zwała się Musiał. Musiał na każde pytanie, dlaczego to lub owo zrobił, odpowiadał kategorycznie: bo „musiałem”. Rodzina Wydrów odznaczała się tym, że sześciolatek Wydra przepływał Gopło jednym tchem tam i z powrotem, a nasza służąca Sroka nie mogła spojrzeć na coś lśniącego, by nie odczuwać silnych „ciągotek”.

I ten mój śmieszny przydomek „Sibi” — tak sobie język niemiecki przystosował walek mego nazwiska: „Przyby” — był niejako symbolem dla wytyczni⁴¹ mego przeznaczenia.

Chłopak tak niesłychanie wstydlivy i przeczulony, że krył się zawsze — nawet w domu rodzicielskim — w ostatnie kąty, by na niego uwagi nie zwrócono, stał się teraz już całkiem odludkiem i osamotnionym — począł żyć w sobie. Błądził po ponurych ulicach i zaułkach starego Torunia, a całe miasto przejmowało go drżącym, tajemniczym lękiem, a równocześnie przyciągało go nieprzepartym urokiem czegoś, co już przecież gdzieś, kiedyś musiał widzieć. Błąkał się samotny wzdłuż brzegów Wisły, hen, daleko poza most żelazny, gdzie stromo nad rzeką pobudowało się robotnicze, wielce okrzywane przedmieście: Winnica — to znowu wystawał godzinami całymi na moście i patrzył w dół, na

³⁷*Sibi* — w niem. wymowie „zibi” (skrótowy początek od: Przybyszewski). [przypis edytorski]

³⁸*zrobiło* — dziś popr.: sprawiło. [przypis edytorski]

³⁹*sibi* (łac.) — sobie. [przypis edytorski]

⁴⁰*certain* (fr.) — pewien, jakiś. [przypis edytorski]

⁴¹*wytycznia* — dziś: wytyczna; wskazówka, drogowskaz. [przypis edytorski]

tratwy flisaków, które Wisłę, jak daleko okiem sięgnąć, całkowicie zapełniały. A co za rozkosz było siedzieć nad brzegiem Wisły i słuchać muzyki flisaków, kiedy już wieczór zapadał, a na każdej tratwie pozapalano ogniska! Jakie cudowne poematy można by z tego wysnuć!

Między Wisłą oblewającą Toruń, a jej starym korytem, zwanym „leniwą Wisłą”, utworzyła się wyspa Majdany. Nazwa ta może być dla historyka ciekawą wskazówką, czym ta wyspa kiedyś była w średniowieczu — prawdopodobnie wielkim targowiskiem, na które kupcy ze Wschodu zjeżdżali — w moich czasach królowały na nich potężne, rozłożyste dęby, ogromne buki, jesiony, srebrne olchy, płaczące wierzby, czarne wiązy o poczwarnie powyginanych, szerokich ramionach, a całość tworzyła jakiś niewysłowienie piękny, bo nieludzką ręką stworzony, park. Wśród drzew, które Wisła częstokroć prawie pod konary zalewała, rosły olbrzymie paprocie, skrzyppy, przenajrozmaitsze zielisko, a tak ogromnie wybudziały, że mi po głowę wówczas sterczało.

Z jednej i drugiej strony ciągnęły się zbitym gąszczem, nieprzerwalnym murem splecione kępy wikliny, tu i ówdzie poprzerywane głęboko nad wodą pochylonymi, zgrzybiałymi i spróchniałymi pniami wierzby i topoli nadwiślańskich.

Można było błędzić swobodnie w tych zapadłych uroczyskach, a godzinami żywej duszy się nie spotkało, tylko w oddali przygłuszony łoskot pociągów, przeciągły gwizd lokomotyw i stłumiony hałas i nawoływania robotników ładujących wozy towarowe.

Tam mi dobrze było, tam roila moja dusza dziwaczne sny i majaki — dziś zdumiony jestem, co się wtedy przez duszę dziecka przewalało — tu doznawałem trwoźnego a uroczystego dreszczu pobliza potężnej natury. Można sobie wyobrazić trwożę i zdumienie dziecka, które prócz małych zagajników i sadów z drzewami owocowymi w rodzinnej wsi nigdy lasu nie widziało, a cóż dopiero takiej dziewiczej prawie puszczy, jaką pyszniły się te moje Majdany!

Ale co duszę moją najwięcej wstrząsało, to ustawiczne objawienia, jakich doznawałem, gdy się błąkałem po trzech gotyckich kościołach — wszystkie z XIII wieku, wszystkie trzy nieporównanie piękne, przeczyste w ich dziewiczym majestacie!

Nie mogę o nich pisać, bobym musiał je opisywać, jak je teraz widzę, kiedy już zdołałem wnikać w tajemnicę ich architektury, w ich mgławiczną symbolikę, kiedy na nie patrzę okiem człowieka, który niemal wszystko widział, co gotyk pozostawił po sobie w Niemczech, Francji, Hiszpanii i Belgii (zdumiewające, że te trzy kościoły: św. Jana, św. Jakuba i Panny Marii wytrzymują wszelkie porównania), nie mogę zatem nic więcej o nich powiedzieć, jak tylko to, co intuicją duszy dziecka-twórcy odczułem.

A uczucia tego nie mógłbym inaczej nazwać, jak natchnieniem, które *świadomie* parę lat później poznać miałem.

Intuicja!

„Czuciem” nazywali ją nasi wielcy romantycy, głosem wewnętrznym — daimonionem zwał Sokrates ten organ wyższego poznania, osiąganego w natchnieniu, które jest czystą i bezpośrednią emanacją złożonych w duszy ludzkiej wiekuistych prawd.

Intuicja wydaje mi się być pamięcią moich, w bezustannych wcielaniach się przeżytych, bytów przed tym moim bytem, pamięcią doznanych już kiedyś przeżyć duchowych, które, przebywając w głębiach nieświadomego, odnalazły w tym *mare tenebrarum*⁴² swoją naturę przedmyślową, to znaczy piękność archotypów, i z tą nową żywotną siłą wdzierają się w obręb świadomego. Intuicja budzi z wiekuistego snu na dzień duszy spoczywające, nagromadzone tam bezmierne skarby „idei”, które przeżywałem w innych bytach, i przez intuicję wyłaniają się one nagle w mojej świadomości, jako:

Objawienia!

Poprzez intuicję w natchnieniu otrzymałem objawienie najwyższej piękności w sztuce, a ponieważ *intuicja* ta, to *czucie* wiąże się z *uczuciem*, co płonie ogniem świętym gorejącego rozplamienia w twórczej *ekstazie*, zrozumieć można, jakich wstrząsów doznawać musiała twórcza dusza dziecka.

Mówiłem na początku, że dusza moja bytowała ostatni raz ponoć wtedy, gdy już gotyk doszedł do najwyższego rozkwitu.

⁴²mare tenebrarum (łac.) — morze ciemności [przypis edytorski]

Powiedzenie to wydawałoby się jakimś groteskowym absurdem, a przecież to wszystko, com w tych kościołach przeżywał, było istotnie przypomnieniem tego, com już kiedyś widział, może w większej wspaniałości — każdy szczegół, każda linia, kształt każdy w tych gotyckich budowlach był mi bardzo znany i zażyły — tylko trzeba dobrze zrozumieć: nie architektonicznie pojęty, ale symbol czegoś, czegom oczywiście wtedy zrozumieć nie mógł.

W chrześcijaństwie obudził się duch, pętany i obezwładniony przez potęgę materii w świecie pogańskim.

Budził się powoli, ospale; rozglądał się wokół; spojrzął na rozkwit przemysłu, handlu, tak zwanych sztuk pięknych; zachichotał cicho na widok tego wszystkiego, co ludzkość dumą najwyższą, swoją kulturą nazwała, a w której ostatnia iskierka z jego świętego praognia wygasła: teraz dźwiga się gniewnie, że to marne robactwo ludzkie tę chwilę, w której, niemocą zdjęty, wypocząć pragnął, tak marnie i głupio zużyło. Zrywa się nagle przepotężny, oszalały i gdyby huragan rozkielzanych ziemskich i niebieskich potęg zmiata z ziemi rozkoszne sioła i kwitnące miasta. Wniwecz obraca wypieszczone przybytki użycia, kultury, wiedzy, w których przebywała do niedawna tak spokojnie w sadło porosła tłuszczą „zjadaczy chleba”. Depce olbrzymią stopą święty znicz, w którym ludzkość fałszywym bogom ofiary składała. Straszliwą pochodnią świętego ognia wznieca pożogę, która cały świat obejmuje, i pędzi przed się, rozszalała; burzy i niszczy, by kamień na kamieniu nie pozostał; pali i tratuje, by się nic nawet na załówek nie zostało z tej ohydnej „piękności” materii, i mści się w niepohamowanym szale; pędzi przez świat cały i pali, i niszczy, i wywraca, jako czynił to od początku świata i czynić będzie po koniec jego, dopóki raz wreszcie miast⁴³ czcieli brzucha i zmysłów nie znajdzie ludzi trwających w natchnionym uniesieniu i żarliwym nabożeństwie wokół ołtarzy, na których znicz jego płonie.

A szesnaście wieków minęło, kiedy się po raz ostatni Duch w tej straszliwej potędze przebudził, kiedy w zapamiętałym szale niszczył Ateny i Rzym, i Aleksandrię, kiedy niszczył i palił, i z ziemią zrównywał najwspanialsze świątynie pogańskie, rozrąbywał i w pył kruszył to całe „piękno”, jakie pogańska potęga materii wytworzyć zdołała. Ale nie miał dość sił tak doszczętnie wyniszczyć, by nic się nawet na załówek nie zostało — i to stało się jego w przyszłości najboleśniejszą tragedią.

Na razie niesłychane zwycięstwo.

Piękność duszy zatriumfowała w nigdy niebywalej potędze, w sztuce chrześcijańskiej, a boskim kwieciami lotosu, w którym już niewypowiedziane bóstwo spocząć miało, wytrysnęła w niebo niepojęty cud gotyku!

Duch był wówczas opętany wiarą. I mocą tej wiary miał prawo niszczyć doszczętnie tak zwaną piękność materii, jaka się w sztuce starożytnej przejawiała, bo ta piękność była dla Ducha obmierzlą, marną i plugawą brzydota, potwornym zeszpeceniem jedynej piękności, w jakiej Duch się objawia, Duch, dla którego jedyną rzeczywistością jest nieogarnięty, niewypowiedziany Bóg Wszechświata i Idea Idei: Słowo zaczęło⁴⁴ się ciałem stać.

A największym triumfem, jaki kiedykolwiek potęga Ducha w chrześcijaństwie nad potęgą materii w pogaństwie osiągnąć zdołała — to gotyk!

Renesans — odrodzeniem?!

Śmieszne!

Raczej sromotnym cofnięciem się wstecz⁴⁵, zwycięstwem plugawej reakcji i sprośnego pogaństwa — potęgi zmysłów nad krótkim panowaniem Ducha. Cały renesans, to jedna haniebna likwidacja wszystkiego tego, co wspaniała majestat Ducha i jego mocarstwo stworzyło — zwycięstwo pięciu zmysłów, lichutkich, biedniutkich pięciu zmysłów nad Objawieniem, dokonanym królewską potęgą intuicji!

Ale dosyć już — przecież nie piszę historiozoficznych traktatów ani nie mogę rozpatrywać dziejów Ducha, ani go śledzić na jego niepojętych, rozumem nieogarniętych drogach.

Religia, Dusza, Ciało,
Obraz świata

Dusza, Piękno, Religia,
Ciało, Obraz świata

⁴³miast (daw.) — zamiast; w miejsce. [przypis edytorski]

⁴⁴zaczem (daw.) — zanim. [przypis edytorski]

⁴⁵cofnięciem się wstecz — błąd logiczny: cofnięcie się oznacza zawsze (fizycznie czy metaforycznie) ruch wstecz. [przypis edytorski]

Oczywiście, że mózg chłopaka trzynastoletniego jeszcze w ten sposób nie rozumował, ani sobie jeszcze sprawy nie zdawał z różnicy piękna materii a Ducha — ale ekstatyczne wrażenia, wciąż i wciąż odbierane w tych trzech kościołach, stały się później podłożem dla całego mojego tworu.

Te wszystkie w moim tworze potworności, udręki, męczarnie, ascetyzm, połączony z orgiastycznym „rozwydrzeniem”, te wszystkie „satanizmy”, jak to nazywano, tkwią wszystkimi korzeniami w przepastnej głębi gotyku!

Jedna straszna rozterka między Duchem a materią, a raczej Szatanem-materią a Duchem-Bogiem!

A może to znowu tylko przypadek, iż ojciec mój tysiącem rozmaitych względów był zniewolony oddać mnie właśnie do gimnazjum w Toruniu, a przecież byłoby o kilka godzin bliżej do inowrocławskiego gimnazjum, w którym przebywał Kasprowicz.

Rok cały żyłem samotny — w świecie, który sam sobie stworzyłem, a nie mogę powiedzieć, by był rozkoszny.

Wprawdzie bardzo szybko nauczyłem się języka niemieckiego, uczyć się prawie nie potrzebowałem, bo niezwykła pamięć naukę mi w niepomierny sposób ułatwiała — stałem się najlepszym łacinnikiem w klasie, a tym samym współuczniom moim bardzo potrzebny. A ponieważ nigdy nie umiałem nikomu czegoś odmówić, więc za część moich kolegów odrabiałem zadania i tym samym zyskałem sobie u nich pewien mir, który sromotnie okupywałem wzmianką w moich cenzurach: „Surowo karany za ciągle podpowiadanie” — która to wzmianka wywoływała w domu rodzicielskim odpowiedni odruch gniewu ojcowskiego.

Ale z nikim się nie przyjaźniłem...

W tej samej klasie biedował ciężko nieślubny syn jakiejś akuszerki, która w ślepej miłości do dziecka oddała go do tego arystokratyczno-plutokratycznego gimnazjum.

Nieślubny syn akuszerki!

Dokładnie nie zdawałem sobie sprawy, jaką hańbą napiętnowany był mój kolega, ale już dawno widziałem, że sześćdziesięciu moich współuczniów unikało go jak morowej zarazy, więc właśnie dlatego jałem naokoło niego krążyć.

Gospodarz klasy był nim widocznie wysoce zażenowany, a nawet siłił się mu gimnazjum tak uprzykrzyć, by się z niego czym prędzej wyniósł.

Najwspanialszym środkiem pedagogicznym w Prusach była naonczas chłosta cielesna, a przy każdym zająknięciu się — bicie po twarzy.

Tego środka wypróbował gospodarz klasy najczęściej na nieślubnym dziecku akuszerki.

Dawno mnie to już oburzało i z coraz większą sympatią poczynałem zerkać ku mojemu, o pięć ław oddzielonemu, towarzyszowi.

Na początku roku pytał się profesor:

— Twoje nazwisko?

— Gdyka.

— Ojciec twój?

— Jestem nieślubnym dzieckiem, więc ojca nie mam.

Dziś jeszcze czuję zaparty oddech całej klasy.

Było to, jakby grom nagle w naszą klasę uderzył. Zapanowała cisza jak makiem posiał.

Przez chwilę zmagaly się oczy chłopca z oczyma profesora, ale tylko na chwilę. Chłopak hardy, ale żywym ogniem oblany — profesor szyderczo się uśmiechnął:

— Matka twoja? — zapytał.

— Akuszerka.

Napięcie, niepokój, zdumienie, które przez chwilę za silnie duszyczki chłopców na uwięzi trzymało, znalazło teraz ujście w jednym wielkim ryku śmiechu.

Tylko ja się nie śmiałem — pewno, że już na wsi odbijało się często o moje uszy to słowo: ślubny — nieślubny. Widziałem, z jaką pogardą te ostatnie dzieci były traktowane, więc nie mogłem sobie wyobrazić, by jakieś dziecko ośmieliło się przyznać do tej strasznej hańby.

Wątpię, czy kiedykolwiek mi coś tak zaimponowało, jak to harde przyznanie się dzieciaka, że jest nieślubnym dzieckiem. Podziwiałem wprawdzie, gdy młody Jan Kasprowicz z pogardliwą dumą pędził drogą do gimnazjum wraz z matką parę prosiaków na targ

Dziecko, Małżeństwo,
Obyczaje, Wygnanie,
Szkoła, Piętno, Pogarda

Szkoła, Przemoc

Bohaterstwo, Duma,
Dziecko, Małżeństwo,
Obyczaje, Wygnanie,
Szkoła, Piętno, Hańba,
Pogarda

w Inowrocławiu, ku strasznej uciezce swoich paniczekowskich kolegów; widziałem go nawet raz później — sporego już wyrostka — jak niósł (on, gimnazista!) parę przez matkę zakupionych mioteł z taką powagą, jakby jakieś książęce insygnia piastował, ale to przyznanie się mego kolegi do tak „piekielnej hańby” wydało mi się czymś jeszcze więcej bohaterskim.

Podczas rekreacji⁴⁶ zbliżyłem się nieśmiało do niego i zapytałem grzecznie:

— Pójdiesz dziś ze mną na Majdany?

Popatrzył na mnie spode łba — podejrzliwie.

Przecież to pierwszy raz jakiś kolega się do niego zbliżał. Obrzucił mnie oczyma od góry do dołu butnie i hardo, a potem odwrócił się:

— Nie! — odbąknął.

W tej chwili odczułem jakąś tkliwość:

— A ja ci powiadam, chodź ze mną, ty jeszcze tam nigdy nie byłeś, a tam jest bardzo, bardzo pięknie, będziemy botanizować — nie ma tu nigdzie tak pięknych i rzadkich kwiatów, jak tam... tam zresztą możemy się doskonale zabawić, bo żywej duszy tam nie ma, możemy przejechać się po Wiśle łódką — jest tam jedna, ukryta w zaroślach, „szyper” przychodzi po nią dopiero późnym wieczorem...

— Daj mi spokój! Nie pójdę!

Widocznie się lękał, że chcę z niego zakpić, wziąć go na lep, aby móc potem całą klasę jego kosztem zabawić.

Ale, gdym się po południu ułożył w cieniu olbrzymiego dębu na Majdanach, zobaczyłem go, jak, tyłem do mnie obrócony, wpatrywał się w Wisłę.

Podszedłem do niego uradowany, odwrócił się zdziwiony, bąkał to i owo na usprawiedliwienie, że się tam znalazł — ponoć przyszedł z ciekawości, by zobaczyć tę łódkę, o której mu mówiłem — ale ja tak serdecznie do niego przemawiałem, że szybko już pozbył się swej podejrzliwości, zaufał mi: chwilami się jeszcze zacinał, ale nie minęła godzina, a już wzajemnie poczęliśmy się sobie zwierzać.

Gdyby móc teraz przemówić językiem trzynastoletniego chłopca, móc się wżyć w świat jego wyobraźni, odtworzyć w tej bezpośredniej świeżości cały jego zasób uczuć, marzeń, majaczeń, z jaką on wszystko naokół przeżywa, móc przeżyć jego wszystkie radości (u dzieci typu „sibi” są one niezmiernie rzadkie, a jeżeli bywają, to silnie zabarwione melancholią, smutkiem i przesycone jakimś *je ne sais quoi*⁴⁷ — w czym już w zarodku tkwi jad przesytu), móc się wżyć w wszystkie jego tęsknoty i cierpienia — a zdumiewające, jak takie dziecko cierpi — móc raz jeszcze przeżyć tę tragedię dziecka, obarczonego nadmierną wrażliwością twórczej duszy, jaka się w nim już w zaraniu przejawia — a stworzyłyby się coś tak niesłychanego, czego daremnie szukałoby się w całej literaturze.

„Ja wciąż czytam, wciąż czytam. — Nie pamiętam oczywiście dokładnie słów mojego o dwa lata starszego kolegi, ale głęboko wrażliwa mi się w pamięć treść tych urywanych, poplątanych wyznań. — Wszędzie tylko mowa o starszych, o dorosłych, tak jakby człowiek dopiero z dwudziestym rokiem życia rozpoczynał, a nigdzie ani słowa o tym, jak się w moim wieku cierpi: takiego bólu, jaki ja bezustannie odczuwam, nie przeżywa dojrzały człowiek”.

I wstydem, i upokorzeniem napęczniałym bólem, udręką, zacieklą nienawiścią przedwcześnie dojrzały chłopak jął mnie wtajemniczać w całą ciężką nędzę życia, nie tę, która wypływa z niedostatku pieniężnego, bo matka jego dosyć zarabiała, ale sto razy gorszą, bo wytworzoną niechlujstwem i złością ludzką.

Och! jak go chciwie słuchałem, jak dusza dziecka, które się już dawno o to do Boga modliło, by zesłał na niego większe cierpienia od tych, jakie Synowi swemu przeżyć kazał, chłonęła w siebie tę „chorą” strawę, jaką go syn akuszerki — wyklęty „parias” — miał odtąd przez parę miesięcy karmić.

„Ja czytam, wciąż czytam, a matka moja ma dużo książek — jak chcesz, to ci je mogę pożyczyć”.

⁴⁶rekreacja (daw.) — przerwa między lekcjami w szkole. [przypis edytorski]

⁴⁷*je ne sais quoi* (fr.) — nie wiem co; tu: nie wiem czym. [przypis edytorski]

Dawno już zmrok zapadł, gdyśmy przez drewniany most nad „leniwą” Wisłą doszli do przystani małego parowca, który nas przewiózł na drugą stronę prawdziwej Wisły, do Torunia.

Na drugi dzień przyniósł mi pierwszy tom, a raczej tomik *Nędzników* Wiktora Hugo — pomnę, że wydanie polskie tej straszliwej epopei bólu i nędzy ludzkiej obejmowało coś piętnaście takich małych tomików.

Nie wiem, a raczej dokładnie zdaję sobie sprawę, że żaden utwór literacki ani w przybliżeniu nie zrobił tak wyłomowego, wstrząsającego wrażenia w całym moim życiu, jak ten arcyutwór Hugo. Oczywiście nie jestem w stanie dać choćby najmniejszego pojęcia o tym kataklizmie, który mą duszę poonczas nawiedził. Zapewne nie rozumiałem dużej części tego, co czytałem, ale właśnie na tych, dla mnie z natury rzeczy niezrozumiałych ustępach świeciła wyobraźnia dziecka najdziksze orgie.

I teraz już dzień w dzień odbywaliśmy dalekie przechadzki, ale już nie po Majdanach, tylko daleko przed się, przez najbiedniejsze i najniechlujniejsze przedmieścia Torunia — poonczas oczywiście! — przez Winnice lub gdzieś w głęboki las, albo brzegiem Wisły, poprzez Rybaki zamieszkałe przez szyprów, retmanów i rybaków. Zaglądaliśmy przez okna do spelunek i knajp flisaków, którzy tu często gęsto przybywali z Kongresówki, Galicji i Gdańska, a mentor mój uświadamiał mi na przykładach bez liku nędzę i męczarnie bezdomnych i wydziedziczonych, boć oczywiście *widział* w każdym z tych — może nawet z życia swego bardzo zadowolonych — szyprów jakiegoś bohatera, galernika i bohatera *Nędzników*.

Z jaką rozkoszą pławiłem się w tej kałuży nędzy ostatnich biedaków, gdy mnie wreszcie zaprowadził do poonczas całkiem zniszczonego, dziś śmiesznie po prusku odrestaurowanego zamku krzyżackiego. Był to wówczas przytułek ostatnich nędzarzy, jakieś potworne leprarium Torunia: rzadko kto stamtąd wychodził wążutką uliczką, a raczej ciasnym zaułkiem, przez który wóz przepchać się nie mógł, a nigdy nie widziałem, by ktoś w jasny dzień tam wchodził. A to zdziżało, rozpustne żebractwo, gnieźdzące się w tych wilgotnych, rozpadających się norach, znało mego mentora! Odwiedzał on tam po kryjomu, bez wiedzy matki, jakiegoś krewniaka i zanosił mu — kwaterkę wódki!

Zwykle kończyła się nasza wycieczka do tego toruńskiego Whitechapel⁴⁸ tym, że wśród uragań, śmiechu szydlerczego a nawet pogrożek pięściami trzeba się nam było wymykać, nie pomnę już jakimi drózkami, na uliczkę *An der Bache*. Tam zawsze się mimo woli obracałem: olbrzymi łuk rozpięty był nad *Bache* na drugą stronę, łuk ten zwano *Dansker* — ponoć przez wnętrze tego szło przejście, którym przeprowadzali Krzyżacy skazanych na śmierć straceńców — toruński *Ponte dei Sospiri*⁴⁹.

Ukochałem wtedy nade wszystko nędze i cierpienie.

I stałem się hardy i „zły” — „zły” w całkiem innym znaczeniu.

Pozostałem tym samym tklwym, nieśmiałym i odludnym chłopakiem, jakim byłem i jakim ostatecznie pozostać miałem. Ale w duszy mojej rodził się niepohamowany bunt przeciw niesprawiedliwości praw ludzkich i coraz więcej wzmagający się żal do Boga, że na to pozwalał.

Cała Europa korzy się przed jakimś *soldat inconnu*⁵⁰, a tym samym *soldat inconnu* był dla mej duszy ten nieznan syn akuszerki.

Jak moja dusza rosła, rozkwitała, jakie triumfy świeciła, gdym przeczytał *Notre Dame* Wiktora Hugo — z jakim nieskończonym nabożeństwem, świętością ekstatycznego podziwu jałem się teraz rozglądać w trzech, nieskończonych tajemnic pełnych, gotyckich kościołach w Toruniu!

Teraz rozumiałem świadomie, com już dawno intuicyjnie przeczuwał, że to nie budowlę, ale cegłą pisane „księgi” — niejasne dla mózgu, ale dla duszy nieporównanie

⁴⁸*Whitechapel* — dzielnica Londynu od XVII w. zamieszkiwana głównie przez biedotę i rozmaitego rodzaju przestępców; obfitowała w domy publiczne, szynki i meliny, uchodziła za najniebezpieczniejszą; tu swoich morderstw dokonywał w 1888 r. domniemany seryjny morderca Kuba Rozpruwacz (ang. *Jack the Ripper*). [przypis edytorski]

⁴⁹*Ponte dei Sospiri* (wł.) — Most Westchnień, najbardziej znany most w Wenecji, łączący Pałac Dożów z budynkiem daw. więzienia (*Piombi*); wybudowany w 1614 r., białokamienny, wspierający się na arkadowym łuku, zamknięty i zadaszony, wewnątrz prowadzą dwa korytarze przedzielone ścianą; przez jego okna więźniowie prowadzeni przed sąd mieli ostatnią okazję spojrzeć na miasto. [przypis edytorski]

⁵⁰*soldat inconnu* (fr.) — nieznan żołnierz. [przypis edytorski]

silniejszą jasnością żyjące; jałem rozglądać się w żebrach sklepień, piąć się okiem w górę po niebotycznych filarach, błądzić po witrażach z ich wyżyn, spływających w dół, a dusza moja rosła — rosła mocna, harda, dumna, rozwachlarzyła się tam gdzieś w górze — wyżej jeszcze winno się to sklepienie rozniebić: przecież przez tę olbrzymią, szeroką nawę już, już miało się przelać morze!

Tak — tak! przez te wszystkie, przez pięć pięter chyba wysokie okna winno się teraz lać morze — tą samą straszną nawałnicą, jaką się w moją duszę nowe objawienie wściekłą siklawą ciskało!

W jaki sposób skojarzyło się w ciemnych krążgankach *podświadomego* w mej duszy pojęcie morza z gotykiem, tego nie wiem: cóż w ogóle mogę wiedzieć, w jaki sposób dokonywały się w mej duszy wszystkie te dziwaczne, niepojęte skojarzenia, które tak długo dawały obfitą karmię wszystkim polskim humorystycznym pismom?

Czasami jestem świadom tych dziwacznych asocjacji: pisałem raz „żałoba białych róż”. Otóż widziałem raz trumnę możnego pana na katafalku, całą tonącą w powodzi białych róż — niech mnie tylko zaleci specyficzny zapach białej róży, choćbym jej kwiatu nawet nie widział, w tej chwili widzę katafalk z trumną — i nie tylko to: cały korowód okolicznych ludzi z gromnicznymi świecami w rękach... uroczysty mrok — bo przeniesienie zwłok odbywało się wieczorem — słyszę monotonne pieśni żałobne licznie zgromadzonego duchowieństwa — widzę piękną panią, ślaniającą się w ciężkiej żałobie za trumną męża i wsłuchującą się w ponure bicie dzwonów, spadających „ciężarem” z jakiegoś *szczytu* oberwanych głązów. A „ciężar” tych kamiennych jęków kojarzy się w mej duszy z procesją dzwonów, ciągnących w Wielki Piątek do Rzymu na nowe poświęcenie.

Raz widziałem tę procesję, jako małe dziecko — tylko to nie dzwony same wędrowały, ale białe ich dusze snuły się poprzez czarne, błotniste pola, a może to były tylko nadgoplańskie mgły? A późno już było, gdy raz w Wielki Piątek wracał do domu. Przyjechałem na wielkanocne wakacje i tak się złożyło, że sam jeden poszedłem na to wieczorne nabożeństwo, które szczególnie ukochałem, bo nie było żadnego, które by tak odpowiadało ponurej — więcej niż kiedykolwiek ponurej, bo całą gehenną cierpień wszystkich „nędzników” świata obarczonej — duszy teraz już czternastoletniego Stasia.

A miałem zaiste zatrutą duszę: mój mentor ostatnimi tygodniami mówił ustawicznie o śmierci, delikatną jego twarz otaczał pruski profesor coraz gorliwszą pieczołowitością, bo syn akuszerki przestał się od jakiegoś czasu uczyć i w ogóle na pytania odpowiadać, więc oczywiście promocji nie uzyskał. Ja sam przyniosłem do domu cenzurę wprowadzającą promocję, ale w „zachowaniu się” opatrzoną taką litanią najrozmaitszych zbrodni, jak podpowiadanie, odrabianie prac za innych, gorliwe pomaganie kolegom, by nauczycieli wprowadzić w błąd itd., że spotkało mnie w domu rodzicielskim ze strony ojca jak najgorsze przyjęcie.

Nigdy nie przeżywałem rozpaczniej tego ukochanego wielkopiątkowego nabożeństwa.

Wyszedłem z kościoła, a poprzez szeroko otwarte drzwi płynęła za mną ostatnia pieśń gorzkich żalów:

„Żegnaj mi, głowo święta w cierniowej koronie...”

Noc już zapadała, gdy zmagałem się do naszej wsi — bo z Góry, z kościoła, było blisko cztery kilometry — nagle zaleciał mnie zapach białych róż.

Chory lęk skrzył mi serce, nie mogłem tchu zaczerpnąć, i co sił starczyło, popędziłem do domu.

Mama otarła spoconą twarz, zaniepokojona, co mi się stało, ale ją szybko uspokoiłem.

— Słuchaj, Stasiu, znałeś ty go?

— Kogo?

— No, przeczytaj — podała mi numer „Dziennika Poznańskiego”: „Młodociany samobójca”... a pod tym nagłówkiem opowieść o samobójstwie ucznia trzeciej klasy, syna akuszerki, który odebrał sobie życie, ponieważ nie otrzymał promocji...

Odtąd poczęłem wciąż i wciąż myśleć o śmierci, aż dopóki mi się nie stała bliska i zażyła — nie tylko myśleć, ale tak się w nią wżywać, że już wtedy mógłbym jej zapytać:

„Śmierci, gdzie jest twoje źródło?!”

Samobójstwo

VI

Niewypowiedzianych tajemnic boskich pełna, jedna z najgłębszych ksiąg, jaką ludzkość posiada, żydowska *Kabbalah*, poucza, że śmierć dotyczy jedynie najniższego pierwiastku, z jakich człowiek jest złożony, a więc ciała. Duszą tego ciała fizycznego jest pierwiastek *Nepbesch*, który zarazem stanowi formę wyższego pierwiastku: duszy żądz, pragnień, namiętności, duszy wspólnej ludziom i zwierzętom, duszy, zwanej w *Kabbali Ruach*, duszy, która ze swej strony jest tylko formą wyższego pierwiastku: Ducha, którego *Kabbalah* zowie *Neschema*, a która jedynie człowieka od zwierzęcia odróżnia.

Po śmierci tu na ziemi ulega zepsuciu i zniszczeniu jedynie tylko ciało, bo już dawno dusza istotna — *Ruach* — z ciałem się rozłączyła. Ale *Nepbesch*, „duch kości”, jak go *Kabbala* nazywa, przez całe życie związany z ciałem, pozostaje mu wierny i poza grobem w formie *Habal-Garmin*.

Ten *Habal-Garmin* długo jeszcze „pokutuje” na ziemi: sensytywni⁵¹ ludzie, o niezwykle przeczulonych zmysłach, widują go, jak błędzi na cmentarzach: gdyby⁵² nieutulona wdowa krąży wciąż i wciąż naokół grobu, w którym ciało dawno już się rozkładać jęło.

Niezwykle silnym musiał być *Habal-Garmin* syna akuszerki, jeżeli bezustannie snuł się i przewłóczył „białą płachtą ducha” poprzez podwórzec moich twórczych myśli.

Kto wie, czy właśnie w tym przeżyciu nie tkwi fakt, który by skądinąd mógł słusznie zadziwić w moim tworze: rzadko u jakiego twórcy pojawia się tak często w utworach jego samobójstwo, jak właśnie u mnie.

Ale dla moich ludzi nie ma absolutnie innego wyjścia — *Habal-Garmin* syna akuszerki wampiryzuje postaci, które tworzę, wysysa z nich krew, do obłądu doprowadza i wskazuje im jedyną drogę wyzwolenia, którą sam obrał.

I wciąż, wciąż słyszę słowa Kasprowicza:

Bądź pozdrowiona o ty — bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdenne cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia: Boleści!

Wszystko już wtedy przetwarzało się w duszy dziecka na cierpienie, co miałem dzieś lat później w mej książce *Na drogach duszy* ogłosić, jako jedyną oś twórczego bytu, kosmiczną potęgę, która światy z siebie wyrzuciła, jądro wszelakiego istnienia.

A równocześnie rósł w nieskończoność strach przed tym upragnionym majestatem piękna w cierpieniu, chory lęk przed życiem i koniecznością, musem życia, przed tym wszystkim, co Huysmans, zgrzytając zębami, zowie *la sale corvée de la vie!* A już się tego ohydneho, upokarzającego, niszczącego ciężaru trosk życia powszedniego pozbyć nie miałem!

Materialne stosunki w domu rodzicielskim pogorszyły się niepomierne wskutek ciężkiej choroby ojca — trzeba było opuścić Toruń i przenieść się do przyrodniego brata ojca — do Wągrowca.

Mały folwarczek, który nosił dziwaczną nazwę: Ameryka, był bardzo miły: za stodolami i stajniami płynęła wśród rozkosznych łąk wąziutka, ale piękna rzeczka Węlna, która cały Wągrowiec przepływa, niedaleko zaś rozpostarło się piękne Jezioro Durowskie, a na jego przeciwległej stronie pysznił się bujny las.

Wprawdzie nie gościłem długo w tej Ameryce, ale pół biedy było, zem w niej ostatecznie wylądował.

I tu, w Wągrowcu spotkałem się z moim drugim „współczesnym”: Władysławem Rabskim⁵³.

⁵¹*sensytywny* — wrażliwy, czuły (w odbiorze bodźców). [przypis edytorski]

⁵²*gdyby* (daw.) — tu: jakby, jak gdyby; niby. [przypis edytorski]

⁵³*Rabski, Władysław* (1865–1925) — krytyk literacki i teatralny, publicysta, pisarz i dramaturg; po ukończeniu studiów w Berlinie i uzyskaniu stopnia doktora filozofii, osiadł w Poznaniu, współpracując z „Dziennikiem Poznańskim” (1892–1894), redaktor naczelny „Przeglądu Poznańskiego” (1895–1896). Po likwidacji periodyku mieszkał w Warszawie, współpracował z licznymi czasopismami („Ateneum”, „Głos”, „Prawda”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Wiek”, „Kurier Warszawski”). Był członkiem Ligi Narodowej (1898), w czasie I wojny światowej członkiem Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego w Moskwie (1917), związany z endecją, w II Rzeczypospolite posłem na Sejm z ramienia Narodowej Demokracji. [przypis edytorski]

Było to rok przed maturą. Obie ostatnie klasy były podczas niektórych przedmiotów połączone w jedną, i właśnie podczas wykładu języka polskiego, a wykladał go profesor, który od nas dopiero się tego języka uczył, poznałem Rabskiego, na razie jeszcze dosyć z daleka.

Nas wszystkich uderzyła piękna, wysmukła postać, pewność siebie, żywa twarz o dużych, wyrazistych oczach.

Wszedł do sali, przystanął na progu i pokłonił się z trochę dobrotliwym, trochę kpiącym uśmiechem — on, dziecko wielkiego miasta, a takim wydawał się nam, mieszkańcom małego miasteczka, ten prawie mityczny Poznań, z którego Rabski przybywał.

Już na pierwszej lekcji dał nam się poznać z giętkiej, swobodnej swady, która nas w zdumienie wprawiała, bo nikt z nas nie odważyłby się — właśnie w czasie najsroźszego rygoru szkolnego w Prusach — przemawiać w ten sposób do swego profesora, jak on.

Staruszka, który nielitościwie kaleczył język polski, nazywał nie panem, ale paniczkiem, a cokolwiek tamten powiedział, zbywał ironicznym uśmiechem, który znowu tak starcowi imponował, że po ukończeniu lekcji pytał się mnie — on, którego ojciec mój jeszcze pamiętał jako rektora:

— Co to za Rabski? A jak on się pisze? przez *b* czy przez *p*?

Niedługo trwało, a Rabski zapanował bezwzględnie nad całą naszą umysłowością, i to nie jakimś przeświadczonym o swej sile terrorem, jaki zwykle wywierają chłopcy, świadomi swej wyższości, na swych młodszych kolegów, przeciwnie, odnosił się do nas — którzy z całym tym „wielkim” światem żadnego kontaktu nie mieliśmy, a nasz horyzont umysłowy nie sięgał w literaturze poza rok 1870, włączając do doby romantyzmu jeszcze Kraszewskiego — z ogólną i delikatną wyrozumiałością, więc nie dziw, żeśmy się wszyscy z miłością i podziwem do niego odnosili.

Zapoznał nas przede wszystkim z prądami pozytywizmu, przywiózł nam dwa roczniki „Prawdy” Świętochowskiego, którego nade wszystko uwielbiał i to uwielbienie w nas wszczepił; od razu zaabonowało nas paru „Prawdę”, co swoją drogą stanowiło niemały wyłom w naszym budźecie; od razu zapoznaliśmy się z nowymi prądami w polskiej literaturze, o które podówczas tak namiętne i gwałtowne walki się w Warszawie toczyły; a niczym to wobec tego, że przywiózł nam *Żywot Chrystusa* Dawida Straussa⁵⁴ i — księgę dla nas zdumiewających rewelacji i doszczętnego wywrotu w całym naszym światopoglądzie — biblię materializmu: *Kraft und Stoff* Büchnera⁵⁵. Dziś żaden z współczesnych nie byłby w stanie zrozumieć tego piorunującego wrażenia, jakie ta książka na nasze młode umysły wywarła. Büchner rozwiązał w niezrównanie łatwy sposób wszystkie zagadki bytu; wytłumaczył, w jaki sposób mózg wytwarza myśli; jak się światy tworzyły; jak wysoce naiwna i dziecinna jest koncepcja bóstwa, a wprost już zabawne pojęcie jakiejś duszy, a w dodatku jeszcze nieśmiertelnej: dusza istnieje, jak długo zasoby fosforu na jej życie wystarczają; w chwili gdy mózg umiera, dusza istnieć przestaje.

Tysiąc innych jeszcze rzeczy, które mózg chłopaków, udręczony rozwiązywaniem najzawilszych zagadek, bezustannie zaprzętały, umiał Büchner szczęśliwie doprowadzić do jednego mianownika: *Kraft und Stoff*⁵⁶, a można sobie wyobrazić, jak rozkosznie uspokajały te nieskończenie naiwne, prostackie wywody chciwą ciekawość dzieciaków, nieobeznanych z najprymitywniejszymi kategoriami filozoficznego myślenia.

Dusza

⁵⁴Strauss, David Friedrich (1808–1874) — niem. pisarz, filozof neoheglista i teolog; w swoim głównym dziele *Das Leben Jesu. Kritisch bearbeitet* (*Życie Jezusa. Opracowanie krytyczne*, 1835) dowodził, że Jezus najprawdopodobniej nie istniał, a *Ewangelie* to zbiór mitów powstałych w I i II w. n.e. na bazie starotestamentowych podań o mesjaszu; uważał jednak, że nie należy z tego powodu zrywać z chrześcijaństwem, które wypracowało wartościowy system moralny (z tym jego poglądem polemizował ostro Friedrich Nietzsche). [przypis edytorski]

⁵⁵Büchner, Ludwig (1824–1899) — lekarz i filozof niem., poprzez swe główne dzieło *Kraft und Stoff* (*Sila i materia*, 1855) stał się popularyzatorem filozoficznego materializmu w okresie pozytywizmu. [przypis edytorski]

⁵⁶*Kraft und Stoff* (niem.) — siły i materii. [przypis edytorski]

I przywiózł nam Rabski Ibsena⁵⁷: *Upiory*, *Wroga ludu*, *Branda* i *Peer Gynta*... Nie pomnę tak wstrząsającego wrażenia, jakie na mnie dramat *Upiory* wywarł, a ponury postulat Branda: „Wszystko albo nic!” — miał odtąd przez długie lata stać się wytyczną mego życia.

Strasznie się zakotłowało poonczas w moim mózgu, a że gleba na przyjęcie tego „trującego zielska” — *fleurs du mal*⁵⁸ — była aż nadto przygotowana, wybujał też ten „chwast”, jak to się poonczas „przekłeta” wiedza nazywała, wybujał niepomrotnie, strzelił wysoką łodygą w górę, a w cieniu jego bogatego listowia dojrzały te wszystkie pierwiastki, z jakich, jak się później dowiedziałem, złożona jest dusza „błędego przestępcy” Nietzschego⁵⁹ — *bleicher Verbrecher* — który *nicuje* wszystkie wartości, rozbija stare tablice, idzie we wszystkim na opak, a co czyni, czyni na odwrót.

*À rebours*⁶⁰!

Na pohybel boskim i ludzkim prawom, nakazom, wszelkim dogmatom: nigdy *Habal Garmin* syna akuszerki nie rozpanoszył się w tak przemożnej sile w mej duszy jak w tym czasie.

Habal Garmin?

Nie — nie! tym razem było to raczej zapłodnieniem duszy. Wielki kabalista, Rabbi Luria⁶¹, stworzył naukę, którą złożył w księdze *Ibbur*. Obca dusza dostaje się do mojej, zespala się z nią, potęguje ją, podnosi lub obniża, jest dla niej niebo- lub piekłowzięciem. Łączyła mnie wówczas gorąca i — u mnie właśnie — rzadka i wyłączna przyjaźń z jednym z moich kolegów, z którym razem mieszkalem, a którego pamięć jest mi nieskończenie droga, dziś jeszcze drży mi ręka, gdy piszę jego nazwisko:

Bolesław Deichsel!

Niezmiernie rzadka wydaje mi się przyjaźń, w której by możność odczuwania do tego samego diapazonu dostrojona była, a właśnie wskutek tego zharmonizowania coraz więcej się potęgowała i zacieśniała, a wciąż świeżymi siłami, przewalającymi się z jednej duszy do drugiej, zapładniała.

I istotnie było każde uczucie w tym nawale nowych, gwałtownych wrażeń, wywołanych doszczętnie „wywrotowymi” naukami i pojęciami, nasiąknięte płomienną jakąś egzaltacją, rozżarzane bezustannymi dysputami i chciwym pragnieniem, by stworzyć jak najwięcej prozelitów; jak doskonale rozumiem tych ludzi, którzy z bohaterską odwagą, łaknącą jakiegośkolwiek męczeństwa, starają się przypiecztować bezwzględną wiarę w swoje przekonania i dogmaty!

Zbrodniarz, Filozof

Przyjaźń

⁵⁷*Ibsen, Henryk* (1828–1906) — dramaturg norweski, początkowo tworzący utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich (*Grób Hunów* 1850, *Peer Gynt* 1867); następnie podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu, w późnej twórczości wprowadzał do swych sztuk elementy symbolizmu; od 1857 r. kierował Norweskim Teatrem Kristiania, później przebywał na emigracji we Włoszech i w Niemczech, zmarł w Christianii, będącej dziś dzielnicą Oslo; oprócz wymienionych, do najbardziej znanych jego dzieł należą dramaty *Nora czyli dom lalki* (1879) i *Dzika kaczką* (1884). [przypis edytorski]

⁵⁸*fleurs du mal* (fr.) — kwiaty zła; także: tytuł tomu poetyckiego z 1857 r. Charlesa Baudelaire’a (1821–1867) fr. modernisty, prekursora symbolizmu i dekadentyzmu, zaliczane go do tzw. „poetów przeklętych”. [przypis edytorski]

⁵⁹*Nietzsche, Friedrich* (1844–1900) — filozof i pisarz niem.; studiował filologię klasyczną, teologię, dzieje Kościoła i historię na uniwersytetach w Bonn i w Lipsku, w latach 1869–1879 był profesorem nadzwyczajnym w katedrze filologii klasycznej uniwersytetu w Bazylei; od 1869 r. *bezpaństwowiec* (wyrzekł się obywatelstwa pruskiego); autor dzieł: *Narodziny tragedii czyli hellenizm i pesymizm*, *Tako rzecze Zaratustra*, *Poza dobrem i złem*, *Wola mocy* i in.; naczelną miejsce w jego filozofii zajmuje kategoria życia (egzystencji, afirmacji istnienia i dążenia do jego pełni) oraz odrzucenie poszukiwania esencji, czyli ukrytego sensu świata (np. sensu zakorzenionego w koncepcji Boga); Nietzsche był krytykiem chrześcijaństwa i ufundowanej na nim kultury zachodniej; postulował natomiast powrót do wartości staroż. kultury greckiej. [przypis edytorski]

⁶⁰*À rebours* (fr.) — na opak, na odwrót; także: tytuł powieści Joris-Karla Huysmansa (1848–1907), fr. pisarza i krytyka sztuki, skandalisty, który w *À rebours* (1884; pol. tłum. *Na wstak*) w osobie gł. bohatera, diuka des Esseintes, sportretował „dekadenta doskonałego”, powieść zyskała rozgłos podczas procesu przeciwko Oscarowi Wilde’owi w 1895 r., ponieważ oskarżyciel odwołał się do niego jako przykładu literatury „sodomicznej”. [przypis edytorski]

⁶¹*Luria Aszkenazi, Izaak ben Szlomo* (1534–1572) — rabin, kabalista, znany jako Ari (ha-Ari); czynny w XVI wieku w Safedzie w Palestynie; nowoczesny nurt mistycyzmu żydowskiego zwany jest od jego nazwiska kabałą luriańską. [przypis edytorski]

Z jaką chciwością wczytywaliśmy się — Deichsel i ja — w pisma Augusta Bebla⁶², z jaką płomienną wiarą wchłanialiśmy w siebie naukę socjalizmu, zaczerpniętą z popularnych niemieckich broszurek, które, nie wiem nawet dziś, jakim cudem sobie sprowadzić zdołaliśmy. A ile razy groziło nam wyrzucenie z gimnazjum, boć przecież naszą maksymą stało się wtedy Branda: „Wszystko albo nic!”

A silniejszą jeszcze żagiew od teoretycznej propagandy socjalizmu w częstokroć krwiożerczych broszurkach wrzucił w nasze rozgorączkowane serca Zola! *Germinal*, *l'Assommoir*, *Nana*, *l'Oeuvre* wywoływały w nas tak potężne wrażenie, żeśmy dniami całymi chodzili jak błędni i ślubowali sobie, że już wszystkie siły, życie całe sprawie robotniczej poświęcimy.

A nie pomnę szczytniejszego obchodu Wigilii Bożego Narodzenia nad tę wigilijną noc, w którejśmy od wieczora do rana samego pierwszego święta jednym tchem przeczytali *Winę i karę*⁶³ Dostojewskiego.

Przez cały następnny dzień nie byliśmy w stanie do siebie przemówić, zdawało nam się, żebyśmy sprofanowali to olbrzymie wrażenie, jakie ten twór na nas wywarł, gdybyśmy o nim mówili.

Ile w tym wszystkim pięknej, rozegzaltowanej mocy, ile płomienistej siły i wiary w jakąś świetlistą, słoneczną przyszłość ludzkości, rządzonej jedynym prawem bezwzględnej sprawiedliwości, równości i braterstwa!

*Oh, n'y pouvoir, n'y vouloir mourir, un peu!*⁶⁴

Jak dziś widzę zdumioną i szczerze zafrasowaną twarz profesora Niemca, który wykladał historię, gdy Deichsel począł na lekcji rozwijać swoje poglądy na rewolucję francuską w oświeceniu socjalisty Blosa⁶⁵! Gdyby poczciwy profesor Frenzel, swoją drogą najświetlejszy i najwięcej ludzki między profesorami, jakich w ogóle zaznałem, nie był się nami oboma już od dawna gorąco interesował, nie byłaby kochanemu Bolesiewi jego apologia rewolucji na sucho uszła.

Ale Deichsel był tylko pięknym, cieplarnianym kwiatem. Zaledwie rozkwitł pierwszą swoją wiosną, śmierć go ścięła. W mej pamięci żyje gdyby⁶⁶ jakiś wytworny Huysmansowski *Certain*, który zawsze miał wiele więcej do powiedzenia niż tytuł i tytuł literatów razem, a jeżeli nic nie powiedział innym, cóż z tego? wszak ja kiedyś majaczyłem o „jedynym dla jedynego” — w Deichslu ziściła się moja tęsknota, a może i jego we mnie.

Z Rabskim łączyła mnie gwałtowna, ale krótka przyjaźń; możliwe, że obok Deichsla nie było miejsca w mym sercu dla kogokolwiek innego, możliwe, że już wówczas dla bystrego oka pozytywisty, jakim Rabski miał już całe życie pozostać, kierunek, jaki moja dusza już dawno wtedy obrała, stał się od razu antypatyczny i odtrącił go ode mnie, bo przecież później nie zwalczał Rabski niczego z taką zaciekłością, jak „przybyszewszczyzny” — tego „dlaczego” i „czemu”, by dojść do źródła tych przyczyn, nigdy nie byłem w stanie zrozumieć — dość, że gdyśmy się znowu spotkali na uniwersytecie w Berlinie, byliśmy już sobie całkiem obcy.

A jednak z prawdziwą wdzięcznością wspominam Rabskiego — przeleciał przez moje życie twórcze jak nagły, olśniewający meteor. On sam prawdopodobnie nie wie ani nie zdaje sobie z tego sprawy, jaką rolę w mojej umysłowości odegrał — nie to, by mnie zapłodnił, ale srebrnym medalikiem, jakim obdarzył moją duszę, wzbogacił ją już tym samym, że na drodze mego życia chwilkę przystanął; uświadomił w niej dużo rzeczy, które by pewnie jeszcze długo na uświadomienie czekały, przyśpieszył rozwój mej duszy,

Idealista, Słowo, Książka,
Literat, Robotnik

Dusza, Spotkanie, Chrzt

⁶² *Bebel, August Ferdinand* (1840–1913) — jeden z założycieli, a następnie wieloletni przywódca niemieckiej partii socjaldemokratycznej (SPD), działacz II Międzynarodówki; autor wielu prac społeczno-politycznych, m.in. *Die Frau und der Sozialismus* („Kobieta i socjalizm”) oraz *Aus meinem Leben* („Z mojego życia”). [przypis edytorski]

⁶³ *Wina i kara* — ros. *Преступление и наказание* (Priestuplieniye i nakazaniye) w przyjętym tłumaczeniu na polski: *Zbrodnia i kara*, powieść Fiodora Dostojewskiego z 1866 r. [przypis edytorski]

⁶⁴ *Oh, n'y pouvoir, n'y vouloir mourir, un peu* (fr.) — fragm. z wiersza Paula Verlaine'a (1844–1896) *Langueur* („Niemoc”) właśc. zapis: *O n'y vouloir, ô n'y pouvoir mourir un peu!*; w tłum. Z. Przesmyckiego-Miriama: „O, nie chcieć, o i nie móc umrzeć chociaż nieco!”. [przypis edytorski]

⁶⁵ *Blos, Wilhelm* (1849–1927) — dziennikarz, historyk (autor m.in. publikacji *Die französische Revolution* (*Revolucja francuska*, 1888), powieściopisarz i dramaturg niem., działacz partii socjaldemokratycznej (SPD), członek parlamentu (Reichstagu) 1877–1918, pierwszy prezydent (w l. 1918–1920) nowo powstałego Wolnego Państwa Ludowego Wirtembergia. [przypis edytorski]

⁶⁶ *gdyby* (daw.) — tu: jak gdyby, niby, jak. [przypis edytorski]

który odtąd tak gwałtownie przybrał rozmiary, że z chwilą gdy wstępowałem na uniwersytet, dokładnie już drogę znałem, wiedziałem, czego chcę i dokąd pójdę.

Aha! Od Rabskiego dowiedziałem się po długim czasie bliższych szczegółów o Kasprowiczu. Rabski kolegował z nim przez dłuższy czas w Gimnazjum Panny Marii w Poznaniu, zdaje się, że zbliżyli się w tym czasie do siebie, a może nigdy nie mówił Rabski o nikim z taką czcią, jak o swoim starszym koledze — Kasprowiczu.

W jego opowiadaniach wyrósł Kasprowicz na jakąś bogatą złotą legendę, na olbrzyma, wobec którego Rabski czuł się mały i pokorny: „Na moje wiersze” — żalił się Rabski przede mną — „machnął tylko ręką”.

„Cóżby dopiero był powiedział Kasprowicz na moje wiersze!” — pomyślałem z lękiem, boć i ja wówczas wiersze pisałem!

Rabski chciał przemówić nad grobem Deichsla, ale policja pruska, obecna wówczas przy narodzinach, ślubach, pogrzebach itd., nie pozwoliła na to.

Na chwilę muszę się cofnąć wstecz⁶⁷.

Jak już powiedziałem wyżej, nie znam w życiu moim żadnej przypadkowości: wszystko rozwijało się w nim z jakąś nieubłaganą, żelazną logiką — nie ma w nim nawet najbliższego zdarzenia, które by nie było aż nazbyt obfite w skutki, doniosłością swoją niestojące w żadnym stosunku z drobnuteńkim na pozór przeżyciem.

W gimnazjum węgrowskim odbył się raz popis starszych uczniów — był to rodzaj koncertu, w którym i ja miałem występować, bo w małym miasteczku dawno się już rozniosło, że tu i ówdzie, gdziekolwiek się u jakiegoś z moich współuczniów znalazł fortepian, „wyrąbywałem” z ogromnym rozmachem Szopena.

Opierałem się, bo nie mogłem sobie wyobrazić większej męczarni nad występ publiczny — zdawało mi się, że spalę się ze wstydu, gdy się tylko ukażę na „estrady” — ale wola profesora rysunków i śpiewu miała zdecydować nie tylko o konieczności mego współudziału w koncercie, ale poniekąd rzucić ostry cień w moją przyszłość.

Ranek sam nie zapowiadał nic dobrego: gdy w się obudziłem na moim poddaszu u jakiegoś krawczyzny — który miał tę zdumiewającą właściwość, że jeżeli w niedzielę się upił, to dopiero w piątek chorował, a przez sobotę i niedzielę klin klinem wybijał — ujrzałem na mojej koldrze warstwę śniegu, bo dach był dziurawy, po południu zaś skonstatowałem, że mi lewa ręka wskutek odmrożenia napuchła, a pod wieczór byłem już w największej rozpaczy.

Jak się znalazłem na estradzie i przy fortepianie, tego już dzisiaj nie rozumiem — może być, że wlał we mnie cokolwiek otuchy kolega mój, Napoleon Rutkowski, twórca pięknej piosenki, znanej dziś w całej Polsce, do słów Tetmajera: *Mów do mnie jeszcze*, z którym na pierwszy ogień grałem na cztery ręce *Drugą Rapsodię* Liszta, a już potem — ośmielony i oklaskami wywoływany — zagrałem własną (!!) kompozycję.

Na drugi dzień otrzymałem zaproszenie do domu bogatych Żydów, Seligsohnów, bym dwóm paniąkom udzielał lekcji muzyki na fortepianie.

Odtąd począłem utrzymywać się z lekcji muzyki. To by oczywiście nie miało żadnego znaczenia, ale wdowa pani Seligsohn krótko przed moją maturą przeniosła się do Berlina, a gdy w przyjechał na uniwersytet berliński, dowiedziała się o tym zaraz od krewnych swoich w Wągrowcu i najserdeczniej zaprosiła do swego domu. I tu poznałem bardzo ciekawego człowieka, niezwykle inteligentnego lekarza, człowieka o szerokim intelektualnym zakroju, dra Maxa Ascha.

Więcej artysta aniżeli lekarz, od razu gorąco mną się zainteresował, nie tylko to: przyłnął wprost do mnie, a nasze pierwsze poznanie skończyło się na tym, żeśmy w gorącej dyspacie przewędrowali dobre dwie godziny z placu Belle-Alliance, aż het, na północ, poza Wedding, gdzieś u jakiegoś wiecznie pijanego *Steinrägera*⁶⁸ odnajmował izdebkę.

A i terazniejszy minister oświaty, Stanisław Grabski⁶⁹, miał parę lat później wyrzucić na tym dziwnym lekarzu wielkie wrażenie. Grabskiego trapiło zapalenie okostnej, utworzył się bolesny wrzód — zaprowadziłem go do Ascha. Asch wrzód przeciął, a potem

⁶⁷ *cofnąć się wstecz* — błąd logiczny: czasownik „cofnąć się” dotyczy ruchu wstecz (fizycznego, a w użyciu przenośnym również we wspomnieniu, opowiadaniu itp.). [przypis edytorski]

⁶⁸ *Steinräger* (niem.) — kamieniarz; tragarz kamieni. [przypis edytorski]

⁶⁹ *Grabski, Stanisław* (1871–1949) — działacz socjalistyczny, później związany z endecją, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego (wycofał się z polityki po przewrocie majowym). [przypis edytorski]

wywiązała się między lekarzem a jego pacjentem gorąca dysputa o *Krytyce czystego rozumu* Kanta, która parę godzin trwała, aż wreszcie wyczerpany Asch — Grabski był lepszym dialektykiem od niego — zwrócił się do mnie z tymi słowami:

— *Der intelligenteste deutsche Jüngling ist ein armer Waisenknabe im Vergleich mit Eurer polnischen verdammten intellektuellen Frühreife!*⁷⁰

Pamiętasz to, panie Stanisławie?

Swoją drogą mierzył się dwudziestoletni Grabski już wówczas w sztuce dialektyki z nie byle kim, bo z Ignacym Daszyńskim⁷¹, zdaje się drugim redaktorem z rządu berlińskiej polskiej socjalistycznej „Gazety Robotniczej”⁷², którą miałem niezadługo po Grabskim — (trzecim redaktorze) — objąć.

Skarżył mi się Grabski, że jednak Daszyńskiemu sprostać nie może, a czasem go takie zwątpienie ogarniało, że myślał o wyjeździe do Ameryki, by tam dzikie konie ujeżdżać. Ponoć był świetnym jeźdźcą, co mu nie przeszkadzało zaorywać się z wściekłą namiętnością w filozofii i ekonomii społecznej, a raz w zdumienie wprowadził nas — garść studentów, którzy utworzyli w Berlinie kółko socjalistyczne, później przez policję berlińską sromotnie rozbite — zabójczym zbijaniem teorii Marksa-Lassalle’a.

To jedno szczerze powiedzieć muszę, że, patrząc długą drogą mego życia wstecz, nie spotkałem wśród młodego pokolenia młodzieńca o tak jasnej, zdecydowanej, fascynującej fizjonomii duchowej, jak Stanisław Grabski.

Grubo musiał się z nim liczyć „Przedświt” londyński⁷³ — ostoja Mendelsoń⁷⁴, Jankowskiej⁷⁵, Jodko-Narkiewicza⁷⁶; frakcja socjalistyczna polska w Berlinie z Morawskim i Berfusem na czele bezwzględnie mu podlegała i we wszystkim szła za jego wolą, a nawet często ulegając kategorycznym rozkazom; i byłem istotnie zdumiony, z jaką ogromną

⁷⁰*Der intelligenteste deutsche Jüngling ist ein armer Waisenknabe im Vergleich mit Eurer polnischen verdammten intellektuellen Frühreife* (niem.) — Najinteligentniejszy niemiecki młodzieniec nie umywa się do waszej polskiej przeklętej przedwczesnej dojrzałości intelektualnej; *gegen jdn der reinste Waisenknabe sein* (niem., pot.): nie umywać się do kogoś. [przypis edytorski]

⁷¹*Daszyński, Ignacy* (1866–1936) — współzałożyciel Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, działacz PPS; w latach 1897–1918 poseł do parlamentu wiedeńskiego, premier rządu lubelskiego w roku 1918; od 1919 r. poseł na sejm II Rzeczypospolitej, marszałek sejmu w l. 1928–1930. [przypis edytorski]

⁷²„*Gazeta Robotnicza*” — założone w Berlinie 3 stycznia 1891 r. przez polskich socjalistów działających w socjaldemokracji niemieckiej (SPD) czasopismo, organ partii socjalno-demokratycznej, następnie socjalistów polskich, a od 1901 r. PPS jako „Pismo poświęcone sprawom polskim ludu pracującego w zaborze pruskim”; ukazywało się w l. 1891–1948, od 1901 r. redakcję przeniesiono na Śląsk, do Katowic; redaktorem naczelnym został mianowany Władysław Kurowski, następnie Franciszek Morawski (od 1892), Ignacy Daszyński i Stanisław Przybyszewski. [przypis edytorski]

⁷³„*Przedświt*” — polskie czasopismo emigracyjne o orientacji socjalistycznej, ukazujące się w l. 1881–1905 w Genewie (przekształcone z wydawanego tu od 1879 r. pisma „Równość”), Lipsku, Londynie, Paryżu, zaś od 1907–1920 w Krakowie, Lwowie, Warszawie; londyński okres „Przedświtu” przypadł na lata 1891–1902, redaktorem naczelnym był wówczas Stanisław Mendelson (1857–1913), później Witold Jodko-Narkiewicz (1864–1924), a następnie Leon Wasilewski (1870–1936). [przypis edytorski]

⁷⁴*Mendelson, Stanisław* (1858–1913) — początkowo działacz socjalistyczny; w 1880 r. jeden z oskarżonych w procesie socjalistów w Krakowie (obok Ludwika Waryńskiego i 34 in. działaczy), więziony przez władze pruskie w l. 1882–1884, współzałożyciel II Proletariatu (1888) oraz PPS (1892), w 1893 wystąpił z PPS na tle konfliktu z SDKPiL, zw. z ruchem ludowym w Galicji. Pierwszą jego żoną była działaczka socjalistyczna Maria Jankowska-Mendelson (1850–1909), drugą, od 1912 r. Maria Sokołowa, córka Nahuma Sokołowa, jednego z liderów ruchu syjonistycznego; pod koniec życia współpracował z żydowskim czasopiśmie „Przegląd codzienny”, podejmując publicystyczną walkę z endecją. [przypis edytorski]

⁷⁵*Jankowska-Mendelson, Maria* (1850–1909) — z domu Zaleska, 1° voto Jankowska, 2° voto Mendelsonowa, działaczka socjalistyczna, współzałożycielka kółek socjalistycznych w zaborze pruskim, publicystka i pisarka, współtwórczyni I Proletariatu (1882), finansowała „Przedświt” w okresie redagowania go przez Mendelsoń. [przypis edytorski]

⁷⁶*Jodko-Narkiewicz, Witold* (1884–1924) — działacz PPS, współpracownik Józefa Piłsudskiego, współtwórca odłamu PPS-Frakcji Rewolucyjnej; publicysta, dyplomata, pracownik polskiego MSZ, należał do czwórki polskich delegatów (obok Romana Dmowskiego, Ignacego Jana Paderewskiego i Władysława Grabskiego), którzy złożyli podpis pod traktatem wersalskim, w r. 1920 jako polski delegat rządu na placówce dypl. w Konstantynopolu, potem w Rydze; jako współpracownik „Przedświtu” londyńskiego (do 1905 r.) używał pseud.: A. (Aleksander) Wroński. [przypis edytorski]

ciekawością wysłuchiwał i stary Liebknecht⁷⁷, i August Bebel⁷⁸ jego wywodów, rąbanych łamaną francuszczyzną. Zdumiony byłem? nie! raczej uradowany, boć jego program był już od dawna moim programem: całą socjalistyczną agitację przerzucić na Górny Śląsk, a poniechać doszczętnie jałowej pracy w Wielkopolsce.

A tymczasem stałem się dla Ascha całkiem niezbędny, nie było dnia, w którym by do mnie nie zachodził lub do swojego bogatego domu nie zapraszał.

Pisałem wtedy pracę o mikroskopijnym ustroju rdzenia pacierzowego, którą się niezmiernie zainteresował, a za którą — nawiasem mówiąc — otrzymałem stypendium imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

Ostatni czas mego pobytu w gimnazjum węgrowskim zaznaczył się — podczas zdawania matury — zdumiewającym faktem, który tak mną do głębi wstrząsnął, że podstawy, zdobyte nauką pozytywizmu i materializmu, na wszystkie strony chybotać się zaczęły, by niezadługo całkiem w gruzy się rozpaść.

Nie było w całej klasie gorszego matematyka ode mnie. Z ciężkim trudem opanowałem formułki trygonometryczne i stereometryczne, ale w żaden sposób nie umiałem ich zastosować przy rozwiązaniu matematycznych zadań.

Na dobitkę bardzo — może zbyt bardzo — był mi przychylny profesor matematyki, pan Rychlicki. Wiedział aż nadto, że wszystkim się zajmowałem, tylko nie matematyką, a ponieważ znał moje fatalne położenie materialne i wiedział, że moje nieuctwo może mnie z nóg ściąć podczas matury, więc chwycił się najostrzejszych środków. Twierdził stanowczo, że człowiek niemający pojęcia o matematyce jest prostym osłem, a ja mu udowodniłem, że chyba największym osłem był Goethe, który już nie miał całkiem najmniejszego pojęcia o matematyce; toteż można sobie wyobrazić, z jaką rozpaczą, a święcie jestem przekonany, z większym jeszcze niepokojem wyczekiwał profesor Rychlicki tego, co to teraz będzie? Byłby mi mógł dotychczas nieznacznie utrudniać przejście z jednej klasy do drugiej, ale zamykał na wszystko oczy — teraz jednak — nie sposób! On i ja wyczekiwaliśmy rezultatu piśmiennego egzaminu, jako doszczętnie straconej placówki.

Wiedziałem więc, że bezwzględnie na egzaminie przepadnę i matury nie zdam, i już wytknąłem sobie plan na przyszłość: chciałem pójść do seminarium nauczycielskiego, zostać nauczycielem ludowym, zarobić trochę grosza, dostać się do konserwatorium muzycznego w Lipsku, skąd właśnie powrócił syn nauczyciela ludowego i sam ludowy nauczyciel, późniejszy profesor muzyki w Inowrocławiu i Bydgoszczy, Stanisław Ogórkowski, i już się całkiem muzyce poświęcić.

Bóg inaczej pokierował, a fakt, który opowiem, wkracza już w dziedzinę okultyzmu. Stała się rzecz zdumiewająca.

Dwie godziny błąkałem się z Bolesiem Deichslem nad Durowskim Jeziorem w ciężkiej i bolesnej rozterce, bo żadnego wyjścia nie było, nie można było dla mnie nawet marzyć o zdaniu matury.

Nagle Deichsel:

— Słuchaj! Pieniązek — (dziś dziekan gdzieś w Wielkopolsce) — ma zadania z dawniejszych matur, parę przerobimy: może jakieś zadanie się powtórzy.

I poszliśmy do Pieniązka. Wyciągnął na chybił trafił zadania z egzaminów sprzed pięciu czy sześciu laty, i tak caluteńka noc zesza nad przepracowaniem tych zadań, choć nie rozumiałem dobrze, jaki mógł być w tym cel.

Kiedym rano szedł do egzaminu, widziałem już siebie w seminarium dla nauczycieli ludowych, szedłem zrozpaczony i jak na ścieżce: *Dormez tout espoir*⁷⁹ — Widzę, jak p.

⁷⁷Liebknecht, Wilhelm (1826–1900) — uczestnik Wiosny Ludów we Francji (w Paryżu) oraz w Badenii; nawiązał kontakty z F. Engelsem i K. Marksem, członek organizacji komunistycznej na emigracji w Londynie oraz Powszechnego Niemieckiego Związku Robotniczego (ADAV) Ferdinanda Lassalle'a; współzałożyciel wraz z Augustem Beblem niem. socjaldemokratycznej partii robotniczej (SPD), od 1891 r. redagował centralny organ SPD „Vorwärts”. [przypis edytorski]

⁷⁸Bebel, August Ferdinand (1840–1913) — polityk socjalistyczny, pisarz i mówca; w 1869 r. jeden z założycieli socjaldemokratycznej partii SDAP (*Sozialdemokratische Arbeiterpartei*), która w 1875 połączyła się z ADAV (*Allgemeiner Deutscher Arbeiterverein*) F. Lassalle'a w SAPD (następnie SPD); na czoło działaczy socjalistycznych wysunął się w okresie obowiązywania Bismarckowskich ustaw antysocjalistycznych (1878–1890); był przywódcą SPD od 1892 aż do swej śmierci; autor poczytnej książki *Kobieta i socjalizm*. [przypis edytorski]

⁷⁹*dormez tout espoir* (fr.) — porzucenie wszelką nadzieję; w tłumaczeniu na fr. początek napisu nad bramą piekła w *Boskiej komedii* Dantego: w oryg. *lasciate ogni speranza, voi ch'entrate* (porzucenie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie). [przypis edytorski]

Rychlicki wchodzi na katedrę, rozrywa pieczęcie koperty, w której były podkreślone te zadania, jakie nam rozwiązać kazano, i — stał się cud:

Pierwsze, drugie, trzecie, czwarte zadanie — Jezus Maria! Zimny pot wystąpił mi na czoło, a ręce się tak trzęsły, że nie byłem prawie w stanie tych zadań napisać: wszystkie cztery przerobiłem jak najdokładniej tej nocy, a nigdy w życiu nie byłbym w stanie ich przerobić bez pomocy Deichsla i Pieniązka — tylko na piąte mogłem już machnąć ręką, bo trzy wystarczyły, by uzyskać stopień dostateczny.

Trwało to długie pół godziny, zaczem⁸⁰ już z łatwością zabrałem się do rozwiązywania zadań.

A nigdy w życiu nie widziałem radośniejszego zdumienia na obliczu jakiegoś człowieka, jak to, które ujrzałem na twarzy profesora Rychlickiego.

Niepojęta, tajemnicza moc rozstrzygnęła o moim losie. Nigdy nie byłbym uzyskał matury, bobym nigdy nie był w stanie samodzielnie jakiegoś matematycznego zadania rozwiązać.

Może to przypadek? He, he — takich przypadków nie ma — i doskonale już wtedy zrozumiałem, że to nie przypadek. Nie uświadomiłem sobie na razie doniosłości tego „cudu”, ale zarył mi się tak głęboko — na razie nieświadomie — w moją duszę, że od tego czasu przestał wierzyć w „przypadki” i już z całkiem innego stanowiska jałem się patrzeć na bieg mego życia.

VII

Zdałem maturę.

A więc nie potrzebowałem wstąpić do seminarium nauczycielskiego — mogłem się już teraz swobodnie poświęcić architekturze!

Gotyk, gotyk, gotyk!

Zbudować jakąś przepiękną świątynię gotycką, potężniejszą od tych wszystkich gotyków, które widziałem w Toruniu i w Gdańsku, potężniejszą od tej boskiej, niesłychanej gdańskiej Katedry Św. Marii, takim był przeskok od mikromanicznego postanowienia, by zostać ludowym nauczycielem, a w najlepszym razie profesorem muzyki w Inowrocławiu lub Bydgoszczy, do megalomanicznych projektów jakiegoś „bygmestra Solnessa⁸¹”.

Wyobrażam sobie zdumienie jednego z najgłębszych znawców gotyku, profesora Schafera w politechnice charlottenburskiej pod Berlinem, gdy zobaczył nazwisko studenta pierwszego semestru na liście studentów, którzy kurs gotyku dopiero w piątym semestrze rozpoczynali.

Uśmiechnął się nasamprzód ironicznie, nic nie mówił, ale potem często gęsto spoglądał w tę stronę, gdzie nie „student”, ale namiętnie pragnący, zląkniiony inicjacji, najpokorniejszy z pokornych uczeń wchłaniał w siebie każde jego słowo, z wypiekami na twarzy, płonącymi oczami wsłuchiwał się w tę przedziwną gęźbę o tajemnicach gotyku.

Mówił o katedrach w Norymberdze, św. Wawrzyńca i Sebaldusa, mówił o Liebfrauenkirche, a z prawdziwym entuzjazmem mówił o gotyku w małych miasteczkach Bawarii i Wirtembergii, a głównie o Rothenburgu ob der Tauber, które on pierwszy „odkrył”.

A może to znowu przypadek, że po dwudziestu pięciu latach miałem przeżyć wraz z żoną moją Jadwigą najpiękniejsze lata naszego życia właśnie w Norymberdze i Rothenburgu, gdzieśmy przez pięć lat z rzędu po parę miesięcy spędzali?

Ale to nie tylko to: przez cały semestr wędrowałem z nim razem po katedrach francuskiego gotyku — północna Francja, a nie Niemcy, jak to chciał Goethe, jest ojczyzną gotyku — a zanim miałem po kilku latach ujrzeć te cuda na własne oczy, znałem już nawet w drobnych szczegółach za pomocą wspaniałego materiału reprodukcyjnego katedry gotyckie w Chartres, Amiens, Orleanie, poznałem dokładnie ukochaną już od chłopięcych lat *Notre Dame* paryską, kiedyś to jeszcze tak namiętnie czytywał się w Wiktora Hugo, (a może właśnie *Notre Dame* jest jego najwspanialszym tworem?), a ponieważ równocześnie czytywałem się w dzieła, traktujące o symbolice w sztuce chrześcijańskiej — a miałem ci ja niezrównanego znawcę tej sztuki jako inicjatora: prof. Adlera, więc

⁸⁰zaczem (daw.) — po czym, a następnie. [przypis edytorski]

⁸¹*Bygmester Solness* — *Budowniczy Solness*, sztuka Henryka Ibsena, opublikowana w grudniu 1892 r. w Kopenhadze, wystawiona w 1893 r. w Berlinie. [przypis edytorski]

głębiej i głębiej począłem wnikać w zdumiewające tajemnice tej najgłębszej *ezoterycznej* nauki Kościoła, więcej niż „ukrytej”, bo pisanej kamieniami.

Czym są sakralne hieroglify egipskie, czym okultyzm ksiąg Tota⁸², złożony w tajemniczych kartach dużych i małych arkanów cygańskiego Tarota⁸³, wobec tej przepastnej tajemnicy, jaka się w tej mowie kamieni ukrywa i pewno nigdy na jaw wydobyta nie zostanie.

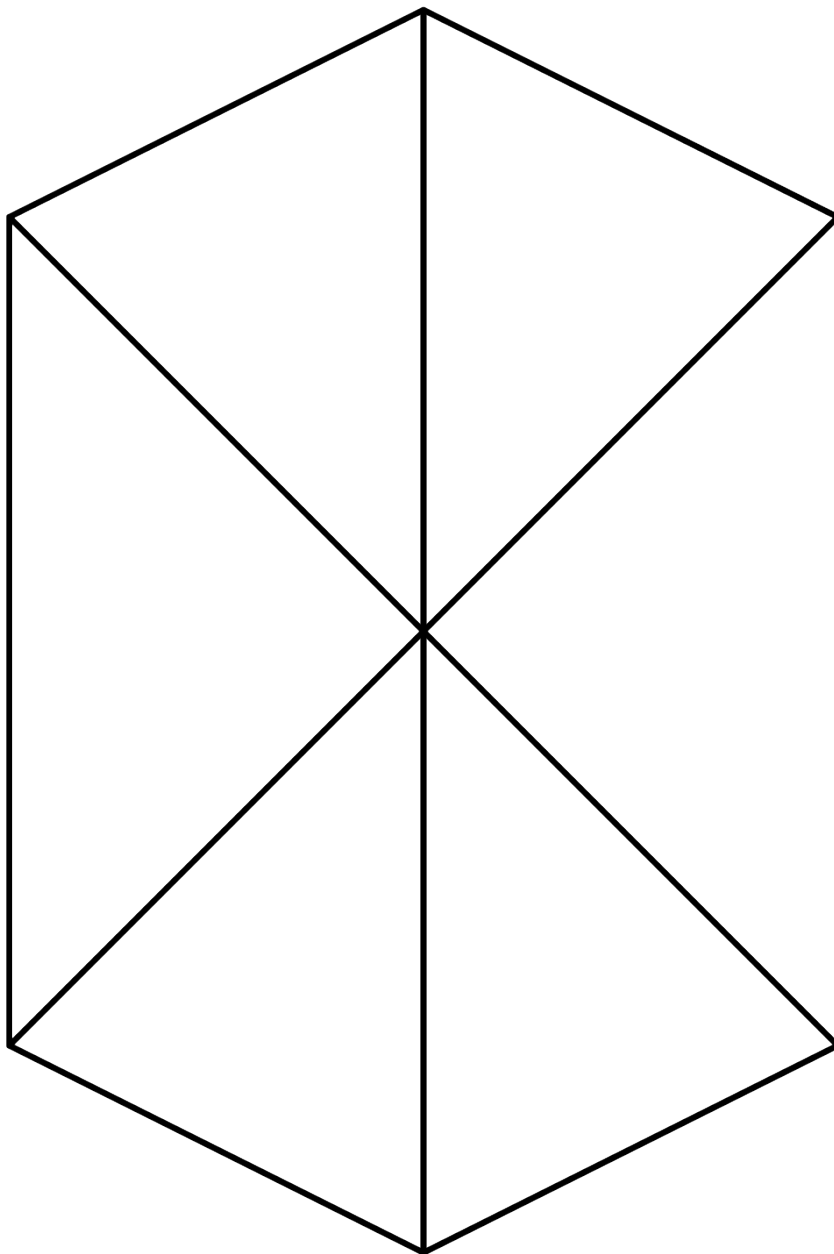
Znamy zaledwie parę głosek tego kamiennego alfabetu. Tarot egipski znalazł tłumaczy — Raymunda Lulle, Cardanusa, Postela, Eteilla, Papusa. Gotyk daremnie czeka jeszcze na równie wnikliwych, niesłychaną intuicją obdarzonych rewelatorów — coś nie coś przewidują współcześni alchemicy w symbolach, porozsypywanych na tajemniczej wieży w Paryżu: „Tour St. Jacques” w nierozwiązanych zagadkach, pomieszczonych w symbolicznych postaciach, ale czym jest odcyfrowanie paru zgłosek wobec tajemnicy tej olbrzymiej księgi, wyrażającej *całe życie uniwersalne*: i „*natura naturans*” i „*natura naturata*”, stosunek człowieka do Wszechnatury, Wszeczycia i Bóstwa, a równocześnie uzmysławiającej hermetyczny ustrój natury człowieka i analogię tego ustroju z ustrojem Wszeczeświata!

Małeńki tylko przykład:

Spojrzyjcie na pierwotne sklepienie gotyku, a otrzymacie figurę żebrowania, dającą się wyrazić w tej formie:

⁸²Tot a. *Thoth* — egipski bóg mądrości, uosobienie Księżyca; bóg-stwórca, wynalazca pisma egipskiego (hieroglifów), liczb, kalendarza, arytmetyki, geometrii, muzyki i rysunków; patron pisarzy oraz ludzi nauki i sztuki. [przypis edytorski]

⁸³tarot a. *tarok* (wł.) — dawna gra karciana bądź talia do niej, używana również do wrózenia; tu: cała tradycja związana z tymże wrózeniem, odwołująca się do symboliki kabalistyki i okultyzmu. [przypis edytorski]



Znacie szafir? Ten tajemniczy kosztowny kamień, który w nauce okultystycznej uchodzi za „kryształową pieczęć niebios”?

Otóż jeżeli trzymasz okrągło oszlifowany, przejrzysty kamień szafiru pod intensywne światło słoneczne, wtedy można dokładnie zauważyć „asteryzm”, to znaczy sześciopromienny, gwiazdzisty blask światła.

I, aby wniknąć w u krytą tajemnicę tej „kryształowej pieczęci”, trawili całe życie alchemicy średniowieczni, bo wiedzieli, że w „szafirze” tkwi „magnum magisterium” — kamień mądrości, a kto rozwiąże zagadkę szafiru, posiadzie to „magisterium”, bo tak powiedział Ezechiel I, 26 w *Starym Testamencie*:

„A nad utwierdzeniem, które wisiało nad ich głowami, jako pozór kamienia »szafiru«, podobieństwo stolice, a na podobieństwo stolice, podobieństwo jako osoba człowiecza na niej”.

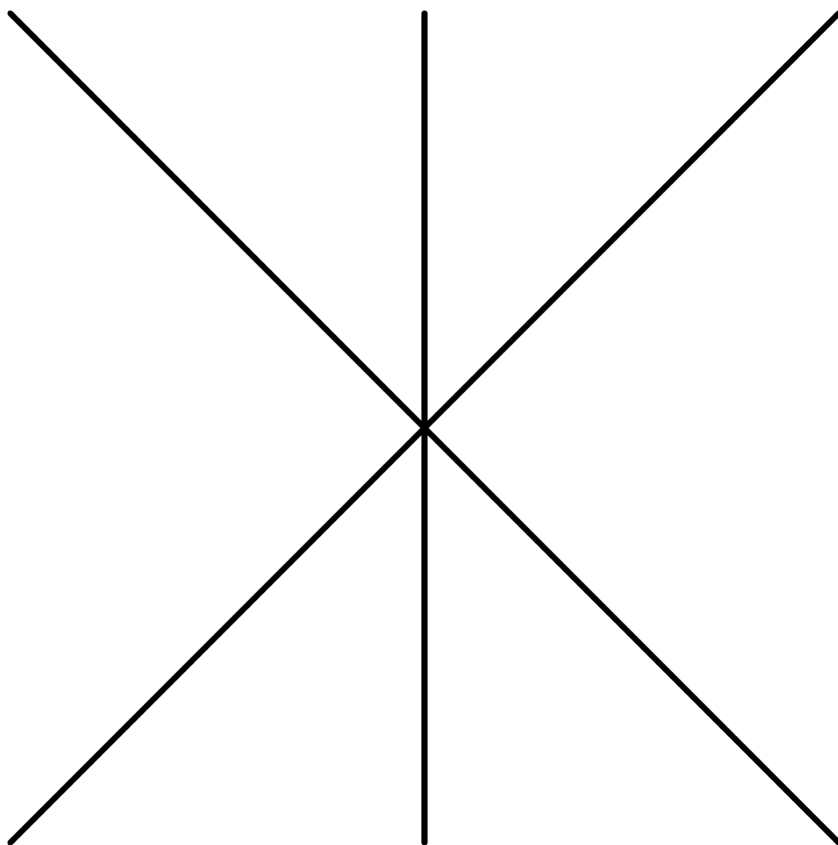
A w drugiej Księdze Mojżesza XXIV, 10 czytamy:

„Uyźrzeli *Boga* Irrachowego, a pod nogami jego jako robota kamienia *szafirowego*, a jako niebo, gdy pogodne jest”;

a czytajcie Izajasza⁸⁴ 54, 11:

„Ubożuchna od burzy rozbita, bez żadnej pociechy. Oto je posadzą porządnie kamienie twoje, a założą cię na *szafirach*”.

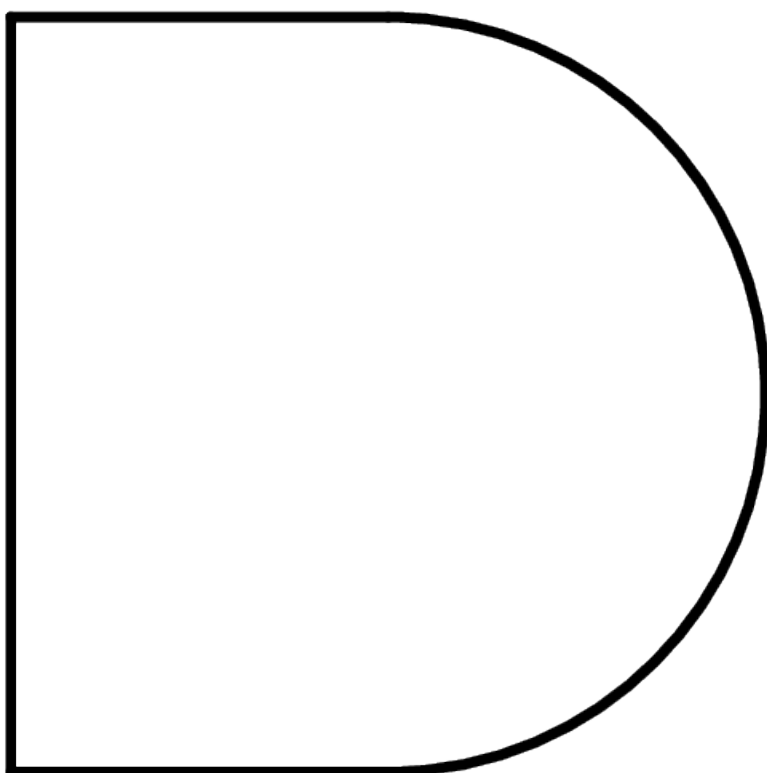
Ta „ezoteryczna” figura łamania się promieni w czysto oszlifowanym szafirze, znana już w najodleglejszej epoce rasy aryjskiej:



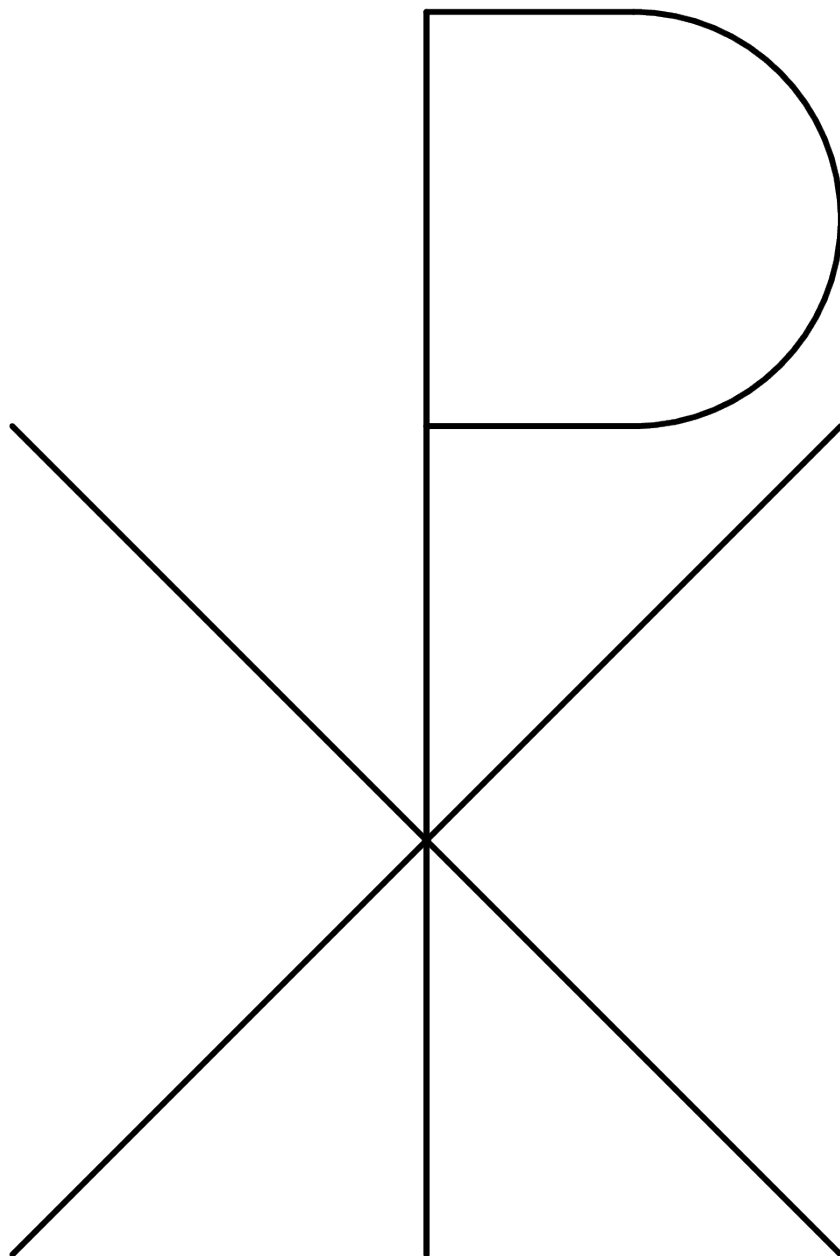
Ta figura, w której pierwsi chrześcijanie prostopadłej kresce dodali w labarum⁸⁵ Konstantego Wielkiego:

⁸⁴Izajasza 54, 11 — w odniesieniu do Nowej Jerozolimy: „O nieszczęśliwa, wichrami smagana, niepocieszona! Oto Ja osadzę twoje kamienie na malachicie i fundamenty twoje na szafirach” (tłum. wg. Biblii Tysiąclecia). [przypis edytorski]

⁸⁵labarum — sztandar legionów rzymskich (*vexillum*) używany wtedy, gdy wojsku towarzyszył cesarz: czworokątna, purpurowa chorągiew imperium na poprzecznej belce, ozdobiona u dołu ze złotymi frędzlami, a na górze pierwotnie podobizną orła (jako symbolu Jowisza), a później, od czasów Konstantyna Wielkiego chryzogramem złożonym z liter *chi* i *rho*. [przypis edytorski]



greckie *rho*, by z tego szafiru udowodnić ziszczenie się proroctwa Izajaszowego, jako, że Bóg kamienie rozbitego świata usadził „porządnie” i założył na „szafirach”, została przekształcona na symboliczny znak:



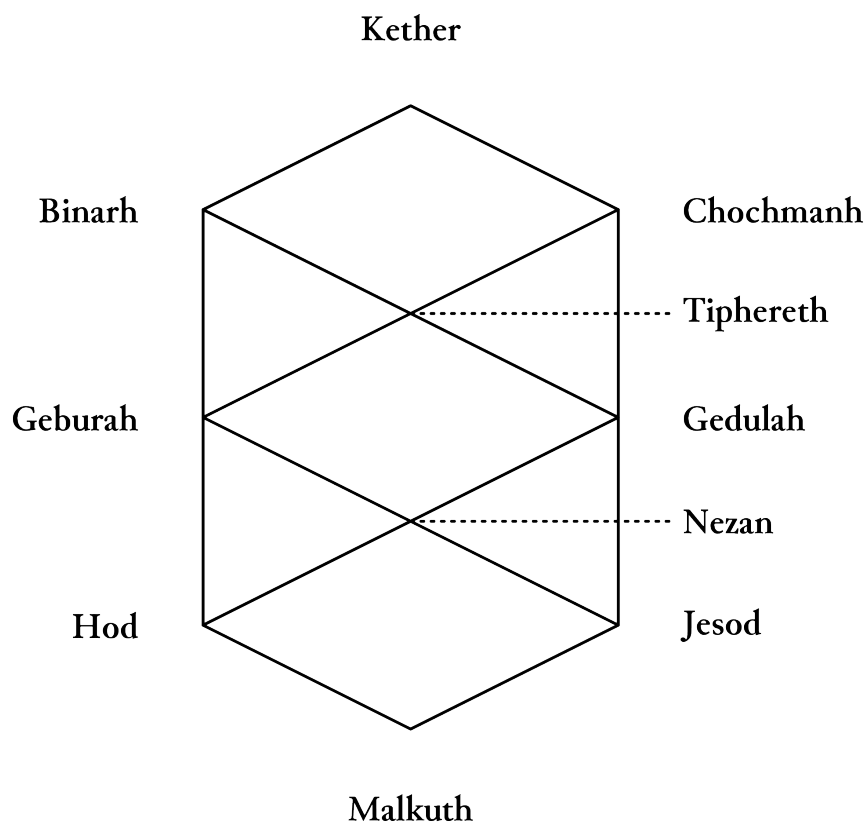
X — P — *istos Christos*:

Najwięksi geniusze ludzkości, budowniczy gotyku, czytali inaczej *Stary Testament*, jak my go czytamy, a przeważnie nazwisk ich nie znamy, byli zbyt potężni, by ich cokolwiek „sława” ludzka mogła obchodzić, tak jak nie obchodziło żadnego wtajemniczonego alchemika złoto, które mógł robić, ile mu się podobało. Gdyby więc człowiek był w stanie jakieś sto wieków poświęcić na odczytanie ukrytej wiedzy, złożonej w *Biblii*, jak to

uczynił Fabre d'Ollivet⁸⁶, gdy 40 lat użył na odczytanie li tylko paru rozdziałów *Genesis*, może by mógł już swobodnie gotyk rozumieć.

Ale geniusz-objawiciel, który kamieniami przemawiał, rozbił nie tylko pieczęcie Starożytności, on wdarł się w tajemnice *Kabbali*, tę boską siostrę Gnozy i Księgę Ksiąg najtajniejszych objawień.

Wiedział, że szafir, to hebrajskie utajone, święte „saphir”. *S.P.R.* (wiedziano, że hebrajskiemu pismu Bóg odjął samogłoski, by żydów ukarać). A „sepher” oznacza książkę, a czym jest książka zamknięta na siedem pieczęci, dowiedzieć się można z *Apokalipsy* św. Jana, a nikt nie zrozumie *Apokalipsy*, kto nie poszuka do niej klucza w *Kabbali*, a przede wszystkim w dziesięciu sefirotach⁸⁷, składających się na Sefira, wyrażającej najgłębszą tajemnicę boskości, a dającą się graficznie przedstawić w ten sposób:



I tak stanowi gotyckie sklepienie księga „Stworzenia”, *Sephir Jezirah*⁸⁸.

Oficjalny kościół katolicki zatracił klucze od najtajniejszych tajemnic nauki Chrystusa, najgłębiej jeszcze ujętej w *Ewangeliu* św. Jana i niekanonicznych i potępionych pismach Orygenesa już w X wieku po Chrystusie, ale cały ezoteryzm nauki katolickiej ukrył się

⁸⁶d'Ollivet, Antoine Fabre (1767–1825) — pisarz, poeta i kompozytor, zajmował się hermeneutyką biblijną i filozoficzną, badał język hebrajski, początki rodzaju ludzkiego i organizacji społecznej, zajmował się też muzyką jako sztuką świętą, a także pitagoreizmem (napisał komentarze do tradycyjnie przypisywanych Pitagorasowi *Złoty wersów*); jego wpływ zaowocował odrodzeniem neopitagoreizmu, odwoływały się do niego różne nurty spirytualizmu oraz okultyści, tacy jak Eliphas Lévi, Gérard Encausse (Papus) czy Édouard Schuré. [przypis edytorski]

⁸⁷sefira (hebr.) — Im: sefirot; termin z kabaly: jedna z dziesięciu emanacji boskiego światła, kolejnych dziesięć sefirot ma odzwierciedlać stopnie poznania nieskończonego i niepoznanego Boga przez skończone i ograniczone stworzenie, a także symbolizować aspekty a. moce Boga, przejawiające się w jego dziele: stworzeniu, poprzez które dokonuje się jego objawienie. [przypis edytorski]

⁸⁸*Sephir Jezirah*, właśc. *Sefer Jecira* (hebr.) — Księga Stworzenia; starożytny żydowski traktat dotyczący stworzenia świata, jeden z pierwszych tekstów żydowskiego mistycyzmu, powstała w 2. poł. II w. n.e. lub 1. poł. III w. n.e., prawdopodobnie w Aleksandrii. [przypis edytorski]

w tysiącnych symbolach, które „sztuka” przechowała, a przede wszystkim w budownictwie — linie Tajemnicy jasno jeszcze zadokumentowane w bazylikach i romańszczyźnie⁸⁹, zacierając się coraz więcej dla oka profana, kryją się, gubią w tajemniczej geometrii i stosunku liczb, a tak geometria, jak i algebra tajemnicy staje się coraz bardziej zawiła i coraz więcej „enigmatyczna”.

By ukryć „tajemnicę”, stworzyli „wtajemniczeni” Egiptu Tarot, karty do grania — by przekazać całą wiedzę ezoteryczną chrześcijaństwa⁹⁰, tworzył wtajemniczony „mag”-budowniczy — gotyckie katedry: na zewnątrz — „*biblia pauperum*”⁹¹ — w istocie zaś tajemnica, przeznaczona tylko dla „wiedzących”.

Och! Jak się rozpędziłem!

Ale tyle już o tym gotyku mówiłem i pisałem, że czytelnik mógłby być ciekawy, co to za jakaś tajemnicza sprawa z tym moim „gotykiem”.

Otóż jedynie tylko na przykładzie sklepienia starałem się wykazać, jak „gotyk” *czytam*.

Wiem, że każdy architekt buchnie śmiechem na te moje wywody, a w najlepszym razie sceptycznie pokręci głową. *Qu'importe*⁹²!?

Ja zaś wiem swoje: gdyby nie było średniowiecznego cechu budowniczych, byłoby się już dawno to wszystko zatraciło, co dziś jako „okultyzm” swoje zmartwychwstanie święci, a usycha już na starczą chorobę w łóżach masonskich i różokrzyżowców, bo zagubiono klucze do tajemnych symboli.

Ale „*templum Hiram*”⁹³, objawione w gotyku, z wolna, z wolna podwoje swoje otwierać poczyna.

Kościół zdawał się już w XIV wieku przeczuwać, jaką straszliwą „herezję” gotyk w sobie ukrywa: tę samą herezję, za jaką z takim bezprzykładnym okrucieństwem zniszczył zakon templariuszów za czasów Filipa Pięknego.

Wprawdzie „oficjalna” historia zwała całą winę na Filipa Pięknego, ale Filip bez papieża Klemensa V nic nie byłby mógł zrobić.

Zdaje się, że nie ma k arty w całej historii wszechświata, na której byłaby zapisana tak ohydna i potworna, i tak bezprzykładna zbrodnia, jak ta, którą monarcha francuski wraz z głową Kościoła długi czas przygotowywali i wreszcie ją spełnili.

Jak wiadomo, zostali templariusze⁹⁴, przynajmniej ci, którzy we Francji osiedli, w najstraszliwszy sposób wytępieni na podstawie oskarżenia, że uprawiają kult Szatana, czyli Baphometha.

A właśnie ten *Baphomet* był Bogiem gotyku, trzeba tylko według metody kabalistycznej „*notarikon*” zwanej, czytać to słowo odwrotnie, to znaczy:

„*Temohpab*”: *Templi omnium hominum pacis abbas* („kapłan — demiurg — świątyni pokoju wszystkich ludzi”).

W niezliczonych symbolach dopatry się wiedzący tego Baphometa w całym gotyku — tego astralnego Boga, który według szmaragdowej tablicy Hermesa Trismegista⁹⁵ jest:

⁸⁹romańszczyzna — styl romański. [przypis edytorski]

⁹⁰chrześcijaństwo — dziś popr.: chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

⁹¹*biblia pauperum* (łac.) — *Biblia* dla ubogich (treści biblijne przekazywane nie słowami, lecz poprzez obraz, rzeźbę itp.). [przypis edytorski]

⁹²*qu'importe* (fr.) — nieważne; najczęściej w zwrocie *qu'importe si*: nie ważne, czy; nie ważne, jak. [przypis edytorski]

⁹³*templum Hiram* — świątynia Hiram; Hiram Abiff z Tyru, patron masonerii, to legendarny budowniczy Świątyni Salomona, który miał zostać zamordowany przez nieuczciwych czeladników, ponieważ nie chciał wyjawić najistotniejszego sekretu mistrza masonskiego, którym jest Wielkie Słowo, będące niewypowiadalne imię Boga (niewypowiadalne, gdyż wg nauk okultystycznych znajomość imienia ducha stanowi klucz do objęcia władzy nad nim). [przypis edytorski]

⁹⁴zostali templariusze (...) w najstraszliwszy sposób wytępieni — templariusze, zakon rycerski, założony ok. 1120 w Jerozolimie w celu obrony i eskorty pielgrzymów do Ziemi Świętej; posiadali kilkanaście prowincji w Europie, dzięki licznym nadaniom, przywilejom papieskim i operacjom finansowym zgromadzili wielkie bogactwa, dzięki którym mieli znaczący wpływ polityczny; po upadku Królestwa Jerozolimskiego pozbawieni siedziby templariusze przenieśli się na Cypr, a następnie do Francji. Upadek zakonu spowodowały wysunięte przez króla Francji Filipa IV Pięknego (1268–1314), poważnie zadłużonego u zakonu, oskarżenia o świętokradztwa, herezję, czary i spiskowanie z poganami. Francuska gałąź zakonu została skasowana w 1311 r., jej majątki skonfiskowano, a wielu templariuszy, włącznie z wielkim mistrzem Jakubem de Mollay i najwyższymi dostojnikami, spalono na stosie. Ostatecznie zakon został zawieszony przez papieża w 1317. [przypis edytorski]

⁹⁵*Hermes Trismegistos* (z gr. dosł.: Hermes Po Trzykroć Wielki) — bóstwo hellenistyczne wcielające ideę harmonijnej symbiozy religii, nauki i sztuki, a także (na innym poziomie) mądrości i mistyki. Figura Tri-

„*Pater omnis Telesmi totius mundi!*”

Ale dosyć już, dosyć!

Kościół zniszczył zakon templariuszów, nienawidził gotyku i z rozkoszą powitał pogański renesans — nawet pogaństwo było lepsze od „mistyki” — zniechłuił⁹⁶ świątynie gotyckie tym obmierzłym renesansem — ale nie przeczuwał straszliwej pomsty „Baphometa”: Avignon, reformacja, schizma, Luther, różokrzyżowcy, potężne loże masonskie, wiek encyklopedystów, rewolucja francuska, doszczętny upadek kościelnego Rzymu, jako wszechświatowej politycznej potęgi. — Mało jeszcze?!

Z popiołów powstał w naszych czasach spalony za Klemensa V ostatni komtur templariuszów Jakub de Molay jako straszliwy mściciel, ale teraz już nie jako wyznawca „Temohpab”, ale na odwrót: istotny Baphomet — Antychryst!

A trzeba wiedzieć, że zakon templariuszów miał jedno zadanie, które jeszcze w XVII wieku obowiązywało surowo „pod utratą istotnego Zbawienia” bractwo różokrzyżowców, wynaturzonych potem w lożach masonskich — a mianowicie:

Stworzenia na ziemi Królestwa Pokoju i zjednoczenia wszystkich narodów.

W co się przekształcił ten potężny zakon tych nadludzkich objawicieli, proroczych jasnowiedzów, potęgi boskiej sięgających olbrzymów i tych nieogarniętych w ich rozmachu budowniczych onych świątyń, które do dziś dnia strzegą w niemy i boski majestat spowite tajemnice — w co się przekształcił ten święty zakon „masonów”, budowniczych nowego Syjonu i niebieskiej Jerozolimy?!

Rozpacz człowieka zbiera: przecież dzisiejsi masoni nie rozumieją nawet najprymitywniejszych symbolów, nie wiedzą nawet, co oznacza młotek lub kielnia!

„*Mon âme seulette a mal au coeur d'un dense ennui?*”⁹⁷ — pokłon ci, bracie Verlaine — gdy pomyślę, w jak ohydny i niechlujny sposób zabagniła się dusza ludzkości, która w gotyku w tak olbrzymim rozmachu niebiosza szturmowała!

A jakie niesłychane rewelacje astralnego świata ukrywają się w „chimerach”, „gryfach”, potworach, rzygaczach wody — niby to ozdoby, a w istocie najtajniejsze hieroglify „ukrytej wiedzy” — porozmieszczane w gotyckich tumach⁹⁸!

Cały gruby tom można by napisać o „chimerach”, usadowionych na galerii pierwszego piętra *Notre Dame* w Paryżu. Z tych kilkunastu kamiennych symboli zaczerpnięta i „*Philosophia sagax*” Paracelsa⁹⁹, i „*Philosophia occulta*” Corneliusza Agrypy¹⁰⁰, a ostatni, który te symbole odczytywał, był wielki Postel, a popełnił ci on zbrodnię, bo wyjawiał tajemnicę Tarota¹⁰¹.

Oblędem przepłacił tę swoją śmiałość, bo najwyższym nakazem dla wtajemniczonego, to — milczenie!

smegistosa łączy cechy gr. boga Hermesa i egipskiego Thota z elementami mistyki judaistycznej; patronuje on astrologii i alchemii, duchowemu rozwojowi prowadzącemu ku prawdziwemu, syntetycznemu poznaniu świata i zaświatów. Jest symbolem wiedzy tajemnej (czyli tzw. hermetycznej). Uznawano go za autora wielu ksiąg (m.in. *Tabula Smaragdina* czyli *Tablica Szmaragdowa* oraz zbiór traktatów *Corpus Hermeticum*) mających wpływ na filozofię różokrzyżowców oraz licznych tradycji ezoterycznych, gnostycznych i kabalistycznych. [przypis edytorski]

⁹⁶zniechłuić (neol.) — pobrudzić, oszpecić, uczynić niechlujnym. [przypis edytorski]

⁹⁷*Mon âme seulette a mal au coeur d'un dense ennui* (fr.) — moja samotna dusza boli mnie od zgęszczonej nudy. [przypis edytorski]

⁹⁸tum (daw.) — świątynia. [przypis edytorski]

⁹⁹*Philosophia sagax* — tytuł dzieła Paracelsusa znanego też jako *Astronomia Magna*, wyd. w 1537 r.; *Paracelsus*, właśc. *Philippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim* (1493 a. 1494–1541) ur. w Szwajcarii lekarz i przyrodnik, zw. ojcem medycyny nowożytnej. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*Agrippa, Henricus Cornelius a. Agrippa von Nettesheim* (1486–1535) — niemiecki uczony, filozof, okultysta, astrolog i alchemik, przedstawiciel renesansowej magii i okultyzmu; wzmiankowana „*Philosophia occulta*” odnosi się do jego dzieła *De occulta philosophia libri tres* z 1531 r. [przypis edytorski]

¹⁰¹*Tarot* — karty hierograficzne (tj. mające za zadanie przedstawiać rzeczy święte), których symbolika ma wyklądać religijne, naukowe i polityczne doktryny świata starożytnego; symbolikę tę wywodzi się z astrologii (znaczenia poszczególnych gwiazd i planet oraz ich stosunku do znaków Zodiaku); Tarot znany był wtajemniczonym kapłanom w Egipcie, Chaldei, Chinach oraz kabalistycznym bractwom różokrzyżowców, uprawiającym teozofię i alchemię; z talii kart tarotowych wywodzą się dzisiejsze karty do gry, składa się ona z 22 kart reprezentujących tzw. Wielkie Arkana przedstawiających podstawowe symbole oraz 56 kart zw. Małymi Arkanami; te ostatnie dzielą się na 4 znaki odpowiadające kolorom dzisiejszych kart do gry: buławy (dziś: trefl), puchary (pik), sztylety (kier) i denary (karo); każdy znak (kolorze) zawiera 10 liczb i 4 figury (król, dama, rycerz, walet); figury te mają być hieroglificznym wyobrażeniem czterech głosek alfabetu hebrajskiego (odpowiadających imieniu Jahwe: Jhwh) i symbolizować cztery żywioły (cztery stany skupienia materii), a wszystkie te elementy razem tworzyć mają obraz wszechświata (Natury, Boga). [przypis edytorski]

Wszystko to, co powyżej o gotyku powiedziałem, może by zastanowiło tego mego pięknego profesora Schafera, a może by się tylko był dobrotliwie na moje wywody uśmiechnął, na razie widział, jak gorąco jestem gotykiem przejęty, więc podszeptał: „Niech pan przeczyta encyklopedię gotyku Violet le Duc’a¹⁰², tam pan znajdzie to, na co w wykładach czasu nie mam”.

Po ciężkiej a mozolnej pracy przestudiowałem tę sześciotomową encyklopedię — ale Violet le Duc mało co wiedział o ezoteryzmie gotyku, natomiast wielką jego zasługą: ustalenie pomiarów, stosunków liczbowych, geometrycznych i stereometrycznych symboli.

A bez końca najrozmaitsze Pentacle, Tetragramatony — Binery, Septenery, Duodenery!

A liczba to wielka i święta rzecz!

Wiedział o tym Mickiewicz — bo cóż oznacza jego 44? Ho, ho! Czterdzieści cztery rozkłada się w okultystycznym rachunku w ten sposób:

$$4 + 4 = 8.$$

Rozkładam 8 na pojedyncze składniki:

$$8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1.$$

$$8 + 7 + 6 + 5 + 4 + 3 + 2 + 1 = 36.$$

$$3 + 6 = 9.$$

A 9 jest liczbą, oznaczającą najwyższego z Archaniołów a raczej Współ-Boga: Metatrona¹⁰³.

44 jest Metathronem, Demiurgiem¹⁰⁴ tu na ziemi.

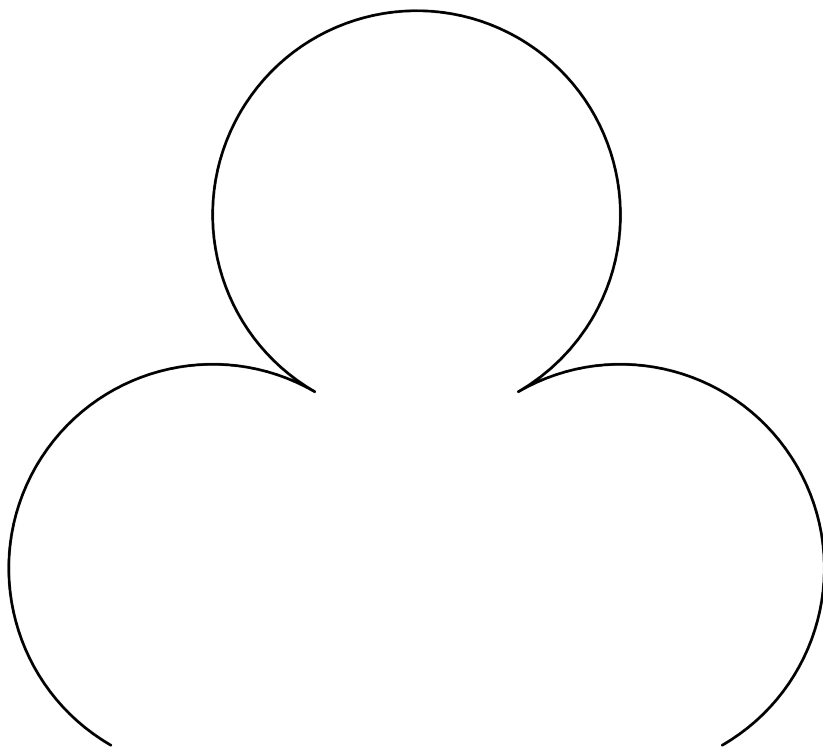
W liczbowym stosunku pomiarów gotyku tkwią właśnie te zdumiewające tajemnice — a niemniej głębokie w jego geometrii — w liniach.

Jaka niesłychana głębia w tym gotyckim ostrołuku! A przecież on wzięty z najgłębszej tajemnicy linii Wschodu:

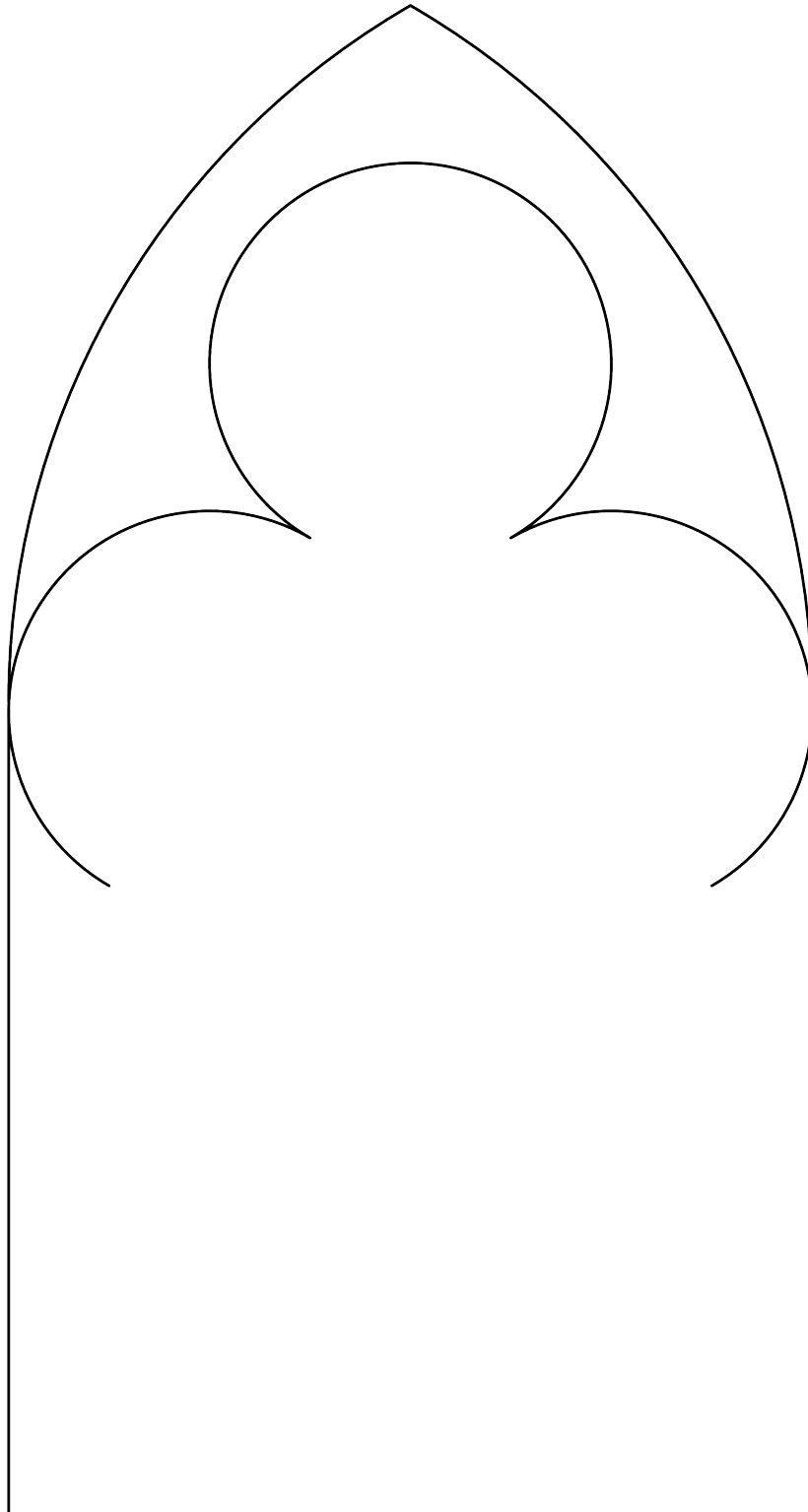
¹⁰²*Viollet-le-Duc, Eugène Emmanuel* (1814–1879) — francuski architekt, historyk sztuki i konserwator; wolnomularz; zajmował się badaniami i konserwacją architektury średniowiecznej; od 1863 r. profesor Szkoły Sztuk Pięknych (École des Beaux Arts) w Paryżu; autor opracowań słownikowych dotyczących architektury średniowiecza. [przypis edytorski]

¹⁰³*Metatron* — imię serafina (znaczące „strażnik” a „posłaniec”) z ksiąg kabalistycznych, znanego jako „ten, który zajmuje tron obok Boga”, króla Aniołów, którego śpiew miał tworzyć nowe ich zastępy; ulubieniec Boga, bezpośrednio z Nim obcujący, stworzony razem ze światem a. nawet wcześniej, stąd w niektórych tradycjach bywa traktowana jako osoba o statusie boskim, a Mesjasz miałby być jego inkarnacją. [przypis edytorski]

¹⁰⁴*demiurg* — w niektórych systemach religijnych a. filozoficznych twórca świata, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem. Ponieważ demiurg nie jest ani wszechwiedzący, ani wszechmocny, a dokonany przez niego akt kreacji był aktem samowolnym, stworzony przez niego świat jest niedoskonały i pełen zła. [przypis edytorski]

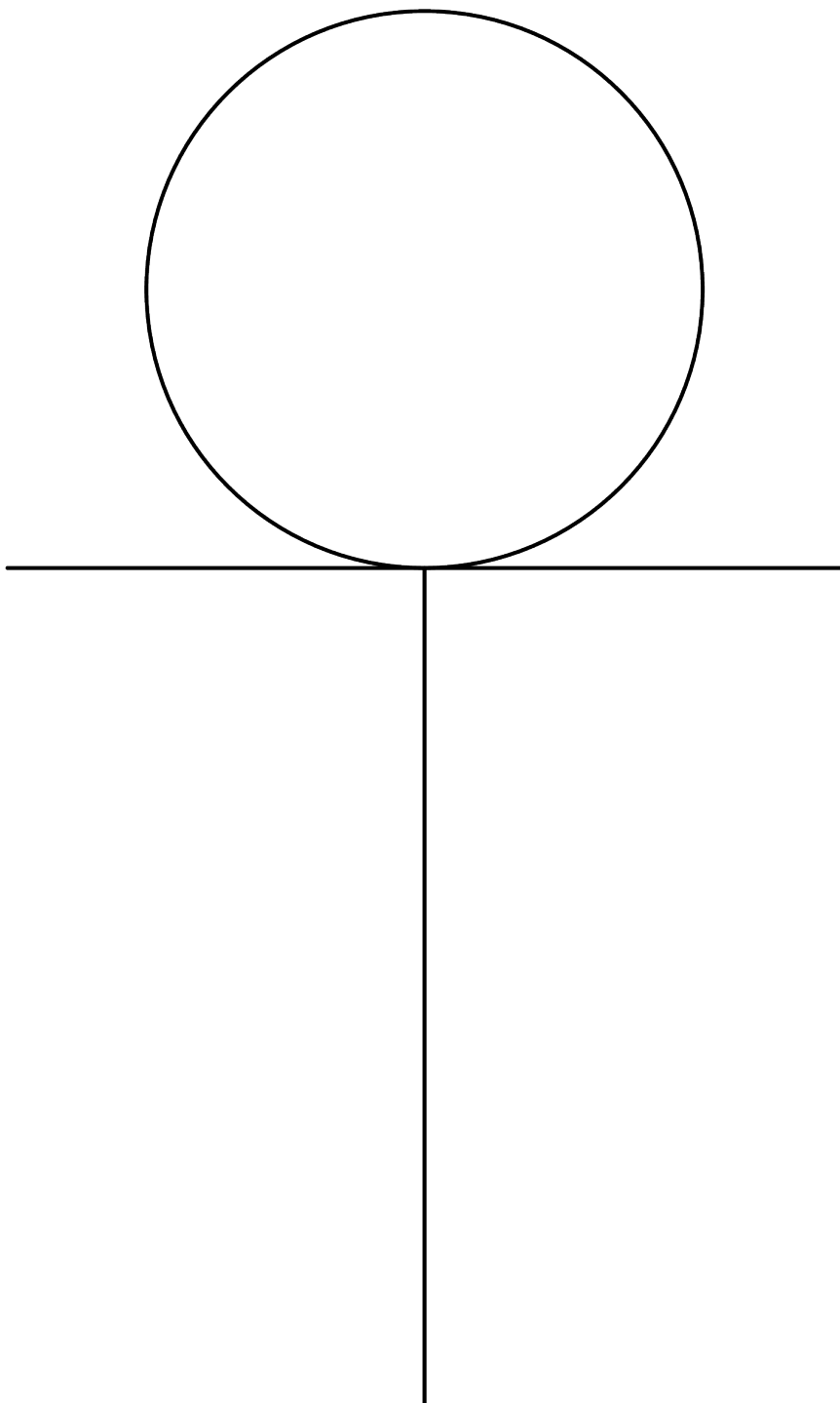


a przeobrażony na:



a zaczerpnięty z hinduskiego: „*crux ansata*¹⁰⁵”:

¹⁰⁵*crux ansata* — tzw. krzyż egipski; znak Anch (a. Ankh), w mitologii egipskiej hieroglif oznaczający życie.
[przypis edytorski]



najgłębszego symbolu, wyobrażającego najtajniejsze istnienie istotnej duszy ludzkiej, niepotrzebującej głupiego mózgu i biednych narządów zmysłów.

Dlaczego się tak o gotyku rozpisałem?

Przede wszystkim zależy mi na tym, by zrozumiano, dlaczego bezustannie powtarzam, iż dla mnie poza gotykiem sztuka nie istnieje — fałszywie się wyraziłem: istnieje, istnieje, ale nie ta, która jest dla mnie najwyższym wykwitem ducha ludzkiego: mogę szanować późniejszą sztukę, mogę się nią nawet zachwycać, ale nie jest już w stanie rozpać mej duszy.

VIII

Ale wkrótce rozwił się bogaty sen „bygmestra Solnessa”, by stworzyć jakąś niebywałą i zdumiewającą katedrę. Rozpoczęła się nieskończenie żmudna — techniczno-matematyczna praca, której już podolać nie mogłem. Pragnąłem kreślić gotyckie ostrołuki, a byłem zmuszony ślezczyć całymi dniami nad zniechęcającym attyckim brusowaniem świątyni greckich; miast¹⁰⁶ kolumny — Ain Soph — z której wytryskują na całą świątynię płomienie Świętego Ducha (porównaj niezrównany kościółek św. Krzyża w Krakowie lub kaplicę na zamku w Lublinie), byłem zmuszony rysować bez końca kapitele jońskie, doryjskie¹⁰⁷ i korynckie; byłem zmuszony wnikać w tajemnice ciesiolki i prostego murarstwa, a co mnie najwięcej przerażało: zająć się rachunkiem całkowym i różniczkowym.

Temu podolać nie mogłem, a może i nie chciałem, bo w tym samym czasie opętała mnie nauka biologii — a właśnie wtedy stawała się biologia nauką.

A ja poonczas jeszcze wierzyłem, biedactwo, że całe zbawienie znajdę w ścisłej nauce. Jeszcze mi się po głowie plątał i Büchner, i Vogt¹⁰⁸, i Moleschott¹⁰⁹, mimo to że dusza moja już całkiem innymi szlakami kroczyła.

Straszne to *à rebours* własnej duszy — niepojęte prawo, które całym życiem moim zawładnęło. Wciąż jeszcze przeżywam tę długą bezsenność, rozpaczliwą noc, w której postanowiłem nade wszystko ukochanym rodzicom moim — a wiedziałem, jak ich strapię — przesłać uroczyste doniesienie, że minąłem się z moim powołaniem: porzucam architekturę i przenoszę się na medycynę¹¹⁰.

Skutek był fatalny: odebrano mi małe stypendium rodzinne Musolffa¹¹¹, bo na „eksperymenty” pieniędzy nie było. Rodzice pomagać mi nie mogli. Ach! Jakie to wszystko smutne — te lata ciężkiej udręki, nędzy ostatecznej, a może błogosławione lata, bo mi dano, a raczej kazano wymierzyć całą otchłań tej *sale corvée de la vie*¹¹².

I jaka szkoda, że żywotna siła moja sprzeciwiła się „złemu”. Przecież już raz doszedłem na drodze ascetyzmu, po trzytygodniowym głodzeniu się, do tej doskonałości, żem na ulicy padł zemdlony.

Maluczko jeszcze, a byłbym przestąpił próg, który tylko za pomocą — wszystko jedno czy dobrowolnej, czy wymuszonej — ascezy przestąpić można.

A że i koniecznością wskazana asceza może z biednego człowieka stworzyć coś w rodzaju mahatmy, miałem sposobność przekonać się, gdym słuchał objawień przyjaciela mojego, Piotra Hille¹¹³, który po długich błąkaniach po całym Berlinie przywędrował wreszcie do mnie w ostrym stanie delirium głodu.

A o tym „Mahatmie” jeszcze nieraz pomówię.

Na razie wracam do dra Ascha.

Głód, Święty

¹⁰⁶miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

¹⁰⁷doryjski — dziś popr.: dorycki. [przypis edytorski]

¹⁰⁸Vogt, Karl (1817–1895) — szwajcarski przyrodnik pochodzenia niemieckiego; materialista, zwolennik teorii ewolucji Charlesa Darwina, profesor uniwersytetu w Gießen i w Genewie oraz popularyzator nauk biologicznych, autor wielu prac z zakresu zoologii, geologii i fizjologii. [przypis edytorski]

¹⁰⁹Moleschott, Jacob (1822–1893) — holenderski lekarz, fizjolog i filozof, zwolennik materializmu wulgarnego (popularnej w XIX w. redukcjonistycznej manieri sprowadzania zjawisk psychicznych do chemicznych i biologicznych), autor dzieła *Der Kreislauf des Lebens* („Krażenie życia”); prześladowany za swe poglądy, przeniósł się z uniwersytetu w Heidelbergu na uniwersytet w Turynie; słynne stało się jego stwierdzenie, lakonicznie streszczające reprezentowane przez Moleschotta stanowisko filozoficzne: *Ohne Phosphor kein Gedanke*, tj. „Bez fosforu nie ma myśli”. [przypis edytorski]

¹¹⁰przenoszę się na medycynę — na politechnikę zapisał się Przybyszewski 4 maja 1889 r.; 5 maja 1890 r. przeniósł się na medycynę. [przypis edytorski]

¹¹¹odebrano mi stypendium rodzinne Musolffa — Ks. Niward Musolff (1795–1872), proboszcz klasztoru w Wągrowcu, był fundatorem stypendium dla uczniów z parafii wągrowieckiej, z którego korzystał Przybyszewski w okresie studiów na politechnice berlińskiej. [przypis edytorski]

¹¹²sale corvée de la vie (fr.) — dosł.: ohydny przymus życia [przypis edytorski]

¹¹³Hille, Peter (1854–1904) — „następca duchowy braci Hart” (p. niżej), jeden z głównych przedstawicieli irracjonalistycznego nurtu moderny niemieckiej; autor aforyzmów i mistyczno-refleksyjnych, impresjonistycznych liryków. Ekscentryczny w ubiorze i sposobie życia, zagubił większość swych manuskryptów, które stale nosił przy sobie, podczas włóczęgi i częstych noclegów na dworcach kolejowych. [przypis edytorski]

Nic więcej go nie interesowało nad długie debaty o Stirnerze¹¹⁴ i o Nietzsche, jakie bezustannie z sobą prowadziliśmy.

Może mało jest ludzi w Polsce, którzy by o tym wiedzieli, że o istnieniu Nietzschego dowiedziały się Niemcy — od szwedzkiego pisarza, *Oli Hanssona*.

Ola Hansson¹¹⁵, Szwed, proskrybowany przez swoją ojczyznę, wskutek swych „radykałnych”, „wywrotowych” przekonań i aż nazbyt „śmiałych” swoich nowel, uciekł — literalnie uciekł do Niemiec, gdzie znalazł bardzo gościnny przytułek w pięknej miejscowości pod Berlinem — w Friedrichshagen, gdzie poonczas gnieździła się cała literacka bohema Niemiec.

Mieszkali tam bracia Henryk¹¹⁶ i Juliusz Hart¹¹⁷, pierwsi, którzy znojne i ciężkie walki staczali o naturalizm Zoli w gwałtownych broszurach, ochrzczonych dosadnym mianem: *Kritische Waffengänge*, a odwagę, butę i zajadłość, z jaką rzucali się na „starą” sztukę i ją zwycięsko zwalczali, przypłacili tym, że bezustannie żyli w ostatniej nędzy. A kiedy po latach całych znalazł się jakiś minister oświaty, który chciał Henrykowi Hart dopomóc, by mógł wykończyć swoje, na olbrzymią miarę zakrojone epos: *Lied der Menschheit*, Henryk odrzucił wysokie stypendium, bo było zawarunkowane kautelą, iż nigdy nic nie napisze, co by mogło godzić w „posady państwowości”.

Tam też mieszkali i Arno Holz¹¹⁸, i Johannes Schlaf¹¹⁹, nieodłączna poonczas para dioskurów — dziesięć lat później jęli się zwalczać w zacieklej nienawiści — jeden i drugi odegrali ważną rolę w przełomowej walce realizmu z idealizmem. Wychowankiem ich, przez nich najusilniej protegowanym i wycackanym pupilem był Gerhart Hauptmann¹²⁰, który wtedy jeszcze miał tyle wdzięcznej odwagi, by pierwszy swój dramat — kto wie, czy nie najlepszy — *Vor Sonnenaufgang*¹²¹ poświęcić „den einzigen konsequenten Reali-

Miasto, Artysta

¹¹⁴*Max Stirner* (1806–1856) — filozof niemiecki (młodoheglista), reprezentant skrajnego indywidualizmu i anarchizmu. Wspomniany dalej główny utwór *Einzig und sein Eigentum* (Jedyny i jego własność) napisał w r. 1845. Ola Hansson (p. niżej) zawarł szkice o nim w książce *Seher und Deuter*. [przypis edytorski]

¹¹⁵*Hansson, Ola* (1860–1925) — pisarz i krytyk szwedzki, przedstawiciel dekadentyzmu; autor impresjonistycznych, związanych z krajem ojczystym (rodziną Skanią) poezji i realistyczno-psychologistycznych opowiadań; po publikacji tomu śmiałych erotyków (*Sensitiva amorosa*, 1887), został oskarżony o obrażanie moralności publicznej i zmuszony do emigracji: przebywał w Szwajcarii, Niemczech i Turcji (tam zmarł), pisał po niemiecku, duńsku i norwesku. [przypis edytorski]

¹¹⁶*Hart, Heinrich* (1853–1906) — pisarz i krytyk literacki, pionier naturalizmu w literaturze niem., blisko autor dramatu *Sedan*, planował epos w 24 pieśniach opisujący panoramę rozwoju ludzkości od czasów starożytnych pt. *Lied der Menschheit* („Pieśń ludzkości”), powstały jednak tylko pierwsze trzy pieśni (*Tul i Nabila* 1888, *Nimrod* 1888, *Moses* 1896). Ścisłe współpracował ze swym bratem, Juliusem Hartem, m.in. jako współautor zbioru tekstów krytycznych *Kritische Waffengänge* (cz. 1–6, 1882–1884) oraz współzałożyciel towarzystwa *Westfälischer Verein für Literatur*. [przypis edytorski]

¹¹⁷*Hart, Julius* (1859–1930) — pisarz i krytyk literacki, pionier naturalizmu w literaturze niem., autor dramatu *Der Sumpf* (tzn. „Bagno”, 1886) i zbiorów poezji, np. *Sansara* (1879), *Triumph des Lebens* („Tryumf życia”, 1898); w jego utworze *Der neue Gott* (tzn. „Nowy Bóg”) dochodzi do głosu motyw panteizmu natury, zaś nowele *Stimmen in der Nacht* („Głosy w nocy”, 1898) i *Träume der Mitternachtsnacht* (tzn. „Sen nocy letniej”, 1905) wyprzedzają ekspresjonizm. Ścisłe współpracował ze swym bratem, Heinrichem Hartem, m.in. jako współautor zbioru tekstów krytycznych *Kritische Waffengänge* (cz. 1–6, 1882–1884) oraz współzałożyciel towarzystwa *Westfälischer Verein für Literatur*. [przypis edytorski]

¹¹⁸*Holz, Arno* (1863–1929) — niemiecki poeta i dramaturg naturalista; pochodził z Kętrzyna (Rastenburga w Prusach Wschodnich), w 1875 r. cała rodzina przeniosła się do Berlina, tam nawiązał kontakt z kręgiem niem. naturalistów *Naturalistenverein Durch*, w którym poznał Gerharda Hauptmanna; debiutował jako poeta wielkiego miasta i mas robotniczych (*Buch der Zeit*, 1884; nagroda Schillera w 1885); w 1892 wydaje *Die Kunst, ihr Wesen und ihre Gesetze* (*Sztuka, jej istota i jej prawa*), stanowiącą „biblię konsekwentnych naturalistów”; przez jakiś czas publikował wspólnie z Johannesem Schlafem (dramaty wyd. w tomie *Neue Gleise*, 1890; m.in. *Die papierene Passion* i *Familie Selicke*, a także drobne utwory prozą); w sztuce z 1896 r. *Sozialaristokraten*, pisanej już bez towarzysza, przeprowadza krytykę niem. bohemy artystycznej z Friedrichshagen (jednym z bohaterów sztuki jest Przybyszewski, sportretowany jako redaktor Styszinsky); nominowany do literackiej Nagrody Nobla w 1929 r., zmarł przed ogłoszeniem werdyktu, nagrodę przyznano wówczas Thomasowi Mannowi. [przypis edytorski]

¹¹⁹*Schlaf, Johannes* (1862–1941) — pisarz naturalista, następnie przedstawiciel berlińskiej bohemy o nastawieniu dekadentckim i mistycznym. [przypis edytorski]

¹²⁰*Hauptman, Gerbard* (1862–1946) — pisarz i dramaturg niem. związany z Dolnym Śląskiem, przedstawiciel naturalizmu, laureat Nagrody Nobla w 1912 r.; debiutował dramatem *Vor Sonnenaufgang* (*Przed wschodem słońca*), najsłynniejszym jego utworem jest sztuka *Tkacze* (*Die Weber*, 1892) podejmująca problematykę społeczną, ukazująca los tkaczy śląskich i ich bunt z lat 40. XIX w.; w późniejszym okresie twórczości zwrócił się ku symbolizmowi. [przypis edytorski]

¹²¹*vor Sonnenaufgang* (niem.) — przed wschodem słońca. [przypis edytorski]

sten — Arno Holz und Johannes Schlaf¹²²”. Ten sam Gerhart Hauptmann, który istotnie niezmiernie dużo zawdzięczał jednemu i drugiemu — bo nie wiadomo, kto więcej nad tym dramatem pracował, oni czy on — a potem, gdy nadspodziewanie szybko w sadło porósł i już oświadczył Lessing-teatrem, usilnie przeciwko temu zabiegał, by bez porównania lepszy i głębszy dramat obydwóch, *Die Familie Selicke*, nie został wystawiony na tej jedynej scenie, której kierownik, Otto Brahm, umiał w bajeczny sposób wyzyskać daną koniunkturę i teatr swój oddał na usługę „konsekwentnemu realizmowi” Hauptmanna.

Och, jaki ten „konsekwentny realizm” był już od samego początku łagodny, kompromisowy; tak doskonale okiełznany i wyfraczony realizm, że cała, nawet najwięcej zacietrzewiona burżuazja od razu jednym słowem ryknęła:

„Taki realizm rozumiemy i taki jedynie ma prawo bytu!”

Wprawdzie była na pierwszym przedstawieniu *Przed wschodem słońca*, na którym i ja wraz z drem Aschem byłem obecny, przykra burda, bo niejaki fanatyk idealizmu — dr Kaftan (*nomen omen*, bo temu historykowi należał się „kaftan” bezpieczeństwa) wyciągnął nagle w scenie, w której za kulisami połów się odbywa, olbrzymie szczypce połogowe, wymachiwał nimi i ryczał na cały głos: „*Hier Hilfe!*”¹²³. Ale pan Kaftan wyleciał z piorunującą szybkością na świeże powietrze, a cała awantura zjednała Hauptmannowi tylko większą jeszcze sławę, tak że już drugi jego dramat — całkiem już (i to w najłagodniejszym tempie) ujeżdżony żrebak mógł sobie swobodnie, bez najmniejszego protestu hasać po scenie.

Dramatu tego, *Friedensfest*, ponoć się Hauptmann później wstydził. Niegodnie wyzyskał gościnę, jakiej mu dr Wedekind, ojciec Franka Wedekinda¹²⁴, udzielił. Z brutalną, ordynarną i całkiem fotograficzną wiernością odtworzył stosunki rodzinne, jakie panowały w rodzinie Wedekindów w Zurychu. Toteż wobec Franka Wedekinda nie można nawet było wspomnieć o Hauptmannie.

Biedne te Niemcy, że tylko Hauptmannem się szczycą — a przecież w utworach jego nie napotkasz nigdzie jakiegś głębszej myśli, nigdzie nie ujrysz jakichś rozległych horyzontów; tam gdzie się sili na symboliczne ujęcia wypadków, tworzy suchy, płytki, naiwnie przezroczyisty symbolizm, jak w *Dzwonie zatopionym* lub *I Pipa tańczy* — rozczulająco bezradny symbolizm, bo z tych wszystkich obłonek wszędzie wylazi „konsekwentny naturalizm”; a gdziekolwiek Hauptmann uchwyci pierwiastek symboliczny, w tej chwili dusi go i dławi realistyczną metodą, bo mózg jego za słaby, by zdołał dotrzeć do tych prairów, w których wszechrzecz staje się według orzeczeń Goethego „*ein Gleichnis*”¹²⁵.

Język Hauptmanna — do tego stopnia fatalny i wyzbyty wszelkiej kultury, że wierszy jego wprost czytać nie można. Gdym czytał *Dzwon zatopiony* w bajecznym polskim przekładzie Jana Kasprowicza, nie chciało mi się wierzyć, że to mógł być ten sam dramat, którego w oryginale nie byłem w stanie do końca przeczytać.

I pomyśleć, że Niemcy usiłovali tę swoją wydetą, a właściwie bardzo ubożuchną wielkość stawić na równi z Ibsenem! W ogóle w głowę się zachodzi, co Niemcy za dramatyczne arcydzieła uważają — czy może być nędzniejsze dramacido, głupsze, więcej płytkie od *Die Jugend* Maksa Halbe¹²⁶, a przecież to dramat, który cała niemiecka krytyka z jakimś obłąkanym entuzjazmem przyjęła.

Do dziś dnia tłucze się jeszcze ten marny utwór po wszystkich scenach niemieckich — a nawet próbowano go wystawić w Warszawie. Fatalny pomysł, bo dramat na scenie polskiej padł smutnie, ale równocześnie okazało się, o ile publiczność polska kulturą

¹²²*Den einzigen konsequenten Realisten* (niem.) — jedynym konsekwentnym realistom. [przypis edytorski]

¹²³*hier Hilfe* (niem.) — tu, pomocy. [przypis edytorski]

¹²⁴*Wedekind, Frank* (1864–1918) — poeta i aktor niemiecki, współpracował z satyrycznym tygodnikiem monachijskim „*Simplizissimus*”, popierającym pierwsze próby ekspresjonizmu; pisał poezje, a przede wszystkim dramaty, w których atakował kłamliwe przemilczanie spraw seksualnych, j. np. w dramacie dojrzewania *Frühlings Erwachen* („Przebudzenie wiosny”), 1891. [przypis edytorski]

¹²⁵*Gleichnis* (niem., daw.) — przenośnia, porównanie; alegoria, symbol. [przypis edytorski]

¹²⁶*Halbe, Maks* (1865–1944) — niemiecki pisarz naturalistyczny i dramaturg; popularyzator Haeckla; autor dramatów *Jugend* („Młodość”, 1893), *Der Strom* („Strumień”, 1904) i realistycznych romansów obyczajowych z życia wsi, o akcentach antyklerykalnych; współtworzył eksperymentalne teatry w Monachium, przyjaźnił się z Frankiem Wedekindem. [przypis edytorski]

swoją przewyższa niemiecką i o ile wyższy jest poziom krytyki literackiej w Polsce od niemieckiej.

Jak tylko Hauptmann kupił sobie swoją pierwszą willę, wziął od razu doszczętny rozbrat z kolonią artystyczną w Friedrichshagen, zerwał wszystkie z nią stosunki — a może i słusznie: nie chciał być bankierem swej literackiej braci, która przecież do niedawna ostatnim kawałkiem chleba z nim się dzieliła.

To ostatnie, com powiedział, to nie frazes: bo często gęsto nie było nawet tego „ostatniego kawałka”. A z innej strony nie jest frazesem: panowała między tą gromadką artystów taka solidarność i tak przeczulona niemal koleżeńskość, że nie było między nimi żadnego, który by się z kolegą nie podzielił wszystkim, co miał.

Bezwzględny komunizm, piękny, ofiarny — nie! nie ofiarny! bo to samo przez się się rozumiało, że jeżeli ja coś mam, to i drugi artysta mieć musi; komunizm i biologiczna niemal symbioza, która nie pozwalała słabszemu zmarnieć; komunizm wydziedziczonych, tak absolutnie niezrozumiały dla sytego motłochu, że zdołał go zożydzić słynnym paszkwilem:

Wir wollen uns mit Schnaps berauschen.
Wir wollen unsere Weiber tauschen,
Wir wollen uns mit Talg beschmieren
Im Sonnenscheine nackt spazieren —
Wir wollen echte Russen sein!¹²⁷

Idealista, Artysta,
Własność, Bieda

Ostatni wykrzyk odnosi się do nihilistycznych prądów rosyjskich, które nurtowały właśnie w friedrichshagenowskiej kolonii, a każdy z jej członków uchodził za niebezpiecznego anarchistę!

Och, jak łatwo wprawić ludzi sytych w ciężki, paniczny lęk przed głodnymi obdarcusami, a oni właśnie cisi i pokorni. Kiedym badał historię głodów w Europie podczas średniowiecza, uderzyła mnie jedna wzmianka kronikarska, że pewien piekarz obronił swoją piekarnię przed napadem ludzi z głodu umierających prostym „kijaszkim”.

Toteż nihilizm i anarchizm całej tej kolonii istniał jedynie w teorii; głęboka sympatia, jaką odczuwała dla rosyjskich „męczenników”, była li tylko platoniczna, a zresztą dla duszy niemieckiej jest dusza rosyjska i w ogóle każda słowiańska czymś tak zasadniczo obcym i niezrozumiałym, że chociażby Niemiec ze wszystkich sił zapragnął i Bóg wie jak się mozolił, nigdy w nią wnikać nie zdoła.

Niemiec zna tylko *Empörung* — zgorszenie, ale nie zna buntu! A jeżeli się kiedy zbuntuje, to przestraszyć go chwytą na myśl, co bunt wywołać może. Nigdy nie był uleglejszy i pokorniejszy, jak po swoim „buncie”, swej karykaturalnej rewolucji w 1848 r., maluczko, a ujrzenie wspaniałe owoce buntu roku 1917!

Wprawdzie zamieszkał tu Tyrteusz ówczesnego anarchizmu Karl Henckell¹²⁸; rzucał gromowładne błyskawice na podłą burżuazję i wymachiwał z okrutnym impetem czerwona chorągwią, ale uspokoił się i przycichł, kiedy zabrał z sobą żonę przyjaciela, u którego zamieszkał, i drapnął z nią do Zurychu. Zbytnej krzywdy mu nie zrobił, bo były mąż korespondował czule w dalszym ciągu z byłą żoną.

Natomiast składał częste wizyty w Friedrichshagen anarchista, wytworny, bogaty *Salon-Anarchist*¹²⁹, John Henry Mackay¹³⁰, który przed niedawnym czasem odkrył — a istotnie, dzięki swym rozległym stosunkom i zasobom pieniężnym, umożliwiającym

Rosjanin, Niemiec, Dusza,
Bunt, Rewolucja

¹²⁷ *Wir wollen uns mit Schnaps berauschen (...) echte Russen sein* (niem.) — dosł.: „Chcemy wódką oszalać się / Naszymi kobietami wymieniać się / Chcemy lojem się smarować / W blasku słońca nago spacerować — / Chcemy prawdziwymi Rosjanami być.” [przypis edytorski]

¹²⁸ *Henckell, Karl* (1864–1929) — poeta niemiecki, rozpoczynający od doświadczeń naturalistycznych (*Moderne Dichtercharaktere*, 1885), w swych lirykach społecznych, oskarżających kapitalizm, próbował zastosować materiał statystyczny. Pisał też poematy o naturze i miłości. [przypis edytorski]

¹²⁹ *Salon-Anarchist* (niem.) — dosł. anarchista salonowy; aluzja do gł. bohatera powieści J. H. Mackaya *Die Anarchisten* z 1891, przedstawiającej nędzę i przestępczość londyńską. [przypis edytorski]

¹³⁰ *Mackay, John Henry* (1864–1933) — autor powieści o literacie-anarchiście *Die Anarchisten* z 1891; debiut prozatorski w 1885 to: *Kinder des Bochlands*, poetycki w 1886 to anarchistyczno-radykalne *Dichtungen*; w szkicach *Fortgang* i *Sturm* zawarł swoje rozważania o Maksie Stirnerze. [przypis edytorski]

mu kosztowne rozjazdy i poszukiwania w Berlinie i Londynie — odkrył Stirnera¹³¹ i z zupełnego zapomnienia wydobyl na jaw tak kapitalne dzieło, jakim jest niechybnie utwór Stirnera: *Der Einzige und sein Eigentum*¹³².

To już obojętne, że John Henry — Niemcy poonczas wypierali się swojej niemieckości i dumni byli, że rodowód swój mogli z jakiegoś innego narodu wywodzić — chełpił się tym, że jest z pochodzenia Szkotem (był nieznośnym snobem z tym błazeńskim kokietowaniem z najrozpaczliwszymi teoriami, jakimi ostatnia już nędza zbrodnie swoje usprawiedliwić pragnie); obojętne, że ten zamożny człowiek nękał istotnego nędzarza, jakim był Piotr Hille, o 20 marek, które mu kiedyś w Genewie pożyczył — trzeba być sprawiedliwym: John Henry Mackay wyrządził garstce ludzi, którzy są w stanie Stirnera w całej jego niezmiernej głębi rozumieć, olbrzymią przysługę — o ile go znam, wyrządził ją całkiem nieświadomie, bo wątpię, czy choć jedno zdanie Stirnera rozumiał — ale mniejsza o to: uratował ten arcykapitalny utwór „Jedynego” dla „Jedynego” — dla Fryderyka Nietzsche.

Wprawdzie Nietzsche nigdy Stirnera nie wspomina, ale nie ulega wątpliwości, że dzieło jego znał, i to znał dokładnie, bo całymi garściami z niego czerpał, i tu już na nic się nie zdadzą żadne wykryty, żadne wstydlive przebąkiwania ani też frasośliwe drapanie się w głowę:

Nie byłoby *Übermenscha* Nietzschego, gdyby nie było Stirnera *Der Einzige*.

Może jedyny Nietzsche znał Stirnera przed Mackayem, tak jak jego znał jedyny Ola Hansson, zanim miała się na niego zwalić ohydna lawina jego późniejszych „wielbicielei”.

Och, ci wielbiciele!

Często spotykałem Mackaya u dra Ascha — Asch był w bliskiej komitywie nieomal z całą ówczesną literaturą — i często próbowałem dojść z nim do jakiegoś ładu.

Ale nie sposób.

Na wszystko miał tylko jedną odpowiedź:

— Przeczytaj pan moją powieść *Anarchiści*.

— Ależ ja ją czytałem; niestety nie znalazłem w niej tego komentarza do Stirnera, o którym Pan mówi.

— To w takim razie zwróć się pan do *Nietzschkego*.

— Pan myśli o Nietzschem?

— Nietzsche — Nietzschke, to wszystko jedno.

— Pan zna Nietzschego?

— Po co? Znam Stirnera!

A było to właśnie w tym czasie, kiedy rozczytywałem się w pismach Nietzschego.

Dotychczas zajmowałem się poza oficjalnym studium medycyny wyłącznie psychologią. *De l'Intelligence Taine'a*¹³³ zrobiło na mnie silne wrażenie, przestudiowałem całego Ribota¹³⁴, Paulhana¹³⁵, z niemieckich psychologów Wundta¹³⁶ i Münsterbergera¹³⁷, no i oczywiście ubóstwianego poonczas Spencera¹³⁸. Toteż nie dziw, że Nietzsche swoją psychologią „naukową” imponować mi nie mógł, bom już to wszystko znał, a i względność

¹³¹Stirner, Max, właśc. *Johann Kaspar Schmidt* (1806–1856) — filozof niemiecki, gł. teoretyk indywidualizmu; wpłynął na rozwój anarchoindywidualizmu oraz anarchoegoizmu; autor książki *Jedyny i jego własność*, zawierającej wykład zasad egoizmu stirnerowskiego. [przypis edytorski]

¹³²*Der Einzige und sein Eigentum* — *Jedyny i jego własność*; główne dzieło Maksa Stirnera (1806–1856), niem. filozofa i teoretyka indywidualizmu, wyd. w 1844 r. w Lipsku; tytułowy „jedyny” to jednostka, której prawem jest wolność (wyzwolenie od wszelkich zobowiązań) i dążenie do własnej korzyści oraz samorealizacji (etyka egocentryzmu i subiektywizmu). [przypis edytorski]

¹³³*De l'Intelligence* — *O inteligencji*, główne dzieło słynnego francuskiego estetyka, filozofa i historyka Hippolyte'a Adolphe'a Taine'a (1828–1893), zawierające wykład podstaw filozofii naturalizmu. [przypis edytorski]

¹³⁴Ribot, Theodule (1839–1916) — francuski filozof i profesor psychologii eksperymentalnej w Sorbonie. Na język polski przełożono jego *Psychologię uczuć* (*La Psychologie des sentiments*, 1896) i *Logikę uczuć* (*La logique des sentiments*). [przypis edytorski]

¹³⁵Paulhan — prawdopodobnie chodzi tu o filozofa i pedagoga niemieckiego Friedricha Paulsena (1846–1908). [przypis edytorski]

¹³⁶Wundt, Wilhelm (1832–1920) — filozof niemiecki, jeden z twórców psychologii eksperymentalnej, poprzednik Freuda [przypis edytorski]

¹³⁷Münsterberg, Hugo (1863–1916) — niemiecko-amerykański filozof i psycholog, założyciel psychotechniki [przypis edytorski]

¹³⁸Spencer, Herbert (1820–1903) — ang. filozof, biolog i antropolog, współtwórca socjologii; przedstawiciel ewolucjonizmu. [przypis edytorski]

jego etycznych poglądów — *Jenseits von Gut und Böse*¹³⁹ — nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia — to miałem w krwi. Dawno już nie wiedziałem, co dobre, co złe, co piękne lub brzydkie — przestałem już operować kategoriami. Co natomiast wywołało we mnie najwyższy zachwyt i podziw — to język Nietzschego.

Nie główne dzieło Nietzschego: *Menschliches Allzumenschliches*¹⁴⁰ było dla mnie objawieniem — zaledwie parę kartek było dla mnie nowością, ale królewski, majestatyczny w swej bezmiernej poetyckiej piękności utwór: *Also sprach Zarathustra!*

Wiecie, kto mógłby ten utwór na język polski przełożyć?!

Jedyny Zygmunt Krasiński!

Język Nietzschego w *Zarathustrze*, to język Krasińskiego w przedmowie do *Irydiona* i w interludiach *Nieboskiej*.

Kiedym niedługo potem miał poznać siostrę wielkiego samotnika z Maria Sils (*il piccolo santo*¹⁴¹, jak go Włosi w Maria Sils nazywali), panią Elżbietę Nietzsche-Förster, która jeła głosić naokoło, że Nietzsche pochodzi z polskiej hrabiowskiej rodziny Nickich — odnalazł się nawet sygnet, przechowywany w rodzinie, z polskim szlacheckim herbem Nickich — wcale tym opowiadaniem zdumiony nie byłem, bo przecież i Nietzsche zdawał sobie sprawę z swego obcego pochodzenia, gdy pisał, że właśnie dlatego zdołał wniknąć w najgłębsze tajniki języka niemieckiego i wykrzesać z niego ukryte i tajemne piękności, których przed nim nikt nie przeczuwał, że nie był Niemcem, i zawsze podkreśla swoje polskie pochodzenie.

Według opowiadań pani Elżbiety, której pochodzenie polskie przypominały tylko i jedynie jej piękne rasowe ręce polskiej szlachcianki, jakich żadna Niemka nie posiada, wywedrował praszczur Nietzschego, dysydent polski, z lęku przed prześladowaniami z Polski do Saksonii i tu osiedlił się jako pastor ewangelicki. Potomkowie jego doszczętnie się wynarodowili i zmienili nazwisko Nickich herbu Radwan — na Nietzsche¹⁴².

Ale to już obojętne, ile w tym wszystkim prawdy: Polska nie ma na razie ochoty — niestety! — upomnieć się o tego syna, który byłby, Bóg wie, w jaki niesłychany sposób wzbogacił język polski, gdyby nie było mu przeznaczonym robić zdumiewające odkrycia w *terra incognita*¹⁴³ obcego języka. (Nb.: a z jaką łapczywością odbywa się obecnie rewindykacja dla Polski Korzeniowskiego-Conrada¹⁴⁴, który przecież z Nietzschem mierzyć się nie może!)

Cud języka Nietzschego może odczuć tylko Polak — toć to najcudowniejszy język polski, przetransponowany przez geniusza na język obcy! Język niemiecki Nietzschego gwałcił niebывale niemczyzną jego czasów: czytało go się jak obcego pisarza — język ten wywoływał zdumienie i gorący protest. Niemcy szkalują Nietzschego mianem filozofa, a on nigdy nie był ani chciał być filozofem, brzydził się tym mianem — on był przede wszystkim i jedynie potężnym poetą i twórcą własnego, jemu tylko właściwego języka, tak jak nim był w zakresie muzyki brat jego, Szopen.

Dla Niemca jest język Nietzschego więcej jeszcze może obcy niż dla Francuza język Szopena.

Czytajcie choćby tylko wstęp do *Also sprach Zarathustra* — tym majestatem dytyrambicznych, natchnionych, organowych dźwięków rozporządza jedynie język polski, który największą swą mistyczną potęgę osiągnął w muzycznej parafrazie Szopena.

Język Nietzschego wydał mi się od razu — może to wrażenie było, mimo swą oślepiającą prawdę, na wskroś paradoksalne — transpozycją muzyki Szopena.

Filozof, Artysta, Literat,
Poeta, Słowo, Polak,
Niemiec

¹³⁹*Jenseits von Gut und Böse* (niem.) — *Poza dobrem i złem*, wydany w r. 1886 zbiór aforyzmów i krótkich szkiców z dziedziny filozofii i sztuki, zawierający główny wykład etyki Nietzschego. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*Menschliches, Allzumenschliches* (niem.) — *Ludzkie, arcyłudzkie*; szkice estetyczno-literackie Nietzschego, wydane w l. 1878–80. [przypis edytorski]

¹⁴¹*il piccolo santo* (wł.) — mały święty. [przypis edytorski]

¹⁴²zmienili nazwisko Nickich herbu Radwan na Nietzsche — Dokładnie zbadał całą tę sprawę pochodzenia Nietzsche-Nickiego archiwalnie pan Szarlitt. [przypis autorski]

¹⁴³*terra incognita* (łac.) — ziemia nieznaną [przypis edytorski]

¹⁴⁴odbywa się obecnie rewindykacja dla Polski Korzeniowskiego-Conrada — w latach 1923–1926 wiele pisano o polskości Conrada, m.in.: Stefan Żeromski (*Joseph Conrad*, „Wiadomości Literackie” nr 33 z 1924 r.; *Autor radak*, „Naokoło Świata” luty 1925), Maria Dąbrowska (*Tragizm Conrada*, „Wiadomości Literackie” nr 63; *Prawdziwa rzeczywistość Conrada*, „Wiadomości Literackie” nr 285), Jarosław Iwaszkiewicz (*Conrad a Europa*, „Wiadomości Literackie” nr 57). [przypis edytorski]

Mało kto zdaje sobie z tego dokładnie sprawę, w jak wysokim stopniu kształtuje poczucie muzyki język artysty. Wiedział o tym Verlaine, kiedy w uniesieniu wołał: „*De la musique avant toutes choses*”; świadomym jest tego nieograniczonego wpływu piszący te słowa, któremu Niemcy zarzucali, że lekkomyślnie szopenizuje ich język, i wiedział o tym Nietzsche, gdy właśnie w tym czasie, w którym pisał swego *Zarathustrę*, jał namiętnie kochać Szopena, a w jego *Barkaroli*¹⁴⁵ dopatrywał się najszlachetniejszego, najwznioślejszego cudu, niemającego nic równego w całej literaturze muzycznej.

Barkarola!

Ten boski, orficzny hymn — czyż można by go lepiej, głębiej w słowach wypowiedzieć, jak słowami Nietzschego:

*Nie noch fand ich das Weib, von dem ich Kinder mochte, es sei denn dieses
Weib, das ich liebe, denn ich liebe, liebe Dich, ob Ewigkeit*¹⁴⁶!
Denn ich liebe Dich, ob Ewigkeit!

Barkarola! ta niezrównana pieśń nad pieśniami — jak łatwo ją usłyszeć w przeróbce, genialnej wprawdzie, ale zawsze w przeróbce — w *Feuerzauber* Wagnerowskiego¹⁴⁷ dramatu *Götterdämmerung* i *Liebston* w *Tristan und Isolde*!

Mógłbym dużo jeszcze powodów przytoczyć, dlaczego w pierwszej mej książeczynie, pisanej po niemiecku a zatytułowanej *Chopin und Nietzsche*, zestawilem Nietzschego z Szopenem, ale zajęłoby to zbyt dużo miejsca, bo już musiałbym teraz rozwijać całą moc psychologicznych problematów, które wówczas w moim mózgu się kotłowały, a raczej jasno już się krystalizowały.

Pisałem tę książeczynę, a raczej broszurkę, luźnymi kartkami, tak od niechcenia, bo ta niewiarogodna myśl, by to miało być kiedyś drukowane, nie powstała w mej głowie. Pisałem to dla siebie, tak ot! na marginesie dzieł Nietzschego.

Nietzsche zdawał sobie jak najzupełniej sprawę, że w swoich zamierzeniach psychologiczno-filozoficznych nie da sobie rady bez znajomości nauk przyrodniczych, toteż, jak wiadomo, zamierzał krótko przed swoją chorobą udać się do uniwersytetu wiedeńskiego, by tam gruntownie zapoznać się przede wszystkim z biologią, o której miał tylko słabuteńkie wyobrażenie. Nie dziw zatem, że wpływu na mnie wyrzucić nie mógł, właśnie w tym czasie, gdy przetwarzałem w moim mózgu zasady psychofizjologii, a nawet napisałem pracę o „progu świadomości” Fechnera¹⁴⁸ — oczywiście nie dla siebie, ale dla jakiegoś pana, któremu zachciało się być doktorem, a sam tej doktorskiej pracy napisać nie umiał.

Trzeba bowiem wiedzieć, że istniało poonczas w Berlinie biuro, które bogatym doktorantom dostarczało prac, na mocy których otrzymywali doktorat.

Otóż pracą w tym biurze zdobywałem sobie środki do życia — błogosławione biuro, bo nie wiem, jakbym inaczej był się na uniwersytecie utrzymał.

Napisałem kilka tych prac: jedną o wyprawie Napoleona na Moskwę — dużo przy tym zyskałem, bom poznał całą jego korespondencję z tych czasów, wydaną przez Napoleona III; pisałem o wpływie chloroformu na organizm zwierzęcy; jedną pracę z zakresu

Nauka, Fałsz, Pieniądz,
Bieda

¹⁴⁵*barkarola* — typ pieśni śpiewanej przez gondolierów, a także wywodząca się od niej instrumentalna forma muzyczna; tu chodzi o utwór F. Chopina *Barkarola Fis-dur*, op. 60. [przypis edytorski]

¹⁴⁶*Nie noch fand ich das Weib (...) liebe Dich, ob Ewigkeit* (niem.) — „Nigdy nie napotykał kobiety, z którą bym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham, albowiem kocham cię, o wieczności!”; cyt. z *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego, refren z rozdz. *Siedem pieczęci* (czyli: *Pieśń na „tak” i „amen”*), tłum. Wacław Berent. [przypis edytorski]

¹⁴⁷*Wagner, Richard* (1813–1883) — niemiecki kompozytor światowej sławy, twórca dramatu muzycznego, krytyk sztuki; w 1872 r. założył słynny teatr w Bayreuth, gdzie wystawiał wielkie widowiska operowe (deklamacje przy orkiestrze symfonicznej), w których wykorzystywał mity starogermańskie; naczelną ideą estetyki wagnerowskiej było zjednoczenie słowa, muzyki i obrazu. Opera *Tristan und Isolde* (*Tristan i Izolda*) należy do najbardziej znanych i dość wczesnych utworów Wagnera, napisał ją w 1859 r.; *Götterdämmerung* (*Zmierzch bogów*, 1876) stanowi ostatnią część tetralogii *Der Ring des Nibelungen* (*Pierścień Nibelungów*), poprzednie to: *Rheingold* (*Złoto Renu*, 1869), *Walküre* (*Walkiria*, 1870), *Siegfried* (*Zygfyrd*, 1876); misterium sceniczne *Parsifal* powstało w r. 1882. [przypis edytorski]

¹⁴⁸*Fechner, Gustav Theodor* (1801–1887) — przyrodnik i filozof niem., jeden z twórców psychofizyki i estetyki doświadczalnej (zapoczątkował eksperymentalne badania zjawisk psychicznych, zajmował się galwanizacją oraz badaniem procesów elektrochemicznych); główne dzieła: *Nanna, oder über das Seelenleben der Pflanzen* (*Nanna, czyli o życiu duchowym roślin*, 1848), *Elemente der Psychophysik* (1860), *Vorschule der Aesthetik* (1876). [przypis edytorski]

histologii, a mianowicie o tworzeniu się zębów u embrionów; inną zaś o najnowszych teoriach układu komórki organicznej; no i wreszcie o tym progu świadomości.

Ponieważ jednak doktorant przy egzaminie w Zurychu nie miał wyobrażenia o tym nieszczęsnym progu, nie wiedział nawet, że go logarytmem wyrazić można, więc sromotnie przepadł — praca jego wywołała silne podejrzenia — po nici doszło się do kłębka i jednego dnia zastałem biuro puste: pan dyrektor zdołał się w sam czas ulotnić.

A katastrofa ta przypadła właśnie na ten czas, kiedy krótko przedtem zapoznałem się z Stanisławem Grabskim, którego wtedy policja polityczna berlińska bardzo uważnie i czujnie śledziła.

Istniało wtedy w Berlinie pismo dla polskich robotników socjalistów: „Gazeta Robotnicza”, subwencjonowana przez zarząd socjalistycznej partii niemieckiej, ale ciesząca się jak najzupełniejszą autonomią i w niczym przez partię niemiecką ani kontrolowana, ani krępowana — mogłaby równie dobrze służyć interesom międzynarodówki, jak usilnemu pragnieniu, by stworzyć odrębną socjalistyczną partię polską.

W zarządzie partii niemieckiej jedyny Auer¹⁴⁹ patrzył podejrzliwie na poczynania, coraz jaśniejsze i wyraźniejsze nasamprzód za czasów redakcji Ignacego Daszyńskiego, a następnie Stanisława Grabskiego. Auerowi nie było w smak to bezustanne podkreślanie polskości polskich robotników socjalistów — toteż witał nas już u drzwi ironicznym okrzykiem: „*Polen kommt! Polen kommt!*”¹⁵⁰. Bebel zachowywał się obojętnie, zbyt dobrze wiedział, że z tej mąki — to znaczy z polskiego robotnika — chleba nie będzie; z całą zaś sympatią odnosił się do partii stary Liebknecht, jedna z najpiękniejszych i czi najgodniejszych postaci, jakie w ogóle w mym życiu poznałem; a zachwycający był stary Singer, bogaty fabrykant żydowski, ale wiernie „sprawie” oddany, kiedy raz po raz sypnął ostatnim dowcipem, który posłyszał w słynnej Börsen-Café, a wiadomo, że wytwórną najlepszych dowcipów to — giełda.

Rychło uporała się policja berlińska z Daszyńskim, a i Grabski, poddany rosyjski, czuł, że i jego bytowania w Berlinie długo nie będzie: coraz boleśniej przygrzewała mu stopy cała sfora szpiclów, więc w sam raz, w przededniu, kiedy go w triumfie paru szpiclów odstawiło do granicy, powierzył mi redakcję „Gazety Robotniczej”.

Ponieważ byłem pruskim poddanym, nie można mnie było wyrzucić, a ponieważ nie znałem innej religii nad ukochanie cierpienia i nędzy ludzkiej — nie! nie ludzkiej, tylko nędzy pracujących, wydziedziczonych, oszukiwanych, wyzyskiwanych — więc z rozkoszą objąłem w „Gazecie Robotniczej” krzesło redakcyjne.

Już Grabski ośmielił się krytykować Marksa i Lassalle’a — ja poszedłem dalej.

Stara międzynarodówka polska starała się na robotnika polskiego w ten sposób działać, aby przede wszystkim oderwać go od Kościoła i wyzbyć go wszelkich wierzeń religijnych.

„Chytry Wielkopolanin”, jak mnie nazwał jeszcze w Krakowie pan Ehrenberg¹⁵¹, obecny redaktor „Kuriera Porannego”, nie wspominał ani razu o Marksie ani o Lassalle’u.

To Hekuba dla robotników polskich, przeważnie analfabetów.

¹⁴⁹ Auer, Ignaz (1846–1907) — jeden z prawicowych przywódców niemieckiej socjaldemokracji. Kilkakrotnie poseł do Reichstagu. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *Polen kommt* (niem.) — Polacy przyszli. [przypis edytorski]

¹⁵¹ Ehrenberg, Kazimierz (1870–1932) — dziennikarz konserwatywny, krytyk teatralny i tłumacz sztuk teatralnych, syn Gustawa Ehrenberga (1818–1895, naturalnego syna cara Aleksandra I, działacza tajnego Stowarzyszenia Ludu Polskiego, poety, autora hymnu ruchu ludowego *Gdy naród do boju wystąpił z orężem*, zesłańca); od 1896 r. współpracownik konserwatywnego „Czasu” i „Głosu Narodu”, od 1902 r. sekretarz i recenzent teatralny warszawskiego „Wiek”, od 1905 r. publicysta polityczny „Kuriera Porannego”, w okresie międzywojennym związany z „Gazetą Polską”. [przypis edytorski]

Natomiast powoływał się bezustannie na Ewangelię, na pisma Ojców Kościoła¹⁵², św. Ambrożego¹⁵³, Tertuliana¹⁵⁴, Laktancjusza¹⁵⁵, rozpoczął walkę z konserwatywno-katolicką, na wskroś niemiecką, ale w polskim języku redagowaną prasą na Górnym Śląsku, której najzjadliwszym organem był bytomski „Katolik” pana Napieralskiego — znacie go chyba z wojennych czasów; pisał ogniste artykuły, co by się stało z Chrystusem, gdyby się teraz zjawiał na ziemi; a artykułem pt: *Siedem kłamstw „Katolika”* zjednał sobie „chytry Wielkopomlanin” nawet życzliwe poklepywanie po ramieniu przez Londyn!

Ale mimo to Londyn kwaśno się uśmiechał. Socjalizm bez Marksa! Socjalizm bez radykalnego wykorzenia wiary z robotnika — horror i herezja! Ale na razie trzeba było odczekać. Liczba abonentów stale wzrastała, pismo docierało i do Galicji, i do Kongresówki. Kolportowano je gorliwie w Królewskiej Hucie, Bytomiu, Katowicach, Szarleju, bom właśnie na Górny Śląsk, to główne w onym czasie zbiorowisko mas robotniczych polskich, zwrócił całą moją uwagę: zbyt dobrze wiedziałem, że z rolnym robotnikiem w Księstwie Poznańskim nic począć nie można, ale wreszcie snadź przeholowałem. W tym samym czasie, w których mnie w Księstwie Poznańskim wyklinano z ambon, zostałem oskarżony o „propagandę katolicką” przed zarządem partii niemieckiej i anim się spostrzegł, a już towarzysz Mokłowski¹⁵⁶, niezmiernie zdolny architekt, który po sobie pozostawił świetne dzieło o budownictwie polskim, zajął moje miejsce.

To by było jeszcze pół biedy.

Socjalistą w oficjalnym znaczeniu nigdy nie byłem i oczywiście być nie mogłem. Przecież nie mogłem się godzić na naiwne, tak prostacko grubo materialistyczne pojmowanie dziejów Marksa, ani też na adwokacko-ochłokratyczną politykę Kleona-Lassalle’a; nie mogły mnie głębiej zainteresować pisma samouka, genialnego wprawdzie, ale najgrubszym materializmem zakajdanionego samouka Bebla, ani też oschły dogmatyzm Engelsa... To wszystko było dla mnie za naiwne, a znowu zbyt mądre i niedościgłe dla prostaczego rozumu robotnika — więc z punktu widzenia kanonicznego socjalizmu byłem całkiem nie na swoim miejscu i Jodko-Narkiewicz miał słuszość, gdy twierdził, że artysta w polityce może tylko zamęt wytworzyć.

Tak, to byłoby pół biedy.

Ale zaszła jednak okoliczność, która mnie całkiem wytrąciła z tej drogi życia, którą iść postanowiłem.

Mój szósty semestr medycyny dobiegał do końca. Policja od dawna już mnie pilnie śledziła, ale jakoś nie mogła się do mnie przyczepić (chytry jestem — co, panie Ehrenberg?), ale Stanisław Grabski, którego przepędzono ze Lwowa do Paryża, zjechał nagle, mimo surowego zakazu, do Berlina, by wziąć udział w wyborach na Śląsku. Wynająłem mu w Berlinie po kryjomu mieszkanie, co stanowiło poonczas polityczną zbrodnię, i obydwa byliśmy na tyle naiwni, żeśmy sądzili, iż go już teraz nikt nie pozna, bo nosił olbrzymie niebieskie okulary, aleśmy się pomylili.

¹⁵²Ojcowie Kościoła — apologeti chrześcijańscy z wczesnego okresu chrześcijaństwa (I–IV w.), których pisma i nauka jest ważna dla ukształtowania się doktryny. [przypis edytorski]

¹⁵³św. Ambroży (ok. 339–397) — arcybiskup Mediolanu, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego, wyznawca (tj. świadek wiary, otoczony pośmiertnym kultem, zmarły śmiercią naturalną), ojciec i doktor Kościoła; zwalczał arian, przeciwników ustaleń soboru nicejskiego I (z 325 r.), wyznawców kultów pogańskich, a także judaizm; był wybitnym mówcą, głoszącym katechezy mistagogiczne (tj. wprowadzające w misterium wiary, duchową tajemniczą rzeczywistość), miał wielki wpływ nie tylko na lud, który nauczał, ale również na władców. [przypis edytorski]

¹⁵⁴Tertulian, właśc. *Quintus Septimius Florens Tertullianus* (ok. 155–ok. 240) — teolog chrześcijański z Afryki Płn., pierwszy z piszących po łacinie; przeszedł na chrześcijaństwo ok. 197; płodny apologeta, autor m.in. *Preskrypcji przeciw heretykom*, głosiciel zasady sprzeczności wiary z rozumem oraz prymatu wiary; ok. 207 roku zerwał z Kościołem Rzymu i przeszedł do bardziej rygorystycznych moralnie i religijnie *montanistów*. [przypis edytorski]

¹⁵⁵Laktancjusz, właśc. *Lucius Caecilius Firmianus Lactantius* (ok. 250–330) — pisarz, teolog i apologeta chrześcijański, ojciec kościoła, retor; doradca Konstantyna Wielkiego, wychowawca jego syna Kryspusa; zwany *Cicero christianus*, tj. chrześcijańskim Cyceronem (ze względu na płynność wymowy, ale również na cele, które sobie stawiał jako mówca i autor); autor popularnego traktatu *Divinarum Institutionum* (powst. 304–313, tłum. jako „Boże rozporządzenia” a. „Podstawy nauki Bożej”), w którym m.in. wyśmiewał poglądy o kulistości Ziemi, co wytknął Kopernik w swojej książce. [przypis edytorski]

¹⁵⁶Mokłowski, *Kazimierz* (1869–1905) — architekt i badacz architektury polskiej, autor dzieła *Sztuka ludowa w Polsce*, Lwów 1903. [przypis edytorski]

Na drugi czy trzeci dzień zaarrestowano Grabskiego, mnie już osadzono w więzieniu w Moabicie¹⁵⁷, a gdy mnie wypuszczono, znalazłem zawezwanie do rektora, wielkiego Virchowa¹⁵⁸, który mnie pożegnał tymi słowy: „*Wenn Sie von der Universität nicht weggehen, so werden Sie gegangen*”¹⁵⁹.

Tak się zakończyły moje psychopatyczne sny o profesurze psychiatrii, bo było moim najpiękniejszym marzeniem zostać wielkim psychiatrą!

Zawsze kochałem obłąkanych, psychopatów, degeneratów, wykolejenców, ludzi niedociągniętych, spaczonych, takich, którzy śmierci szukają, a ta ich unika, jednym słowem: biednych, wydziedziczonych, dzieci Szatana¹⁶⁰, i oni mnie nawzajem kochali.

*Raté, raté, ça encore raté*¹⁶¹!

IX

A dawno już przeczuwał dr Asch, że ta sprawa z „Gazetą Robotniczą” źle się skończy.

— Co pan pocznie, jak pana z uniwersytetu wyleją? Przecież to prędzej czy później nastąpić musi — i nieubłagane nastąpi.

— Nie wiem.

Milczenie.

— Niech się pan przyzna, mnie się pan przyznać może — pan pisze?!

— Pewno że pisałem — tak sobie, dla siebie — mam nawet kilkadziesiąt kartek, by być *au courant*¹⁶² z samym sobą.

— Bardzo będę panu wdzięczny, jeżeli mnie pan zaszczyci tym zaufaniem i przyniesie mi to, co pan napisał.

— Panu — tak!

I przyniosłem mu manuskrypt *Chopin und Nietzsche* — uporządkowałem go dopiero jednej nocy, by Asch nie potrzebował się gubić w chaotycznych notatkach.

— Bardzo dziękuję, wieczorem przeczytam, teraz mnie ciężki połów oczekuje.

Asch był znanym ginekologiem.

Zdarzyło się, że dopiero po paru dniach go odwiedziłem.

— Oj, wesołą nowinę mogę panu zwiastować.

— Co takiego?

— Bardzo poważny nakład... Fontane et Co będzie drukować pańską broszurę.

Nie wiem, czym kiedy był tak zakłopotany, onieśmielony, zafrasowany...

To byłoby trudne do zrozumienia, gdyby nie to, że ja do dziś dnia uczuвам jakiś dziwny głęboki wstyd, gdy widzę wydrukowane moje nazwisko, a przecież dawno powinienem był się z tym otrząsać. Jakiś afisz mego dramatu lub odczytu fizyczny wprost ból mi sprawia, a gdy się znajdę na estradzie, kołą mnie te setki oczu, zwróconych na mnie, gdyby¹⁶³ ostre, przykre szpilki.

Zwierzyłem się Aschowi z tej przykrości.

— Z czegoś pan żyć musi, z medycyny już nic! Teraz pozostaje dla pana tylko literatura, a pan pisać umie — zdumiewające, że pańskimi pierwocinami kto inny mógłby zakończyć. Ale mniejsza o to — komplementów prawić nie będę — manuskrypt pański

¹⁵⁷mnie osadzono już w więzieniu w Moabicie — Przybyszewski przebywał w więzieniu śledczym w Moabicie przez dwa tygodnie w r. 1896, aresztowany w związku z samobójstwem Marty Förder, córki kupca bławatnego z Wągrowca, która żyła z nim w wolnym związku w Berlinie od 1891 r. i była matką trojga jego dzieci. [przypis edytorski]

¹⁵⁸Virchow, Rudolf (1821–1902) — antropolog niemiecki: jeden z twórców współczesnej anatomii patologicznej; dyrektor instytutu patologii w Berlinie, od r. 1856 współwydawca *Sammlung gemeinverständlicher wissenschaftlicher Vorträge* (Zbiór popularnych rozpraw naukowych). [przypis edytorski]

¹⁵⁹*Wenn Sie von der Universität nicht weggehen, so werden Sie gegangen* (niem.) — Jeżeli pan sam nie odejdzie z uniwersytetu, to zostanie pan wydalony. [przypis edytorski]

¹⁶⁰dzieci Szatana — tu: aluzja do tytułu książki Przybyszewskiego wydanej po raz pierwszy po niemiecku w Monachium w r. 1897 pt. *Satanskinder*, przetłumaczonej przez autora na jęz. polski pt. *Dzieci Szatana* (Lwów 1901). [przypis edytorski]

¹⁶¹*raté, raté, ça encore raté* (fr.) — nie udało się, nie udało się, znów się nie udało. [przypis edytorski]

¹⁶²*au courant* (fr.) — na bieżąco. [przypis edytorski]

¹⁶³gdyby (daw.) — niby, jak. [przypis edytorski]

zanosłem znajomemu mi krytykowi, teraz już w Berlinie bardzo poważanemu. Zna pan jego nazwisko? Franciszek Servaes¹⁶⁴.

On — zaledwie zdążył przeczytać — pobiegł do znajomego nakładcy Fontane, co go wielkiego trudu nie kosztowało, bo Fontane mieszka o piętro niżej. Fontane w tej chwili wziął, a ja wydusiłem od niego nawet honorarium w kwocie stu marek — to bardzo dużo, bo pan wie, że „początkujący” muszą nakładcy opłacać koszt druku!

Byłem przygnębiony tą „radosną nowiną” — wstyd mnie dławiał, bo nagle uczułem, że to wszystko, com napisał, było tak bezmiernie naiwne i głupiutkie — przecież to tylko tak dla siebie na kolanie pisane!

Ale już teraz nie mogłem odwrócić biegu mego przeznaczenia dostałem się w literaturę, a Bóg mi świadkiem, że tego nie chciałem, minąłem się z moim powołaniem, przecież ja miałem być muzykiem; jak tego sobie tak gorąco moja matka życzyła, a już jeżeli nie muzykiem — to księdzem! A i księdzem byłbym został, gdybym był zastał na ziemi gotyk! No, psychiatrą już teraz zostać nie mogłem.

Moje pryemie na „kapłana literatury” były jedną udręką. Omijałem ulice z księgarzami, w których mogłoby być moje dzieło wystawione na pokaz publiczny, lękałem się wiać gazetę do ręki, by się tam nie spotkać z moim nazwiskiem.

Jednego dnia wdrapał się na czwarte piętro po niesłychanie brudnych wschodach w niechlujnym domu — najuboższej dzielnicy robotniczej — do mego mieszkania (he, he: pokój, który zaledwie zdołał pomieścić łóżko, stół i dwa krzeselka) słynny już wtedy krytyk Franciszek Servaes.

— Nie przyszła góra do Mahometa, przyszedł Mahomet do góry — powiedział żartobliwie. — Swoją drogą przyznam się panu, że bym tej podróży na Wedding nie odbył — br! co to za dzielnica, pierwszy i ostatni raz ją widzę! — gdyby nie usilna prośba Oli Hanssona, serdecznego mego przyjaciela, bym pana mu, o ile możliwe, żywcem przyprowadził. Dziś jadę — niech się pan zbiera. Hansson chce koniecznie poznać człowieka, z którym wreszcie tu w Niemczech będzie się mógł porozumieć. Kartka, którą mi pisze, nie jest pochlebna dla nas, Niemców, ale widzi pan, ja tę pigułkę przełknąć mogę, ja pochodzę z Holandii.

Ola Hansson!

Zadrzałem z lęku, że mam stanąć wobec tego człowieka, który już od dawna był dla mnie czymś — jestem w kłopotcie, by określić, czym był dla mnie poonczas Ola Hansson.

Prawda: on sam stworzył miano na tę bezmierną wartość w swym zbiorze krytycznych *essays* pod tytułem *Seber und Deuter*, książki świetnie przetłumaczonej przez Stanisława Lacka¹⁶⁵ na język polski — pod tytułem, jeżeli się nie mylę: *Jasnovidze i prorocy*.

I tym był już od dawna dla mnie Ola Hansson!

Z głęboką miłością pisałem o nim w drugim tomiku *Zur Psychologie des Individuums*¹⁶⁶ — nie potrzebuję się zatem tu dłużej rozwozić, jak wielką rolę odegrał w moim życiu umysłowym ten członek i artysta, z najszczerzego złota ukuty.

Nie w tym znaczeniu, by mnie pchnął na jakieś nowe tory — to było wykluczone, bo już wtedy byłem zbyt samoistnym, by podlegać obcym wpływom, ale swoimi, często i gęsto po wszystkich czasopismach niemieckich rozsypanymi, głębokimi i wytwornymi artykułami pobudzał mój mózg do coraz usilniejszej pracy. Jedna jego wskazówka wystarczyła, bym tygodniami całymi starał się dotrzeć do jądra rzeczy; uzupełniał i pogłębiał to, co już wiedziałem, a szukał dokładnej wieści o tym, o czym tylko napomykał i wspominał jako o rzeczy dla niego dawno już znanej, a całkiem obcej nie tylko dla mnie, ale i dla całej rzeszy literackiej w Niemczech.

¹⁶⁴ Servaes, Franz Theodor (1862–1947) — krytyk literacki w Berlinie w l. 1884–1899; od r. 1899 prowadził dział felietonu literackiego w wiedeńskiej „Neue Freie Presse”; od 1915 sprawozdawca teatralny w Berlinie; pierwszy zwrócił uwagę niemieckich czytelników swymi bardzo pozytywnymi artykułami na Przybyszewskiego; w powieści *Garungen* („Fermenty”, 1897) przedstawił Przybyszewskiego w postaci wiecznie pijanego Czecha Spirydona Krakuschka. [przypis edytorski]

¹⁶⁵ Lack, Stanisław Izrael (1876–1909) — tłumacz i krytyk młodopolski, współpracownik krakowskiego „Życia”. Jego tłumaczenie *Seber und Deuter* Hanssona ukazało się pt.: *Jasnovidze i urózbici*, Warszawa 1905. [przypis edytorski]

¹⁶⁶ *Zur Psychologie des Individuums* — tzn. O psychologii jednostki; t. I *Chopin und Nietzsche*, Berlin 1891, t. II *Ola Hansson*, Berlin 1892. [przypis edytorski]

I nie tylko w mym życiu umysłowym odegrał ważną rolę, ale i w całej literaturze niemieckiej pomiędzy 1880 do 1890 zapisał swe nazwisko niezatartymi głoskami.

Przecież on Niemców nauczył, a przynajmniej pragnął nauczyć, bardzo trudnej sztuki: pisania tego, co się esej nazywa. Język jego, niezmiernie sugestywny, wnikliwy, ostry i giętki jak najszlachetniejsza stal toledańskiego floretu, był czymś tak zdumiewająco nowym, że język niemieckiego pisarza wydawał się w porównaniu z stylem Hanssona ordynarnym rąbaniem ciężkiego papieru niemieckiego bursza.

A poza tym wkroczył ten młody Szwed na arenę literatury niemieckiej z bogatym i olśniewającym rynsztunkiem europejskiej kultury.

Podczas dłuższego pobytu w Paryżu poznał wszystkie prądy literackie w Francji, kiedy już naturalizm tam likwidował swoje rachunki, a w Niemczech dopiero o nim przebąkiwać poczęto; napisał cały szereg świetnych sylwetek najmłodszych pisarzy francuskich; pisał o Rimbaudzie¹⁶⁷ i Verlainie, z entuzjazmem kreślił wspaniały portret duchowy Barbeya d'Aureville¹⁶⁸, a jeżeli dziś ktoś w Niemczech z głęboką czcią wspomina Huysmansa — jedynie jemu ma do zawdzięczenia.

Zapoznał Niemcy z Nietzschem i Stirnerem, boć biedny Mackay nie wiedział, jakie przepastne głębie straszły w tworze przez niego wydanym; odsłonił zdumionym oczom ponurą piękność Edgara Poe¹⁶⁹ i duszę rosyjską w jej najszlachetniejszym przejawie, jakim jest twór Garszina¹⁷⁰.

On odtwarzał swoją zdumiewającą intuicją, jakimś niesłychanie głębokim wniknięciem w dany twór, wszystko to, czego pisarz nie wypowiedział, ale co głębszą pięknnością kwitło między liniami — zapominał czasami o tworze samym i jał na dany temat pisać przecudowne wariacje i tak narzucał duszy czytelnika z wizjonerską siłą portrety Strindberga¹⁷¹, Arne Garborga¹⁷² i tych wykołajeńców, i potępionych, i wyklętych, jak Arne Dybfesta lub Hansa Jaegera¹⁷³.

Dusza na wskroś arystokratyczna i o takiej wysokiej kulturze brzydziła się niepomier- nie płaskim poziomem kultury niemieckiej (nie miał może Hauptmann więcej niebezpiecznego, bo pobłażliwie uśmiechniętego, wroga od niego — o Sudermannie¹⁷⁴ w ogóle nie wspominał), ale z pokorną i głęboką czcią rozkochał się w akwafortach Maksa Klinge-

¹⁶⁷Rimbaud, Jean Arthur (1854–1891) — czołowy poeta symbolizmu francuskiego, prekursor wielu kierunków w poezji światowej; pisał od 16 do 19 roku życia; zbiory: *Une Saison en enfer* (*Sezon w piekle*, 1873), *Les Illuminations* (*Iluminacje*, 1886). [przypis edytorski]

¹⁶⁸Barbey d'Aureville, Jules (1808–1889) — literat i krytyk francuski; apologeta feudalizmu i katolicyzmu; autor niesamowitych opowiadań *Les Diaboliques* (1874, w przekładzie polskim: *Plemię diabła*). [przypis edytorski]

¹⁶⁹Poe, Edgar Allan (1809–1849) — pisarz amerykański, autor przepojonych pesymizmem nowel i poezji (*The Raven*, *Kruk*, 1845), o tematyce fantastycznej i sensacyjno-makabrycznej, licznie naśladowanych, zmarł w ostatniej nędzy w szpitalu w Baltimore, znaleziony na ulicy w stanie zatrucia alkoholem. [przypis edytorski]

¹⁷⁰Garszin, Wsiewołod (1855–1888) — popularny w kołach „Młodych Niemiec” pisarz rosyjski; przedstawiciel dekadentyzmu, autor przepojonych liryzmem pesymistycznych nowel psychologicznych, sięgających po formy alegoryczne i symboliczne oraz wyrażające moralne i społeczne konflikty epoki; najbardziej charakterystyczne dla jego twórczości jest autobiograficzne opowiadanie *Czerwony kwiatek* (ros. *Красный цветок*, 1883). [przypis edytorski]

¹⁷¹Strindberg, August (1849–1912) — pisarz i malarz szwedzki, ustanowił nowy język literacki i formę nowoczesnego dramatu, zaszczyił w Szwecji europejskie prądy literackie (np. naturalizm, ekspresjonizm); autor m.in. dramatów *Ojciec* (1887), *Panna Julia* (1888), *Pierwsze ostrzeżenie* (1892), *Do Damaszku* (1898), *Zbrodnie i zbrodnie* (1899), *Gustaw Waza* (1899), *Sonata widm* (1907); powieści *Czerwony pokój* (1879), *Historie matżeńskie* (I, 1884; II, 1886), *Spowiedź szaleńca* (1888), *Inferno* (1897), eseju z zakresu krytyki sztuki *Nowe sztuki czyli rola przypadku w powstawaniu dzieła sztuki* oraz obrazów w duchu ekspresjonizmu, m.in. *Kraina czarów* (1894) czy *Miasto* (1903), a także eksperymentalnych fotografii (m.in. cyklu autoportretów z lat 1886, 1893 i 1906). Droga ewolucji Strindberga wiedzcie od krytyki idealizmu mieszczańskiego ze stanowiska realistyczno-naturalistycznego, poprzez studia psychopatologiczne, nietzscheanizm i okultyzm, aż do skrajnego katolickiego mistycyzmu w *Inferno* (1897). [przypis edytorski]

¹⁷²Garborg, Arne (1851–1924) — norweski dziennikarz, poeta i prozaik tworzący w języku nynorsk; pochodził z wielodzietnej rodziny chłopskiej; mąż prozatkarki, dramatopisarki i tancerki, popularyzatkarki folkloru i feministki, Huldy Garborg (1862–1934); autor powieści (m.in. *Mannfolk* 1886, *Trætte Mand* 1891, *Fred*, 1892), a także zbiorów poezji i esejów na temat języka i literatury norweskiej, tłumacz *Odysei* Homera. [przypis edytorski]

¹⁷³Jaeger, Hans (1854–1910) — pisarz norweski; zwolennik pseudonaukowej teorii antagonizmu płci; wywołał dyskusję powieściami *Fra Christiania-bohemen*, 1885, i *Sykjaerlighed*, 1893, w których daje naturalistyczne opisy życia seksualnego studentów i propaguje wolną miłość. [przypis edytorski]

¹⁷⁴Sudermann, Hermann (1857–1928) — pisarz niemiecki, rodem z Prus Wschodnich; debiutował 27 XI 1889 r. w teatrze Lessinga dramatem *Die Ehre* („Honor”); autor powieści obyczajowo-ziemiańskich (*Frau Sorge*, 1857). [przypis edytorski]

ra¹⁷⁵, i to do tego stopnia, że za pieniądze, którymi miał zapłacić gwałtowny jakiś weksel, kupił sobie przypadkowo w jakimś wystawowym oknie wystawioną akwafortę Klingera:

W brudne i błotniste łożysko ziemi zjeżdża na dwóch delfinach para kochanków w świętym i namiętym uścisku, a na nich sypie się grad kamieni!

Każdy jego artykuł był dla mnie objawieniem — własnej mej duszy. Czegom jeszcze wypowiedzieć nie umiał, bo zbyt mało przeżyłem i zbyt skąpo byłem obeznany z tym, co mi było tak nieskończenie bliskie i pokrewne; czegom jeszcze nie zdołał sobie uświadomić, choć to już wszystko na progu świadomości ostatniego zbawczego słowa wycze-kiwało — to mi wszystko powiedział Ola Hansson, i ten *Seher* i *Deuter* wskazał drogę nieśmiałym barankom, myślom moim, kędy jest ich pastwisko.

Byłem opętany tym wielkim artystą, budzicielem dusz i jasnowidzem — z ciężkim trudem wystarałem się o dwa małe tomiki jego własnej twórczości: *Sensitiva amorosa* i *Parias*, a nie pomnę, bym kiedyś czytał cokolwiek z równym nabożeństwem, jak te dwie małe książeczki ubóstwianego przeze mnie pisarza.

Poza tym trzeba pamiętać, że wiedza, a szczególnie wiedza przyrodnicza, która w onym czasie świeciła swoje najwyższe triumfy, nie tyle mi imponowała, ile była istotnie moją prawdziwą duszną¹⁷⁶ potrzebą. Poza tym rozporządzał Ola Hansson niezwykle rozległą wiedzą, a przede wszystkim w zakresie psychofizjologii i biologii — stąd jego przedziwne porównania, czerpane z wiedzy przyrodniczej — i w tym, jedynie w tym, byłem jego uczniem i przyjąłem w pierwocinach mojego tworu jego metodę pisania.

Tym się tłumaczy natłok przyrodniczej wiedzy w moich pierwszych książkach, a może najwięcej w moim pierwszym dziele *Totenmesse*¹⁷⁷ — w polskim tłumaczeniu *Requiem aeternam*.

Snadź odczuł to Ola Hansson, który z energią, graniczącą z zaciekłością, starał się połączyć, a raczej skojarzyć linię przyrodniczo-filozoficznego myślenia z twórczo-intuitywną, pozamózgową siłą, kiedy napisał o moim pierwszym twórczym dziele niemal entuzjastyczne sprawozdanie: on jeden znał doszczętnie istotę mej twórczości.

A tą istotą — zimna, twarda, a może nawet i brudna ruda żelaza, bezustannie topiona w piecu o tysiącu stopniach gorąca.

*Hands off*¹⁷⁸! Bo się sparzysz!

I ten człowiek — nie doszukacie się go w żadnej historii literatury, nie znajdziecie go w żadnym Conversations-Leksikonie — wydaje mi się być jednym z tych *certain*s, przed którymi ludzkość może za jakie pięćdziesiąt lat korzyć się będzie, o ile znajdzie się znowu jakiś Ola Hansson, który go odnajdzie.

A zdumiewające: ten człowiek, który w każdym słowie, jakie napisał, był zaciekłym anarchistą, wywrotowcem, ale tylko takim, jakim może być jakiś wytworny i wielki pan — ten człowiek był w całym swoim życiu cichy, spokojny i dziwnie pokorny — pokorą geniusza.

A było, że się nagle usta jego zacisnęły, mięśnie twarzy jęły się kurczyć i drgać, cała postać jęła się kurczyć, a palce rąk bębniły niesamowicie na stole jakąś złą fanfarę, ale tylko wtedy, gdy mowa była o Szwecji, która swego — może najszlachetniejszego syna — wyżeniła¹⁷⁹.

Z bijącym sercem przekroczyłem próg małego domku, w którym Ola Hansson zamieszkiwał wraz z swoją żoną i dwuletnim synkiem.

Powitanie było proste, bez żadnej serdeczności — Szwed nie umie być serdeczny ani wylany¹⁸⁰, nie robi nigdy żadnych komplementów, co najwyżej zaznaczy lekkim uśmiechem, czy gościowi jest rad lub nie.

¹⁷⁵*Klinger, Maks* (1857–1920) — malarz, rzeźbiarz i rytownik niemiecki; tworzył częściowo pod wpływem Böcklina. [przypis edytorski]

¹⁷⁶*duszny* (daw.) — właściwy duszy; dziś: duchowy. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*w moim pierwszym dziele „Totenmesse”* — pierwszym drukowanym utworem Przybyszewskiego była wspomniana już rozprawa *Chopin und Nietzsche* (1892). Poemat prozą *Totenmesse* („Msza za umarłych”) ukazał się w Berlinie w r. 1893, a w tłumaczeniu polskim autora pt.: *Requiem aeternam* po raz pierwszy w r. 1901. [przypis edytorski]

¹⁷⁸*hands off* (ang.) — ręce precz. [przypis edytorski]

¹⁷⁹*wyżeniła* (daw.) — wygoniła. [przypis edytorski]

¹⁸⁰*wylany* (daw.) — dziś: wylewny. [przypis edytorski]

Servaes znał Hanssona już dawniej, przecież umyślnie do niego pielgrzymował, kiedy Hansson mieszkał jeszcze w swej ojczyźnie: na wybrzeżu południowej Szwecji, niedaleko miasta uniwersyteckiego Lund, toteż między nimi zawiązała się szybko rozmowa, której byłem niemy słuchaczem — miałem czas ochłonąć i nabrać odwagi.

Uderzyła mnie piękna i szlachetna postać Hanssona. Ponad miarę średniego wzrostu, szczupły, o delikatnej, rasowej twarzy, przez którą raz po raz przebiegał lekki skurcz, zwłaszcza gdy się ożywał, robił już na pierwszy rzut oka niezmiernie ujmujące wrażenie. Miał mi go w kilka lat później przypominać śp. Włodzimierz Tetmajer¹⁸¹, i istotnie: ile razy patrzyłem na ukochanego Włodka, tyle razy stawał mi w pamięci Hansson, to znaczy syn chłopca Hansa.

Tylko że chłop szwedzki, to nie chłop polski, a przynajmniej nie ten, którego my chłopem nazywamy. Każdy z nich niemal może się wykazać wysoką kulturą, uniwersyteckim wykształceniem, a ich gaardy nie różnią się w niczym od dworaków zamożniejszej naszej szlachty. Wszędzie znajdziesz tam i zasobną bibliotekę, i fortepian, i wszystko to, co się tylko u północnych narodów napotyka: pedantyczną niemal czystość i prostą, ale troskliwą wygodę.

Chłop skandynawski jest w sobie zamknięty, mówi mało i skąpo, a skrajnie konserwatywnego elementu, jaki przedstawia chłop skandynawski, nie znajdzie się chyba nigdzie — bo słynny konserwatyzm angielskiego chłopca jest tak fatalnie pomieszany z obrzydliwym kantem, że wydaje się wobec skandynawskiego szczerego i prostolinijnego konserwatyzmu wstrętną obłudą.

Toteż nigdzie może nie ściga „chłop”, bo nigdzie nie ma tej prawomocnej siły i możliwości ku temu, wszystkich objawów ewolucyjnych — nie mówiąc już o rewolucyjnych — czy to w religii, czy w polityce, czy też w sztuce, z taką surową zaciekłością, jak w Skandynawii.

Nieubłagane są te chłopskie rządy (garść szlachty szwedzkiej mało co wchodzi w rachubę) dla wszelkiej wybujałości, śmielszych zapatrywań, w ogóle dla wszystkiego, co ponad zwykłą normę wyrasta.

Każdy jakiś śmielszy utwór wywołuje już nie burze, ale huragany oburzenia, prześladowań i nigdzie nie można się silnemu i odważnemu artyście tak łatwo dostać na listę proskrypcyjną i znaleźć się całkiem poza nawiasem społeczeństwa, jak właśnie w Skandynawii.

Ibsen musiał z Norwegii uciekać i pół życia strawił za granicą, a jeżeli dramat jego *Podpory społeczeństwa*, w którym z zajądlą wiernością odtwarza stosunki towarzyskie i społeczne w Norwegii (i z tego punktu widzenia, to znaczy obyczajowego, posiada dużą wartość), wywołał grozę i najwyższe oburzenie, to dramat jego *Upiory* stał się przyczyną niebezpiecznego wrzenia w całym społeczeństwie.

Trzeba było długich lat, w których Ibsen wywalczył za granicą to ogromne *prestige* dla sztuki skandynawskiej, jakim się jeszcze obecnie cieszy, by Ibsen mógł na starość zamieszkać w swej ojczyźnie.

Trzeba było na to głosu całej Europy, by Norwegia zrozumiała, jaką *magna pars*¹⁸² majątku narodowego przedstawia Ibsen.

I Arne Garborg musiał się tułać długi czas za granicą, zaczem mu wybaczone pierwsze jego i to najcięższe powieści. Hans Jaeger zdołał umknąć w przeddzień aresztowania go za jego książkę *Christiania-Boheme*, a malarz Christian Krohg¹⁸³, również doskonały pisarz, mocno otarł się o kryminal za swoją powieść *Albertine*.

¹⁸¹ Tetmajer, Włodzimierz (1862–1923) — malarz, polityk i literat, ożeniony z chłopką z Bronowic, posłużył Wyspiańskiemu za prototyp Gospodarza w *Weselu*. Przyrodni brat poety Kazimierza Tetmajera. [przypis edytorski]

¹⁸² *magna pars* (łac.) — wielka część. [przypis edytorski]

¹⁸³ Krohg, Christian (1852–1925) — norweski pisarz i malarz, prekursor impresjonizmu w Norwegii, jedna z czołowych postaci bohemy artystycznej w Oslo, autor powieści *Albertine* (1886) stanowiącej ostrą krytykę metod działania policji obyczajowej, a opowiadającej o niezamężnej krawcowej zmuszonej przez sytuację materialną do uprawiania prostytucji; powieść wywołała skandal, nakład skonfiskowano w następnym dniu po publikacji, zaś pruderia sądów wywołała zaś protesty czytelników. [przypis edytorski]

W Szwecji szczwano Strindberga przez całe życie, dopóki nie dostał obłądu przesładowczego; liryka wielkiej miary Frödinga¹⁸⁴ unieszkodliwiono w domu obłąkanych, a Ola Hansson był już po napisaniu pierwszego swego tomiku nowel, *Sensitiva amorosa*, zmuszony czym prędzej ojczyznę swoją opuścić.

Nie lepiej postępowała Dania: Gustawa Wieda¹⁸⁵ stawiano ustawicznie pod pręgierz, w niczym ni lepszy, ni gorszy, jakim swego czasu Anglia ukarała Daniela Defoe¹⁸⁶. Herman Bang¹⁸⁷ znalazł w końcu przytułek w Ameryce, a wspomniały liryk Holger Drachmann¹⁸⁸ nie opuszczał do końca życia Hamburga.

Zresztą cóż to mówić o Skandynawii — czy w jakim kraju dzieje się inaczej?

Właściwie są to jałowe oskarżenia, a jeżeli o nich mówię, to jedynie na uniewinnienie Polski, której zarzucają, że ona tylko „krzyżowała” swoich twórców.

A czas by już rozwiać zabawną i dziecinną legendę, na jakie wyże zostałyby wyniesiony ten lub ów zapoznany w Polsce artysta, gdyby był się urodził Francuzem, Niemcem lub Anglikiem, albo też Skandynawem.

Pierwszy Żeromski otrzymałby za swoje *Dzieje grzechu* co najmniej dwa lata więzienia w Sztokholmie, Daniłowski¹⁸⁹ za swoją *Magdalenę* zostałby skazany w Christianii na ciężkie roboty; za *Legendy* wysłano by Niemojewskiego¹⁹⁰ w Kopenhadze do jakiejś kolonii zamorskiej, by go unieszkodliwić; a Bóg mnie ustrzegł przed losem Oskara Wilde’a, gdybym był jako Anglik napisał *De profundis*¹⁹¹.

I uporczywie powtarzam, nie wiem już który raz: Polska jest stanowczo najkulturalniejszym narodem w Europie, inna rzecz, że nie była w stanie swym twórcom zabezpieczyć materialnego bytu.

Tak przecież barbarzyńsko nie postępowałyby Polska nawet w okresie najzapalczyszej walki przeciw tzw. modernistom, jak postępowała Dania, kiedy krytyka, który pochlebnie ocenił wyklęte dzieło Hansa Jaegera, *Syk kjaerlighed* („Chora miłość”), skazała na trzy miesiące więzienia za samo napisanie krytyki! Z tego to „raju” twórców, według zapewnień naszych krytyków i niedocenionych albo wskutek tego, że czas swój wyprzedzili,

¹⁸⁴Fröding, Gustav (1860–1911) — poeta szwedzki, debiutował w r. 1891 zbiorem pieśni opiewających radość życia *Gitara i harmonika* (oryg. *Guitarr och dragharmonika*), w latach późniejszych tworzył pesymistyczne studia psychopatologiczne, pisał otwarcie o swoich problemach z alkoholem i w relacjach z kobietami; był leczony w wielu instytucjach psychiatrycznych, m.in. w Lillehammer w Norwegii, Görlitz w Niemczech i Uppsali w Szwecji; ostatnie lata spędził z wieloletnią kochanką Idą Bäckman. [przypis edytorski]

¹⁸⁵Wied, Gustav (1858–1914) — pisarz duński z pogranicza naturalizmu i dekadentyzmu. [przypis edytorski]

¹⁸⁶Defoe, Daniel, właśc. Daniel Foe (1660–1731) — pisarz ang., autor słynnej powieści przygodowej *Przypadki Robinsona Cruzoe* (1719), opowiadającej dzieje rozbitka, który spędził wiele lat na bezludnej, tropikalnej wyspie; skazany z inicjatywy rządu za broszurę *Najkrótszy sposób postępowania z dysydentami*, Defoe oddał się dobrowolnie w ręce wymiaru sprawiedliwości (chcąc ratować drukarza) i odbył trzykrotnie karę pręgierza, co następnie upamiętnił w *Hymnie do pręgierza* (*Hymn to the Pillory*). [przypis edytorski]

¹⁸⁷Bang, Hermann Joachim (1857–1912) — pisarz i eseista duński okresu modernizmu; autor powieści, m.in. *Beznadziejne pokolenia* (oryg. *Haabløse Slægter*, wyd. 1880; przykład prozy naturalistycznej), *Tina* (1889), *Michał* (1904); *Biały dwór* (oryg. *Det hvide Hus*, tj. „Biały dom”, wyd. 1888; pełen melancholii romans, zawierający obraz dzieciństwa pisarza); opowiadań i nowel opisujących życie prowincji duńskiej *Przy drodze* (oryg. *Ved Vejen*, wyd. 1886) i in. [przypis edytorski]

¹⁸⁸Drachmann, Holger (1846–1908) — pisarz, poeta i malarz duński, zaliczany do nurtu neoromantyzmu i impresjonizmu (sceny marynistyczne w malarstwie, symbolika morska w liryce); przez dłuższy czas mieszkał w Londynie oraz podróżował po Europie, odwiedzając Szkocję, Francję, Hiszpanię, Włochy (z podróży pisywał korespondencje do prasy); autor powieści autobiograficznej *Forskrevet*. [przypis edytorski]

¹⁸⁹Daniłowski, Gustaw, pseud. Władysław Orwid (1871–1927) — pisarz i poeta, działacz socjalistyczny, uczestnik rewolucji 1905 r.; autor m.in. powieści *Jaskółka* (1908), *Maria Magdalena* (1912, poświęconej psychologii miłości); życiorysów działaczy socjalistycznych: Stefana Okrzei, Henryka Barona (oba 1910) oraz Józefa Mireckiego (pt. *Na stokach cytadeli*, wyd. 1916), a także publikacji wspomnieniowej *Wrażenia więzienne* oraz polemicznej wobec ataków endecji, zbierającej poprzednie pisma: *Bandyty z Polskiej Partii Socjalistycznej* (1924). [przypis edytorski]

¹⁹⁰Niemojewski, Andrzej (1864–1921) — poeta, pisarz i publicysta okresu Młodej Polski, społecznik, religioznawca, znawca astrologii, tłumacz (m.in. *Żywota Jezusa* Ernesta Renana, 1904 oraz *Dziejów wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom* Józefa Flawiusza, 1906); wydawca wolnomysłieckiego, antyklerykalnego, religioznawczego tygodnika „Myśl Niepodległa” (z czasem ewoluującego w kierunku antysemityzmu); autor m.in. cyklu poetyckiego *Polonia irredenta* (t. I–VII, wyd. 1895–1898), powieści *Listy człowieka szalonego* (humorystyczne sportretowanie środowiska cyganerii krakowskiej; wyd. 1899), opracowania *Bóg Jezus w świetle badań cudzych i własnych* (Warszawa 1909); publikował pod pseudonimami: Lambro, Lubieniec A., Rokita. [przypis edytorski]

¹⁹¹Wilde, Oskar (1854–1900) — słynny pisarz angielski, autor m.in. *Naczelnych zasad sztuki* (*Intentions*), skazany był na 2 lata więzienia za obrazę moralności publicznej; *De profundis* napisał już po wyjściu z więzienia (wyd. 1905). [przypis edytorski]

niepopularnych, a więc mało poczytnych poetów, zdołał w sam czas zbiec jeden z najpiękniejszych synów Szwecji w przeddzień procesu o *Sensitiva amorosa* — Ola Hansson.

Pisałem „jeden z najpiękniejszych” i mogłoby się to wydać frazesem, ale tak jest w istocie. Hansson był piękny, nie tylko jako artysta, ale i jako człowiek. A to jest właśnie przekleństwem Szwecji, wywołanym oczywiście tym dzikim terrorem, jakiemu twórca szwedzki ulega i ulegać musi, że Szwed, im większym talentem obdarzony, tym łatwiej podlega chorobie graniczącej z *moral insanity*¹⁹². Długo i szeroko rozprawialiśmy na ten temat przed paru laty z wybitnym duńskim pisarzem Rasmussenem¹⁹³.

Ola Hansson pod tym względem był nieomal wyjątkiem: naiwny jak dziecko, szczerzy, bez odrobiny jakiegos fałszu, prostolinijny w życiu — on właśnie, o niezmiernie skomplikowanej duszy — szedł przez to swoje biedne życie jakby w somnambulicznym śnie; a charakteryzuje go to, co o nim żona jego — znana jako wybitna pisarka pod pseudonimem Laura Marholm¹⁹⁴ — mi mówiła:

— Nie znam artysty, który by był w stanie tak się w sobie skupić, tak ogłuchnąć i oślepnąć na wszystko, co „zewnątrz”, jak Olinka — (Laura Marholm pochodziła z bałtyckich prowincji, z Estonii, i od Rosjan nauczyła się zdrobnień imion). — Dzieci całego przedmieścia wyprawiają harce przed naszymi oknami. Krzyk i hałas przez cały dzień. Olinka nic nie słyszy i spokojnie pracuje. Mały Ola — (syn Hanssona) — płąta mu się między nogami, a on nawet nie zauważy, że dziecko jest w pokoju.

I Olinka był całkiem bezradny w życiu — nic go tak nie przestraszało, jak myśl, że będzie musiał się o jakieś honorarium upomnieć, że będzie musiał się z jakimś nakładcą spotkać i z nim pomówić, zetknąć się w ogóle w jakiś sposób z rzeczywistością.

Gdyby nie pani Laura, może by się już wtedy z nim to stało, co Hansson opowiada o Edgarze Poe — nie byłby w stanie zanieść manuskryptu do redakcji z braku przyzwoitego odzienia.

A pani Laura była energiczna, nie pozwalała go okradać i oszukiwać, ubóstwiała swego Olinkę, a tłumaczenie jego rzeczy na język niemiecki — Hansson pisał wyłącznie w języku szwedzkim — sprawiało jej, jak mówiła, najwyższą radość. Ona właśnie, niezwykle utalentowana pisarka, która miała dużo, dużo do powiedzenia, nieskończenie więcej aniżeli rozlaźla Ellen Key¹⁹⁵, znajdowała najwyższe szczęście w tłumaczeniu tworu swego męża.

I pani Laura, doskonały psycholog, rozumiała i musiała ocenić moje onieśmienie — wciągnęła mnie dyskretnie do rozmowy, z wolna się opanowałem. Dobrze mi było w tej pracowni Hanssona, w której nic nie było prócz prymitywnych półek zawalonych książkami, stołu do pisania, nad którym wisiła wspomniana już przeze mnie akwaforta Klingera, i paru stolików; toteż po upływie jakiejś godziny odnalazł snadź Ola Hansson tego człowieka, którego tak pragnął poznać, bo coraz baczniej i życzliwiej jął mi się przyglądać i z natężoną uwagą słuchał moich wywodów, a gdy pani Laura zaproponowała przechadzkę po pięknym lesie, do którego domek Hanssona przylegał, wysłała nas obu naprzód. „Tam się najlepiej odnajdziecie — powiedziała z mądrym uśmiechem — pan Servaes dotrzyma mi towarzystwa”. Odnaleźliśmy tu się tak gruntownie, żeśmy się o dwie godziny na obiad spóźnili.

Z jaką głęboką wdzięcznością i miłością wspominam te długie, długie godziny, które sam na sam z Hanssonem przepędziłem — różnica wieku wcale nas nie dzieliła, mimo że był o dwanaście lat starszy ode mnie¹⁹⁶, ale łączyła nas dziwna jakaś wspólnota dążeń, pragnień i tego samego ukochania tych samych problemów, które jego i mój mózg poonczas tak intensywnie zaprzętały.

Kobieta, Żona, Poświęcenie,
Twórczość, Szczęście,
Mizoginia

¹⁹²*moral insanity* — dosł.: obłąd moralny; patologiczny brak kryteriów moralnych; zazwyczaj towarzyszy niedorozwojowi umysłowemu. [przypis edytorski]

¹⁹³Rasmussen, Knud (1879–1933) — podróżnik i pisarz duński; autor *Nye Maunesker, Eskimo Folk Tales* i in. [przypis edytorski]

¹⁹⁴Marholm, Laura, właśc. Laura Mober-Hanson (1854–1928) — autorka dramatów, nowel i powieści głównie o tematyce kobiecej. W l. 1897–1903 wydała książkę o zbliżonym do pierwszego utworu Przybyszewskiego tytule: *Zur Psychologie der Frau* („O psychologii kobiety”). [przypis edytorski]

¹⁹⁵Key, Ellen (1849–1926) — pisarka szwedzka, propagatorka emancypacji kobiet; ogłosiła m.in. *Stulecie dziecka, O miłości i małżeństwie*. [przypis edytorski]

¹⁹⁶Hansson (...) o dwanaście lat starszy ode mnie — urodzony w 1860 roku Ola Hansson był o osiem lat starszy od Przybyszewskiego. [przypis edytorski]

Pewno, że literacką kulturą swoją stał o wiele wyżej ode mnie, w zamian za to dawałem mu jako poparcie i *pied à terre* zasób mej wiedzy przyrodniczej i znajomości współczesnej nauki psychologii i psychiatrii, a co go przede wszystkim zajmowało — obeznanie z sugestią i hipnotyzmem: przecież właśnie Ola Hansson usiłował wytworzyć syntetyczną całość z ścisłego rozumowania empirycznego i intuicyjnego, uczuciowego, podświadomego życia psychicznego.

Nie wiem, czym kiedy doznał tak głębokiego wstrząsu i dumy, i szczęścia, jak w chwili, gdy mi Hanson powiedział:

— Pan jest pierwszym człowiekiem w Niemczech, z którym całkiem i bezwzględnie porozumieć się mogę.

Odnalazłem siebie.

Nabrałem odwagi — tego dnia zmeźniałem psychicznie.

Przecież to Hansson, jedyna moja wyrocznia naonczas, potwierdził mi sakramentalnie to wszystko, z czym się łamałem, potwierdził myśli, których lękałem się wypowiedzieć, sposób patrzenia na ludzi i życie, z jakim nie śmiałybym się przed nikim zdradzić, by mnie nie wyśmiano, a niczego tak się nie lękałem jak ośmieszenia — a moja teoria o tym tajemniczym węźle wszystkich zmysłów, w którym dźwięk na barwę się przetwarza, powonienie dotknięciem się staje, a hieroglif uczucia mieni się całą tęczą barw i brzmi rozległą skalą dźwięków, nadawała się w sam raz do bezlitosnych kpin, których mi swoją drogą w późniejszym życiu oszczędzić nie miano. I już wtedy kiełkowała we mnie i coraz wyraźniejszych kształtów nabierała moja nauka o „nagiej duszy”, i już wtedy zmagalem się z zasadniczym pytaniem, które ostatecznie rozstrzygnęło o moim dotychczasowym materialistycznym pojmowaniu świata: co jest pierwsze, organ czy funkcja? Czy pragnienie chwytania wytwarza organ, jakim jest ręka, czy też na odwrót?

Ile mnie to zmagania kosztowało, *zaczem*¹⁹⁷ wzięłem rozbrat z darwinizmem, a jaką walkę stoczyć musiałem z samym sobą, *zaczem* zdołałem uznać¹⁹⁸ mózg nie jako siedlisko duszy, ale za proste i to bardzo bierne narzędzie duszy; *zaczem* wywalczyłem w sobie pojęcie duszy, jako „transcendentalnego subiekta” — daleko później miałem się o tym dowiedzieć, że tak nazywał samoistną, niezależną od ciała duszę słynny okultysta niemiecki Du Prel¹⁹⁹, jak również daleko później dowiedziałem się, że Mickiewicz, w wielkiej mierze uczeń mistyków niemieckich, a w szczególności Boehmego²⁰⁰, już na pięćdziesiąt lat przede mną użył terminu „nagiej duszy”, duszy wyzwolonej z pęt ciała i wyswobodzonej spod sromotnego jarzma mózgu i zmysłów.

Pod wieczór przyszło w odwiedziny kilku przedstawicieli „nowych Niemiec”, zamieszkałych stale w Friedrichshagen: Bruno Wille²⁰¹, Wilhelm Bölsche²⁰², bracia Hart, Juliusz i Henryk.

Friedrichshagen, bardzo piękna miejscowość — właściwie małe miasteczko na wschód od Berlina, położone nad całym szeregiem jezior: Müggelsee, otoczone pagórkami, Müggelberge, wrzynające się w rozległe, piękne lasy sosnowe, tak że każdy dom niemal można by uważać jako leśniczówkę, także i domek Hanssona — to Friedrichshagen było poonczas niejako literackim programem.

Jeżeli mówiło się o Friedrichshagen, to nie o jakiejś miejscowości, ale o literackich grupach „Młodych”, a raczej „Zielonych” Niemiec²⁰³, bo złośliwa krytyka niemiecka zro-

¹⁹⁷ *zaczem* — zanim. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ *uznać coś jako* — dziś: uznać coś za. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *Du Prel, Karl* (1839–1899) — spirytysta i okultysta niemiecki. [przypis edytorski]

²⁰⁰ *Boehme, Jakob* (1575–1624) — niem. teolog luterański i filozof-mistyk, rodem ze Śląska, szewc-samouk; w dziele *Aurora* (1610) rozwija antyscholastyczną, dialektyczną filozofię przyrody. [przypis edytorski]

²⁰¹ *Wille, Bruno* (1860–1928) — niem. pisarz, filozof, kaznodzieja ewangelicki, założyciel stowarzyszenia *Freie Volksbühne*; autor powieści oraz utworów autobiograficznych i filozoficznych, m.in. *Einsiedler und Genosse* („Pustelnik i towarzysz”, 1897); za swoje przekonania siedział w więzieniu w Friedrichshagen „Pod pruskim orłem”; w utworze: *Das Gefängnis zum Preussischen Adler. Eine Selbsterlebte Schildbürgererei. Mit einem Bill das Gefängnisses* (Jena 1914) sportretował Przybyszewskiego w postaci bohatera nazwanego Przski, wyśmiewając się z jego wymowy i stylu życia. [przypis edytorski]

²⁰² *Bölsche, Wilhelm* (1861–1939) — pisarz niemiecki; pod wpływem Haeckla propaguje darwinizm; autor broszur przyrodniczych i utworów o treści filozoficzno-przyrodniczej, np. *Miłość w przyrodzie* (1898–1902). [przypis edytorski]

²⁰³ *Młode Niemcy* — okres w literaturze niemieckiej po r. 1830, zawdzięczający nazwę przedmowie Ludolfa Wienbarga do *Aesthetische Feldzüge* („Potyczki estetyczne”, 1834): „Wam, Młode Niemcy, poświęcam te sło-

Nauczyciel, Opieka, Śmiech

Ciało, Duch

biła z *Jung-Deutschland* — *Grün-Deutschland* — a najgłówniejszymi przedstawicielami tych Młodych Niemiec byli właśnie bracia Hart, Wille i Bölsche.

Oni wszyscy wynieśli się z „kamiennego morza” wielkiego miasta: niemożliwym i zabójczym było dla nich życie „bez natury”, czysty estetyzm kulturalny zadowolić ich nie mógł; tu, na łonie natury, wśród lasów i jezior, zapragnęli ukojenia i ciszy, bo każdy z nich był przede wszystkim filozofem i wszystkimi korzeniami tkwił w mistycyzmie Hölderlina²⁰⁴, Novalisa²⁰⁵, Fechnera, a każdy z nich szukał dla siebie wyzwolenia — nie w sztuce, mimo że pisali niezliczone tomy liryk i powieści — ale w uszczęśliwianiu ludzkości.

Trudno było się z nimi godzić, jeżeli patrzyło się na nich jako [na] artystów, ale na najwyższy szacunek zasługiwali jako pedagogzy tłumu, kulturalni socjaliści, ludzie, którzy w ciężkim znoju wywalczali dla roboczego tłumu jakiś wyższy stopień rozpoznania i wyższy i szlachetniejszy światopogląd. A wszyscy namiętni wyznawcy społecznych idei, wielbiciel przyrody, i to w tej przesadnej formie, jaka charakteryzuje sentymentalną epokę niemieckiego romantyzmu na początku XIX stulecia — widziałem przecież, jak się chwytały za ręce i obtańcowywali jakiś stary dąb, i stroili kapelusze dębowymi liśćmi, i wyśpiewywali hymny na cześć ludzkości, wolności, braterstwa — och! jak oni naiwnie się bawili, a co najważniejsze: bawić się umieli.

Baryłka piwa *avant toute chose* — piwa, dużo piwa, parę dziecinnych dowcipów, bezdennie głębokie i bezdennie nudne teoretyczne wywody o ludzkości, sztuce, etyce, wygłaszane rozpaczliwą terminologią Hegla i Schellinga²⁰⁶ — namiętne klótnie o systemy i systemaciki, ustawiczne wzajemne bezlitosne wykpiwanie siebie — i znowu piwo i piwo: ponętym nie było to towarzyskie życie w Friedrichshagen, a już jeżeli dla kogo całkiem obce — to dla Hanssona.

Każdy z artystów niemieckich, choćby i najkulturalniejszy, nie wyzbywał się narowów niemieckiego bursza, chełpił się swoją posiekaną twarzą, swoim *burschikos*²⁰⁷ obejściem, nie mógł się obyć bez rannego *Frühschoppen*²⁰⁸, który mu już na cały dzień paru kufkami piwa mózg zaćmiewał, a zdumiewający brak domowego wychowania — byli to ludzie przeważnie z niższych sfer społeczeństwa — i brak towarzyskiej ogłady utrudniał niezmiernie przebywanie obcego i „nieprzyzwoiczajonego” w towarzystwie tego *Jung-Deutschland*, zwłaszcza gdy już drugą lub trzecią baryłkę piwa, *Achtel*²⁰⁹, w triumfalnym okrzyku na stole ustawiono.

Kobiety nie brały żadnego udziału w tych zebraniach niemieckich artystów. Były to przeważnie kobiety, które trudniły się wynajęciem mieszkań, a całym swoim zarobkiem, nawet stołem i łóżkiem dzieliły się z nędzarzem-artystą — a pięknie to o nim świadczy, jeżeli się w danym razie z nią ożenił, choć nie była w stanie jednego zdania rozumieć, które jej mąż napisał. Były to szwaczki, które mu ostatni grosz oddawały, a nie było wypadku, by artysta jej zaufanie zawiódł. Dawał jej swoje nazwisko, dzieci adoptował, ale to nie wszystko, co mógł zrobić — przecież bywały wypadki, że artysta nawet i prostytutkę wyzwolił spod straszliwego jarzma nadzoru policyjnego, a to chyba dosyć!

W umysłowym życiu artysty kobieta niemiecka przeważnie żadnego udziału nie brała, brać nie mogła, a na jej plus-konto zapisać by można, że nie miała żadnych pretensji, by jakąś rolę w życiu swego męża odgrywać.

Była trzykrotnym „K” — tym właśnie, czego Wilhelm II od kobiety wymagał: *Kind, Küche, Kirche*²¹⁰!

Kobieta, Artysta, Kobieta
”upadła”

Kobieta, Obyczajaj,
Mizoginia

wa”. Przybyszewski używa tego określenia w odniesieniu do „Najmłodszych Niemiec”, grupy modernistów niemieckich. [przypis edytorski]

²⁰⁴Hölderlin, Friedrich (1770–1843) — poeta niemiecki, mistyk i panteista, którego renesans przeżywały „Najmłodsze Niemcy” (Nietzsche); autor romansu w listach: *Hyperion, oder der Eremit in Griechenland* i drobnych poezji (*Lyrische Gedichte*, 1826); od r. 1806 nieuleczalnie obłąkany. [przypis edytorski]

²⁰⁵Novalis, właśc. Friedrich von Hardenberg (1772–1801) — romantyczny poeta niemiecki, autor mistyczno-religijnych *Hymnen an die Nacht* (*Hymnów do Nocy*) napisanych po śmierci narzeczonej (tłumaczenie polskie: S. Przybyszewski, A. Baumfeld, 1909) i nieskończonej powieści *Heinrich von Ofterdingen*. [przypis edytorski]

²⁰⁶Schelling, Friedrich Wilhelm (1775–1854) — słynny filozof romantyzmu niemieckiego; renesans jego doktryn przeżywała bohema niemiecka. [przypis edytorski]

²⁰⁷*burschikos* (z niem. *der Bursche*: chłopak, wyrostek) — junacki. [przypis edytorski]

²⁰⁸*Frühschoppen* (niem.) — poranny kufel. [przypis edytorski]

²⁰⁹*Achtel* (niem.) — ósma część; antałek. [przypis edytorski]

²¹⁰*Kind, Küche, Kirche* (niem.) — dziecko, kuchnia, kościół. [przypis edytorski]

Historyk literatury niemieckiej z tego czasu nie będzie miał kłopotu z „kobietami”, które jakąś rolę odgrywały w życiu ówczesnych artystów: kucharki, szwaczki, co najwyżej nauczycielki szkół ludowych — i to bardzo rzadko — parę prostytutek, które nigdy nimi nie były, bo i w prostytucji może kobieta zachować najwyższą czystość, a swoją drogą nigdy nie zatraciła tego w trzykrotnym „K wyrażonego ideału kobiety niemieckiej.

Właściwie nie była wrzekoma ewolucja, jaka się dokonała między 1880–1890 rokiem w Niemczech, żadną rewolucją literacką. Nie ma ani jednego dzieła w całej literaturze niemieckiej, które by można uważać za coś przełomowego.

Jung-Deutschland żyło przeważnie okruciami królewskiego stołu, jaki dla niego Francja, Rosja, a przede wszystkim Skandynawia zastawiła.

Zola, Zola! To był okrzyk bojowy naturalizmu, a raczej konsekwentnego realizmu niemieckiego — zachwycono się Maupassantem, raz po raz ktoś przebaknął o Huysmansie, czytano Dostojewskiego, Tolstoja, ale najczęściej przypadał do gustu Turgieniew, niezliczona moc krytyk pojawiła się w gazetach i czasopismach niemieckich o Ibsenie, Bjørnsonie²¹¹, Kjellandzie²¹², Jacobsenie²¹³ — ale Niemcy nie mieli nic, co by tym kryfeuszom obcych literatur mogły przeciwstawić.

Nie chcę być niesprawiedliwym, ale całe *Jung-Deutschland* było w gruncie rzeczy czymś fatalnie jałowym, żyjącym z łaski z drugiej ręki.

Jeżeli któryś z ich przedstawicieli sięgnął głębiej — niechybnie potrafił o Goethego. I bardzo charakterystycznym było powiedzenie Beera-Hoffmanna²¹⁴, który znowu był przedstawicielem *Jung-Wien* (Młodej Austrii):

— Słyszałem, że pan zbyt Goethego nie uwielbia, ale trzeba panu wiedzieć, że żaden z nas nie położy się do łóżka, zanim nie przeczyta przynajmniej dziesięciu stron z pism Goethego. A czymże jest nasz Ludwik Hoffmannsthal²¹⁵? — wszak to tylko odświeżony starczy Goethe; a nasz Herman Bahr²¹⁶? Przecież to tylko wcale niezła klisza młodego Goethego, a może nawet i tego, który poznał Napoleona i tak się do niego rozpalil, że zamyślał przenieść się do Paryża.

A fatalny bigos powstał w niemieckiej literaturze, gdy chciano w jakisłkolwiek sposób skojarzyć Goethego z Zolą, Turgieniewa z Spielhagenem²¹⁷, a biednego Hauptmanna z Ibsenem!

Właściwie nie przeżyła *Jung-Deutschland* tej wielkiej, przełomowej chwili, którą nazwają „naturalizm” ochrzczono: ta *Jung-Deutschland* ubóstwiała francuski i skandynawski naturalizm, ale nie pozostawiła ani jednego istotnie naturalistycznego dzieła po sobie, chyba że się pod tę szufladkę skataloguje powieść Bleibtreua²¹⁸ *Grössenwahn* lub Con-

²¹¹Bjørnson, Bjørnstjerne (1852–1910) — norweski pisarz i krytyk teatralny; twórca realistycznej prozy i dramatów, a także poezji; m.in. powieści: *Synnøve Solbakken* (tl. pol. F. Mirandoli: *Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza* Lwów 1922), *Arne*, dramaty: *Bankructwo*, *Ponad siły*, liryka: *Poezje i pieśni* (1870). [przypis edytorski]

²¹²Kjelland, Aleksander (1849–1906) — pisarz norweski, autor obyczajowych powieści tendencyjnych: *Ludzie pracy* (krytyka biurokracji), *Śnieg* (krytyka duchowieństwa), *Trucizna* (krytyka systemu szkolnictwa), *Else* (satyryczne przedstawienie burżuazyjnej filantropii). [przypis edytorski]

²¹³Jacobsen, Jens Pjotr (1847–1885) — naturalistyczny prozaik duński; w młodości tłumaczył Darwina; poza drobnym zbiorem liryk i nowel wydał tylko dwie powieści obyczajowo-psychologiczne: *Fru Marie Grubbe* (1876) i *Niels Lybne* (1880). [przypis edytorski]

²¹⁴Beer-Hofmann, Richard (1866–1945) — austriacki pisarz neoromantyczny; poeta i dramaturg; wprowadził do swej poezji mitologię żydowską (*Jaakobs Traum*, 1918). [przypis edytorski]

²¹⁵Hoffmannsthal, Hugo von (1874–1929) — pisarz austriacki zaliczany do grupy estetów wiedeńskich, skrajnych przeciwników naturalizmu; kult piękna i psychologizm stanowią główne kręgi tematyczne jego utworów, np.: *Der Tod des Tizian* (*Śmierć Tycjana*; hymn), *Der Tor und der Tod* (*Glupiec i śmierć*, dramat 1893), *Jedermann* (*Każdy*, 1911). [przypis edytorski]

²¹⁶Bahr, Hermann (1863–1934) — dramaturg wiedeński, debiutujący pod hasłami naturalizmu, twórca wiedeńskiej secesji. [przypis edytorski]

²¹⁷Spielhagen, Friedrich (1829–1911) — pisarz niemiecki, autor dramatów, nowel i powieści poruszających aktualne kwestie społeczne. [przypis edytorski]

²¹⁸Bleibtreu, Karl (1859–1928) — redaktor czasopism: berlińskiego „Kleine Tageblatt” w 1884 r., „Schalk” w 1885, „Magazin für die Literatur des In- und Auslandes” w l. 1886–88 i „Die Gesellschaft” w l. 1880–90 (wraz z Conradem); jeden z pionierów teorii naturalizmu w Niemczech; w „Revolution der Literatur” (1887) ogłosił cykl realistycznych powieści historycznych; powieść *Grössenwahn* (*Megalomania*, 1887) przedstawia koterie literackie funkcjonujące w ówczesnym Berlinie. [przypis edytorski]

radiego²¹⁹ *Adam Mensch* — reszta dokumentów z tego czasu naturalizmu niemieckiego dawno przestała istnieć.

Jeżeli coś na coś w ogóle zakrawało, to wszystkimi szparami Goethe wylał: „*Goethe, Goethe und kein Ende*”²²⁰! — I poza Goethego Młode Niemcy wyjść nie zdołały.

Niemcy przeżywały intensywnie wszystkie prądy literatur Zachodu, Północy i Wschodu, ale twórczo nie brały żadnego w nich udziału — całkiem jak u nas w Polsce. Jeżeli mowa o naturalizmie, tośmy mieli chyba jedyną jego przedstawicielkę: Gabrielę Zapolską.

Trudno by opisać całą tę materialną nędzę, w jakiej ta kolonia niemieckich „światoburców” żyła. A publiczność niemiecka była tak niesłychanie zacofana, że tych „konsekwentnych realistów”, łagodnych i oswojonych naturalistów uważała za światoburców. Przecież wystawienie *Upiorów* Ibsena na niemieckiej scenie wywołało większe jeszcze zgorszenie niż reprodukcja rzeźby wielkiego twórcy Vigelanda²²¹, chluby muzeum państwowego w Trondhjem (Norwegia), w „*Życiu*” krakowskim za mojej redakcji, z tą tylko różnicą, że *Upiory* mimo wściekłych protestów zostały na scenie, a konfiskata całego nakładu „*Życia*” przyspieszyła jego skon.

Każde śmielsze wyrażenie ściągało na artystę niemieckiego piekielne gromy oburzenia, a pamiętam, jaki huragan powstał w krytyce niemieckiej, gdy jakiś bohater powieści „wyrzygał z obrzydzenia duszę”.

A każdy z tych światoburców i bardzo łagodnych ideologów-teoretyków, który o głodzie i chłodzie wyzwał ludzkość, głosił trzeci testament dla proletariatu i był gorącym wyznawcą mesjanizmu Marksa-Lassalle’a.

Bruno Wille był przez parę lat ruchliwym agitatorom socjalistycznym, organizował masy robotnicze, stworzył dla nich „*Freie Volksbühne*”, wygłaszał dla nich odczyty, recytował swoje wiersze, przeprowadzał doszczętną reformę ludzkości. Toż samo czynił Wilhelm Bölsche w nieporównanie większej mierze przyrodnik i filozof aniżeli poeta, fantastyczny wielbiciel Haeckla²²² i entuzjastyczny propagator monizmu²²³. Zbawicielem ludzkości pragnął też być Henryk Hart i całe życie strawił na pisaniu olbrzymiej epepei: *Lied der Menschheit*, ale dotarł tylko do Mojżesza. Z motyką na słońce wyruszył brat jego, Juliusz, i z pomocą Hegla i Fechnera kruszył apokaliptyczne pieczęcie. Arno Holz przewracał do góry nogami wszystkie zasady romantycznej i klasycznej liryki i pisał według nowych teorii poematy, od których niemieckim krytykom żółć pękała, a które teraz mogą co najwyżej pobłażliwy uśmiech na usta wywołać.

*Parturiunt montes, nascetur ridiculus mus*²²⁴! — Jeden tylko był wśród nich, który drwił, kpił i wечно się śmiał, a ponieważ stale miał czczy żołądek, więc parę kieliszków starczyło, by już dniami całymi nie wychodził z rauszu: Paweł Scheerbart²²⁵; a ponieważ zdradził się przede mną, że urodził się w Gdańsku i jest pochodzenia kaszubskiego, więc ochrzciłem go uroczystie nowym nazwiskiem: Paweł Szczerba — którego twór jeden jedyny krytyk umiał ocenić: Adolf Nowaczyński²²⁶.

Jaki Scheerbart był zdziwiony niesłychanym powodzeniem dramatu Hauptmanna *Tkacze!*

— Przecież codziennie wyczytują te hece w „*Lokal-Anzeigerze*”, a nikt się nie dziwi, a tu nagle hałas, rwetes, jakby się ziemia zapadała. Och, jaki potężny dramat mógłbym stworzyć, gdybym przedstawił życie portowych robotników w Gdańsku, a ojciec mój był

²¹⁹ *Conradi, Hermann* (1862–1890) — pisarz niem., pionier naturalizmu w Niemczech, wydawca antologii *Moderne Dichtercharaktere* (*Współczesne sylwetki poetów*; wyd. 1885). [przypis edytorski]

²²⁰ *Goethe, Goethe, und kein Ende* (niem.) — Goethe, Goethe bez końca. [przypis edytorski]

²²¹ *Vigeland, Gustav* (1869–1943) — mowa o „*Szatanie*” znakomitego rzeźbiarza norweskiego, reprodukowanym w nr 7 „*Życia*” z 1899 r., co spowodowało konfiskatę całego nakładu. [przypis edytorski]

²²² *Haeckel, Ernst* (1834–1918) — autor słynnych antyklerykalnych *Zagadek świata*, założył w r. 1906 ateuszowski „*Związek Monistów*”. [przypis edytorski]

²²³ *monizm* — kierunek filozoficzny uznający (w przeciwieństwie do dualizmu) jeden pierwiastek za osnowę wszystkich rzeczy. [przypis edytorski]

²²⁴ *Parturiunt montes, nascetur ridiculus mus* (łac.) — Trudzą się góry, a zrodzą śmieszny mysz (Horacy). [przypis edytorski]

²²⁵ *Scheerbart, Paweł* (1863–1915) — niemiecki pisarz modernistyczny; autor fantastycznych opowiadań, w których humor graniczy z groteską. [przypis edytorski]

²²⁶ *Nowaczyński, Adolf* (1876–1944) — pisarz i publicysta; dramaturg i satyryk, zasłynął głównie jako autor pamfletów. Współpracował m.in. z „*Życiem*” krakowskim. [przypis edytorski]

bowka (pijak nałogowy), łajdak, londrus — za to go właśnie kocham — ale pisać o tym — a! fe! *Weltgeist, wo bist du?*²²⁷

Więc zamiast pisać „robotnicze hece”, pisał o kometach, które pojawiły się w 1848 roku; pisał o ciałach niebieskich, które w ciężkich deliriach wyrwały się z swych torów, a gdy po trzecim kieliszku zwał się z nóg, bił pięścią o podłogę i płakał, i jęczał:

— *Weltgeist, wo bist du?!*

Taka to sobie anegdota — wprawdzie autentyczna, ale anegdota. Czyżby tylko to? Poza tym wszystkim tkwi w nim rozpaczny smutek i wytworność wielkiego pana, który śmiechem dławi piekielny ból życia. O, jak on umiał cudownie się śmiać w najniesłychańszych tonacjach — u niego poznałem wszystkie gamy śmiechu i w dur, i moll, a nigdy się nie zdradził — czasem tylko błysnął lęk w jego oczach, czy po powrocie do domu nie otrzyma od swego „niedźwiedzia” (*Bar*) — tak nazywał swoją towarzyszkę, która w ciężkim trudzie zarabiała na życie swoje i jego — porządnych ciężgów.

Wyobrażam sobie los tej, faktycznie do Szczerby przywiązanej istoty; przecież Scheerbart chełpił się, że przez całe życie — a miał wówczas 30 lat — zarobił ogółem 200 marek.

A nawet tyle nie zarobił jeden z najciekawszych a najmniej znanych twórców niemieckich w owej epoce, czterdziestoletni Piotr Hille, nieodstępny towarzysz Scheerbarta.

Piotr Hille wciąż pisał — bezustannie pisał. Wszystkie jego kieszenie były wypchane papierami, wypełnione pismem, dla niego tylko czytelnym; zabrakło mu papieru, pisał na mankietach — pisał na stolikach kawiarnianych, na talerzach, które mu podawano, wciąż i wiecznie pisał.

Gdy przychodził do mnie, nie czekał odpowiedzi na zapytanie: „Jak ci się powodzi?” — ale już wyciągał mankiety i notował swoje myśli.

Piotr Hille nie śmiał się nigdy; ten żył poza życiem — harmonijny, zrównoważony, niezadający sobie sprawy, co to w ogóle znaczy walczyć o byt — był poza tym wszystkim.

Tej nędzy, na jaką się wśród niemieckich artystów napatrzyłem i sam ją między nimi przeżyłem, nie przeżywał żaden artysta w tej tak szkalowanej Polsce.

Och, co za niedorzeczne klepania: gdyby był tworzył za granicą, gdyby się urodził Niemcem lub Francuzem, w jakie bogactwa byłby opływał! — Brednie!

Tam, za granicą, stokroć razy gorzej aniżeli u nas w Polsce: w takiej nędzy materialnej, na jaką jest skazany artysta w Niemczech czy Francji, nieuznany przez *ochlos*²²⁸ (motłoch), nie żyje żaden artysta w Polsce.

Ale *revenons à nos moutons*²²⁹.

Onego dla mnie tak pamiętnego wieczoru zeszła się gromadka tych wszystkich niemieckich „światoburców” w gościnnym domku Oli Hanssona.

Na stole znalazła się flaszka whisky i koniaku, służąca wniosła samowar — nalewało się do szklanek trzy ćwierci wody wrzącej, a resztę whisky albo koniaku (napój ten zowie się w języku skandynawskim *toddy*) — rozpoczęła się pogawędka; oglądano nieznanego przybysza, którym byłem ja, trochę mnie zagadywano, pobłażliwie po ramieniu klepano, boć już książczyzna moja *Chopin und Nietzsche* była znana, ale nie wiem, co się nagle stało — wszyscy umilkli z wolna i jak zahipnotyzowani wsłuchiwali się w opowiadanie pani domu — Laury Marholm.

Tak olbrzymiego daru opowiadania, doprowadzonego do genialnych granic wirtuozji, nigdy przedtem i nigdy potem spotkać nie miałem.

Była brzydka, nawet bardzo brzydka, tak się na pierwszy rzut oka wydawało, ale gdy zaczynała mówić, opowiadać, gdy subtelnymi a wyrazistymi gestami uplastyczała swoje opowiadanie, zabarwiała je bogatą skalą odcieni swego głosu, twarz jej piękniała, szlachetniała, a potem już nie widziało się cielesnej brzydoty: Laura Marholm-Hansson stawała się piękna...

Cały wieczór mogła mówić sama jedna. W zdumiewająco barwnych liniach odtworzyła stan całej literatury skandynawskiej, literackiego życia w Kopenhadze i w Sztokholmie, i Christianii; mówiła z przedziwną ironią o braciach Brandesach: tym Jerzym, który

²²⁷ *Weltgeist, wo bist du?* (niem.) — Duchu świata, gdzie jesteś? [przypis edytorski]

²²⁸ *ochlos* (gr. ὄχλος) — tłum, motłoch. [przypis edytorski]

²²⁹ *revenons à nos moutons* (fr.) — dosł.: wróćmy do naszych baranów; przen. fraz.: wróćmy do tematu. [przypis edytorski]

ponoć Polskę ukochał²³⁰, i tym mniej znanym Edwardzie²³¹; opowiadała o Bjørnsonie, Ibsenie, a przede wszystkim o Strindbergu, którego Hanssonowie długi czas gościli, kiedy jeszcze w Szwecji przebywali; jeden gest jej ręki wyczarowywał całą postać, odcień głosu starczył za obszerne wartościowanie; a pamiętam, jak scharakteryzowała paru gestami nie tylko postać Renana²³², ale i to, co w niej się kryło. Pokazała nam Zolę z jego parwieniuszowską małżonką, jak siedzą w łoży. Trzepotał się niespokojnie, chory już wówczas, Guy de Maupassant; uskarżał się ciężko na chory żołądek Joris Huysmans; a rzucał się przy piecu stary Jonas Lie²³³; i ciskał się w morze na powitanie swych gości w ustawicznym, fantastycznym rozmachu żyjący finlandzki poeta Tavastsjerna²³⁴.

I bylibyśmy tak do rana siedzieli i słuchali, ale po północy szepnął mi towarzysz mój, Franciszek Servaes: „Za kwadrans ostatni pociąg”.

— Bardzo, bardzo proszę, jak najczęściej — powiedział mi Ola Hansson na pożegnanie i serdecznie mi dłoń uściśnął.

— *Gute Nacht, und auf wiedersehen, Sigismund August* — powiedziała pani Laura.

Gdybym mógł kiedy zrozumieć, jak się w jej mózgu Zygmunt August ze mną skojarzył?!

Gdym tej nocy wrócił do domu, ujrzałem na stole dwadzieścia trzy świeczki zapalone według niemieckiego zwyczaju kochającą ręką — a właśnie w tym dniu ukończyłem dwudziesty trzeci rok życia²³⁵.

A jakie, do samego dna istotę moją wstrząsające, wrażenie z tego pobytu u Oli Hanssona musiałem odnieść, dowodem, że mimo fizycznego zmęczenia tej jeszcze nocy rozpocząłem drugi tomik *Zur Psychologie des Individuums*, zatytułowany: *Ola Hansson*.

Pisałem tę rzecz jednym tchem, a gdym ją w manuskrypcie z lękiem i po długim wahaniu przesłał Hanssonowi, bom osobiście nie śmiał mu to zawieźć, otrzymałem zaraz nazajutrz kartkę pisaną ręką pani Laury — ona załatwiła całą korespondencję Hanssona — kartkę, której treść wraziła mi się głęboko w pamięć:

Wróciliśmy w nocy do domu, zastaliśmy Pański manuskrypt. Ola kazał sobie natychmiast go przeczytać. Słuchał, słuchał i słuchał z szeroko rozwartymi oczyma, a potem powiedział: „To najpiękniejsze, com tu przeżył: poznałem duszę człowieka”. — To wszystko — oczekujemy Pana z upragnieniem.

Książeczka ta była równocześnie niejako programem całej mojej przyszłej twórczości, a cały mój pogląd na miłość mężczyzny do kobiety zarysował się z dziś jeszcze zdumiewającą dla mnie wyrazistością w rozdziale rozpoczynającym się od słów: „Dlaczego kocham kobiety?”.

Teraz dopiero widzę, jak lekkomyślnie rozrzuciałem na lewo i prawo to wszystko, co by w związku z całym do tej chwili rozwiniętym tworem mogło nabrać istotnego znaczenia. Tymczasem w ten sposób pogubiło się w mnóstwie artykułów, drukowanych

²³⁰Brandes, *Georg Morris Cohen* (1842–1927) — krytyk literatury i filozof duński; w 1871 r. zapoczątkował naturalizm w Danii; napisał m.in. *Główne prądy w literaturze XIX stulecia: prelekcje wykładane na Uniwersytecie Kopenbaskim* (t.1–5, Warszawa 1881–1885) oraz wrażenia z Polski: *Polska* (Polen 1898) i *Rosja* (Rosja 1905); w publikacjach polskich jego imię było spolszczane, funkcjonował więc jako Jerzy Brandes. [przypis edytorski]

²³¹Brandes, *Carl Edward Cohen* (1847–1931) — pisarz-orientalista, krytyk literacki i polityk z ramienia duńskiej partii socjaldemokratycznej (Det Radikale Venstre, RV, tj. Radykalna Lewica). [przypis edytorski]

²³²Renan, *Ernest* (1823–1892) — francuski pozytywistyczny filozof, orientalista i historyk. Najsłynniejsza jego książka, polemizująca z tezą o boskości Chrystusa, *Vie de Jesus* (1863), została przełożona na jęz. polski przez A. Niemojewskiego. [przypis edytorski]

²³³Lie, *Jonas* (1833–1908) — pisarz norweski, autor realistycznych powieści środowiskowych: morskich (*Gaa Paa!*, tj. *Naprzód*, 1882), dotyczących ówczesnej sytuacji kobiet (np. *Córki komandora*, 1886: krytyka niszczonego oddziaływania konwenansów; *Małżeństwo*, 1887: studium niszczenia szczęścia małżeńskiego przez codzienność życia); u schyłku życia tworzył dzieła zabarwione irrealizmem i mistycyzmem (począwszy od powieści *Złe moce* 1890 r. i zbioru baśni *Trolle* z 1891). [przypis edytorski]

²³⁴Tavastsjerna, *Karl August* (1860–1898) — fiński pisarz i poeta, tworzący po szwedzku, przedstawiciel realizmu. [przypis edytorski]

²³⁵w tym dniu ukończyłem dwudziesty trzeci rok życia — Przybyszewski urodził się w 1868 r., z czego wynika, że myli się tu o rok: kończył wówczas lat 24. [przypis edytorski]

w „Zdroju” Hulewicza Jerzego²³⁶, w przedmowach do *Krzyku*²³⁷, a przede wszystkim do *De profundis*²³⁸, nie mówiąc już o przedmowach, którymi ratowałem w oczach kulturalnej publiczności polskiej twór Hannsa Heinza Ewersa²³⁹.

Pragnąłbym teraz gorąco dać tę całą moją artystyczną ideologię w jednym wielkim rzucie, ale trudno: powtarzać się nie mogę. Kogo to wszystko bliżej obchodzi, niech sobie przeczyta te wszystkie „frontispices” i „W zwierciadle”; porówna to z książką moją *Na drogach duszy*²⁴⁰; zajrzy do mej książki *Szlakiem duszy polskiej*²⁴¹; niech się postara o małą, a dla mnie niezmiernie drogą książeczkę: *Poznań ostoją myśli polskiej*²⁴² — dziś już prawdopodobnie jakiś biały kruk; niech sobie przeczyta moje przedmowy do *Alrauny*, *Ucznia czarnoksięskiego* i *Mamalo!* Ewersa, a — a nie jestem megalomanem, ale nie pożałuje ten ktoś, ten rzadki *certain* trudu, gdy te wszystkie porozsypanych kamyki w jedną mozaikę ułożyć zdoła.

Nierównego blasku te kamyki — ale widzieliście kiedy, jak się mozaika tworzy?

Bywają bledziutkie kamyki, ale jeżeli się je ułoży obok lśniących, bogatych — przez kontrast nabierają znaczenia i blasku, a zdumiewające: to najskromniej, najciszej powiedziane grzmi nagle triumfalnym chórem.

Te dwa małe tomiki pisane po niemiecku, *Zur Psychologie des Individuums*, były ogromną kanwą, na której jałem cały mój twór dzierzgać.

Wszystko tam wypowiedziałem — niedołącznie, bełkotem i przecuciem zaledwie, może dla mnie tylko zrozumiałym zaczątkiem wzoru, który miał mi kiedyś posłużyć do wykonania wspaniałego kobierca — *hélas*²⁴³! niewykonanego, ale kto będzie umiał głęboko sięgnąć, tam całego mnie jako twórcę odnajdzie.

I nie tylko jako artystę, ale jako ideologa — a ten ostatni dla mnóstwa moich czytelników jest najwięcej wartościowy.

Ale to tylko *vigilantis somnia*²⁴⁴!

Wielki Segantini²⁴⁵ narzucił parę plam na płótno, prowadził swego najbliższego przyjaciela przed ten „obraz” i żądał od niego, by widział w tych paru plamach tę wspaniałą całość, jaka już w jego duszy całym swoim majestatem się rozgościła — a był mocno zirytowany; jeżeli ktoś z tych paru plam nie zdołał odtworzyć całej jego wizji.

Segantini miał prawo do tego, bo tę kanwę, którą przygotował, zapelniał całą niesłychanym bogactwem. Jam sobie też kawał kanwy utkał, zbyt może wielki na moje siły — pozostały tu i ówdzie szerokie, barwne plamy, tu i ówdzie cały kawał kanwy wyszytej bogatym wzorem — ale jaki wielki obręb pustką świeci!

²³⁶ „Zdrój” — pierwsze pismo polskie związane z ekspresjonizmem, wydawane przez literata i malarza, Jerzego Hulewicza (1889–1940) w Poznaniu w latach 1917–1920 przy współudziale Przybyszewskiego. [przypis edytorski]

²³⁷ *Krzyk* — ekspresjonistyczna powieść Stanisława Przybyszewskiego (wyd. Lwów 1917 r. została opatrzone autobiograficznym wstępem pt. *W zwierciadle*). [przypis edytorski]

²³⁸ *De profundis* — powieść Stanisława Przybyszewskiego, wydana początkowo po niemiecku (Berlin 1894), a następnie po latach po polsku; autor napisał do tego dzieła dwie różne przedmowy, streszczające jego teorię sztuki: pierwsza, zatytułowana *Pro domo mea*, drukowana nakładem autora, poprzedzała niem. wydanie *De profundis*, druga pt. *Frontispices* została napisana do polskiego wyd. Lwów 1929. [przypis edytorski]

²³⁹ *Ewers, Hanns Heinz* (1871–1943) — niemiecki pisarz-mystyk, satanista, okultysta, autor operujący estetyką niesamowitości, grozy i horroru; był krótko członkiem NSDAP w początkowej fazie istnienia partii, jego twórczość była objęta patronatem Goebbelsa, szybko jednak doszło do zerwania powiązań, konfliktu i prześladowania pisarza, który nie podzielał antysemitycznej polityki nazistów, a przy tym był tępiony za homoseksualizm (w 1934 r. większość jego dzieł została zakazana); do jego powieści *Alraune* (tłumaczonej na polski przez Jadwigę Przybyszewską) Stanisław Przybyszewski napisał wstęp-artykuł, wyd. osobno pt. *Na marginesie tworu Ewersa* (Lwów 1917); wyd. w 1921 r. *Wampir. Powieść zdżyczenia ze strzępów i barw* została zakazana w Niemczech i USA i czekała 5 lat na publikację; do innych znanych utworów Ewersa należą opowiadania: *Żydzi z Jéb*, *Dama tyfusowa*, *Moja matka*, *czarownica*, *Opętani*. [przypis edytorski]

²⁴⁰ *Na drogach duszy* — zbiór rozpraw krytycznych o literaturze i sztuce Stanisława Przybyszewskiego, zawierający m.in. wykład teorii „nagiej duszy”; pierwodruk po niem.: *Auf den Wegen der Seele*, Berlin 1896. [przypis edytorski]

²⁴¹ *Szlakiem duszy polskiej* — szkice literacko-historiozoficzne Stanisława Przybyszewskiego wyd. Poznań 1917 r. po polsku oraz po niem. pt. *Von Polens Seele*, Jena (Lipsk) 1917. [przypis edytorski]

²⁴² *Poznań ostoją myśli polskiej* — zbiór rozważań Stanisława Przybyszewskiego, wyd. Poznań 1917 r. [przypis edytorski]

²⁴³ *hélas* (fr.) — niestety! [przypis edytorski]

²⁴⁴ *vigilantis somnia* (łac.) — sen na jawie. [przypis edytorski]

²⁴⁵ *Segantini, Giovanni* (1858–1899) — malarz włoski, twórca obrazów rodzajowych z życia mieszkańców Alp, świetny malarz zwierząt. Początkowo impresjonista, później skłania się do symbolizmu. [przypis edytorski]

*Et la tristesse de tout cela, o mon âme — et la tristesse de tout cela*²⁴⁶...

X

Przyszedł do mnie raz kochany mój dr Asch — a daleko musiał wędrować, bo mieszkał w najwięcej osławionej dzielnicy robotniczej na północy Berlina — zachwycał się moją wspaniałą „budą”: stół, krzeselko i łóżko, tak twarde, że niczym prycza więzienna, a potem jał mi robić wyrzuty, że tak długo się u niego nie pokazałem. Dziś jednakowoż już się niczym nie wykręcę: bliski jego kolega, Karol Schleich²⁴⁷, późniejszy profesor chirurgii na uniwersytecie berlińskim, pragnie mnie poznać; a poza tym, jeżeli mnie ten wielki chirurg, który zachwycał się moją broszurą *Ola Hansson* (a który potem miał czerpać z mego bogatego materiału, przysposobionego do mej pracy: „O histologii rdzenia pacierzowego”), mnie tak dalece nie zaciekawia, to w każdym razie spotkam tam jednego z najciekawszych poetów niemieckich — w całkiem innym guście jak bracia Hart, Wille lub Bölsche.

Nazwiska nie wymienił...

Dr Schleich posiadał bardzo piękną prywatną klinikę chirurgiczną i przylegające do niej wytworne mieszkanie. Schleich był nie tylko świetnym chirurgiem, wynalazcą nowego środka lokalnej anestezji przy operacjach, i to nawet bardzo ciężkich, jak wycinanie raka, ale posiadał bardzo piękny baryton i kochał śpiew nade wszystko.

Może w całym Berlinie trudno byłoby znaleźć równie piękny instrument, jakim był Steinway Schleicha.

Gdyśmy przyszli, spotkaliśmy już całe towarzystwo zgromadzone. Paru literatów już mi znanych: Hartleben²⁴⁸, Scheerbart i jeszcze paru innych, a gdzieś z kąta wychylił się młody, smukły człowiek o przedziwnie wyrazistej, całkiem posiekanej twarzy (pamiątka z menzur studenckich), o oczach płonących intensywnym a równocześnie dobroci pełnym blaskiem: Ryszard Dehmel²⁴⁹.

Znałem już to nazwisko, pochylilem się głęboko przed nim; roześmiał się serdecznie i jeszcze głębiej skłonił się przede mną.

A, wisus!

Chciał mnie tylko ośmielić.

Z każdym innym artystą byłem zawsze przez dłuższy czas na „pan”, zaczęłam ten tytuł zrobić miejsce podczas jakiejś rozkosznej pijatyki, jakiejś alkoholem podnieconej *heure de confidence*²⁵⁰, poufałemu „ty”.

Dehmel podszedł do mnie, jakby mnie znał dziesiątki lat:

— Ale dziś będziesz grał — dla mnie tylko grał!

Nieraz się zastanawiałem, co takiego było w mojej na wskroś dyletanckiej grze, co tak ludzi porywało, ba! nawet całkiem wytrącało z równowagi. Zdaje się, że czynił to zwykle mocno podniecony nastrój, w którym ta moja nieokiełznana gra nie pozwoliła słuchaczom patrzeć krytycznie na fatalne niedomagania techniczne; słuch ich tępał na wirtuozowską stronę wykonania, a tym wrażliwsza stawała się dusza na ogarnięcie ducha utworu, którego²⁵¹ moją barbarzyńską grą wyzwał.

A co im, Niemcom, całkiem o technice mej zapominać kazało, to ich bezustanne zdumienie, że to, co im grałem, to był rzeczywiście Szopen: takiego Szopena nigdy jeszcze nie słyszeli; nawet wyobrazić sobie nie mogli, by to, co im grałem, było Szopenem. Tak dalece tkwiło im we krwi głupie jakieś powiedzenie, że muzyka Szopena, to muzyka *d'une*

Muzyka

²⁴⁶*Et la tristesse de tout cela, o mon âme, et la tristesse de tout cela* (fr.) — i smutek tego wszystkiego, o duszo moja, i smutek tego wszystkiego. [przypis edytorski]

²⁴⁷*Schleich, Karl Ludwig* (1859–1922) — słynny chirurg niemiecki. [przypis edytorski]

²⁴⁸*Hartleben, Otto Erich* (1864–1905) — pisarz bohemy niemieckiej; autor wytwornych, zmysłowo-satyrycznych anegdot, cyzelowanych w kształcie dźwiękowym wierszy, komedii oraz tragedii oficerskiej pt. *Rosenmontag* (*Różany poniedziałek*, 1900). [przypis edytorski]

²⁴⁹*Dehmel, Richard* (1863–1920) — poeta niemiecki, z którym łączyły Przybyszewskiego długotrwałe stosunki przyjaźni; przeciwnik naturalizmu pojętego jako naśladownictwo; metafizyka, symbolika i refleksyjność filozoficzna cechują jego dramaty i liryki: *Erlösungen* („Wyzwolenie”, 1891); *Aber die Liebe* (1893); *Die Verwandlungen der Venus* („Przemiany Wenus”, 1907). [przypis edytorski]

²⁵⁰*heure de confidence* (fr.) — godzina poufności, chwila zwierzeń. [przypis edytorski]

²⁵¹*którego* (...) *wyzwał* (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: którego wyzwał. [przypis edytorski]

*chambre du malade*²⁵², jakaś histeria rozgrymaszonych nerwów, niemęskiej, rozbeczanej melancholii; a tu nagle posłyszeli jakieś grzmiące, bohaterskie pochody, ból duszy do naga obnażonej, straszne a bolesne cierpienie, heroiczne cierpienie, które się przed ludźmi kryje w wytwornym uśmiechu, a gdy się krzykiem zdradziło, to takim, który niebiosą w pasy drze, jak na obrazie Edwarda Muncha²⁵³, zatytułowanym: *Skrig* (Krzyk)!

Ich przerażone zdumienie, gdy posłyszeli *H-moll Scherzo*, *Fis-moll Polonez*, *F-moll Fantazję*, *Drugą Balladę*, *Barkarolę*! A to wszystko grane przez człowieka, który sam podczas gry popadał w jakiś niesamowity trans i drugich nim zarażał! Gdybym był wirtuozem, olśniłbym ich pewnie techniką, a ta nie pozwalałaby na co innego uwagi zwrócić, a tak — przy tej grze „natchnionego”, w zacieklej ekstazie pogrążonego dyletanta — oddziaływał na nich jedynie „duch” gry.

Gra ta niezmiernie mnie wyczerpywała, przecież nawet tak potwornie suchy „liryk”, jak Arno Holz, przestrzegał Dehmle: „*Wenn der Kerl sich weiter so verausgaben wird, krepirt er in einem Jahr*”²⁵⁴! — ale gra ta stała się najsilniejszym łącznikiem między mną a moimi niemieckimi braćmi po piórze.

„Szopenizować” stało się u Niemców przysłowiem. Jeżeli ktoś użył jakiejś dziwacznej, zbyt śmiałej metafory, jeżeli dowolnie przekształcał język, a raczej wydobywał z niego nieznanne dotąd walory, nazywało się, że szopenizuje język. Ktoś popełnił niebywałą ekstrawagancję, było to szopenizowaniem życia. I tak każdy z moich współczesnych Niemców „szopenizował”, gdy się w swoim tworze wił z bólu, gdy jakiś straszny krzyk spod serca się mu wydarł albo gdy już do najkorniejszej, cichej modlitwy złożył ręce.

Majaczono w Polsce o moim wpływie na literaturę niemiecką, i istotnie go wywarłem — ale nie moim tworem pisanym, który to z natury rzeczy był i musiał być im obcy, mimo że posługiwałem się, a raczej posługiwać się musiałem, ich językiem. Słowa rozumieli, byli nawet zdziwieni, że im tak bezczelnie język szopenizowałem, ale duch mego tworu był im więcej obcy aniżeli chiński — jeden tylko go rozumiał: Ryszard Dehmel. Natomiast wywarłem istotny wpływ moją grą — tylko się nie śmieć — rozmachem, nieokiełznaną furią mej gry, nieujętej w żadne prawidła, niegrzeszącej metodą konserwatorium lub w ogóle jakiegokolwiek profesora.

Wyobrażam sobie, z jaką pogardą, ba! nawet z serdecznym śmiechem, słuchałby pierwszy lepszy wirtuoz mej gry — i słusznie! — ale ci ludzie, z których żaden grać nie umiał, tylko odczuwać grę, i to nieraz tak odmętnie głęboko jak Dehmel, powitali moją grę jak objawienie.

Podczas tej gry powstał Dehmle cykl *Verwandlungen der Venus*, może najwspanialszy dokument jego twórczości; pod wpływem tej gry napisał Juliusz Hart, zresztą bardzo mi niechętny pisarz niemiecki, najlepszy swój poemat *Sehnsucht*, Johannes Schlaf kilka precudnych poematów, które wydałem swego czasu w polskim przekładzie, pod tytułem *Wiosna*²⁵⁵. — Znamienne, że ta iście królewska książka zdobyła sobie w Polsce w przeciągu 25 lat „aż” trzystu nabywców!

Et la tristesse de tout cela...

Henryk Hart wypowiedział wtedy zdanie, które mocno wszystkich zafrapowało: „Jeżeli mówą nie wypowiem tych wrażeń, jakie odbieram za pośrednictwem tonów muzycznych, przestanę pisać”. — Wiecznie kpiący Scheerbart — nikt nie słyszał, by kiedyś jakieś poważne słowo powiedział — wpadł w trans i jął pisać o kometach z 48 roku, które dostały ostrego szału i w delirycznych hallelujach w ocean wieczności się rzucały; a w kącie stał cudowny anachoreta, Peter Hille, i spisywał ołówkiem na mankiecie swoje spostrzeżenia, jak się słowo w dźwięk przetwarza, i na odwrót — o sobie nie mówię, bo ja inaczej, jak szopenowskimi dźwiękami, twórczo w ogóle myśleć nie umiem.

Ta dywagacja była potrzebna do określenia mego stosunku do Dehmle: muzyka Szo-

Przyjaźń, Muzyka, Krew

²⁵²*d'une chambre du malade* (fr.) — z pokoju chorego. [przypis edytorski]

²⁵³*Munch, Edward* (1863–1944) — ekspresjonistyczny malarz i grafik norweski o niezwykle oryginalnej technice; w swych dziełach obnaża koszmar życia; w ostatnim okresie twórczości malował sceny z życia proletariatu; napisał wspomnienie pośmiertne o Przybyszewskim w „*Pologne Litteraire*” (1928, nr 27) pt. *Mein Freund Przybyszewski* (*Mój przyjaciel Przybyszewski*). [przypis edytorski]

²⁵⁴*Wenn der Kerl sich weiter so verausgaben wird, krepirt er in einem Jahr* (niem.) — Jeśli facet będzie się tak ciskał, to w ciągu roku zdechnie (popr. zam. *verausgaben*, raczej: *herausgeben*). [przypis edytorski]

²⁵⁵które wydałem swego czasu (...) pod tytułem „*Wiosna*” — pierwodruk w „*Chimerze*” (nr 1, styczeń 1901 r.), wyd. książkowe nakł. Mortkowicza, Kraków 1902. [przypis edytorski]

pena zadzierzgnęła między nami te silne, nierozzerwalne węzły gorącej i wiernej przyjaźni, która nas odtąd aż do jego śmierci wiązała, i to nie tej zdawkowej — to, co to się zwykle przyjaźnią nazywa — ale tej głębokiej, niezmiernie rzadkiej, która jeszcze u pierwotnych ludzi się znachodzi, a której barbarzyńskim symbolem rozcinanie sobie żył i wzajemna wymiana krwi.

Ta przyjaźń rodzi się jak miłość — w jednym błysku sekundy.

W tej samej chwili, gdy Dehmel podszedł do mnie i powiedział z jakimś tajemniczym uśmiechem: „Dziś będziesz mi grał” (Słyszał już mnóstwo legend, które się naokół mej gry tworzyć jeły.) — tej samej chwili wiedziałem:

Znalazłem przyjaciela!

Och, jak ja mu wtedy grałem! Zapomniałem, że jeszcze ktoś inny jest obecny w tym wytwornym salonie prócz nas obu; coraz gęstszy mrok zapadał; nastąpiło wielkie, skupione milczenie, którego się zawsze bałem; odszedłem chyłkiem od fortepianu, a nagle uczulem rękę Dehmela na swojej:

— Chodź — pójdziemy stąd!

Nie było to grzecznie, ale Schleich Dehmlowi wszystko wybaczał.

Szliśmy długo w milczeniu — Dehmel zdjął czapkę: całe czoło miał spocone.

— Słuchaj — powiedział nagle — tobie nie wolno bawić się ludźmi i obcążkami im nerwy wyrwać!

— Tobie ich nie wyrwę, a aby je drugim wyrwać, na to potrzeba by było kowalskich obcęgow.

Zaśmialiśmy się serdecznie — i to nas wyzwoliło.

Do porządnej restauracji wstąpić nie mogliśmy, na to nas nie było stać, ale zaprowadziłem go w pobliże mej dzielnicy za Weddingem do jakiejś „kaszemy²⁵⁶”, punktu zbornego tak zwanych szumowin wielkowiejskich.

Byłem wtedy przejęty teorią Lombrosa²⁵⁷ o *uomo scellerato*²⁵⁸ i *criminel-né*²⁵⁹, nie pomnę, którego z francuskich psychologów, i rozgorzałem gorącym pragnieniem, by poznać duszę zbrodniarza i istotę zbrodni, a poznanie to miał mi ułatwić mój sąsiad, który mi był wdzięczny, że nie pozwoliłem mu zabić jego żony, i tak już prawie na śmierć skatowanej.

Sąsiad mój był z zawodu *Steinträgerem* (dźwigaczem kamieni); najpiękniejszy zawód w zakresie budowy, bo dzień cały musi dźwigać kamienie i cegły na wszystkie piętra, a równocześnie dziwnie deprawujący zawód: ilu ich spotkałem, każdy z nich zdradzał zbrodnicze skłonności i każdy z nich nieludzko się upijał; a co najgorsze — tragicznie się upijał.

Otóż ten mój kochany sąsiad, który jednakowoż posiadał dużo respektu przede mną, przyszedł razu pewnego do domu z tym szlachetnym zamiarem, by żonę swoją ubić — zanadto go „sekowała” jego pijaństwem.

Słyszę nagle — nie po raz pierwszy — straszliwe krzyki, rozpaczliwe wzywanie pomocy, ale my wszyscy w całej olbrzymiej kamienicy byliśmy do tego tak przyzwyczajeni, żeśmy przestali zwracać na to uwagę. Tym razem jednak wydawała się sprawa poważniejsza.

A gdym się namyślał, co zrobić, wpadła do mojej izdebki wynędzniała kobieta, rzuciła się jak długa na ziemię i wpełzła ostatkiem sił pod moje łóżko.

Ale w tejże chwili wpadł rozwścieczony *Steinträger* i, zdumiewające, nagle ochłonął.

Zmieszał się i zaczął bełkotać:

— Gdzie moja żona?

Posadziłem go na stołku, zacząłem do niego bardzo delikatnie, bardzo dobrotliwie przemawiać, głaskałem go i ręką, i słowem i zatwardziały *Steinträger* rozbeczał się tym

Mąż, Żona, Przemoc,
Sąsiad

²⁵⁶*kaszema* (z niem. *Kaschemme*) — garkuchnia. [przypis edytorski]

²⁵⁷*Lombroso, Cesare* (1835–1909) — kryminolog i antropolog włoski, autor poczytnej książki *Geniusz i obłąkanie* i twórca wyłożonej w niej pseudonaukowej teorii o istnieniu tzw. „typu zbrodniczego”, tj. człowieka o wrodzonych zbrodniczych predyspozycjach psychicznych, uwarunkowanych cechami fizjologicznymi. [przypis edytorski]

²⁵⁸*uomo scellerato* (wł.) — dosł. człowiek zły, człowiek zbrodniczy; tu: jako termin ukuty przez kryminologa i antropologa wł. Cesare Lombroso. [przypis edytorski]

²⁵⁹*criminel-né* (fr.) — urodzony zbrodniarz. [przypis edytorski]

nagłym bekiem pewnej kategorii pijaków, których się nie tylko w najniższych warstwach znachodzi.

Tymczasem żona jego wydostała się spod łóżka, przyjął ją laskawie, a po jakimś czasie usłyszałem to piekielne chrapanie, które mnie nocami, gdym musiał najintensywniej pracować, do rozpaczy doprowadzało.

I specjalnym względem tego *Steinträger* miałem do zawdzięczenia wstęp do tej kaszemy — Chryste Panie! jakie tam towarzystwo się gnieździło!

Całą moc wspomnień z tej kaszemy znajdziecie w moim *Krzyku*.

Wobec każdego obcego przyjmowano tu bardzo wrogą postawę, bo w każdym wietrzono wężem złego sumienia szpicla, ale ponieważ byłem tu znany i przez ich człowieka wprowadzony, więc Dehmle przyjęto życzliwym skinieniem głów. Poza tym nie zwracano na nas najmniejszej uwagi, jakbyśmy w ogóle nie istnieli.

Może w całym Berlinie nie było tak fantastycznie tanio jak tu — z tej prostej przyczyny, że wyszynk był tylko pozorem, ukrywającym gruby, innego rodzaju interes, który światła dziennego nie znosił.

I tu, w tym — jak Dehmel zauważył — „najwspanialszym towarzystwie”, ale poza jego nawiasem, spędziliśmy długie, długie godziny.

Mieliśmy razem talar (trzy marki), ale ten talar starczył jak najzupełniej, by wprowadzić nas w stan jakiejś niezmiernie przyjemnej ekstazy, w której się nasze dusze w braterskiej miłości spowily. Tak się rozpoczął jeden z najpiękniejszych i najgłębszych stosunków, jakie mnie kiedykolwiek z mężczyzną łączyły.

Odtąd spotykaliśmy się prawie codziennie. Dehmel posiadał doktorat nauk ekonomicznych, ale do pasji go doprowadzało, jeśli go ktoś zatytułował: *Herr Doktor!* — był sekretarzem Zjednoczonego Towarzystwa Ubezpieczeń w Berlinie i tam ciężko pracował od dziesiątej rano do trzeciej po południu, by zarobić miesięcznie olbrzymią (na one czasy) sumę 250 marek.

Ta jałowa praca często go do rozpaczy doprowadzała, ale wykonywać ją musiał, bo każdy liryk był w Niemczech z góry na śmierć głodową skazany, o ile nie posiadał własnego majątku.

Tam, za granicą, gdzie ponoć, według majaczeń naszych krytyków, umie społeczeństwo ocenić zasługi swych artystów, stokroć razy gorzej i boleśniej „krzyżuje się”, niszczy i wygładza najwybitniejsze talenty, aniżeli u nas. Żaden artysta w Polsce nie przeżywa takiej nędzy, jaką przeżywał istotny artysta z Bożej łaski w Niemczech.

Nędza w Friedrichshagen była przysłowiowa — bracia Hart ratowali swe życie podłą i wyczerpującą pracą dziennikarską; Wilhelm Bölsche pisaniem popularnych artykułików z dziedziny przyrodniczej, a w tym zakresie posiadał istotnie głęboką wiedzę, był przecież ukochanym uczniem Haeckla, profesora zoologii w Jenie, słynnego później twórcy monizmu, w którym to poronionym tworze był mu wielką pomocą właśnie Bölsche; Bruno Wille pobierał małą pensyjkę jako agitator socjalistyczny i kierownik *Freie Volksbühne*; Arno Holz zarabiał na życie wyrobem zabawek dla dzieci, a biedny Johannes Schlaf spędzał swe życie każde pół roku w najbiedniejszej mansardzie, by drugie półrocze spędzić w domu obłąkanych.

Obok Dehmle najtęższy i najwybitniejszy liryk niemiecki Detlev von Liliencron²⁶⁰ przeżywał skrajną nędzę w Hamburgu, a wszystkie listy jego do przyjaciół i nielicznych wielbicieli to jeden rozpaczny krzyk: „nie pozwólcie mi z głodu zdychać!” (*krepierten*).

Paul Scheerbart byłby chyba chodząc, gdyby się nad nim nie był zlitował Eryk Hartleben, który po swoim stryju, bogatym senatorze z Hanoweru, odziedziczył nie tylko cały jego dość znaczny majątek, ale również całą jego garderobę.

A trzeba było całego rozpaczliwego, a zarazem hardego i z całego świata kpiącego humoru Scheerbarta, by móc w biały dzień paradować po ulicach Berlina w obszernym surducie opasłego senatora (a Scheerbart był chudy jak szczapa), sięgającym mu po kostki — na przeróbkę Scheerbart zdobyć się nie mógł — i wyglądało to groteskowo i w wysokim stopniu komicznie. Scheerbart zdawał sobie z tego sprawę i tym dumniej przechadzał się na tych szczytach, gdzie to poeci, według Schillera, spacerują ręką w rękę z królami!

²⁶⁰Liliencron, Detlev von, właśc. Frederik Adolf Axel (1844–1909) — słynny niemiecki liryk-impresjonista, dramaturg i prozaik; w niektórych utworach piewca pruskiego militaryzmu. [przypis edytorski]

A jedno bolesne wspomnienie do dziś dnia mnie dławi! Pewnego dnia przyszedł do mnie Peter Hille — artysta dużej miary, człowiek o niezmiernie rozległej wiedzy literackiej: znawca, i to głęboki i rzetelny znawca, wszystkich literatur nie tylko europejskich, ale i azjatyckich narodów, wytworny pisarz, którego aforyzmy podziw w nas budziły — przyszedł biedny Piotruś z wyraźnymi objawami delirium głodowego, bo właśnie gospodyni z domu go wygoniła, bo nie mógł się już od paru miesięcy uścić z pięciomarkowego czynszu mieszkaniowego.

Słuchałem przez całą godzinę opowiadania o jego delirycznych wizjach, które były dla niego oczywiście najistotniejszą rzeczywistością, a mnie bezustannie przebiegały zimne dreszcze, gdym wysłuchiwał tych opowiadań.

Parę filiżanek czarnej kawy uspokoiło go; zatrzymałem go w u siebie.

Usnął, ale wśród nocy nagle się zerwał i stanął na środku pokoju całkiem nagi.

I ja zerwałem się przerażony: okazało się, że Hille nie posiadał wcale koszuli, a papierowe mankiety, całe zapisane drobnym, dla niego tylko czytelnym maczkiem, były umocowane na sznurku, przewieszonym przez szyję nędzarza.

A wspaniała w swym majestatycznym tragizmie była śmierć tego, który czterema tomikami swego tworu, wydanego przez Henryka Harta po jego śmierci, wzbudził nie tylko głębokie zainteresowanie, ale wprost entuzjazm, i to nie tylko wśród braci literatów, ale i u szerszej publiczności.

Odnaleziono go gdzieś, w parku jakimś pod Berlinem, całkiem głodem wycieńczonego i w nieprzytomnym stanie. Z gazet dowiedziała się o tym Elza Lasker-Schüler²⁶¹, wyjątkowo zdolna w Niemczech poetka, obdarzona rzeczywistym talentem. Przywiozła go do swego mieszkania, pielęgnowała, czuwała nad nim dniem i nocą; wreszcie po kilku dniach Piotr Hille odzyskał przytomność, rozejrzał się dookoła, obejrzał czystą pościel, na której leżał, uśmiechnął się cicho i wyszeptał: „A ja wiedziałem, że raz wreszcie musi się człowiekowi w tym życiu dobrze powodzić...” — i skonał...

A sześćdziesięcioletni Detlev von Liliencron, teraz uznany już przecież w Niemczech za największego liryka współczesnego, pisze do swego przyjaciela Kurta Pipera:

Najwyższym dla mnie szczęściem byłoby za życia umrzeć i pójść w zapomnienie — to uważałbym za jedyne szczęście na ziemi — ale cóż począć? Kto mi da środki, by móc siebie i moją rodzinę wyżywić? Jestem więc zmuszony jeździć po odczytach. A każdy taki odczyt jest dla mnie wyrafinowaną torturą... Proszę Pana na klęczkach, nie przychodź Pan na mój odczyt! Czytam same głupstwa! Przecież publiczność nie rozumie mych poezji, przychodzą tylko po to, by na mnie się gapić!

I tenże sam Liliencron, dla którego ma niezadługo stanąć w Hamburgu pomnik, puka z coraz większą rozpaczą do drzwi 78 (siedemdziesięciu ośmiu) redakcji pism niemieckich, by drukowano w felietonie jego pamiętniki zatytułowane: *Życie i kłamstwo* (*Leben und Lüge*). Nie raczono mu nawet odpowiedzieć.

A straszny byłby los Dehmła, gdyby go nie była ratowała nad wszelki wyraz wyczerpująca dla niego praca w Biurze Ubezpieczeń, a następnie dochody z kamienicy, którą w pięć lat później odziedziczył po śmierci ciotki swej pierwszej żony. Mógł wtedy, szczęśliwiec, porzucić biuro — zamieszkać w pobliżu cudownego parku w Pankow pod Berlinem, w pobliżu pięknego pałacyku, w którym Fryderyk Wielki osadził swoją zniechęconą żonę.

Otóż tak wyglądał i wygląda prawdopodobnie dotychczas „raj” artystów za granicą — przynajmniej w Niemczech; — a niewiele lepiej w Skandynawii, choć tam już rozumiano, że artysta stanowi bardzo poważną część majątku narodowego; toteż państwo szczególną opieką ich otacza, wypłacając co wybitniejszym miesięczną ratę w wysokości płacy wyższego urzędnika państwowego.

Otóż znowu dywagacje, ale właśnie tym pozornym odskakiwaniem od „tematu” zabarwia się wyraziściej tło życia tych artystów, przede wszystkim ich dziwnie bohaterską wolę i fanatyczną miłość sztuki, która im w tej życiowej udręce, w tej beznadziejnej nieraz mitrędze wytrwać kazała.

²⁶¹Lasker-Schüler, Else, właśc. *Else Walden* (1876–1945) — pisarka niemiecka, w r. 1937 wyemigrowała do Palestyny; tworzyła liryki fantastyczne (*Hebraische Balladen*, 1913), eseje i dramaty. [przypis edytorski]

Artysta, Pozycja społeczna,
Bieda, Alkohol, Sen

Nie dziw, że często przychodził wisielczy odruch, by zapomnieć, odurzyć się czymkolwiek bądź, byle tylko nie pamiętać o całej tej nędzy dnia powszedniego — zapomnieć, och! zapomnieć!

Marny, lichy „fuzel”, bo nikogo nie stać było na „szampańskie”, jakaś flacha „Nordhäusera” — za jedną markę cały litr — starczyła, by rozpaczna myśl o jutrze zamieniła się w pijanym transie w jakiś rozkoszny sen o wielkiej, wspaniałej przyszłości, o triumfach i o sławie, pogromie filistrów i zwycięstwie Piękna nad ohydą życia.

O, to biedne, to rozpaczne *vigilantium somnia*²⁶²!

A nazajutrz cięższe jeszcze rozczarowanie, bolesniejsza jeszcze udręka i rozpaczniejszy krzyk za wyzwoleniem!

I o tych nędzarzach chodziły zdumiewające gadki i legendy, że święcili w swoich „cenaclach” potworne orgie — bachanalie, że pławili się w wódce i szampanie! he! he! szampanie! że odprowadzali jakieś nieludzkie „czarne msze”; o mało co, a już miało stać się pewnikiem, że wszystko to samo działo się w tych kółkach biednych cyganów²⁶³, co Minutius Feliks²⁶⁴ o pierwszych chrześcijanach opowiada!

Biedne, głupie, śmieszne brednie!

Więcej może aniżeli w jakimkolwiek społeczeństwie żył artysta niemiecki całkiem poza obrębem tego społeczeństwa. Do „obywatelskich” domów drzwi były dla niego na dziesięć spustów zamknięte, zresztą nie starał się do nich wdierać w tym dumnym przeświadczeniu, że jedyne towarzystwo, godne artysty, to artysta — poza tym burżuazja niemiecka miała straszny lęk przed tymi „obłąkanymi” wywrotowcami.

Widziałem kiedyś wspaniałą karykaturę, nie pomnę, kto ją rysował — zdaje się, że nieśmiertelny Oberlander²⁶⁵ — pod tytułem „Aktorzy idą!”

Schludne podwórko w jakimś małym miasteczku. Na sznurach, porozwieszanych między drzewami, suszy się bielizna, na murawie pasą się kury, kaczk i gęsi. I ta osobliwa chwila, na okrzyk: „Aktorzy idą!” (*Schauspieler kommen!*) — wypadają na podwórko w panicznym strachu kumoszki z całego domu, ściągają czym prędzej z sznurów bieliznę, chwytają pod pachę kury i kaczki, by to wszystko czym prędzej ukryć przed złodziejskimi zakusami wygłodzonych aktorów.

Mniej więcej tak samo traktowało społeczeństwo niemieckie tę garść artystów, którzy podówczas coś znaczyli — oczywiście tylko „za granicą”. W samej ojczyźnie: darmożjady, zboreźnicy, chemicznie wyprani z wszelkiego poczucia etyki i wspólnoty społecznej, banda anarchistów, których bezustannie denuncjowano prokuraturii państwowej, pornografi²⁶⁶, a jakże! wespół obłąkani deliranci, którzy na domiar wszystkiego podatków płacić nie mogli!

To już szczyt wszystkiego! Obywatel państwa niemieckiego, który podatków nie płaci! I do mnie zawitał raz poborca podatków, a ponieważ pieniędzy nie miałem, a nic nie posiadałem, co by można fantować, włożył ręce do kieszeni i z ciężką pogardą odezwał i się do mnie: „I taki człowiek uważa się za wykształconego” (*Und so was will ein gebildeter Mensch sein!*).

A były to czasy, kiedy Ibsena w berlińskim teatrze dwukrotnie wygwizdano, w Lipsku wytoczono proces pięciu obmierzłym naturalistom o ciężką obrazę publicznej moralności, a Maks Nordau²⁶⁷, ten; *bougre-Dieu* obłudnej burżuazji, pisał rozpaczliwe lamenty nad zwyrodnieniem literatury niemieckiej i w każdym artyście berlińskiej bohemy dopatrywał się doszczętej degeneracji i obłądu.

A już z całą rozwydrzoną, zajadłą zaciekłością rzuciła się cała prasa na tę *Jung-Deutschland*, wyszydzaną przez nią i wyśmiewaną w całkiem niechlujny sposób, jako *Grün-*

²⁶²*vigilantium somnia* (łac.) — sen na jawie. [przypis edytorski]

²⁶³cygan — tu: członek bohemy artystycznej. [przypis edytorski]

²⁶⁴*Minucius Felix, Marcus* (zm. ok. 250) — jeden z najwcześniejszych łacińskich apologetów chrześcijaństwa; tworzył przypuszczalnie między 150 a 270 r., dziś znany wyłącznie jako autor dialogu na temat chrześcijaństwa *Octavius*, w którym rozmawiają poganin Caecilius Natalis oraz chrześcijanin Octavius Januarius, wykorzystując argumenty zaczerpnięte z Cycerona (gł. z *De natura deorum*) oraz apologetyki greckiej. [przypis edytorski]

²⁶⁵*Oberlander, Adolf* (1845–1923) — rysownik i karykaturzysta niem., którego dzieła zawierają elementy krytyki ustroju kapitalistycznego. [przypis edytorski]

²⁶⁶pornografi — dziś popr. forma lm: pornografowie. [przypis edytorski]

²⁶⁷*Nordau, Maks*, właśc. *Max Südfeld* (1849–1923) — pisarz i lekarz niemiecki pochodzenia żydowskiego; jeden z przywódców syjonizmu; autor znanej książki *Die konventionellen Lügen der Kulturmetischheit* (*Konwencjonalne kłamstwa cywilizowanej ludzkości*), 1883. [przypis edytorski]

-*Deutschland* (smarkaczowskie Niemcy); z taką plugawą ohydą nie miała jednak Młoda Polska do walczenia — nasz Jeske-Choiński²⁶⁸ był wytwornym panem wobec tych niemieckich krytyków, którzy zaopiekowali się berlińską bohemą.

Toteż zrozumiałe jest moje *caeterum censeo*²⁶⁹ po powrocie moim do Polski, że Polska jest bądź co bądź najkulturalniejszym — bynajmniej nie sądzę, by najwięcej ucywilizowanym — narodem w Europie.

Ale pół biedy, że krytyka niemiecka wylewała codziennie cebry niechlujstwa na biedną bohemę, w każdym razie to zaciekało, zmuszało do kupowania, „chyłkiem” oczywiście, jednego lub drugiego utworu; ale gorzej było, gdy krytyka chwyciła się podłej i skuteczniejszej broni: przemilczania. A to *Totschweigen*²⁷⁰ było często wprost wyrokiem śmierci dla artysty; w całym tego słowa znaczeniu było nim dla Piotra Hille, Ludwika Scharfa²⁷¹, Scheerbarta, Conradiego i tylu innych; naród lokai skłaniał się w pokorze przed obcymi literaturami, toteż Arno Holz razem z Johannesem Schlafem, którzy wtedy tworzyli i stale byli przemilczani, wydali jedną książkę, podając za jej autora Norwega Bjarna P. Holmsena.

Mistyfikacja się udała — krytyka niemiecka poświęciła całe szpalty temu „niezwykłe uzdolnionemu” Norwegowi!

Swoją drogą trzeba być sprawiedliwym: co by się było ze mną w Polsce działo, gdybym nie był przywiózł z sobą śmiesznego zagranicznego patentu: *made in Germany*, jako że jestem *genialer Pole*²⁷²!

He, he, he!

Właściwie nie miały Młode Niemcy żadnej publiczności — książki ich rozchodziły się nieskończenie powoli, a jeżeli jaka książka ukazała się po paru latach w drugim wydaniu, przy nakładzie trzystu egzemplarzy, to już było niesłychane powodzenie. Artysta pisał dla siebie i dla bliskich mu artystów, wyodrębniał się coraz więcej wśród swego społeczeństwa i tak tworzył „Jedyny dla Jedynego” i wprowadzał w życie najwyższy postulat ideologii Stirnera.

A takiego „jedynego” — który, zdaje się, li tylko dla siebie i dla swego ukochanego bóstwa, Ryszarda Dehmła, tworzył — miałem niebawem poznać: „barona” Detleva von Liliencron.

— Dziś musisz koniecznie do mnie przyjść — Liliencron przyjechał. Uciekł przed dłużnikami. Nie pożałujesz, że go poznasz — powiedział mi raz Dehmel, gdyśmy się, jak zwykle, w małej kawiarence po południu spotkali.

Pod wieczór poszedłem do Dehmła. Mieszkał na piątym piętrze, a dom zdawał się być położony na najwyższym punkcie Berlina, bo z okien mieszkania Dehmła rozścielał się nieporównany widok na cały Berlin — a raczej olbrzymie morze dachów, wież, kopuł, kominów fabrycznych; pierwszy i jedyny raz, że mi się w tym upalnym zmroku — właśnie w tym czasie dziesiątkowała cholera ludność Hamburga — Berlin nieomal piękny wydał.

Może właśnie dlatego, że w tym czasie dyszało nad nim do białości rozżarzone powietrze widmo cholery, która już kilkanaście ofiar w przeciągu dwóch dni w Berlinie samym zabrała, a lada chwila spodziewano się w ciężkim przerażeniu wybuchu tej zabójczej, a tajemniczej choroby.

U Dehmła zastałem, prócz Liliencrona, jeszcze Scheerbarta i pośrednika między Młodą Francją a Młodymi Niemcami: Henri Alberta, Alzacyjnyka, który wówczas właśnie się wahał, czy ma pisać po francusku czy po niemiecku. Był stałym współpracownikiem

Miasto, Choroba,
Niebezpieczeństwo

²⁶⁸Jeske-Choiński, Teodor (1854–1920) — pisarz, publicysta i krytyk literacki, autor słynnego studium o Młodej Polsce pt. *Dekadentyzm*, W-wa 1905 (cz. I *Na schyłku wieku*, 1894); pisał także niepochlebnie o Przybyszewskim w artykule *Seksualizm w powieści polskiej* („Kurier Warszawski” nr 167 i n. z 1906 r.). [przypis edytorski]

²⁶⁹*caeterum censeo* (łac.) — uporczywe twierdzenie. [przypis edytorski]

²⁷⁰*totschweigen* (niem.) — pomijać milczeniem; tu: w znaczeniu rzeczownikowym, w wielką literą. [przypis edytorski]

²⁷¹Scharf, Ludwig (1864–1939) — poeta, pisarz i tłumacz niem., skrajny naturalista, otwarcie głoszący ateizm, autor *Lieder eines Menschen* (1892). [przypis edytorski]

²⁷²*genialer Pole* (niem.) — genialny Polak [przypis edytorski]

„Mercure de France”²⁷³ i pisywał tam obszerne *lettres allemandes*²⁷⁴, a równocześnie zasilął stałymi korespondencjami o stanie literatury niemieckiej „Revue Blanche”²⁷⁵.

Liliencron na zewnątrz niczym się nie wyróżniał: zwykły typ oficera pruskiego w cywilnym ubraniu, ale w każdym calu zdradzał, wytwornego, w najsurowszych tradycjach junkierskich wychowalnego pana. Jedyne junkier z tych kilkunastu, którzy się prawie przemocą do naszego cygańskiego koła wdarli, który nie wnosił do pokoju specyficznego zapachu stajni.

Rozmowa szybko się zawiązała. Liliencron przebywał jako chorąży przed wojną francuską 1871 w Poznaniu. Wyrażał się entuzjastycznie o Polakach, zwłaszcza o Polkach, jedynych kobietach, które się „ubrać” umieją. Opowiadał niezmiernie ciekawe rzeczy o rozpasaniu i zdziczeniu ludności w Hamburgu właśnie w tym czasie, kiedy cholera tam najwięcej się srożyła: jednym słowem nie zdradził się w nim ten nędzarz, któremu po prostu ostatnią koszulę zdzierano za długie, jakie u jakiegoś lichwiarza zaciągnął.

Dehmel postawił kilka butelek wina — rozmowa coraz więcej²⁷⁶ się ożywiła — teraz tylko już o literaturze była mowa. Nagle wyciągnął Dehmel z teki swej manuskrypt i jął czytać: był to poemat, jeden z najpiękniejszych poematów, jakie wówczas powstały, Liliencrona *Aldebaran*.

Deklamacje Dehmela miały niesłychany urok. Każde słowo nabierało w nich jakiegoś intensywnego życia, lśniło nieporównanym blaskiem, śmiało się, zgrzytało, kwiliło, płakało, pyszniło się purpurą wzniesłego majestatu, tuliło się biedne, siermiężne, żgło lub broczyło krwią. Słyszałem mnóstwo artystów, deklamujących swoje lub obce utwory — przecież było to celem naszych zebrań — ale nigdy przedtem ni też już nigdy potem nie słyszałem żadnego artysty, który byłby w stanie słowo do tej potęgi w brzmieniu podnieść, do jakiej ją Dehmel wyolbrzymiał.

To, co przy zwykłym czytaniu mogło się wydać brudne, nabierało w jego czytaniu powagi i świętości, ustępy, które by się w czytaniu prawdopodobnie opuszczało, bo były przydługie, pragnęło się w czytaniu Dehmela jeszcze raz posłyszeć, a nawet trywialna rzecz stawała się czymś, godności pełna.

Kiedy Dehmel skończył, zaległo długie, pełne uroczystego zadumania milczenie — i od tej chwili jałem czcić w Liliencronie istotnie wielkiego artystę.

— Teraz wam coś innego przeczytam — powiedział Dehmel po długiej chwili.

I przeczytał swe zdumiewające tłumaczenie — och! nie! to nie było tłumaczenie, to przewspaniała parafraza z Verlaine’a *La Sagesse*²⁷⁷. Po raz pierwszy poznałem wtedy Verlaine’a, a nie umiem powiedzieć, jak do głębi całą moją duszą wstrząsnął.

A gdy przeczytał to ostatnie westchnienie:

— *O pauvre âme, c’est cela...* (*O, arme Seele, so ist’es recht*)²⁷⁸ — buchnął nagłym płaczem.

Była to chwila tak uroczystego podniesienia, tak świętego skupienia, że jakieś słowo byłoby jej zbezczeszczeniem.

Milczeliśmy długo.

²⁷³„Mercure de France” — najstarsze czasopismo francuskie, założone przez Jeana Donneau de Visé w 1672 r. jako „Mercure galant”; pod nową nazwą funkcjonowało od r. 1714 do 1825, stając się trybuną myśli oświeceniowej; po przerwie wznowione jako dwutygodnik w 1890 r. przez Alfreda Vallette, otworzyło swe łamy dla symbolistów francuskich (takich jak Jean Moréas, Remy de Gourmont czy Alfred Jarry); krakowskie „Życie” za redakcji Przybyszewskiego zamieszczało dzięki Stanisławowi Lackowi przeglądy prasowe z „Mercure de France”, podobnie jak z „Revue” i innych czasopism europejskich. [przypis edytorski]

²⁷⁴*lettres allemandes* (fr.) — korespondencje niemieckie (z Niemiec). [przypis edytorski]

²⁷⁵„Revue blanche”, właśc. „La Revue blanche” — ilustrowany dwumiesięcznik poświęcony nowym prądom literackim, zał. w 1889 r. w Liège przez grupę artystów działających pod nazwą *La Revue blanche*, Augusta Jeunehomme i Paula Leclerca, a także braci Aleksandra, Tadeusza i Ludwika-Alfreda Natansonów później redagowany przez Aleksandra Natansona; pismo miało ambicje stać się konkurencją dla „Mercure de France”; jako pierwsze w historii zaprosiło do współpracy artystów, wśród wybitnych postaci związanych z „La Revue blanche” znaleźli się m.in. Félix Fénéon, Alfred Jarry, Claude Debussy, Marcel Proust, Octave Mirbeau, Paul Verlaine, Henri de Toulouse-Lautrec, Misia Sert, a oprócz artystów również działacze społeczni i polityczni, np. Émile Pouget czy Léon Blum; w 1898 r. redakcja pisma wystąpiła w obronie kapitana Alfreda Dreyfusa; od 1903 r. periodyk przeniósł się do Paryża i połączył z „Revue”. [przypis edytorski]

²⁷⁶coraz więcej — popr.: coraz bardziej. [przypis edytorski]

²⁷⁷*La Sagesse* — „Mądrość”; tytuł cyklu wierszy religijnych Verlaine’a. [przypis edytorski]

²⁷⁸*O pauvre âme, c’est cela (O, arme Seele, so ist’es recht)* — ostatni wers *Sagesse* brzmi: *Pauvre âme, c’est cela!* „Biedna duszo, tak właśnie jest”. [przypis edytorski]

Wreszcie uspokoił się Dehmel — powoli ożywiła się rozmowa, a było to, jakby nas był wstyd ogarnął, żeśmy się tak do najistotniejszych głębi wzruszyli — bo najgłębsze wzruszenie jest nieskończenie wstydlive — w mig wypróżniliśmy flaszki; Dehmel postawił nowe.

— Słuchaj tylko, Stasiu — jedyny Niemiec, który mnie tak stale nazywał i to „Stasiu” dobrze wymówić zdołał. — Nie macie wy tam czego w polskiej literaturze, co bym mógł przetłumaczyć? Ty już wiesz, o jakiego rodzaju poemat mi chodzi.

Przypomniał mi się nagle Rabski i jego deklamacja Ujejskiego przed paru laty w gimnazjum wągrowieckim.

— Ależ tak! Sam właśnie o tym myślałem. Ja przetłumaczę ci dosłownie, prozą, jeden poemat świętego polskiego artysty — a ty — już będziesz wiedział, co z tym zrobić.

Wino poczęło działać: widzę jeszcze Scheerbarta, rozciągniętego: na dywanie, jak wali pięścią w podłogę i krzyczy na całe gardło: „*Weltgeist, wo bist du?!*” — Majaczy mi się blada, zmieszona twarz Henri Alberta, który nam nie tylko Verlaine’a, ale i Rimbauda, i Laforgue’a²⁷⁹ z Paryża przywiózł. Widzę usiłowania zawsze trzeźwego Liliencrona, by Scheerbarta uspokoić; potem śledzę jeszcze gwałtownie kołyszące się ruchy lampy w rękach Dehmła, sprowadzającego nas na dół; potem buchnął na mnie piekielny żar ulicy — tego lata sypiać nie było można wskutek tego niesamowicie rozżarzonego powietrza, którego upał zdawał się być jeszcze więcej²⁸⁰ spotęgowany w nocy — ale zdumiewające: gdym uszedł kawalek — otrzeźwiałem.

To była noc wielkiego cudu. Wiem doskonale, że od tej nocy jęło coś we mnie kielkować, jakieś mgławice krążyć i formować się, ale jeszcze nie nadszedł czas.

Kiedy po dwóch czy trzech dniach zaszedł do mnie Dehmel, już przetłumaczyłem całą *Marsz żałobny* Ujejskiego, który Dehmła w zachwyty wprowadził.

I teraz rozpoczęła się mozolna praca.

Dehmel wsłuchiwał się po kilkanaście razy w dźwięki nieznanego mu mowy — deklamowałem mu to bezustannie, jak to słyszałem w deklamacji Rabskiego — potem Dehmel czytał słowo po słowie; wypytywał się o wszystkie możliwe synonimy każdego wyrazu; badał rytm, jego wzniesienia i spadki, nagłe jego zmiany; aż zabrał się do wielkiej i prawdziwie twórczej pracy.

Tłumaczenie to Dehmła przewyższyło niemal oryginał — przestało być tłumaczeniem, a stało się czymś na wskroś twórczym. A w mojej duszy dokonywała się bezustannie jakaś dziwna, podziemna praca: w pół roku potem miał powstać pierwszy mój poemat prozą — *Totenmesse* (1893 r., w polskim: *Requiem aeternam*).

XI

W tymże samym czasie zapoznałem się z tworem kilku artystów francuskich, którzy głębokie wrażenie na mnie wywarli, w pierwszym rzędzie z Barbey d’Aureville.

Ola Hansson był znany w kołach Młodej Francji i raz po raz ktoś do niego z Paryża przyjeżdżał. Tym razem węgierska arystokratka, panna Némethy, fanatyczna wielbicielka d’Aureville’ego i nieodstępna jego przyjaciółka w ostatnich latach jego życia. Sama pisała po francusku pod pseudonimem Jean de Néthy, a tłumaczenia jej węgierskich ludowych pieśni uzyskały już ze strony Akademii Francuskiej *mention honorable*²⁸¹.

Znaczną część swego majątku poświęciła na luksusowe wydanie całego tworu d’Aureville’ego. Z wielkim trudem i móżolem pozbierała porozsypywane po najrozmaitszych czasopiśmiech krytyki tego, po Sainte-Beuve²⁸² najoryginalniejszego krytyka francuskiego; z najwyższym pietyzmem i miłością uporządkowała całą jego literacką spuściznę; a przez parę miesięcy rozczytywałem się w tych dziewięciu czy też dziesięciu tomach pism d’Aureville’ego, które mi panna Némethy nazajutrz, gdym ją poznał, do domu przysłała.

²⁷⁹Laforgue, Jules (1860–1887) — poeta i pisarz fr., przedstawiciel symbolizmu (*Les Complaintes*, 1885), autor ironicznej prozy, wyszydającej legendy mistyczne w dziełach neoromantyków (*Les Moralités légendaires*, 1887); współpracował z berlińskimi czasopismami artystycznymi; krakowskie „Życie” (1899 nr 17/18) pod red. Przybyszewskiego drukowało w tłum. polskim *Hamlet, czyli następstwo miłości dziecięcej* Laforgue’a. [przypis edytorski]

²⁸⁰jeszcze więcej — popr.: jeszcze bardziej. [przypis edytorski]

²⁸¹mention honorable (fr.) — zaszczytna wzmianka [przypis edytorski]

²⁸²Sainte-Beuve, Charles Augustin (1804–1869) — słynny francuski krytyk literacki, mniej znany jako poeta. [przypis edytorski]

Objężdżała wszystkie stolice Europy z jedną tylko myślą: by geniusz ubóstwianego mistrza ujarzmił kulturalnie tę Europę. A ubóstwienie to granoczyło już wręcz z maniacstwem — jedna rzecz jest pewna, że nikt może nie uprawiał takim nakładem sił i majątku propagandy swego ukochanego artysty, jak właśnie ta kobieta, która pewno już dawno przekroczyła trzydziesty rok życia.

Wprawdzie i dla Nietzschego nie brakło bardzo nawet intensywnej propagandy, ale siostra jego, Elżbieta Förster-Nietzsche, robiła równocześnie na twórcę swego brata bajeckie finansowe operacje i propaganda ta była nachalna i prawie ordynarna. Propagowała też Nietzschego pani Lou Andreas-Salomé²⁸³, która znowu gwałtownie kazała się domyślać, że była jedyną kobietą, „z którą Nietzsche utrzymywał stosunek”, a tymczasem Nietzsche nie mógł się jej opędzić i uciekał przed nią jak przed zarazą. Tego rodzaju propaganda była śmieszna i ośmieszająca, ale propaganda panny Némethy była całkiem bezinteresowna, była całkowitym oddaniem i zaparciem siebie, a poza tym wysoce taktowna.

Gardziła prasą, chociażby było jej łatwo za paręset marek podnieść niesłychany krzyk uwielbienia dla ukochanego mistrza, zwracała się jedynie do poszczególnych jednostek, u których była pewna gorącego i silnego oddźwięku dla twórcy mistrza. W Berlinie nie pomyliła się: Ola Hansson, jedyny w Niemczech, do którego się zwróciła, napisał o d'Aurevillym piękne i głębokie studium; a jeżeli ja, którego Hansson jej polecił, nie napisałem trzeciego tomiku *Zur Psychologie des Individuums*, poświęconego d'Aurevilly'emu — a już je rozpocząłem — to winą tego niesłychanie fatalne stosunki, które mi się skupić nie pozwoliły. Praca redakcyjna i zarobkowa wyczerpywała doszczętnie moje siły.

D'Aurevilly wpływu na mnie nie wywarł ani wywrzeć nie mógł: moja dusza już od dawna krążyła wokół tych tematów, na których osnuł swój wspaniały zbiór nowel — *Les Diaboliques*. Natomiast dużo od niego się nauczyłem, ale to, czego się nauczyłem, dusza moja tak przetworzyła i „zszopenizowała”, że teraz samemu byłoby mi trudno powiedzieć, gdzie i co zawdzięczam d'Aurevilly'emu.

Jedno jest tylko pewne: z niego czerpałem odwagę, by wypowiedzieć to, czego żaden z moich „współczesnych” wypowiedzieć nie byłby się odważył.

A już wprost wstrząsające wrażenie wywarły na mnie ilustracje do *Diaboliques* Féliciena Ropsa²⁸⁴, które mi również panna Némethy w osobnej tece podarowała.

Rops był dla mnie istotnie objawieniem, a wrażenie spotęgowało się jeszcze, gdy mój specjalnym pozwoleniem dyrektora *Kupferstichkabinetu*²⁸⁵ w Nowym Muzeum w Berlinie, które mi dr Asch wyrobił, mógł oglądać niedostępny dla przeciętnej publiczności cykl Ropsa: *Les Sataniques*.

Silniej niż kiedykolwiek odezwało się we mnie średniowiecze, a każdą chwilę wolnego czasu trawiłem w niezrównanej Bibliotece Królewskiej i rozczytywałem się w pismach diabologów: Bodinusa²⁸⁶, de Lancre²⁸⁷, Del Rio, Glanyła, Prieriasa, Grillanda; wszyscy ci oni byli mi bardzo bliscy i pewno bardzo pokrewni, jeżeli ich pisma z taką rozkoszą w siebie wchłaniałem.

To moi astralni współcześni — z nimi prawdopodobnie bardzo blisko obcowałem, zaczęła dusza moja się wcieliła.

A mam ich wielu, wielu w pamięci — nazwiska ich same stworzyłyby litanie na kilka stron.

²⁸³ *Andreas-Salomé, Lou* (ur. 1861–1937) — pisarka niemiecka, urodzona w Rosji, w Petersburgu jako Luiza Gustawowna Salomé, wyszła za mąż za filologa niem. (Friedricha Andreasa); od r. 1882 żyła w bliskich stosunkach z Friedrichem Nietzschem, napisała m.in. studium *Friedrich Nietzsche in seinen Werken* („Fryderyk Nietzsche w swych dziełach”, 1894). [przypis edytorski]

²⁸⁴ *Rops, Félicien* (1833–1898) — belgijski malarz i grafik, znany z ukazywania brzydoty i potworności życia; jego prace łączą elementy naturalizmu i symbolizmu. [przypis edytorski]

²⁸⁵ *Kupferstichkabinett* (niem.) — zbiór miedziorytów, sztychów, drzeworytów i litografii w muzeach i bibliotekach niemieckich. [przypis edytorski]

²⁸⁶ *Bodin*, właśc. *Jean Bodin* (1530–1597) — autor świeckiej teorii prawa wyłożonej w dziele *Six livres de la République* (*Sześć ksiąg o republice*, 1576); w dialogu *Heptaplomeres* (1593) zrównywał chrześcijaństwo, judaizm i mahometanizm, jako różne odmiany monoteizmu, przeciwstawiając im deistyczną religię opartą na racjonalizmie filozoficznym. [przypis edytorski]

²⁸⁷ *Lancre, Pierre de*, właśc. *Pierre de Rosteguy Sieur de Lancre* (1553–1631) — fr. prawnik, łowca czarownic, autor dzieł z zakresu demonologii i czarnoksiężstwa. [przypis edytorski]

Słyszę niespokojny szept naokół: „Jak ten człowiek niesamowicie bredzi!”. Niedawno temu dowiedziałem się, że mój odczyt, który miałem w Krakowie, „O czarownicy i czarach”, oparty na sumiennych studiach, był jednym niesłychanym skandalem — ale dlaczegóż bym nie miał pisać dla tych nielicznych, dla których moje ekskursje w dziedzinę okultyzmu bynajmniej nie są „bredniami”!?

Do rzeczy!

Panna Némethy dużo mi też opowiadała o Huysmansie. I przez nią to właśnie poznałem autora *A rebours*. Co za rozkosz znaleźć w tworze takiego artysty potwierdzenie własnych twórczych zamiarów! Poznałem zbiorek przepysznych krytyk, zatytułowanych *Certains*, a przede wszystkim powieść jego: *Là-bas*²⁸⁸. A jeżeli już gwałtownie o jakiś wpływ chodzi, któremu rzekomo uległem, to mógłbym na jedynego Huysmansa wskazać, jako tego, który najsilniej na mnie oddziałał i który przez jakiś czas moją duszę opanował — mógł to jedynie dlatego zrobić, że dusze nasze spokrewnione, bo w metodzie samej zionie między nami cała przepaść. Natomiast łączą nas te same miłości i te same nienawiści.

I znowu nie mógłbym powiedzieć, w czym ten wpływ się objawia — na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że Huysmans i ja to diametralnie przeciwne bieguny, antypody, skazane na to, by się nigdy nie spotkać — a przecież: dokładnie czuję, że duszy mej najlepiej w głębokim zlewie twardych, nieustępliwych, fanatycznych myśli i poglądów Huysmansa, a jak do dawnego i bardzo zażyłego przyjaciela uśmiechała się moja dusza porozumiewawczo, gdy nieokiełzany, brutalny niemal pesymizm życiowy orgie w jego tworze święci.

Wpływ Huysmansa zdaje się jednakowoż objawiać wreszcie tylko w artystycznej fakturze, w ujęciu tematu, technice słowa — mózg mój jedynie podlegał temu wpływowi; dusza nie zbaczała ani na chwilę z tej ścieżki, którą od samego początku kroczyła, a którą sobie już wtedy obrała, gdy według *Introibo* boskiej *Pieśni wieczornej* Kasprowicza w świętym uniesieniu się kaja:

O duszo, spragniona miłości,
O duszo, spragniona spokoju!
On był i ty w nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
tym kamiennym, ślepych przerażeniem...

I otóż właśnie: bardzo rzadko staje się ten straszliwy *ON* osiłą rozpędową tworu artysty i zasadniczą jego istotą, jak u Kasprowicza i u mnie: stąd to jego i moje odporności wobec wpływów tych wszystkich, skądinąd wielkich artystów, w których tworze ta najgłębsza i bolesna konieczność Bytu się nie uświadomiła.

Inaczej wszystko przeżywaliśmy — Kasprowicz bez porównania głębiej i szczerzej aniżeli ja, i w swoich *Hymnach* znalazł bez porównania potężniejszy wyraz dla swej „tęsknicy” i „ślepego przerażenia” — ale podkład jego i mego tworu jest ten sam.

Szli na „pustynię” średniowieczni mistycy, a Boga samego nazwali „wielką pustynią” — najwyższym ich szczęściem było, gdy ich ta „pustynia” w siebie wchłonęła. I on, i ja poszliśmy — innymi drogami wprawdzie — na naszą „pustynię”. A naszą wielką pustynią była ta „tęsknica”, to „kamienne, ślepe przerażenie” — nie słyszeliśmy ostrzegającego głosu Zarathustry-Nietzschego: — *Die Wüste wächst, weh dem, der Wüsten birgt*²⁸⁹ — bośmy musieli posłuchać innego głosu:

I była tam nade mną ręka Pańska, i rzekł do mnie: „Wstawszy, wyjdź w pole [pustynię], a tam się z tobą rozmówię”.

A tak wstawszy, szedłem w pole [pustynię], a oto chwała Pańska stała tam, jako chwała, którąm widział u rzeki Cheber, i upadłem na oblicze moje.

²⁸⁸ *Là-bas* (Tam w dole) — tytuł powieści Huysmansa. [przypis edytorski]

²⁸⁹ *Die Wüste wächst, weh dem, der Wüsten birgt* (niem.) — „Pustynia rośnie, biada temu, kto chroni pustynię” (Nietzsche *Zarathustra*, cz. IV, rozdz. „Wśród cór pustyni”). [przypis edytorski]

(Ezechiel 3, 22, 23.)

A ta chwala Pana, którą on i ja znaleźliśmy, to ta zabójcza „tęsknica” i to „ślepe, kamienne przerażenie”; a znamienne, że właśnie w tym czasie, kiedy i Barbey d’Aureville, i Huysmans przypuszczali szturm do mej duszy, poszedłem na moją „pustynię” i tam wyszło chałem mój bolesny hymn do Tęsknoty, który potem miał mi w ponurym blasku rozksiężycować moje *Wigilie*.

Tej zabójczej tęsknicy, tego ognia trawiącego nie zna ani Francuz, ani Niemiec, ani Skandynawczyk, ani nawet Rosjanin, bo tęsknota jego jest całkiem innego rodzaju, zna ją tylko Polak: w całej i potężnej i ogromie przeżył ją Szopen, ujawniła się w niej do samych trzewi dusza Kasprowicza i krzyżem rozłożyła się na niej twórcza dusza moja.

A upadłszy na moje oblicze przed wielką chwałą Pana, która mi się u rzeki Cheber objawiła, danym mi było rozpoznać bezkres jej potęgi i w bolesnym bełkocie wyjąkałem słowa świętej modlitwy:

Wokół Twej głowy wieniec zwiędłych kwiatów gdyby korona czarnych
słońc, a Twe oblicze płonie żalobą zastygłych gwiazd...

U nóg Twych kona burza mego żywota, gasnącą falą oblewa Twe stopy
chory płód mej duszy.

Szarymi skrzydły okrąża Cię obłęd moich przeznaczeń — kolebko Ty
moja, grobie Ty mój!

Z czarnych mgławic mego początku wyrosłaś w chmurne nieb stropy,
w słabej muszli perłowej nędznego Bytu mojego płyniesz w głuche bezkresy.

Ty, bolesna piękność, Ty, cudu nad cudy:

Tęsknoto Ty!²⁹⁰

XII

To jedno jest bezwzględnie pewną rzeczą: literaturze niemieckiej nie zawdzięczam zgoła nic.

Biję korne pokłony przed ich nauką, w wielkiej mierze przed ich muzyką, przed ich malarstwem, ale literatura niemiecka nic mi nie dała, niczym mi duszy nie wzbogaciła, nie była nawet na chwilę podniecią do mego tworu.

Oni są mi może jeszcze więcej obcy²⁹¹ aniżeli ja im. A tak dalece jestem im obcy, że w ostatnich czasach usiłują zatrzeć moje rozliczne ślady w ich literaturze, bo wstyd im, że kiedyś wśród nich jakąś rolę odegrałem.

A chciałbym, żeby było inaczej, chciałbym istotnie coś im zawdzięczać w zamian za szczerą, dobrą gościnę, której mi użyczali — nigdy mnie nie spotkała chociażby najmniejsza przykrość ze strony moich niemieckich braci po piórze, nawet przeciwnie: wszędzie natrafiałem na serdeczną życzliwość — ale trudno, im więcej grzebię w mej pamięci, tym trudniej wskazać mi na jakiś utwór niemieckiego pisarza, który by mnie zdołał głębiej poruszyć.

Już w gimnazjum nienawidziłem Schillera, Goethe do rozpaczki mnie doprowadzał, na śmierć mnie zanudzał, a na dobre mi nie wyszło, gdym się w literackich kołach zdradził z tą niechęcią do Goethego. Oni wszyscy nie wyszli poza Goethego — Goethego, młodego, dojrzałego birbanta; to znowu można w każdym, nawet współczesnym tworcze dopatrzeć się najporządniejszego z porządnych, uczonego dyletanta i służalczej ekscelencji.

Można sobie wyobrazić zgorzenie mych kolegów, kiedym ich z trochę smarkaczowską arogancją pytał: *Monsieur Goethe — qu’est ce que c’est ça?*^{292?}

W zamian za to otrzymałem przydomek „Getyński” i opatentowany zostałem jako *borniertes Genie*^{293!}

A Goethe jest istotnie rozwiązaniem zagadki duszy niemieckiej i zdaje się, że tylko jedynie Niemiec jest zdolny odczuć jego wielkość. Kiedy roku 1900 rozpisano wszechświatową ankietę, co poszczególne narody Goethemu zawdzięczają, okazało się, że prawie

²⁹⁰ *Wokół Twej głowy wieniec (...) Tęsknoto Ty!* — cyt. z *Wigilii* Stanisława Przybyszewskiego (pierwodruk po niem.: *Vigilien*, 1894; po polsku: *Z cyklu Wigilij*, 1899). [przypis edytorski]

²⁹¹ *więcej obcy* — popr.: *bardziej obcy*. [przypis edytorski]

²⁹² *qu’est ce que c’est ça* (fr.) — co to jest? [przypis edytorski]

²⁹³ *borniertes Genie* (niem.) — ograniczony (głupi) geniusz. [przypis edytorski]

nic. Narody romańskie znają go ze słychu, u Skandynawów cieszy się oschłym *succès d'estime*²⁹⁴, z słowiańskich narodów jedyni Polacy chętni są tym, że Goethe Mickiewiczowi „złote pióro” ofiarował, co jest wierutną bajdą — zdaje się nawet, że Mickiewicz był mocno Jego Eksceleńcją rozczarowany i na odwrót — Goethe Mickiewiczem, bo, gdy Goethe na cześć „interesującego Polaka” kazał wystawić swoją *Ifigenię*, Mickiewicz nie zdobył się nawet na proste frazesy grzeczności.

Tak mi przynajmniej opowiadał śp. Karol Brzozowski²⁹⁵, autor *Strzelców z Anatolii*, który znał dokładnie przebieg całej wizyty Mickiewicza u Goethego.

To jedno tylko wiem, że Goethe jest kluczem do piśmiennictwa niemieckiego: kto z Goethem na złej stopie, dla tego cała literatura niemiecka na siedem spustów zamknięta.

I to wszystko jedno, jakie fazy przechodziła — naturalisci tkwią tak samo w Goethem, jak idealisci, nawet ich futurizm i ekspresjonizm szuka w Goethem uzasadnienia i potwierdzenia, bo jedyną i ostatnią a najwyższą instancją w rzeczach sztuki jest Goethe.

Wreszcie, już jako pięćdziesięcioletni mężczyzna, powiedziałem sobie: „Może byłeś za młody, zbyt mało dojrzały, spróbuj teraz!”

Istotnie zadałem sobie niemały trud, rzuciłem się z całą rozpaczą na Goethego, by odgadnąć tajemnicę jego wielkości, a gdy dotarłem do ostatniego tomu, miałem wrażenie, że przebyłem lata całe w małomieszczańskiej atmosferze małego miasta; odbywałem z rozmaitymi Biedermajerami podróże po Szwajcarii i Włoszech; wracałem z rozkoszą do rezydencji małomiasteczkowej mego księcia i pana; byłem nieubłagany srogi dla rozmaitych wywrotowców i ludzi o nieuporządkowanych mózgach, którzy we mnie najwyższy wstręt wywoływali; wstydzilem się młodzieńczych wybryków; stroilem się w coraz większą pychę i niedostępność wobec moich podwładnych; klepałem życzliwie po ramieniu moich wielbicieli; uśmiechałem się przyjaźnie do roju wielbicielek, które się bezustannie wokół mnie plątały; z pogardą głęboką patrzyłem na niedowarzonych smarkaczy, którzy mej wielkości uznać nie chcieli albo ośmielali się ją kwestionować, a nim się nie spostrzegłem, jak przedzierzgałem się w mojego współczesnego Henryka Ibsena, który na starość jął w Krystianii tworzyć dokładną kopię roli, jaką Goethe w Weimarze odgrywał — rolę tajemniczym nimbem osłoniętego, niedostępnego Olimpijczyka.

Życ jak Goethe, goetheizować się poniekąd, było tak dla „starych”, jak i „młodych” Niemiec, najwyższym ideałem, a pani Elżbieta Förster-Nietzsche niesłychane hece wyrabiała, by pomiędzy parę dioskurów, Schiller — Goethe, wepchnąć cichaczem swego nieszczęsnego brata, który na szczęście, obłędem spowity, nie potrzebował wstydzić się i konać z obrzydzenia na widok tych śmiesznych wysiłków, ale musiał już je przedtem przeczekać, kiedy zwrócił do siostry ten zaciekle złośliwy epigram:

*Jung: beblümtes Höllenhaus
Alt: ein Drache fährt heraus*²⁹⁶!

Przez jakąś chwilę, kiedym miał jeszcze 18 lat, zastanowił mnie rozwichrzony *Kraftgenie*²⁹⁷ Lenz²⁹⁸, któremu właśnie Goethe tak skutecznie nogę podstawił, że zwałił się jak długi i już podnieść się nie mógł; usiłowałem się entuzjazmować Kristianem Grabbe²⁹⁹;

²⁹⁴*succès d'estime* (fr.) — dosł.: sukces z poszanowania; uznanie, jakie utwór zawdzięcza tylko nazwisku i wcześniejszej sławie autora. [przypis edytorski]

²⁹⁵Brzozowski, Karol (1821–1904) — tłumacz i poeta, od r. 1853 przebywał w Turcji jako urzędnik W. Porty, gdzie poznał Mickiewicza (wrócił do kraju w r. 1883). Tytuł cytowany brzmi: *Noc strzelców w Anatolii*, Paryż 1856. Tłumaczył wspomnianą dalej Salomona *Pieśni nad pieśniami* (1870), druk. w „Życiu” krak. nr 6 z r. 1899. [przypis edytorski]

²⁹⁶*Jung: beblümtes Höllenhaus / Alt: ein Drache fährt heraus* (niem.) — Młoda: ukwiecone piekło, stara: wylazi z niej potwór. [przypis edytorski]

²⁹⁷*Kraftgenie* (niem.) — siłacz-geniusz; nazwą tą obdarzano w Niemczech dramaturgów z okresu „burzy i naporu” (tj. 2. poł. XVIII w.), a także bohaterów ich utworów. [przypis edytorski]

²⁹⁸Lenz, Jakub Michael Reinholdt (1751–1792) — dramaturg niemiecki; autor m.in. realistycznego dramatu *Der Hofmeister* (*Ochmistrz*), 1774 (wznowione przez Bertolda Brechta w 1952 r.), w którym obnaża feudalne i kapitalistyczne antagonizmy klasowe. [przypis edytorski]

²⁹⁹Grabbe, Christian Dietrich (1801–1836) — wybitny dramaturg niemiecki, próbował w pełnych sprzeczności utworach odnowić tradycje okresu „burzy i naporu”; tworzył realistyczne dramaty, w których masy ludowe są twórcą historii. [przypis edytorski]

wmawiałem sobie miłość do Amadeusza Hoffmanna³⁰⁰, rozrzewniał mnie Kleist³⁰¹, nie swoimi dramatami, ale swoją samobójczą śmiercią wraz z swoją przyjaciółką; usiłowałem pokochać Zachariasza Wernera³⁰² — ale w żaden sposób nie mogłem zdobyć dystansu do tych *Kraftigenies* (jakby to przełożyć na język polski? siłaczów-geniuszów), którzy brak istotnej twórczej siły maskowali tym na wskroś niemieckim *furror teutonicus*³⁰³ słowa.

Wszystko słowa, słowa, słowa!

Nabrzmiałe, napęczniałe, nadęte słowa, chorujące na *elephantiasis*³⁰⁴, do potwornych rozmiarów opuchłe słowa — hydropsja³⁰⁵ słowa, miałem często wrażenie, że stoję na jakimś małomiasteczkowym jarmarku: w jakiejś budzie sterczy długa, wysoka deska, miernik siły, w dole kowadło; uderzało się o nie ogromnym młotem, wtedy wyskakiwał kawałek żelaza, a im wyżej dotarł, tym większe laury „zbierał poszczególny siłacz, który młotem uderzył. Taki pan nazywa się po niemiecku *Kraftmeier*³⁰⁶.

A ta potworna retoryka, wrzaskliwa, wyjąca, huczająca; ten piekielny żargon filozoficzny niemożliwie powykęcane, rachitycznego języka Schellinga, Hegla; te obrzydłe tasiemce refleksji; te ckiwe, obłeśne *Naturschwärmeri*³⁰⁷ (jakby to przetłumaczyć?); rozlazły, wstrętne sentymentalizm; to znowu parobkowski, chamski brutalizm, babrzący się w najplugawszych trywialnościach — o nie! nie! nie!

Chwilę przystanąłem przed Heinem — ale to wieczne „mauszłowanie”, te bezecnie tanie dowcipy, to przykre oślinianie i siebie, i drugich szybko mi się znudziło. Nie tylko znudziło, ale wstrętem i mnie przejmowało.

Młode Niemcy — właśnie ta moja generacja — ten sam obrachunek zrobiła z swoimi poprzednikami: już wprost brutalnie strąciła Schillera z piedestału, pomiatała z zacieklą furią pomniejszych z owych czasów, znęcała się nielitościwie nad Dahnem³⁰⁸, Ebersem³⁰⁹, Spielhagenem, a głównie nad najpoczytniejszym poonczas Pawłem Heyse³¹⁰, zrehabilitowanym niedawno przez parady aeropag jury nagrody Nobla (to już zakrawa na Gaurisankar³¹¹ groteski!) a właściwie sąd Młodych Niemiec nie odbiegał tak dalece od tego, tak nieskończenie pogardliwego, jaki swego czasu Fryderyk Wielki wydał w francuskim języku o stanie literatury niemieckiej za jego czasów.

Przed jednym Goethem tchórzono, jedyny Goethe był nietykalny, ale i tu robiono olbrzymią różnicę pomiędzy młodym a „starczym” Goethem — tamtym wciąż się jeszcze zachwycono, tego ostatniego omijano w dalekich okrążeniach, ale zawsze z przynależnym respektem i pietyzmem.

Właściwa literatura niemiecka rozpoczynała się w pojęciu „młodych” dopiero z ich wystąpieniem, gdzieś około 1880 roku, kiedy to Michał Jerzy Conrad założył pierwsze i jedyne pismo poświęcone „zrewolucjonizowanej” literaturze niemieckiej „Die Gesellschaft”, naokoło którego jęła się gromadzić pierwsza garstka obrazoburców i wywrotowców, która poczęła z zacieklą namiętnością roztrzaskiwać stare tablice i uświęcone kanony, ciskać pioruny na fałsze i konwenanse tak w społeczeństwie, jak i w jego pokornej służce:

³⁰⁰Hoffmann, Ernst Theodor Amadeus (1776–1822) — muzyk, rysownik-karykaturzysta i poeta romantyzmu niemieckiego; słynna jest jego opera *Undin*, 1816, i fantastyczne nowele i groteski: *Die elixiere des Teufels* (*Diabelskie eliksiry*, 1816); latach 1800–1808 przebywał w Polsce i pracował jako urzędnik; ożenił się z Polką. [przypis edytorski]

³⁰¹Kleist, Heinrich von (1777–1811) — niem. poeta „wielkiej formy”, autor realistycznych dramatów, komedii i nowel, zginął śmiercią samobójczą. [przypis edytorski]

³⁰²Werner, Zacharias (1768–1823) — niemiecki poeta i dramaturg mistyczno-romantyczny. [przypis edytorski]

³⁰³*furror teutonicus* (łac.) — teutoński gniew. [przypis edytorski]

³⁰⁴*elephantiasis* — słoniowatość (chorobowy rozrost tkanki łącznej skóry, wywołujący zniekształcające zgrubienia) [przypis edytorski]

³⁰⁵*hydropsja* (łac. *hydropisis*) — puchlina wodna. [przypis edytorski]

³⁰⁶*Kraftmeier* (niem.) — siłacz [przypis edytorski]

³⁰⁷*Naturschwärmeri* (niem.) — fascynacja naturą; rozmarzenie naturą. [przypis edytorski]

³⁰⁸Dahn, Feliks (1834–1912) — historyk prawa; autor poczytnych powieści historyczno-obyczajowych (tzw. romansów profesorskich), m.in. *Ein Kampf um Rom* (*Walka o Rzym*, 1876/78). [przypis edytorski]

³⁰⁹Ebers, Georg (1837–1898) — egiptolog; autor popularnych powieści historycznych, obrazujących teatralnie sfalszowane średniowiecze i starożytność. [przypis edytorski]

³¹⁰Heyse, Paul (1830–1914) — poeta niemiecki tzw. Koła Monachijskiego, głoszącego hasło „sztuka dla sztuki”; epigon klasycyzmu; autor nowel hiszpańskich (*Andrea*, *Delfin*) i tłumacz literatury romańskiej; za arcydzieło uchodzi jego *L'Arrabiata* (w zbiorze *Novellen*), 1855; z powieści znane: *Kinder der Welt* (*Dzieci świata*), 1873; *Im Paradiese* (*W raju*), 1876; nagrodę Nobla uzyskał w r. 1910 (w 80-lecie urodzin). [przypis edytorski]

³¹¹*Gaurisankar* a. *Gauri Sankar* — szczyt w Himalajach. [przypis edytorski]

literaturze — zrywać obłudną maskę idealizmu z owrzodziałej twarzy i zwałać z zuchwałą odwagą z piedestałów przez cały naród uswięconych bonzów³¹².

Och, jak w tym nowym jaskrawym oświeceniu wyglądały te wydęte wielkości, te kłliwe, sentymentalne, biedermajerskie piękności!

„Pół Schillera, trzy czwarte wstrętnej moralności niemieckiej, a już całą absolutnie politykę liberalną z kretesem trzeba by wyniszczyć, by można by było mówić o jakimś duchowym życiu Niemiec” — grzmiał jeden z punktów programu, inny zaś opiewa, że „śmierć największego bohatera starej literatury, o ile chodzi o zużytkowanie tematu, stoi na równi z bólami porodowymi krowy”.

Conrad, Walloton, Alberti, Bleibtreu, a najciekawszy z nich Herman Conradi, to był sztab generalny tego Mord-und-Brand — czasopisma „Gesellschaft”, a Bogiem ich był Zola — Zola ponad wszystkich, „najpotężniejszy” geniusz, jakiego dziewiętnaste stulecie wydało, w drugim rzędzie dopiero: Ibsen, Dostojewski, Tolstoj.

Co z tych czasów pozostało? Może dwie powieści rozwichrzone wściekłymi płomieniami miłości i nienawiści, pisane nie ręką, ale druzgoczącymi pięściami, walącymi o stół stylem, który koziółkuje poza obrębem jakichkolwiek artystycznych granic, ale równocześnie do groteskowych rozmiarów wypaczone zwierciadło tych zaciekłych ikonoklastów i całej ich epoki: Bleibtreu’a *Größenwahn* i *Adam Mensch* Hermana Conradiego.

Raz jeden spotkałem Conradiego, i to krótko przed jego śmiercią. Ponoć życie sobie odebrał.

Zaciągnął mnie późną nocą jeden z moich kolegów szkolnych z Wągrowca, który miał styczność z ówczesnymi matadorami literackimi w Berlinie, do jakiejś knajpy, w której się zbierali. A właśnie przyjechał do Berlina na krótki czas słynny już Conradi.

Jemu i mnie przypadła ta sama droga z powrotem. Pewnie, że on — dwudziestosiedmioletnia wielkość — zwróciła na mnie — dwudziestoletniego studenta — tylko o tyle uwagę, ile jej wymagało jego poczucie równowagi: taczał się z jednego brzegu chodnika na drugi, olbrzymi kapeluszy „kalabrez” nacisnął na oczy i głośno deklamował swój nieskończenie smutny wiersz:

*Da nun die Nächte kamen,
Die Nächte wunderschön,
Wo letzter Nachtigallenschlag
Die Stunden feiert kurz vor Tag
Und frühestes Rosendüften —
Sehnt sich mein Herz nach Liebe nach Glück
Nach dem verlorenen Paradies zurück...* ³¹³

Jak mi to głęboko utkwilo w pamięci! — kiedyś po trzech tygodniach przyjechał do domu na wielkanocne wakacje, otrzymałem wieść o nagłym zgonie Conradiego.

Zmarł w sam czas, w trakcie procesu, który równocześnie wytoczono i jemu, i Conradowi, i Wallotonowi, i Bleibtreuowi, i Albertiemu o szerzenie niemoralności i pogardę dla „najświętszych zasad”, na jakich społeczeństwo jest oparte.

Niemniej zaciekle i bezwzględna była walka kolonii Młodych Niemiec w Friedrichshagen, gromadzącej się naokoło braci Hart, Bölsche, Bruno Wille, Arno Holz, przeciw uswięconym wielkościom. Arno Holz krztusił się, gdy wypadło mu wymówić przypadkiem nazwisko Schillera, wszystkie ówczesne wielkości oskubywano do naga z ich piórek, ani strzępka nie pozostało z ich hermelinu³¹⁴; jeden Goethe ostał się zwycięsko, ale też tylko z zastrzeżeniami, natomiast wkroczyli triumfalnym rydwanem do literatury nie-

³¹²*bonza* — buddyjski duchowny w Chinach i Japonii; przen.: człowiek władzy, zajmujący wysokie stanowisko, niedostępny, wyniosły. [przypis edytorski]

³¹³*Da nun die Nächte kamen (...) dem verlorenen Paradies zurück* (niem.) — dosł.: Teraz nadeszły noce, Najśłodsze noce, W których ostatnie trele słowicze I najwcześniejsze zapachy róż Upiększają godziny przed świtem — Tęskni moje serce za szczęściem i miłością Po utraconym raju. [przypis edytorski]

³¹⁴*hermelin* — tu daw.: biały plusz w czarne cętki. [przypis edytorski]

mieckiej, prócz Zoli i Flauberta, sami Skandynawi³¹⁵: Ibsen, Bjørnson, Arne Garborg, Knut Hamsun³¹⁶, a przede wszystkim Strindberg.

*Nur vom Norden kommt das Heil für das deutsche Schrifttum*³¹⁷ — ten aksjomat nie ulegał żadnej wątpliwości.

Organem tej nowej warstwy literackiej Młodych Niemiec stała się około 1890 roku „Freie Bühne”³¹⁸, pismo, które powstało równocześnie z założeniem „wolnej sceny” (*Freie Bühne*) Brahma i Schlenthera³¹⁹, na której to scenie na pierwszy ogień puszczonego Hauptmanna *Vor Sonnenaufgang*.

Pismo samo, „Freie Bühne”, przepelnione było prawie wyłącznie tłumaczeniami ze skandynawskiej literatury, a rzadko kiedy pojawił się jakiś utwór niemieckiego pisarza, jak: *Einsame Menschen*, dramat Hauptmanna, i powieść Hermana Bahra — pisana językiem, który takie piekielne diabelskie młyńce wywijał, że nakładca nieomal żółtaczki nie dostał z rozpaczy, iż redaktor Brahm ten utwór przyjął — *Die gute Schule*; ale poza tym spotykało się tylko nazwiska i utwory skandynawskich pisarzy. Tu także pojawił się artykuł Hanssona, oświecający całą krytyczną działalność Jerzego Brandesa. Zarzucał mu lekkomyślną płytkość i stronniczość sądów, naginanie obcych utworów do swego własnego, bardzo biednego i eklektycznego poglądu na literaturę współczesną, doszczętne wypaczenie myśli i zamiarów omawianych przez niego autorów, kokietowanie z ostatnio pojawiającymi się prądami bez najmniejszego zrozumienia ich głębszego nurtu: jednym słowem, Hansson miażdżył bezlitośnie wydetą wielkość Brandesa i to tak przekonywającymi argumentami, tak subtelną i druzgocącą dialektyką, że Brandes, który był również w Niemczech, jak i w Polsce, niemal półbogiem, dostał po prostu ataku ostrego szału.

Jego replika, ociekająca pianą wściekłości, nie zrobiła wielkiego wrażenia, była prostą i ordynarną napaścią, ale od tego czasu był każdy, który nazwisko Hanssona wymówił, jego osobistym wrogiem, nad którym się bez miłosierdzia pastwił, a cóż dopiero nade mną, który całą broszurę o Oli Hanssonie napisał.

Tego mi zapomnieć nie mógł. Jeszcze w 1900 roku, kiedy Lwów na uroczystość odsłonięcia pomnika Sobieskiego zaprosił Brandesa, by wziął udział w tej uroczystości — *et la tristesse de tout cela, o mon âme* — pienieł się Brandes przez całą drogę z Krakowa do Lwowa na „Życie”, na mój twór, a ostatecznie wywarł całą swoją złość na biednym Skrzyńskim³²⁰, który pragnął mu być ciceronem³²¹ po Lwowie.

Zdumiewające było u tych Młodych Niemiec to pogardliwe lekceważenie wszystkiego tego, co przed nimi w piśmiennictwie niemieckim powstało.

Raz po raz słyszało się jakies: „*Nun ja — nun ja*”, jeżeli wymieniano się Lenza, Grabbe, Kleista (z wielką restrykcją), Kellera³²², może dlatego, że był najbliższym przyjacielem Böcklina³²³, ale poza tym: „nie będziesz miał innych Bogów przede mną!”

A to wszystko tkwiło w najgrubszym, bo na niemiecki sposób zbrutalizowanym naturalizmie Zoli — Zoli — Zoli!

Ale już poczęto około 1890 roku majaczyć o przewyciężeniu naturalizmu — a pierwszy, który go przewyciężył, był Paweł Scheerbart, kpił sobie z dedykacji Hauptmanna dla Arno Holza i Johanna Schlafa: *Den einzigen konsequenten Realisten*.

³¹⁵Skandynawi — dziś popr. forma lm: Skandynawowie. [przypis edytorski]

³¹⁶Hamsun, Knut (1859–1952) — pisarz norweski, twórca powieści o życiu mieszkańców Północy. [przypis edytorski]

³¹⁷*nur vom Norden kommt das Heil für das deutsche Schriftum* (niem.) — tylko z północy nadchodzi zbawienie literatury niemieckiej. [przypis edytorski]

³¹⁸„Freie Bühne” — „Wolna Trybuna”; czasopismo założone w 1890 r. przez Otto Brahma (od r. 1893 również przewodniczącego stowarzyszenia *Freie Bühne*), przekształcone później w „Neue Rundschau”. [przypis edytorski]

³¹⁹Schlenther, Paul (1854–1916) — niemiecki krytyk literacki i teatralny, jeden z założycieli „Freie Bühne”; pierwszy niemiecki wydawca Ibsena; w l. 1898–1900 dyrektor wiedeńskiego Burgtheater. Główne dzieło: *Gerhart Hauptmann*, 1897. [przypis edytorski]

³²⁰Skrzyński — prawdopodobnie Kazimierz Skrzyński, ówczesny dziennikarz „Gazety Lwowskiej”. [przypis edytorski]

³²¹cicerone (wl.) — przewodnik. [przypis edytorski]

³²²Keller, Gottfried (1819–1890) — szwajcarski poeta i prozaik; autor obyczajowych satyrycznych nowel i powieści (*Der grüne Heinrich*). [przypis edytorski]

³²³Böcklin, Arnold (1827–1901) — wybitny szwajcarski malarz i rzeźbiarz; w dziełach swych łączył naturalistyczne środki wyrazu z mitologiczną tematyką (np. w słynnym obrazie „Wyspa umarłych”). [przypis edytorski]

— O ile ja wyżej stoję — mówił — od tych konsekwentnych realistów, ja — ja jedyny konsekwentny alkoholik? I cóż wy tak sławicie Hauptmanna? A kto słyszał o moich kometach z 48 roku, które szaleją teraz w delirycznej białej gorączce?

Ale niech powiedzenie Scheerbarta pozostanie żartobliwym wspomnieniem.

Istotnie pierwszym, który doszczętnie naturalizm przełamał, może dlatego, że nigdy w nim głębiej nie tkwił, był Ryszard Dehmel. Aby ocenić jego działalność i wpływ na ówczesny stan literatury niemieckiej, trzeba by osobne studium napisać, a przecież ja nie piszę dziejów piśmiennictwa niemieckiego, dotykam go tylko o tyle, o ile miałem z nim wspólnego, a raczej, by wykazać całą niesłychaną rozbieżność między moim tworem a pochodem twórczej myśli niemieckiej.

Dziś już Dehmel uznany przez całe Niemcy za największego liryka, jakiego Niemcy od czasów Goethego wydały — może jeszcze jednego Liliencrona można by obok niego postawić i obydwa nazwiska jednym tchem wymówić — ale był czas, kiedy tylko małe kółko już w pierwszym jego tomiku *Erlösungen* przeczuwało jego przyszłą wielkość; a dla tego kółka był Dehmel czymś tak mocnym, jednolitym, taki zbożny szacunek nakazującym, żeśmy wszyscy, ilu nas naokoło niego było, bezopornie podlegali jego umysłowej i kulturalnej przewadze.

Jako artysta formy olśniewał nas niesłychanym opanowaniem języka i twórczą siłą, z jaką ten język urabiał, nagiął, zmuszał go do wypowiedzenia rzeczy, które, zdawałoby się, były całkiem niewypowiedziane, bo nikt — nawet Goethe — ich wypowiedzieć nie umiał; Dehmel stworzył sobie odrębną jakąś, a jak najzupełniej zgodną z duchem języka składnię, zużył wszelkie możliwości rozwoju tego języka, który, jak żaden inny z europejskich języków, wciąż jeszcze trwa w stanie rozwoju i nawet przewidzieć nie można, jak będzie za jakie sto lat się przedstawiał; w tworze Dehmela mnóstwo antycypacji tej fazy rozwoju, w jaką dopiero obecnie język niemiecki wkroczył, a która ówczesnym filologom włosy na głowie z przerażenia jeżyła; a takim rozrzutnym bogactwem melodii, taką ogromną skalą rytmu, nigdy przed nim język niemiecki nie rozbrzmiewał.

Jako myśliciel zdumiewał nas niezwyklej dojrzałością i głębią swych myśli, a mimo że jego światopogląd diametralnie różnił się od mego — tu w grę wchodziła głównie odrębność rasy — z pokorną czcią słuchałem jego wywodów, tak były przesycone żarem głębokiego przekonania i wiary w to, co mówił. Toteż bezustannie zasięgałem u niego rad, które w mojej twórczości oczywiście w co innego się przetwarzały i w inny sposób je zastosowywałem, jakby³²⁴ tego Dehmel był pragnął; był nawet nieraz zdumiony, jaki niespodziewany użytek z jego rad robiłem; niemniej zawdzięczam mu, że niejedno, co mi się tylko jak we mgłę zarysowywało, w pełnym świetle uświadomić sobie zdołał.

Obca mi była jego poezja, w której refleksje, filozoficzne dociekania i zagłębianie się w metafizycznych spekulacjach poezję jego do tego stopnia obciążały, że stawała się nieomal dydaktyczna; ale bliska i pokrewna tam, gdzie Dehmel wyczerpywał cały świat uczuć i namiętności we wszystkich jego wymiarach, kiedy wrył się jak kret pod ziemię i kopał w niej ganki, do których skąpe tylko światło się przedzierało, lub kiedy ze zdumiewającą intuicją wgrzebywał się w najskrytsze zakątki duszy ludzkiej.

Surowy sędzia, który sztuce wykreślał rozległe granice, stawiał jej najwyższe wymagania i brzydził się nieszczerym sentymentalizmem, miał chorobliwy wstręt do wszelkiego rodzaju frazesu lub płaskiego patosu, otrząsał się, gdy natrafił na coś, co w czymkolwiek jakąś gminnością trąciło, był on najpewniejszym drogowskazem dla kształcącej się dopiero duszy twórczej, borykającej się jeszcze z technicznymi środkami, jakimi się wszelkiego rodzaju twórczość posługiwać musi.

Najsurowszy sędzia dla siebie samego, był, jak już powiedziałem, niezmiernie surowym w ocenie tworu swoich najbliższych — a taki posiadał w naszym gronie, to znaczy w obrębie swego małego kółka, bezwzględny autorytet, że jeżeli Dehmel powiedział: „To nic niewarte” — albo choćby: „Mógłbyś być to lepiej napisać” — starczyło, by utwór ten bezzwłocznie odbył wędrówkę do pieca.

Widywałem u Dehmela stopy manuskryptów Liliencrona — bo Liliencron nie napisał jednego utworu, którego by nie przesłał Dehmlowi do oceny. Dehmel całe noce

³²⁴w inny sposób (...), jakby tego (...) był pragnął — popr. w inny sposób, niżby (...) pragnął. [przypis edytorski]

trawił na kreśleniu tych rzeczy, które nazywał *lirische Dummheiten*³²⁵, a które się i największemu lirykowi zdarzają; słowa wyszłe z obiegu zastępował żywymi, sugestywnymi słowami, a gdzie napotkał na martwe miejsca — nazywał je *Lückenbüßerami*³²⁶ — dawał wskazówki, jak i czym je wypełnić można; czasami tak pokieroszował manuskrypt, że go trudno było rozpoznać, ale w tak twórczy sposób, że artysta z rozkoszą zabierał się do ponownego opracowania tego samego tworu.

Johannes Schlaf, kiedy już się całkiem z Arno Holzem rozłączył, wszystko, co napisał, przedkładał Dehmlowi, a jeżeli *Wiosna* Schlafa otrzymała tę artystyczną skończoność i doskonałość, to w głównej mierze zasługa Dehmle; a ile godzin spędziliśmy razem na cyzelowaniu, doskonaleniu i wykończaniu moich utworów!

Dehmel wtajemniczył mnie w najskrytsze piękności języka niemieckiego, nie przepuszczał mi żadnego niedbalstwa, a podniecał mnie ciągle rozkoszną ostrogą:

— To byś ty właśnie mógł daleko lepiej zrobić!

A jak szczęśliwy byłem, gdy Dehmlowi przesłał mój *Hymn do Tęsknoty*, pomieszczony znacznie później w *Wigiliach*, i po paru godzinach otrzymałem od niego pneumatyczną³²⁷ kartkę: „Ten poemat uprawnia cię do zabiegów o wieczność!”

A swoją drogą był Dehmel dumny, że nauka jego nie poszła w las. Kiedym dokonał przekładu *Hymnów* Kasprowicza na język niemiecki, a w przedmowie wyraziłem pragnienie, by tak potężny mocarz języka jak Dehmel podjął się rewizji mego tłumaczenia, powiedział mi ostatnim razem, kiedy go w Monachium widziałem, na parę lat przed wojną:

— Lepiej od ciebie i ja nie byłbym zrobił.

Równie wielkim jako twórca był Dehmel jako człowiek.

*Edel sei der Mensch, hilfreich und gut*³²⁸! — ale to, co w ustach Goethego było ogólnikowym frazesem, było najistotniejszą treścią duszy Dehmle.

Jego poświęcenie dla przyjaciół nie znało granic: poświęcał ich sprawom połowę swego czasu; noce całe trawił nad ich tworem, by go z wszelkiego żuźlu oczyścić; pisywał listy na kilkunastu stronicach z najcenniejszymi wskazówkami, które nieraz oślepiającym blaskiem rozwidniały ciemne manowce, uświadamiały to, co niejasno w duszy się majaczyło; a gdy który z nich popadł w przykre położenie, nie spoczął rychłej, dopóki nie przyniósł pomocy.

Kiedy Johannes Schlaf zapadł ciężko na zdrowiu i trzeba było go umieścić w sanatorium, Dehmel latał całymi dniami po Berlinie, przypierał do muru wszystkie literackie „wielkości”, prosił, błagał, upokarzał się, ale nie spoczął, póki nie wyżebrał środków, zabezpieczających Schlafowi półroczny pobyt w sanatorium.

A w tej jałmużniczej misji zaszedł jeden ciekawy epizod: Schlaf napisał razem z Holzem — tylko że udział Schlafa przewyższał o całe niebo udział Holza — bardzo ciekawy dramat: *Meister Oelze*. I Dehmel zaproponował Brahmowi, dyrektorowi Teatru Niemieckiego, by ten dramat wystawił, dochód z przedstawienia tego dramatu mógłby być zapewnić Schlafowi z góry pewną większą sumę, ale temu oparł się gwałtownie Gerhart Hauptmann, który przed paru laty poświęcił swój dramat *Vor Sonnenaufgang* Schlafowi i Holzowi, wtedy jeszcze w poczuciu wszystkiego tego, co im zawdzięczał — ale teraz już, gdy w sadło porósł, a Teatr Niemiecki stał się nieomal jego teatrem, wyparł się wszelkiej łączności z Schlafem, a z długu wdzięczności, lękając się współzawodnictwa z Schlafem na scenie, chciał się wykpić stoma markami!

Od Liliencrona nadchodziły codziennie prawie alarmujące listy, w których się skarżył na ostatnią nędzę. Liliencron musiał bezustannie zmieniać mieszkanie, bo jak psy gończe ścigają go wierzytiele i jednej chwili spokoju mu nie dają: obrzydzili mu do tego stopnia życie, że wstydzi się i sroma w ogóle żyć — nieraz mu nie tylko na obiad nie starczy,

³²⁵*lirische Dummheiten* (niem.) — głupstwa liryczne [przypis edytorski]

³²⁶*Lückenbüßer* (niem.) — zapchajdziura. [przypis edytorski]

³²⁷*pneumatyczna kartka* — wiadomość przesłana *pocztą pneumatyczną*, tj. przez system rur z wykorzystaniem sprężonego powietrza; listy, dokumenty lub przedmioty umieszczane są w specjalnej kapsule, a ich przesyłanie może następować w obrębie jednego lub kilku budynków, a także w granicach miasta, jak np. w Paryżu, gdzie poczta pneumatyczna została praktycznie zastosowana w XIX w. i działała do 1984 r., kiedy została zastąpiona przez coraz powszechniejsze użytkowanie faksów i internetowego mailingu. [przypis edytorski]

³²⁸*Edel sei der Mensch, hilfreich und gut* (niem.) — człowiek szlachetny, czyli uczynny i dobry. [przypis edytorski]

ale ani nawet na nędzne cygaro. Dehmel rzuca całą swoją pracę, wędruje od jednego nakładcy do drugiego, aż wreszcie przyparł do muru wydawcę „Berliner Tageblatt”, Rudolfa Mosse, i obrabia go w krwawym pocie ciężkiej udręki niepewności tak długo, aż wreszcie Rudolf Mosse, zahipnotyzowany wymową Dehmła, daje Liliencronowi zaliczkę w kwocie czterech tysięcy marek za powieść, której tytuł dopiero w głowie Liliencrona się ustalił, a która nie miała być nigdy napisana: *Mit dem linken Ellenbogen*³²⁹.

I tu znamienny rys duszy tego wielkiego i pięknego dzieciaka, jakim był Liliencron przez całe swoje życie: więcej aniżeli własna nędza bolała go ta, w jaką popadła jakaś kelnerka, która mu gdzieś, kiedyś parę godzin czy parę dni jaśniejszych podarowała, bo wierzył jej, że go kocha. I właśnie teraz się do niego zwróciła, teraz, kiedy sam, jak szczwany zwierz, tłukł się przed sforą napastliwych psów po ostatnich norach Hamburga.

Nie da się opisać to niewypowiedziane szczęście, jakie go ogarnęło, gdy otrzymał tę zaliczkę. W tej chwili pobiegł na pocztę i wysłał owej kelnerce, której już nigdy potem spotkać nie miał, telegraficznie pięćset marek.

Piękna i wdzięczna była dusza Liliencrona!

A takich przykładów poświęceń, ofiarności, rozkoszy dawania, zatruwanej tylko myślą, że mogłaby ona inną duszę poczuciem wdzięczności lub wywdzięczenia się krępować, mógłbym przytoczyć u Dehmła bez liku.

Jeżeli kto, to właśnie Dehmel żył tą najwyższą rozkoszą, jaką dusza ludzka odczuć jest zdolna: rozkoszą dawania bez końca.

A jaki użytek ktoś z jego daru robi — to już go nic nie obchodziło. Obojętne mu to było, czy ten talar, który on dał, zamieni się na tyle a tyle szklanek piwa, czy tyle a tyle wódek, czy też posłuży na opłacenie *logis* jednego tygodnia.

Znamienny rys dla psychiki Dehmła: nie znał uczucia nienawiści, nie wiedział, co zazdrość, co zawiść, a zdumiewająca była jego pokora.

Rzadko kiedy czytał własne swoje utwory, ale bezustannie wydobywał ze stosu manuskryptów, które zawsze jego biurko zalegały, utwory innych artystów, którzy się do niego zwracali, a szczęśliw był, jeżeli natrafił na utwór jakiegось istotnego talentu.

Nie doczekałby się może Mombert³³⁰ tego uznania, jakim się teraz cieszy, gdyby autorytet Dehmła nie był go od razu dźwignął na ten piedestał, na którym obecnie stoi. A przecież jeszcze wtedy, gdy o Mombercie pisał, nie wiadano, kto większy wariat — Mombert czy ja?

Autorytet Dehmła rozstrzygnął: pogodzono się z tym, że Mombert jest wielkim talentem, a ja — obdarzony iskierką geniuszu.

Długo tłukła się gadka po Polsce o tym *genialer Pole*, jakim to niby ja miałem być — prawdą w tym wszystkim jest tylko to, że Dehmel odczuwał we mnie w istocie *ein Fünkchen Genie*³³¹.

Dotychczas żywa jest we mnie pamięć tej chwili, kiedy Dehmel — a było to już nad ranem po ciężkiej i parnej nocy letniej — odczytał w gronie dwa razy już pijanych i dwa razy już całkiem wytrzeźwionych artystów mój poemat: *Wniebowstąpienie*³³². Pomnę tę głuchą ciszę, która potem zaległa, niespokojny i zdumiony obrzut oczu wszystkich obecnych: było to coś tak dla nich niebywałego, że zdawało się wszystkim, iż posłyszeli dzięki jakieś melodie z domu obłąkanych.

W ogóle moich niemieckich braci po piórze wszystko we mnie przerażało i zdumiewało, i te niesłychane paradoksy, które wygłaszałem, całe to *à rebours* mego życia, salta mortale, jakie z ich językiem wyprawiałem, niesamowita obcość wszystkiego, co pisałem, a nawet sposób, w jaki z nimi przebywałem.

Zostałem zaproszony na wesele Juliusza Harta — w jednym dniu odbyły się zaślubiny z jakąś młodą nauczycielką i adoptacja podlotka, córki, którą miał z dotychczasową swoją gospodynią, a która to córka była na weselu tym druhną swej drugiej matki.

³²⁹*mit dem linken Ellenbogen* (niem.) — lewym łokciem. [przypis edytorski]

³³⁰*Mombert, Alfred* (1872–1942) — poeta niemiecki; autor mistycznych poematów wizyjnych. Przybyszewski napisał o nim po raz pierwszy w r. 1896 w „Die Zeit Wien” artykuł pt. *Der Glückende*, który później z niewielkimi zmianami wszedł do obu wydań *Na drogach duszy* oraz był drukowany w „Życiu” krakowskim nr 42–44 z 1898 r. [przypis edytorski]

³³¹*ein Fünkchen Genie* (niem.) — iskierka geniuszu. [przypis edytorski]

³³²*Wniebowstąpienie* — tytuł poematu prozą Stanisława Przybyszewskiego (pierwodruk po niem.: *Himmelfahrt*, Berlin 1894; po polsku w „Życiu” 1898, nr 50). [przypis edytorski]

Nad ranem schwyciliśmy się z Dehmlem za ręce i poczęliśmy tańczyć. Przy fortepianie siedział Willy Pastor — swoją drogą doskonały muzyk — i grał Wagnera *Walkürenritt*. Co to był za taniec! Usunięto czym prędzej stoły i stolki, byśmy sobie nóg nie połamali, goście przykucnęli pod ściany, by więcej miejsca się znalazło dla naszego dzikiego rozmachu; a gdy na drugi dzień około południa przyszedł Dehmel do swego biura, zjawił się u niego redaktor „Tägliche Rundschau”³³³, jak wiadomo, ultrapruskiego, a raczej wszechniemieckiego, najwięcej polakożerczego pisma w ówczesnym Berlinie, niejaki Lange, bardzo poważany wszechniemiec, i ostrzegał Dehmła: *Dehmel, Dehmel, nehmen Sie sich in Acht — ich habe Sie in dieser Nacht mit dem verfluchten Polen tanzen gesehen*³³⁴.

Wróciłem z tego wesela z przetrąconym nosem, bo gdyśmy wyszli na ulicę, Scheerbart położył się jak długi na chodniku, jął bić pięściami w ziemię i krzyzczyć wniebogłose: „*Weltgeist, wo bist Du?*” — A gdy ten *Weltgeist* mu się ukazał i chciał go na nogi postawić, Scheerbart wpadł w szal i laską nos mi przetrącił. Pewno, że musiałem na silny ból odpowiednio zareagować, ale to bynajmniej nie psuło naszej serdecznej przyjaźni, tym serdeczniejszej w miarę, jak Scheerbart mój twór zaczął wykpiwać i trawestować.

Scheerbart — „Szczerbą” go nazywałem — *wo bist Du?*

Umarło biedactwo w strasznej nędzy, pozostawił biedną wdowę — „niedźwiedziem” ją nazywał, powieść o niej napisał: *Tarub die Köchin* — a biedna *Bär-Tarub* nie byłaby sobie dała rady po jego śmierci, gdyby nie była pomogła hojna dłoń Dehmła.

A Peter Hille pisał wciąż notatki na swoich całkiem już czarnych od ołówka mankietach i raz po raz rzucał w moją stronę pytanie: — *Was meinst du*³³⁵, *Stako?* — (nazywali mnie wszyscy Stako, za trudno było im wymówić „Stachu”, jedyny Dehmel nazywał mnie Stasiem); a Franciszek Ewers, teozof i wielbiciel madame Blavatsky³³⁶, gryzł szkło i polykał je, jako że był „chela” (ucznem) jakiegoś hinduskiego „guru” (nauczyciela), więc mógł swobodnie szkło łykać — drobnostką było, że sobie poranił jamę ustną do tego stopnia, że przez cały tydzień krwawiła, a na wszelkie obiekcje, że przecież żadną miarą „mahatmą” się nie stanie, odpowiadał jedynym frazesem francuskim, jakim rozporządzał: „*Nous verrons — nous verrons*”³³⁷!; a Willy Pastor grał niezrównanie siódmą symfonię Beethovena i przygrywał wszystkim światom do tańca; a Johannes Schlaf deklamował precudny swój poemat o komunardach francuskich w 1871 roku, a Arno Holz grzmiał bezustannym refrenem:

*Ich bin mein eigener Dalai-Lama,
Ich bin mein eigener Jesus Christ!...* ³³⁸

A nagle wielka cisza zaległa: w otwartym oknie — strasznie upalna była ta noc — usiadł na futrynie okna Dehmel i jął deklamować wstęp do swego wspaniałego poematu: *Verwandlungen der Venus*, ten boski początek:
*Nie noch sah ich die Nacht beglänzt —
Diamantisch erstrahlen die Fernen...* ³³⁹

*

— *Oh, quand reviendront les neiges d'autan*³⁴⁰?

³³³ „*Tägliche Rundschau*” — dosł. „Przegląd codzienny”, nacjonalistyczny dziennik berliński, ukazywał się w l. 1881–1933; zał. w 1880 r.; od 1922 r. „*Deutsche Allgemeine Zeitung*”; w l. 1924–1928: „*Neue Tägliche Rundschau*”. [przypis edytorski]

³³⁴ *Dehmel, Dehmel, nehmen Sie sich in Acht: ich habe Sie in dieser Nacht mit dem verfluchten Polen tanzen gesehen* (niem.) — Dehmel, niech pan uważa: tej nocy widziałem pana tańczącego z tym przeklętym Polakiem. [przypis edytorski]

³³⁵ *Was meinst du?* (niem.) — Co myślisz? [przypis edytorski]

³³⁶ *madame Blavatsky* — Helena Pietrowna Blawatska (1831–1891), słynna spirytystka i teozofka. [przypis edytorski]

³³⁷ *nous verrons* (fr.) — zobaczymy. [przypis edytorski]

³³⁸ *Ich bin mein eigener Dalai-Lama, ich bin mein eigener Jesus Christ* (niem.) — Sam sobie jestem Dalajlamą, sam sobie jestem Chrystusem. [przypis edytorski]

³³⁹ *Nie noch sah ich die Nacht beglänzt — Diamantisch erstrahlen die Fernen* (niem.) — dosł.: „Nigdy jeszcze nie widziałem bardziej olśniewającej nocy — diamentowo rozpromieniają się dale”. [przypis edytorski]

³⁴⁰ *Oh, quand reviendront les neiges d'autan* (fr.) — O, kiedy wrócą zeszloroczne śniegi. [przypis edytorski]

*

Nigdy kobiety nie brały udziału w tych naszych zgromadzeniach — nawet na weselu Juliusza Harta nie wiem, czy ich było cztery lub pięć, najbliższych krewnych Harta.

Jedynie tylko gdy Dehmel zaprosił do swego domu, była przy kolacji obecna pierwsza żona jego, Paula³⁴¹, a i ta niebawem odchodziła do dzieci.

A Paula Dehmel była tak wysoko wartościowym, tak szlachetnym okazem „człowieka” w kobiecie, jak rzadko mi się spotkać zdarzyło.

Ubóstwiała swego męża jako artystę, a równocześnie umiała doskonale odczuć wszystkie jego niedomagania — Dehmel może żadnemu innemu sądowi nie przypisywał tej wartości, co jej sądowi; — i ubóstwiała go jako męża, a równocześnie godziła się z tym, że jej Ryszardowi żadna kobieta oprzeć się nie może, więc darzyła serdeczną przyjaźnią te przyjaciółki Dehmli, które uważała za godne jego przyjaźni. Była długi czas Dehmlowi nie tylko w pierwszej fazie miłości kochanką, ukochaną żoną i przyjacielem — powiernikiem, ale potem — na co rzadko albo prawie nigdy kobieta zdobyć się nie może — najserdeczniejszym i najtkliwszym przyjacielem tego, który ją dla innej opuścił. Opuścił? Śmieszne! Jestem przeświadczony, że silniej jeszcze do niej przylgnął, gdy drugiej się zdawało, że już teraz duszę wybranego posiadała!

XIV

W domu Oli Hanssona byłem stałym gościem — bynajmniej nie natrętem — przeciwnie: gdy przez jakie parę tygodni nie mógł do Friedrichshagen jechać, przysyłał Ola Hansson serdeczne do mnie zaproszenia.

A bezustannie była mowa o Strindbergu...

Zanim go poznałem, już Laura Hansson-Marholm opowiadała mi o nim tysiące szczegółów, pokazywała dziesiątki fotografii Strindberga z najrozmaitszych faz jego życia i spowiadała się z pierwszych wrażeń, gdy Strindberga poznała.

Było to, kiedy właśnie wyszła za męża za Olinkę i spędzali miodowe miesiące nad brzegiem morza, w całkiem nieznaney i przez nikogo nieodwiedzanej zapadłej miejscowości. Pojawił się wówczas entuzjastyczny artykuł Hanssona o Strindbergu, któremu właśnie niedawno wytoczono proces o „szerzenie niemoralności”, a z którego jednak Strindberg wyszedł obronną ręką, mimo że, jak później twierdził, nikt nic podobnie brutalnego nie napisał nad jego dwa tomy *Giftas* (historie małżeństwa).

Strindberg był wtedy bohaterem dnia, młodzież go ubóstwiała, na rękach wyniosła go z sali posiedzeń, gdy go ostatecznie uwolniono, rozrywano go na wszystkie strony; ale Strindberg — tysiąc razy więcej³⁴² zmęczony swoimi przeżyciami małżeńskimi aniżeli tym procesem, który mu nawet pomógł rozluźnić doszczętnie więzy, jakie go z jego pierwszą żoną łączyły — zapowiedział Hanssonowi swój przyjazd do tej miejscowości, w której Hansson przebywał.

Hansson już dawniej znał Strindberga, a mimo że go entuzjastycznie uwielbiał, nie był ślepy na jego małostkową próżność.

— Jak wyjdziemy mu naprzeciw na stację — tak pouczał Olinka Laurę — daj mu od razu poznać, że jest w twoich oczach czymś wyjątkowym, wybiegającym daleko poza wszelką normę ludzką, a wtedy zyskasz jego przyjaźń.

Pani Laura nie potrzebowała zresztą żadnej komedii odgrywać (już w Kopenhadze, gdzie się nią zaciekle jej późniejszy wróg, Jerzy Brandes, gorąco zajmował, ubóstwiała Strindberga); toteż Strindberg, przyjęty przez Hanssonów gdyby jakiś udzielny książę — pani Laura nie śmiała się w jego obecności odzywać — przylgnął podczas parotygodniowego pobytu u Hanssonów serdeczną przyjaźnią, o ile był w ogóle w stanie być komuś przyjacielem, do Oli Hanssona; tym więcej, że żona jego, pani Laura, umiała swoim niezrównanym taktem i istotnie zdumiewającą znajomością duszy ludzkiej uspić w Strindbergu jego chorobliwą nienawiść ku kobiecie, mimo to, że lepiej od niego, obarzonego 90% kobiecości, nie znał nikt kobiety.

³⁴¹ *Dehmel, Paula* — pierwsza żona Richarda Dehmli (1863–1920) od 1889 r., ur. w 1861 r., z domu Oppenheimer, córka rabina, siostra socjologa i politologa Franza Oppenheimer (1864–1943); rozwiodła się z Dehml'em w 1900. [przypis edytorski]

³⁴² *więcej* — popr. forma st. wyższego przym.: bardziej (zmęczony itp.). [przypis edytorski]

Żona, Artysta, Kochanek,
Zdrada, Przyjaźń, Własność

Artysta, Literat, Kobieta,
Męczyzna, Próżność,
Mizoginia

Hansson musiał z Szwecji uciekać, bo i jemu groził proces o „szerzenie niemoralności”, kiedy był napisał swój niezrównany zbiór nowel: *Sensitiva amorosa* i *Parias*; przebywał jakiś czas w Paryżu, zaczem osiadł wreszcie w Friedrichshagen, gdzie do tego stopnia panowało ubóstwanie wszystkiego, co z Skandynawii pochodziło, że niemieccy autorzy, by być czytani, posługiwali się skandynawskimi pseudonimami.

Ola Hansson pozostawał ustawicznie w bardzo ożywionej korespondencji z Strindbergiem, ale niczym te skargi i żale na nędzny los artysty, jakie roztrząsał Liliencron w swoich listach do Dehmle, wobec listów, jakie Hansson otrzymywał od Strindberga.

Strindberg, ten wielki Strindberg, ubóstwiany przez Młode Niemcy — biedniutki był późniejszy kult dla Oskara Wilde’a wobec tego, jakim się Strindberg w Niemczech cieszył — znalazł się po długiej włóczędce po Szwajcarii i Francji w własnej ojczyźnie w najfatalniejszym położeniu.

Wskutek swego skandalicznego procesu, mimo że ukończył się jego uwolnieniem, stracił Strindberg swego dotychczasowego nakładcę (tych kilku innych, jacy jeszcze istnieli, lękali się wydawać jego pisma, a zresztą nie było tak dalece co wydawać, bo Strindberg był wtedy dotknięty rodzajem umysłowej parezy³⁴³ — ciężkie rodzinne przejścia sparaliżowały na jakiś czas jego mózg, a twórcza ta niemoc miała trwać przez jakieś dziesięć lat); wpadł w ręce lichwiarzy, a ponieważ nie był w stanie nawet procentów opłacać, zafantowano mu jego bardzo cenną bibliotekę i sprzedano w końcu za bezcen: zaledwie zdołał uratować listy i swój olbrzymi niebieski worek, z którego potem czerpał materiały do swych „niebieskich ksiąg”, a które pojawiły się dopiero pod koniec jego życia.

Wreszcie nadszedł tak alarmujący list, że Ola Hansson postanowił go bądź co bądź za wszelką cenę z tego piekła — ojczyzny wyratować.

W tej akcji ratunkowej brała Laura Marholm gorący udział, a posądzam panią Laure, że czyniła to nie z zbytnej miłości do Strindberga, ale pewno w głównej mierze, by pomóc swego męża, z którym Szwecja haniebnie się obeszła, i skompromitować wobec Europy Szwecję, która pozwalała najlepszym swym synom ginąć z nędzy.

I ona inspirowała artykuł, jaki Ola pomieścił w „Zukunft”, pełen goryczy, a nawet nienawiści zaciśniętych zębów ku tej obżartej chamskiej Szwecji, która zna tylko jedną religię: kramarstwo, i jedną mszę, jaką żarliwie uprawia: żarcie!

Trochę było w tym racji, bom w żadnym kościele nie widział tak skupionego nabożeństwa, z jakim Szwedzi w restauracjach obiad spożywają. Odważy się ktoś głośniejszemu mówić albo — co gorsze jeszcze — rozśmiać się, a wywoła bezwarunkowo milczący, ale tym dosadniejszy protest najgłębszego oburzenia.

Z listu Strindberga przytoczył parę najjaskrawszych zdań, które swoją drogą trąciły już wtedy manią prześladowczą, o czym Ola Hansson niebawem miał się przekonać, a zakończył trochę emfaticznym wykrzykiem, który miał się potem ciężko na nim pomścić, bo już raz na zawsze zamknął sobie drogę do swej ojczyzny:

„Otóż jak Szwecja obchodzi się z swymi największymi synami!”

Artykuł ten wywołał niesłychane oburzenie w Szwecji, stanowisko Strindberga znacznie się jeszcze w jego ojczyźnie pogorszyło, a głębokie współczucie w Niemczech nie na wiele mu się zdało.

Współczuć, a pomóc! Jaka olbrzymia przepaść dzieli te dwa pojęcia!

Hansson wyświadczył Strindbergowi niedźwiedzią przysługę, mimo najszlachetniejszych pragnień, bo był głęboko przeświadczony, że teraz posypią się tysiące z kieszeni Niemców, ubóstwiających Strindberga: nadzieja ta doszczętnie zawiodła, a teraz już uniemożliwiła wprost dalszy pobyt Strindberga w Szwecji.

Hansson pociągnął konsekwencję: — A więc dobrze, to ja sam Strindberga zaproszę do siebie, niech u mnie zostanie, jak długo chce, a w Niemczech ostatecznie znajdzie dostatnie utrzymanie.

O ten piękny, ten bezdennie naiwny Olinka!

Nigdy nie wiedział, z czym ma się liczyć, bo pani Laura nie chciała mu zaprzętać głowy troskami materialnymi i Ola nie wiedział, że Laura biedoliła i trapiła się po nocach, jakim cudem wytrwa dwustu markami przez cały miesiąc, a tu Ola sprasza na gwałt Strindberga.

³⁴³pareza — niedowład kończyn a. grup mięśni. [przypis edytorski]

— *Sigismund August, helfen Sie*³⁴⁴! — i schwyciła mnie za rękę, ciężko stroskana. (Co w jej mózgu skojarzyło Zygmunta Augusta ze mną, pewno sama nie wiedziała.)

I istotnie znalazłem radę — poszedłem do dra Ascha, który w zażyłych stosunkach żył z Maksymilianem Hardenem³⁴⁵, wydawcą „Zukunft” i wielkim wielbicielem Strindberga, ten zaś miał w wszystkich kołach niesłychanie rozległe stosunki. Jak się to wszystko stało, nie wiem, dość że już na drugi dzień dr Asch wręczył Hanssonowi 600 marek, który, rozpromieniony i szczęśliwy, wysłał je telegraficznie Strindbergowi.

Za tydzień — było to już późną jesienią — przyjechał, z małym kufereczkiem z bielizną i z swym „zielonym workiem”, w jednym ubraniu i to mocno podniszczonym, ten wielki, podówczas czterdziestopięcioletni Strindberg do Berlina.

Po moim powrocie do Polski pisano tyle niestworzonych rzeczy o wpływie Strindberga na mnie, że nieraz byłem rzetelnie zdumiony, bo nie byłem pewien, czy krytycy moi czytali w ogóle jakiś Strindberga lub mój utwór.

Nie ma chyba tak ogromnej różnicy między tworem dwóch artystów, jak między tworem Strindberga a moim. Może jakaś wspólność istniała — i to krótki czas — ale odnosiła się tylko do metod używania środków artystycznych. On i ja posługiwaliśmy się — on stale, ja przejściowo — wiedzą przyrodniczą w obrazowaniu, sposobem ujęcia przedmiotów w metaforach, ale to wszystko. Łączyła nas poza tym odwaga wypowiedzenia rzeczy, których przedtem nie ośmielał się nikt wypowiedzieć; tylko każdy z nas inaczej to wypowiadał: Strindberg z niesłychaną, częstokroć nawet brutalną zajadłością — ja szukałem zawsze dla tego, co miałem do powiedzenia, jakiegoś metafizycznego podkładu; a niczego tak Strindberg nienawidził, jak metafizyki!

Jak często kończyły się nasze rozmowy niechętnym rozcięciem rozprawy kategorycznym oświadczeniem Strindberga:

— To metafizyka, tego nie rozumiem!

Swoją drogą miałem dla Strindberga niezmierną cześć i wielki szacunek — niesłychanie wysoko stawiałem jego dramaty: *Ojca*, *Hrabiankę Julię*, *Wierzyieli*; przedmowę do jednoaktówki *Comtesse Julie* uważam w dziedzinie dramatu za coś iście przełomowego, a powieść jego *Nad otwartym morzem* cenię dotychczas jako jedną z najlepszych powieści w ogóle, nie tylko szwedzkich, ale ogólnie europejskich.

Nie potrzeba było sugestii tego uwielbienia, jakim Młode Niemcy darzyły poonczas Strindberga, bym go stawiał na tym piedestale, na jakim dla mnie istniał; byłem jak najzupełniej i wtedy, i teraz świadom jego wielkości, ale między nim a mną zionęła cała przepaść, a przede wszystkim w zagadnieniu stosunku kobiety do mężczyzny.

Dla mnie kwestia ta: mężczyzna i kobieta, to jedna i ta sama rzecz, tylko inaczej spolaryzowana; ujemnie czy dodatnio, kto to rozstrzygnąć może?

Strindberg popełnił ten sam błąd, który kilkanaście lat po nim miał Weininger³⁴⁶ popełnić: mierzył kobietę miarą mężczyzny, a do dwóch różnych, diamentralnie różnych rzeczy nie można ani nie wolno jednego i tego samego łokcia przykładać.

Ile razy stawiam sobie to pytanie, czy Strindberg popełnił błąd, nasuwa mi się przypuszczenie, że musiał go popełnić: Strindberg mierzył kobietę miarą kobiety — a gdyby to już nie zakrawało na jakiś dziki paradoks, to gotów jestem twierdzić, że Strindberg, w którym tkwiło co najmniej 90% kobiecości, męskiej miary w ocenianiu kobiety mieć nie mógł — swoją drogą żaden mężczyzna nie jest w stanie ocenić, czy miara Strindberga jest sprawiedliwa lub nie, tę kwestię kobieta tylko ocenić i sprawdzić może.

Mężczyzna inaczej patrzy na kobietę jak Strindberg i nie jest w stanie sprawdzić, czy kobieta tak wygląda, jak ją Strindberg przedstawia, ale możliwe, że jedyny, w najwyższym stopniu „genialny” umysł „kobiety”, jaki dla mnie przedstawia umysł Strindberga — całą bolesną prawdę wyłowić zdołał.

Kobieta, Mężczyzna,
Mizoginia, Artysta

³⁴⁴*helfen Sie* (niem.) — niech pan pomoże. [przypis edytorski]

³⁴⁵*Harden, Maksimilian*, właśc. *Lzydor Witkowski* (1861–1927) — niemiecki pisarz, publicysta i krytyk literacki; autor dzieła *Krieg und Friede (Wojna i pokój)*, 1918; w l. 1892–1922 redaktor „Zukunft”. [przypis edytorski]

³⁴⁶*Weininger, Otto* (1880–1903) — filozof austriacki; autor pseudonaukowej teorii antagonizmu płci, którą wraz z ideą niższości etycznej kobiet wyłożył w dziele *Geschlecht und Charakter (Płeć i charakter)* wyd. 1903; zginął śmiercią samobójczą. [przypis edytorski]

Tylko kobieta umie tak kobietę nienawidzić jak Strindberg, a może i dla żadnej kobiety nie był tak zniechęcony typ mężczyzny, który Strindberg nazywał gynolatrem, jak właśnie dla niego.

Dla mnie było zagadnienie mężczyzna — kobieta prostą, choć niezmiernie głęboką kwestią biologiczną, i to nas różniło: kategoryczność kobieca w Strindbergu domagała się gwałtownie, bym szedł jego śladami. A to już nie było dla mnie możliwe, bom nie mógł sobie stawić tak śmiesznego pytania, czy kobieta jest wyższym typem człowieka od mężczyzny, czy też niższym. Dla mnie to pytanie oczywiście istnieć nie mogło: jako mężczyzna nie mogę ani nie jestem w stanie w jakiśkolwiek etyczny czy też jakiśkolwiek inny sposób wartościować kobiety jako takiej, bo jest czymś diametralnie [innym,] ponieważ innym stworzeniem ode mnie — ani niższa, ani wyższa, tylko inna.

Zdumiewające, że z większą może nienawiścią, jaką Strindberg zionął ku kobiecie, pieńiła się Gabriela Zapolska przeciwko mężczyźnie.

Niech się to wyda groteskowo paradoksalne, co śmiem teraz powiedzieć, ale od tej myśli odczepić się nie mogę: z tą samą furią, zaciekłością, z jaką Strindberg szalał przeciwko kobiecie w sobie, znęcała się Zapolska nad mężczyzną w sobie.

Dałem tylko krańcowe przykłady (przecież mnie nikt chyba nie posądzi, bym miał równać Strindberga z Zapolską jako artystów) — przykłady, jak mści się w duszy artysty nadmiar kobiecości lub na odwrót: w duszy artystki nadmiar męskiego pierwiastku.

W normalnych warunkach nigdy kobieta nic wiedzieć nie może o mężczyźnie ani mężczyzna o kobiecie — wszystko, co kobieta pisze o mężczyźnie, jest prostą, przeważnie niesłychanie śmieszną fikcją, a to, co mężczyzna pisze o kobiecie, to również fikcja: tak wygląda kobieta w jego duszy, kobieta przez niego stworzona, z morskiej piany najgłębszych pokładów oceanicznych głębi jego duszy wylaniająca się Wenus — nic więcej.

Między kobietą a mężczyzną nie ma i nie może być żadnego pomostu — prócz *miłości*.

Nienawiść z jednej lub drugiej strony, to obłąkany „Tamas” hinduskiej filozofii, który naszym życiem rządzi i każe nam dwie całkiem nierównomierne wielkości jednym i tym samym głupim łokciem mierzyć.

Och, jak rozkosznie rzechocze matka nędznego bytu ludzkiego, straszna Maja³⁴⁷, gdy patrzy na tę oszalałą, rozbestwioną walkę między samcem a samicą — to by jeszcze nie było najgorsze — ale: między wrzekomo „wiedzącym” mężczyzną, a — *risum teneatis*³⁴⁸ — „równouprawnienia” żądną niewiastą!

Ha, ha, ha!

Mężczyzna, prócz Strindberga i Weiningera, dawno już zrozumiał, że istnieje inna miara wartościowania dla kobiety i całkiem inna dla mężczyzny.

Obłądną fikcję „równouprawnienia” otrzymuje się tylko wtedy, jeżeli wyrzuci się poza nawias całe życie, a więc różnicę płci. Bo tylko wtedy, jeżeli się płeć wyeliminuje i poczyną się myśleć abstrakcyjnie, zapomina się o tym, że prawa podtrzymania bytu ludzkiego narzuciły całkiem inne obowiązki i cnoty kobiecie, a całkiem inne mężczyźnie.

Jaka śmieszna megalomania — a taką opętana li tylko bezpłodna lub bezpłciowa kobieta (*das dritte Geschlecht*³⁴⁹ — nazywa Niemiec wzgardliwie tego rodzaju bastarda) — chce przełamać jedno z najwięcej „żelaznych” praw natury; i jaki brak poczucia własnej godności i własnego majestatu, boć przecież bez najwznieślej funkcji kobiety, najszlachetniejszego jej dostojeństwa i najboleśniej ofiary: macierzyństwa — życie istnieć by przestało.

I Strindberg nie był w stanie — w tym tkwi tak na wskroś kobieca kategoryczność jego sądów — pojąć, że kolubrynę, którą mierzył w kobietę, wymierzył przeciwko samemu sobie.

Poczynanie jego to samo, co poczynanie zacieklej sufrażystki, kiedy mężczyznę mierzy miarą kobiety.

Emancypantka czy sufrażystka, każde wszelakiego rodzaju *virago*³⁵⁰, uznaje jednakowoż mężczyznę jako tego, który nie tylko prawa, ale i wszystkie wartości stanowi, i walczy

Kobieta, Mężczyzna, Walka

Kobieta, Mężczyzna,
Obyczaje, Wierzenia, Obcy,
Pogarda

Mizoginia, Kobieta, Walka,
Prawo

³⁴⁷Maja — w mitologii hinduskiej matka Buddy i całego świata widzialnego. [przypis edytorski]

³⁴⁸*risum teneatis amici?* (łac.) — czyż powstrzymalibyście się od śmiechu, [przyjaciele]? (z Horacego *Ars poetica*) [przypis edytorski]

³⁴⁹*das dritte Geschlecht* (niem.) — trzecia płeć. [przypis edytorski]

³⁵⁰*virago* (łac.) — mężyca; kobieta o fizycznych lub psychicznych cechach męskich. [przypis edytorski]

o te prawa i te wartości mężczyzny, zamiast stanowić własne, odrębne prawa i odrębne wartości — i w tym uznaje wyższość mężczyzny nad sobą. Istotny mężczyzna nie przeskadzał nigdy kobiecie, by sobie te prawa stanowiła, przeciwnie: aż nadto miała kobieta czasu i swobody w kuchni, by odkryć prawa chemiczne i poznać potęgę pary, i nie jego wina, jeżeli kobieta tego dokonać nie zdołała, ani ją o tą niezdolność nie wini; li tylko mężczyzna, w którym tkwi przeważający procent kobiecości, wypowiedział walkę kobiecie na tej samej zasadzie: uznaje potęgę i moc kobiety, i niebezpieczeństwo, które mu z tej strony grozić może. A zatem: im więcej kobietę nienawidzi i zwalcza, tym większą potęgę jej przyznaje.

Fatalny błąd, jaki popełnił Strindberg, a raczej wskutek swej organizacji popełnić musiał, to właśnie to, że uznawał w kobiecie wroga, silniejszego czy słabszego — mniejsza o to — w każdym razie równomiernego wroga, bo przykładał do niego całkiem fałszywą miarę — miarę mężczyzny.

Nieraz wprost „babska” kategoryczność sądów Strindberga uniemożliwiała spokojną dyskusję na ten temat. Hansson, jako myśliciel nieporównanie głębszy od Strindberga, ośmielił mu się sprzeciwić i to od razu wszczęło się ostrym klinem w ich dotychczas gorącą przyjaźń.

Strindberg nie znosił żadnego sprzeciwu: ktokolwiek ośmielił mu się oponować, stał się w jego oczach śmiesznym gynolatrą (*gyne* = kobieta i *latren* = ubóstwiać), a nie zdawał sobie sprawy — on właśnie, bezustannie w coraz to nowe związki małżeńskie wstępujący — jak ośmieszał się swoim mizogynizmem³⁵¹.

Nie zapomnę, gdy go po raz pierwszy ujrzał: na wysokim, roslym, bardzo tęgim korpusie osadzona była głowa o małej twarzy i ogromnym sklepieniu czaszki. W twarzy uderzały przede wszystkim małe, pełne usta, skrojone całkiem jak u kobiety, i tak dziwnie złożone, że zdawały się bezustannie gwizdać. Pod krótkim, małym nosem sterczały małe, po szwedzku à la Gustaw Waza przycięte wąsiki; wżwyż rozszerzała się ta mała twarz, ozdobiona z jednej i drugiej strony małymi i delikatnymi konchami uszu, całkiem jak u kobiety; pod pięknym łukiem zakreślonymi brwiami osadzone były oczy, tak dziwnie zmienne, że barwy ich nie sposób było określić, a tak wymowne, że patrząc w nie, można było w tej chwili w nich wyczytać, co się w jego duszy działo.

Cała twarz nikła wobec nieustosunkowanego ogromu czaszki, pokrytej gęstym, wijącym się a miękkim gąszczem włosów, bezustannie przeczesywanym grzebieniem, który zawsze nosił przy sobie. A dziwny był objaw, gdy grzebieniem przez nie przejeżdżał — dokładnie słyszeć było można elektryczne objawy trzeszczenia, a w ciemności włos jego fosforyzował jak u kota, gdy się w ciemności trze jego sierść.

Przy ogromnym korpusie zdumiewały małe i prawie pulchne ręce o krótkich palcach i małe stopy, z których był bardzo dumny i z nich wywodził swoje arystokratyczne pochodzenie; i z nich, i z braku wszelakiego owłosienia na ciele wywnioskowywał wyższość rasy, z jakiej pochodził, co mu nie przeszkadzało twierdzić, że matką jego była jakaś hamburska Żydówka.

Na razie zapowiadało się wszystko bardzo pięknie. Podniecona, serdeczna harmonia. Byliśmy wtedy, onego pierwszego wieczoru, w pięciu: dr Asch, wierny i nieodstępny Asch, pisarz szwedzki Adolf Paul³⁵² — na gwałt chciał uchodzić za Finlandczyka, mimo że jednego słowa fińskiego nie znał, Hanssonowie i ja.

Strindberg wydawał się szczęśliwy; twierdził, że do samego Hamburga był strzeżony przez detektywów, a ochłonął dopiero w Berlinie, gdzie go już opuścić musieli; mówił dużo, z początku łamaną niemieczyzną, ale w miarę, jakeśmy poczęli pić — a piło się u Hanssonów tylko toddy (szklanka w pół na w pół gorącej wody z koniakiem lub whisky) — rozwiązywał mu się język, a po dziesiątym toddy mówił już czystym literackim językiem niemieckim.

Mówił przez cały wieczór: olśniewał nas zdumiewającymi paradoksami; w podziw wprowadzał teoriami naukowymi, wywracającymi na rękę dotychczasowe poglądy nauko-

Ciało

³⁵¹mizogynizm — dziś popr.: mizoginia; chorobliwa wrogość wobec kobiet. [przypis edytorski]

³⁵²Paul, Adolf (1863–1943) — pisarz i publicysta szwedzki, autor komedii, nowel i powieści; większość życia spędził w Berlinie, przyjaźnił się z innymi artystami z berlińskiej bohemy: m.in. Augustem Strindbergiem, Jeanem Sibeliusiem, Edvardem Munchem czy Akselim Gallen-Kallela (fińskim malarzem, najbardziej znanym ze swych ilustracji do *Kalevali*). [przypis edytorski]

we, a istotnie rozporządzał rozległą wiedzą przyrodniczą; pogardliwie potrącał o literaturę — jednego tylko uznawał: Balzaka i poniekąd Zolę; opowiadał o swoich przejściach życiowych z taką szczerością i taką bezwzględną otwartością, żeśmy mimo woli spoglądali zażenowani po sobie; a w końcu — było to już nad ranem — schwycił za gitarę, z którą się nigdy nie rozstawał, i śpiewał, stojąc na jednej nodze, sromotnie sprośne i (dziwna rzecz, przypominały mi się kujawiaki) przeraźliwie smutne studenckie piosenki szwedzkie.

Po raz pierwszy dowiedziałem się od niego, że najulubieńszym narodowym tańcem szwedzkim to taniec „polska” — dziwaczne i skojarzenie mazurka z polką.

Umiał być Strindberg — nie umiał, bo nigdy nad sobą nie panował ani opanować siebie nie był w stanie — ale *bywał* Strindberg niezmiernie zajmujący; rozrzucił naokoło pełnymi garściami wprost skarby ciekawych spostrzeżeń, zdumiewających kojarzeń; niewyczerpana jego, niesłuchanie bujna fantazja wytwarzała między najprostszymi rzeczami związki, które swą głębią zastanawiały; ale jednakże nigdy nie można się było pozbyć przykrego uczucia jakiejś niesamowitości w tych wszystkich fajerwerkach i fanalach³⁵³ jego myślenia.

Podłoże jego myślenia, wszystkich jego uczuć, było przepojone jakąś chorobą nienawiścią — w całym jego tworze nie znajdziesz miłości — nienawiścią chorego człowieka, cierpiącego na manię prześladowczą. A właśnie ta mania, która miała parę lat później przetworzyć się w delirium maniackie, już się teraz na dobre poczęła rozgaszczać w jego mózgu.

Toteż pierwotna harmonia, jaka łączyła Strindberga z domem Hanssonów, już po paru tygodniach została zamglona i zatruta obłądną podejrzliwością Strindberga. Mózg jego zaczął chorobliwie pracować: zapomniał o rozpaczliwych listach, jakie pisywał do Oli Hanssona, i począł go podejrzewać, że Hansson, sprowadzając go do Niemiec, jego — wielkiego i słynnego człowieka — pragnął w jego cieniu wyrosnąć również na rozgłośnego artystę. Zapomniał o tym, że listy Nietzschego, który także do niego pisywał, kiedy już jego mózg był obłędem spowity, pozostawił bratu swojemu w Sztokholmie do przechowania, a teraz, kiedy ich odnaleźć nie mógł, posądzał Laurę Marholm, że mu je skradła. Całą tę akcję ratunkową, którą wywołał rozpaczliwym wołaniem o pomoc, uznał teraz za niecną intrygę, by go uniemożliwić w jego ojczyźnie; Hansson, który raz po raz ośmielał się być innego zdania aniżeli on, wydał mu się bardzo podejrzanym intrygantem, a panią Laurę uważał za detektywa, który go dniem i nocą śledzi, by wydostać z niego najgłębsze jego tajemnice i opublikować je w skandynawskiej prasie.

A ja byłem bezustannym świadkiem tych chorobliwych przeobrażeń w mózgu Strindberga — codziennie prawie wzywał mnie do siebie — i znalazłem się w fatalnym położeniu.

Sprzeciwić się w czymkolwiek Strindbergowi znaczyło ściągnąć na siebie gorącą jego nienawiść — Strindberg był geniuszem nienawiści — z drugiej strony bolały mnie insynuacje i podejrzenia, uporczywie skierowywane w stronę Hanssonów. Pod pozorem nawału pracy usunąłem się przez czas jakiś od Strindberga i Hanssona, ale nie minęło dwóch tygodni³⁵⁴, gdy nagle rychłym rankiem zjawił się Strindberg w moim mieszkaniu, tym razem już bez kufierka, tylko z swoją zieloną torbą pod pachą.

— Wyzwolilem się! — i wyczerpany padł na stołek.

Zerwał się w nocy, bo był przekonany, że Laura Marholm czyha na jego życie, pobiegnął na dworzec i pierwszym pociągiem przyjechał do Berlina — do mnie.

Trzeba było Strindberga ratować: cały jego majątek wynosił coś około 50 fenigów.

Rozpoczęła się nowa, uciążliwsza jeszcze akcja ratunkowa; pobiegnę do Ascha, ale dr Asch, który na równi ze mną cenił i kochał Hanssona, był oburzony już od dawna, że Strindberg w ten dziwny sposób Hanssonowi się wywdzięczał, więc kosztowało to dużo zachodu i przekonywań, by go wprost zniewolić do przyjścia z pomocą.

W końcu utworzyło się całe konsorcjum, które przejęło na siebie obowiązek utrzymania Strindberga. I ciekawe! — Sami Żydzi: Seligsohnowie, Kantorowicze, Förtnerowie, familia Aschów i Goldbergów. Trzech tylko Aryjczyków wstąpiło do tego konsorcjum: jeden — biedak, który ledwie koniec z końcem mógł związać, Ryszard Dehmel; drugi

Artysta, Bieda, Opieka,
Antysemityzm, Szaleniec

³⁵³fanal (z niem. a. wł.) — znak, sygnał, szczególnie świetlny. [przypis edytorski]

³⁵⁴nie minęło dwóch tygodni — popr.: nie minęło dwa tygodnie. [przypis edytorski]

— genialny lekarz chirurg, którego wszystkie dochody pochłaniały jego wynalazki, Ludwig Schleich, późniejszy słynny profesor chirurgii na uniwersytecie berlińskim; no i ja, który pomóc nie mogłem, natomiast wszystkie siły wytrzymałem, by coś dla Strindberga wyżebrać.

I to znamienne:

Strindberg był zdumiony, że nagle został otoczony opieką Żydów — kto ich zebrał? Przybyszewski — aha! Rok później, kiedy zapłonął do mnie — Bóg wie, z jakich powodów — zaciekle nienawiścią, jął rozpisywać do moich znajomych, że jestem Żydem, a ojciec mój kierownikiem żydowskiego kahału!!

Na razie został byt Strindberga całkiem zabezpieczony. Wynajęło mu się ładny pokoik w małym hoteliku na cichej uliczce, ślepej bocznicy przy *Unter den Linden*, kupiło mu się ubranie i co najpotrzebniejszego z bielizny, jako lokaj nastreczył mu się ów już wspomniany fińsko-szwedzki pisarz, Adolf Paul, który, załatwiając rzekomo interesy Strindberga, załatwiał swoje własne — a był to okres, w którym Paul rozpaczliwie dobijał się o jakieś stanowisko w literaturze niemieckiej; co tydzień przychodził jakiś Seligsohn i załatwiał rachunki w hotelu, które często gęsto nadmiernie urastały — Strindberg niczego sobie nie odmawiał. W międzyczasie wynalazł sobie Strindberg w pobliżu mało co uczęszczaną winiarenkę, która niedługo miała się stać najślynniejszym, a raczej najwięcej osławionym lokalem bohemy — wcale nie niemieckiej, bo tę nie było stać na wino, ale skandynawskiej — *Zum schwarzen Ferkel* (Pod czarnym prosiakiem).

Cała ta winiarenka składała się z dwóch małych pokoików przedzielonych ciasnym szynkwasem, w którym piętrzyły się flaszki najprzeróżniejszych trunków — pokoików tak małych, że zaledwie 20 osób od razu w nich pomieścić się mogło, a po szóstej po południu nie można było 10 centymetrów miejsca znaleźć, tak była przepehiona, i to od czasu, kiedy Strindberg począł w tej winiarni stale przesiadywać.

Wieść o tym szybko się rozniosła w kolonii skandynawskiej, a nie było wśród niej nikogo, który by nie zapragnął zapoznać się z Strindbergiem albo odświeżyć dawną z nim znajomość.

Artysta skandynawski tym się odznacza, że wszędzie mu dobrze, tylko nie w domu; dopóki młody oczywiście, bo na starość wraca do domu albo z zagranicznym patentem, że jest istotnie przez Europę uznanym artystą, a bez tego patentu Skandynawia artysty nie uznaje — *tout comme chez nous*³⁵⁵ — albo też z ciężkim rozgoryczeniem, jeżeli tego patentu nie otrzymał. Toteż Berlin roił się od skandynawskich artystów, którzy w dalszej podróży do Paryża i Włoch zwykle o Berlin zaczepiali, a często w nim i na dłuższy czas utknęli.

Artyście skandynawskiemu nietrudno było z swej, na razie wprost znieawidzonej, ojczyzny wyfrunąć. Każdy z nich pobierał na mocy uchwały Stortingu³⁵⁶ tak w Krystianii, jak w Kopenhadze stałą pensję miesięczną, która pozwalała mu na wygodny trzyletni pobyt za granicą.

Toteż prawie wszyscy artyści przebywali przez całą zimę przeważnie za granicą — w Berlinie, Monachium, Paryżu, Florencji, Rzymie; a w każdym z tych miast tworzyli całkiem odrębną bohemę — bohemę poniekąd *contradictio in adiecto*³⁵⁷ — bo ta bohema rozporządzała środkami pieniężnymi, a jeżeli ich nie miała, to nietrudno jej było je zdobyć, bo ojczyzna — *Hinterland* — nigdy o nich w razie potrzeby nie zapominała.

Och! to była inna bohema jak³⁵⁸ ta nasza berlińska.

Nasze sympozje składały się z paru flaszek piwa, flaszki „Nordhäusera”, trochę *Aufschnitte*³⁵⁹, który każdy przynosił ze sobą, o ile go na to starczyło; a bywało, żeśmy w ośmiu lub nawet w dziesięciorgo ludzi nie zdołali zebrać ani jednego talara, a oni pili burgundzkie wino — chambertina przede wszystkim, pili bardzo często szampana, a jadaliby ostrygi i homary.

³⁵⁵*tout, comme chez nous* (fr.) — zupełnie jak u nas. [przypis edytorski]

³⁵⁶*Storting* (norw. *Stortinget*) — jednoizbowy parlament Królestwa Norwegii, funkcjonujący 1814 r.; najwyższy organ władzy politycznej w Norwegii, posiadający władzę ustawodawczą oraz sprawujący kontrolę nad rządem. [przypis edytorski]

³⁵⁷*contradictio in adiecto* (łac.) — sprzeczność sama w sobie; połączenie dwóch pojęć, które wzajemnie się wyłączają. [przypis edytorski]

³⁵⁸*inna jak* — popr.: inna niż. [przypis edytorski]

³⁵⁹*Aufschnitt* (niem.) — wędlina w plasterkach. [przypis edytorski]

Gospodarz „Czarnego prosiaka” kłaniał się do nóg członkowi skandynawskiej bohemy, a z pogardą patrzył, gdy który z nas do jego winiarni się zabłąkał.

Już po krótkim czasie jał się pychą rozdymać — zardzewiałe żelazne obręcze, na których ów czarny prosiak wisiał, wymienił na srebrne, a w wszystkich pismach ogłaszał, że lokal jego to *rendez-vous-ort*³⁶⁰ najwybitniejszych skandynawskich artystów.

I nie było w tym w istocie żadnej blagi.

Naokoło Strindberga i jego nieodstępnego famulusa, Adolfa Paula, gromadziło się całe artystyczne *ver sacrum*³⁶¹, jakie Skandynawia, wierna starym tradycjom Wikingów, zagranicą dostarczała.

Przez całą zimę przebywał tam słynny malarz norweski, Christian Krohg, który wraz z Hansem Jaegerem stworzyli piekielnie ponurą i tragiczną bohemę norweską w Krystianii; przebywała tam żona Krohga, heroina powieści Jaegera, tak bezwstydnie rewelacyjnej, że jakiś krytyk w Kopenhadze, który się o niej rozpisał, dostał trzy miesiące więzienia; a przebywała — co kraj, to obyczaj — nie w towarzystwie swego męża, ale zawsze razem z nieodstępnym Gunnarem Heibergiem³⁶², twórcą dramatu, którego by się Oscar Wilde nie był powstydział, *Balkon* (drukowałem go swego czasu w „Życiu” krakowskim). Wysiadywał w „Czarnym prosiaku” finlandzki pisarz, wytworny pan, ale mierny artysta, Tavastsjerna, wraz z swoją żoną, która daremnie szturmowała scenę niemiecką, a niefortunny jej występ w *Pannie Julii* Strindberga stał się dla niej *lasciate ogni speranza...* Przy wąskim stoliku rozpościęrał się wielki malarz norweski Fritz Thaulow³⁶³, przypominający żywo objętością swoich rozmiarów naszego Stanisławskiego³⁶⁴, którego zresztą łączyły potem przyjazne stosunki z Thaulowem w Paryżu. Nad wszystkimi górował duński pisarz, Holger Drachmann, tak podobny do szwedzkiego króla Oskara II, że podobno raz się odwach zamku berlińskiego pomylił i powitał go wszystkimi bębenkami, jakimi się tylko Jego Majestat wita. Naprzeciw siadywał słynny malarz szwedzki, Liljefors³⁶⁵, który fanatycznie Strindberga uwielbiał, a ten nie raczył nawet na niego spojrzeć. Gdzieś w kącie dumał nad szklanką whisky wielki wizjoner Edward Munch, a tyłem do wszystkich obrócony siedział Gabriel Finne³⁶⁶, jeden z najzdolniejszych młodych pisarzy norweskich, i żuł bezustannie prymkę.

I tak pili jedną, dwie godziny w zadumie; rzadko kiedy padło jakieś słowo: niechętnie i żółcią zaprawione — zdumiewające, jak się ci ludzie wszyscy wzajem nie lubili — potem rozmowa zaczęła się ożywiać, sądy w przykry sposób ścierać, ukryte nienawiści wychodziły na jaw, z początku urywanie, krótko i ostrojęzycznie, raz po raz wybuchowały³⁶⁷ swarne kłótnie, uspokajane i łagodzone przez trzeźwiejszych kompanów, a potem znowu nagłe jakieś wybuchy i niesmaczne awantury.

A za każdym razem miałem to *distinct* wrażenie, że to aura Strindberga w ten sposób na obecnych oddziaływa. Gdziekolwiek Strindberg się pojawił, rozpoczynały się niesnaski, a gniew i gorycz, dawno zapomniane urazy się odnawiały, a zabliznione rany na nowo jęły krwią broczyć.

Byłem świadkiem kilku ordynarnych scen wśród zresztą dość spokojnie żyjącego małżeństwa, wywołanych prawie że tylko obecnością Strindberga, bo prócz kilku brutalnych słów, które w kipiący war ich nagłej kłótni rzucił, nie zauważyłem żadnego innego podjudzania.

Pewno, że gdybym zamierzał napisać zbiór jak najautentyczniejszych anegdot o Strindbergu, książka moja całkiem inaczej mogłaby zaspokoić ciekawość moich czytelników

³⁶⁰*rendez-vous-ort* — miejsce spotkań; połączenie fr. *rendez-vous*: spotkanie, randka oraz niem. *der Ort*: miejsce. [przypis edytorski]

³⁶¹*ver sacrum* (łac.) — co święte. [przypis edytorski]

³⁶²*Heiberg, Gunnar* (1857–1929) — powieściopisarz i dramaturg norweski; jego dramat *Balkon* (1894) był drukowany w „Życiu” pod red. Przybyszewskiego w 1898 r. (nr 12 i nast.). [przypis edytorski]

³⁶³*Thaulow, Fritz* (1847–1906) — norweski malarz, impresjonista; treścią jego obrazów są głównie nastrojowe pejzaże: pod śniegiem, w deszcz, w nocy. [przypis edytorski]

³⁶⁴*Stanisłowski, Jan* (1860–1907) — polski malarz-pejzażysta, profesor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, założyciel stowarzyszenia artystycznego „Sztuka”. [przypis edytorski]

³⁶⁵*Liljefors, Bruno* (1860–1939) — malarz szwedzki, zanany gł. z dramatycznych przedstawień zwierząt i dzikiej natury. [przypis edytorski]

³⁶⁶*Finne, Gabriel Edward* (1806–1899) — naturalistyczny pisarz i dziennikarz norweski, autor noweli *Filozof* (1891), w której opisuje cierpienia intelektualisty pochodzenia proletariackiego. [przypis edytorski]

³⁶⁷*wybuchowały* — dziś popr.: wybuchaly. [przypis edytorski]

i całkiem ich inaczej zająć, ale już od samego początku nakreśliłem program całego tego mego „pamiętnika”: to nie zbiór anegdot, ale wierny obraz prądów, jakim podlegałem, a zasię innych, które bez najmniejszego śladu przez moją duszę się przewaliły, to znowu takich, których i nawet odczuć nie mogłem, bo brakowało mi odpowiedniego zmysłu.

Zbyt silny był we mnie męczyzna, by móc rozumieć albo nawet i odczuć mizogynizm Strindberga dla kobiety; zbyt silnie odczuwałem dystans, jaki Bóg-Natura wytworzyła między psychą mężczyzny a kobiety, by ją za to znienawidzić, co ostatecznie może jest jej najwyższą cnotą i jedyną możliwością dopełnienia zakonu, aby „rodu ludzkiemu końca nie było”; a gdym kiedyś publicznie powiedział, że po mej śmierci kobiety winny z wdzięczności trumnę moją na swych ramionach ponieść do grobu, cały świat niewieści moim słowem z uniesieniem przyklasnęła.

I cały sposób myślenia Strindberga i mój był diametralnie przeciwny. O ile między Olą Hanssonem, swoją drogą jednym z najsubtelniejszych i najgłębszych myślicieli, jakich w artystycznym świecie skandynawskim poznałem, a mną istniała czasami nawet zadziwiająca harmonia i zbieżność poglądów na świat i życie — nie pomnę, byśmy kiedyś na przeciwnych biegunach stanęli — o tyle niemożliwe było dla mnie bliższe zetknięcie się duchowe z Strindbergiem.

Strindberg opozycji nie znośił — sposób jego myślenia był na wskroś absolutystyczny, dogmatyczny, wyłączający wszelką względność — co on pomyślał, co on powiedział, musiało być bezwzględnie prawdą, a jego *autos epha*³⁶⁸ rozstrzygało każdą kwestię. Absolutystyczny, na wskroś kobiecy jego umysł nie był prawie zdolny do oderwanego, metafizycznego myślenia, toteż moje wywody przerywał zwykle znudzonym i niechętnym: „*Das ist Metaphysik! Davon will ich nichts wissen!*”³⁶⁹.

Niczym tak nie pogardzał, jak „metafizyką”, a wszystko, co wybiegało poza grubo materialistyczną wiedzę, było metafizyką.

Cały jego późniejszy twór, w którym można by się dopatrzeć jakiegoś przejścia przez *Inferno*³⁷⁰, by drogą *Damaszku* dotrzeć do Swedenborga³⁷¹, nie zmyli tego, który wie, do jakiego stopnia Strindberg nie był zdolny pojąć najprymitywniejszych zasadniczych podstaw mistycyzmu.

W mistycyzmie obchodziły go jedynie zewnętrzne objawy, których nie był w stanie w jakikolwiek sposób mózgowymi teoriami sobie wytłumaczyć, a jednakże był zmuszony w nie wierzyć — przerażoną, wylęknioną, do obłędu przesadną wiarą kobiety.

A przykro się na mnie odbiło, że pragnął go z „czarną magią” zapoznać, oczywiście teoretycznie tylko.

Opowiadałem mu dużo o magicznym działaniu na dystans — już wtedy zająłem się gorąco okultystyczną nauką — mówiłem mu, jak za pomocą woskowych figurek ludzie średniowiecza zabijali swoich wrogów — a właśnie poonczas dowodził słynny Rochas możliwość tego rodzaju *envoûtement*³⁷² — opowiadałem mu o nieznanym całkiem „odylicznym” prądach, które mogą znienawidzoną ofiarę do najstraszliwszych męczarni doprowadzić, a jeżeli jakiś czytelnik jest ciekaw, jaki wpływ miały te moje opowiadania parę lat później na Strindberga wyrzucić, to niech sobie przeczyta w *Inferno* te straszliwe tortury, które mu nieobecny, czarny mag Popowski, mieszkający w Berlinie, zadaje na jego łożu choroby w Paryżu.

Czas wreszcie uporać się z tą głupią, plotkarską legendą, a zarazem z uporczywą plotką, jakoby cały mój czas wysiadywał w „Czarnym prosiaku”.

Przeciwnie, gdym już na razie zabezpieczył byt Strindbergowi i byłem przeświadczony, że co tydzień jakiś Seligsohn popłaci wszystkie jego rachunki w hotelu przez niego zamieszkanym, całkiem się usunąłem; chociażby już dlatego, że nie stać mnie było na wino, a poza tym pochłaniała cały mój czas praca redakcyjna w „Gazecie Robotniczej” —

³⁶⁸*autos epha* (gr.) — on sam (Pitagoras) powiedział; formułka, jaką Pitagorejczycy przerywali spór naukowy. [przypis edytorski]

³⁶⁹*Das ist Metaphysik! Davon will ich nichts wissen!* (niem.) — To metafizyka! O tym nic nie chcę wiedzieć! [przypis edytorski]

³⁷⁰*Inferno* — powieść Strindberga poświęcona okultyzmowi i alchemii; wydana w Paryżu w r. 1897. [przypis edytorski]

³⁷¹*Swedenborg, Emanuel* (1688–1772) — filozof i mistyk szwedzki, autor licznych dzieł z zakresu filozofii, teologii i przyrody, które wywarły wpływ na światowy romantyzm i neoromantyzm. [przypis edytorski]

³⁷²*envoûtement* (fr.) — czary, zaczarowanie. [przypis edytorski]

Kobieta, Rozum,
Mizoginia, Wierzenia

przygotowanie polskiej klasy robotniczej do wyborów do Sejmu, które już za parę miesięcy odbyć się miały; nie mówiąc już o tym, że pończas sposobił do druku pierwszy mój — w całym tego słowa znaczeniu — utwór literacki *Totenmesse*, a głównie trawiła mnie namiętność zbierania znaczków pocztowych.

Teraz już rzadko i coraz rzadziej spotykałem się z Strindbergiem, aż nagle otrzymałem depeszę z Weimaru, aby go ratować, bo dostał się w straszliwe położenie.

Z ciężkim trudem zebrałem pieniądze — między innymi sypnął hojnym groszem poczciwy młodzietki Teodor Toeplitz, student politechniki w Charlottenburgu — pojechałem do Weimaru, by wykupić Strindberga z istotnie rozpaczliwego położenia.

Strindberg w tych czasach, w których go nie widywałem, zaawanturował się po oną wiosnę z paru niewiastami.

Zaręczył się z córką szef-redaktora „Neue Freie Presse”, panną Uhl. W międzyczasie, kiedy przyszła jego żona wyjechała do Wiednia, by powiadomić rodziców o tej niesłychanej zdobyczy, zakochał się w Norweżce, która przyjechała właśnie na studia muzyczne do Berlina, pannie Dagny Juell³⁷³, do tego stopnia, że niepomyślny swych zaręczyn z panną Uhl proponował pannie Juell małżeństwo; a gdy mu ta ostatnia zwróciła uwagę, że przecież mógłby być jej ojcem, zapalał ciężką nienawiścią ku kobiecie, która go się w ten sposób znieważać ośmieliła; zwrócił wszystkie swoje wiosniane afekty ku finlandzkiej aktorce, której mąż poówczas przebywał w Weimarze, a za którą pogonił do tego nieszczęsnego Weimaru; miejsca, w którym przeżyłem jedno z najtragiczniejszych wrażeń mego życia.

Po raz pierwszy i po raz ostatni ujrzałem w Weimarze, na werandzie małej willi, Nietzschego, którego siostra jego Elżbieta dzień w dzień wywoziła na wózku na platformę werandy — och! jakie to było bolesne: miało się wrażenie, że ten nieszczęsny geniusz miał stanowić nową atrakcję Weimaru!

Straszny to był widok:

Jakby się jakaś potężna a święta katedra gotycka była zawałiła — przeolbrzymia ruina i dreszczem ogromu przeszywające gruzy!

Oczy, oślepię na to głupie zewnątrz, wjamiły się, zda się, w inny świat — w tę wieczność, którą tak ukochał; uszy ogłuchły na rastaqueryzm Wagnerowskiego *Parsifala*, a poły się wiecznością Szopenowskiej *Barkaroli*; głuchy był na słowo ludzkie, bo nie było nikogo, z kim by mógł się porozumieć; jego metasłowo: dźwięk, barwa, linia, monarszy gest, z tak niesłychaną wspaniałością przejawiający się w *Antychryście*, jego słowo, jakieś niesłychane poprzez wszystkie oktawy nawet i fortepianu szopenowskiego przelewające się *arpeggio*, musiało być z natury rzeczy dla nikogo zrozumiałym — więc zamilkł!

Miałem wrażenie, że umyślnie zaślepił, umyślnie ogłuchł, aby raz wreszcie pozbyć się tej ohydnej, głupiej „jawy” i móc poślubić tę jedyną swoją kochankę, z którą pragnął mieć dziecko: *Wieczność!*

*Nie noch sah ich ein Weib, von dem ich Kinder haben mochte, es sei denn
Du — oh, Ewigkeit!*

Nietzsche chory — Nietzsche obłąkany?!

He, he! Głupie brednie!

To właśnie ten wielki, ten wyzwolony Nietzsche, ten w swoim ogromie pokornieński Nietzsche — ten *piccolo santo*, który tam, rozparty w głębokim krześle, za żywa wglębiał się w uroczyska tajemnic *Wieczności*.

Stałem jak zagwoźdzony w ziemię, sięgnąłem po kapelusz, a przecież go już dawno trzymałem w ręku, a równocześnie uczułem wstyd, jakbym obnażał jakąś wielką świętość, i poszedłem — nie! powłokłem się do hotelu, w którym Strindberg zamieszkał.

I Strindberg wrócił do Berlina.

Oczekiwała go panna Uhl, która niezadługo miała się stać jego prawą małżonką. Stół był uwieńczony festonami kwiatów, na stole wszystko, w czym Strindberg smakował, i tak skończyła się szczęśliwie dla niego ta weimarska eskapada.

³⁷³Juell, Dagny (1867–1901) — norweska pisarka, pianistka i tłumaczka, muza bohemy artystycznej końca XIX w. w Kristianii, w Berlinie oraz Krakowie; pierwsza żona Przybyszewskiego (od 18 sierpnia 1893 r.), zginęła zastrzelona przez Władysława Emeryka 4 maja 1901 r. (por. artykuł Tadeusza Boya-Żeleńskiego pt. *Literatura trumien* w „Wiadomościach Literackich” 1933, nr 44). [przypis edytorski]

Parę tygodni później odprowadzałem nowożeńców na dworzec, ponieważ młodej małżonce wręczyłem bukiet kwiatów, pożegnał mnie Strindberg komplementem: „*Du bist ein Gentleman*”.

Dopiero po wyjeździe Strindberga z Berlina wraz z jego małżonką, panną Uhl, miałem poznać dziwnym wypadkiem moją pierwszą żonę: Dagny Juell.

Tak wygląda w świetle bezwzględnej prawdy cała, po całej Polsce i Niemczech kolportowana legenda o moim uwodzeniu „żony” Strindberga.

Nieskończenie mi przykro, że jestem zmuszony tę osobistą sprawę wywłóczyć, ale mam już dosyć tych potwornych legend, które się naokoło mnie podzwrotnikowymi lianami oplatają.

XV

Strindberg! Strindberg!

Wzrął się w moją pamięć ten opętany geniusz nienawiści, który nigdy żadnej miłości dać nie mógł, a jeżeli ją dawał, musiał ją niszczyć i trutować.

Strindberg nikogo i nic nie kochał, a ciężką jego tragedią, że wymagał bezmiaru miłości — a jakże można było go pokochać, kiedy chory jego „*hysteros*” wszelkie zakusy miłości niweczył?

Niezwykłe inteligentny lekarz, jakim był wspomniany dr Schleich, stwierdził, że na sto kobiecych histeryczek przypada jeden osobnik płci męskiej, ale wtedy histeria przejawia się w mężczyźnie z bez porównania większą potęgą.

A jak niezmiernie blisko graniczy geniusz z obłądem, miałem niestety sposobność stwierdzić w obcowaniu, przeszło całorocznym obcowaniu, z Strindbergiem.

Co za niesłychanie bogata, niewyczerpana kopalnia dla prawdziwego psychiatry cały jego twór: te wszystkie jego zwierzenia, te — czasami — bezwstydne obnażania się do naga wobec całej publiczności, te wszystkie jego „konfesje” i potworne „ekshibicje”!

A w tym wszystkim zaledwie ziarnko prawdy znajdziesz: jego *Plaidoyer d'un fou*, rzecz pisana w francuskim języku, a przetłumaczona później przez jego drugą żonę, pannę Uhl, pt.: *Beichte eines Toren*³⁷⁴ na język niemiecki — to jedno niesłychane, całkiem wyimaginowane zjawisko jadu chorej nienawiści; druga jego „konfesja” (w niemieckim języku ukazała się pt.: *Sohn einer Dienstmagd*³⁷⁵) to próba zniechlujenia nawet własnej matki, o której wiem, że była ząną i kochającą kobietą; jego zaciekle paszkwil pt.: *Inferno*, nawet *Droga do Damaszku* mogłyby człowieka, który by go nie znał, przejąć jeżeli nie wstrętem, to w każdym razie głębokim politowaniem nad biednym, bardzo biednym, chorym człowiekiem.

Długo się we mnie zmagало jedno i drugie uczucie, ale przewyciężył głęboki szacunek i podziw dla niesłychanego rozmachu, z jakim te paszkwile napisane zostały, dla twórczej potęgi, na jaką się zdobył tak nieskończenie jałowy, u kobiet w ordynarnych awanturach wyładowujący się histeryczny obłąd!

Kluczem do zrozumienia Strindberga — to jego histeria jako potęga twórcza.

Dwoma mózgami rozporządzał:

Jednym, którym się mężczyzna-twórca posługuje: ten odnaleźć można w olbrzymich rzutach twórczych koncepcji, w ogromnym rozpędzie niezwykle namiętnej, światoburczej sile, w burzycielskiej potędze jakiegoś barbarzyńskiego Dżengis-chana, z którą niszczył istniejące tablice praw, przykazań i zakazów.

A drugim, silniejszym jeszcze:

Macicznym mózgiem kobiety-furiatki, chciwym pomsty za urojone krzywdy, oszalałym nienawiścią do wszystkich i wszystkiego, co się ośmieliło w poprzek jego woli stawiać, opętany manią prześladowczą, która w każdym najniewinniejszym słowie,

³⁷⁴*Beichte eines Toren* — „Spowiedź szaleńca” (a. „Obrona szaleńca”, oryg. fr. *Le Plaidoyer d'un fou En dâres förvarstal*); powieść autobiograficzna Augusta Strindberga, stanowiąca paszkwil-rozliczenie jego związku z pierwszą żoną Siri von Essen (w powieści: Maria); napisana w r. 1890 po fr., opublikowana po niem. w 1893 i po fr. w 1895 r.; przetłumaczona i opublikowana w odcinkach po szwedzku przez czasopismo „*Budkaflen*” w l. 1893–1894, mimo protestów pisarza; powieść wywołała skandal obyczajowy i spowodowała wytoczenie Strindbergowi w Niemczech procesu o obrazę moralności. [przypis edytorski]

³⁷⁵*Sohn einer Dienstmagd* — Syn posługaczki; tytuł oryg.: *Tjinstekvinnanson*; autobiograficzna powieść Augusta Strindberga, wyd. w 1892 r. [przypis edytorski]

najniewinniejszym czynie wietrzy spisek, knucie i niechybną zdradę. Jeżeli się patrzy na twórcę Strindberga z stanowiska czysto życiowego, to ta przeraźliwa, nieludzko potworna walka z wiatrakami, których nigdy nie było, wstrząsa człowiekiem tą straszliwą męką nieszczęsnego człowieka, który ją stacza; patrząc na ten twór z stanowiska artysty, zbiega go zimnym dreszczem ta niesłychana potęga, z jaką człowiek-artysta był w stanie te stany duszy (*états d'âme*) przed oczyma widza czy też czytelnika nie przedstawić — to za słabe wyrażenie — ale w krwawym trudzie wywlec, zaorać się pazurami w nieszczęsną ofiarę i z nią razem wyczołgać się z jakiejś głębokiej jamy na jasny dzień.

A wszędzie i zawsze jest Strindberg jakimś straszonym grabarzem; nie dość że ofiary swoje grzebie, ale wyciąga je potem z grobu — „demaskowaniem” to nazywa — znęca się nad nimi w potwornym sadyzmie, aby się w końcu zawlec do stóp — o Jezusie, mój Jezusie! — do stóp Swedenborga.

Snadź wyczuł Strindberg swoją grabarską misję, bo nikogo tak nienawidził, jak Ryszarda Dehmela.

Dehmel na powitanie Strindberga napisał piękny wiersz: *An Deutschlands Gast*³⁷⁶ — w którym porównywał Strindberga z jaźwcem³⁷⁷, który ryje tajemnicze nory, w cieniach nocy się kryje, aby rozpoznać straszliwą zagadkę życia.

Jaźwiec nazywa się po niemiecku *Dachs* — a *Dachs* po szwedzku: *Grabswin* — świnia ryjąca w grobach (*Grabschwein*), ponieważ Strindberg raczył nazywać swoich najbliższych rozmaitymi przydomkami, jak p. X: der Eber, p. Y: Priapus, p. Z: der Hengst, itd., więc przyłączył do niego przydomek wzięty z powitalnego „hymnu” — (a takim był w istocie Dehmel: *der Dachs*) — w skandynawskiej kolonii przetłumaczony na *Grabswin*!

Ale to wszystko śmieszne i głupie — jaka nieskończenie małostkowa byłaby moja zemsta za wszystkie ciężkie krzywdy, jakie mi Strindberg wyrządzał, gdybym miał się rozpisywać o tym wszystkim, co z nim przeżyłem; to jedno jest pewne: gdyby powstał z grobu, całowałbym jego ręce z tą samą głęboką czcią i uwielbieniem, z jaką je ucałowałem, gdy go poznałem.

Był zdumiony tym objawem czci. Uśmiechnąłem się.

— *Polnische Perversität!*³⁷⁸

W całej literaturze europejskiej nie znam twórcy, który by się z taką zacieklą furią wciąż i wciąż analizował. Jakikolwiek utwór weźmiesz do ręki — wszędzie i zawsze on — on — on!

Lokaj Jean w *Comtesse Julie*, zdradzony mąż w *Creditoren* (*Wierzyciele*), na manię prześladowczą chory letnik w *Parias*, wół obłąkany megaloman, bohater powieści *Ved Havets Strand* (*Am Meeresstrand*), ojciec w równobrzmiącym dramacie — to wszystko on sam, to wszystko straszliwe dokumenty genialnego obłądu: raka, który jego duszę toczył.

A tym straszliwsze te cierpienia, że nic nie było w jego życiu, co by je mogło wytłumaczyć; w powodach tych cierpień, które z taką potęgą opisuje, zaledwie — jak już powiedziałem — znajdzie się drobne ziarno prawdy.

Ta zacieklą analiza własnej duszy z gruntu u niego fałszywa, bo oparta na wyimaginowanych, ciężką histerią spłodzonych przesłankach, staje się nieoceniona jako wspaniały dokument na wskroś chorej, w konwulsjach obłądnego cierpienia wijącej się duszy.

I żaden ze znanych mi twórców nie musiał tak krwawo walczyć z sobą, jak Strindberg — a miał on w sobie najsroźszego i w całym swoim demonizmie potwornego wroga: kobietę.

Cała jego, jadem wprost groteskowej nienawiści dysząca, zaciekłość przeciw kobiecie, to sadyistyczne znęcanie się nad kobietą w samym sobie — cała ta zębami zgrzytająca, rozszalała walka z kobietą, w której nawet już wprost ohydłą bronią się posługiwał, jak w *Giftas* (po niemiecku *Ebegaschichten*, książka, którą sam nazywał najbrutalniejszą, jaka w ogóle została napisana) — to walka z tym szatańskim demonem w sobie samym: kobietą!

W całej historii literatury wszechświatowej widnieje tylko jedno, jedynie jedno nazwisko istotnie twórczej, na gigantyczną miarę zakrojonej *genialnej* kobiety — nazwisko,

Literat, Kobieta, Mizoginia

³⁷⁶*An Deutschlands Gast* (niem.) — do gościa Niemiec. [przypis edytorski]

³⁷⁷jaźwiec (łac. *Meles meles*) — borsuk europejski, gatunek ssaka drapieżnego z rodziny łasicowatych. [przypis edytorski]

³⁷⁸*Polnische Perversität* (niem.) — Polska przewrotność. [przypis edytorski]

plonące niesamowitym ogniem, w jakim po raz pierwszy „maciczna” dusza mężczyzny się objawiła — a nazwisko to, to właśnie Strindberg!

Poza Strindbergiem cała twórczość kobieca jest tylko mizerną literaturą — z śmieszną karykaturą apokaliptycznej „futatrice”, panią George Sand³⁷⁹ na czele.

Z tego punktu widzenia nabiera cała twórczość Strindberga jakiejś tajemniczej grozy, jakiegoś piekielnego zmagania się dwóch pierwiastków w duszy każdego człowieka: męskiego i żeńskiego, u normalnego człowieka w odpowiedniej mierze dwóch zrównoważonych pierwiastków. Każdy mężczyzna ma w swej duszy domieszkę kobiecości i na odwrót — każda kobieta jakąś domieszkę duszy mężczyzny, a wtedy stosunek wyrównany: podział na dwie odrębne płci dokonany. Ale straszny zamęt i ciężka rozterka powstaje w duszy człowieka, kiedy w mężczyźnie przeważa pierwiastek kobiecy i na odwrót, w duszy kobiecej — pierwiastek męski.

A, abym był już całkiem jasno zrozumiany: każdy człowiek, zarówno kobieta jak mężczyzna, jest dwupłciowo założony.

W okresie dojrzewania obydwie te pierwiastki silnie się w duszy każdego chłopaka i każdej dziewczyny zmagają — chodzi o to, który pierwiastek przeważycie. W tak zwanych „anormalnych” wypadkach zwycięża w duszy dojrzewającego chłopca pierwiastek żeński i na odwrót: w duszy dziewczęcia pierwiastek męski, i tym smutnym, rozpaczliwym zwycięstwem tłumaczy się ten dla „zdrowego” człowieka niezrozumiały, a tak barbarzyńsko prześladowany objaw tak zwanego homoseksualizmu.

Ten homoseksualizm niekoniecznie musi się objawiać w życiu jedynie tylko w przejawach płciowych, najczęściej manifestuje się w życiu psychicznym — stąd wydaje mi się poniekąd słuszne rozróżnianie twórczych geniuszów, a choćby nawet talentów, na męskie i kobiece.

W najwyższej mierze męskim geniuszem był Mickiewicz, pierwiastek kobiecy przeważał w Słowackim; męskim na wskroś był Kochanowski, na wskroś kobiecy Janicki i Klonowicz; cała męska potęga talentu przejawia się w naszych czasach w Kasprowiczu, a pierwiastek kobiecy przeważa szalę w ogromnym talencie Kazimierza Tetmajera.

Ale to wszystko jest jeszcze *równowaga*.

Całkowite wytrącenie z tej równowagi przedstawia w literaturze z jednej strony Strindberg, z drugiej może jedyna tylko św. Teresa; w malarstwie Rafael, z drugiej jedyna jedna Rosa Bonheur³⁸⁰; w muzyce wolne miejsce obok Mozarta, i pewno już po wszystkie wieki wolne pozostanie.

Wyobrażam sobie, jakim dziwnym paradoksem wydaje się wam wszystkim to całe moje rozumowanie, a przecież napotyka się już na ślady nawet w oficjalnej nauce, że te moje teorie, które głoszę już od trzydziestu lat, nie są wcale bezpłodne.

Na tej samej kanwie myśli dzierzga świetny psycholog Freud³⁸¹ w Wiedniu bogate i ciekawe wzory swoich teorii, a przed paru laty doczekałem się tej satysfakcji, że na kongresie psychologów w Wiedniu powoływano się na moje *De profundis*³⁸² jako na wnikliwy opis tego, co dwadzieścia lat później miało się nazwać w niemieckiej psychiatrii *Dämmerungszustand*³⁸³.

³⁷⁹ Sand, George (1804–1876) — pseud. literacki Aurory Dupin baronowej Dudevant, pisarki francuskiej, przyjaciółki Musseta i Chopina. [przypis edytorski]

³⁸⁰ Bonheur, Rosa (1822–1899) — malarka francuska; znana gł. z prac przedstawiających zwierzęta. [przypis edytorski]

³⁸¹ Freud, Sigmund (1856–1939) — neurolog i psycholog austr. (urodzony w Příborze, wówczas Freibergu na Morawach, w rodzinie żyd.), twórca psychoanalizy; jego metoda, kontynuowana jako „psychologia głębi” (niem. *Tiefenpsychologie*, termin Carla Gustava Junga), skoncentrowanie uwagi na analizie przeżyć niekontrolowanych przez świadomość, wywarła znaczący wpływ na literaturę i teorię sztuki; najważniejsze publikacje Freuda (*Die Traumdeutung*, tj. *Objaśnianie marzeń sennych*, 1900; *Zur Psychopathologie des Alltagslebens*, tj. *Psychopatologia życia codziennego*, 1901; *Totem und Tabu*, czyli *Totem i Tabu*, 1913 oraz wykłady z psychoanalizy i seksuologii, publikowane od 1905 r., aż po *Vorlesungen zur Einführung in die Psychoanalyse*, tj. *Wstęp do psychoanalizy z 1917 r.*) poprzedzone były pracami niemieckiej szkoły psychologii eksperymentalnej, z którą zapoznał się Przybyszewski podczas studiów w Berlinie, co miało wpływ na pierwszy jego utwór, *Totenmesse*. [przypis edytorski]

³⁸² *De profundis* — powieść Stanisława Przybyszewskiego, której główny wątek stanowi kazirodcza miłość brata do siostry, zawierająca drobniagową analizę stanów psychicznych bohaterów, opublikowana po niem. w 1896 r., zaś po polsku w 1900 r. (drukowana jako manuskrypt). [przypis edytorski]

³⁸³ *Dämmerungszustand* (niem.) — stany zamroczenia, zamącenia świadomości [przypis edytorski]

*O, qualis artifex pereo!*³⁸⁴

Sam wariat, byłbym był został istotnie świetnym psychiatrą. Przez całe życie wgrzebywałem się w te nieznane, opętane, obłąkane, wariackie stany duszy człowieczej, że mimo woli musiałem się poniekąd obłądem moich bohaterów zarazić, a dziwne: wielki Forel³⁸⁵, dla którego żywię jak najgłębszy szacunek, wypowiadał się przed swoimi słuchaczami z tej samej „zawodowej” choroby:

*Moi-même, je suis absolument fou!*³⁸⁶

Ale dosyć tych jowialnych wynurzeń — teraz już całkiem na serio.

W tym wszystkim tkwi jedna z najgłębszych koncepcji myśli ludzkiej, która od kilku tysięcy wieków ludzkość trapi, wprowadzie tylko w najgłębszych, okultystycznych objawieniach:

Androgynizm!

Najstraszliwszą może męczarnią, jaką Bóg człowieka po jego „upadku” ukarał (jakie niesłychane, przedziwne tajemnice kryją się w czelustnych kryjówkach biblijnego opowiadania o grzechu pierworodnym!) — to było rozszczepienie płci, spolaryzowanie jej na męski i żeński biegun.

Taki Gaurisankar udręki dla rodu ludzkiego tylko jeden Bóg był w stanie obmyślić.

Człowiek był przed oskorupieniem się tu na ziemi androgyną — kobietą i mężczyzną zarazem (drwinki Platona w jego *Symposion* są tylko chytrą obłonką najgłębszej prawdy okultystycznej, której zdradzić nie chciał ani nie mógł; wielki kabalista, jeden z najprzedniejszych mistrzów różokrzyżowców, Kunrath, zbadał tę tajemnicę, znalazł ją zapewne Hoene-Wroński³⁸⁷; może ten androgynizm jest tą tak rozpacznie poszukiwaną tajemnicą dwudziestej drugiej karty Tarota³⁸⁸) — do mnie zaleciał na jeden błysk sekundy pyłek tej świadomości androgynicznego bytu z jakiegoś tajemniczego, międzyplanetarnego świata i jałem bełkotać onej nocy, kiedym powrócił z pierwszej mej wizyty u Oli Hanssona:

I czemu kocham kobietę?

Każda linia, w którą jej ciało wciąż na nowo w bezustannych przemianach się przeobłócza, teint jej twarzy, timbre jej głosu, zapach, jaki jej ciało promieniuje: to linie, barwy, zapachy, w których najgłębsza moja istota znalazła swój najpotężniejszy hieroglif.

Ta kobieta — tam na zewnątrz, która jest w stanie o te najtajniejsze struny mego bytu potrącić i je rozegrać, wkrada się bezopornie do mego mózgu i kocham ją wtedy z tym samym głębokim, niczym niezawarunkowanym uczuciem, z jakim kocham ziemię, która mą duszę w te, a nie w inne formy ukształtowała.

W kobiecie kocham siebie, jedynie siebie, moje do najwyższej mocy spotęgowane, ukryte Ja, które się nagle w Miłości przejawia — wszystkie te, na wszystkie strony porzrucane, w tysiącach skrytek mego mózgu śpiące stany, w jakich najgłębsza zawartość istoty tajemnicami Nieświadomego spowita spoczywa. I nagle poczyna się to wszystko naokoło tej przeze mnie ukochanej kobiety gromadzić, koncentrować, jak opilki żelaza wokół bieguna magnesu: wszystkie te rzeczy, które dotychczas to tu, to ówdzie,

³⁸⁴*qualis artifex pereo* (łac.) — jaki artysta ginie w mojej osobie (przedśmiertne słowa Nerona). [przypis edytorski]

³⁸⁵*Forel, Auguste* (ur. 1848) — szwajcarski przyrodnik i psychiatra; wykorzystywał w leczeniu hipnozę. [przypis edytorski]

³⁸⁶*Moi-même, je suis absolument fou* — Ja sam jestem zupełnie obłąkany. [przypis edytorski]

³⁸⁷*Hoene-Wroński, Józef* (1778–1853) — polski matematyk i filozof-mesjanista. [przypis edytorski]

³⁸⁸*Tarot* — karty hierograficzne (tj. mające za zadanie przedstawiać rzeczy święte), których symbolika ma wyklądać religijne, naukowe i polityczne doktryny świata starożytnego; symbolikę tę wywodzi się z astrologii (znaczenia poszczególnych gwiazd i planet oraz ich stosunku do znaków Zodiaku); Tarot znany był wtajemniczonym kapłanom w Egipcie, Chaldei, Chinach oraz kabalistycznym bractwom różokrzyżowców, uprawiającym teozofię i alchemię; z talii kart tarotowych wywodzą się dzisiejsze karty do gry, składa się ona z 22 kart reprezentujących tzw. Wielkie Arkana przedstawiających podstawowe symbole oraz 56 kart zw. Małymi Arkanami; te ostatnie dzielą się na 4 znaki odpowiadające kolorom dzisiejszych kart do gry: buławy (dziś: trefl), puchary (pik), sztylety (kier) i denary (karo); każdy znak (kolorze) zawiera 10 liczb i 4 figury (król, dama, rycerz, walet); figury te mają być hieroglificznym wyobrażeniem czterech głosek alfabetu hebrajskiego (odpowiadających imieniu Jahwe: Jhwh) i symbolizować cztery żywioły (cztery stany skupienia materii), a wszystkie te elementy razem tworzyć mają obraz wszechświata (Natury, Boga). [przypis edytorski]

w tym lub owym stanie świadomościowym przypadkowo odnajdywałem, teraz nagle skupiają się w jedną całość, tysiące rozbieżnych promieni zlewają się w jednej soczewce — wszystkie te wrażenia, z których każde poszczególne reprezentowało najwyższą miarę rozkoszy, jaką w całkiem innych wrażeniach odczuwałem, teraz zazębiają się w jednym kół zespole — najodleglejsze punkty równej ciepłoty i równego ciśnienia atmosferycznego łączą się za pomocą izotermów i izobarów: więc to, co kocham, to ta kobieta — czy poza mną nie wiem? ale ta we mnie, która tę tajemną koncentrację wywołuje — i kocham moją izotermę i izobarę najgłębszych i najintensywniejszych uczuć rozkoszy.

A że tę właśnie kobietę kocham, a nie inną, to tylko kwestia mej organicznej konstytucji, kwestia, do jakiego stopnia jestem w stanie rozkoszować się jakąś formą, a żadne uczucie przykrości nie jest w stanie się w to uczucie rozkoszy zakraść; do jakiego stopnia jestem w stanie przeżywać wewnętrznie melodie ruchów, a żaden dysonans żadnym zgrzytem mi ani na chwilę jej nie zepsuje: jednym słowem to wielkie pytanie, do jakiego stopnia jestem w stanie przeżywać psychiczne stany jeszcze jako rozkosz — a to „jeszcze” to właśnie najwyższe i najintensywniejsze jej napięcia.

Najgłębsza i najtajniejsza zawartość mej, jedynie mej istoty, to jeden aspekt mej miłości, drugi zaś to nieświadome uczucia najwyższej miary tego, co we mnie najgłębszym uczuciem rozkoszy jest w stanie się rozżagwić.

A kobieta, którą kocham, to jestem to utajone, mnie samemu nieznanne Ja: tajemnicze *arrière fond* całego mojego Bytu, miara najwięcej spotęgowanych mych sił psychicznych, obszar, w którym mój „transcendentalny subiekt” — istotne moje Ja — na chwilę w najwięcej zdumiewających przejawach błyskawicznie się odsłania³⁸⁹.

To całe moje młodzieńcze rozumowanie, może być bardzo niedołączone, może nawet dla obcego na pierwszy rzut oka ciemne i zawile — sam bym teraz potrzebował długiego wykładu, by ten w jeden kłęb splątany bezmiar do samego jądra rzeczy docierających myśli rozwikłać i to, co w nim istotnie głębokie, uzasadnić — ale to właśnie stanowiło podłoże mej ówczesnej twórczości.

W żadnym z tych pięciu poematów, jeżeli te wybuchowe „rapsodie” tak nazwać zechcemy (*Requiem aeternam, Wigilie, W godzinie cudu, De profundis, Nad morzem*), nie ma tego, co istotnie kobietą nazywamy; to oderwane planety od gorejącego słońca, własnej Duszy w jej najpotężniejszym rozmachu: dzikie, czasami potworne wizje w partenogenetycznych porodach, wulkaniczne wybuchy, w których Dusza z własnej ognistej lawy pragnie sobie objawić to, za czym w rozpacznej tęsknocie kona.

Androgyne!

W tej idei androgynizmu — może być niejasnej, przeczuwającej tylko, niezdarnie wyrażonej, w mękach porodu chaosu, który gwiazdy rodzi, splodzonej, w tym potworku do ostatecznych dla mnie przystępnych granic wyteżonej myśli — tkwi klucz nie tylko dla moich poematów, ale dla całego mojego tworu.

Jaka cudowna tajemnica kryje się w kabalistycznym: Ani w'atach. Ja — Ty: Dwój-Jednia! Maluteńka łódeczka zarazem na spienionych, niebo szturmujących falach Oceanu.

A — „ani w'atach” — to ja sam! „Ja sam” w każdym człowieku:

Androgyne!

Jak fatalnie wypaczył ten cały szereg myśli Weininger, który ponoć się bezustannie z moją książczyną: *Ola Hansson* nosił, w swej osławionej książce: *Geschlecht und Charakter!*

Ale temu zdumiewającemu, cudownemu dziecku, które przeraża wprost ogromem w kilku latach zdobytej wiedzy, bogactwem tragicznie nieuporządkowanych myśli, lękiem i trwogą przejmując swymi karkołomnymi *salto mortale* dowodzeń i kategoriycznych twierdzeń (tak kategoriycznie umie twierdzić tylko mózg, *par excellence* kobiecy, stąd jego bliskie pokrewieństwo z Strindbergiem w nienawiści ku kobiecie); — wszystko mu się

³⁸⁹*I czemu kocham (...) błyskawicznie się odsłania* — cytat z *Zur Psychologie des Individuums*, t. II: *Ola Hansson* (tłumaczenie Przyb.). [przypis edytorski]

wybacza, temu przerażająco genialnemu dzieciakowi, pierwszemu w dziejach piśmienictwa, który zdołał sobie niemal całą Europę podbić (prawda, zapomniałem, że istniał przed nim Rimbaud!); z pobłażliwym, a nawet podziwiającym uśmiechem patrzy się na rozbryzgi jego fajerwerków gasnących w ciemnej nocy, wybacza mu się wszystkie jego myślowe eskapady, jego nieuporządkowane, chaotyczne wywody, które, jak Niemiec mówi, za klaki są przyciągane (*an den Haaren herbeigezogen*), wszystkie jego dowodzenia, które by można z daleko większym skutkiem użyć jako przeciwnych argumentów, wywracających doszczętnie ten cały jego gmach z lotnych kart — to wszystko mu się wybacza, a przystaje się z głęboką czcią przed tą wielką a świętą pokorą, jaką Weininger w swoim życiu objawiał:

Nie mógł przejść obok żadnego żebraka, by mu nie dać hojnej — tak, tak! — hojnej jałmużny, a zaczem ją dał, zdejmował przed żebrakiem kornie kapelusz.

On — żyd: jeden z ostatnich, istotnych chrześcijanów³⁹⁰

Nie dziw, że właśnie on mógł o Chrystusie z tą wielką miłością pisać i najpiękniejsze kartki swego tworu Chrystusowi poświęcić — on — żyd!

Przeczytajcie *Totenmesse* (*Requiem aeternam*): antycypacja tego typu człowieka, jakim był Weininger, tego *certain*, który nagle, jak piękny kwiat w strasznym upale słońca, przy drodze się spalił; tego młodzieniaszka, ale *cent fois grandeur naturelle*³⁹¹ — a znajdziecie klucz do tej rozpacznej duszy, tak strasznie spragnionej miłości, a która w swej niemocy mogła się tylko zdobyć na cyniczną radę wobec kobiety:

„Ofelio, idź do klasztoru³⁹²!”

XVI

Prawie w tym samym dniu, tego samego miesiąca i tego samego roku, wyszły dwie książki, które były sensacją dnia: Dehmle tom poezji pod dziwnym tytułem *Aber die Liebe* i książka „*eines Herrn mit unaussprechlichem Namen*³⁹³”, moja *Totenmesse*.

O *Aber die Liebe* Dehmle — tytuł zaczerpnięty z prorocत्व Jeremiasza, gdzie Jeremiasz mówi o miłości mniej więcej językiem Tertuliana, że ona to jest *das Trübe*³⁹⁴ w życiu, wniebo- i w piekłowości zarazem — napiszę osobno, jako wstęp do świetnych tłumaczeń Dehmle najcenniejszych utworów, przygotowywanych do druku przez profesora Arnolda Spaeta w Stryju; a nikt nie byłby więcej kompetentny ku napisaniu tej przedmowy ode mnie: wszak Dehmel tworzył to dzieło w moich oczach i z każdej twórczej myśli poonczas się przede mną wynurzał — na chwilę wracam do *Totenmesse*.

Dehmel nazwał mnie w jakimś liście po przeczytaniu *Totenmesse* Jeremiaszem zdegenerowanych instynktów (*Jeremias der entarteten Instinkte*) i trafił w sedno. Dziś patrzę na *Totenmesse* jak na psychologiczny dokument duszy onych wykolejenców, „schyłkowców”, w jakich obfituje — dziwna rzecz — czas na przełomie dwóch wieków: ciekawym byłoby zestawienie takich typów jak Werter, jak bohater Musseta w *Spowiedzi dziecka swego wieku*, jak Lermontowa *Bohater naszych czasów* z tym moim *Certain*, jak mego bohatera w przedmowie do *Totenmesse* nazywam.

A że analizę moją tej duszy dokonałem z ścisłą precyzją, zadokumentowałem to Weininger i swoim tworem, i swoją samobójczą śmiercią.

W jego *Geschlecht und Charakter* całe mnóstwo ustępów, które wydają mi się jakoby parafrazą — genialną wprawdzie parafrazą — tego, com dziesięć czy piętnaście lat przed nim napisał, a weiningerowskie: *je n'en vois la nécessité*³⁹⁵, by ludzkość dalej trwać miała, jego wstręt i obrzydzenie do wszelakiego rodzaju *fécondité*³⁹⁶ głosi nieszczęsny bohater mego tworu na każdej kartce swych przedśmiertnych zwierzeń.

³⁹⁰chrześcijanów — dziś popr. forma D.lm: chrześcijan. [przypis edytorski]

³⁹¹*cent fois grandeur naturelle* (fr.) — stokrotnie powiększone. [przypis edytorski]

³⁹²*Ofelio, idź do klasztoru* — słowa Hamleta do zakochanej w nim Ofelii. [przypis edytorski]

³⁹³*eines Herrn mit unaussprechlichem Namen* (niem.) — jęzoność o nazwisku nie do wymówienia. [przypis edytorski]

³⁹⁴*Trübe, das* (niem.) — neologizm: rzeczownik r.n. utworzony od przym. *trübe*: szary, mętny, matowy, ponury, zamglony, mdły, posępny, pochmurny (także w znaczeniu przysłówkowym *trübe*: ponuro, pochmurnie, mgliście); znaczenie: ponurość, posępność, zamglenie itp. [przypis edytorski]

³⁹⁵*je n'en vois la nécessité* (fr.) — nie widzę konieczności. [przypis edytorski]

³⁹⁶*fécondité* (fr.) — płodność. [przypis edytorski]

Ponoć słynny clown-poeta wiedeński Peter Altenberg³⁹⁷ — tak wyczytałem przynajmniej w felietonie pana Janikowskiego w jakimś galicyjskim piśmie — latał po kawiarniach wiedeńskich i głosił mnie zbrodniarzem, bo śmierć samobójczą Weiningera mnie przypisywał — a raczej wpływowi tej mojej nieszczęsnej *Totenmesse*.

To oczywiście głupi bezsens — jeden dowód więcej, jakie potworne legendy wokół mnie się tworzyły i wciąż jeszcze się tworzą — natomiast miałem satysfakcję, iż ta właśnie legenda powstać mogła: to najlepszy dowód dla mnie, iż w analizie tej zdegenerowanej duszy schyłkowca, degenerata, młodzieńca z osławionej epoki *fin de siècle*, się nie pomyliłem.

I jak nie mam gorzkich łez ronić, żem nie został psychiatrą!

A tak mi żal tego genialnego dziecka — zbyt wielkim ciężarem klątwy zważyło się na jego duszę jego semickie pochodzenie; klątwa, którą, jak sam twierdzi, jedyny Chrystus przełamał, a — by móc tę klątwę przełamać — trzeba być Bogiem.

Twór jego cały, mimo całej swej genialnej, groteskowej paradoksalności — a raczej demencji geniusza — mógłby mnie zdumiewać olbrzymią erudycją, błyskawicznymi przeblaskami niesłychanej intuicji, która atoli już po paru sekundach głuchnie i ślepnie, ale twór ten jest dla mnie niczym w porównaniu z tymi objawieniami duszy żydowskiej, które, niewypowiedziane, tylko między linijkami wyczytać możesz, o ile czytać umiesz. A nie znam trudniejszej sztuki od sztuki czytania!

Ta straszna klątwa wywodzenia się z rodu, więcej może jeszcze i pogardzanego, i znieprawidzonego od Cyganów, pariasów i trędowatych, kazała Weiningerowi samobójczą śmierć popelnąć — nie zaś lektura mojej *Totenmesse*.

A ile u nas takich Weiningerów, tragicznych męczenników swego pochodzenia! Kilku ich poznałem — miałem i mam wśród nich najszczerzych, najwierniejszych przyjaciół, bo wiedzą, że może nikt inny w Polsce nie wniknął głębiej w bolesny tragizm ich dusz, jak właśnie ja.

A, a! przeholowałem: był jeszcze jeden współczesny Polak-Aryjczyk prócz mnie, który tą tragedią był głęboko przejęty: Stanisław Wyspiański! Właściwie jedynym jego przyjacielem, którego niezmiernie cenił, przed którym nawet i z najsłynniejszych twórczych myśli się zwierzał, czego przed nikim nie czynił, o którego się jeszcze na łożu śmierci dowiadywał, to był biedny młody „Żydowina”, chory na płuca, ciężki kaleka, a męczennik tego kalectwa, bo było ono i śmieszne, i ciężką litość wzbudzające, niezmiernie inteligentny „Żydowina”, którego już po paru godzinach rozmowy zaprosiłem do składu redakcji „Życia”: św. pamięci Stanisław Lack³⁹⁸.

Stosunku Wyspiańskiego do Wilhelma Feldmana³⁹⁹ bliżej nie znam, więc nic o nim powiedzieć nie mogę.

Do tej, właśnie tej tragedii w duszy Żyda, który zdołał sobie ogrom tej tragedii uświadomić, a która w całą otchłań cierpienia go stacza, nieraz jeszcze powrócę, gdy będę pisał o moim powrocie do kraju.

To jedno:

Gdyby Polacy postarali się dotrzeć do najgłębszych źródeł duszy żydowskiej, nie odtrącaliby od siebie tych dusz, które mogą stanowić kosztowne drożdże dla rozwoju duszy polskiej.

Usilne a niesłychanie uciążliwe studium Kabaly — nie można sobie wyobrazić, jak różni się nasz aryjski sposób myślenia od sposobu myślenia semickiego, a w ogóle orientalnego — pozwoliło mi spojrzeć w ponure głębie tych Żydów, nie na miarę Heinego, o nie! nie! ale na świętą i tragiczną miarę tego genialnego dzieciaka, Weininger skrojone.

Samobójstwo

Polak, Żyd, Dusza

³⁹⁷Altenberg, Peter, właśc. Richard Engländer (1859–1919) — modernistyczny pisarz i krytyk niem., jeden z prekursorów ekspresjonizmu. [przypis edytorski]

³⁹⁸Lack, Stanisław Izrael (1876–1909) — poeta, myśliciel, tłumacz oraz krytyk literacki i teatralny; od 1897 r. publikował w tygodniku krakowskim „Życie”. [przypis edytorski]

³⁹⁹Feldman, Wilhelm (1868–1919) — publicysta, krytyk i historyk literatury, a także dramaturg i prozaik; autor m.in. monografii *Współczesna literatura polska* (1902). [przypis edytorski]

Tę „pierwszą książką” moją, *Totenmesse*, zostałem zapisany w literaturze niemieckiej jako *Schriftsteller vom Rang*⁴⁰⁰ — odpowiada to mniej więcej urzędniczemu piątemu stopniowi, który zajmowałem do niedawna w Dyrekcji Kolei Żelaznych w Gdańsku⁴⁰¹.

A tak nie chciałem pisać — tak trudno mi było pisać!

Przypominam sobie: naganiała mnie Laura Marholm, bym wreszcie tę „pierwszą książkę” napisał; karcił mnie Ola Hansson milczącym, napominającym wzrokiem; Strindberg przysłał do mnie swego adlatusa⁴⁰², Adolfa Paula, by zbadał, czy ja co piszę, a gdy tenże zdał mu relację, że w moim domu nie ma ani pióra, ani atramentu (pióro i atrament miałem w biurze „Gazety Robotniczej”), poczynano o mnie wątpić — jeden Dehmel wiedział, że tworzę.

Książka moja była dla mojego otoczenia nagłą niespodzianką.

Przyjął ją z głębokim szacunkiem Ola Hansson — nikt przedtem ani potem tak głęboko nie wniknął w jej istotę, jak właśnie on w swoim *essay*, drukowanym swego czasu w najpoważniejszym literackim tygodniku w Berlinie: „Die Nation”; kwasiała się na „Zygmunta Augusta” pani Marholm, że ten mój *certain* tak pogardliwie o kobietach mówił; „gynolatrem” szkalował mnie Strindberg, że za dobrze o tych gałgańskich kobietach mówię; zacierał ręce z radości mój wierny, mój kochany dr Asch i powtarzał: „A czym nie mówił? *Hab’ ich es nicht gesagt?*” — ale z najgłębszym wzruszeniem myślę teraz o Dehmlu.

Gdy mu manuskrypt przeczytał, schwycił mnie za rękę i trzymał długo, długo w jakimś parnym, ciężkim milczeniu.

Raz po raz ścisnęła się kurczowo jego dłoń, tak żem dotkliwy ból odczuwał — rzadko kiedy uczulem milczenie tak krzycząco wymownym.

Wziął mój manuskrypt:

— To musi być językowo wyszlifowane do najmożliwszych granic — powiedział i prosił mnie, bym nazajutrz do niego przyszedł.

Nazajutrz przywitał mnie w drzwiach całym ustępem z *Totenmesse*, który mu się najpiękniejszym wydawał. Mówił go na pamięć, a Dehmel rozporządzał wprost fenomenalną pamięcią — wyraził zdumienie, żem do tego stopnia język niemiecki opanował (a w istocie nie było dużo do poprawiania), śpieszno mi było z powrotem, ale gwałtownie mnie zatrzymał.

— Właśnie otrzymałem od Schlafa manuskrypt, razem go przeczytamy.

To była Schlafa, później przeze mnie przetłumaczona na polski język, *Wiosna*; czytał, czytał, głos jego drżał, mienił się, zawodził, a nagle buchnął Dehmel strasznym, niepostrzymanym płaczem.

*Frühling! Oh, Du mein Frühling*⁴⁰³ — zakrwawiał się Schlaf.

Frühling, Oh, Du mein Frühling! — wstrząsało konwulsyjnym płaczem Dehmła.

Z wielkim trudem zdołaliśmy — żona jego Paula, która nadbiegła, i ja — go uspokoić. Zostałem przy nim przez całą noc, a gdybym miał już całkiem utracić pamięć, tej nocy nie zapomnę.

Gdy rano wrócił do domu, zastałem biedną izdebkę umajoną przez kochające ręce tatarakiem i gałązkami brzozy, bo było to pierwsze święto Zielonych Świątek.

Pomyślałem o 23 świeczkach, którem zastał, gdy wracał przed rokiem od Oli Hanssona w dzień moich urodzin.

I, zaczem zapomnę:

Pani Paula, pierwsza żona Dehmła — błogosławiona niech będzie jej pamięć — była doskonałą pianistką i, jak na kobietę, gra jej była niezwykle indywidualną; najulubieńszą uczennicą znanego muzyka Szarwenki, była doskonałą odtwórczynią Beethovena.

Dehmel tworzył najpiękniejsze rzeczy, gdy Paula mu o zmroku godzinami grała, i Dehmła mogła tylko muzyką uspokoić.

⁴⁰⁰*Schriftsteller vom Rang* (niem.) — uznany pisarz; pisarz pewnej rangi. [przypis edytorski]

⁴⁰¹urzędniczemu piątemu stopniowi, który zajmowałem do niedawna w Dyrekcji Kolei Żelaznych w Gdańsku — Przybyszewski pracował w Dyrekcji Kolei Żelaznych w Gdańsku w l. 1920–1924. [przypis edytorski]

⁴⁰²*adlatus* (daw.) — przyboczny, pomocnik, zaufany. [przypis edytorski]

⁴⁰³*Frühling! Oh, Du mein Frühling* (niem.) — Wiosno! Och, ty moja wiosno! [przypis edytorski]

A onej nocy grała *Appassionata*⁴⁰⁴ ku mojemu przerażeniu, bo myślałem, że tą sonatą jeszcze więcej go rozdrażni.

— Przeciwnie — powiedziała — wtedy on się styka z wiecznością.

Rzadko widziałem człowieka, który by tak maniacko, tak fanatycznie ukochał muzykę, jak Dehmel — i on jeden wśród Niemców, jeżeli całkiem nie rozumiał, to intuicyjnie przeczuwał otchłanne głębie muzyki *Szopena*.

W ciągłym, niemal codziennym obcowaniu z Dehmlem rosła ma dusza — nie w tym znaczeniu, by na mnie wpływał albo mi duszę swoją narzucał, takim nierozumnym terrorystą miałem ja sam się stać później dla młodych twórców, którzy do mnie o radę się uciekali, a Dehmel był za mądry i głęboki, by chcieć kogoś innego w jarzmo własnej indywidualności wtłaczać — ale bezustannym zachęcaniem mnie do tworzenia; był dla mnie ostrogą, a nieraz i harapem.

Wyprany doszczętnie z ambicji literackiej — przeciwnie: zawód mój literacki był mi tylko jednym wstydem i udręką, do której dopiero po wielu, wielu latach musiałem przywyknąć; wyzbyty całkowicie z pragnienia sławy — och! jaką klątwą zwała się na moją duszę ta śmieszna sława, a raczej osławienie — ociągałem się, jak mogłem, z dalszą pracą.

Po co ja miałem pisać, kiedym najpiękniejszy mój twór przeżywał, gdym godzinami całymi o zmroku krążył naokoło stołu mego ciasnego pokoiku?

Opowiadają, że Szopen nie był w stanie swych improwizacji na papier przelać, że jego improwizacje przerastały o całe niebo jego pisany twór, a niewymowną męczarnię sprawiała mu świadoma już twórcza praca, gdy siadł do pisania.

Według relacji pani Sand — w tym jednym wypadku może niekłamliwych — Szopen rzucał się jak obłąkany, gdy tworzył, płakał, gryzł sobie palce, a z resztek sił wyczerpywały go te godziny, które spędzał nad papierem nutowym.

Coś podobnego działo się i we mnie — wszystko, com napisał, jest tylko lichym odbiciem tego wszystkiego, com przeżył w moich bezustannych wędrówkach naokoło stołu, którego widok mnie przerażał, bo teraz już był na nim rozłożony papier, leżało pióro i stał kałamarz.

Ale Dehmel nie uznawał improwizacji — niesłuchanie sumienny artysta, z wolą dyscyplinowaną do podjęcia najkrwawszych trudów, by „tania”, jak ją nazywał, improwizację przetopić na trwały a bardzo kosztowny brąz tworzu, który miał już pozostać *aere pereniuis*⁴⁰⁵ — zmuszał mnie dobrą namową i poważną pochwałą, i szacunkiem, i miłością, a najczęściej złą, niweczącą irytacją, pogardliwym słowem do pracy.

— Napisałeś — powiedział mi raz wysoce zirytowany — tak piękną rzecz, pod którą z rozkoszą podpisałbym swoje nazwisko, ten *Hymn do Tęsknoty*, ale to przecież tylko ośrodek — *culmen*⁴⁰⁶ czegoś, co za wyzwoleniem krzyczy. Zacząłeś budowę piramidy od czubka, dobuduj teraz podstawę, albo cię znać nie chcę.

Zawstydziłem się w istocie — przecież ten *Schriftsteller vom Rang* nie mógł spocząć na wątpliwych laurach swej „pierwszej książki”.

Tym razem była nieocenioną wskazówką Dehmela, że *Hymn do Tęsknoty* był czubkiem piramidy — mozolną okazała się podbudówka, ale niezadługo się z nią uporałem.

Naokoło tego *Hymnu* jęła się okręcać nikla, śmieszna prawie fabuła, ale z całego zasobu w ciężkim trudzie porodzonych myśli, a zwalów młyńskich kamieni, jakimi mózg mój mełł ziarna od tyłu lat wsypanych do jego spichrza, z żaren ukrytych, dla mnie samego tajemniczych sił intuicji, zdołałem wytworzyć ten materiał, jakiego potrzebowałem, by tę podbudówkę wykonać.

Tak powstał mój utwór: *Wigilie*.

⁴⁰⁴*Appassionata* — sonata fortepianowa Ludwiga van Beethovena (Sonata nr 23 f-moll op. 57), skomponowana w l. 1804–1805 (1806), dedykowana księciu Franzowi von Brunswickowi, jedna z najsłynniejszych sonat w historii muzyki. [przypis edytorski]

⁴⁰⁵*aere pereniuis* (łac.) — trwalszy od spiżu. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶*culmen* a. *cerebellum* — mózdzek; główna część tyłomózgowia wszystkich kręgowców; u ludzi odgrywa ważną rolę w kontroli motorycznej, może też uczestniczyć w funkcjach poznawczych takich jak uwaga czy język, jak też w regulacji odczuwania strachu i przyjemności; otrzymując informacje z narządów zmysłów przez rdzeń kręgowy i z innych części mózgu i integrując je, umożliwia zgranie aktywności ruchowej; uszkodzenie mózdzku wywołuje u człowieka zaburzenia ruchów precyzyjnych, równowagi, postawy i uczenia się ruchów. [przypis edytorski]

Tu już idea androgynizmu jasno rozwinięta — szeroka podstawa, na której miały się niezadługo wznieść: *Androgyne* i *Nad morzem*.

XVII

W tym samym czasie żyłem w bardzo bliskich stosunkach z norweskim malarzem, Edwardem Munchem, który miał się stać jedną z największych sensacji przez jakiś czas w Berlinie.

Silnie zorganizowane i największe w Niemczech zrzeszenie wszystkich malarzy w Berlinie, do którego należeli najwięksi „potentaci” malarstwa niemieckiego, zaprosiło przypadkowo, nie wiedząc, kogo prosi, młodego norweskiego malarza, by obrazy swoje, o których się coś niecoś słyszało, wystawił w *Kunstverein*’ie (coś w rodzaju warszawskiej Zachęty). W gmachu tego *Kunstverein*’u można się było zapoznać z najwybitniejszymi malarzami i w ogóle plastykami nie tylko Niemiec, ale i całej Europy.

Z polskich malarzy można było się tam często spotykać z obrazami Siemiradzkiego, a jego *Fryne* wzbudziła wśród Niemców ogromne wrażenie — ale najczęściej natrafiało się na wystawy skandynawskich malarzy, którzy tym samym wielkim uznaniem i tym samym podziwem cieszyli się wśród malarzy, jakim w literaturze publiczność niemiecka darzyła skandynawskich pisarzy.

Wszystko, co tylko pochodziło z Skandynawii, przyjmowano z bezkrytycznym entuzjazmem i to do tego stopnia, że na śmierć zamilczani (*totgeschwiegen!*) artyści niemieccy, Arno Holz i Johannes Schlaf, przemycali swoje dzieła, aby o nich w ogóle wspomiano, pod skandynawskim pseudonimem.

Tym się tylko tłumaczy, że niezmiernie surowy areopag, stanowiący jury *Kunstverein*’u, w którego skład wchodził profesorowie Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie, najzacieklejsi przeciwnicy wszelkich nowych prądów w malarstwie, uległ również chorobie tej modnej skandynawszczyzny i, nie widząc jednego obrazu Muncha, zaprosił go do wystawienia w *Kunstverein*’ie swoich obrazów.

I trzydziestoletni podówczas Edward Munch przysłał całą dużą kolekcję swych obrazów.

Jak długo Berlin Berlinem, nie przeżył takiej niesłychanej sensacji — oczywiście mówię o świecie artystycznym — jak w chwili, gdy te obrazy nadeszły i jury się zebrało, by je ocenić i wystawić.

Jeden w niebo bijący okrzyk oburzenia, wściekłości i grozy, a nawet panicznego przestraszenia wyzwolił się wściekłą burzą z przerażonych duszyczek profesorów: całe zacne, niezmiernie poważane, aureolą najwyższych godności i państwowego (przez samego cesarza Wilhelma II uświęconego) autorytetu opromienione grono malarzy niemieckich, zaszczycanych raz po raz odwiedzinami cesarza, który raczył im dawać cenne wskazówki, a nawet ich płótna poprawiać, zawrzało srogim gniewem, że ktoś ośmielił się w tak bezczelny sposób z nich zakpić!

Oczywiście napisano obrażony list do Muncha, iż obrazów jego się nie wystawi, że zaszła fatalna pomyłka, a w końcu dano mu radę, by się z takimi nieprawdopodobnymi bohomasami do żadnej poważnej korporacji w Niemczech nie zgłaszał.

W Niemczech, jak wiadomo, wszystko jest korporacją.

Ale nagle zaszedł niespodziewany wypadek:

W łonie *Kunstverein*’u toczyła się już od dawna cicha, ukryta, ale niezmiernie zaciekle walka pomiędzy prezydentem *Kunstverein*’u, słynnym nadwornym malarzem butów, Antonem v. Werner, stawianym przez niemieckiego cesarza na równi z Tycjanem, a nowatorem, który zaimportował do Niemiec francuski naturalizm właśnie w tym czasie, kiedy on naturalizm w francuskim malarstwie już przekwitał — Maksym Liebermann⁴⁰⁷.

Liebermann szukał już dawno jakiegoś pretekstu, by zrobić stanowczy wyłom w składzie jury tego niesłychanie przestarzałego *Zopf*’u⁴⁰⁸ i wpuścić odrobinę świeżego powietrza do zatęchłej, pleśnią obrzydłego bizantynizmu cuchnącej sali posiedzeń jury.

⁴⁰⁷ *Liebermann, Max* (1848–1911) — niemiecki grafik i malarz-impresjonista. [przypis edytorski]

⁴⁰⁸ *Zopf* (niem. dosł. warkocz) — tu: przen. o środowisku krytyków sztuki, traktującym swój przedmiot naukowo, pedantycznie i schematycznie, sucho i sztywno, w sposób przestarzały (jak w 2. poł. XVIII w., gdy elementem mody wykształconych elit był warkoczek, często u peruki, tzw. harcap); początkowo określenie to

I Liebermann, który do niedawna wywijał zwycięską chorągwią z hasłem, że jedynie tylko najkonsekwentniejszy naturalizm jest istotnym zbawieniem w sztuce, a „głupia fantazja” — śmiesznym *Notbehelf* — (namiastką sztuki), stał się nagle gorącym rzecznikiem obrazów Muncha, na których widok pękał może serdeczniejszym śmiechem, aniżeli w fryderykowski jeszcze *Zopf* uposażona świta nadwornego malarza książęcych i generalskich butów v. Wernera.

Taktyczny — och, jak chytro i bystro obmyślany — taktyczny protest Liebermanna spowodował kilka burzliwych posiedzeń *Kunstoerein*’u, a ostatecznym wynikiem był doszczętny rozłam w łonie tegoż *Verein*’u. W cesarskich łaskach wygrzewający się nadworni malarze utworzyli prawicę, Liebermann wraz z całym szeregiem dotychczas cicho siedzących, a teraz już przykładem Liebermanna mocno rozszroczonych „młodych”, utworzyli berlińską „secesję”.

Przez jakieś dwa tygodnie o niczym nie pisano w felietonach prasy berlińskiej, jak tylko o tym niebywałym „skandalu” — staczano na łamach wszystkich pism homeryczne boje „za i przeciw”; — w końcu jednak opinia przechyliła się na stronę Liebermanna, rozłam w *Kunstverein*’ie został dokonany; „Żyd” Liebermann — przed chwilą mówiłem, że Żydzi są drożdżami tak zwanego „postępu” — oczyścił ciężką stęchlizną cuchnące powietrze życia plastyków niemieckich: prawica poszła na strych — „młodzi”, lewicowcy, wywrotowcy mogli już teraz swobodnie odetchnąć — Liebermann wyzwolił ich spod jarzma cesarskiego kłownostwa.

A tymczasem patrzył bezradny Munch — ale bezradny tą artystyczną bezradnością ludzi, którzy są stworzeni na magnatów, a w nędzy żyć muszą — na to dziwne widowisko.

Jego nazwisko stało się jakimś, gdzieś tam z oddali dolatującym go *cri de bataille*⁴⁰⁹. W godle jego nazwiska można było wygrać lub przegrać jakąś walną bitwę; on! — z rodu najdosłowniejszych magnatów ducha z pustą kieszenią — siedział w małym hoteliku i czekał o chłodzie i głodzie, a zima tego roku była niezwykle ciężka, co to z tego będzie:

*Hopos estai tade erga?*⁴¹⁰ — słowa, które Homer kładzie w usta zdumionego syna Odyseusza, kiedy Machaon zawiódł go do pałacu Menelausea.

Protest Liebermanna, którego Munch może tyle obchodził, co wilka gwiazdy, bo nie o Muncha w danej chwili chodziło, ale o „odcięcie” starego *Zopf*’u, zrobił jego nazwisko przez jakiś czas niesamowicie popularnym w Berlinie.

Z wszelkiego ziemskiego majątku starannie obdartemu magnackiemu dziecku wynajęto — i to głównie za staraniem mojego wiernego opiekuna dra Ascha — dwie czy też trzy sale w nowo wybudowanym pałacu, jeszcze niezajętym całkowicie przez jakąś manufakturę, na rogu ulicy Lipskiej i Frydrychowskiej, i tam wystawił wszystkie swoje obrazy, sromotnie odrzucone przez sławetne jury *Kunstverein*’u.

Chryste Panie! Co się wtedy działo w Berlinie!

Nazwisko Muncha, popularne już przez rozłam malarzy niemieckich w *Kunstverein*’ie, stało się teraz przeraźliwie popularne. W ciągu trzech tygodni, jak długo wystawa jego obrazów trwała, rżała, ryczała ze śmiechu — śmiechu w istniejących i nieistniejących tonacjach — cała tak zwana „inteligencja” Berlina.

Srogo odcierpiałem, kiedy się mój entuzjastyczny artykuł o Munchu w „Freie Bühne” pojawił; pomieścił go wprawdzie redaktor „Freie Bühne” — słynny Otto Julek Bierbaum⁴¹¹ — ale w dopisku dodał uroczyście, że się z moją oceną nie godzi: pomieszcza ją ze względu, że już wtedy zaliczano mnie do piątej rangi literatów niemieckich.

Po drodze do mej redakcji „Gazety Robotniczej” wstępowałem prawie codziennie na tę wystawę — musiałem obok niej przechodzić, a prawie zawsze spotykałem tam Maksa

ukuto w XIX w. jako ironiczne określenie niem. malarstwa i ornamentyki okresu baroku i klasycyzmu. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹*cri de bataille* (fr.) — okrzyk wojenny. [przypis edytorski]

⁴¹⁰*Hopos estai tade erga?* (gr.) — Jakże są te dzieła? [przypis edytorski]

⁴¹¹*Bierbaum, Otto Julius* (1865–1910) — niemiecki prozaik, poeta i dziennikarz ur. w Zielonej Górze (wówczas: Grünberg); autor dziennika podróży odbytej samochodem (*Eine empfindsame Reise im Automobil*, 1903) oraz niem. adaptacji baśni o Pinokiu: *Przygody Zaepfel Kerna* (1905); wydawca pism „Die freie Bühne” (dosł. „Wolna Trybuna” a. „Wolna Scena”), „Pan” i „Die Insel” (dosł. „Wyspa”); autor powieści pt. *Stilpe* (1897), w której prześmiewczo został przedstawiony Stanisław Przybyszewski o osobie Kasimira der Fugengorglera; z jego powieści *Yankeedoodlefabrt* (1909) pochodzi niem. popularne powiedzenie: *Humor ist, wenn man trotzdem lacht* (tzn. humor jest wtedy, jeśli mimo wszystko się śmiejemy). [przypis edytorski]

(Masia) Dauthendeya⁴¹², który w jakimś ekstatycznym skupieniu chodził od jednego obrazu do drugiego; a jeżeli ja zawsze myślałem liniami i myślę dotychczas — Dauthendey myślał barwami.

Ośmieszano i wykpiwano biednego Masia, jako dowód największej degeneracji, przytaczano słynny i w chamski, głupi sposób osławiony sonet Rimbauda⁴¹³, w którym Rimbaud każdej samogłosce jej przynależny korelat barwny nadaje — uznano to za obłąd tak, jak wyśmiewano jako „obłąkany snobizm” des Esseintes’a w *A rebours* Huysmansa, który sobie z przenajrozmaitszych likierów stworzył całą gamę smaku, przeobrażoną w gamę dźwięków, a raczej gamę kolorytu różnorodnych instrumentów muzycznych — a przecież to najzwyczajniejsza transformacja wzrokowych wrażeń na słuchowe, transmutacja powonienia lub gestów, wywołanych przez mięśnie, na barwy, dźwięki i linie: czyż ktoś się zastanowił, patrząc na pałkę kapelmistrza, do jakiego stopnia dźwięk w linijsy ruch się przemienia i przemieniać musi (dla mnie dźwięk bez linii nie jest do pomyślenia, a tym mniej słowo)? Otóż miałem szczęście poznać człowieka, który tylko barwami myślał: Maksa Dauthendeya: nieskończenie ciekawym, wartościowym dokumentem tej *audition colorée* i tej *vision audiiée* jest jego niezmiernie rzadki poemat: *Ultraviolet*.

A swoją drogą: jeżeli nie jestem w stanie wykreślić jasno w powietrzu kompozycyjnych linii mego tworu rękoma, wiem, że pomysł nie dojrzał.

Każdy mój dramat — dramat przede wszystkim — jest dla mnie tym doskonalszy, im jaśniej jestem go w stanie liniami nakreślić.

I to właśnie ja, który był zawsze z geometrią w najcięższej rozterce!

Wystawa obrazów Muncha była w ustawicznym obłączeniu przez „inteligentny” Berlin.

Tak jasno nie uświadomiło się Lombrosowi, do jakiego stopnia graniczy obłąd z geniuszem, jak mi się poonczas uświadomiło, w jak niesłychany sposób spowinowacona jest tak zwana „inteligencja” z ordynarnym chamstwem!

Ponoć Eugenia, żona Napoleona III, dostała spazmów śmiechu na widok obrazów Maneta⁴¹⁴, ale to, co się działo na wystawie obrazów Muncha, to był jeden rżący, brutalny ryk śmiechu; tego samego Muncha, o którym dziś wspaniale monografie niemieckich profesorów istnieją; Muncha, którego futuryści, formiści i inni „iści” za swego ojca uznają; tego magnackiego Muncha, który niczym więcej być nie pragnął, jak tylko „Jedynym dla Jedynego”.

Przed piętnastu laty otrzymałem od niego kartkę:

„Pięćdziesięcioletni Edward Munch, który nigdy nie był żadnym »istą«, gorąco Cię pozdrawia”.

Jak go musiało boleć, że „iści” chcieli go do swego rydwanu zaprząć!

Mimo ogromnego natłoku na tej „skandalicznej” wystawie — Berlin uspokoić się nie mógł — w kasie, którą zawiadowała młoda panienska, były wieczne pustki.

Ciekawa przygoda:

Jednego ranka, idąc do mojej redakcji, spotykam Muncha na ulicy z gołą głową — a było to pod koniec marca, chłodno, a nawet mroźno — parę kroków za nim ujrzałem kelnera z czapką Muncha w ręku.

— Cóż ty tu robisz? — pytam.

— Siedziałem w kawiarni, jadłem i piłem przez całą noc; miał przyjść Adolf Paul (adlatus Strindberga); miał mnie wykupić — nie przyszedł — kelner zafantował moją czapkę, a teraz idę na moją wystawę, pewno będę się mógł kelnerowi wykupić!

A w czym się różnił sąd jury *Kunstverein*’u od sądu poborcy podatków?

Przyszedł taki poborca — świadkiem byłem tej sceny — do Muncha, a mieszkał on na czwartym piętrze w dawniejszym atelier zmarłego rzeźbiarza polskiego Franciszka Flauma⁴¹⁵, i zażądał od niego zapłacenia podatku.

⁴¹²Dauthendey, Max (1867–1917) — niemiecki nowelista, dramaturg i poeta. [przypis edytorski]

⁴¹³osławiony sonet Rimbauda — *Samogłoski*. [przypis edytorski]

⁴¹⁴Manet, Edouard (1832–1883) — malarz francuski, jeden z twórców impresjonizmu. [przypis edytorski]

⁴¹⁵Flaum, Franciszek (1866–1917) — rzeźbiarz polski, krewny Marty Foerder; tworzył pod wpływem Przybyszewskiego rzeźby figuralne, symbolizujące problematykę płci; Przybyszewski poświęcił mu publikację w „Deutsches Museum Almanach für das Jahr 1897” pt.: *Franz Flaum*. [przypis edytorski]

Munch pieniędzy nie miał ani w ogóle niczego, co by jakąś i wartość przedstawiało, wskazał więc wspaniałym gestem na swoje obrazy, które w rozpaczonym nieporządku walały się po ziemi.

Poborca podatków chwycił się pod boki i ryknął ogromnym śmiechem, gdy począł obrazy Muncha oglądać:

— Ha, ha, ha! Ale za to wszystko nikt w całym Berlinie panu dziesięciu fenigów nie da!

Zdumiewające, jak wartościowanie poborca podatków zgadzało się z sądem prezydenta *Kunstverein*'u!

Rzadko łączyło mnie z którymkolwiek artystą tak bliskie duchowe spokrewnienie, jak właśnie z Edwardem Munchem — i na i odwrot — sam to bezustannie podkreślał.

Pooczas potrzeba było dużo odwagi, by odważyć się Muncha brać na serio. Gdy się ukazało moje studium o Munchu, była cała konfraternia literacka przekonana, że dostał pomieszania zmysłów. Munch przyszedł do mnie z głębokim wzruszeniem:

— Jestem przerażony, że jakiś człowiek mnie w najtajniejszych twórczych chwilach podслуčuje, ale i ja ciebie podслуchałem.

Nazajutrz pokazał mi swój słynny obraz, który teraz bezustannie widuję w książkach, traktujących o futuryzmie: *Skrig — Krzyk*, o którym szeroko rozpisałem się w moim studium o Munchu w późniejszym moim utworze: *Na drogach duszy*.

Nie wyobrażam sobie, by można potężniej w barwie przeobrazić jakiś utwór literacki — w tym wypadku: *Totenmesse*.

Może jedyny Felicjan Rops umiał się zdobyć na tak równomierną transpozycję utworu Barbey d'Aureville: *Les Diaboliques*.

Munch posiadał w wysokim stopniu, co rzadko u malarzy się spotyka, istotną kulturę literacką, doskonale był obznajmiony z współczesną literaturą, a sąd jego o jakimś literackim utworze był dla mnie wysoce wartościowy. Ponadto interesował go okultyzm, a gdy mu dał książkę Aksakowa⁴¹⁶: *Spirytyzm a animizm*, pożarł ją literalnie jednej nocy, a był uszczęśliwiony, gdy wypożyczył dla niego z państwowej biblioteki Swedenborga: *De coelo et inferno* (w niemieckim tłumaczeniu, Tübingen, trzecie wydanie 1873).

Obcowanie z Munchem było ostatnie moje, istotnie głębokie „przeżycie” duchowe w Niemczech — wśród „obcych”.

W przededniu wyjazdu mego do Norwegii, gdzie nauczyłem się być „sam z sobą” i gdzie mnie wprost zabijała nostalgia za Polską, otrzymałem serdeczny list wraz z książką od Miriama⁴¹⁷ — Zenona Przesmyckiego.

Przesłał mi wtedy swoje wspaniałe studium o Maeterlincku⁴¹⁸ i królewskie tłumaczenie utworów Maeterlincka.

Oczom nie mogłem wierzyć, że jakiś poeta polski, a znałem już wytworny tomik jego poezji: *Z czary młodości*, mógłby do mnie się zwrócić. A zabijało mnie wprost to przeświadczenie, że tam — w Polsce — nie chcą o mnie nic wiedzieć, ponieważ piszę po niemiecku; a przecież ja byłem zmuszony pisać po niemiecku — nie było jeszcze wtedy polskiego nakładcy, który by się mógł odważyć wydać jakieśkolwiek moje dzieło w polskim języku, jeszcze dwadzieścia lat później nie dawała cenzura — ani rosyjska, ani też galicyjsko-arcybiskupia — zezwolenia na wydawanie mych dzieł: wychodziły wszystkie w barbarzyńskim okrojeniu.

Odtąd już nastąpiła częsta wymiana listów między Miriame i mną; jak ja byłem wdzięczny, że „wśród obcych” — całkiem mi obcych, bo raz jeszcze powtarzam: du-

⁴¹⁶Aksakow, Aleksander (1832–1903) — rosyjski pisarz i spirytysta. [przypis edytorski]

⁴¹⁷Przesmycki, Zenon Franciszek, pseud. *Miriam* (1861–1944) — poeta, przedstawiciel parnasizmu i estetyzmu, tłumacz, krytyk literacki i artystyczny okresu Młodej Polski, odkrywca i wydawca twórczości Cypriana Kamila Norwida; w 1897 r. założył warszawskie „Życie”, na łamach którego ukazywały się pierwsze artykuły o nowych kierunkach w sztuce; jego studium o Maurycym Maeterlincku ukazało się w krakowskim „Świecie” w r. 1891, a w wyd. książkowym wraz z przekładem dramatów w r. 1894 w Krakowie; w l. 1901–1907 Miriam redagował warszawską „Chimerę”, z którą związał się na krótko Przybyszewski po upadku krakowskiego „Życia”. [przypis edytorski]

⁴¹⁸Maeterlinck, Maurice (1862–1946) — pisarz belgijsko-francuski, którego symboliczno-nastrojowe poezje i dramaty wywarły wielki wpływ na światową literaturę modernizmu. Pisał także utwory o treści przyrodniczo-filozoficznej. W r. 1911 uzyskał nagrodę Nobla. [przypis edytorski]

sza polska a niemiecka, choćby nawet takiego Dehmla, to całkiem *incommensurable*⁴¹⁹ wielkości — dotarł do mnie głos polskiego twórcy, i to twórcy-myśliciela tej miary, co Miriam!

Niewymowną wdzięczność odczuwam do tego bezwarunkowo najkulturalniejszego w Polsce człowieka, którego listy przez parę lat, jakie miałem jeszcze pozostać za granicą, były dla mnie za każdym razem odświeżoną radością.

Czcilem go i czczę po dziś dzień jako starszego brata — po kilku latach miałem go dopiero osobiście poznać, ale już wtedy wywarł na mnie istotny i niezatarty wpływ.

Nie na twórczą duszę moją wpływ jego się rozciągał, ale każda jego wskazówka była dla mnie drogocenna i miarodajna — teraz już, gdy cośkolwiek napisałem, to pisałem z myślą, co Miriam o tym powie.

A Miriam był mi surowym wprawdzie, ale oględnym sędzią, a może nikt inny nie zrozumiał głębiej całego założenia mego tworu, jak właśnie Miriam — toteż na niczyj głos nie było ucho moje wtedy tak wyczulone, jak na jego. Ciężkie perypetie w mym życiu wywołały zagubienie jego listów do mnie, a byłby ich spory tomik — w tych listach odsłoniłaby się cała piękna, magnacka, niesłychanym bogactwem najwytworniejszej kultury obdarzona dusza Miriama.

Nie mam słów, które by mogły wyrazić moją głęboką wdzięczność dla tego człowieka-artysty, który sam jeden — on jedyny tylko — wskazał mi drogę do Polski i on to rozniecił we mnie ten ciężki ból nostalgii za Polską, że już się wszędzie czułem obcym i niesamowitym „przybyszem”.

(Kochany Adolf Nowaczyński opowiada⁴²⁰ w jakiejś z swych książek, że on to sprowadził Przybyszewskiego do Polski!)

Ta paroletnia korespondencja z Miriamelem nauczyła mnie o tym, że Polska (po raz który bo już powtarzam?) bądź co bądź jest najkulturalniejszym krajem w Europie!

Całe naręcza wdzięcznego kwiecica rzucam przed nogi tego człowieka, który stał mi się i jako artysta, i jako głęboki myśliciel, i jako człowiek o głębokiej intuicji psychologicznej i niezmiernie dobroci istotną, niezmiernie drogocenną ostoją w moim ówczesnym życiu twórczym — przed nogi jednego z najprzedniejszych w Polsce:

Miriama — Zenona Przesmyckiego.

Ile ja razy czytałem ten wspaniały wstęp do jego przekładów Maeterlincka, jak głęboko wsłuchiwałem się w słowa tego, który już „wiedział”, podczas gdy ja się „po omacku” bląkałem, a może bym jeszcze długo był musiał instynktem i przecuciem się kierować, gdybym nie był znalazł bratniej ręki Miriama. Kulturalnym bogactwem mógłby mu tylko Ola Hansson dorównać, ale Olinka nie mógł mi dać tego kulturalnego pierwiastka, który był dla mnie najważniejszy — pierwiastka kultury polskiej, i to tej najszczytniejszej, objawionej w ostatnim ośmioleciu twórczej pracy Juliusza Słowackiego — tym ośmioleciu zamkniętym na siedem pieczęci dla przeważnie wszystkich historyków literatury polskiej; — on to przysłał mi już w załączeniu do następnego listu ten olbrzymi poemat, który poniekąd stał się dla mnie objawieniem: Kasprowicza *Na wzgórzu śmierci!*

Jakim ja się biednym i maluczkim wtedy uczułem!

Wicie już, jak niezmiernie był mi bliski Dehmel — jedyny wśród Niemców, który orientował się w mojej duszy — ale ta tak „przeraźliwie polska dusza”, jak Dehmel o mej duszy się wyrażał (*dieser furchtbare Irrgarten der polnischen Seele*), kosztowała go dużo trudu, dużo względów i dziwnej, czasem dla mnie niezrozumiałej — dobrotliwej przyjaźni:

Miriam jeden wiedział, co z tą duszą począć!

W tych kilkudziesięciu listach, którym⁴²¹ od Miriama otrzymał, a które, ohydny wypadkiem losu, uległy zniszczeniu, bylibyście mogli najlepiej poznać tę wytworną magnacką duszę, która bogatą dłonią rozsypywała swe bogactwa.

A każdy z jego listów, które miałem już stale otrzymywać — myślę o tym z najgłębszą wdzięcznością — był dla mnie nauką, przestrogą. Miriam brzydził się tym niespokojnym,

⁴¹⁹*incommensurable* (fr.) — niewspółmierny. [przypis edytorski]

⁴²⁰Nowaczyński opowiada — por. Adolf Nowaczyński, *Wyspiander* (wyd. książkowe w: *Pamflety*, 1930). [przypis edytorski]

⁴²¹którem (...) otrzymał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które otrzymałem. [przypis edytorski]

nerwowym „chlastaniem”, z jakim ja nieraz pracowałem, a każda jego pochwała — nie! to śmieszne powiedzenie — każde jego potakiwanie temu, co napisałem, było mi rześką pobudką.

Nie miał mi potem szczędzić ostrych i gorzkich wyrzutów, bo właśnie ode mnie wymagał — nie wiem, czy słusznie, i nie wiem, czy się w tym nie mylił — bym się pokusił o najwyższe szczyty; nie wiem, czy oczu jego nie mamiła głęboka i serdeczna przyjaźń ku mnie, choć mnie osobiście nie znał, ale jeżeli jakiegokolwiek listu od przyjaciela wyczekiwałem z prawdziwą tęsknotą tam, gdzie już całkiem pozostałem „sam z sobą” — to od Miriama.

A listy jego były dla mnie bogactwem i „upragnieniem” — inaczej tego nazwać nie mogę — właśnie tam, w Skandynawii, gdzie w lecie słońce nie zachodzi i wieczny dzień, a podczas zimy nie wschodzi i wieczna noc panuje!

W kilka lat później miał nas los rozłączyć — ale z niewygasłą wdzięcznością myślę bezustannie o tym człowieku, który mi takim *sovereign*⁴²² gestem, a zarazem nieskończenie mądrym nakazem wskazał drogę do Polski — o tym twórcy, który pustelnię mojego „sam z sobą” raz po raz raczył nawiedzać swoją szlachetną i niezmiernie mądrą *gaya sciensa*⁴²³.

XVIII

Okoliczności, że wskutek stosunków rodzinnych mej pierwszej żony, Norweżki, byłem zmuszony przez pięć lat z rzędu spędzać co rok wiosną i lato aż do późnej jesieni, a raz nawet całą zimę w Skandynawii, przypisywano po moim powrocie do Polski niesłychane znaczenie.

Fatalnie niski ówczesny poziom krytyki literackiej w Polsce zezwalał na najdziwniejsze absurdy.

Ponieważ było wiadome, że pozostawałem w Berlinie w bliskich stosunkach ze Strindbergiem, a więc musiałem oczywiście jego wpływom ulegać, a nie ma chyba dwóch artystów, pomiędzy którymi zionęłaby taka przepaść, jak między tworem Strindberga a moim. Żyliśmy dopóty w zgodnej przyjaźni, o ile nie rozpoczęła się między nami dysputa na jakiegokolwiek temat — już po paru minutach zachnął się Strindberg: „To jest metafizyka, nic więcej”. — Pamiętam, kiedy zjechał do Berlina niezmiernie zdolny przyrodnik szwedzki, Bengt Lidforss, zmarły przed paru laty jako profesor botaniki w Lund, właśnie kiedy już się cieszył wszech europejską sławą — odwiedziliśmy Strindberga w jego hotelu i niebawem jęliśmy poruszać najwięcej poonczas sporne kwestie biologiczne, a właśnie wtedy dokonywała się bezlitosna długotrwała rewizja materialistycznych poglądów. Strindberg leżał na kanapie i jakiś czas spokojnie się przysłuchiwał. Nagle zerwał się: „Mam już dosyć tych metafizycznych bredni, nic a nic z tego nie rozumiem!” — i omal że nas za drzwi nie wyprosił. Pomędzy naturalistą *à outrance*⁴²⁴, Strindbergiem, twórcą „najbrutalniejszej książki, jaką ktośkolwiek napisał” — Strindberg zwykły był się tym chęcić — *Giftas* („Historia małżeństwa”), a mną, który może śmiało o sobie powiedzieć, że trumnę moją winny kobiety na swych barkach do grobu ponieść, bo rzadko który artysta umiał wnikać w to, co w duszy kobiety jest istotnie piękne i czyste — nie mogło i nie może być żadnego pomostu, a jednakowoż prześladowano mnie lata całe Strindbergiem.

A ponieważ było w Polsce wiadome, że dłuższy czas przebywałem w Skandynawii, więc od razu zrobiono z Skandynawii moją „drugą ojczyznę”.

To już Himalaje bezmyślnej płytkości i głupoty.

A przecież to właśnie w Skandynawii uświadomiłem sobie w bolesnej tęsknocie, z rozpaczonym czasem poczuciem obcości moją narodową odrębność: tam przeżyłem w ciężkiej udręce istotną chorobę, którą piękną nazwą nostalgii ochrzczono. Już bym ja jej drugi raz przeżyć nie chciał, a nawet przeżyć nie zdołał; a jeżeli kiedykolwiek miałem odczuć potęgę tęsknoty za „krajem”, za „swojskością” — najgorszą z tęsknot — to tam właśnie, gdzie wszyscy i wszystko było mi obce, jak bardzo obce! Tam rozegzaltowała się moja

⁴²²*sovereign* (ang.) — suweren, udzielny władca. [przypis edytorski]

⁴²³*gaya sciensa* (fr.: gaie science) — wiedza radosna; nazwa, którą nadała swej poezji szkoła trubadurów (założona w Tuluzie 1324 r.). [przypis edytorski]

⁴²⁴*à outrance* (fr.) — do ostateczności, przesadnie. [przypis edytorski]

dusza nad pięknnością Gopła i Kujaw do nadmiernej potęgi. Gdybym nie był tak długo przebywał w Skandynawii, wątpię, czy byłbym w stanie napisać *Z gleby kujawskiej*⁴²⁵; ja tam tylko ciałem przebywałem, dusza moja i na dniu, i w nocy wyrwała się do Kujaw lub na Pałuki, do wągrowieckich jezior — nad Gopło i Noteć, Welnę i Durowskie Jezioro — a wciąż, opętany tą maniacką nostalgią, wyszeptywałem w moją chorzejącą duszę wiersz niemieckiego poety Momberta, który tej nostalgii dał zdumiewająco prosty, wstrząsający wyraz:

*Schlafend trägt man mich
In mein Heimatland —
Ferne komm' ich her,
Über Berge, über Schlände,
Über ein dunkles Meer
In mein Heimatland*⁴²⁶...

Tam w Polsce i w śnie, i na jawie krążyła bezustannie moja boleśnie stęskniona dusza, tam wybiegała bezustannie poprzez góry i przepaście, i ciemne morza, a na nowo odżyło we mnie to samo pragnienie, które kazało mi — dzieciakowi — uciekać z gimnazjum w Toruniu do rodzinnej wsi Łojewa.

Ale nie tylko ja sam przeżywałem tę męczarnię nostalgii. Było nas poonczas czterech Polaków w całej Skandynawii.

Wkrótce po przyjeździe do Norwegii poznałem Polaka, który zdołał się po '63 roku uratować ucieczką przed strykiem. Sztokholm był najpewniejszą przystanią dla rozbitków, którym szczęśliwy los pozwolił tam wylądować, i tam zdołał się dostać po niesłychanie trudnych przeprawach młody Szaciński. W Szwecji panował poonczas bardzo kochany, bardzo jowialny król, Karol XVI, wynalazca wspaniałego trunku, tak zwanego królewskiego pjołteru⁴²⁷, i od rana do nocy pił, nie jak było w zwyczaju wodę sodową, wpół na wpół zmieszaną z koniakiem lub whisky, ale koniak lub whisky „w tym samym stosunku do szampana”. Codziennie odbywał paradę swego przybocznego regimentu, za nim kroczyło kilku adiutantów z pudłami cygar, a Jego Królewska Mość raczyła dać rozkaz: „Gębę otworzyć!” — Żołnierze z rozkoszą spełniali ten rozkaz, bo otóż król kroczył z uroczystą powagą od jednego żołnierza do drugiego i każdemu wtykał w otwartą gębę ogromne cygaro, i to nie byle jakie.

I otóż podczas takiej parady ujrzał król z wielkim zdumieniem człowieka, który nastawił z zimnym spokojem aparat fotograficzny — wtedy aparat ten był jeszcze dużą maszyną — by ten historyczny moment na płycie uwiecznić.

Król podszedł kilka kroków, ale nagle przystanął, bo przykuł go do miejsca zniecierpliwiony rozkaz: „Niech Wasza Królewska Mość się teraz z miejsca nie rusza”.

I król, zdumiony, rozbawiony, nie ruszał się z miejsca, póki młody a bardzo przystojny człowiek nie ukończył swoich manipulacji.

To był Szaciński.

Przed wybuchem powstania podróżował Szaciński po Niemczech, zawadził o Bawarię i utknął w Würzburgu, gdzie cieszył się ogromnym powodzeniem jeden z najpierwszych i najsłynniejszych daguerotypistów w Niemczech, Dauthendey, ojciec tego wytwornego poety, o którym już wspomniałem, Maksymiliana Dauthendeya, kochanego mojego „Masia”.

⁴²⁵*Z gleby kujawskiej* — tytuł studium autorstwa Stanisława Przybyszewskiego o Janie Kasprowiczu (wyd. Warszawa 1902). [przypis edytorski]

⁴²⁶*Schlafend trägt man mich* (...) *mein Heimatland* — wiersz niemieckiego poety Momberta: *Schlafend trägt man mich*... z tomu *Der Glühende* („Płomienny”, Lipsk 1900); dosł.: „We śnie przenoszę się do mojej Ojczyzny / Z daleka ponad górami i otchłaniami, / Ponad morzem ciemnym przychodzę tu, / Do mojej Ojczyzny”. [przypis edytorski]

⁴²⁷*pjołter* — specyficznie norweski napój alkoholowy przyrządzany zwykle z brandy lub whisky zmieszanej z wodą sodową (a. wodą mineralną naturalnie gazowaną), popularny w Norwegii w latach 20–50 XX w., ale znany był już w 1880 r.: w jednej z gazet określany jako „nowoczesny drink” i nazywany „*pjaalter*”; jego twórcą miał być niejaki P.J. Holter, barman z Grand Hotelu z Oslo, ale wiąże się z nim też wiele innych opowieści; znana jest również odmiana drinku przygotowywana z koniaku i szampana (*Kongepjołter*), przy czym gra słów (norw. *Konge*: król) może sugerować królewskie pochodzenia tego napoju. [przypis edytorski]

(Dziwne, jak chętnie przyjmowali moi niemieccy koledzy po piórze „zszopenizowane” przeze mnie *diminutiva* swych imion).

U starego Dauthendeya nauczył się młody szlachcic polski fotografować — bawilo go to pewno tak samo, jak ongi bawiły paniczów polskich reformatorskie „nowinki” w Wittenbergu — a amatorska fantazja miała się po kilku latach stać dla niego deską ratunku.

Jowialna Królewska Mość wsadziła i jemu, ale już własnoręcznie i z własnego portfela, cygaro do ust, poprowadziła na zamek i uraczyła hardego polskiego junaka kongepjolterem — oną słynną mieszaniną szampana z koniakiem.

Król upodobał sobie od razu Szacińskiego — wdał się z nim w długą rozmowę, a rezultatem tej rozmowy było to, że powierzył mu całą swoją myśliwską psiarnię. Okazało się bowiem, że fotografowanie było tylko pobocznym zajęciem Szacińskiego, a głównym i umiłowanym jego powołaniem — to tresura psów myśliwskich.

Nie porzucił wprawdzie Szaciński swego zawodu fotografa — od razu został bez wszelkich zastrzeżeń nadwornym fotografem Jego Królewskiej Mości, zasłynął nawet później jako jeden z najlepszych fotografów w całej Skandynawii, a atelier jego fotograficzne w Krystianii, dokąd się niebawem przeniósł, cieszyło się ogromnym wzięciem — ale największe triumfy święcił w całej Skandynawii jako niezrównany, „genialny” mistrz w niezmiernie trudnej sztuce tresury myśliwskich legawców.

Tylko z trudem zdołano królowi wytłumaczyć, że orderu szwedzkiego *Pro litteris et arte*⁴²⁸ nie można udzielić choćby i najgenialniejszemu mistrzowi w tresurze psów.

O tym wszystkim dowiedziałem się, zanim Szacińskiego poznałem. Wyobrażałem sobie człowieka pełnego fantazji, tryskającego zdrowiem i szerokim szlacheckim rozmachem, a tu nagle stanąłem wobec człowieka, którego twarz czarnym cieniem oskrzydliła ciężka, ponura melancholia.

Na dźwięk polskiej mowy zabłysły na chwilę gorąco jego oczy, zakrzętnął się, by mnie ugościć, przyniósł flaszkę wina, jał gorączkowo opowiadać o swej przeszłości, a nagle opadł, oczy jego stały się mętne i szkliste — zapadł niesamowite milczenie, które na próżno chciałem przerwać opowiadaniem o Polsce i obecnym położeniu Polaków w Wielkopolsce — wreszcie podniósł ciężko na piersi opadniętą głowę:

— Niech pan czym prędzej ten kraj opuści; tu żaden Polak długo nie wytrzyma — tęsknota za krajem go zabije prędzej czy później... Ja tu już przeszło 30 lat, a z każdym rokiem gorzej i gorzej...

Było to powiedziane z tak ciężkim i przeraźliwym smutkiem, że mrowie po mnie przeszło. Znowu głębokie milczenie, którego już nie śmiałem, ani nie miałem ochoty przerywać.

— Wprawdzie czytuję raz po raz polskie gazety — rozpoczął po długiej chwili — ale to tylko jeszcze ranę rozognia...

Znowu milczenie, a nagle podniósł znowu swą biedną, nieszczęsną głowę, która zdała mu się kłodą z ołowiu ciężką.

— Powiedz mi pan szczerze — pan przecież moim rodakiem; ja tu wśród nich mimo wszystko, com dobrego od nich zaznał, całkiem obcy i oni dla mnie tak samo — ja ich o to pytać nie mogę, ani pytać nie będę — ale pan, rodak, niech mi pan powie, jak ja wyglądam?

— Ależ doskonale, doskonale! — kłamałem, bom już dobrze znał ten fatalny wygląd ciężkiego melancholika-psychopaty.

— Doskonale? Mówi pan, że doskonale, a ja czuję... — i urwał.

Znowu długie milczenie — teraz już go znieść nie mogłem.

— Jestem bardzo szczęśliwy — powiedziałem powstając — żem tu na obcej ziemi spotkał rodaka...

— Ja również — dźwignął się z trudem z krzesła, uśmiechnął się bolesnym grymasem.

Odetchnąłem ciężko, gdy się znalazł na ulicy.

⁴²⁸*pro litteris et arte* (łac.) — dla literatury i sztuki; tu: nawiązanie do szwedzkiego medalu *Litteris et Artibus* ufundowanego w 1853 r. przez (późniejszego) króla Szwecji Karola XV, przyznawanego ludziom szczególnie zasłużonym w dziedzinie kultury (szczególnie w zakresie muzyki, dramaturgii, sztuk plastycznych i literatury). [przypis edytorski]

W trzy dni później Szaciński już nie żył. Nabił swoją lefoszówkę⁴²⁹ wodą i rozsadził sobie czaszkę.

Norweska łoża masonów w Krystianii, do której Szaciński przynależał, wysłała do Polski swego członka, by przywiózł wór polskiej ziemi; trumnę Szacińskiego pokryto chorągwią z białym orłem polskim na amarantowym tle — przysypano ziemią, z Polski przywiezioną, a potem dopiero zwała się na trumnę ta tak gościnna, a tak obca, bardzo obca ziemia.

Całe to moje opowiadanie zakrawa na jakąś fantastyczną nowelę — coś w rodzaju Sienkiewicza *Latarnika* — a w całym tym opowiadaniu nie ma jednego zmyślonego słowa, fakt sam łatwo stwierdzić: właśnie okrągłe trzydzieści lat temu wszystkie pisma norweskie w Krystianii poświęciły Szacińskiemu obszerne nekrologi. Ukończyłem wtedy 26. rok życia (ile to setek lat temu?) — a więc działo się to wszystko w maju lub w czerwcu 1896 r.

W tym samym czasie dogorywał drugi Polak, hr. Czapski, w domu obłąkanych w Lundzie w południowej Szwecji, a coraz więcej dziwaczał w Sztokholmie ten trzeci — człowiek o niesłychanie gorącym sercu, zdumiewającej, ofiarności, fanatycznej miłości ku Polsce, człowiek, który zbyt Polskę i Polaków ukochał, i właśnie wskutek tego stał się zgorzkniałym mizantropem, co sercu jego nie przeszkadzało co chwilę wybuchać gorętszym jeszcze płomieniem ukochania: Henryk Bukowski⁴³⁰.

Piękną jego sylwetkę skreślił Stefan Żeromski w *Ludziach bezdomnych*. Ten stary dziwak, osiadły w Konstantynopolu, dobroczyńca i opiekun Judyma — to właśnie Bukowski, który gorąco się Żeromskim zajął, dał mu posadę bibliotekarza w Rapperswilu i wysoko go cenił. U Bukowskiego w Sztokholmie zapoznałem się z pierwszym tworem Żeromskiego: *Rozdziobią nas kruki, wrony...*, a czytałem go w zupełnie chorym napadzie chronicznej już teraz nostalgii w samą wilię Bożego Narodzenia, kiedy to tam w Szwecji ustawiczny zmrok panuje, a lampa prawie nie gaśnie. Pomnę, jak głębokie wrażenie ten utwór na mnie zrobił. Swoją drogą nie musiało być wesoło Żeromskiemu tam w Rapperswilu wspólnie z dziwakiem-psychopatą, słynnym kustoszem Muzeum Rapperswilskiego, Rosenwerthem de Różyckim⁴³¹, który katalogowanie książek w bibliotece uważał za dziki przesąd, w ogóle tak książek nienawidził, że dziurawił kosztowne wydania elzewirowskie wystrzałami z pistoletu; gremialny, niezmiernie cenny protest Anglików zawierający około 60 tysięcy podpisów, zwrócony przeciw caratowi podczas powstania 1863 r., pociął na paski, porobił z nich różyczki i porozwieszał na ścianach, sfabrykował spodnie Kościuszki, które tenże Kościuszko miał w bitwie pod Maciejowicami; pokazywał stół — oczywiście przez siebie zrobiony — przy którym Kościuszko siedział w więzieniu podczas odwiedzin cara Pawła II, a poza tym zaprzepaścił wspaniałą zbior bezcennych medali, gemów i miniatur, w wolnych chwilach trudnił się numizmatyką, to znaczy podrabiał stare monety, i ponoć w tym fachu doszedł do mistrzostwa.

Bukowski zgrzytał zębami z wściekłości, gdy odczytywał cały ten memoriał, nadesłany mu właśnie z Rapperswilu⁴³² przez jego przyjaciela, którego specjalnie tam dotąd wysłał, by sprawę na miejscu zbadał, ale nic na to poradzić nie mógł — jakaś tam specjalna klauzula w fundacji hrabiego Platera zastrzegła Różyckiemu dożywocie i w zamku, i w muzeum i rada muzealna w żaden sposób pozbyć się go nie mogła.

⁴²⁹*lefoszówka* — rodzaj dubeltówki; dwulufowa broń palna skonstruowana w 1832 r. w Paryżu Casimira Lefauchaux, od którego nazwiska pochodzi określenie tego rodzaju broni. [przypis edytorski]

⁴³⁰*Bukowski, Henryk* (1839–1900) — polski antykwariusz zamieszkały w Szwecji, bardzo zasłużony dla Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, od 1891 r. członek wieczystego towarzystwa tegoż muzeum; pochodził z Kowieńszczyzny, był uczestnikiem powstania styczniowego, a następnie emigrantem politycznym. W Sztokholmie założył w 1870 r. polski antykwariat (dziś: Dom Aukcyjny Bukowski), pełniący przez lata rolę polskiej stacji naukowej w Szwecji; był współzałożycielem muzeum historii kultury Nordiska Museet; członek Ligi Polskiej. [przypis edytorski]

⁴³¹*Rosenwerth de Różycki, Włodzimierz Józef* (1837–1914) — w 1890 r. wyznaczony na kustosa muzeum polskiego w Rapperswilu; pełnił na zamku również obowiązki palacza, woźnego i konserwatora; inne formy nazwiska: Rosenwerth herbu Różycka, Różycka de Rosenwerth. [przypis edytorski]

⁴³²*memoriał, nadesłany (...) z Rapperswilu* — mowa o memoriał Stefana Żeromskiego, który ukazał się drukiem w 1911 r. nakładem wydawnictwa „Życie” w Krakowie pt. *O przeszłość Rapperswilu: Towarzystwo Przyjaciół Rapperswilu: udowodnienie zarzutów, poczynionych Zarządowi Muzealnemu*. [przypis edytorski]

Tym więcej bolała i gryzła Bukowskiego ta nierządna i niechlujna gospodarka Różyckiego, bo właściwie zawdzięcza Muzeum Rapperswilskie jemu, Bukowskiemu, całe swoje istnienie.

Dobre trzy czwarte wszystkich zbiorów w Rapperswilu, to dary Bukowskiego, a jeżeli dziś nie znajdziesz w Szwecji ani na pokaz nic z tych olbrzymich łupów zrabowanych ongi w Polsce przez Szwedów, to jedynie dlatego, że Bukowski wykupił niemal wszystko, co się w prywatnych rękach możnych szwedzkich baronów znajdowało, by te bezcenne skarby Rapperswilowi ofiarowywać. A jeżeli w Państwowym Muzeum w Sztokholmie pokazują rzadkie i niesłychanie cenne pamiątki polskie z wojen szwedzkich z stereotypową wzmianką: „Tośmy uratowali z Polski” — to w ten sam sposób ratował Bukowski dla Polski niezmiernie rzadkie i bezcenne druki polskie, zrabowane przez Szwedów, a które gniły w piwnicach lub na strychach Państwowej Biblioteki — a Bukowski fungował⁴³³ długi czas z polecenia onego jowialnego Karola XVI, który sobie bardzo Polaków ukochał, jako bibliotekarz przy tej bibliotece.

I w tym charakterze zdołał uratować dla Polski nie tylko białe kruki, ale tysiące tomów dzieł polskich, które dla szwedzkiej biblioteki były zupełnie bezwartościowe, a dla nas kosztownym nabytkiem.

Głęboki znawca sztuki, wtajemniczony w wszystkie arkana związane z niezmiernie trudnym fachem zawodowego antykwariusza, i to do tego stopnia, że zjeżdżano do niego z Anglii i z Ameryki, by w wątpliwych i spornych kwestiach jego rozstrzygającej rady zasięgnąć, posiadał sam najpiękniejszy i najbogatszy antykwariat w całej Skandynawii, pilnie uczęszczany zwłaszcza przez koronowane głowy ówczesnej Europy.

A miał ci on siła do opowiadania o tych koronowanych głowach. Wszystkim im się zdawało, że niesłychanym zaszczytem dla Bukowskiego będzie ten fakt, że kupią, a nie zapłacą. Dwa lata musiał się Bukowski procesować z królową Wiktorią, matką cesarza Wilhelma, zanim mu wreszcie wypłacono dziesięć tysięcy koron szwedzkich za rzecz potrójnej wartości; przed Wilhelmem II trzeba było bardzo grzecznie drzwi zamknąć, a przed wizytą następcy tronu angielskiego, późniejszego Edwarda VII, ostrzegł szwedzki król, Oskar II, Bukowskiego przez swego adiutanta, że prawdopodobnie zniknie podczas tej wizyty jakiś drogiocenny przedmiot, za który jednakoż dwór szwedzki odpowiada.

I istotnie „zwardził” królewski — oczywiście nie złodziej, tylko a „kleptomani” — bardzo rzadki naszyjnik o ogromnej wartości. Bukowski spostrzegł się natychmiast — posłał rachunek na dwór królewski, który bezzwłocznie przez Oskara II wyrównany został. Oj! drogo, bardzo drogo kosztowało Oskara II goszczenie takiego „kuzyna”.

Zwykle małowówny, w sobie zamknięty, nawet na zewnątrz zgryźliwy i zdziwaczały — takim mi się przynajmniej wydawał — rozjaśniał się i ożywiał, gdy w swoim gościu dosondował się do tej samej miłości ku rzeczom „starym”, jaką właściwie on cały żył. A posiadał jedynie cenne i wartościowe rzeczy i całą jego tragedią było, gdy był zmuszony się z nimi rozstawać. Bolało go to niezmiernie, że musiał sprzedawać przedmioty, których wyszukanie i odnalezienie czasami miesiące całe czasu go kosztowały, ale nad manią fanatycznego i rzadko wykształconego⁴³⁴ kolektora górowała maniacka wprost miłość do ukochanego Muzeum Rapperswilskiego: ono pochłaniało cały jego trud i mózół, i ciężką, wyczerpującą pracę, i wszystkie jego siły, majątek i wszystkie prawie dochody, jakie mu jego bogaty antykwariat przynosił.

Niezapomniane te jasne, piękne godziny, które u Bukowskiego w jego kantorze — kantor ten był miniaturą cudownego muzeum — spędzałem, kiedy się ten stary pan o rzadko szlachetnej i pięknej twarzy rozgrzał i rozgadał, kiedy znosił mi z swego antykwariatu najrzadsze i najkosztowniejsze przedmioty, tłumaczył ich wartość i uchylał przede mną szparkę, przez którą na jeden błysk zdołałem pochwytać promyczek tajemnicy znawstwa istotnego, śmiało powiedzieć mogę, genialnego antykwariusza.

To najjaśniejsze moje wspomnienia z Sztokholmu. Poza tym przeżyłem tam jedno z najwięcej wstrząsających wrażeń w całym moim twórczym życiu, a dała mi je — nie moja „duchowa ojczyzna”, he, he, ta mi nic nie dała, przynajmniej w Szwecji nic — ale zdumiewająco potężna, ponad wszelką miarę wspaniała, królewska gra Eleonory Duse⁴³⁵!

⁴³³fungować (daw.) — sprawować urząd. [przypis edytorski]

⁴³⁴rzadko wykształconego — właśc.: o rzadko spotykanym poziomie wykształcenia. [przypis edytorski]

⁴³⁵Duse-Chechi, Eleonora (1859–1924) — włoska aktorka tragiczna o światowej sławie. [przypis edytorski]

Podczas mego pobytu gościła z swoją trupą w Sztokholmie i występowała pięć razy. Pomnę ją w *Damie Kameliowej*, *Norze* Ibsena, *Gnieździe rodzinnym* Sudermanna i dwóch jeszcze francuskich, a może i włoskich komediach.

Wybór dramatów najfatalniejszy w świecie, ale co mnie mógł lepszy lub gorszy dramat obchodzić — to całkiem w grę nie wchodziło. Nawet współgrających aktorów się nie widziało — w ogóle nic się nie widziało prócz Eleonory i jej genialnej gry. Gry? Nie, to nie była gra, to jakaś niepojęta eksterioryzacja najtajniej ukrytej duszy kobiety, objawianie jej najgłębszych tajemnic, pragnień, cierpień, bolesnego ogromu tęsknot, porywów i upadków, i grzmiących fanfar pustego wesela, i krwawych *Requiem* bólu.

I nie trzeba było rozumieć słów obcego języka. Po co? Na co? Duse nie potrzebowałyby wcale mówić zrozumiałym językiem włoskim, równie dobrze mogłyby mówić po fińsku lub jakimś hinduskim „pali” — a rozumiałoby się każde słowo. I to słowo się widziało; po raz pierwszy zrozumiałem, że słowo jest czymś materialnym, że można je istotnie widzieć. Gdyby nawet nie było tej wstrząsającej, do szpiku kości przesywającej muzyki jej mówionego słowa, to i cóż? Wszystko by się rozumiało, bo każdy mięsień w jej twarzy mówił wyrazistszą mową, na jaką ludzki głos zdobyć by się nie mógł. Duse nie potrzebowała mówić. Nora Ibsena wygłasza po statecznej rozprawie z swym mężem jakieś oklepane feministyczne komunały — o całe niebo głębsza Nora Eleonory Duse milczała w ślepych, głuchym przerażeniu, skamieniałym milczeniu. Słowa nie powiedziała, tylko oczy jej krzyczały w rozpacznej, zdumionej rozterce: „To ja tego człowieka kochałam!” Szeroko rozstawione palce wyciągniętej ręki — nieruchomo sterczącej gdyby w kataleptycznym śnie — tworzyły nieprzeparty, niebotyczny mur, który majestat jej duszy odgraniczał od tej biednej, płaskiej duszy tego, którego jeszcze do niedawna mężem zwała; a każdy jej krok w tył — to nie krok, ale zrywanie wszystkich tajnych nici, wiążących duszę kobiety z duszą mężczyzny; drugi krok, to zrywanie taśm, jakimi łączy dziecko kobietę z mężczyzną, jeszcze jeden krok: zrywanie społecznych powrozów — potem przystanek: z przerażonym zdumieniem widzi, jak poza nią trawia wściekle błyskawice raj utracony; cichy, bolesny uśmiech, ociekający krwią bólu — boć ten raj był tylko domkiem dla lalek — a potem wahające, drżące błądzenie w płomieniach najdzikszego bólu palącej się ręki naokoło klamki drzwi; wreszcie drzwi cichutko się otwierają: Nora, przerażona, przystaje chwileczkę — w jej grze cała wieczność stopiła się w tej chwileczce — nagle: straszny, bezgłośny krzyk; cała jej postać krzyczała w niewymownym lęku przed tym, co ją za tym progiem czekało, całe powietrze wokół się rozkrzyczało, chociaż głosu słyhać nie było: Nora przestąpiła próg!

Nigdy przedtem ani potem nie patrzałem na nic z tak boleśnie zapartym oddechem — nie tylko ja, ale cała widownia zimnych, spokojnych Szwedów nie była w stanie tchu złapać.

A stary Ibsen wściekał się na tę genialną poprawkę swego utworu! He, he — a Duse dopiero stworzyła — Norę! Nora Ibsena to przyszła sufrażystka, rycząca na wszystkich meetingach o prohibicjonizm alkoholu, domagająca się o miejsce w parlamencie, by już doszczętnie zidiociała Europę ogłupić. Nora Eleonory Duse — najcudowniejszy wykwit wytwornej, szlachetnej kultury duszy kobiecej, górującej o całe niebo nad płaskim egoizmem brutalnego samca!

A co Duse zrobiła z tej nieszczęsnej *Damy Kameliowej*!

Jej wysoka kultura, genialny instynkt twórczy nie pozwalał jej wygłaszać śmiesznych komunałów Dumasa, toteż opuszczała całe „kwestie”, mówiąc technicznym językiem aktorów: usta jej się poruszały, mówiły bezgłośnie, a tysiącokrotnie razy wymowniej, gdyby była słowa wypowiadała; czasami zastępowała słowa zdumiewającą grą swych przedziwnie pięknych rąk, jedno zerwanie się nagle z krzesła — ho, ho! to nie było nagle zerwanie, to była błyskawiczna gama ruchów, którymi całą kaskadę słów wypowiadała, w jednym rozciągłym *arpeggio* ruchów do naga swą duszę wykrzyczała; na obelgi Gastona — czy jak on się tam nazywa, tekst w grze Eleonory stawał się całkiem obojętny — nic nie odpowiada — milczy, milczy... Istotnie potrzeba geniuszu, umieć tak milczeć, by milczenie samo się rozkrzyczało huraganem bolesnych krzyków, spazmami dławiących łkań i piersi rozrywających szlochów!

W scenie konania, żegnania się z kochankiem — nic — nic prócz wyciągniętych, to opadających, to znowu krzyżujących się rąk, rąk, chwytających w przedśmiertelnej męce

Kobieta, Sztuka, Artysta,
Teatr, Dusza

Słowo, Milczenie, Sztuka,
Teatr, Żona, Mąż, Kobieta,
Wolność, Miłość,
Małżeństwo

Kobieta, Walka, Wolność,
Prawo, Uroda, Mężczyzna,
Mizoginia

odrobinę powietrza, rąk, które nagle zapominają o bolesnej agonii, wyciągają się ku życiu, prężą się nagle w radosnym zdumieniu: różnobarwne motyle przelatują w powietrzu — chwycić je, chwycić cały boski kobierzec przedziwnych kwiatów na łąkach Asfodelosa: zrywać je, cały naręcz ich zerwać — by, by... o śmiertelna trwogo! zasypać nim własną trumnę!

Och, te ręce, te boskie ręce Eleonory Duse!...

W grze Duse objawiła mi się istota dramatu. Ile razy jakiś dramat pisałem, stawała mi przed oczyma: w jej usta kładłem moje słowa, a wszystko niedopowiedziane i niewypowiedziane wykwiło całą jej przebogata skalą uśmiechu, rozegrało się przebogata kadcencją ruchów, tysiączną zmianą światła i mrocznych cieniów, mieniło się w grze mięśni jej twarzy, królewścią powagą, pogardą i zmierzchem przyobłoczyło się w zadumanej, tęskniącej, rozplakanej i zrozpaczonej grze jej rąk.

O! to było niezmiernie bogate przeżycie — a to przeżycie to klucz do techniki moich dramatów.

I pomyśleć, że taką piękność wolno było zniechłuić takiemu chamskiemu Pochroniowi⁴³⁶, jakim był i jest d'Annunzio⁴³⁷ w ohydny swym pamphletcie: *Il fuoco!*

Marny lokaj, który przez całe życie podpatrywał przez dziurkę od klucza maniery swego księcia pana i z małpią zręcznością umiał je naśladować!

Jedno jeszcze, co świadczy o niezmiernie wysokim poziomie kulturalnym Duse. Była zmuszona na swych występach w Niemczech grać jakiś dramat niemieckiego pisarza, który był wówczas najwięcej *en vogue*⁴³⁸; ktoś jej niefortunnie poradził Sudermanna, który był wtedy istotnie bożyszczem niemieckiego motłochu — to znaczy, najliczniej do teatru uczęszczającej publiczności niemieckiej (przez siedem lat byłem dwa razy w berlińskich teatrach) i zagrała Magdę w Sudermanna dramacie: *Gniazdo rodzinne!*

Nawet wielka, twórcza Duse nie mogła sobie z tą nędzotą poradzić — grała od niechcenia — prawie z drwinkami. Ale niemiecka publiczność szalała z zachwytem.

To zawdzięczam Eleonorze Duse.

Z mojej „duchowej ojczyzny” (o niezgłębione Orinoko mądrości i bystrości rodzimej krytyki literackiej!) — wyniosłem, z Sztokholmu oczywiście, jedno wspomnienie:

Ellen Key⁴³⁹!

Pragnęła mnie poznać, chętnie złożyłem jej wizytę, bo szanowałem ją i szanuję jako — bądź co bądź — najrozumniejszą z wszystkich feministek: jedyna, która była w stanie na trzeźwo myśleć — a niczym „opętane” niewiasty w średnich wiekach wobec skandynawskich feministek; uraczyła mnie mocnym piwem szwedzkim, uśmiechała się dobrotliwie nad moim nieuctwem, bom od niej dopiero się dowiedział, że skandynawskie kobiety postanowiły na jakimś meetingu, by kazać kastrować jakiegoś pastora, który zgwałcił małą dziewczę; a w końcu pokazała mi mały stołeczek z czasów, kiedy liczyła sobie siedem lat. „Jak jestem bardzo zdenerwowana — mówiła — to siadam w tym stołeczku i w tej chwili się uspokajam!”

I dała mi dowód: chudziutka, drobniutka, pewno wtedy pięćdziesięcioletnia kobienka doskonale pomieściła się w stołeczku dla siedmioletniego dziecka

⁴³⁶*Pochroń, Antoni* — czarny charakter, postać z *Dziejów grzechu* Stefana Żeromskiego; młody, szykowny mężczyzna z wąsikami, pozornie „człowiek z towarzystwa”, w istocie oszust, złodziej, bezwzględny bandyta, były katorżnik, bezpośredni, demoniczny sprawca upadku Ewy Pobratyńskiej, głównej bohaterki powieści. [przypis edytorski]

⁴³⁷*D'Annunzio, Gabriel* (1863–1938) — włoski powieściopisarz, poeta i dramaturg, dowódca wojskowy i pilot myśliwców podczas I wojny światowej, po wojnie nacjonalistyczny agitator, wywarł znaczny wpływ na Mussoliniego, w 1924 r. nobilitowany przez Wiktora Emmanuela III i obdarzony dziedzicznym tytułem księcia Montenevoso; w literaturze zasłynął z pierwszych prób futurystycznych, później skłaniał się do ekspresjonizmu, autor wielu sztuk pisanych dla Eleonory Duse, w których miała ona kreować role główne; w powieści *Il fuoco* („Ogień”, 1900) opowiada dzieje swej miłości do tej aktorki. [przypis edytorski]

⁴³⁸*en vogue* (fr.) — modny. [przypis edytorski]

⁴³⁹*Key, Ellen* (1849–1926) — szwedzka pisarka, nauczycielka, pedagoga i działaczka ruchu kobiecego; prekursorka ruchu reformy pedagogicznej, wiązała idee społeczne i filozoficzne z koncepcją skrajnie indywidualistycznego wychowania, w którym respektuje się prawo dziecka do swobodnego rozwoju (antypedagogika); program walki o prawa dzieci do rozwoju zgodnego z naturą przedstawiła w książce *Stulecie dziecka* (1900, polski przekład wyd. 1928). [przypis edytorski]

XIX

Na pogrzeb nieszczęsnego Szacińskiego spóźniłem się, ale mało co, a byłbym moim „astralem” uczestniczył w własnym pogrzebie.

Oczywiście dostałem się zaraz po przyjeździe do Krystianii w środowisko norweskiej literackiej i malarskiej bohemy.

Przyjechałem wtedy po raz pierwszy w towarzystwie nieodstępnego mego i drogiego przyjaciela, malarza Edwarda Muncha, do Norwegii.

I Munch zapoznał mnie z bohemą norweską.

Pozostały tylko mizernawe szczątki po tej bohemie, którą zainaugurował doszczętnie zgnily, ale wyposażony ogromną potęgą sugestywnej siły Hans Jaeger⁴⁴⁰; niezwykle zdolny malarz, który potem całkiem na psy zeszedł, Krystian Krohg⁴⁴¹, i o całe niebo ich obu przerastający twórczą swą mocą Arne Garborg⁴⁴².

Naokoło tych trzech stałych słońc kręciło się mnóstwo pomniejszych planet, które zaledwie zaświeciły, już mizernie gasły; a kiedy Hans Jaeger zmusił jakiegoś młodego „adepta” do samobójstwa — Hans Jaeger był demonicznym eksperymentatorem i niejedno samobójstwo młodych jego uczniów zostało wywołane jego wściekle silną sugestią — a ten biedny samobójca zdołał jeszcze wylecieć na ulicę i wskazać na Jaegera jako ostatniego zbrodniarza, wskutek czego Jaeger czym prędzej drapnął do Paryża; kiedy to Krystian Krohg nie zdołał się uchronić od piorunów, które na niego padały, gdy się ukazała jego książka z bajecznymi ilustracjami: *Albertine* — historia prostytutki; a Arne Garborg również musiał się salwować ucieczką do Niemiec przed gromami, które jęły w niego walić po ukazaniu się jego książki *Bondestudentar* („Chłopsy studenci”) — bohema norweska utraciła grunt pod nogami.

Paru tylko jeszcze żyło tradycją Jaegera, o którym dziwy i cuda opowiadano — w całej Europie nie było ponoć większego i złośliwszego, a równocześnie większą mocą rozporządzającego demona od niego — i mnóstwo ofiar ciążyło istotnie na jego sumieniu, między innymi bardzo zdolny pisarz Arne Dybfast, którego Jaeger wyprawił w kruchej łodzi na morze, skąd Dybfast już nie powrócił; żyło obyczajem i cyniczną rozpustą tegoż Jaegera, która miała znaleźć po paru latach upust w stokroć razy przeklętej książce *Syk kjaerlighed*, w najohydniejszy sposób kompromitującej żonę jego najwięcej mu oddanego przyjaciela Krystiana Krohga, jeszcze paru doszczętnie wykolejonych wiecznych studentów, którzy już na uniwersytecie siwieć poczynali; tułał się niesamowicie doszczętny straceniec, Jappe Nilsen, z jednej kawiarni do drugiej, bo i jemu „literacka” miłość kark zwichnęła; Arne Garborg zaszył się wraz z swoją małżonką, Hildą, w głębokich lasach nad jakimś fiordem — niedawno był powrócił z Niemczech, i to z ciężkimi przeszkodami, bo gdy przybył z Monachium do Berlina, nie miał ani feniga przy duszy i, gdyby nie starania i latania Laury Marholm, nie byłby się mógł w dalszą drogę ruszyć (sam Fischer, słynny nakładca skandynawskich pisarzy, pewno do dziś dnia się wścieka, że dał się przez panią Laurę „nabrać” na 600 marek). Tak tedy, co na gruncie Krystianii wegetowało, to już były tylko wybiórki.

I każdy z nich chodził już luzem.

A gdy się przypadkowo spotkali, wtedy każdy z nich pił na umór, ale uporczywie milczeli — godzinami całymi umieli nic do siebie nie przemówić. Aż nagle, ni stąd, ni zowąd, ani człowiek się spostrzegł, wybuchały nagle nienawiści, polały się potoki ordynarnych słów „prawdy”, rozpoczęły się wrogie wycieczki w najslabszą stronę przeciwnika, a bardzo często przychodziło do zupełnie wulgarnych burd i rękoczynów.

⁴⁴⁰Jaeger, Hans (1854–1910) — pisarz norweski; zwolennik pseudonaukowej teorii antagonizmu płci; wywołał dyskusję powieściami *Fra Christiania-bobemen*, 1885, i *Sykkjaerlighed*, 1893, w których daje naturalistyczne opisy życia seksualnego studentów i propaguje wolną miłość. [przypis edytorski]

⁴⁴¹Krohg, Christian (1852–1925) — norweski pisarz i malarz, prekursor impresjonizmu w Norwegii, jedna z czołowych postaci bohemy artystycznej w Oslo, autor powieści *Albertine* (1886) stanowiącej ostrą krytykę metod działania policji obyczajowej, a opowiadającej o niezamężnej krawcowej zmuszonej przez sytuację materialną do uprawiania prostytucji; powieść wywołała skandal, nakład skonfiskowano w następnym dniu po publikacji, zaś pruderia sądów wywołała zaś protesty czytelników. [przypis edytorski]

⁴⁴²Garborg, Arne (1851–1924) — norweski dziennikarz, poeta i prozaik tworzący w języku nynorsk; pochodził z wielodzietnej rodziny chłopskiej; mąż prozastorki, dramatopisarki i tancerki, popularyzatorki folkloru i feministki, Huldy Garborg (1862–1934); autor powieści (m.in. *Mannfolk* 1886, *Trette Mand* 1891, *Fred*, 1892), a także zbiorów poezji i esejów na temat języka i literatury norweskiej, tłumacz *Odyssey* Homera. [przypis edytorski]

Nieraz sam siebie się pytałem, czemu ci ludzie tak się wzajem nienawidzą, i to literaci, którzy zazwyczaj w względnej zgodzie z sobą żyją, nie tak jak przeważnie muzycy — jeden drugiego najchętniej by w łyżce wody utopił — i zdaje się, że znalazłem na to pytanie odpowiedź.

Po czasach Ibsena, Bjørnsona, Arne Garborga, nawet Kjellanda, nawet tego starego barda „kącika ciepłego pieca”, jak Laura Marholm złośliwie nazwała Jonasza Lie, przyszła ciężka posucha na pole literatury norweskiej.

A ja trafiłem właśnie na całkowite wyjałowienie tej, kiedyś tak bujnej i żyznej, gleby literackiej w Norwegii.

Wszystkich ich, ilu ich tylko było, trapiła ciężka niemoc, prawie każdy z nich wysilił się na jedną książczynę, która coś nadziejn timer zapowiadała, a potem nagle sparaliżowanie.

To był istotnie niezmiernie ciekawy objaw.

Tomasz Krag⁴⁴³ napisał jedną — pierwszą powieść — *Miedziany wąż* — wszystkich oczy zwróciły się w stronę Kraga: doszczętnie zawiódł wszystkie nadzieje, dalsze jego powieści to liche naśladownictwa Maupassanta i Bourgeta⁴⁴⁴.

Brat jego, Wilem Krag⁴⁴⁵, debiutował całkiem niezłym tomikiem poezji, który każda panienska norweska umiała cały, caluteńki na pamięć — i na tym się skończyło.

Gabriel Finne napisał jedną kapitalną jednoaktówkę *Sowę* (*Uglen*) i na tym się skończyło, bo jego powieści już mało wartościowe.

Gunnar Heiberg wywołał niesłychaną sensację i ciężkie zgorszenie swoim dramatem *Balkon* — drukowałem go w przekładzie nieodżałowanej pamięci Stanisława Lacka swego czasu w krakowskim „Życiu” — i nic już potem nie napisał, na co by można było uwagę zwrócić.

Był tam jeszcze delikatniutki Obstfelder o duszy cichego, wytwornego szpinetu z czasów Mozarta — zmarł rychło, jedyną jego puścizną mała książeczka, której tytułu nie pamiętam; był Mons Lie, syn Jonasza, który karykaturował boleśnie nowele Dostojewskiego; był „słynny” krytyk Nils Kjaer⁴⁴⁶, chorujący na atrofię mózgu; anemiczno-rachityczny Christensen i parę jeszcze pomniejszych „wielkości”, wysiadujących przy odrębnych stolikach w Café Grand.

Jedyny, który w tym literackim środowisku sterczał *cent fois grandeur naturelle*⁴⁴⁷, był Knut Hamsun i on to napisał *Ny Jord* („Nowa Ziemia”) — jeden miażdżący, bezlitośnie druzgocący obrachunek z jego współczesnymi braćmi po piórze w Norwegii.

Otóż wydaje mi się, że właśnie ta świadomość tej niemocy artystycznej, tego doszczętnego wyjałowienia i tej beznadziejnej posuchy — wywoływały w tych artystach rozpaczne zgorzknienie, wzajemną nienawiść, a gdy który miał jakie takie powodzenie, zawziętą zawiść zazdrości.

A szczytem ich marzeń było dostać się za granicę, ujrzeć swój utwór w niemieckim lub — tu już serca były namiętym, przyspieszonym tętnem — w francuskim tłumaczeniu.

Również jak bohema niemiecka, przewyciężała bohema norweska brutalny naturalizm Jaegera (dziwna rzecz, że wszechmożny wpływ jego jednakże pokutować nie przestał), brutalniejszy jeszcze Strindberga, wruszano ramionami, gdy była mowa o Bjørnsonie, uśmiechano się litośnie, gdy wspominało się o Jonaszu Lie lub Kjellandzie — wcale zręcznego epigona Turgeniewa. Bogiem tych „młodych” został nagle duński pisarz E. P. Jacobsen, ten niezmiernie przeczulony, ponad miarę wydelikacyony, suchotniczy geniusz Skandynawii, i w tym to czasie — może największą jego zasługą — wygrzebano z zapomnienia duńskiego filozofa — poetę, Sörena Kirkegaard⁴⁴⁸, którego *Dziennik uwo-*

⁴⁴³ Krag, Thomas Peter (1868–1913) — neoromantyczny pisarz norweski, autor nastrojowych liryków i folklorystycznych powieści. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴ Bourget, Paul (1852–1935) — francuski pisarz i krytyk; napisał głośną powieść *Le Disciple* (Uczeń, 1889), wymierzoną przeciw ateizmowi i pozytywizmowi w nauce i moralności. [przypis edytorski]

⁴⁴⁵ Krag, Vilhelm (1871–1933) — norweski poeta-liryk i powieściopisarz, kierownik teatru narodowego w Krynstianii po Bjørnsonie. [przypis edytorski]

⁴⁴⁶ Kjaer, Niels (1870–1924) — pisarz i krytyk norweski. [przypis edytorski]

⁴⁴⁷ *cent fois grandeur naturelle* (fr.) — powiększony stokrotnie; tu: stokroć większy od wszystkich osób z jego otoczenia. [przypis edytorski]

⁴⁴⁸ Kirkegaard, Sören (1813–1855) — pisarz duński, teolog i filozof, reprezentował idealizm subiektywny; prekursor egzystencjalizmu. Wspomniany *Dziennik uwodziciela* (*Torfererens Dagbog*) drukował Przyb. w „Życiu” krak. z r. 1899 nr 8 i n. [przypis edytorski]

dziciela dałem również w redagowanym przeze mnie „Życiu” krakowskim w tłumaczeniu tegoż samego Stanisława Lacka, który na moją usilną prośbę wyuczył się duńskiego języka w przeciągu jednego miesiąca i to w Krakowie; szczęśliw jestem, że mogłem mu dać bardzo wydatną pomoc, ale i tak świadczy świetne tłumaczenie Lacka o niezwykłych zdolnościach tego przedwcześnie zmarłego, a niezwykle utalentowanego, głębokiego i wnikliwego krytyka — jedyne, swoją drogą, którego Stanisław Wyspiański uznawał i jeszcze na łożu śmierci o niego się dopytywał.

Nils Lyhne i Marie Grubbe Jacobsena, poza tym *Dziennik uwodziciela* Kirkegaarda stanowiły niejako biblię młodej generacji literackiej nie tylko w Norwegii, ale i całej Skandynawii. Nie było prawie artysty wśród „młodych” Skandynawczyków, który by nie był wykrajał żywy kawał mięsa z tego prometeuszowskiego torsu Kirkegaarda. Jeden zgotował tylko cienki bulion z tego ochłapu, a wslawił się na całą Europę swoją powieścią: *Dziennik panny Julii* — Piotr Nansen⁴⁴⁹ zwał się ten pan — a mnóstwo ich było, którzy nie tylko w literaturze wypładrowywali nieszczęsnego „uwodziciela”, ale i na jawie go przeżywali. Natrafiłem właśnie na skandaliczny proces takiego „uwodziciela”, a uwiódł on istotnie około sześćdziesiąt dziewcząt, i to z najlepszych domów w Kopenhadze, a o każdej z nich prowadził ściśle, dokładne, drobiazgowo zapiski.

Wobec tego uwodziciela był *Disciple* biednego Bourgeta istotnie biedną, głupią sierotką, a gdyby Bourget nie był się wtedy całkiem już schował pod kobiece kiecki, to by musiał zwalić całą winę raczej na heroinę swej powieści, a nie na biednego *Disciple*, który był głupi jak żak.

I nie ma powieści z tych czasów, w których by nie pokutował Nils Lyhne lub Stög Jacobsena; poza tym cieszył się wielkim uznaniem Maupassant, Bourget, neokatolik Hello⁴⁵⁰ i — Dostojewski, którego całego poznałem właśnie w Skandynawii, i to w wspólnym tłumaczeniu norweskim; dotychczas znałem tylko *Winę i karę*.

Dostojewski — tylko uznany? — Nie, nie! — Nieściśle się wyraziłem — wpływ jego był olbrzymi, ale z całej tej młodej generacji skandynawskiej nikt nie był w stanie dokładnie go zrozumieć — jedyny Knut Hamsun zdołał go przetrwać, oczywiście, o ile Słowianina Norweg przetrwać jest w stanie. Na razie przetrwał go tak dokumentnie, że ponoć w „somniałucznym transie” ogłosił *Gracza* Dostojewskiego jako swój własny utwór. Jak boleśnie musiał biedny Hamsun odcierpieć ten swój bezwiedny plagiat! Głębiej już i samoistnie całkiem przeżył Hamsun Dostojewskiego w *Misteriach*, a nietrudno odnaleźć w bohaterze *Głodu* Raskolnikowa.

Dziwić się Hamsunowi! Przecież i ja — przyznaję się szczerze — musiałem się rękami i nogami bronić przed przemożnym wpływem tego olbrzymiego Shakespeare’a powieści, a byłem przerażony, jakie zagony zaczął zapuszczać ten potężny władca w moją biedną ojcowiznę! A jak bezwiednie zaciążył Dostojewski na jedną chwilę na mojej twórczości — dowodem *Dzieci Szatana*; zdumiewające tylko, że pisząc *Dzieci Szatana* nie znałem jeszcze *Biesów*, ale powieść cała zdaje mi się być wysnuta z ducha Dostojewskiego.

Ta cała dywagacja była tym razem potrzebna, bo daje wprawdzie tylko z gruba nakreślony szkic ówczesnej bohemy norweskiej, ale w gruncie rzeczy całkiem prawdziwy.

Na przyjęcie „zamorskiego” gościa — ja zawsze i wszędzie, a nawet i w mojej Polsce byłem „zamorskim” i „przybyszem” — nastąpiła *treuga Dei*⁴⁵¹. Siedliśmy wszyscy przy jednym stole — a było to już dwa dni po pogrzebie Szacińskiego — i piliśmy, piliśmy... Wtedy przeprowadziły niewiasty — wszechmocne niewiasty norweskie — w norweskim Storthingu⁴⁵² „bill”, na mocy którego nie było wolno sprzedawać alkoholu w fiaskach, więc kupowano od razu całe beczki.

Ja już tu byłem znany; postarał się o to słynny poeta duński, Holger Drachmann, z którym żyłem w Berlinie w bardzo pogodnej przyjaźni, a który napisał już kilka ar-

Literat, Duch

Kobieta, Alkohol,
Pijaństwo, Prawo,
Mężczyzna, Walka, Władza,
Państwo

⁴⁴⁹Nansen, Piotr (ur. 1890) — duński pisarz, dziennikarz i wydawca. *Dziennik panny Julii* nosi w oryginale tytuł *Julies Dagbog*. [przypis edytorski]

⁴⁵⁰Hello, Ernest (1828–1885) — fr. pisarz katolicki, polemizował z Renanem w utworze *M. Renan et la vie de Jesus*. [przypis edytorski]

⁴⁵¹*treuga Dei* (średniow. łac.) — pokój boży; ustanowiony w XI w. przez papieża okres 230 dni w roku, w których nie wolno było panom feudalnym wojować między sobą. [przypis edytorski]

⁴⁵²*Storting* (norw. *Stortinget*) — jednoizbowy parlament Królestwa Norwegii, funkcjonujący 1814 r.; najwyższy organ władzy politycznej w Norwegii, posiadający władzę ustawodawczą oraz sprawujący kontrolę nad rządem. [przypis edytorski]

tykułów o tym niezwykłym Polaku, co od jakiegoś czasu niepokoi orgiazmem swego „demonicznego” temperamentu ciężkie sny „młodych Niemiec”, żądnych spoczynku po dziesiątym kufiu piwa.

A pisał w duńskim piśmie „Politiken”, które każdy człowiek w całej Skandynawii, nawet każdy robotnik czyta.

Z całej serii artykułów o mnie wyróżniał się jeden, poświęcony wyłącznie mojej barbarzyńskiej grze Szopena, pod tytułem: *Nowoczesny łapacz szczurów z Hameln*; właśnie ukazał się, gdym tego dnia do Krystianii przyjechał.

W niesłychanych, fajerwerkowych parabolach i hiperbolach opisywał moją chimeryczną grę: nie mógł sobie zdać sprawy, czy gram rękoma, czy też łokciami; nie wiedział, czy instrument, nad którym się „sadyście” zjęcam, jest jakimś pierwotnymi organami z czasów Karola Wielkiego w X stuleciu po Chrystusie, czy też jakąś trąbą jerychońską, lub też harfą eolską; opisywał złośliwie i dowcipnie, jak moi słuchacze popadali w trans, a w końcu nic nie widzieli, jak tylko białe — oczywiście jakiegoś ducha — zmateriaлизованe ręce, latające w dzikich pościgach po jakiejś nieprawdopodobnej klawiaturze. I teraz dopiero zdołał odczytać poplątane hieroglify mojej *Totenmesse* i *Wigilii*.

Troszkę mi się niesamowicie zrobiło — to nie jest zbyt wielką przyjemnością, gdy już na progu życia tworzą się naokoło człowieka niesłychane legendy.

Poza tym rozniosło się już, że stary Ibsen, tak szczelnie zapięty na wszystkie guziki, że właściwie nic się na nim nie widziało, prócz tych guzików surduta, podpiętego pod samą brodę, zaszczylił mnie w przededniu mej wizyty u Szacińskiego uprzejmą rozmową na jakimś raucie u ministra Blehra.

A otóż ta wiekopomna rozmowa, która słowo w słowo po jakimś czasie powtórzyć się miała:

— A-a! — bardzo uprzejmy uścisk dłoni. — Dużo, już dużo o panu słyszałem: dużo dobrego i dużo złego, ale ważniejsze jest, jeżeli się o młodym artyście dużo złego słyszy.

Jakaś ekscelencja podeszła ku nam i rozmowa się przerwała.

Już nam się wszystkim dobrze dymilo z czuba, kiedy wybiła godzina jedenasta, fatalna godzina, którą nieraz w żywe kamienie przeklinałem, bo w tej chwili gaszą w wszystkich lokalach światło. Obojętne, czy na stole stoi jeszcze nienaruszona flaszka, czy też nie — o jedenastej Krystiania umiera!

Swoją drogą nie wiem, czy tam światło gaszono, boć to przecież wtedy w Norwegii w lecie o północy jeszcze całkiem jasno, jak u nas o szóstej po południu.

W każdym razie musieliśmy się wszyscy na gwałt z Café Grand — to był rodzaj kawiarni berlińskiej, która popularnie zwała się: Café Grossenwahn — wynosić; istotnie na gwałt — kelner norweski jest brutalny, demokratyczny i nie zna żartów.

Na Karl-Johannsgade — równie szerokiej jak Newskij Prospekt w Petersburgu — rozpoczęła się narada, co dalej począć: przecież my dopiero rozpoczęliśmy ucztować!

A i mnie było niezmiernie trudno teraz się z moimi współbiednikami rozłączać, tym trudniej, boć właśnie przed dziesięciu minutami nadszedł Knut Hamsun w towarzystwie jakiegoś grubego jegomości. Przyszedł ten Knut Hamsun, którego byłem tak niezmiernie ciekaw, przyszedł on, który na całe mile stronił od wszystkiego, co się „literaturą” nazywało — a przyszedł, by mi okazać swoją głęboką wdzięczność, że się tak „cudownie z nim obszedłem”⁴⁵³, jak twierdził.

Głęboko się zawstydzilem. Wprawdzie napisałem krótko po napaści Żydka berlińskiego — zresztą gorąco przez Hauptmanna propagowanego — Feliksa Hollandera⁴⁵⁴, na Knuta Hamsuna, że wykroił kilkanaście zdań z Dostojewskiego *Gracza* — entuzjastyczny dwuarkusowy artykuł w najpoczytniejszym tygodniku niemieckim (ba, tygodnik ten był nawet *Weltblatt*’em⁴⁵⁵: „Zukunft” Maksymiliana Hardena) o *Misteriach* Hamsuna, wykazałem całą jego niepomierną głębię i wielkość w tej bolesnej pustyni, jaką poonczas upiornie świeciła literatura prawie całej Europy; ale czułem się bardzo nieswojo, gdy on — pewno o piętnaście lat ode mnie starszy artysta, któremu zawdzięczałem

⁴⁵³Ze się tak „cudownie z nim obszedłem” — chodzi o recenzję autorstwa Przybyszewskiego powieści Knuta Hamsuna *Mysteriën* w czasopiśmie „Die Zukunft” (nr 105, t. 8, r. 1894). [przypis edytorski]

⁴⁵⁴Hollaender, Feliks (1867–1931) — pisarz niemiecki, dramaturg i krytyk teatralny. [przypis edytorski]

⁴⁵⁵tygodnik ten był nawet *Weltblatt*’em — żart. gra słów wskazująca na światowy zasięg tygodnika. [przypis edytorski]

jedno z najgłębszych wrażeń wśród mej mozolnej wędrówki po jałowym obszarze współczesnej literatury — podszedł ku mnie, smarkacza 26-letniego, i z gorącym wylaniem jął mi dziękować.

Byłem już porządnie pijany, gdy Knut Hamsun do mnie podszedł, i w tej samej chwili wytrzeźwiałem. To nagle doszczętne wytrzeźwienie z całkiem pijanego transu raz tylko jeszcze miało się w moim życiu powtórzyć. Siedziałem ciężko zamroczony w łożu teatru łódzkiego, kiedy jeszcze Grubiński był jego dyrektorem. Wiedziałem, że się coś na scenie działo — grano mój dramat *Dla szczęścia* — wytrzeszczyłem oczy, ale nic nie widziałem, a jednak czułem, że się tam coś zdumiewającego dokonuje — nie trwało pięciu minut, a byłem trzeźwiuteńki, jak gdybym w ogóle kieliszka wódki nie miał przez cały dzień w ustach, a przecież piłem od samego rana do wieczora. Stał się cud: Edward Olszewski grał rolę Żdźarskiego w *Dla szczęścia*. Tak mi jej nikt nie zagra — tak jak nikt nie będzie w stanie zagrać po starym Leszczyńskim, tym magnacie sztuki aktorskiej, roli Ruszczyca w moim *Złotym runie*.

To mimochodem.

I tak staliśmy — pewno było nas dziesięciu — przez jakiś czas na tym szerokim „Newskim Prospekcie” Krystianii — obecny fanatyczny i groteskowy szowinizm norweski przechrzcił Krystianię na Oslo (tak się zwała pierwotna osada Wikingów na tym miejscu) — aż wreszcie odezwał się on gruby jegomość, który przyszedł wraz z Hamsunem do Grand Café. — Ja was wszystkich do siebie zapraszam! I mam doskonały fortepian! — dodał z dziwnym jakimś triumfem.

Oczywiście przyjęliśmy z radością jego propozycję — my? głównie ja, bo byłoby mi niezmiernie przykro rozstać się teraz z Hamsunem, z którym mnie już odtąd miała łączyć aż po dzisiejszy dzień serdeczna przyjaźń.

Szliśmy i szliśmy, aż wreszcie otwarła się jakaś brama. Gospodarz otwierał jedne i drugie drzwi, ale dziwne, że wciąż szliśmy w dół — aż wreszcie znaleźliśmy się w głębokiej piwnicy — piwnicy wytapetowanej w olbrzymich, stereometrycznych wymiarach ogromnymi beczkami: wzdłuż piwnicznego salonu beczka przy beczce — to stół biesiadny... wzdłuż tego stołu mniejsze beczki: to stołki!

Gościnny gospodarz rozbudził służbę, która strzegła jego piwnicznych skarbów, i w mig polał się w niesłychanej obfitości francuski szampan Veuve Cliquot — w Norwegii nie pito innego, nikt by nie tknął niemieckiego Mathias Müller.

Gorącymi słowami przywitał mnie Knut Hamsun — och! jak on pięknie umiał mówić — potem otworzyły się drzwi do przyległego pokoju, ale już nie piwnicy: był to obszerny pokój mieszkalny gospodarza, jadalnia, sypialnia i salon dla gości (tylko dla „wybranych gości”) zarazem, a w środku stał świetny instrument: fortepian Bechsteina!

Okazało się niebawem, że ten gruby jegomość, który tak Hamsuna ukochał, że był może więcej o niego zazdrosny, jakby mógł być zwykły człowiek o ukochaną kobietę — ten najsłynniejszy handlarz win na całą Norwegię — był doskonałym muzykiem, stworzył kilkanaście istotnie pięknych pieśni: rzewnych, słodkich, cichą, delikatną melancholią spowitych pieśni dla dzieci.

— Wytłumacz mi — szepnął mi Munch do ucha — dlaczego najsilniejsze, może najwięcej brutalne narody rozkochały się w tej mdłej, sentymentalnej słodkości? A tak samo w malarstwie: taki dziki naród, jak Czarnogórcy, malują tak słodkawe, sentymentalne obrazy, że można by wymiotować; a ten — ja go znam — na chwilę by się nie zawahał swojemu konkurentowi kark skrócić, a równocześnie pisze niańczyne kołysanki dla małych dzieci!

Ta uwaga Muncha zrobiła na mnie dziwne wrażenie — mógłbym na ten temat napisać obszernie studium psychologiczne, a w pierwszym rzędzie o sobie samym: człowiek o nieskończenie przeczulonych, przedelikaconych nerwach miał się stać potwornym satanistą! He, he! Jakim świętym musiał być Huysmans, gdy się płał w rozkoszy opisów najniesłychańszych zbrodni Gilles de Rais’a w *La-bas*; a gdyby kuzynka naszego wspaniałego króla Batorego — piekielna sadytka, Elżbieta Batory, która coś około 120 swoich służebnic zamordowała w najohydniejszy sposób — miała trochę talentu muzycznego, byłaby

Okrucieństwo, Interes,
Dziecko, Sztuka

stworzyła jakąś przedziwną „Modlitwę dziewicy”, pisałaby *Le souvenir de ma chaumière*⁴⁵⁶ i wpędziłaby nieśmiertelną Bądarzewską⁴⁵⁷ w kozi róg.

— Teraz nam Przybyszewski zagra! — zawołał Knut Hamsun — i zamorskie zwierzę, egzotyczny przybysz — on, któremu w duszy bezustannie płakało:

*Ferne komm' ich her,
Über Berge, über Schlünde —*

Muzyka, Polak, Modlitwa,
Artysta, Pobożność,
Wspomnienia, Tęsknota,
Łzy

grał wtedy jak opętaniec, długo, długo, bo wciąż słyszał: — Jeszcze! jeszcze!

Nagle zerwało się egzotyczne, zamorskie zwierzę:

— Teraz wam zagram najniesłychaną rzecz, jaką Kościół katolicki w świętym swoim majestacie stworzył — a stworzył ją w jednym kraju, który posiadał klucze do tajemnic katolickiej wiary — w Polsce! Słuchajcie! Teraz zagram wam: *Święty Boże, Święty Mocny!*

Raz, drugi i trzeci!

I stało się coś zdumiewającego:

W głębokiej piwnicy grubego handlarza win rozległa się pieśń nad pieśniami: *Święty Boże, Święty Mocny!*

Wszyscy śpiewali — oczywiście bez słów, których by nawet wymówić nie mogli, ale z taką czcią i tak głębokim nabożeństwem, że rady dać sobie nie mógł i z ciężkim trudem powstrzymywałem ciężki ryk płaczu — konwulsyjnego płaczu nostalgii za „tą jedną jedyną”, niech Bóg broni, „Ukrainą” — ale za Łojewem i tym cudownym kościółkiem w Górze, gdzie mi wielkiej a świętej pamięci ksiądz Kompf dawał pierwszą komunię.

A, prawda! Obecny był również słynny norweski rzeźbiarz Stefan Sinding⁴⁵⁸, który rok później miał mnie serdecznie gościć w swoim atelier w Kopenhadze.

Opowiadałem mu, że podczas tej pieśni ciężko grzeszni ludzie kładą się krzyżem na posadzce kościoła.

— Jak, jak? — pytał z gorączkowym zaciekawieniem.

— Ot tak! — i wyciągnąłem się na krzyż w piwnicy handlarza win w Oslo, i ryknąłem ciężkim płaczem — ha, ha, ha! — z tęsknoty za Łojewem...

Całkiem jasny był dzień, gdy się obudziłem — jasny? przecież tam w Norwegii wciąż było jasno — pamiętam, że o jasnym dniu zaprowadził mnie Jappe do swego mieszkania, bo do mego hotelu było za daleko.

A obudziłem się, bo ktoś na mnie krzychał: „Sposób⁴⁵⁹ się do śmierci!”

Siadłem na posłaniu, z trudem się zorientowałem, gdzie jestem, przetarłem oczy... ujrzałem kochanego Jappe, stojącego na swoim łóżku z wyciągniętym rewolwerem.

— Gotuj się na śmierć! — wołał Jappe.

Nie miałbym nawet czasu odpowiednio się na śmierć przygotować, bo w tej chwili świsnęła jedna i druga kulka rewolwerowa naokoło mych uszu; a jakim cudem zdołałem opanować deliranta — tego już nie wiem.

I po cóż przytaczam ten głupi fakcik?

Jedynie dlatego, że nigdy przedtem ani potem nie odczułem tak intensywnie pobliża śmierci, jak tego rana.

Dwa razy się w Gople topiłem i z trudem powrócono mnie do życia; zażyła była mi rozkosz śmierci już od najrychlejszego dzieciństwa: jakimś dziwnym przecuciem czegoś straszno gnana matka moja wpadła do pokoju, kiedy obłąkana ciotka moja schwyciła mnie, roczne dziecko, za nogi i huśtała w powietrzu, by mi o ścianę główkę roztrzaskać — i to opowiadanie przeżywałem z cichym uśmiechem — ale nigdy mi śmierć nie zajrzała tak głęboko, tak poufale w moje oczy, jak wtedy, gdy obeszwał obłąkanego deliranta.

W tej strasznej chwili rozwarła mi się na oścież tajemnica śmierci, naokoło której już teraz ustawicznie krążyć jałem. Oścież się w tej chwili zamknęła, ale wiedziałem już, kędy tajemnice śmierci spoczywają.

⁴⁵⁶ *Le souvenir de ma chaumière* (fr.) — pamiątka z mej chaty. [przypis edytorski]

⁴⁵⁷ Bądarzewska-Baranowska, Tekla (1838–1862) — kompozytorka polska, autorka popularnej *Modlitwy dziewicy*. [przypis edytorski]

⁴⁵⁸ Sinding, Stephan (1846–1922) — rzeźbiarz norwesko-duński, tworzył w stylu realistyczno-symbolicznym; najważniejsze dzieła: *Noe*, *Walkiria*, *Niewolnik*. [przypis edytorski]

⁴⁵⁹ *sposobić się* (daw.) — przygotowywać się, gotować się. [przypis edytorski]

Na drugi dzień — punkt o dwunastej w południe — zetknąłem się po raz wtóry z Ibsenem; poznał mnie — skłoniłem mu się do nóg.

— A, a! — powiedział — już znam pana, słyszałem dużo dobrego o panu i dużo złego, ale to dobrze, bardzo dobrze, jeżeli o młodym artyście mówi się dużo złego — znowu głęboko się pokłoniłem. — A gdy pan przyjedzie do Berlina, niech pan pozdrowi mojego przyjaciela Blumenthala!

Uściskał mi rękę i hierofantycznym krokiem — taki krok pewno tylko nieboszczyk Kant odmierzał, kiedy był swego czasu najpewniej idącym zegarem dla Królewca — poszedł do Café Grand, gdzie już go oczekiwały wszystkie pisma niemieckie, które od deski do deski studiował, i flaszka whisky. A stała ona na jego stoliku nawet w sobotę, kiedy żaden śmiertelnik nie mógł w Krystianii kropli alkoholu otrzymać, bo mądry Ibsen zakupywał tę flaszkę już w piątek, była zatem jego własnością...

I w tej chwili staje mi na pamięci jeden fakt z mego dzieciństwa, dziś już zamroczony w niejasnej mgłę poszarpanego trochę wspomnienia, ale dosyć jasny, by zdradzić źródło tego, dla moich współczesnych może całkiem niezrozumiałego i chimerycznego — nie tylko to — ale już wprost namiętnego zajmowania się przez blisko 30 lat kwestią czarów, czarownic i wszystkiego tego, co jest z pojęciem tak zwanego „satanizmu” związane.

Fakt ten blisko łączy się z moją zażyłością z śmiercią, tylko już nie nagłą, a niespodziewaną, o którą będąc dzieckiem — na przekór wszystkim — Boga prosiłem, ale z tą powolną, na jaką ludzie w renesansie konali, kiedy ich powoli truto piekielnym preparatem: *aqua tofana*⁴⁶⁰.

W domu naszym służyła starsza już dziewczyna — skryta, ponura, cierpiąca na ciężką epilepsję — matka z litości ją tylko trzymała — a poza tym złośliwa i okrutna dla zwierząt. Dziecko, jak wiadomo, jest najwspanialszym detektywem w świecie: często ją podpatrywałem, jak się ohydnie nad zwierzętami pastwiła, ale jakiś dziwny wstyd i tajemniczy lęk nie pozwolił mi jednym słowem o tym rodzicom moim wspomnąć⁴⁶¹.

Jedno takie piekielne wspomnienie do dziś dnia zimnym dreszczem mnie przeszywa.

Jak wiadomo istnieje na wsi tasak, w formie dużego S, który służy do „krychania” kartofli, to znaczy rozdrabniania ich na drobne cząstki, by przysposobić „żarcie” dla świń; polewa się to Bóg wie jakimi pomyjami, a tak przyrządzoną potrawę świnię chętnie pożerają.

Otóż pamiętam: raz uzbierała ta dziewczyna-zwierzę — Ulicha było jej na imię — cały duży kosz ropuch (a na nadgoplańskich błotach, bagnach i zabagnionych stawach panowało przeobfite bogactwo wszelakiego rodzaju żab, ropuch i wszelkiego rodzaju padalców) wzięła tasak do ręki i posiekała ten cały kosz żyjących ohydnych ropuch na drobne kawałki, oblała tę piekielną gnojówkę żywego jeszcze mięsa ropuch jakimś wrzątkiem, a potem wlała to świniom do koryta.

Matka była zrozpaczona, kiedy po paru dniach dwie najpiękniejsze świnię — majątek cały — nagle zdechły; ja wiedziałem dlaczego — a zdumiewające: milczałem! Zdawało mi się, że gdy tajemnicę tę zdradzę, coś niesłychanego się stanie — kto wie, czy ojciec mój nie byłby Ulicy ubił!

To tylko maleńki przykład zbrodniczego okrucieństwa tej chłopskiej Alrauny — Alrauna Heinza Ewersa to prosta, salonowa lala, lichuteńka karykatura tej wścieklej srogiej czarownicy — Ulicy, a w całej wsi uchodziła za notoryczną czarownicę: omijano ją z daleka, a wszystkie matki zakrywały na jej widok niemowlęta swoje czerwonymi chustkami.

Raz widziałem, jak krowie naszej, która ją przy złośliwym i widocznie bardzo bolesnym dojeniu ubodła, podrzuciła koniczynę, doszczętnie podczas ciężkiej burzy przemokłą, a krowa po paru godzinach się wzdeła i zdechła; chłopakowi, który ją przeżywał czarownicą, dała do picia cukrem osłodzony wywar z ziarn „pindyryndy” (*Datura stramonium*), tak że chłopak potem spał pięćdziesiąt godzin, a obudził się idiotą; jakiemuś uczniowi wiejskiego szewca, który o niej opowiadał, że chciała sobie „chłopa” kupić za pieniądze, podrzuciła jakiś „placuszek” — chłopak był głodny — zjadł, chorował potem parę tygodni, a gdy się wygoił z jakichś tajemniczycy ran, cały był poskręcany i już potem tylko o kulach mógł chodzić.

⁴⁶⁰*aqua tofana* (wł.) — silna trucizna wynaleziona w końcu XVII w. przez Włoszkę imieniem Tofana. [przypis edytorski]

⁴⁶¹*wspomnąć* — dziś popr.: wspomnieć. [przypis edytorski]

Raz ojciec wyciął jej ciężki policzek za nieposłuszeństwo — i w głowę zachodził na drugi dzień, co się stać mogło: miał trzy duże grzędy przepięknych maków, które namiętnie hodował i z których był bardzo dumny; widziałem, jak Ulicha późnym wieczorem skradała się między grzędami. Co tam robiła, nie wiem — dość, że rano; cały ten przepych maków jakby szronem był zwarzony, zwiądl całkiem w ciągu dnia i zsechl.

A ja na wszystko milczałem, mimo że najstraszliwsze męczarnie przechodziłem.

W szkole ojca mojego wisiał duży, pozłacany krzyż — raz w niedzielę, gdy rodzice byli w kościele, zaprowadziła mnie do szkoły, zaczęła tańczyć po ławkach jak opętana, a nagle przystanąła przed krzyżem i poczęła na niego pluć. Dostałem tak straszliwego wstrząsu, że na ziemię upadł — ale milczałem.

Nieraz była moja matka ciężko przerażona, gdym wybuchował⁴⁶² nagłym konwulsyjnym płaczem — ale cóż — chciałem coś powiedzieć, a nie mogłem, mój język był związany.

Coraz głośniejsz już nie przebąkiwano, ale otwarcie mówiono, że Ulicha jest czarownicą, ale matka moja była zbyt starannie wychowana, by w takie brednie wierzyć, a ojciec mój był właśnie na to powołany, by jak najostrzej tępić wśród ludu gusła i zabobony.

Ulicha była przybłądą — nikt nie wiedział, skąd się przyplątała do naszego domu; sama nie wiedziała, jak się nazywa — coraz to inne nazwisko podawała, a im więcej ją na wsi prześladowano, tym goręcej broniła jej matka moja w swej bezbrzeżnej miłości do wszystkiego, co cierpi i jest udręczone.

Ale nadeszła chwila, kiedy matka wpadła w ciężkie przerażenie.

Ojciec nienawidził Ulicę⁴⁶³ — i znowu ją raz ciężko ukarał.

Ulicha wiedziała, jak mnie ojciec kocha — postanowiła pomścić się na mnie. Ojca się bała.

Nagle — ni stąd ni zowąd — poczęłem ciężko chorować na jakiś potworny ból głowy, na który nawet tak doświadczony lekarz, jakim był stary Rakowski w Inowrocławiu, rady nie miał.

Ja wiedziałem, co się stało, ale milczałem.

Ulicha chwyciła mnie, wcisnęła między kolana, rozciąła mi skórę na czole — dotychczas mam bliznę — wtarła w ranę sok niedojrzałych śliwek, który przedtem opluła, mnie zaś kazała powiedzieć, że czło sobie rozciął o kant stołu, bo inaczej żywcem do piekła się dostanę — i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że już po paru godzinach wilem się z bólu głowy i trzęsła mną zimna febra, czyli, jak to na Kujawach nazywają, zimna „ogroszka”.

Ale czuwała nade mną Łucha Ławecka; gdym przyszedł na świat, była matka moja za słaba, by mnie karmić, więc otrzymałem ją jako matkę mleczną — mój mleczny brat, Jaśko, miał mi potem służyć za model do Adama Drzazgi⁴⁶⁴. Łucha obejrzała mnie dokładnie, potem poszła do pieca, z którego Ulicha właśnie świeżo upieczony chleb łopatą wyciągała; słyszę przerażony krzyk matki: „Jezus Maria! Co się stało? co bochenek, to zakalec!” — Ale Łuchę nic biadanie mej matki nie obchodziło. Wyciągnęła z gorącego pieca kilkanaście drobnych kawałków węgla drzewnego, nagotowała miskę wody — wrzuciła do niej węgielki: wszystkie opadły na dno:

— Stasio jest uroczony! — zawyrokowała. — Ta czarownicza małpa Ulicha urok na niego rzuciła!

Widziałem, z jakim przerażeniem lękiem patrzyła Ulicha na praktyki Ławeckiej.

Gdy już noc zapadła, nagrzebała Łucha w swoim ogródku korzeni żywokostu, zgotowała je na miazgę, o północy wyjechała na Gopło, nazrywała liści „bączywia” (białych lilij wodnych), skrapiała je wywarem korzeni żywokostu, ostudzonego w święconej wodzie — zaczerpniętej w źródleku Gietrzwałdzkim, przy którym kilka miesięcy temu Matka Boska paru dziewczynkom się objawiła; całą noc przykładła mi te liście na głowę i na piersi — wciąż coś mamrotała — wiem tylko, że nie były to słowa modlitwy. Na drugi dzień stał się cud: wstałem zdrów i rześki jak nigdy — natomiast znaleziono Ulicę

⁴⁶²wybuchował — dziś tylko: wybuchal (również w odniesieniu do formy wielokrotnej). [przypis edytorski]

⁴⁶³nienawidził Ulicę — dziś konstrukcja z D.: nienawidził Ulicy. [przypis edytorski]

⁴⁶⁴Drzazga, Adam — tytułowy bohater powieści Przybyszewskiego, stanowiącej część trzecią trylogii *Dzieci nędzy*. [przypis edytorski]

w stogu słomy, trzęsącą się z zimna mimo upalne lato⁴⁶⁵, kłapiącą i szczękającą zębami wskutek srogiej zimnicy.

Ulicę trzeba było zawieźć do szpitala w Inowrocławiu, gdzie niezadługo potem umarła.

To klasyczny przykład *Choc en retour*, jakim by nawet się ani Vintras, ani słynny dr Johannes Huysmansa poszczycić nie mógł — bajeczny przykład „transferu”, który by naszego dra Babińskiego⁴⁶⁶ lub wielkiej pamięci Ochorowicza⁴⁶⁷ mógł w zachwyty wprowadzić!

Teraz może zrozumiałe, dlaczego tyle lat życia poświęciłem zbadaniu tego zdumiewającego problemu, jakim jest dla mnie „czarownica” — dwutomowe dzieło o czarownicy, które, Bóg da, niezadługo się ukaże, będzie świadczyło o ciężkim trudzie, z jakim się w tą niesłychaną tajemnicę wdzierałem.

To tylko drobniańki „fakcik”, jaki powyżej przytoczyłem. Byłem jako chłopak świadkiem tak potwornych czarodziejskich praktyk, że już lepiej o nich nie mówić, ani nie wspominać — czasami mam wrażenie, że i mnie zobowiązuje jakieś tajemnicze *maleficium taciturnitatis*⁴⁶⁸.

Zdawałoby się, że to wspomnienie, kiedy mowa o moim pobycie w Skandynawii, ni przypiął — ni przyłatał. Oj, nie! — gwałtownie mi się narzuciło: czym głupie rewolwerowe wystrzały obłąkanego deliranta wobec szatańskich ataków niewidzialnego astrala czarownicy?!

XX

I tak byłby mój słynny pobyt w tej mojej „duchowej ojczyźnie” spełznął na niezmiernie dotkliwej nostalgii — sama Norwegia nic mi nie dała — natomiast niesłuchanie wiele ta ciężka tęsknota za krajem i bolesne uświadomienie sobie mojej obcości, odrębności i doszczętej „inności”. A zapewniam, że nie jest słodką rzeczą czuć się wśród obcych „innym” — nie odczuwać nic z nimi razem „wspólnego”. Inna rzecz wśród swoich: być „innym” może nawet dumą przepelniać, podnosić na duchu — he, he — świadome lub nieświadome wyodrębnienie się w rodzimym środowisku może być źródłem bardzo przyjemnego „snobizmu”, dawać nawet dziecinne poczucie wyższości nad swoim otoczeniem — ale inna rzecz, gdy się jest wyodrębnionym, gdy się jest istotnie obcym, zamorskim przybyszem wśród całkiem obcego społeczeństwa.

Ja — dziecko płaszczyn, równin, „dziadowskich mórz”, całych pustyni piasków — nie lubiłem gór; właściwie nie były to góry w okolicy, którą zamieszkałem, ale płaskozwiza, warstwy płaskozwyz, pnące się jedne nad drugimi coraz wyżej, coraz wyżej; wszystko to obrosłe nieprzebytymi lasami, a gdzieś tylko okiem wystrzelił, natychmiast następowało coś w rodzaju reperkusji — pocisk oczu wracał z powrotem i ranił mnie.

Zamykałem wtedy oczy: przenosiłem się myślą nad Gopło, nad Durowskie Jeziora, gdzieś w okolice Łojewa lub Wągrowca; majaczyły się mi ustawicznie toruńskie Majdany, cały mózg zaroił się wspomnieniami z Kujaw, pijanymi chłopami, co po drodze trumny gubili, obłąkanymi torfiarzami, którzy duchy masonów po nadgoplańskich bagnach poświęconymi „trojakami” wystrzelowali, Rusztyki, co na pochybel Panu Bogu w święto Bożego Ciała ziemię orali, ciemne klasztorne mury nad Wełną z opodal leżącym „choletrycznym” upiornym cmentarzyskiem. Jedyłą moją rozrywką było wystawanie godzinami całymi na moście nad bardzo bystro rwącą rzeką Glomen, tej szerokości, co Wisła pod Warszawą, i wpatrywanie się w nieprzeliczone kłody drzew, które gdzieś tam w górach ścinano i wprost do rzeki rzucano. Dniem i nocą wściekała się ta straszliwa drzewna lawa, tworzyła zatory, piętrzyła się w górę, tak że całe pagórki kłód powstawały, rozluźniała się znowu, gdzieś się znowu o jakieś głazy zaparła — świeżo napływające szeregi spiętrzały się na przeszkodach, łamały się, walczyły zacięcie ze sobą, rozbijały się na drzazgi, spycha-

Góry

Rzeka, Wieś, Drzewo,
Bitwa, Wspomnienia

⁴⁶⁵ *mimo upalne lato* — dziś konstrukcja z D. (mimo czego): mimo upalnego lata. [przypis edytorski]

⁴⁶⁶ *Babiński, Józef* (1857–1932) — polski lekarz-neurolog, urodzony we Francji. [przypis edytorski]

⁴⁶⁷ *Ochorowicz, Julian* (1850–1917) — filozof i psycholog, badacz mediumizmu i hipnotyzmu, dla wytłumaczenia którego rozwinął hipotezę „promieni sztywnych”; autor licznych prac z psychologii i medycyny. [przypis edytorski]

⁴⁶⁸ *maleficium taciturnitatis* (lac.) — występki (grzech) małomówności. [przypis edytorski]

ly się wzajemnie z zjadłą zaciekłością, by dostać się w szalejące wiry rozszalonego prądu dzikiej rzeki i tworzyć nowe zapory i coraz wyżej wznoszące szanice.

Wspanialszego, żywszego obrazu najzacieklejszej ludzkiej bitwy nie byłbym mógł otrzymać nad ten, który [dzień] w dzień, noc w noc — a noc tam była bielsza i głębsza od dnia — przed oczy moje wyczarowywała ta straszliwa walka „żyjących” drzew.

Poza tym pływilem się bezustannie w tej łaźni szatańskiej, jak ojcowie Kościoła nazywają melancholię i tęsknotę, a praca, którą raz po raz usiłowałem się ratować, nie była tak dalece wydajna.

Przez cały, nieomal trzyletni pobyt mój w Norwegii powstała trylogia *Homo sapiens*, *Dzieci Szatana*, dramat *Dla szczęścia*, krwawa tragedia dzieci zdegenerowanego, przekleństwem obarczonego polskiego rodu szlacheckiego: *De profundis*, i jedyna rzecz, która na pierwszy rzut oka zdawałaby się istnienie swoje Norwegii zawdzięczać: *Na drogach duszy* — rzecz o potężnym rzeźbiarzu, Gustawie Vigelandzie — bliżniej gwiazdzie mojej, tylko o nierównie potężniejszym blasku i mocy.

Vigeland — Norweg?!

Och, nie! Nie! On im stokroć razy więcej jeszcze obcy aniżeli ja!

Uosobieniem norweskiej rasy to skryty, przebiegły, chciwy i skąpy Ibsen, genialny chłop norweski z domieszką trochę zepsutej; szlacheckiej rasy duńskiej i z głęboko — nie „sięgającym”, ale umiejącym „obliczać”, świetnie „obliczać”, nawet genialnie „obliczać” — instynktem niemieckiego kupca hanzeatyckiego z Bergen.

Twardy, zaciekły, nieustępliwy, fanatyczny, w pół obłąkany — w Norwegii jest między chłopstwem „cichy obłąd” prawie endemiczną chorobą — zażarty chłop w Ibsenie, to Brand z całą swoją piekielnie ciasną a piekielnie mocną ideologią; chytry, przebiegły, kłamliwy, dziwowiskami i uroczyzkami lasów, jezior, tajemnicami gór, bezustanną walką z złośliwymi beugami kłamstwa nauczony chłop, nieumiejący już całkiem odróżnić jawy od snu, to Peer Gynt. Zdegenerowana szlachecko-duńska krew odezwała się w Ibsenie w *Upiorach* i *Rosmersholmie*, ale ponad wszystkim panuje w jego duszy zimny obrachunek niemieckiego hanzeaty: ścisła, kapitalna, a równocześnie nieskończenie pedantyczna konstrukcja, niesłychana znajomość najwyrafinowańszej algebry myśli, jaką zastosował w konstrukcji budowy swoich dramatów — i ta ostatnia zdolność przeszkodziła Ibsenowi, by mógł się stać „idealnym” typem Norwega: zbyt złożony i skomplikowany.

Ale w każdym razie — Ibsen jest Norwegiem.

I Norwegiem jest w większej jeszcze mierze Bjørn Bjørnson: „niedźwiedź, syn niedźwiedzia!” Jego to przodkowie zwalili z tronu już na początku XVI stulecia ostatnią możnowładczą rodzinę szlachecką w Norwegii, mimo że na oścież otworzyli wrota dla łupieskiej Danii, która Norwegię ujarzmić miała, zepsuć i znieprawić duńską krewią. Norwegia była przez kilka stuleci „Kaledonią” dla wszystkich zbrodniarzy, wszystkiego, co w Danii się „psuło” lub doszczętnie było „zepsute” — czytajcie Hamleta — ale Bjørnsonowie nie ustawali w zacieklej, nadludzkiej walce przeciw zdegenerowanemu, złemu, doszczętnie zgniłemu wrogowi duńskiemu: Bjørnsonowie łączą się z Szwedami, wyrzucają Duńczyków, zawierają — zbyt słabi jeszcze — na razie przyjazną unię z Szwedami, niszczą zaciekle każdy ślad dawniejszego panowania duńskiego — o ile szlachcic duński nie wyrzekł się swego szlacheckiego przydomku i wyprzysiągł się wszystkich szlacheckich przywilejów, był spod praw wyjęty (swoją drogą na nic się to nie zdało, bo nigdzie tak kastowość nie kwitnie jak w Norwegii). Równocześnie wprowadzają Bjørnsonowie w imię sprawiedliwości i ludzkości Żydów do Norwegii — do 1813 roku stopa Żydów nie powstała w Norwegii, a wpuścili ich na rzewną i niesłuchanie sentymentalną prośbę, a raczej dosyć ckliwy poemat Wergelanda⁴⁶⁹ o tym biednym Żydzie, którego nawet morze lękało się wyrzucić na brzeg norweski (przypominacie sobie moją rozmowę z Munchem: najtwardsze, najdziksze narody są najwięcej sentymentalne!) — spóźnione ideały wielkiej rewolucji francuskiej jęły święcić triumfy w Norwegii i na razie zdawało się, że zapanowała miłość i braterstwo pomiędzy pobratymczymi narodami: Szwecją a Norwegią.

Ale niezadługo spostrzegli Bjørnsonowie, że był tylko jedyny uczciwy Szwed, a ten ukradł „tylko” krowę! I rozpoczęła się z początku nieśmiała, potem już coraz jawniejsza

⁴⁶⁹ *Wergeland, Henrik Arnold* (1808–1839) — norweski poeta, dramaturg i prozaik: najważniejsze dzieła: *Jóden* (Żydzi, 1842) i *Jodinen* (Żydówki, 1844). [przypis edytorski]

walka pomiędzy Norwegią, dążącą do zerwania unii, a Szwedami, którzy tak byli splątani przenajróżnorodniejszymi interesami z Norwegią, że zerwanie unii groziło bankructwem Szwecji. Cała Norwegia podzieliła się na fanatyczną prawicę, wierną królowi szwedzkiemu, i nierównie fanatyczniejszą „lewicę”, dążącą do zerwania tej unii, a na czele tej lewicy stanął „graf-bonde” — hrabia-chłop, a właściwie udzielny książę-chłop: wielki poeta norweski, ten mi współczesny Bjørn Bjørnson! Jedyny polityk, nawet demagog, ochłokratyczny trybun, krzykacz, jeżeli chcecie, zaciekły wichrzyciel, zapamiętały wyznawca norweskiego *liberum veto*, który był równocześnie istotnie wielkim twórcą!

Nieskończenie szczęśliwszy od Mickiewicza, wydawcy „Trybuny Ludów”, natchnionego proroka, który zastępcę Chrystusa zawstydział, wielkiego a świętego ideologa, który legiony żydowskie w Konstantynopolu tworzył, mógł Bjørnson odegrać w życiu swego narodu tę olbrzymią rolę, jaką szczęśliwie do końca doprowadził: niepodległość Norwegii to głównie jego dziełem!

Ten twórca cudownego hymnu narodowego norweskiego: *Ja, vi elsker denne landet, ja, vi elsker det!*⁴⁷⁰ w równie pięknym muzycznym hermelinie norweskiego kompozytora Nordraka — ten genialny chłop-prorok, który stworzył obok Tolstoja *Potęga ciemności* najwspanialszy dramat ubiegłego stulecia *Over aevne* („Ponad siły”), był najszlachetniejszym typem, na jaki się chłopska, a taka tylko istnieje — na wskroś chłopska Norwegia zdobyła.

A jaki on był dumny ten Bjørn-Bjørnson, że żadnego innego języka nie znał, prócz własnego. — Za to nikt tak nim nie włada, jak ja nim władam! — powiedział mi to z wielką dumą. Na szczęście, że znałem już norweski język, bobym się z nim nie mógł porozumieć. Równocześnie zwrócił mi uwagę na swoją wspaniałą kamizelkę (niczym słynne kamizelki Wagnera): — Trzeba bacznie zważać — powiedział — na architekturę swego ciała. Pan nie wie, jaką ta architektura zewnętrzna odgrywa ważną rolę w życiu artysty i polityka!

Bjørn-Bjørnson był najczystszy typem Norwega — był nim i poniekąd Arne Garborg.

Ale nie ten Arne Garborg, który z fanatyczną wiarą słuchał światoburczych ewangelii doszczętnie zgnitego proroka potwornie wypaczonego i do ostatniego absurdu doprowadzonego nihilizmu życiowego, Hansa Jaegera; nie ten Arne Garborg, który pisał powieści na tle seksualnej nędzy chłopskich studentów; większej jeszcze nędzy *Zmęczonych ludzi*, tej samej nędzy, jaka się w sercu młodej, namiętnej dziewczyny rozgrywa, która nie może się wydobyć spod opiekuńczych skrzydeł „mamusi”; ale ten Garborg, który zerwał doszczętnie wszystkie więzy, jakimi go Hans Jaeger starał [się] z „zgniłym” Zachodem związać: splunął na całą Europę i jął tworzyć wspaniałe chłopskie epepeje; a ponieważ wypieszczony, a nawet rozmamlany język duński, jakim dotychczas wszyscy norwescy pisarze się posługiwali, doszczętnie mu się obmierzył, począł pisać w chłopskim, starym narzeczu norweskim, zwanym *maal*, swoją drogą narzeczu, które nawet dla przeciętnego inteligenta norweskiego jest mało zrozumiałe.

Minimalnie mało z Norwegii jest w Knucie Hamsunie, a zdawałoby się, że ten Per Pedersen (Knut Hamsun jest jego pseudonimem) powinien był najwięcej w swoim tworze ujawnić cały olbrzymi zasób swoich chłopskich sił — nic z tego! Na twór jego złożyły się przeważnie wpływy literatury rosyjskiej — w pierwszym rzędzie Dostojewski i Garszin, a głównie amerykańskiej — Bret-Harte⁴⁷¹ i Marc Twain — nie znaczy to, bym chciał istotną wielkość tego wielkiego artysty obniżyć, podkreślam tylko fakt, że i ten pisarz nic specyficznie norweskiego nie dał. Ciekawy, w wysokim stopniu charakterystyczny i znamieny fakt dla umysłowości norweskiej inteligencji, że żaden pisarz europejski nie jest tak ceniony, powiedziałbym nawet więcej jeszcze: uwielbiany i ubóstwiany, jak Dostojewski, a nie widziałem żadnego pisarza norweskiego, który by się z najgłębszą czcią nie korzył przed *Anną Kareniną* Tolstoja i jego *Kreutzerowską sonatą*.

A już ta „młoda” Norwegia, którą poznałem — a trafiłem właśnie na czas zupełnego wyjałowienia — tkwiła wszystkimi korzeniami w Francji, a dziwna rzecz: utknęła na Maupassancie! Ale wracam do mego założenia:

⁴⁷⁰*Ja, vi elsker denne landet...* (norw.) — „My kochamy ten nasz kraj...”; początek hymnu norweskiego, słowa autorstwa pisarza, dramaturga i noblisty Bjørnstjerne Bjørnsona (1832–1910). [przypis edytorski]

⁴⁷¹*Bret-Harte, Francis* (1839–1902) — literat amerykański. [przypis edytorski]

Vigeland — Norweg?! — pytałem. I powiedziałem jeszcze, że on Norwegom więcej może jeszcze obcy jak ja. Nie zapomnę nigdy, gdy po raz pierwszy wystawił cały szereg swoich utworów. W niewielkiej sali w Krystianii (dziś — aby wyodrębnić naród norweski jako taki, który nic nie ma wspólnego ani z Danią, ani z Szwecją — ochrzczono Krystianię mianem Oslo) zebrała się cała inteligencja ówczesnej Krystianii, cały zastęp najwięcej znanych artystów — malarzy, rzeźbiarzy, ba! nawet muzyków. Patrzone na cały ten niesłychany twór Vigelanda, jako na całkiem coś obcego, a największy (?), najwięcej ceniony krytyk, Krystian Krohg, którego obrazy wiszą na honorowym miejscu w „Narodowym Muzeum”, stwierdził, że takie groźne potworności, jakie Vigeland przedstawia, to nudna i tania robota.

Ohé, ohé!

A jednym z najpotężniejszych twórców, jakich Norwegia wydała, bo twórców, którzy całej ludzkości przynależą, których według orzeczenia Słowackiego, gdy mu wypominano niezrozumiałość *Króla Duchy*, i dziecko, i mędrzec jest w stanie zrozumieć, i „najlepszy” Europejczyk, po równi z jakimś najwięcej europejskiej kulturze obcym Hindusem, to właśnie Vigeland.

Nie widzę potrzeby powtarzać tu tego, co o tym niezrównanym twórcy pisałem swego czasu w mojej książce: *Na drogach duszy* — jednego słowa nie zmienilibym teraz z tego wszystkiego, co o nim przed trzydziestu laty pisałem, z gorętszym może jeszcze uwielbieniem mówiłbym dziś o tym zdumiewającym twórcy, który jedyny dał mi to — oczywiście w innym znaczeniu — co Michał Anioł w swej florenckiej *Sacristia nuova*⁴⁷².

Fachowym krytykom wyda się to moje orzeczenie bluźnierstwem — niechaj nim będzie — ale mój instynkt ku rzeczom wielkim jakoś mnie nie myli.

Muncha uważano za obłąkanego jakiegoś pacykarza — dziś Munch wszechświatową sławą; nikomu się nie śniło o Theotokopulos Graeco, kiedyś jał jego wielkość z zażartą namiętnością głosić w Krakowie; kto wiedział poonczas coś o Goyi⁴⁷³, kiedyś nie znał dość słów uwielbienia dla tego jasnowidza — eh! śmieszne, bym się miał tym chęłpic, czego fachowy krytyk sztuki nie posiada — to jedno jest pewne: maluczko, a Vigeland zostanie opatentowany — teraz już oficjalnie — jako potężny rewelator, o całą głowę przerastający zbyt przecenianego Rodina⁴⁷⁴.

I w jednym okazała Norwegia swoją wyższość kulturalną nad umysłową nędzą w Polsce.

Państwo norweskie zakupiło „Piekło” Vigelanda do muzeum w Trondhjem, którego jest najwspanialszym klejnotem, a mnie skonfiskowano cały nakład „Życia” w Krakowie za reprodukcję małego fragmentu tego „Piekła”; państwo norweskie poruczyło Vigelandowi odnowę cudownej gotyckiej katedry w Trondhjemie w zakresie rzeźbiarskim, a równocześnie dobijał mi „Życie” książkę Puzyna⁴⁷⁵ wraz z panem Banachem bezustannymi konfiskatami.

Ile ja nocy spędziłem z Vigelandem na rozmowach o rzeźbie gotyckiej! Żadnej innej rzeźby nie uznawał — od razu stała się dla niego niesłychanym objawieniem. To, co tylko przeczuwałem, objaśniał mi, uwidaczniał paru kreskami; wtajemniczał mnie w te niesłychane cuda, stworzone przez nieznanych a potężnych mistrzów; porzucił całą swoją pracę, bo twierdził, że teraz dopiero uczyć się poczyna; wnikał w te niesłychane tajemnice gotyku, dostępne tylko jasnowidzom; odciął się od całego świata, aż wreszcie całkiem już w dzwonnicy katedry zamieszkał.

Czasami znajdował tylko pokaleczone szczątki jakiejś rzeźby, tułów bez głowy lub też na odwrót, czasami jakąś płaskorzeźbę, ale tak zatartą, jak talar w dwuwiekowym obiegu

⁴⁷²*Sacristia nuova*, właśc. *Sagrestia Nuova* (wł.) — dosł. Zakrystia Nowa; przestrzeń w bazylice San Lorenzo we Florencji, będąca arcydziełem Michała Anioła jako architekta i rzeźbiarza. [przypis edytorski]

⁴⁷³*Goya, Lucientes Francisco* (1746–1828) — hiszpański malarz-realista; obrazy jego cechuje ponury koloryt i niesamowita, pełna grozy atmosfera. [przypis edytorski]

⁴⁷⁴*Rodin, Auguste* (1840–1917) — rzeźbiarz i grafik francuski; ilustrował poezje Baudelaire’a i Owidiusza. [przypis edytorski]

⁴⁷⁵*Puzyna, Jan* (1842–1911) — pochodzący z polsko-litewskiego rodu książęcego pochodzenia ruskiego (herbu własnego Oginię, w galicyjskiej gałęzi posługujący się tytułem „kniaź na Kozielsku”), kardynał krakowski, wslawiony zakazem złożenia na Wawelu prochów Słowackiego i odrzuceniem witraży Wyspiańskiego dla katedry wawelskiej; sprawował także cenzurę kościelną. [przypis edytorski]

— wszystko to do nowego życia powołał, a najbystrzejsze oko nie byłoby poznało, gdzie skończyła się praca twórcy, a gdzie rozpoczęła się praca odnowiciela — rewelatora.

Vigeland był i jest dotychczas moim najintensywniejszym przeżyciem dla mnie jako artysty, na równi z Szopenem, Schumannem, twórcami katedr gotyckich — Notre Dame w Paryżu, katedry w Bourges i Chartres, katedry w Toledo, na równi z Munchem, Ropsem, Goyą, Theotokopulos Graeco, na równi z Edgarem Poe, Barbey d'Aurevillem, Dostojewskim, Kasprowiczem, ale dosyć: całą litanie nazwisk musiałbym spisać, gdybym choć w części chciał spłacić dług wdzięczności tym artystom, którym najpiękniejsze chwile mego życia zawdzięczam, i tym twórcom, między którymi szczęśliwy los pozwolił mi żyć.

XXI

Ciężką bolesną nostalgię, jaka mnie każdorazowo podczas mego pobytu w Norwegii trawiła, starałem się neutralizować usilną pracą. W przeciągu jednego roku powstały trzy części mej powieści pt. *Homo sapiens*⁴⁷⁶: *Na rozdrożu*, *Po drodze* i *Malström*.

Cały ten cykl właściwie powieścią nazwać nie można.

To, co dotychczas było najważniejszym czynnikiem powieściowym, zepchnąłem na ostatni plan. Czytelnik, który szukał w mych powieściach *wydarzeń*, konfliktów, zewnętrznych wypadków, ich wikłania i rozwiązywania — czytelnik, który pragnął od powieści jedynie tylko potwierdzenia swego własnego, bezmyślnego życia zewnętrznego, odbicia tej *rzeczywistości*, jaką żyje, a z nudą odrzuca każdy utwór, który mu wykazuje, że ta rzeczywistość jest doszczętnie fałszywą, majakiem, urojeniem, że poza nią kryje się całkiem *inna rzeczywistość*, dostępna, a raczej przeczualna dla wytężonej do ostatnich granic, w wielkim wysiłku skupionej myśli ludzkiej — taki czytelnik musiał doznać przy czytaniu moich powieści srogiego zawodu.

O co mi chodziło, kiedyś wrócił się po paru poematach do formy powieściowej?

Zdradziłem się z tym, gdy na marginesie tworu Hansa Heinza Ewersa pisał — *mea culpa, mea maxima culpa* — jedynie tylko o *własnym* tworze; mnie się o Ewersie nie śniło, gdy pisał wstępy do jego dzieł — te wstępy miały stanowić cząsteczki własnego mego tworu: „Do źródeł Duszy” — własnej duszy mojej. Wyobrażam sobie zdumienie Ewersa, gdy te wstępy mu tłumaczono: siebie w nich doprawdy nie odnalazł ani odnaleźć nie mógł.

To moje, wyłącznie moje wyznanie wiary, mych pragnień, zamiarów, usiłowań, gdy wołał o twór, w którym by się ukazał człowiek w całej pełni swego życia; gdy pragnął ujrzyć go takim, jakim jest, niekrępowanym żadnymi prawami, żadną normą, ujrzyć człowieka bez figowych liści obłudnego świętoszkostwa, niesmaganego bezustannie biczem surowego i zażartego „dompteura”⁴⁷⁷, jakim jest „prawo” gwarantujące „porządny obywatelom” tu na ziemi zupełne bezpieczeństwo, a wygodną i przytulną ubikację⁴⁷⁸ — tam w górze; ujrzyć go w całej pełni wolności instynktów, w całej nieokiełznanej mocy, obecnie silnymi rzemieniami praw spętanych popędów i pragnień.

Pragnąłem rozkiełznać człowieka, ujrzyć go nagim.

Człowiek, dostępny naszej rozpoznawalności, ma, jak wszystko w naturze, dwa bieguny, na jakie go schematyzujący mózg ludzki rozdzielił: południowy i północny, świetlisty i ciemny, dobry lub zły, użyteczny lub szkodliwy; tysiące nazw istnieje na określenie tych wrzekomo⁴⁷⁹ przeciwnych sobie biegunów, ale nie wolno ich „odkrywać”, bo dla badań twórcy, przynajmniej za moich czasów sprzed ćwierćwiecza, był dla twórcy dozwolony w człowieku tylko mały obręb tej południowej sfery — tej dobrej, szlachetnej, pozytywnej, współblizniego uszczęśliwiającej — a badania w tej sferze przynosiły twórcom i jeszcze przynoszą zaszczyty, honory i groby „zasłużonych” po śmierci.

W tej sferze odbywa się właściwie wszystko prostym przetargiem, ale od tego są właśnie najwięcej przez społeczeństwo „uznani” twórcy, którzy ten brudny i częstokroć

⁴⁷⁶*Homo sapiens* — trylogia powieściowa autorstwa Stanisława Przybyszewskiego, pierwodruk po niem.: *Unterwegs* (cz. II, Berlin 1895), *Im Malström* (cz. III, Berlin 1896), *Über Bord* (cz. I, Berlin 1898); tłumaczone na polski jako: 1) *Na rozstaju*, 2) *Po drodze*, 3) *W Malstromie* (wyd. Lwów 1899). [przypis edytorski]

⁴⁷⁷*dompteur* (fr.) — poskramiacz dzikich zwierząt (r.ż., pogromczyni: *dompteuse*). [przypis edytorski]

⁴⁷⁸*ubikacja* (z łac., daw.) — pomieszczenie. [przypis edytorski]

⁴⁷⁹*wrzekomo* (starop.) — rzekomo, pozornie. [przypis edytorski]

ordynarny przetarg tak umieją uszlachetniać, w takiej słoneczności ogólnie obowiązującej etyki skąpać i taką balsamiczną wonią wszelakich cnót okadzić, że najwięcej cuchnący smród — pachnie.

Biada jednakoż artyście, który wtargnie lub wtargnąć zapragnie w tę drugą hemisferę człowieka, tę ciemną i ponurą z swoim biegunem północnym, sferę *ab umbilice et inferius*⁴⁸⁰, jakby zaciekle katar⁴⁸¹ powiedział, bo tę hemisferę północną, ciemną, groźną, niebezpieczną i dla wszelakiego „porządku” wrogą, zamieszkuje to wszystko, co się z wszystkich praw i wszelkiej normy wylało, co nie kroczy bitym gościńcem, ale „błądzi” krętymi ścieżkami, co chyłkiem przekrada się w grubych cieniach nocy i lęka się światła dziennego: bunt, wywrót i wściekle, nieokiełznane *liberum veto*.

Tu nie ma „przetargu”, tu jest straszna, ponura, nieustępliwa walka, tu jest gniew i rozterka, wieczny ból i męka, tu lęgnię się zbrodnia i przestępstwo, dokonuje się łamanie starych i nowych tablic praw i norm, tu bezustannie żarzy się żagiew buntu i zgrzytającej zębami nienawiści.

W tej hemisferze przebywać artyście jest surowo wzbronione pod groźbą kłatwy, a jeżeli który odważy się zapuścić swoje zagony w tę interdyktem objętą ziemię, wtedy całe społeczeństwo rzuca się na niego z oburzeniem, czyni go banitą i stawia poza nawias swoich „ulgowych” praw.

I otóż po dziś dzień nie znamy człowieka w całej pełni, bo tak nieskończenie mało twórców miało odwagę przełamać kanon społeczny, tak mało, którzy według słów prof. Brücknera⁴⁸² odważyli się tworzyć to, co w „czystą szlachetną anielskość” rodzimej literatury wnosi „nieczysty ton”, jakim jest prawda o człowieku, przez co już samo zostali objęci ostracyzmem społeczeństwa i uznani za współwinnych i współświadomych potworności duszy ludzkiej, jaką kusili się w swym tworze odsłonić.

Miałem odwagę zstąpić w czeluście duszy ludzkiej, obtłuc fikcyjnego bałwana, w jakim literaci kazali mi widzieć człowieka, z grubej warstwy bibuły i *papier-mâché*⁴⁸³ i pokazać go, jak istotnie wygląda, choćby nawet w odległym przybliżeniu, choćby nawet w karykaturalnej grotesce, i od razu dostałem się — po napisaniu *Homo sapiens* — na czarną listę tych, których Verlaine *Poètes maudits*, a Huysmans *certainains* nazywa⁴⁸⁴.

A przecież ja nic innego nie zrobiłem, jak tylko to, że pokusiłem się o odtworzenie człowieka, jakich setki spotykałem i w ciągu mego życia bezustannie spotykać miałem.

Mniejsza o to! Jeszcze o co innego mi chodziło.

Wyrzuciłem z mych powieści wszystko, co dotychczas jedyną jej wartość stanowiło.

Wszystko, co się dawniej powieścią nazywało, stało się w mych powieściach jedynie celem, by ukazać ukryte w głębi duszy moce i przejawy, ujawnić źródła ich pochodzenia. Wszystko, co było w pochłanianych dotąd powieściach jedynym celem, stało się u mnie rzeczą podrzędną, śmiesznym akcydensem. Fabuła najprostsza w świecie, bez żadnych zakłóceń, które by mogły uwagę czytelnika w naprężeniu utrzymać: nie wiadomo, co, gdzie i kiedy się coś dzieje — wyrzuciłem z mych powieści wszelkie opisy, wszelkie przejawy zewnętrzne, które by nie były albo być nie mogły psychicznymi projekcjami danego stanu, w którym się dany osobnik znajduje — boć przecież jasne, że zrozpaczony człowiek nie będzie się zachwycać jakimś krajobrazem albo choćby i najfantastyczniejszym zachodem słońca; milczałem, gdy mój bohater wygadywał rzeczy, jakich bym ja sam nie był w stanie wypowiedzieć, bolałem niewymownie, gdy popełniał czyny, które mnie grozą przejmó-

Literat, Twórczość

⁴⁸⁰*ab umbilice et inferius* (łac.) — od pępka i piekła; przen. od dna. [przypis edytorski]

⁴⁸¹katarzy a. katarowie (z gr. *καθαροί*, *katharoi*: czyści) — także: Albigensi; członkowie ruchu religijnego, powstałego i rozwijającego się w XI–XIII w. na obszarze pld. Francji i pld. Włosech; dualistyczna filozofia katarów skierowana była przeciw ustrojowi feudalnemu i hierarchii kościelnej, katarzy głosili i praktykowali zasadę dobrowolnego ubóstwa, nie uznawali składania przysięg, służby w wojsku, oddawania czci krzyżowi i idei czyśćca. [przypis edytorski]

⁴⁸²według słów prof. Brücknera (...) unosi „nieczysty ton” — por. Aleksander Brückner, *Dzieje literatury polskiej w zarysie*. [przypis edytorski]

⁴⁸³*papier-mâché* (fr.) — dająca się formować, twarzniejąca po wysuszeniu masa papierowa z domieszką kleju i gipsu, używana jako surowiec do wyrobu zabawek, masek itp. [przypis edytorski]

⁴⁸⁴których Verlaine „*Poètes maudits*” (...) nazywa — por. zbiór sylwetek literackich Verlaine’a pod tymże tytułem (*Les Poètes maudits*, tj. *Poeci przekleści*; pierwsze wyd. fr. 1884, wyd. rozszerzone, ilustrowane 1888), skąd zaczerpnięto później nazwę tej grupy poetów za życia egzystujących na marginesie społeczeństwa, często zamieszanych w skandale obyczajowe itp. [przypis edytorski]

wały — przywarłem do duszy ludzkiej z tą samą ciekawością, z jaką się anatom-fizjolog do interesującej sekcji zabiera.

Pragnąłem dać człowieka w całej jego „pełni” — w jego wniebo- i w pieklowięciach; dać duszę człowieka gubiącą się w otchłaniach bólu, w tych ciemnościach, w których groza, przerażenie, rozpacz i najstraszliwsza udręka istnienia wszechwładnie panuje, nierozwiązalne, piekielnym strachem duszę ludzką skręcające zagadki w ciężkich snach się wiją, rozpasana „chuć” szatana parzy się z bolesną tęsknotą duszy wygnanej z raju, a potworne okrucieństwo pławi się w mistycznych zmrokach najgorętszych wzniesień ku Bogu.

Całe nieporozumienie — fatalne nieporozumienie, że chciano czytać moją powieść tak, jak się czyta Kraszewskiego lub Sienkiewicza.

Opuszcza się rzeczy, które stanowią istotną kanwę powieści — w moim znaczeniu — to znaczy cały świat myśli i zagadnień, które twórca w danej formie pragnie uwięzić, a szuka się tylko treści. I w tą ubożuchną *treść* wkłada każdy czytelnik lub krytyk według swego psychicznego założenia to *właśnie i to jedynie*, co go najwięcej zajmuje i myśli jego pochłania.

Szuka przede wszystkim zmysłowej podniety.

A wszechwładnie opanowuje umysł przeciętnego czytelnika pornokracja.

Czytelnik lub krytyk, zamieszkujący niezmierne obszary pornokracji, a co jest równoznaczne z obłudą, wstydzi się sam siebie; a maską jej na zewnątrz to ten piekielny *cant* (wytwór angielskiej umysłowości, a Anglia, jak wiadomo, jest najrozpuśtniejszym społeczeństwem w Europie), ta ohydna, potworna obłuda, która w każdym utworze szuka przede wszystkim pornografii, a doszuka jej się niechybnie w najskromniejszym akcie miłosego złączenia, choćby ono w twórczej duszy z najczystszej źródła wypływało — najczystsze naczynie zapełni po brzegi niechlujną treścią własnej fantazji, a gdy tego dokona, rzuca się z sadystyczną wściekłością na cały utwór.

Och! ten ohydny, potworny, niechlujny *cant* krakowskiego cenzora za czasów, gdy wydawał „Życie” w Krakowie!

Tolerował najsprośniejsze utwory istotnych pornografów w „Bocianie”⁴⁸⁵ — podczas długiego pobytu w Europie nie znalazłem równie niechlujnego pisma — a konfiskował „Szatana” Vigelanda i zniszczył mi ostatecznie „Życie” konfiskatą mego *De profundis!*

Jestem bardzo spokojny człowiek, ale ile razy to sobie przypomnę, że ośmielano się przyczepić do mego utworu epitet pornografii, to pięście⁴⁸⁶ mi się z wściekłości zaciskają.

Ohydnej, niechlujnej zbrodni, jaką krytyka, a w ślad za nią całe społeczeństwo, na moim tworze przez cały szereg lat popełniało, nie wynagrodziłyby nawet „wielka wstęga” za zasługi literackie!

Aż nazbyt świadom jestem mej niemocy wobec zamierzonego celu:

Wolno widzieć w moim tworze niedołęstwo artystyczne, wynikające stąd, że myśl u mnie góruje nad wszelką treścią, że tęsknota moja o całe niebo potężniejsza od tego, com stworzyć zdołał; wolno upatrywać się niezdarnych przejaskrawień w usiłowaniu, by myśl moją uczynić czytelnikowi zrozumiałą; wolno ręce załamywać, gdy się staczam z czysto artystycznej linii w zaciekłym pragnieniu, by czytelnikowi łopata moje zamierzenia do jego łba wszufłować, ale niechlujstwem jest dopatrywać się w moim tworze pornografii.

Tej szukajcie gdzie indziej!

Szukajcie jej w państwie przewielmożnej madame Delmonse z słynnej powieści markiza de Sade *Justine*⁴⁸⁷, która wyklada teorię najpotworniejszego z wszystkich *cant’ów* — *cant* płciowy:

Nikt nie żąda od nas cnoty, tylko maski cnoty.

⁴⁸⁵ „Bocian” — ukazujący się w Krakowie w l. 1896–1918 dwutygodnik satyryczno-obyczajowy dla panów, założony przez Stanisława Lipińskiego, przyciągał publiczność secesyjną, modną typografią, kolorowymi ilustracjami oraz pikanterią treści żartów i rysunków; pismo było wielokrotnie konfiskowane przez cenzurę za „obrazę moralności publicznej”; Lipińskiemu udało się później wyłansować nowy tygodnik, „Nowości Ilustrowane” (1904–1925). [przypis edytorski]

⁴⁸⁶ pięście — dziś popr. forma lm: pięści. [przypis edytorski]

⁴⁸⁷ *Justine* — powieść markiza de Sade (1740–1814), zawierająca, zgodnie ze stylem tego pisarza motywy perwersji seksualnej. [przypis edytorski]

Jestem nierządnicą jak Messalina, a wszyscy wierzą lub zdają się wierzyć, że czysta jak Lukrecja. Jestem gorszą ateistką od Vaniniego, a wszyscy wierzą, z porozumiewawczym uśmiechem wierzą, że jestem pobożniejszą od św. Teresy. Jestem fałszywą jak Tyberiusz, a zezując na otoczenie, tłumiąc w sobie ryk śmiechu, twierdzą, że jestem szczerą jak Sokrates. I pewną rzeczą jest, że trzeźwa i wstrzemięźliwa, mimo że Apicjusz nie dorównałby mi w najwyrafinowańszej sztuce rozpusty. Oddałam się najniechlujniejszemu występki, zdradzie, podłemu oszustwu, plugawej ohydzie, ale spytaj się wszystkich moich bliźnich, a wszyscy unisono powiedzą: Madame Delmonse jest aniołem!

Tylko, jedynie tylko podwładni i wielbiciele wszechmocnej madame Delmonse wierzą w każdym dziele sztuki — pornografię.

Krytycy, ajenci śledczy *cant*'u i pani Delmonse, wypatrujący i węszący wszędzie pornografię, winni się wstydić swej haniebnej misji.

Pornografią staje się utwór artysty jedynie tylko wtedy, gdy się przyodzieje w ohydne domino⁴⁸⁸ „moralnego” oburzenia — nagość może być święta, ale przyodziana w przejryste tiule, przezroczyste jedwabie staje się sprośna i lubieżna.

I cudownie uzmysłowił tę myśl genialny malarz i głęboki myśliciel Goya w swych dwóch obrazach: *Maja desnuda* i *Maja vestida*⁴⁸⁹.

Tyle prostackich ogólników — tak! tak! dziś dzięki mej odwadze staje się ten mój spóźniony protest lichym ogólnikiem — w kierunku tej prasy, która się z taką wściekłością pienia na każdy mój twór i prokuratorii go denuncjowała, i zalewała mnie całą siklawą pomyj „moralnego oburzenia”; a przecież dziś jeszcze starają się ludzie „dobrej woli” twór mój uwięzić w *Enfers Giftkammer* bibliotek — a czym najwścieklejsze erotyczne stronicie w moim tworze wobec tych erotycznych rewelacji współczesnych mi — i to niezmiernie poważnych autorów polskich!

A może — a może: gdyby nie Przybyszewski, wszystko byłoby jeszcze w literaturze polskiej sielskie i anielskie i mielibyśmy dotychczas małpie, cnotliwe nadczłowieczeństwo papierowego manekina, jaki jeszcze w tworze Sienkiewicza paraduje?!

A co? Czym nie zasłużył na grób zasłużonych?

He, he!

To co najmniej mi się należy za ten „nieczysty ton”, który według prof. Brücknera wniosłem do świątynicy piśmiennictwa polskiego!

XXII

I tu, w tej zapadłej mieścinie granicznej między Szwecją a Norwegią, w tym malutkim Kongsvinger, podjąłem — teraz już z powagą niemieckiego uczonego i jego sumiennością, a równocześnie z fantastyczną paradoksalnością Słowianina, wobec której utwór Shawa staje się pedantyczną wypociną, a najwspanialsze kpiny Heinego profesorską udręką, by swych uczniów jakimś dowcipem zabawić — wciąż dotąd przerywane studia nad czarami, czarodziejami, czarownicami, studia nad najciekawszą i najmniej zrozumiałą zagadką, która ludzkość przez tyle wieków trapiła i dotychczas trapi!

Jeśli cośkolwiek w moim duchowym życiu wymaga jakiegoś bliższego oświecenia, to właśnie ten problemat czarów i czarownicy i w ogóle tego wszystkiego, co się czarnoksięstwem zowie — a z górą ćwierć wieku spędziłem na tych studiach.

Po tysiackroć rozczarowany razy i zrozpaczony, porzucałem te studia i wciąż na nowo i z stokroć razy zwiększoną gorliwością do nich wracałem — najpiękniejsze lata mej twórczości pochłaniało to gorączkowe pragnienie, by tę zagadkę, w której dopatrywałem się źródła najgłębiej utajonych, najwięcej tajemniczych sił ludzkich, rozwiązać.

Oczywiście, że jej nie rozwiązałem, i wątpię, czy ją kiedykolwiek jakiś „śmiertelny” człowiek rozwiąże, ale wpadłem — tak mi się przynajmniej zdaje — na tropy możliwości rozwiązania tego najzawilszego problematu w historii całej ludzkości.

⁴⁸⁸*domino* — płaszcz z kapturem używany jako strój maskaradowy. [przypis edytorski]

⁴⁸⁹*Maja desnuda*, *Maja vestida* — „Maja rozebrana”, „Maja ubrana”, tytuły słynnych obrazów Goyi. [przypis edytorski]

Literat, Polak, Obraz świata

Czary, Czarownica, Polak,
Artysta

Nie piszę pamiętników — piszę jedynie dzieje mej twórczej duszy — a w tych dziejach te właśnie badania zajęły tak poczesne miejsce, tyle sił na nich strawiłem, tyle na nich duchowej udręki przeżyłem, tyle mnie one nieludzkich wysiłków kosztowały, że dłużej nad tym problematem przystanąć muszę.

Otóż w najskromniejszym zarysie — nawet nie to: to tylko obrys jakiegoś olbrzymiego kształtu, widzianego z perspektywy ptaka, który unosi się nad ziemią na wysokości jakiegoś Gaurizankaru⁴⁹⁰, a bywało, że ten ptak na te same kształty patrzył z księżycą — teraz już z wolna się opuszcza — jaśniej już i wyraźniej widzi to, co przed ćwierć wiekiem było grubą mgłą spowite —

Kto chce słuchać, niech słucha:

Do niedawna jeszcze narażał się człowiek, który by się ośmielił mówić na serio o czarach lub czarownicach na kpiny i szyderstwo, albo też co najmniej na obrażony zarzut, że pragnie sobie z ludzi zakpić.

Wprawdzie nie przeczyto temu, że cała historia ludzkości przez cztery czy pięć wieków wykazuje na prawie każdej swej stronnicy zacieklą walkę nie tylko Kościoła, ale i władz cywilnych przeciwko czarownicy, ale to była nieszczęsna ofiara ciemnoty, przesądów, łatwowierności ludzi średniowiecza, najwyższej litości godna ofiara, nad którą powołani i niepowołani w nieprzeliczonych pismach przez całe ubiegłe stulecie gorzkie lzy ronili.

Z jednym z najgłębszych, najzawilszych i najwięcej tajemniczych, zagadkowych zjawisk w życiu ludzkości uporano się w niesłychanie płytki, niepoczytalnie płytki sposób, zaprzeczając nawet możliwości istnienia osobników, którzy rozporządzali całkiem innymi siłami, jakimi przeciętny człowiek w tzw. kulturalnym wieku rozporządza, i oczywiście byli w stanie wywoływać zjawiska, które, o ile ludzi uszczęśliwiały i dobrodziejstwa im świadczyły, ludzkość „cudami” zwała, o ile zaś szkody i krzywdy przynosiły, „czarami” — osobników zaś, którzy „cuda” czynili, szaszczycano nazwą świętych, tych zaś, których „cuda” ludzkość trapiły — czarownikami, względnie czarownicami.

Cud i czar to tylko pozytywny i negatywny biegun niesłychanie wytężonej woli ludzkiej, do ogromu najintensywniejszej twórczości spotęgowanego pragnienia w tak dobrym, jak złym kierunku.

Przeczyć czarom, znaczy tym samym przeczyć istnieniu cudów; jeżeli czarownica nie istniała, natenczas i cała hagiografia katolicka jest taką samą fikcją, jak demonologia.

Tymi samymi siłami, którymi rozporządzał święty, gdy przyłożeniem ręki na czoło i silnym rozkazem: „Wstań!” stawał sparaliżowanego na nogi, rozporządzała i czarownica, gdy swoim złym wyrokiem — *mal occhio* — spojrzała na najzdrowszego człowieka i paraliżowała mu członki, i taka sama siła, której bezliczne przykłady przytaczają „Żywoty Świętych”, była w spotęgowanej jeszcze mierze czynna w przeklętym żywocie „Dzieci Szatana”.

A siłę tą, o której mowa, z wolna rozpoznawać poczynamy; przed stu laty była jeszcze „ukrytą”, „*okkult*” — nauka o tych siłach była znana dla wtajemniczonych pod nazwą okultyzmu — dziś ta siła od jakiegoś pół wieku zatracą już swój tajemniczy urok, staje się jawna, a współczesna nauka gorąco się nią zajmuje; dziś znamy przynajmniej parę jej objawów, przejawiających się w hipnotyzmie, sugestii i — somnambulizmie.

Tak święty, lub święta, jak i czarodziej lub czarownica, to na tym samym pnieniu wyrosłe osobniki o niesłychanej potędze oddziaływania na ludzi za pomocą do ostatecznych granic spotęgowanej woli, a przy tym o wyjątkowym założeniu, które im pozwalało z sił, ukrytych w każdym człowieku, ale niedających się wyzwolić, w całej pełni korzystać.

Dziś już nawet urzędowa nauka z wolna się godzi na odwieczną okultystyczną naukę, że poza tym widzialnym organizmem tkwi jeszcze inny, tajemniczy organizm, który jest niejako duszą fizycznego, a uposażony w takie siły, że jest zdolny opanować swoją wolę i te nerwy, które naszej woli na zwykłej jawie nie podlegają, a więc nerwy znane nam pod nazwą nerwów sympatycznych w tak zwanym splocie słonecznym — „*plexus solaris*”. Osobnik, który znalazł możliwość opanowania tego ukrytego organizmu, opanował tym

⁴⁹⁰ *Gaurizankar* — szczyt w Himalajach (7134 m n.p.m.), do pocz. XX w. mylnie uważany za najwyższy szczyt świata, niekiedy utożsamiany z leżącym o 60 km na zach. od niego Mount Everestem; pierwsze próby jego zdobycia podjęto w latach 50. XX w. [przypis edytorski]

samym cały system krwionośny, może wywoływać według swej woli stygmaty; może pozwolić ranom krwawić, jeżeli zechce, i na odwrót, zastanowić⁴⁹¹ obieg krwi, jest w stanie do tego stopnia zwolnić i opóźnić wymianę materii, że na miesiące całe może się dać żywcem pogrzebać, może zneutralizować siłę przyciągającą i wznieść się w powietrze. Ja sam byłem świadkiem, jak fakir indyjski przetrzął sobie skórę brzucha, obficie krwią broczącą, i ranę w minutę potem już zagoił.

Ten ukryty organizm, znany nauce okultyzmu już na 20 wieków przed Chrystusem jako ciało astralne — w nowoczesnym okultyzmie przyjęto ogólnie nazwę astrosoma — jest źródłem tych wszystkich objawów, szkalowanych przez płytki ach! jak nieskończenie płytki wiek oświecenia jako głupi zabobon.

Olbrzymia, ukryta wiedza Hindusów znała dokładnie ten organizm: w księdze *Hatha Yoga* szczegółowo opisany jest jej ustrój nerwowy — z tą tylko różnicą, że dla skalpela anatomia jest niedostępny, bo niewidzialny, i z tą różnicą, że mózg tego nerwowego ustroju nie znajduje się w czaszce, ale w okolicy pępka, i z tego mózgu pępkowego rozchodzą się miliardy fluidalnych torów — czyli „*nadi*”, tworzących około siedemnastu większych ganglij, czyli „*chakram*”. Opanowanie tych *nadi* i tych *chakramów* wymaga nieludzkich i przez całe życie trwających ćwiczeń w najsurowszej, dla nas Europejczyków wprost niepojętej ascezie: każdy z nas przecież czytał najwiarogodniejsze opowiadania podróżników o fakirach, leżących lata całe na łożach, najeżonych kolcami, innych zaś wysiadujących całymi latami w całkiem nieprawdopodobnych skrętach, innych zasię wystających w kataleptycznym stanie na jednej nodze, a każdy z nich jest w stanie w większej lub mniejszej mierze wydzielać swoje „astrosoma” z fizycznego organizmu, wysyłać je na olbrzymie przestrzenie — stąd te zdumiewające przykłady jasnowidzenia — a nawet — podczas gdy fizyczne ciało spoczywa w ciężkim letargu — przybrać to swoje „astrosoma” w nowe ciało — i, o ile opowiadania teozofów i to najpoważniejszych, takich, których ust żadne kłamstwo nie skalalo — nie polegają na jakiejś całkiem nieprawdopodobnej halucynacji — ukazać się nagle w całkiem cielesnej formie, zwanej w sanskrycie „*nikaramanya*” — tym wybranym, którzy jakiejś duchowej pomocy potrzebują.

Tą *nikaramanya* posługują się wielcy „*mahatmi*”⁴⁹², o których pani Bławatska⁴⁹³ dużo majaczyła — jej bym nie wierzył, ale uwierzyć muszę okultyście tej miary, jakim był nieskaziteln Franciszek Hartmann, niezwykle trzeźwy, jasny, a zarazem w naukę *hatha yoga* wtajemniczony badacz.

Materia — jeżeli o takiej mówić można — z jakiej się „astrosoma” składa, jest to niejako transcendentna materia, znana od wieków całych pod mnóstwem rozmaitych nazw: *akasa* w hinduskim języku, *kā* u starych Egipcjan, *aur* Kabbali z pozytywnym biegunem, zwanym *od* i negatywnym *ob*, stąd też prawdopodobnie wzięło się u alchemików średniowiecza „*aurum*”, jako „*prima materia*”. Okultyści współcześni posługują się prawie wyłącznie nazwą *aur* i jego pozytywną siłą: *od*.

Przez tyle wieków ludzkość nic nie wiedziała o elektryczności — dziś elektryczność wprawiłaby jakiegoś naszego przodka w XVIII stuleciu w to samo niesłychane zdumienie, w jakie może stokroć razy potężniejszy substrat wszelakiego światła naszego, elektryczności, magnetyzm, a więc „*od*”, którego grubym zmaterializowaniem są powyżej wymienione zjawiska, wprawić będzie może już w tym stuleciu naszych potomków.

Na razie znamy „*od*” jedynie tylko z promieniowania astrosomy na zewnątrz — „*od*” tak dobrze znany tym jasnowidzom, którzy wokół głów świętych widzieli dokładnie kręgi światła o takiej mocy, że światło to ślepiło, i znany naszym współczesnym tak zwanym „sensytywom” o tak niesłychanej wrażliwości i pojemności zmysłu wzrokowego, że w najgłębszej ciemności rozpoznawają przedmioty po ich silniejszym lub słabszym promieniowaniu — a trzeba wiedzieć, że promieniają i rośliny, i minerały, również jak człowiek obdarzony astrosomą, czyli duszą.

Promieniowanie to, stanowiące u każdego człowieka pozaskórną świetlistą warstwę, znaną pod nazwą aury — a, jak wiadomo, aurę tą nawet fotografować można, jest równo-

Dusza, Pies

⁴⁹¹ *zastanowić* (daw.) — tu: zatrzymać. [przypis edytorski]

⁴⁹² *mahatmi* — dziś popr. forma M. Im: mahatmowie. [przypis edytorski]

⁴⁹³ Bławatska, *Helena Pietrouna* (1831–1891) — rosyjska spirytystka i teozofka, współzałożycielka Towarzystwa Teozoficznego (1875), propagującego światopogląd łączący w sobie różne idee wywodzące się z gnostycyzmu, neoplatonizmu i buddyzmu. [przypis edytorski]

czesnie pośrednikiem między człowiekiem a jego światem zewnętrznym: jednym słowem siedliskiem tego, co czuciem nazywamy. Każdy człowiek ma swoją specyficzną aurę, bezustannie wytryskując z niego te promienie, które widocznie mają znowu specyficzne właściwości, które pozwalają psu ścigać swego pana na milowe odległości, a jeżeli się da psu do powąchania jakiś przedmiot, należący do zbrodniarza, a oczywiście przesycony jego *odem*, pies niezawodnie pozna właściwości *odu*, który zbrodniarz podczas swej wędrówki w zetknięciu się z ziemią pozostawił, i pójdzie niechybnie jego tropem.

Nie przez nerwowe ciała dotyku dostaje się wrażenie czucia do mózgu, ale za pomocą tego promieniowania, które się nerwowymi ciałkami dotyku posługuje li tylko jako aparatem telegraficznym — te promienie są funkcją astrosomy, czyli duszy. Promienie, tryskające obficie z nosa psa, splatają się z emanacjami człowieka i w ten sposób prowadzą go na niezawodny ślad.

I w niczym innym nie polegają te nagłe sympatie lub antypatie, które każdy niemal człowiek odczuwa, gdy się z swoim bliźnim zetknie, i tak tylko zrozumieć można, dlaczego człowiek w jednym mieszkaniu dobrze się czuje, w drugim źle, otoczenie, które jest bardzo przyjemne, może być nagle zepsute przez obecność jakiejś osoby, której się może nawet nie widzi. A tą obecnością niepożądaną jest jego zepsuta aura.

Że aura, a raczej *od*, jest siedliskiem wszelkiego czucia, udowodnił to niezbitie słynny badacz Rochas⁴⁹⁴, który z początku bardzo odpornie do nauk okultystycznych się odnosił. Wprawiał szczególnie sensytywne osobniki w stan somnambulizmu — w jakim siedlisko czucia całkiem na zewnątrz się wyłoniło — ciało pozostało bez czucia, można je było na wolnym ogniu smażyć: nic nie czuło — jeżeli zaś ukłuło się powietrze, w którym czucie — a więc *od* w koncentrycznych warstwach wokół danego osobnika się ułożyło, wywoływało to silną reakcję, czyli tak zwaną reperkusję, równie silną i wtedy, gdy się, dajmy na to, oddało na działanie tego eksterioryzowanego *odu* jego fotografię — kłuło się tą fotografię, przesyconą danym *odem* w drugim lub trzecim pokoju, odczuwał zahipnotyzowany osobnik dotkliwy ból w tym miejscu, z którego *od* był wzięty, a nietrudno by było, gdyby manipulacja stała się odpowiednio brutalna, przyprowadzić osobnika do poważnej choroby.

To, co dziś tak i Rochas lub Durville⁴⁹⁵ eksperymentalnie dokonuje, było aż zbyt dobrze znanym wszystkim czarnym magom, a nikt sprawniej nie eksperymentował, jak służebnice i posługaczki magów — czarownice.

Wiadome przecież, że prosty cieśla zręczniejszą pracę wykona aniżeli nawet uczonego architekta.

Jeżeli czarownica chciała jakiegoś człowieka dotkliwie na zdrowiu uszkodzić, a nawet zabić, starała się przede wszystkim dostać się w posiadanie włosów, zębów, paznokci swojej ofiary lub też kawałka koszuli, a ponieważ koszula była w całym średniowieczu niezmiernie rzadką rzeczą, starczyły szczątki odzienia, kawałek zdartej podeszwy choćby, boć to wszystko było *odem* człowieka przesiąknięte, a *od* jest niezniszczalne, a gdziekolwiek się go przeniesie, nie traci raportu z macierzystym *odem*.

Toteż, gdy czarownica ulepiła woskową figurkę, wgniotła w nią przedmioty, należące do swej ofiary, i miejsca te kłuła szpilką lub nożem, ofiara odczuwała nieznośny ból: często tworzyły się rany, nie wiadomo dlaczego i czemu, a jeżeli „wola i imaginacja” cza-

⁴⁹⁴Rochas d'Aiglun, Eugène Auguste Albert de (1837–1914) — fr. specjalista w zakresie inżynierii wojskowej, oficer Legii Honorowej (1889), historyk, pisarz, tłumacz, dyrektor politechniki paryskiej, usunięty ze stanowiska z uwagi na przekonania i praktyki w dziedzinie parapsychologii i okultyzmu; badacz głębokich stadiów hipnotycznych, telekinezy, emanacji magnetycznej, reinkarnacji itp., autor wielu publikacji na ten temat, m.in. książki *Les Forces non définies* („Siły nieokreślone”, 1887). [przypis edytorski]

⁴⁹⁵Durville, Hector (1849–1923) — fr. okultysta i magnetyzer, redaktor założonego przez barona du Potet czasopisma poświęconego tej tematyce „Journal du Magnétisme” oraz fundator licznych instytucji okultystycznych, w tym: usytuowanego w Paryżu Uniwersytetu Nauk Wyższych z wydziałami Wiedzy Hermetycznej, Nauk Magnetycznych i Nauk Spirytystycznych, a także szkoły praktycznej masażu i magnetyzmu (na Mozart Avenue w Paryżu) oraz Zakonu Eudiaque, towarzystwa duchownego i inicjacyjnego, którego głównym celem jest „powiększenie osoby ludzkiej” i którego wyznawcy zgłębiają magnetyzm zwierzęcy i efekty działania hipnozy; publikacje Durville’a (wszystkie wyd. ok. 1890 r.) to: *The Mysteries of Eleusis* („Misteria Eleuzyjskie”, wyd. po ang.), *Magnétisme Personnel ou Psychique* („Magnetyzm osobisty albo psychika”), *Les Actions Psychiques à Distance* („Działania psychiczne na odległość”), *Pour devenir Magnétiseur* („Aby zostać magnetyzerem”). [przypis edytorski]

rownicy — niezbędne warunki pomyślnego przebiegu zbrodni — były niezwykle silne, następowała powolna śmierć.

Eksperymenty Rochasa, a szczególnie Durville'a wykazały, że przy usilnym i długim hipnotyzowaniu dany osobnik pogrąża się w coraz głębszy stan somnambulizmu. Wyeksterioryzowane warstwy formują się z lewej i prawej strony w dwa słupy, które się z wolna do siebie zbliżają, a w końcu zlewają się w jeden fantom o całkiem ludzkiej formie, w jak najdokładniejszy pierwowzór tej bezdusznej masy, jaką stanowi fizyczne ciało człowieka.

To znaczy: dusza — astrosoma — wyłoniła się całkiem z fizycznego ciała, a z nią razem wszystkie zdolności umysłowe, a więc nie słyszy ani nie widzi, ani nie czuje to, co człowiekiem nazywamy, a co jest tylko oskorupieniem duszy i służy tylko za bezwolne narzędzie dla duszy, dopóki się w ciele znajduje — lecz jedynie tylko wyzwolona z swego więzienia „dusza” — astrosoma.

Otóż czarownice znały cały szereg narkotyzujących „maści”, powodujących stan somnambuliczny.

By wyłonić duszę z ciała, na to potrzeba — przynajmniej w znanych nam eksperymentach — silnego hipnotyzera, ale mamy również mnóstwo przykładów, że są osobnicy, którzy sami umieją się wprowadzić w stan tego somnambulizmu — i ten autosomnambulizm można było osiągnąć — o ile możność jego nie była już danemu osobnikowi wrodzona i w każdej chwili mógł się w ten stan wprowadzić — za pomocą przeróżnych narkotyków, tak zwanych maści czarownic, złożonych z tak potwornych ingrediencji, jak sadło nowo narodzonego dziecka, krwi nietoperza, ropuchy i węża, poza tym trujących roślin, sproszkowanej wątroby wisielca — mnóstwo przepisów pozostało po dziś dzień: nie dochowała się tylko tajemnica, w jakim ilościowym składzie maść ta się sporządzała. Wytrawne i doświadczone czarownice nie potrzebowały się nawet posługiwać żadnymi środkami: wystarczała im jedna chwila snu, by już dusza mogła ciało opuścić i kierowana wycwiczoną wolą tam się udać, gdzie czarownica zechciała.

Stąd jej zdumiewające jasnowidzenie, które jej pozwalało widzieć i poznać wszystko, co się w okręgu kilkunasztu mil naokoło działo, ale — co dla niej było najważniejsze: zapoznać się z tak zwaną w okultyzmie: „*signatura rerum*”.

Każde stworzenie, każda roślina, każdy metal ma osobną swoją sygnację, które dla widzącego zdradza wszystkie jego właściwości i przeznaczenie — a nie ma nic w całym świecie, co by duszy nie posiadało — ta sygnatura, niewidzialna dla zwykłego oka, uwiadcza się oku wyzwolonej z ciała duszy — astrosomy. Dusza roślin, czyli „*Leffas*”, jak ją wielki Paracels nazywa, zdradza wszystkie swoje tajemnice astrosomie człowieka, którą Paracels nazwą „*Evestrum*” ochrzcił. *Leffas* roślin w zetknięciu się z *Evestrum* czarownicy nie mógłby nawet ukryć swych tajemnic, bo zdradzał się różnorodną skalą barw, a i dusza ludzka jest barwna, zależnie od jej doskonałości, zbrodniczości lub w ogóle namiętności, jakimi jest szamotana. W jasnowidztwie widziała czarownica obieg soków w roślinach, znała wpływ światła na nie; już to kiedy tworzyły jadowite fermenty, a kiedy do leków się nadawały, a dzisiejszy hodowca maków, z których opium wytwarza, czarownicy zawdzięcza ściśle określony czas, w którym właśnie mak tak dojrzewa, by wywar jego soków mógł się na tę szatańską truciznę przemienić.

Co chemia zawdzięcza alchemikom, chirurgia katom, tyleż botanika — czarownicy. Ona właściwie jest twórczynią tej, że tak powiem, astrologii botaniki, dziś dawno zapomnianej, ale tu i ówdzie pojawiają się znaki, że dzisiejsza botanika coraz usilniej bada wpływ światła na rośliny, zwłaszcza gdy zrobiła spostrzeżenie u pierwotnych ludów, z jaką starannością wybierają czas i porę dnia, w jakich tną drzewa lub zbierają zioła.

Może i uczonego profesora wpędziłaby czarownica w kozi róg swoimi niesłychanymi toksykologicznymi wiadomościami truciznozawczymi.

Ona właściwie jest twórczynią toksykologii — zapalczywa trucicielka umiała nawet z ziół leczniczych wydobyć jad trucizny, a tym samym wywarem, którym goiła chore płuca, wywoływała — tylko w innych dawkach — owrzodzenie, a może nawet i ten słynny „święty ogień”, w którym ciało płatami całymi, jakby spalone, od kości odpadało.

A zresztą, czym było dla jej astrosomy, która przenikała najgrubsze mury, przysnąć się do ciała swej ofiary i wpromieniować w niego cały zaciekły jad swej zemstą i złością przepojonej duszy?!

Czarownica, Dusza, Ciało

Nauka, Czary, Czarownica,
Zabobony

Dzisiejsza nauka operuje mikrobami, lasecznikami, a kto wie, czy ta nasza cała bakteriologia nie jest właśnie przesądem, a głęboką, utajoną wiedzą, była znajomość magii słowa?!

Cóż my wiemy o słowie? Powtarzamy bezmyślnie, że na początku było słowo, codziennie przypominamy sobie, że słowo stało się ciałem, ale któż zdaje sobie z tego sprawę, co to znaczy?

Widział kto słowo? Pewno, że byli ludzie, którzy je widzieli, niezadługo pokaże nam fotografia, jak ono wygląda, ale na ogół jest słowo słowem i niczym więcej. A tymczasem słowo jest rzeczą istniejącą, działającą, raniącą, kojącą — to przecież nie słowo, które dziecko pieści, ale kochający fluid tego słowa, nie słowo rani, ale ukryta w nim jadowita dusza słowa. Słowo jest skorupą, którą można hieroglifem uwidocznic — najlepszy dowód, że słowo jest poniekąd rzeczą, jeżeli w ten sposób się objawia — ale ten hieroglif, nierozwiązalnie spętany z mówionym słowem, zdradza duszę słowa.

Weźcie alfabet hebrajski, a z zdumieniem dowiedziecie się, że *alef* — to piersi, a *bet* — to dom, a *gimel* — to pełnia itd. Dowiedziecie się dalej, że *alef* to równocześnie powietrze — *mem* — woda, a *schin* — ogień — a dwudziestudwóm głoskom nadał Bóg formę i różnorodną tajemniczą postać, a gdy zaś głoski te jał kombinować w najrozmaitszych permutacjach, stworzył Bóg duszę wszystkiego, co ma być stworzone i co już jest stworzone. Tak poucza *Sepher Iesira*, pierwsza księga *Kabbali* — *Maassa Bereschith*.

Kto znał znaczenia głosek, kto umiał kombinować je w słowa tak, żeby się stały twórczymi fluidami, ten mógł się słowem posługiwać jako prośbą, która niebiosą przebijają i przed tron Boga się dostaje, lub niszczącą klątwą, która stokroć razy gorsze choroby wywołuje aniżeli miriady mikrobów.

A jasnowidząca czarownica znała duszę słowa, tej biednej skorupy, którą język, podniebienie lub zęby kształtują, i umiała się nią posługiwać — zresztą posiadała w tym względzie ogromną tradycję.

Już pierwsi demonolodzy, którzy specjalne dzieła o czarownicy i czarach pisali, mówią o stowarzyszeniu czarownic i czarodziejów — tych jest względnie mało, bo na jednego mężczyznę przypada co najmniej sto kobiet — jako o ściśle zorganizowanej sekcji — *illa nefandissima secta* — a lata, w których z gwałtowną szybkością sekta ta po całej Europie rozszerzać się rozpoczęła, przypadają według ich spostrzeżeń na początek XIV wieku.

Do tego czasu nie ma rzeczywiście śladu czarownic; wprawdzie było mnóstwo procesów o czary — znano już wtedy czarowanie za pomocą woskowych figurek — papież Jan XXII wydał aż trzy bulle, przeklinające czarnych magów, którzy na jego życie czyhali: znano również mnóstwo uroków, za pomocą których czarodzieje i nekromanci operowali, ale właściwa czarownica pojawia się dopiero między 1300 — a 1350 rokiem i po raz pierwszy wynurza się w tym czasie słowo *sabat* — szatańska synagoga czarownic; w tym to czasie znachodzą⁴⁹⁶ się pakta czarownicy z szatanem i w tych latach ustala się cała liturgia szatańska na sabacie.

Usilne, nowoczesne badania stwierdziły, że na ślad czarownic, jako już poniekąd zorganizowanego stowarzyszenia „wrogów ludzkości”, trafiano po raz pierwszy w południowej Francji i to w czasie, kiedy po krwawych walkach z potwornym okrucieństwem, zażartą nieludzką krwiożerczością niszczone resztki sektę katarów, sektę albingensów, która przez dwa stulecia była tak groźna dla Kościoła Katolickiego, jak nie była nią nawet Gnoza w pierwszych trzech stuleciach po Chrystusie. Zniszczona jeszcze w okresie pogąńskiego wszechwładztwa, odżyła na nowo w potężnej nauce boskiego Mani, dostała się przez Konstantynopol do Bułgarii, gdzie otrzymała nazwę bogumilców, a stąd rozprzestrzeniła się przez Hiszpanię, północne Włochy, a główną, najważniejszą i najgroźniejszą twierdzą i ostoją stała się dla niej południowa Francja z wszystkimi jej bogatymi i kwitnącymi miastami, z wszystkimi warownymi zamkami i twierdzami — a otoczona czułą i troskliwą opieką książąt Raymondów swobodnie rozwijać się mogła.

Sekta ta przyjmowała dwóch równie potężnych i równie odwiecznych bogów, jednego, który w niewzruszonym majestacie panuje nad światem niebieskim, który nigdy nie zniechłuił się jakimś tam tworzeniem tak nędznego tworu, jakim jest ziemia, drugim zaś bogiem — to ten, który owdładnął ziemią i wszechwładnie nad nią panuje — Czarny

Nauka, Zabobony, Słowo,
Czary

Słowo, Zabobony,
Modlitwa, Czary

Czarownica, Historia

⁴⁹⁶znachodzą się (daw.) — znajdują się. [przypis edytorski]

Bóg, czyli Szatan. Zwolennicy tej sekty byli zaciekłymi wrogami Kościoła Powszechnego, nie uznawali żadnych sakramentów, prócz Chrztu a przede wszystkim wykpiwali niemilosiernie sakrament Pokuty, Ciała i Krwi Pańskiej, nie uznawali zupełnie boskości Chrystusa; a Matkę Boską spotwarzali niechlujną nienawiścią. Jehovah Starego Testamentu, którego z wzdargą odrzucali, był dla nich podłym oszustem, najwyższej pogardy godnym kłamcą i krwawym oprawcą. Jedna księga w Starym Testamencie tylko znalazła w ich oczach łaskę — to księga Job, a z Nowego Testamentu najwyżej cenili listy apostoła Pawła i na niego zawsze się powoływali, właśnie na tego apostoła, który, jak to z jego listów wynika, o historycznym Chrystusie, zdaje się, nic nie wiedział, jak również nic o ewangeliach, bo jednego słowa z nich nie cytuje.

Sekta ta, która powstała na gruzach dawno już zamarłej gnozy, była niewątpliwie w posiadaniu ezoterycznych tajemnic, przeznaczonych li tylko dla wybranych i żyjących jedynie w ustnej tradycji. A ktokolwiek zajmował się choć trochę starożytnymi misteriami, które najwyższy może rozkwit znalazły w gnostycznych kultach i kulcie Mitry, wie, jak olbrzymią rolę odgrywała w tych misteriach wszelkiego rodzaju magia, a że ona „biała” nie pozostała i z natury rzeczy musiała się przerodzić w najczarniejszą z czarnych, o to postarał się Kościół swoimi nieludzkimi prześladowaniami, w rozpasanej zwierzęcości prześcigającymi o całe niebo prześladowania chrześcijan za czasów najwięcej krwiożerczych Cezarów. Włosy na głowie stawają z przerażenia, z jaką potworną, rozjuszoną furią szalał Kościół przeciwko wyznawcom Mani, a całkiem zrozumiałe, jak zaciekłą, nieubłaganą nienawiść, jakie rozbewstwione pragnienie zemsty wywołało to prześladowanie w tych rozbitych resztkach, kryjących się w niedostępnych pieczarach górskich, jaskiniach, do których dostęp nawet dla oczu tak przebiegłych psów gończych, jakimi byli zbiry Świętej Inkwizycji, nie był dostrzegalny.

Pisma katarów zostały doszczętnie zniszczone, ale żadna siła nie zdołała zniszczyć ustnej tradycji, ani ezoterycznych tajemnic, których już przed ciekawością wyznawców ustrzec nie zdołano, ani nie chciano, bo tajemnicami tymi osłonięte były magiczne środki, przechowywane od najdalszego zarania ludzkości, a które teraz stały się straszną bronią odwetu i pomsty.

Z rozbitków potężnej ongi sekty potworzyły się małe gminy, ukrywające się w celuściach niedostępnych gór, przytulające do swego łona rozbitków i innych, najczęściej prześladowanych sekt, z których najsilniejszą była sekta Vaudois; przytułek w tych gminach znajdowali wyrzuceni z łona Kościoła renegaci kapłani i klerycy — z rodu wagantów najrozpuśtniejsi i najczęściej do wszelkiego rodzaju zbrodni pochoptni — nie dziw więc, że pierwotnie czysta nauka jęła się paczyć, wykoszlawiać, a w końcu nie pozostało nic, prócz wykarykaturzonej czarnej magii, rozporządzającej mniej lub więcej skutecznymi środkami — nic prócz zębami zgrzytającej, niestety bezsilnej chuci zemsty, która mogła tylko znaleźć upust w potwornych parodiach obrządków kościelnych, kradzieży hostii i plugawienia ich, zniszczenia i opluwania krzyżów przydrożnych, palenia kościołów, wszelkiego rodzaju świętokradztw i bluźnierstw, torturowania w nieludzki sposób sług kościelnych — dominikanów — psów Pana Boga, o ile ich, zabląkanych w świętym zelotyzmie, uchwycić zdołano.

I w tych ciemnych jaskiniach, w których wieczny mrok panował, jakiego nawet skąpe kaganki oświetlić nie zdołały, bo lękano się, by światło nie naprowadziło zbirów do tych kryjówek, odbywały się te piekielne msze rozpaczy, najstrasliwszej udręki, msze w rozbewstwionej żądzy pomsty i najżałostszej nienawiści.

Zwalono i podeptano krzyż, a na ołtarzu ukazał się kozioł, odwieczny znak zodiakalny, kozioł Mandes Egipcjan, czarny kozioł pokuty Hebrejów, kozioł wszechwładca, w którego znaku dusze ludzkie wstępowały do niebios i zstępowały na ziemię, zarazem kozioł, symbol rozrodznej chuci, a potem rozpusty, jaką ludzkość się upijała, by o nędzy swej zapomnąć⁴⁹⁷; kozioł — mściciel, który coraz straszniejsze i potworniejsze formy przybierał, im miał być większym postrachem dla znieawidzonego Kościoła.

I kozioł-Szatan, ulepiony z Bóg wie jakich form i elementów, rozbitych szczątków tych form, w jakich ta czarna potęga w najrozmaitszych religiach się plastycznie objawiała, stał się teraz naprawdę jedynym bogiem, a zarazem i arcykapłanem, i, aby oddać cześć

Zwierzę, Szatan

⁴⁹⁷ *zapomnąć* — dziś popr.: *zapomnieć*. [przypis edytorski]

temu, nad czym zapanował, to znaczy materii, całowano go w najmaterialniejszą i najwięcej smrodliwą część ciała. I tak z wolna utworzył się teraz już całkiem skonsolidowany rytuał, polegający na doszczętnym wywróceniu na opak rytuału katolickiego Kościoła.

Święconą wodę zastępowała przy chrzcie uryna szatana, kadzidło — *asa foetida* lub dym jadowitych, smrodliwych roślin, kropidło — ogon koński, chleb — sperma męska, a krew Pańską krew menstruujących niewiast.

Liturgia sataniczna sama, to cały szereg magicznych zaklęć, które na ludzkość najstraszniejsze nieszczęścia zwać miały, szereg najdzikszych przekleństw i złorzeczeń, a ktokolwiek zada sobie trud, by wniknąć głębiej w te najpoczwarniej poprzekręcane wykrzyki, zaklęcia, wywoływania, ujrzy z zdumieniem, że to tylko jedno wielkie zlewisko magicznych zaklęć w najrozmaitszych językach — począwszy od *Aie*, niewątpliwie wykoszlawione *Evohe* Greków, poprzez liturgię Mitry, w której Boga chwalono nie tylko szeregiem poszczególnych głosek, wygwizdywanych, ryczanych, wykichanych, wychrząkiwanych, a nawet wiatrami puszcanych, aż het do już jasno rozeznawalnych zaklęć praktycznej Kabbali żydowskiej, której tajemnic uczeni żydowscy pilnie strzegą i do tego stopnia, że tylko coś niecoś przedostało się do rozmaitych grimorii i enchirydii Zachodu.

Słowo, które w ustach maga było twórczą, niszczącą potęgą, a potem stało się tylko martwym, fonetycznym dźwiękiem, nabierało pierwotnej siły i mocy w ustach jasnowidzącego, z pęt ciała wyzwolonego ciała astralnego czarownicy: bezsens stał się nagle przeraźliwym sensem, potężną bronią, a przeważnie narzędziem śmierci, skuteczniejszym, aniżeli najgroźniejsze *anathema* papieskie, najwięcej srogie i krwiożercze wyklęcia kościelne.

Papieże średniowiecza znaleźli w czarownicy bez porównania groźniejszą współzawodniczkę: jej pioruny istotnie zabijały — z gromów papieskich nic sobie już wtedy nie robiono.

Że podczas tej mszy, a może po jej ukończeniu, odbywały się niesłychane orgie, o tym nikt, który jako tako jest obeznany z ówczesną etyką seksualną — a nigdy nie była tak rozbestwioną, jak poonczas, kiedy każdy klasztor żeński według świadectw św. Brygidy był ohydny lupanarem — wątpić nie może. Zresztą orgiastyczne te obrządku były uświęcone tradycją gnostycznych sekt, jak eutykianów, barborianów a przede wszystkim harpokratów. Opis tych orgii, który dał ojciec Kościoła, Hipolit drugi, wydawał się tylko chęcią spotwarzania gnozy, tymczasem prawowierna księga gnostyków, najważniejszy dokument gnostyczny, a raczej ewangelia gnostyków, *Pistis Sophia* ubolewa rozpacznie nad wynaturzeniem się gnozy w tym do najpotworniejszych konsekwencji doprowadzonym uświęceniu materii, a zarazem pragnieniu wyzwolenia się z niej przez jej systematyczne niszczenie w najwyuzdańszej rozpuszczeniu.

W tych niedostępnych, ostatnich kryjówkach na śmierć szczonego zwierza, jakim była ta biedna gromadka wszelakiego rodzaju heretyków, w nienawiści ku obcej, zniekształcająca własną wiarę, powstał niewątpliwie rytuał, jak również i liturgia obrzędów szatańskich, jakie odbywały się w Wogezach i Alpach francuskich, hiszpańskich Sierrach, w niemieckim Harzu na Brocken, a równocześnie na naszej Łysej Górze — obrzędów, znanych pod nazwą Sabatu!

I w tych kryjówkach, w atmosferze rozpaczliwej nienawiści, wśród bezustannych wieści dochodzących z siół i miast o coraz to nowych, potwornych zbrodniach sprawiedliwości boskiej, popełnianych na wyznawcach Czarnego Boga, a które o pomstę do ojca wszystkich nędzarzy i wydziedziczonych wołały, tworzyły się kadry wojska szatańskiego, istotne bojówki, przeważnie z kobiet złożone. Przeciwko wojsku Boga Kościoła stanęło w pogotowiu do ciężkiej, ukrytej, podstępnej walki wojsko Szatana Synagogi, gorliwie wspomagane przez zębami zgrzytających, gorzej od plugawego robactwa tępionych pariasów w tłuszcz cnoty i bogobojności porosłej ludzkości: a więc przez Żydów, Cyganów i trędowatych.

Kobieta, u której mózg maciczny z jego furją, rozpętanymi namiętnościami, zdolnością do uczuć takich nienawiści, takiej złości i chuci zemsty, jakich mężczyzna z swoim refleksyjnym mózgiem głowy odczuć nie jest w stanie, była główną sprężyną tych zgromadzeń, ich duszą i w rozszały bieg smaganą krwią, inna rzecz, że mężczyzna był ich organizatorem i instruktorem.

Szatan, Religia, Kobieta,
Obcy, Obcy

Niewątpliwie istniały pod nadzorem jakiegoś istotnego czarnego maga, którego oczywiście tylko w najradszych wypadkach władza świecka, czy też kościelna ująć była w stanie, prawdziwe szkoły najpierwotniejszej czarnej magii, tak jak istniały w XVII i XVIII wieku w Wogezach i Alpach sabaudzkich szkoły, w których wychowywano małe dzieci za pomocą surowej ascezy, somnambulizmu i innych, nieznanych dziś praktyk na jasnowidzów, proroków i natchnionych kaznodziei, a którzy w zdumienie współczesną ludzkość wprawiali i poważne wyłomy w Kościele Katolickim czynili.

I w tych szatańskich konwiktach uczyła się czarownica zaklęć, których znaczenia nie rozumiała, ale nadawała im moc jasnowidztwa, uczyła się, jak astrosomę z ciała wylaniać, odbierała recepty na sporządzenie tych jadowitych wywarów, które tak skutecznie ludzkość dziesiątkowały nie za pomocą pojedynczych zbrodni, ale wskutek wywoływania całych epidemii, a jeżeli dzisiejszy lekarz dumny jest, że umie wytworzyć sztuczną kulturę mikrobów, to czarownica umiała wywołać choroby, których li tylko towarzyszącym zjawiskiem są wszelkiego rodzaju laseczniki.

Tak twierdzi przynajmniej „*monarcha omnium arcanorum*”, monarcha wszelkich tajemnic, jak go współcześni nazywali, ojciec całej nowoczesnej medycyny, którego niesłychane znaczenie teraz dopiero naszym współczesnym świta, Theophrastus Paracelsus Bombastus⁴⁹⁸, w swej książce *De peste*: ten sam Paracelsus, który zerwał doszczętnie z całą ówczesną medycyną i stworzył podwaliny do tej, która dopiero w naszych czasach poczyna się z ciemnych, gęstych mroków nieuctwa i głupoty dźwigać, ten sam boski Paracels, który twierdził, że jeżeli się gdziekolwiek czegoś nauczył, to u czarownic, katów, znachorów-owczarzy.

Paracelsus w istocie był wtajemniczony w praktyki czarnoksięskie i czarownicze, dał całe mnóstwo ich recept, ale w takich obsłonkach i w tak tajemniczych symbolach, że jego rewelacje są raczej zaciemnieniem, i nie dziw: tak potężnie zwarta organizacja, jaką była sekta czarownic i czarodziejów, śmiercią każdą zdradę karała, i ta kara nie ominęła istotnie tego szczytnego monarchę: jednej nocy został w tajemniczy sposób w Salzburgu zamordowany.

Dla okultysty sprawa ta jest całkiem zrozumiała.

Czarownica żyła niejako na dwóch platformach — w naszym świecie widzialnym i w tym, który stanowi jego duszę, w świecie astralnym; opanowała do pewnego stopnia one astralne prądy tej tajemniczej siły, której grubym zmaterializowaniem: to nasze światło i elektryczność; mogła nimi poniekąd kierować, jak dziś nasz technik kieruje elektrycznością, posługiwać się nimi, by wywoływać wiry i burze, które się odbijały zaburzeniami na ziemi, jadłem swej astrosomy je zatruwać, sprowadzać na ziemię epidemie.

Przecież i my mówimy o zatrutym powietrzu, tylko to nie powietrze zatrute, ale astralne fluidalne prądy, które zepsuciu i zatruciu ulegają przez wojny, mordy, rozpustę, a usilnie przestrzega Paracels przed powietrzem bydłobójni, lupanarów, kryjówek zbrodniarzy — aby uniknąć astralnego zakażenia.

A astralnym zakażeniem był niepojęty wpływ, jaki czarownica, gdziekolwiek się pokazała, na swe otoczenie wywierała. Ni stąd, ni zowąd zjawiała się nagle w jakiejś wsi lub miasteczku, a nie upłynęło parę miesięcy, a już, jak twierdzi uczony demonolog Prierias, sekretarz papieski, przyprowadzała na sabacie dziesiątki niewiast, spragnionych chrztu szatańskiego, gorliwych wyznawczyń tej nowej wiary, z którą żadna porównać się nie da, bo z żadną nie było związanych tyle nieludzkich rozkoszy, żadna nie mogła tak nasycić swoim obrzędkiem rozpetanych zmysłów — bo żadna nie posiadała święta nad wszelkie święta: święta najwyuzdańszej rozpusty i ostatecznego nasycenia zgłodniałych demonów żądz — nie posiadała sabatu.

Sabat stawał się tak piekielnym narkotykiem, wobec którego opium wydaje się być niewinną zabawką, jakimś marnym surogatem, a czarownice baskijskie, badane przez wielkiego demonologa De Lancre'a jednogłośnie stwierdzają, że rozkosze przeżywane na

Czarownica, Choroba,
Lekarz, Wierzenia,
Zabobony, Nauka

Czarownica, Czary, Lekarz,
Morderstwo, Tajemnica

Czarownica, Kobieta,
Rozkosz, Religia, Czary,
Pożądanie

⁴⁹⁸ Paracelsus, właśc. *Theophrastus Bombastus von Hohenheim* (ok. 1493–1541) — szwajcarski lekarz, przyrodnik, alchemik i filozof, zwany ojcem medycyny nowożytnej; w dziele *Liber de nymphis, sylphis, pygmaeis et salamandris, et de caeteris spiritibus* (*Księga o nimfach, sylfach, gnomach i salamandrach oraz tym podobnych duchach*, 1566) podzielił mające ludzki wygląd istoty żywiołów na cztery rodzaje: wodne, czyli nimfy albo ondyny, powietrzne, czyli sylfy, podziemne gnomy oraz duchy ognia, czyli salamandry, do każdej kategorii dodając opowieści z nią związane. [przypis edytorski]

sabacie są tak niesłychane, iż czas między jednym a drugim wydaje im się całą wiecznością i nic nie da się porównać z tęsknotą, z jaką wyczekują znaku wyjazdu na tą mszę szatańską.

„Wszystko *ad majorem Dei gloriam!*” — jęczał wyznawca Kościoła w krwawym, przeźliwie ciężkim jarzmie duchowieństwa ówczesnego; „Wszystko ku większej chwale Szatana, na pohybel Trójcy Świętej, czerwonej *meretrix* Marii i jej bękarta Filipa!” (tak Chrystusa nazywały) — rżały w opętanym, niszczącym szale wyznawczyni jedyne go swego Boga, Szatana, rozwścieczone czarownice.

I była czarownica nie tylko doskonałą i zapamiętałą trucicielką, nie tylko umiała w zmowie z Szatanem, wężem, który się w ogon gryzie, a więc z zatrutym fluidem astralnym, wzniecać choroby i epidemie, sama wywoływać konanie na wolnym ogniu znieawidzonego osobnika z pomocą stapania woskowego homunculusa; nie tylko była ukrytą sprężyną w hipnozie lub somnambulizmie nakazanych morderstw, usługą pomocniczą przy usuwaniu znieawidzonych małżonków, niewygodnych spadkobierców, zręczną akuszerką przy spędzaniu płodu; nie tylko umiała tak kierować astralnymi prądami, że wysuszała łąki i urodzajne łany żyt, wyniszczała trzodę chlewną, a było samym spojrzaniem zabijała, ale głównie była znieawidzona i lękana⁴⁹⁹ jako dzieciobójczyni — właśnie dlatego, że Chrystus tak dzieci ukochał, a ponieważ je kazał przyprowadzać do siebie, więc z dzikim szyderstwem wysyłała mu je pomordowane, a żywe prowadziła na sabat i już w najrychlejszym⁵⁰⁰ wieku zaprawiała je w miłości i czci dla Szatana.

A swoją drogą potrzebowała gwałtownie dzieci, jak najwięcej dzieci: przecież najważniejsza ingrediencja⁵⁰¹ jej maści i wywarów to tłuszcz dziecka, mózdzek, wątroba lub żółć; przy tym ofiara dziecka (z którego buchającą żywą krew chwytala w fiole, flaszki i koneweczki, którymi polewała wywary jadowitych roślin lub macerujących się kości wisielców i z cmentarzysk wygrzebanych trupów) była najmiłsza jej panu i władcy.

A to zapotrzebowanie dzieci wzrosło jeszcze, gdy sabat przeniósł się do kościołów i klasztorów, a nawet przeważnie do kaplic prywatnych książąt, zarówno duchownych i świeckich, kiedy to „czarna msza” weszła w powszechne użycie.

Za czasów Ludwika XIV, jak świadczą akty „*Chambre ardente*”, specjalnego wydziału sądownictwa dla praktyk szatańskich, uprawiano po zaułkach Paryża jak najformalniejszy handel dziećmi — jedno dziecko kosztowało talara. Kto by nie uwierzył, niech sobie przeczyta protokoły tego tajnego sądu.

Jedna sama La Voisin, czarownica i powiernica madame de Montespan, kochanki Ludwika XIV, wymordowała przy mszach czarnych przeszło 700 dzieci, a własna jej córka musiała się przed pójściem bardzo starannie ukrywać, by kochana babunia i jej dziecka nie zamordowała.

Co do liczby tych dziecięcych ofiar, a może i wyrafinowanego okrucieństwa, z jakim je mordowano, przewyższał La Voisin chyba tylko jeden Gilles de Rais⁵⁰², tak zwany *Barbe Bleue*, który tymi zbrodniami chciał Szatanowi wyłudzić sztukę robienia złota.

Zaden spowiednik nie nasłuchiwałby się chociaż i przez najdłuższe życie choć w tysiącznej części tak potwornych zbrodni, jakie wysłuchiwał na każdym sabacie ten straszny, groźny „*Principe del regno doloroso*”, jak Dante Szatana nazywa: śnać go to już nudziło, bo jak jedna czarownica zeznaje, miał on minę wielkiego, ale znudzonego pana, minę obojętną i melancholijną, a ta wielkopańska mina stawała się wtedy tylko groźna i straszna, tak że czarownice drżały i trzęsły się z lęku, jeżeli któraś z nich nie zdążyła w międzyczasie nic więcej zdziałać nad wywołanie pomoru bydła lub uroczenia jakiegoś dziecka, którego matka nie zdążyła ochronić czerwoną chustką przed wzrokiem czarownicy.

⁴⁹⁹była lękana — raczej: lękano się jej. [przypis edytorski]

⁵⁰⁰najrychlejszy — najszybszy; tu: najwcześniejszy. [przypis edytorski]

⁵⁰¹ingredienca — składnik. [przypis edytorski]

⁵⁰²Rais, Gilles de (1405–1440) — fr. arystokrata i żołnierz, m.in. w wojsku dowodzonym przez Joannę d'Arc w kampanii w 1429 r.; od ok. 1435 r. praktykował okultyzm, pod wpływem Francesca Prelatego (1414–1446), wł. duchownego i alchemika, wywołując demony i jednemu z nich, nazywanemu „Barron”, składając w ofierze dzieci; był sądzony przez sąd świecki i duchowny pod zarzutami zabójstwa, sodomii i herezji, został ekskomunikowany i skazany na śmierć za torturowanie, gwałty i zamordowanie kilkudziesięciu dzieci (liczba ofiar wynosić mogła od 30–200) w wieku 8–16 lat, głównie chłopców; wraz ze swymi współpracownikami de Rais został stracony w Nantes 26 października 1440 r.; jego przypadek jest uważany za przykład wampiryzmu seksualnego. [przypis edytorski]

Czarownica, Szatan,
Dziecko, Zabobony

Dziecko, Handel

Szatan, Czarownica, Pan,
Robotnik

Wtedy wpadał w straszny gniew, a pięście jego były jak młoty z żelaza, toteż nie dziw, że niejedna czarownica, jak to często z ich zeznań wynika, musiała przez parę dni ten nieszczęsny sabat odleżeć.

Przeciwko tej piekielnej, przeklętej — „*nefandissima*” — sekcje przybrał Kościół niesłychanie groźną postawę. Przez trzy czy cztery wieki, bo od końca XIV stulecia aż pod koniec XVIII, tępił z straszliwym, zaciekłym okrucieństwem to szatańskie plemię, ale tępił na oślep, z tą dziką furią, jaka opanowała krzyżowców podczas wojen krzyżowych przeciw katarom. Gdy zdobyto twierdzę Maurilac, krzychał jakiś mnich w świętym uniesieniu: „Wymordujcie wszystkich, Bóg już się rozezna, kto mu przynależy! *Caedite omnes, Deus cognoverit, qui sunt eius!*”

I wymordowano 40000 mieszkańców, jedna żywa dusza nie pozostała, a wśród tych mieszkańców zaledwie połowa była katarami.

I wymordowano według tej samej sentencji około osiem milionów niewiast, wśród których drobny tylko ułamek stanowiły istotne czarownice, a między nimi jedna wspinała i dumna baskijska czarownica, młoda i piękna Dejortabel, która istotnie Szatana ukochała.

Gdy jej pacholek przyrzekł, że, jeżeli mu się odda, wypuści ją na wolność, splunęła mu w twarz z wyniosłą pogardą: „Ja, która byłam kochanką Szatana, miałabym się tobie oddać, marny służalcze sprawiedliwości ludzkiej!?”

I między nimi straszliwa Necato, jedna z najsłynniejszych czarownic z wzrokiem o tak piekielnej mocy, że siły jego nikt wytrzymać nie mógł, brodata, na całym ciele klakiem czarnym obrosła, o głosie grubym, męskim, nieartykułowanym głosie charczących basów, a poza tym bez wyraźnej płci, bo była hermafrodytą. A tyle zbrodni popełniła i z takim szatańskim cynizmem się do nich przyznawała, że niedługo było potrzeba ją przesłuchiwać: starczyło tylko parę zeznań, by zgotować jej taką śmierć, aby istotnie czuła, że umiera.

To wszystko wydaje się tak niesłychanie niewiarogodne i tak zdumiewające właśnie w tych czasach, w których niezwykle „cuda” się dzieją i za takie byłyby uznane jeszcze jeden wiek temu — dziś te cuda nazywamy „wynałazkami” — a nikomu nie przyjdzie na myśl, że większym cudem jest dzisiejsze szybowanie w powietrzu aeroplanem, aniżeli poonczas wskrzeszenie zmarłych lub, co się „czarem” nazywało: odwrotną stroną „cudu” — zabijanie ludzi na dystans.

Udało nam się po tysiącach wieków ujarzmić elektryczność, siłę znaną doskonale hie-rofantom egipskim i Mojżeszowi, uda się niezawodnie może już za jakąś setkę lat ujarzmić tę siłę, którą okultyzm od kilku tysięcy lat zna pod nazwą „*od*”, a wtedy będzie to wszystko, co dziś guślami, czarami, przesądem nazywamy, czymś tak zrozumiałym i tak powszednim, jak jest dziś siła elektryczna. A wtedy z całkiem innym zainteresowaniem będziemy się wczytywać w dzieła wielkich demonologów, którzy czarodziejskim praktykom czarownic i czarodziejów grube tomy poświęcili. Wyobrażam sobie, z jaką zachłanną ciekawością będą studiowane dzieła Prieriasa, *De demonomania* Bodinusa, *Disquisitiones magicae* — Del Rio, dzieła Grillanda, Sinistrari d’Ameno o sukubach i inkubach; a przede wszystkim Glanvilla: *Sadducismus triumphatus* i de Lancre’a: *De l’inconstance des demons!*

To wszystko, co dziś jeszcze jest ciemną, zawikłaną zagadką, spowitą w nieprawdopodobne tajemnice, wtedy się niewątpliwie rozjaśni, a z ciężkim wstydem przyjdzie nam żałować, że tak przedwcześnie nasz głupi i śmieszny sąd o czarownicach wydaliśmy.

W tym pobieżnym szkicu o czarownicach mogłem oczywiście zaledwie rąbek tajemnicy odsłonić, ale sądzę, że wskazałem ścieżkę, na której, usilnie i wytrwale krocząc, już teraz znaleźć można możliwość, na razie przypuszczalną tylko, by dotrzeć do jądra tej zdumiewającej zagadki.

Ludzkość dziś się już w znacznej mierze wyleczyła z tej wścieklej neofobii, która kazała jej się wyśmiewać z każdego nowego odkrycia: przecież chyba wiadomo, na jakie przesładowania byli narażeni wielcy rewelatorzy, z jaką nienawiścią przesładowano wszystko, co zdawało się wywracać na rękę ustalone przekonania. Od czasów, gdy człowiek sięcią telegraficzną odrutował Ziemię, gdy elektrycznymi prądami powietrza potwierdził okultystyczną naukę o telepatii i o telekinezji, gdy zdołano powietrze do tego stopnia opanować, że żegluga powietrzna pewniejsza niż wodna — ludzkość spokorniała.

Religia, Morderstwo

Czarownica, Duma, Kara,
Śmierć, Morderstwo,
Kobieta, Męczyzna

Cud, Czary, Historia

Czary

Dziedzictwo, Wierzenia,
Nauka

A tę ludzkość czeka jedno olbrzymie odkrycie: tej tajemniczej siły astralnej, niewidzialnej, zaledwie przeczualnej w promieniach radioaktywnych i röntgenowskich, a wtedy cały okultyzm przestanie być okultyzmem i problem czarownicy tak samo rozwiązany zostanie, jak transmutacja metalów — a sabat nie będzie stanowił większej zagadki od stworzenia kamienia filozoficznego.

XXIII

Owocem tych moich, poonczas bardzo jeszcze pobieżnych demonologicznych studiów była obszerna broszura: *Synagoga Szatana*⁵⁰³ — i od tego czasu przyłgął do mnie przydomek satanisty!

Ten „satanizm” rozślawił moje nazwisko, a raczej osławił niesłychanymi anegdotami. Raz zrobiono ze mnie przecież hierofantę jakiejś sekty satanicznej czy też paladystycznej, utrzymywałem ponoć bliskie stosunki z miss Dianą Vaughan i Leonem Taxilem⁵⁰⁴ i byłem oczywiście uczestnikiem „czarnych mszy” i powiernikiem samego Baphometa, i znalazł się nawet w Niemczech, swoją drogą bardzo poczytny, pisarz Landau, który w swej powieści uwiecznił mnie jako przewodnika sekty lucyferianów.

Jakie to wszystkie niepojęte w swej potwornej głupocie! a może tylko system ogłupiania z strony krytyków ich czytelników, brudne *Te Deum* obłudy, fałszu i kłamstwa tych, którzy tak gwałtownie ubić mnie pragnęli.

Bo czym był w istocie samej ten mój „satanizm”, który może najsilniej ujawnił się w mojej młodocianej powieści *Dzieci Szatana*, pisanej w tym samym czasie, w którym pisałem *De profundis*, *Na drogach duszy*, *Synagogę Szatana* i ostatni tom *Homo sapiens* — *W Malströmie*?

W czym polega ten mój „satanizm”?

Ducha buntu, Prometeuszowego ducha, który jest patronem i godłem wszystkich duchów wolnych, niedających się wepchnąć w jarzmo tego wszystkiego, co dla społeczeństwa jest pożyteczną i jedyną prawodawczą normą, niedającego się pętać kajdanami ciasnego, rachitycznego dogmatyzmu, a spragnionego coraz wyższego doskonalenia się — oczywiście kosztem urzędowej etyki — wprowadzenia ducha ludzkości na słoneczny dzień Wolności — nazywają urzędowe kościoły Szatanem, Lucyferem, Baphometem (czytaj odwrotnie, a otrzymasz: tem. o. h. p. a., to znaczy *templum omnium hominum pacis abbas*: *templum* — zakon templariuszy⁵⁰⁵), otóż tymi symbolami posługują się twórcy, którzy wywracają dogmaty, a przynajmniej zapuszczają się w dzierzawy, przeobszerne dzierzawy duszy ludzkiej, wyklęte najsroźszymi anatemami⁵⁰⁶ i interdiktami⁵⁰⁷ dogmatyzmu.

Ten mój „satanizm” to nie tylko to huysmansowskie *A rebours*, ale na wskroś rodzime, polskie *liberum veto*, tylko nie to *veto* spodłonego warcholstwa, ale to szczytne, gejerem ukropu buchające Mickiewicza:

Ja wydam Tobie krwawszą bitwę, niżli Szatan,
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca.

⁵⁰³*Synagoga Szatana* — powieść Stanisława Przybyszewskiego, pierwodruk po niem. w 1897 r., wyd. w tłum. polskim z 1902 r. nosi podtytuł: *Przyczynek do psychologii czarownicy*. [przypis edytorski]

⁵⁰⁴Taxil, Leo, właśc. *Gabriel Antoine Jogand-Pages* (1854–1907) — fr. pisarz i dziennikarz, znany ze swych poglądów antyklerykalnych, autor m.in. *La Bible amusante* („Biblia na wesoło”), *La Vie de Jesus* („Życie Jezusa”), w których Taxil w tonie satyrycznym wskazuje niekonsekwencje, błędy i fałszywe wierzenia religijne, a także innych pism (niekiedy pisanych w duecie z innym autorem), w których ukazuje dostojników kościoła katolickiego jako wykorzystujących swą władzę do praktyk w guście Markiza de Sade (m.in. *Les Débauches d'un confesseur*, *Les Pornographes sacrés: la confession et les confesseurs*, *Les Maîtresses du Pape*); Diana Vaughan była postacią zmistyfikowaną przez Taxila. [przypis edytorski]

⁵⁰⁵templariusze — zakon rycerski templariuszy, założony w 1119 r. przez Hugona de Payens i rycerzy francuskich dla obrony pielgrzymów w Ziemi Świętej, przeniósł się po podbojach tureckich na Cypr (w 1291 r.), a potem do Francji. Tu w r. 1307 król francuski, Filip IV (Piękny), oskarżył ich o herezję i uwięził. Papiież Klemens V zniósł zakon w r. 1312, a król skonfiskował jego dobra. [przypis edytorski]

⁵⁰⁶anatemata (gr. *ανάθεμα*) — klątwa, wykluczenie ze społeczności. [przypis edytorski]

⁵⁰⁷interdykt (łac. *interdictum*) — zakaz odprawiania obrzędów religijnych na danym terenie, przez grupę ludzi lub konkretną osobę nakładany przez władze kościelne lub powstający na mocy prawa kanonicznego przez sam czyn, np. zabójstwo biskupa czy sprzyjanie grupie stowarzyszeniowej działającej w sprzeczności z nauką i interesem kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

Cóż Ty większego mogłeś zrobić — Boże?

Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła,
Mam więcej, tę Moc, której ludzie nie nadadzą,
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa,
Jak wulkan tylko dymi niekiedy przez słowa⁵⁰⁸.

Ten mój „satanizm”, to wiara Słowackiego, że nie Bóg, *tylko* duch ludzki może czynić cuda.

Bóg, kiedy z Noem uczynił przymierze, rozwieszając tęczę nad wodami, zaklął się, że więcej cudów czynić nie będzie, że praw, przez Ducha nadanych Materii, nigdy nie naruszy, ale Duchowi da za podstawę Wolności, a złamanie tych praw sile własnej Ducha światowego pozostawi.

I ten mój „satanizm” przedstawia się w Mickiewiczowskiej parafrazie nauki Boehmego w ten sposób:

Jedna z iskier, wychodząca z mrocznego ośrodka Bóstwa, wyniosła się do stanu płomienia, a płomień ten tworzył indywidualność silną, anielską lub archanielską itd. Jedna z tych indywidualności, stanowiąca część integralną Bóstwa, mająca zatem wolną wolę, uczyniła, gdy przyszła do apogeum swej siły, akt przeciwny Wszechogółowi Stworzenia, chciała się sama miast Boga stać ośrodkiem stworzenia. Ten to Duch, mający jak Prometeusz przeświadczenie swojej siły, nie chciał jej podać Wszechogółowi i stał się w ten sposób jego wrogiem — Szatanem. Szatan jest twórcą widzialnego świata, a świat ten jest wynikiem działania „Buntu”. Źródłem powstania tego świata jest *wolna* wola duchów, zrywających jedność z Bogiem przez pychę: wolna wola, którą te duchy posiadają, jako części integralne, emanacje ducha Bożego. Idee, które zapragnęły stać się Absolutem, popełniły grzech pierwotny. Byt materialny jest zatem wynikiem grzechu pierwotnego — a życie grzech ten winno zmazać.⁵⁰⁹

Bunt dał początek Materii.

A sprawcą tego Buntu był *Szatan!*

Dlatego gnostycy⁵¹⁰ uważali Boga *Starego Testamentu* za niższego Eona, Demiurga lub wprost Szatana.

I do tego Szatana, twórcy świata materialnego, Prometeusza Hellady, którego Byron pierwszy wywlókł z ciasnoty dogmatycznej w *Kainie*, modli się i Baudelaire, i Verlaine, a triumfalnym krzykiem do tego dobroczyńcy ludzkości i opiekuna wszelakiego wyzwolenia bucha wspaniały hymn Carducciego⁵¹¹:

Salute, oh Satana!

O rebelione,

O forza vindica

⁵⁰⁸Ja wydam Tobie krwawszą bitwę (...) tylko dymi niekiedy przez słowa — cytaty z *Wielkiej improwizacji z Dziadów cz. III* Mickiewicza. [przypis edytorski]

⁵⁰⁹Jedna z iskier (...) a życie winno grzech ten zmazać — cytat z tekstu Mickiewicza *Jakub Boehme* (w oryg. po fr.). [przypis edytorski]

⁵¹⁰gnostycy — przedstawiciele kierunku religijno-filozoficznego rozwijającego się w pierwszych wiekach chrześcijaństwa; gnostycyzm łączy chrześcijaństwo z neoplatonizmem i pitagoreizmem; gnostycka wizja powstania świata jest opowieścią o wylaniu szeregu emanacji z pierwotnego bóstwa; gnostycyzm głosi skrajny antagonizm materii i ducha, świat materii wiążąc ze złem, grzechem i uznając za domenę złego i głupiego demiurga, pozostającego w stałej walce z najwyższym bogiem, uosobieniem najsubtelniejszej duchowości, dobra i mądrości; w koncepcji tej człowiek jako twór boski, lecz posiadający ciało, stanowi pole gry sił dobra i zła. [przypis edytorski]

⁵¹¹*Carducci, Giosue* (1835–1907) — rewolucyjny poeta włoski (pseud. Enotrio Romano); jego *Hymn do Szatana* (1865) wywołał oburzenie współczesnych; szatan w jego poezji, podobnie jak u Baudelaire’a i Verlaine’a, jest symbolem buntu. [przypis edytorski]

*De la ragione!
Sacri a te salgono
Glincenzi e i votti!
Hai vinto il Geova
Dei sacerdoti.*

Cześć Ci, Szatanie,
Buncie z przedwieczy,
Potęgo zemsty
W myśli człowieczej.
Hymny do Cię płyną i dymy godowe,
Boś kapłańskiego
Zgnębił Jehowę.

Satanizm mój to ciężki, krwawy, przebolesny ból Bytu, który przeczuwa Nieśmier-
telność i Nieśmiertelność tworzy i urąga Bogu „Wszehogółu”, który tam:

— — mądrze i wesoło
Zawsze rządzisz,
Zawsze sądzisz,
I mówią, że Ty nie błądzisz⁵¹²!

Satanizm mój to ciężkie zwątpienie, że

Bólem jest wiedza. Ten, kto wie najwięcej,
Najgłębiej czuje tę prawdę okropną,
Że drzewo wiedzy nie jest życia drzewem...

I satanizm, jeżeli chcecie, to ten „wieczny rewolucjonista, pod męką ciał leżący Duch”,
który mniema, że „prawa natury nie są wieczne, ale mogą być siłą ducha przełamane,
a duchy nieśmiertelne

...w co tylko wierzą,
Nawet, że globy w słońcu zapalą,
Nawet, że ruszą ciało z mogiły,
Wszystko mieć będą, w co uwierzyły”.

I ten satanizm to drwiące słowa Tłumacza Słowa do Heliona⁵¹³:

Ludzie nieużyteczni nikomu, którzy kilka dusz jałmużną splamili, kilka
ranków w kościele przekłęczeli, zamknęli się w własnym ciele niby ślimacy
— odjęli światu siłę, jaką mieli, światło, z jakim je Bóg *może* przysłał na
ziemię... I po kilku milionach milionów lat spodziewasz się znaleźć gdzieś
zachowane na wieczność te karykatury ludzkości, odpowiadające aniołowi
sądu, który je zapyta o wiarę, że *nie wiedzą, jaka jest, ale ją sądzą taką być,
jaka była w uczonej teologicznej głowie księdza spowiednika.*

Cóż! Czy nie rozśmiejesz się serdecznie na dobroduszną tych miesz-
kańców wiecznych wieczności?

⁵¹²*mądrze i wesoło (...)* że Ty nie błądzisz — cytaty *Wielkiej improwizacji z Dziadów cz. III* Adama Mickiewicza (słowa te kieruje Konrad jako zarzut przeciw nieczułości Boga na nieszczęścia świata). [przypis edytorski]

⁵¹³*Tłumacz Słowa, Helion* — postacie z *Dialogu troistego* Słowackiego (tytuł wg *Dzieł wszystkich* pod red. J. Kleinera, Wrocław 1954), którego treść stanowi uzupełnienie wywodów filozoficznych zawartych w *Genesis z Ducha*; „w co tylko wierzą (...) w co uwierzyły”: cytat z *Rozmów o celach finalnych*, jednej z części *Genesis z Ducha* Słowackiego. [przypis edytorski]

Tym biednym, mało- i dobrodusznym duszyczkom rzuciłem w twarz moje zapamiętane: „Mydlarze!”

Ale „satanizm” w tym pojęciu wydaje się być nauką hermetyczną, zamkniętą na siedem pieczęci — oczywiście w pierwszym rzędzie dla dziennikarskich krytyków i historyków literatury.

Ich „satanizm” — innego nie pojmują — to niesłuchanie głupia i bezczelna błaga Leona Taxila i jego iluzorycznej, prawdopodobnie wcale nieistniejącej pomocniczki, miss Diany Vaughan: potworna błaga, której na lep pozwolił się wziąć nawet Watykan. W istnienie diabła i najrozmaitszych sekt, które go obecnie — w naszych czasach — wyznają, uwierzyło na podstawie dzieła Taxila: *Le diable XIX-ème siècle* całej gremium kardynałów i ono to musiało ponieść ciężki i bolesny srom, gdy je w parę lat później Taxil w niemiłosierny sposób wykpił, a dzieło swoje uniewinnił pozorem, „najgenialniejszej mistyfikacji” Kościoła, na jaką się dotychczas mózg ludzki zdobył.

Ciekawe, że na tym polu „genialnej mistyfikacji” właśnie w tej wierzeniowej dziedzinie znalazł Taxile godną siebie rywalkę: *madame* Bławatska — ta tylko różnica, że Taxile zdołał zahipnotyzować li tylko Kurię Apostolską, natomiast stare medium Bławatska całą setkę tysięcy teozofów. Ale już wolę diabła Taxile’a, bo ma za sobą wspaniałą, tysiącnowieczną tradycję, a te mahatmy Bławatskiej to bardzo kiepscy „*nouveau-riches*”

Och! jak mi przykro rozwiąć jedną z najwięcej interesujących legend, które się naokoło mnie owijały. Ten cały mój satanizm, pozbawiony uczestnictwa w czarnych mszach, doszczętnie wyzbyty potwornych, orgiastycznych seansów, odarty z całego uroku tajemniczych obrzędów, zbrodniczo-sadystycznych zakusów, ten mój satanizm bez kradzieży i plugawienia świętych hostii, bez krwi chociażby przed czasem na świat przyszłych embrionów — co to za biedny, suchy, prozaiczny satanizm!

A szkoda, szkoda, że nie mogę się pochwalić ani przynależnością do jakiegokolwiek sekty, która na tronie Boga osadziła najwspanialszego z jego aniołów — potężnego Samjaza: on pierwszy podniósł bunt przeciw Bogu i na ziemię strącony został! Mało znam dekachów jego orszaku, takiego np. Azazela, który nauczył ludzi sporządzać miecze i noże, tarcze i pancerze, a równocześnie otworzył im oczy na bogactwo i wartość drogich kamieni, kobietom dał do rąk szminkę, pokazał im, jak mają sobie czernić brwi, a karminem wargi smarować — wskutek czego powstało według *Księgi Henocha* (rozdział 7, 2-8) ogólne bezbożne błąkanie się po najzdradliwszych drogach, rozpusta i wzajemne mordowanie się. Bliższy jest mi już Baragiel, który bieg gwiazd tłumaczył i wpływ ich na ród ludzki; coś niecoś dowiedziałem się od Kokabiela o niesłuchanym znaczeniu Zodiaku; Asdariel zdradził mi tajemnicę powstania alfabetu hebrajskiego na podstawie zmiennych faz księżycy; u Tamiela liznęłam coś z nauki astrologii; Amiziras wtajemniczał mnie w upiorne cuda, jakie o północy w *aequinoctium* w wszelakich roślinach się odbywają, ale przeraziłem się, gdy wraz z Henochem ujrzał, jaki piekielny anarchizm wytworzyli na ziemi ci strąceni aniołowie.

Patrząc obecnie na orgie bolszewizmu, przypomina mi się wszystko, com wtedy ujrzał.

Każdy z tych dziesięciu najwspanialszych aniołów popełniał zbrodnie bez liku i miary.

Piękność ziemskich kobiet spowodowała ich do buntu przeciw Bogu, bo zapragnęli je posiadać i dzieci z nimi spłodzić.

I napłodzili dzieci bez liku, straszliwych gigantów, a każdy z nich był trzy tysiące łokci długi, którzy wszystko pożarli, co trud ludzki stworzył, a gdy już nic nie pozostało, zaczęli sami siebie wymordowywać, tak że cała ziemia stękała i jęczała wskutek tych straszliwych zbrodni, a stęk i jęk był tak straszny, że dotarł do tronu Bożego.

I Bóg powołał do siebie Michała, Uriela, Rafała i Gabriela, a zwracając się do Rafała, rozkazał mu, by największego zbrodniarza Azazela — rozpustnego uwodziciela kobiet, który ich wszystkich sprośności wyuczył, który rozbudził w nich próżność i pustotę, kłamstwo i fałsz — związał i spętał na rękach i nogach, wrzucił go do ciemnicy, otworzył na oścież pustynię w Dudael, zwałił na niego ostre skały złomy, odwrócił go twarzą na ziemię, aby nigdy już światła nie ujrzał.

On to, najniebezpieczniejszy i najsprośniejszy z aniołów, stał się przyczyną zepsucia i zgnilizny co dopiero stworzonego świata. On był ojcem miłosnego oblędu, który krwią mózg zalewa i z mędrca robi głupiego błazna, z bohatera nędznego tchórza, łagodnego baranka przemienia na krwiożerczego tygrysa, świętego na chutnego byka — z łagod-

Szatan, Idealista, Zbrodnia

Miłość, Pożądanie, Anioł,
Szatan

nej niewiasty czyni wściekłą hienę, czystość wywraca na rękę, tak że się staje plugawą gnojówką, a niewinne, anielskie oczy rozplomienia żarem najgorętszej rozpusty.

Ale na nic się nie zdała kara, jaką Bóg zesłał na Azazela, boga ziemskiej miłości, pragnień, pożądań, rozpusty, krwiożerczych namiętności, boga najwyszukańszych sidła, jakimi samica samca i na odwrót samiec samicę pęta, boga zdrady, przewrotności, niechlujstwa i kłamstwa i fałszu: zbyt głęboko zapuścił swoje korzenie Azazel, a mimo że Bóg przez Asarialiora, syna Lamecha, zwiastował ziemi potop i zagładę i groźbę swoją wykonał, nic się od tego czasu nie zmieniło.

Ten sam wkoło opętany taniec Miłości i Śmierci, Zbrodni i Rozpusty! Azazel wydobyl się z pustyni w Dudael, a nigdy nie był potężniejszym, jak w naszych czasach!

Jednemu tylko podlega: temu, na którego Bóg nie odważył się targnąć, na tego, którego *bunt* dał początek Materii, a któremu na imię:

Samjaza — Szatan — Lucyfer.

Nie spała się archanioł Michał, któremu Bóg poruczył zniszczenie Samjazy — pewnoć to on, Samjaza, który zawarł śluby z gnostyczną Achamoth — Tęsknotą!

Rzadko która apokalipsa — a jest ich wiele (między innymi cały twór Dostojewskiego) — zrobiła na mnie tak potężne wrażenie, jak ta *Księga Henocha*, nawiasem mówiąc, boskie źródło, z którego czerpał całymi garściami Dante, gdy tworzył swoją *Boską Komedię*!

A i dla mnie księga ta — źródłem mojego biednego „satanizmu” — he, he — w Henochu odnajdziecie mój satanizm.

XXIV

O Dostojewskim wspomniałem.

Tu tylko jeden nakaz czuję w całym sobie: na kolana!

W Krystianii, dzisiejszym Oslo, zapoznałem się z sekretarzem poselstwa rosyjskiego — nazwisko jego wypadło mi niestety z pamięci — i on mi dostarczył całego Dostojewskiego w tłumaczeniach francuskich Halpern-Kamińskiego, jeżeli się nie mylę, i w świetnym tłumaczeniu na język duński.

Znałem dotychczas tylko *Winę i karę*, teraz poznałem *Biesy*, *Braci Karamazow*, *Idiotę*, jego nowele, a między innymi przedziwnie piękną *Krotkaja*. Czytałem to wszystko bezustannie, miesiącami całymi, czytałem od początku do końca, i na odwrót: zacząłem i jednym tchem dążyłem do początku, i wtedy to przeżywałem najcięższą tragedię w moim życiu twórczym.

Wyjść poza Dostojewskiego, to znaczyłoby zrównać się z przepotęzną Dwój-Jednią, jaką on stanowi wraz z Szekspirem — dla mnie stanowią obydwa równe potęgi; *lasciate ogni speranza*, jak się ma tylko zwykły talent, a i o tym talencie bezustannie powątpiewałem — wkroczyć choćby w ostatni rejon geniuszu Dostojewskiego: na to trzeba było całkiem innego zasobu sił twórczych, jakimi ja rozporządzałem. Ręce mi opadły, szarpałem się, by stworzyć psychologię młodocianego, niedowarzonego anarchisty-nihilisty w *Dzieciach Szatana*, a potem dałem sobie na długi czas spokój — już potem przez kilka lat żadnej powieści nie pisałem, dopóki nie zdołałem otrząść się z przemożnego wpływu, jaki Dostojewski na mnie wywierał — wywierać nie potrzebował, bo aż nadto z jego duszy tkwiło we mnie samym.

Tym się może tłumaczy zdumiewający fakt, że tysiącokrotnie jestem popularniejszy w Rosji, aniżeli w własnej Ojczyźnie. Zaczem Polska coś o mnie wiedziała, już Rosjanie tłumaczyli mój twór na język rosyjski, a ubiegli ich w tym — Czesi!

Przez Pragę czeską dostałem się do Polski.

Można sobie wyobrazić moje radosne zdumienie, gdy otrzymałem pewnego dnia — tam wysoko na północy w Kongsvinger — pięknie wydane tłumaczenia czeskie i *Requiem aeternam (Totenmesse)*, i *Wigilii*, a równocześnie gorące zaproszenie do jedyne go pisma poświęconego w Czechach „nowej” sztuce: *Moderni Revue*. Do głębi byłem wstrząśnięty serdecznym i uwielbienia pełnym listem redaktora tego pisma — Arnosta Procházki⁵¹⁴

⁵¹⁴Procházka, Arnošt (1869–1925) — współzałożyciel i wieloletni współwydawca miesięcznika literackiego będącego organem czeskich modernistów „Moderni Revue”; autor liryków i krytyk. [przypis edytorski]

— nie byłem w stanie pojąć, że parę moich utworów mogło tak głęboki wpływ wywrzeć na kształtowanie się „nowej” sztuki w obcym kraju.

I odtąd pozostawałem w najbliższej styczności z Czechami; nie było jednego numeru miesięcznika, swoją drogą świetnie redagowanego przez wyżej wspomnianego Arnosta Procházkę, który by nie zawierał jakiegoś mojego utworu.

Wszystko, com już odtąd napisał, pojawiało się w czeskim języku, a z najznamienniejszymi twórcami Młodych Czech łączyły mnie serdeczne i bliskie stosunki, z Arnostem Procházką, Jerzym Karaskiem z Lwowic⁵¹⁵, Stanisławem Neumanem⁵¹⁶, a przede wszystkim z rychło zmarłym, wielkiej a świętej pamięci Hlavačkem⁵¹⁷.

Poznałem wtedy olbrzymi twór Otokara Brzeziny⁵¹⁸, jedyne, który w całej Słowiańszczyźnie może stanąć obok Kasprowicza; poznałem Antoniego Sovę⁵¹⁹ i Machara⁵²⁰, a za pośrednictwem Przesmyckiego poznałem całą potężną twórczość Zeyera⁵²¹.

Jeżeli Czesi, jak bezustannie mnie zapewniają, mają mi dużo do zawdzięczenia, to i na odwrót: poczuwam się wobec nich do głębokiej wdzięczności. Jaką to olbrzymią satysfakcję sprawiło mi wtedy to przeświadczenie, że mój ubożuchny twór mógł oddziaływać na twórców, którzy wtedy — według mego mniemania — przerastali mnie o całe niebo!

Mikromania! A może i nie! Z najgłębszym uwielbieniem korzę się przed Otokarem Brzeziłą, z głębokim szacunkiem odnoszę się do Zeyera; drogim, ukochanym druhem jest mi Jerzy Karásek, z którym przed paru laty dużo długich godzin razem spędziłem w takim serdecznym porozumieniu, jak rzadko z którym artystą; nieskończenie drogi mi jest Arnost Procházka, z którym prawie przez ćwierć wieku w stałym, dla nas obojga niezmiernie płodnym kontakcie pozostawałem; klęczę z głęboką miłością nad mogiłą twórcy *Prostibolo duše* Hlavačka, składam cześć Stanisławowi Neumanowi, który miał odwagę drukować *Synagogę Szatana* — austriacka cenzura pozwoliła mu zaledwie jedną dziesiątą część wydrukować — a pominiawszy wszystko, co mnie osobiście z bogatą, hardą, dumną i w poprzek istniejącym kanonom młodą sztuką Czech wiąże, mam Czechom do zawdzięczenia, że przez nich dowiedziała się Polska, iż istnieje jakiś Polak, wprawdzie piszący na razie po niemiecku, ale podkreślający z jak największym naciskiem w listach do swoich współpobratymców, że jest tylko Polakiem, a posługuje się niemieckim językiem, by móc wyżyć, bo w Polsce samej nie było dla niego miejsca.

A miejsca tego nie znalazło się dla mnie nawet w pięć lat później, gdy do Polski zjechał.

I tak się zdarzyło, że przebywał poonczas w Pradze młody literat polski, Maciej Szukiewicz⁵²². Jakąż ciężką przykrość mi sprawił, gdy pierwszy list, który do mnie wystoso-

⁵¹⁵Karásek ze Lvovic, Jiří, właśc. Jiří Josef Antonín Karásek (1871–1951) — czeski pisarz, poeta i krytyk; przedstawiciel dekadentyzmu i symbolizmu w literaturze czeskiej; tłumacz na język czeski i wydawca dzieł Stanisława Przybyszewskiego, założyciel galerii sztuki w Pradze. [przypis edytorski]

⁵¹⁶Neumann, Stanislav Kostka (1875–1947) — komunistyczny poeta czeski, autor m.in.: *Apostrofy brde a vašnice* („Apostrofy namiętne i dumne”) oraz *Sen o zástupu zoufajících* („Sen o tłumie zrozpaczonych”). [przypis edytorski]

⁵¹⁷Hlavaček, Karel (1864–1888) — czeski poeta, malarz i grafik; jego *Prostibolo duše* reprodukowane w „Moderni Revue” to cykl ilustracji do zbioru poezji pod tym tytułem Arnosta Procházki. [przypis edytorski]

⁵¹⁸Březina, Otokar, właśc. Vaclav Jébavy (1868–1929) — poeta czeski, tworzył mistyczno-religijne wiersze i poematy. [przypis edytorski]

⁵¹⁹Sova, Antonín (1864–1928) — czeski poeta modernistyczny, autor impresjonistycznych, symbolicznych i patriotyczno-rewolucyjnych liryków; jego powieść *Zlomene duše* stanowi spowiedź człowieka współczesnego. [przypis edytorski]

⁵²⁰Machar, Josef Svatopluk (1864–1942) — czeski poeta i eseista, jedna z centralnych postaci Czeskiej Moderny, jednocześnie czołowy realista w poezji, mistrzowsko wykorzystujący język kolokwialny, charakterystyczny sceptycyzm w jego ujęciu rzeczywistości uważany jest za jeden z trwale pozostawionych przez niego rysów kultury czeskiej. Był aktywny w antyaustriackich kręgach politycznych w Wiedniu, współpracował z Masarykiem, tworząc w 1914 r. ruch oporu Maffie. Do jego ulubionych gatunków należał sonet, jest też twórcą powieści satyrycznej wierszem *Magdalena* (1893, tłum. polskie Antoniego Langego wyd. 1900) na temat prostytucji i społ. sytuacji kobiet; w wielu wierszach (m.in. *Golgotha*) daje wyraz krytycznej ocenie cywilizacji chrześcijańskiej, znacznie wyżej stawiając wartości kultury antycznej; pierwszy zbiór poezji Machara z 1887 r. nosił tytuł *Confiteor*. [przypis edytorski]

⁵²¹Zeyer, Julius (1841–1901) — czeski poeta modernistyczny, autor m.in. cyklu epickiego *Wyszehrad* i powieści *Jan Maria Pjolkar*. [przypis edytorski]

⁵²²Szukiewicz, Maciej (1870–1943) — pisarz i historyk sztuki (kustosz Domu Matejki w Krakowie), wydał również tomik wierszy; początkowo w entuzjastycznych felietonach zapowiadał przyjazd Przybyszewskiego do Krakowa, później odsunął się od środowiska pisarza. [przypis edytorski]

wał, napisał w niemieckim języku, boć pewno myślał, że należą do tych licznych renegatów, od których wtedy Wielkopolska się roiła.

Byłem szczęśliwy, że mogłem mu po polsku odpowiedzieć, iż jestem rdzennym Polakiem, a piszę po niemiecku jedynie dlatego, by w jakiś sposób koniec z końcem związać.

I odtąd nawiązała się między nim a mną serdeczna korespondencja. W kilkunastu listach namawiał mnie, bym do Polski powrócił, ale nie mógł podać możliwości zarobku dla artysty, którego przyszłość w Polsce zbyt czarne nadzieje rokowała.

Paderewski ogłosił poonczas konkurs na najlepszy dramat współczesny — pocziwy Szukiewicz przetłumaczył *Dla szczęścia* — i aczkolwiek jestem mu bardzo zobowiązany za jego trud — przetłumaczyłem go ponownie sam, ale to na nic: *Dla szczęścia* nie uzyskało nawet *mention honorable* — ponoć nawet nie było czytane. *Zaczarowane koło* Rydla wyparło poza nawias mój biedny dramacik.

I już teraz, kiedy Szukiewicz w kawiarni Turlińskiego mógł wszem wobec dać bliższe wieści o Przybyszewskim, jako że jest Polakiem, a tylko z musu posługuje się językiem niemieckim, kiedy jał tajemniczo opowiadać o grozie *De profundis* i o *Dzieciach Szatana* i *Synagodze Szatana*, rozpoczęły do mnie napływać listy z Krakowa, a między innymi rozkoszne swoim rozmachem, bolszewickim rozpędem nieokiełznane, nieskładne, na ciężki ból zębów chorujące listy Neuwerta-Nowaczyńskiego.

Pisane na świstkach papieru, pełne wykrzykników, a takie drogie i takie w całej swej rozchukanej naiwności dobre i serdeczne!

Co za olbrzymia szkoda, że tych listów nie posiadam! Może w żadnym jego tworze nie ujawniła się tak kochana dusza Adolfa, jak w tych młodzieńczych, „wściekłym” entuzjazmem płonących i listach dwudziestoletniego chłopaka.

Z jaką miłością ja te jego listy czytałem — próbował nawet przetłumaczyć moje *Wniebowstąpienie*, ale to tłumaczenie było pod psem — natomiast analiza *Dzieci Szatana* całkiem doskonała: w zachwyty wprowadził go tytuł jednego rozdziału „Król Nowego Syjonu”.

I pisywał listy — bardzo, bardzo piękne, ale niezmiernie trudno było ich sens zrozumieć, zaczem⁵²³ ktośkolwiek mógł jeszcze śnić o futuryzmie. Każdy list jego był nadfaturystyczny: jeden piękny frazes — wykrzyknik, jedno wściekle bluzgnięcie na Kraków —; wykrzyknik, jedno słowo uwielbienia — wykrzyknik; rzygnął w stronę literatów polskich czy to w „Głosie Narodu”, czy też w „Życiu” Szczepańskiego — wykrzyknik; i jak ja tego człowieka nie miałem pokochać?!

Kochałem go nawet wtedy, gdy mnie wstawił w piekielnie przykre położenie, bo po zamordowaniu cesarzowej Elżbiety wykrzykiwał: — *Vive l'anarchie!* — Mało co brakowało, a Austria byłaby mnie z Krakowa wyrzuciła, jako że ten okrzyk rozdarł ciężkie powietrze jakiejś nocnej kawiarni w mojej obecności; ten sam okrzyk, który i Jerzy Żuławski⁵²⁴ posłyszał, a wobec czego stryj jego, słynny psychiatra, wyparł się wszelkiej łączności z swoim siostrzeńcem.

I właśnie, że tak Cię kocham, mój słodki robaczku, przykro mi rozwiązać legendę, jakobyś Ty mnie do Polski sprowadził — po co Ci to było pisać?

Och, och, och! Całkiem inną drogą do Polski się dostałem:

Jak żywo stoi przed oczyma mej duszy jakiś dwudziestoparoletni młodzieniec, już poonczas z długą, czarną, jedwabistą brodą, już poonczas — co mnie bardzo zdumiewało — z porządną łysiną i jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Jakby to określić? — Była w niej wielka dobroć i dziecięca naiwność, chwilami nawet coś z kapłańskiego namaszczenia, mesjanistyczne natchnienie, a znowu raz po raz przebliski czegoś dziwnie zażartego, obłądnego, całkiem niepojętego dla mózgu, przyzwyczajonego operować tabliczką mnożenia według Adama Riese.

W całym moim życiu, tak zdumiewająco nieprzystosowanym do logiki życia nawet „niezwykłych” ludzi, nie znalazłem tak wspaniałego rywala, jak w nim jednym:

Tadeuszu Micińskim⁵²⁵!

⁵²³zaczem (daw.) — zanim. [przypis edytorski]

⁵²⁴Żuławski, Jerzy (1874–1915) — poeta, dramaturg i powieściopisarz; autor powieści fantastycznych *Na srebrnym globie*, *Stara Ziemia*. [przypis edytorski]

⁵²⁵Miciński, Tadeusz (1873–1918) — młodopolski nowelista, poeta i dramaturg, którego zbliżyły z Przybyszewskim studia filozoficzne w Niemczech. [przypis edytorski]

A poznałem go w ciekawy sposób.

Pracowałem wtedy nad demonologią, satanizmem — he — he — i pokrewnymi naukami w bibliotece berlińskiej. Dotychczas otrzymywałem wszystkie dzieła w tym zakresie bez najmniejszej zwłoki, bo poonczas nikt przecież się tym nie zajmował, prócz może jakiegoś wielkiego Kiesewettera, który tej biblioteki nie potrzebował, bo odziedziczył tak bogatą bibliotekę okultystyczną po swym pradziadzie, generale *Rosenkreutzerów*, jaką się nawet British Museum poszczycić nie może.

Wtem ktoś mi pod nosem wypożyczał najwięcej upragnione przeze mnie dzieła.

To mnie już jęło boleśnie intrygować, bo przychodziło mi na jedną książkę, na jaką z upragnieniem czyhałem — miesiące całe czekać.

A nagle jednego dnia przy stoliku, przy którym zamówione książki się odbierało — donośny głos bibliotekarza:

— *Thaddäus Miciński* — hier: „*Geschichte des Teufels*” von Roskoff.

A równocześnie zwrot mojej kartki z zamówieniem:

— *Herr Przybyszewski* — „*Geschichte des Teufels*” von Roskoff soeben ausgeliehen.

A o tego Roskoffa tak mi strasznie chodziło — tak mi ten Roskoff był potrzebny.

Spojrzałem w stronę Micińskiego, który się z miejsca nie ruszył, tylko z dobrotliwym, ciekawym uśmiechem mi się przypatrywał.

— Tak panu zależy na tej książce? — zapytał po polsku.

Byłem zdumiony, że ktoś w Bibliotece Państwowej w Berlinie przemawia w języku polskim.

— Pan Polak? — (moje radosne zdziwienie!)

— Tak! i to taki, który zna Przybyszewskiego.

Hej, hej, drogi Tadeuszu!

Daleś mi, daleś Roskoffa — nie tylko to — ale w długich godzinach wspólnych spacerów poprzez berliński *Tiergarten* otwierałeś mi na oścież bramki, ciasne, bardzo ciasne przesmyki do zaułków Twej duszy, w których się nieraz gubiłem, odmykałeś zgrzytające, zardzewiałe rygle od zamków do stęchłych, spleśniałych krużganków, w których Ty sam się gubiłeś, opowiadałeś mi treść Twoich dziwacznych dramatów. Strasznie to było naiwne, a równocześnie tak przykuwające moją uwagę niesłychaną hipertrofią pomysłów, że raz całą noc przepielgrzymowałem przez ogromny obszar *Tiergarten*'u bez najmniejszego znużenia, wsłuchany w ten dziwaczny, niesłychany, niepojęty rozgardiasz dzikiej, tropikalnej, egzotycznej dżungli Twego mózgu.

I możesz przed nikim, drogi Tadeuszu, nie zdradził [tak] do cna tajemnic Twej duszy, jak przede mną. Śpij spokojnie — ja ich nie zdradzę.

A dusza jego była jak morze — łagodne, dobrotliwe, słodko rozesłane, to znowu nieokiełznane, wzburzone, pieniające się oszalałymi bałwanami, dyszącymi chorą pianą wściekliczny; morze biczowane, smagane, nieświadome, za co cierpi, dlaczego niszczyć i burzyć musi! Ileż go razy widziałem nad brzegiem Atlantyku — tam na krańcu Zatoki Biskajskiej, kiedy zrywał z siebie koszulę i wpół nagi wyciągał ręce i krzyczał w gorącym uniesieniu ku Oceanowi, który na sto metrów podrzucił olbrzymie fale w górę na „*Silho blanco*”!

Pisał po ciemku — nie znosił światła podczas pisania — nigdy nie byłem w stanie pojąć, jak mógł te groteskowe gzygzaki, jakie podczas pisania w zupełnej ciemności na papier rzucał, potem odczytać — a pewno, że na jawie je inaczej odczytywał: na jawie czekała go ciężka męka — a najcięższa zrozumieć to, co w transie napisał.

Tyle się słyszy głupich bredni o piszących mediach — Orinoko głupoty: czytałem tysiące „wypocin” mózgow tych mediów — jedna idiotyczniejsza od drugiej, głupie, bezsensowne, płaskie. Tego wszystkiego w rachubę się nie bierze.

Jedynym, istotnie na wielką miarę skrojonym „piszącym” medium, czasami sięgającym krańców genialności, o rozpiętości duszy tak olbrzymich rozmiarów, że się bezustannie rwała, kurczyła, w bolesnych konwulsjach zwijała, był — Tadeusz Miciński.

Niczym wizjoner Swedenborg, w którego Miciński tak żarliwie się wczytywał, wobec tych niepojętych, chwilami całkiem niezrozumiałych, chwilami może nawet śmiesznych i obłąkanych wizji, jakie miewał Miciński i je swoimi gzygzakami na papierze — wszystko

Artysta, Dusza, Morze,
Literat, Twórczość, Słowo

jedno jakim, czasami nawet na tym, w jaki mu funt cukru owinięto — bezświadomie pętał.

Co się wtedy przez tę biedną męczeńską duszę wielkiego, ale piekielnie niezrównoważonego artysty nie przelewało! i losy biednej, nieszczęsnej jakiejś nauczycielki, i tajemnicze pałacu magnackiego, w którego podziemiach odbywały się potworne msze szatańskie, a na górze najczystsze misteria dusz z ciał wyzwolonych; poryki, gwizdy, rozpustą rozwydrzone śmiechy zlewały się w dziki hymn wraz z kajającymi się, na kolanach czołgającymi się modlitewnymi antyfonami najpokorniejszych świętych: noc dzień pożerała, a ledwo świt wstał, już schłonał w ogniste swe piekło błogosławieństwo dnia — a z jak otwartego pieca, w którym kruszec się topi, lała się lawa ognia na jedną i drugą stronę, rozbryzgiwała się w potokach i strumykach, a żadnego wspólnego łożyska znaleźć nie mogła.

To było straszną i krwawą tragedią twórczej duszy Micińskiego!

Rzadko która dusza twórcza tak mnie zaciekawiała, tak mi była bliska, a równocześnie daleka, tak mnie ku sobie pociągała i odpychała swoim niesamowitym dziwactwem, którego krętymi drogami wciąż jeszcze stąpać usiłowałem, jak dusza tego niezwykłego twórcy.

Właśnie wtedy powołał mnie wydawca — nazwisko jego trzeba upamiętnić: Wrede — otóż ów Wrede ściągnął mnie z Norwegii, bym objął kierownictwo okultystycznego pisma, które po likwidacji „Sfinksa” wielkiej i świętej pamięci Hübbe-Schleideny Ochrzczone zostało na „Metaphisische Rundschau”.

Z radością zgodziłem się na propozycję pana Wredego, zjechałem do Berlina i objąłem redakcję.

Porozpisywałem na wszystkie strony listy, proszące, błagające, zachęcające, ale na wszystkie otrzymywałem rozpaczne odpowiedzi: pan Wrede jest znany z tego, że nikomu żadnego honorarium nie płaci.

Można sobie wyobrazić mój ciężki wstyd, gdy mi tak poważny okultysta, Karol Du Prel⁵²⁶, na moje zaproszenie, by wziął udział w współpracownictwie tej „Metaphisische Rundschau”, odpowiedział długim i serdecznym listem, ubolewającym nad tym, że się w tak niewłaściwym towarzystwie znalazł, i radził mi, bym przyjechał do Monachium, miejsca jego pobytu, gdzie właśnie powstało towarzystwo o bardzo krótkim, przez kler bawarski zniszczonym bycie: *Psychische Gesellschaft*.

Byłem redaktorem na papierze — przygotowałem wprawdzie trzy zeszyty miesięczne, ale pan Wrede nie miał pieniędzy, nawet na to, by mi zagwarantowane 200 marek miesięcznie wypłacić. I w tym znojnym czasie był mi Miciński — szczególna rzecz: w towarzystwie Ludwika Scharfa i Wedekinda — niezmiernie miłym towarzyszem. Miłym, jak miłym — o tym można by dużo mówić, w każdym razie towarzyszem-artystą, który w równej mierze mnie, jak i niemieckich kolegów, zaciekawiał.

Bo nagle przestał być Miciński miły.

Stał się opryskliwy, zaczął się, wyzywał ustawicznie na ostre języki, widać było, że się szamotoł na wszystkie strony, coś go podrywało, gnało.

Lutosławski Wincenty⁵²⁷ go wzywał — do swojej siedziby w Playa de la Mera, małej miejscowości nad Zatoką Biskajską naprzeciw miasta La Coruña.

Nagle Miciński znikł — dłuższy czas się pokazywał — zaniepokojony poszedłem do jego mieszkania: wyjechał, ale dokąd, nikt nie wiedział.

W międzyczasie poczęły wiać rewolucyjne prądy w Polsce. Z Wiednia przyjechał Ludwik Szczepański, wychowaniec Hermana Bahra, wielbiciel Altenberga i całego *Jung-Wien*, i jął budować podwaliny pod Młodą Polskę w tygodniku „Życie”⁵²⁸.

⁵²⁶ *Du Prel, Karl* (1839–1899) — spirytysta i okultysta niemiecki. [przypis edytorski]

⁵²⁷ *Lutosławski, Wincenty* (1863–1955) — idealistyczny filozof-mistyk, tzw. neomesjanista; pisał w wielu językach, o przybyszewszczyźnie — w *Bańkach mydlanych* (wyd. książkowe Kraków 1899, prwdr. w „Czasie” krakowskim, cykl artykułów w 1898 r.), rozczarowany bliższym poznaniem Przybyszewskiego, którego wraz z żoną Dagny gościł w Hiszpanii w r. 1898. [przypis edytorski]

⁵²⁸ *Szczepański, Ludwik* (1872–1954) — poeta i publicysta, we wrześniu 1897 r. założył w Krakowie tygodnik „Życie”, organ „Młodej Polski”, który stawiał sobie za cel informowanie o nowych prądach w sztuce za granicą oraz popieranie talentów rodzimych. [przypis edytorski]

Widocznie już wtedy poczęło moje nazwisko być w Krakowie znane — głównie może dzięki niezmiernie sympatycznej serii artykułów pani Zofii Daszyńskiej⁵²⁹, z którą często w Berlinie się widywałem, kiedy w Akademii Humboldta wygłaszała zarys nauk społecznych; widocznie i Ludwik Szczepański dowiedział się, że niczego tak nie pragnę jak tylko tego, by mi jakieś pismo w Polsce otwarło gościnne łamy — dość, że otrzymałem od niego gorące zaproszenie, bym wziął współudział nie tylko jako pracownik w jego piśmie, ale i jako doradca.

Och, jak gorąco mnie to zaproszenie uradowało!

Teraz zapadło we mnie niezłomne, radosne, a równocześnie trwożne i nieśmiałe postanowienie: „Odtąd będę pisać wyłącznie po polsku!”

A było to śmiałe postanowienie: wprawdzie znałem doskonale literaturę polską — w niewielkiej, ale zasobnej bibliotece mego ojca znalazłem już od małego dziecka aż nadto obfity karm, który chciwie pochłaniałem — i naszą klasyczną Trójcę, Kraszewskiego oczywiście, Czajkowskiego, Korzeniowskiego — ba! nawet Libelta i Cieszkowskiego; moje wakacje gimnazjalne wypełniała bezustanna lektura tych bezcennych skarbów, ale od całego długiego szeregu lat nie miałem języka polskiego w użyciu, ani w Berlinie, gdzie się głównie w kołach niemieckich obracałem — polskich nie było poza wegetującym Stowarzyszeniem Studentów Polaków Wielkopolski, w której, jak wiadomo, kaleczono poonczas boleśnie język polski — a w Skandynawii miałem sposobność tylko parę razy mówić z Polakami. Brak książek polskich i polskich czasopism dawał mi się bardzo przykro odczuwać; raz po raz widziałem z zdumieniem, jak język polski niesłychanie się rozrasta, pięknieje, w niepojęty sposób się wykształca i bogaci, bom znalazłem gdzieś tomik poezji Tetmajera, a Miriam nadesłał mi podówczas *Na wzgórzu śmierci* i *Krzak dzikiej róży* Kasprowicza oraz swój własny przepiękny tomik poezji: *Z czary młodości*, i zląkłem się, ażali⁵³⁰ ja potrafię takim językiem pisać.

Spróbowałem — z początku nieśmiało: szło to trochę opornie, a nagle, jak gdybym się z jakiegoś długiego snu przebudził, zrozumiałem jedną rzecz:

Ja, mimo że język niemiecki do tego stopnia opanowałem jak żaden z Polaków przede mną — to śmiało mogę twierdzić — zrozumiałem nagle z wielkim zdumieniem, że nigdy nie doszedłem do tego, by po niemiecku *myśleć*: wszystko, co w niemieckim języku pisałem, było tylko niesłychanie szybkim *tłumaczeniem* polskiego tekstu — tego wszystkiego, com w polskim języku myślał — polska myśl przyoblekała się z zawrotną szybkością w obcą szatę. A ponieważ te przyoblóczyzny odbywały się z tą niepojętą szybkością, miałem nawet sam wrażenie, że *piszę* po niemiecku, kiedy ja tylko na język niemiecki *tłumaczyłem*.

Tłumaczenie Szukiewicza mego dramatu *Dla szczęścia*, który to dramat radził mi poczciwy pan Maciej posłać na konkurs dramatyczny imienia Paderewskiego, wydało mi się bardzo nieudolne.

Sam je przetłumaczyłem: to tłumaczenie to mój *pierwszy* utwór polski. Jak głęboko musiała tkwić polskość w krwi mojej, jeżeli śp. pan Chmielowski tę pierwszą próbę moją pisaną po polsku ocenił słowy: „Władcą jest Przybyszewski języka polskiego, ale zarazem i jego tyranem”.

A tym tyranem miałem już w dalszym ciągu pozostać, myli się tylko pan Stefan Żeromski, że lepiej pisałem po niemiecku aniżeli po polsku, jak również błędne jego mniemanie, że Sieroszewskiemu łatwiej się wyrazić po rosyjsku aniżeli po polsku.

Nie! panie Stefanie, jeżeli znajdują się w moich po polsku pisanych rzeczach „błędy i usterki”, to całkiem rozmyślne. *Nie ja językowi podlegam, ale język mnie podlegać musi.*

Jeżeli mi jakiś zaimek niepotrzebny, to go wyrzucam, a jeżeli go nie ma w języku, a mnie jest potrzebny, to go wstawiam. Potrzebny mi jakiś okres, choćby „jak tasiemiec” ciągnął się przez dwie strony, to go się nie ulękę, a chociażby mnie Bóg wie jak kusił, to go wyrzucam i jednym słowem zastąpię!

⁵²⁹ Daszyńska-Golińska, Zofia (1866–1934) — ekonomistka; docentka w Akademii Humboldta w Berlinie w l. 1896–1898; związana z krakowskim „Życiem” do października 1898 (współpracę zakończyło jej oświadczenie opublikowane w nr. 47 z 1898 r.). [przypis edytorski]

⁵³⁰ *ażali* a. *azali* (daw.) — czy, czyż, czy też. [przypis edytorski]

Teraz już z całą odwagą zabrałem się do „tłumaczenia” na polski język *Wigilii* — tylko to nie było tłumaczeniem, bo po niemiecku pisane *Wigilie* byłyby nieprzetłumaczalne, ale na starym niemieckim palimpseście napisałem pierwotny tekst polski.

Takie były pierwsze kroki, jakie poczyniłem na już nieodwołalnie postanowionej wędrówce ku mojej Ziemi Obiecanej — a nie wiedziałem jeszcze wtedy, czy ją kiedykolwiek ujrzę.

Teraz już co tydzień otrzymywałem „Życie” Szczepańskiego. Spodziewałem się Młodej Polski, jako czegoś w rodzaju czeskiej *Moderni Revue* lub chociażby niemieckiej *Gesellschaft*, ale poza kilkoma utworami Tetmajera i przepięknym, wspaniałym, w królewską purpurę przyobleczonym: „Byłeś mi kiedyś bożyszczem, o tłumie” Kasprowicza — sromotny zawód: wszechwładnie rozpanoszyła się w Szczepańskiego „Życiu” Maskoff-Zapolska, śmieszne utarczki w obronie *Tamtego* z panem Ehrenbergiem wypełniały całe łamy pisma, płaskie *Jung-Wien* świeciło swoje orgie epitalamiczne — jedna tylko fizjonomia duchowa wśród wszystkich współpracowników zarysowała się wyraźnie — piękna, przeczulona wprawdzie, niemniej do głębi artystycznego sumienia uczciwa dusza — Artura Górskiego.

I w tym „Życiu” zastanawiał mnie jeszcze jeden artysta — ząbkujący, początkujący Adolf Nowaczyński.

Tu już stawiał pierwsze kroki ten późniejszą tak chlubną przyszłość rokujący linoskok na linie, którą rozpiął między Wieżą Mariacką w Krakowie, posągiem Zygmunta na placu Zamkowym w Warszawie i przeciągnął ją poprzez szczyty ratusza poznańskiego, a obwiał ją wokół kaplicy Bonarów we Lwowie.

Bądź jak bądź: Szczepański zrobił swoje — cały jego majątek „Życie” pożarło, a ledwie przekroczył próg Polski, a Polską była wtedy Galicja, spadło na mnie ciężkie, bolesne brzemie fatalnej upadłości.

Ale o tym potem.

Nagle, kiedyś już późną jesienią, otrzymałem list od Micińskiego — wprost z Hiszpanii, z Playa de la Mera, naprzeciw Corunii — z siedziby Wincentego Lutosławskiego; parę słów tylko, na kartce papieru, wetkniętej w obszerny list samego pana Wincentego.

W liście tym, nad wszelki wyraz serdecznym i kochanym, liście, świadczącym o tak niesłychanej dobroci serca, że czytając go lzy mi się ciurkiem puściły — mnie, któremu lzy zwykle pod powieką marzną — list tak piękny, że mimo woli szepnął do siebie: „A, są jeszcze piękni ludzie na świecie” — w którym mnie jak najgoręcej zaprasza do Hiszpanii; świadectwo, jakie mnie Miciński mu wystawił, wystarcza mu doszczętnie, by przygotować się po moim przybyciu do istotnej „biesiady” duchowej.

Ta „biesiada” trochę mnie zastanawiała — byłem już wtedy trochę obeznany z towianizmem i przypomniała mi się *Biesiada*, jaką Towiański głupiego błazna-generała Skrzyneckiego kusił.

Skrzynecki okazał się w tym jednym wypadku mądry — nie poszedł na lep „Biesiady” — natomiast ja się skusiłem — pojechałem do Lutosławskiego z najgorętszą miłością, ale rychło spotkało nas ciężkie i bolesne rozczarowanie, o którym długo i szeroko rozpisuje się Lutosławski w swoim paszkwilu *Bańki mydlane*.

A może właśnie dlatego ten paszkwil napisał, że może mnie kochał — upatrywał we mnie jakiegoś przez Boga wysłanego mu adepta, narzędzie-wysłannika, który by Słowo jego głosił na całą Polskę, spodziewał się wykształcić mnie na swego Jana z Patmos, a bolesnym i ciężkim przeżyciem musiało być dla niego, gdy natrafił na całkiem mu obcą, na diametralnie przeciwnym biegunie rozłożoną duszę, a mimo gwałtownych uderzeń laską w opokę tej duszy nawet jednej iskry — tej mu potrzebnej iskry, by całą watrę rozpalić — wykrzesać nie zdołał.

Stąd może całe jego bolesne rozgoryczenie, które znalazło tak nikczemnie mały upust w *Bańkach mydlanych*.

Ale ta osobista przykrość zupełnie mi oczu nie mąci na istotną wielkość tej niesłychanymi zdolnościami uposażonej duszy, o takiej pojemności, jaką rzadko która dusza polska poszczycić się może; cała jego tragedia, że przyszedł za późno — może być, że w czasach towiańszczyzny byłby odegrał olbrzymią rolę i pchnął świętą „Sprawę” na całkiem innej torze niż te, na jakie je Mickiewicz zepchnął i ostatecznie zabagnił — może być, że

ongiś mógłby się stać jakimś olbrzymim prorokiem, wychowawcą całego narodu i przeprowadzić go poprzez Morze Czerwone — ale ten czas go ominął. W naszym czasie jest anomalia, *posthumus, caeso*, ale haniebnym było usiłowanie, by go w Krakowie zasadzić do domu obłąkanych — a może przyszedł za rychło? i to przypuścić można, że ten człowiek, ten Wincenty Lutosławski, przyszedł istotnie za rychło — że to wszystko, co głosił, w całe swe życie i mienie włożył, później bogaty plon wniesie w gospodarza-narodu dom. *Chi lo sa*⁵³¹?

I osobiste moje zatargi z tym bądź co bądź niezwykłym człowiekiem, którego jedyną może wadą było, że nie znał granicy, kędy się kończy szczerość, a rozpoczyna swe niechlujne panowanie wulgarna i ordynarna nachalność, wdzieranie się w tajniki obcej duszy — te osobiste moje pretensje są niczym wobec głębokiej wdzięczności, jaką dla niego odczuwam jako do człowieka, nie mówiąc już o niezmiernym szacunku, jaki dla niego żywię, jako twórcy stylometrii⁵³² i może najgłębszego w Europie znawcy Platona.

I w tym uczuciu wdzięczności i szacunku całkiem mi nie przeszkadza ta olbrzymia obcość, która cyklopicznym murem między nim a mną wyrosła.

Lutosławskiemu zawdzięczam Hiszpanię!

A to już niezmiernie dużo — och! jak to na moim umysłowym i twórczym życiu zaważyło!

Czym wobec tego małe, wprawdzie bardzo przykre niesnaski — a takie zwykle są najprzykrzejsze — jakie często gęsto zachodziły między panem Wincentym a mną; czym moja głęboka przykrość, gdy widział, jak pan Wincenty się na mnie zawiódł — wszak ci ja miałem pisać powieść na tle prusko-wielkopolskich stosunków, a pisałem *Nad morzem*; czym tak na wskroś męska zazdrość o duszę Micińskiego, który w daleko większym stopniu podlegał mojej, aniżeli jego; czym wszystko to *Menschliches, Allzumenschliches*, co mi duszę i serce podczas całego pobytu w Playa de la Mera raniło, mimo całej niezwyklej gościnności tak z strony pana Wincentego, jak i małżonki jego, Zofii z domu Casanova — wobec tych niesłychanych rewelacji artystycznych, jakich doznałem w Hiszpanii: Goya, Theotokopulos Graeco, van Aaken, którego jedynie w madryckim Prado oglądać można, Giorgione — ten boski, ten niepojęty Giorgione w Prado! — jedno z najpotężniejszych objawień twórczej duszy ludzkiej — i znowu Goya i Graeco. He, he: dziś to wszystko zwulgaryzowane, Goya i Graeco na wszystkich ustach, ale wtedy, trzydzieści lat temu, kto coś o nich wiedział? — to były wielkie, niesłychane objawienia, wobec których dusza ślepa od nadmiaru światła.

Ten istotny, ten przepotężny Goya mieścił się poonczas w Madrycie, w muzeum, zwanym wtedy: Calcographia — nie wiem, jak jest dziś — i tam spędzałem, bez przesady, przez kilka tygodni po trzy i cztery godziny dziennie. Nasycić się nie mogłem — tak bratniej duszy nie znalazłem ani w Ropsie, ani w Munchu, ani w Vigelandzie, jak właśnie w Goyi; „bratniej” — powiedziałem przed chwilą — śmieszny napad megalomanii: znalazłem moje bóstwo, przed którym się głęboko korzyłem, tak jak w Toledo z pokorną czią kajałem się przed obrazami Theotokopulosa, w małym, ale niesłychanie bogatym toledańskim muzeum.

A jechałem do Hiszpanii z radością, że zobaczę Velasqueza, Murilla — dziwna rzecz, że tych właśnie całkiem nie widziałem, a jest ich setkami w Prado.

Majaczy mi się jeszcze w głowie Zurbaran — ta sroga, nieustępliwa, paniczny lęk budząca asceza jakiegoś twórcy, powołanego do niesłychanych potęg twórczości, a szczelna w suchym potwornym bólu na mokrym sklepieniu nędznej celi.

Ale co duszę moją w najwyższą ekstazę wprawiało, to architektura katedry gotyckiej w Toledo i Burgos. To inny gotyk, jak ten niepokalany, nieskończenie czysty, surowy, z wszelkich ozdób świadomie obdarty, jak w północnej Francji, jak u nas, hen — na Wschodzie, w Toruniu lub Gdańsku; gotyk hiszpański to rozwydrzone, przeolbrzymie bogactwo jakiegoś Samjazy, księcia upadłych aniołów, który je ściele u stóp Tego, od którego odpadł, a którego teraz przebłagać pragnie; gotyk hiszpański jest tym, czym jest najwyszukańszymi, najkosztowniejszymi zachodami wyhodowana orchidea — nie

⁵³¹*chi lo sa?* (wł.) — któż to wie? [przypis edytorski]

⁵³²*stylometria* — rodzaj analizy tekstu (a. innego dzieła sztuki), oparty na metodzie statystycznej charakterystyki stylu, mający na celu wykrycie fragmentów, które potencjalnie mógł napisać ktoś inny niż główny autor tekstu. [przypis edytorski]

wiem, dlaczego ten chory, najwytworniejszą chorobą chory kwiat skojarzył się w moim mózgu z hiszpańskim gotykiem — orchideą i cudem wszystkiego, co jest skazane na wymarciu: takie przebogate, tak olśniewające swoim przepychem i wytworną, miliony lat starą kulturą, taką, co niewidzialnym strumieniem płynie tysiące kilometrów w ukrytych jaskiniach pod szczytami gór, by na chwilę zważyć się olbrzymim wodospadem w podszczytową dolinę i tam znowu w jakiejś górskiej jaskini zaniknąć!

Zbyt nie nęciło mnie niesłychanie misterne, ponad wszelką miarę podziwu godne majsterstwo i najwyrafinowana sztuka arabska, jaką oglądałem w Toledo w Casa de los Moros i w mauretańskiej kaplicy w samej toledańskiej katedrze. Ponadto możesz ją podziwiać w każdym niemal domku Toledo — trzeba tylko zajrzeć w jakieś podwórze, a w jakimś dawnym precudownym pałacu mauretańskim znajdziesz teraz stajnię, chlew albo remizę dla wozów i najprzeróżniejszych gratów... Nie! nie! Nie nęciła mnie Granada, ani nawet nęcić nie mogła, bom miał za mało pieniędzy, ale miałem na tyle opamiętania twórcy-artysty, że wyjazd poza Toledo — choćby nawet do niedalekiej Kordoby — byłby zniszczeniem tego niesłychanego wrażenia, jakie w Toledo odniosłem: jak biedne, jak nieskończenie skromne moje usiłowanie, by dać choć odrobinę tego, com w Toledo przeżył, w opisie Toledo w mojej smutnej powiastce: *Androgynie!*

Tak — tak! Stałem na szczycie toledańskiego Alkazaru — z trudem się tam dostałem, bo była to wtedy wojna hiszpańsko-amerykańska — a każdy cudzoziemiec uchodził za „*Inglese*”, a co najmniej za szpiega amerykańskiego — ale spojrzeli na moją niesamowitą słowiańską głębię i puścili mnie na wieżę.

I z tej wieży toledańskiego Alkazaru, z którego mogłem objąć całą olbrzymią potęgę katedry, tak piekielnie wtłoczonej w setki najciaśniejszych uliczek, że jej z żadnej strony ujrzeć nie można — z tej wieży Alkazaru, z której widziałem żółty, brudny, spieniony, bezustannymi wodospadami walący się Tajo, popod tymi mostami, których cud żadne słowo opisać nie może, tam, drogi panie Wincenty Lutosławski, tam Ci korną podziękę składałem, a oczy wlepiłem w przedziwny architektoniczny cud: San Juan de los Reyes — przed paru godzinami tam byłem i na kolana padłem przed dziwami i cudami wnętrza tej drugiej katedry toledańskiej, na której Izabela Katolicka rozwiesiła łańcuchy kajdanów wyzwolonych jeńców chrześcijańskich.

Pięć dni i pięć nocy błądziłem po poplątanych arabeskach, w jakie ulice Toledo są wycięte — trzy godziny błąkałem się po mieście, zaczętem zdołałem trafić do mojej „fondy” — już trzykrotnie dostałem się przez ciasną uliczkę do wnętrza katedry, by tam znowu godziny spędzać na oglądaniu witraży, wyolbrzymionych do boskości najwyższego Piękną zachodzącym słońcem — dostawałem się na jakiś placyk, nie większy jak mieszkanie, które obecnie zajmuję, i znowu zaułki — ciemne kanały, przez które i muł obładowany z trudnością się przedostawał, a gdy wreszcie dotarł do mojej „fondy”, rwało mnie na drugi brzeg Tajo, do jakiegoś samotnego klasztoru, z którego wszystkie cuda Toledo w świetle księżycy przybierały jakiegoś już nadboskiego uroku.

Ale nawet to wszystko, co Ci, panie Wincenty, zawdzięczam — to Toledo, to niesłychane madryckie Prado, ta przedziwna świętość Awilli i to boskie bogactwo Burgos — niczym wobec tego, żeś stał się pomostem, przez który do Polski się dostałem.

Otrzymałem poonczas list od Macieja Szukiewicza, a wiecie co mu odpowiedziałem?

Czym są te raje i cuda, które tu teraz w Hiszpanii przeżywam, gdzie niesłychane bogactwo sztuki człowieka tak oszołamia, że oczy sobie z zdumienia przeciera, ażali to jawa; czym ta niesłychana, najwytworniejsza, a może i najpotworniejsza potęga twórczości ludzkiej, która *pod koniec* najcudowniejszym kwieciami cały świat potopem zalewa, że nie jak za czasów Nerona tylko uczestnicy uczty Trimalchiona się dusili, ale cała czująca, rozumiejąca ludzkość w rozkosznych spazmach skonać by mogła; czym to ostatecznie wszystko wobec raj i cudu mojego Gopła i rodzinnej wsi Łojewa, i tej słomianej strzechy szkoły mego ojca, pod którą się urodziłem.

— A jeszcze wtedy nie wiedziałem — co mi jeden jasnowidz później potem przepowiedział, a czego wtedy nie rozumiałem: Pod słomą się urodziłeś, a „pod blachą” umrzesz.

Jakim ja cudem dostałem się „Pod Blachę”?⁵³³

I miał nadejść kres mej krwawej nostalgii, która mnie całe lata w niepowiedziany sposób trapiła.

Nie wiem — przynajmniej mimo mnóstwa wywiadów — nie zdołałem dociec, by ktośkolwiek choć w mikroskopijnej cząstce swego uczucia tak się tą nostalgią dławił jak ja.

Co ja byłbym wiedział, jakie zdumiewające spostrzeżenia byłbym mógł zrobić, jakie niezwykle rzeczy przeżyć, gdyby nie ta chora tęsknota! A już od małego dziecka mnie trapiła — uciekałem z gimnazjum do domu, żadna siła nie byłaby w stanie mnie powstrzymać, bym na święto Bożego Narodzenia nie miał przyjechać do domu rodzicielskiego. — Hej! hej! „Graj, skrzypku — będziesz w niebie, a basista obok ciebie”!

Już dość tych bredni!

Jadąc do Hiszpanii, zatrzymałem się przez tydzień w Paryżu. I tam osobiście poznałem Zenona Przesmyckiego — Miriama.

Najgłębszy, najserdeczniejszy pokłon, drogi mój Zenonie, na którego *Z czary młodości* kształtowałem mój język polski, za Twoją nieskończenie dobrą gościnę, jakiej u Ciebie doznałem!

Jedno z najpiękniejszych wspomnień moich — najcudowniejsza kropla, która przelała się poza brzeg Twojej kosztownej Czary!

A teraz — teraz, kiedy już się stałem tym małym, maleńkim Schopenhauerem⁵³⁴, którego można czytać od początku do końca i na odwrót: od końca do początku, bom nie wiedział jeszcze wtedy, że mam jeszcze coś do powiedzenia, i to bardzo, bardzo dużo, a jeżeli dotychczas nie wypowiedziałem, toć przecież rozwarte przede mną na oścież mnóstwo żyć — stał się dziwny cud.

Wróciłem z Hiszpanii goły jak turecki święty — na razie zwrócił się do mnie z doraźną pomocą Zenon Przesmycki, ale i on sam ostatnim groszem gonił.

I tak też się stało, że przez Przesmyckiego poznał dwóch nieskończenie mi drogich braci Siedleckich⁵³⁵, Franciszka (znanego artystę malarza) i Michała (profesora uniwersytetu w Krakowie), parę zdumiewająco pięknych braci.

Zaprowadzili mnie do niezmiernie gościnnego domu pp. Danyszów — gdzieś tam w Auteuil. Pamiętam piękny ogród, na wskroś polski dworek, niezmiernie uprzejmą panią domu, Danysza samego, który przypominał mi uczonych niemieckich, ale w jak najlepszym stylu — kto wie, czy nie tkwiło w nim albo nie tkwi coś z tego Curie, który w kieszonce od kamizelki chował odrobinę radu, nie wiedząc o tym, że to radium może mu wątrobę i nerki przepalić? — i w domu pp. Danyszów dokonał się najważniejszy etap mego życia.

Bogata była kolacja, którą państwo Danyszowie na cześć znanego już Polaka, rozslawiającego imię polskie poza granicą — coś niecoś już znane we Francji — wystawili; bogata i kochana, i niezmiernie dobra była ta cała ich gościna, ale najgłębiej utkwiła w mej pamięci — gdybym powiedział „osoba”, to byłoby istotną obrazą — nie utkwiła, ale utkwiał aż do samego dna duszy — człowiek? — zjawa? — przeznaczenie? — zesłaniec Boga moich losów?

Bo ja wiem?!

Kazimierz Dłuski⁵³⁶!

Panie Kazimierzu, byłeś Ty wtedy — a to było na początku maja 1898 roku — byłeś Ty świadom, kiedyś siedział przy mnie przy fortepianie, na którym ja łokciami, knykciami-

Muzyka, Polak, Dar,
Pieniądz, Wolność

⁵³³dostałem się „Pod Blachę” — 1 października 1924 r. Stanisław Przybyszewski zamieszkał w pałacu „Pod Blachą” w Warszawie, uzyskawszy nominację na urzędnika kancelarii cywilnej Prezydenta R.P. [przypis edytorski]

⁵³⁴Schopenhauer, Arthur (1788–1860) — niem. filozof idealistyczny, jego podstawowe dzieło: *Welt als Wille und Vorstellung* (*Świat jako wola i wyobrażenie*), ukazało się w r. 1818, lecz doktryna Schopenhauera spopularyzowała się dopiero po 1848 r.; jego twierdzenie, że filozofia nie jest nauką, lecz sztuką, a szczególnie koncepcje „woli życia” sformułowane w *Psychologii miłości* wywarły duży wpływ na modernizm niemiecki oraz na wczesną twórczość Przybyszewskiego i jego teorię „nagiej duszy”. [przypis edytorski]

⁵³⁵bracia Siedlecki — Michał Siedlecki (1873–1940): znany zoolog, autor m.in. *Opowieści malajskich, Jawy*; Franciszek Siedlecki (1867–1934): malarz i grafik, znany jest jego *Album Warszawy* oraz portret Norwida. [przypis edytorski]

⁵³⁶Dłuski, Kazimierz (1855–1930) — działacz socjalistyczny; lekarz, założyciel sanatorium przeciwgruźliczego w Zakopanem. [przypis edytorski]

mi wygrywałem *Fis*-moll Sonatę Schumanna, *Fis*-moll Polonez Szopena, byłeś Ty w tej chwili świadom, gdyś mi jął mówić o Paderewskim, że on jedyny mógłby się na mojej barbarzyńskiej muzyce poznać i ją pokochać; och! Chryste Panie! byłeś Ty świadom tego, żeś w tej chwili — nie! w tych godzinach mego obłąkanego grania, którego Ci dosyć nie było — pokierował całym moim dalszym losem?! Wyobrażam sobie, co to musiał być za list, pisany przez Dłuskiego do Paderewskiego, jeżeli już za tydzień otrzymałem parę tysięcy franków, które mnie wyzwoliły z bolesnej prusko-berlińskiej, tak nieskończenie bolesnej niewoli — może bym dotychczas gnął w tej niewoli, boć jak było się z niej wyzwolić?

Jak będę miał kiedyś pieniądze, to kupię taki gruby, taki ciężki łańcuch, jaki widziałem opasujący całą katedrę San Juan de los Reyes i pošlę go tam z szczerzłotym napisem:

„Paderewski wyzwolił Przybyszewskiego”.

Ja, dziś blisko sześćdziesięcioletni człowiek, nie będę się u stóp Twoich ślaniał — zbyt wielkim panem jesteś, by moja wdzięczność Cię nie zabolala: jedno tylko wiedz — gdybyś miliony lat żył, nie sprawiłbyś żadnemu człowiekowi ani sobie samemu tego przeolbrzymiego szczęścia, jak mnie w tej jednej świętej chwili, gdym granice Prus przekroczył i do Krakowa zajechał!

XXV

Kiedym podczas mego trzydziestoletniego „jubileuszu” (!) — he, he! — powiedział na estradzie teatru lwowskiego, że gdyby cały mój twór, taki, jaki bym go chciał mieć, wynosił 50 stron, toby było aż nadto szczęścia dla mnie, powiedziano, że to poza nieszczerą skromnością. O nie! to najgłębsza prawda, na jaką w ogóle zdobyć się mogłem!

Całkiem inaczej miał ten gmach wyglądać, pod którego fundamenty wydzwigiwałem ze wszech stron olbrzymie kamienie; gmach, który na tym fundamencie wybudowałem, całkiem inaczej miał wyglądać i całkiem inną potęgą pyszni się przed oczyma mej duszy — a im częściej go obchodzę, tym boleśniej mnie razi — a tym się tylko pocieszam, że gdy po wiekach całych wrócę, ten gmach będzie już dawno zburzony, ale fundamenty pozostaną — o — o! — te pozostaną! i na nich może być mi dozwolony — mnie, biednemu bygmestrowi Solnessowi, który już tyle razy budował i burzył — wyciągnąć pod niebo ten gmach — katedrę, o której od małego dziecka marzyłem!

Wszystko, com stworzył, niczym — niczym wobec tego, com przemyślał, gdym całe mile naokoło mojego biednego stołu dzień w dzień robił. Gdy znowu powrócę, spełnię nakaz przenajświętszego zakonu.

Tą wiarą rehabilituję moje życie!

Fundamenty, na których niedołączny twór mój budowałem, te jedynie pozostaną — te jedynie są niezniszczalne.

Zdawałoby się, że niepotrzebnie rozpisałem się tak szeroko o tym wypadku w mym życiu, kiedym się bliżej zapoznał z całym tym okultystycznym kołem naokoło Hübber-Schleideny, naokoło spirytystów, okultystów i różokrzyżowców.

Tymczasem ogromnie dużo im zawdzięczam.

Dziś, kiedym dwadzieścia lat strawił nad zgłębianiem ich nauki, ale zdumiewające: to, co wtedy było tylko niejasnym przecuciem, intuicją, mgławicową anamnezą, dziś już jasno — dzięki tym długim latom, strawionym nad studium okultystycznych nauk — mogę syntetycznie przedstawić, co mi się wtedy tylko majaczyło:

Dziś wiem, do czego moja dusza kierowała, i dziś wiem, do wykonania czego była powołana, i dziś jestem w stanie na podstawie głębokiego uświadomienia, jakie z nauk okultystycznych zaczerpnąłem, wypowiedzieć się wam: wam wszystkim, którzy dotychczas darzyliście mnie jeżeli nie miłością, to przynajmniej odrobiną sympatii — wypowiedzieć się wam z najcięższej tragedii mego życia, jedynej i istotnej, jaką przeżyłem — bo czymże mogła być jakaśkolwiek tragedia wobec tej, że z mego tworu pozostaną tylko glazy fundamentu, a cały gmach na nim wybudowany niezadługo się w gruzy rozsypie?!

Bygmester Solness nie dorósł swoimi siłami, by móc wynieść choćby tylko pod dach ten gmach — a raczej tę katedrę, którą w krwawych wysiłkach i szarpaninach budować zamierzał.

Obłądana myśl zwichrzyła w zarodku moje twórcze poczynanie. Chciałem wykraść tajemnicę Ognia! Czy wiecie, czym jest ogień? Otóż nauka różokrzyżowców o ogniu:

To, co ogniem nazywamy, to tylko ordynarnym, materialnym oskorupieniem ognia; to, co dla nas ogniem, jest z natury rzeczy — jako zjawą — ciemnością. Bo „istota”, jako taka, jest przeciwieństwem zjawy. Nasz ogień jest poza granicą naszych zmysłów w świecie nadnaturalnym — głuchą ciemnością.

Wiedzą o tym wszyscy, którym było dane w świętych ekstazach oglądać światło wiekuiste.

Bo wszelka materia jest ciemnością i dusza jedna tylko światłem. Światło nasze jest materialne, a jako materialne musi być ciemne. Bóg naszego światła, to książę ciemności — *princeps tenebrarum* — istotny Bóg nie jest materialne, więc nie może być dla nas, jako niematerialny, światłem — musi być ciemnością, to znaczy jedynym i istotnym światłem.

A więc wszystko na odwrót.

Ciemnością dla jedynego światła, jakim jest Bóg i jego cząsteczka — duch ludzki, jest i nawet ten najczystszy, materialny ogień, który świeci tak nieskończenie delikatnym światłem, że tylko rzadcy, najwięcej sensorywni ludzie je widzą; ciemnością jest nawet ta świetlana promieniejąca materia Crooksa⁵³⁷, a nawet ten *od*, który dusza nasza poprzez cielesną skorupę bezustannie promieniuje, *nawet* ten choćby i dziesięciorako wysubtelniony agregat *odu*, substrat ducha ludzkiego, jest jeszcze ciemnością wobec tego ognia, tego światła i blasku, w jakim Bóg w człowieku się przejawia.

A nigdy Bóg się inaczej nie objawiał, jak w świetle i ogniu. Wszelakie światło w kościele katolickim symbolizuje to jedyne żyjące światło — najczystszy, ostatni, z wszelkiej skazy oczyszczony objaw płynącej, płonącej, w *blasku* rozkwitłej materii, która przestała być materią i teraz pnie się w górę, wzwyż poza wszystko, co jeszcze się „sobą” nazywało, ku nieznanemu, *wiekuistemu*, jedynemu wiekuistemu światłu, wobec którego wszystkich ogień tu na ziemi — głuchą ciemnością.

Ogień jest *schechinah* Boga — Bóg zjawił się w ogniu i zamieszkał w ogniu — ogień skradziony, nasz, zmaterializowany ogień ziemski, choćby się nawet w ultrafioletowych promieniach przejawiał, to władztwo Boga ciemności — Lucyfera. Och, jak piekielnie biedny ten skradziony ogień!

Trzeba tylko patrzeć na ogień innymi oczyma, jak tymi bezdusznymi, obojętnymi, jakimi przywykliśmy patrzeć na wszelką rzecz.

Cóż my o ogniu wiemy? — Jedyni, którzy o nim coś wiedzą — okultyści, alchemicy — milczą i z ciężkim trudem wykrada się im drobinki ich tajemnicy.

Ogień spoczywa choćby i w najświetlitszej naszej materii — wszystko, co jest materią, jest grobem żywcem pogrzebanego ognia — i pod tym względem nie różni się człowiek w niczym od najtwardszego kamienia, jakim jest krzemień i diament. I w jednym, i w drugim spoczywa głęboko ukryte serce ognia i trzeba wielkich wysiłków i wielkiej mocy, by to serce poruszyć i zmusić je, by buchnęło płomieniem i rozlało poprzez opokę skalistą lejący się strumień istotnego Ognia-wody, jaki Mojżesz ze skały swą łaską wykrzesał.

Wszelaka materia — czy ją nazwiemy kamieniem, czy też cielesną naszą powłoką — dusi, dławi, więzi, kielzna najdzikszą torturą ogień, musi go więzić, bo inaczej pożarłby całe światy. Tym samym więzieniem dla ognia, jakim jest krzemień lub diament, całkiem tym samym, tylko stokroć razy gorszym, są zmysły w skorupce duszy — w cielesnej naszej powłoce — a dla ognia-duszy sromotniejszą katownią ciała człowiecze aniżeli kamień.

Bo i z kamienia łatwiej wykrzesać płomień, to, co jest koroną, równocześnie najcudowniejszym kwieciami, owocem i chwałą gorącości, aniżeli z człowieka. Krzemień jest grobem niewidzialnego ognia, ale silne uderzenie starczy, aby to wybuchające kwiecie gwałtownego rozrostu gorącości na zewnątrz wytrysło — a na nic się nie zda walić choćby i najwścieklejszym taranem o serce ognia w człowieku: z jednego na tysiąc, a z dwóch

⁵³⁷ *Crookes, William* (1832–1919) — angielski fizyk i chemik; dzięki analizie widmowej odkrył w 1861 tal (Tl), pierwiastek chemiczny, w 1875 r. skonstruował radiometr (przyrząd do pomiaru intensywności światła), a następnie urządzenie do obserwacji promieniowania katodowego („rura Crookesa”), poprzedzające lampę rentgenowską, oraz spintaryskop do obserwacji i liczenia promieni alfa (1903); Crookes interesował się spirytyzmem i był przekonany, że badania naukowe potwierdzą kiedyś tę teorię (publikował artykuły na ten temat w czasopiśmie „Quarterly Journal of Science” w l. 70. XIX w.). [przypisy edytorski]

na dziesięć tysięcy buchnie na chwałę płomień i w tej chwili zanika; grube ciężkie płyty materii, jak płyty grobowców nad nim się zamykają. A jeżeli gdzieś tam ogień się naszym zdumionym oczom ukaże, to jest to, jak gdybyśmy złodziejskim okiem rzucili wzrok przez wąziutką szparę w całkiem inny, nieznan nam świat. Otóż ten ukryty, istotny ogień, więziony przez naszą cielesną skorupę, dławiony, duszony, torturowany przez nasze zmysły, miałem na myśli, gdym począł — 30 lat temu — o „nagiej duszy” majaczyć; o tym świetle, które raz po raz w naszej jawie, naszym materialnym świetle — to znaczy w grubej głuchoj ciemności — zakwitnie i znowu zanika, a na odwrót: dla naszego światła zmysłów jest spowite w najgrubsze opony ciemności.

„Naga dusza?”

Może nie było w całej współczesnej literaturze hasła, które by było wywołało tyle nieporozumień, zaciekłych szyderstw, kpín, drwin, tanich i najtańszych, a przeważnie ordynarnych dowcipów. Nie było dość jadowitej śliny, którą by nie opluwano tej nieszczęsnej nagiej duszy, bo był to właśnie czas, w którym najordynarniejszy pozytywizm świecił swe przedśmiertne triumfy.

A jeżeli teraz z głębokim wstydem i uczuciem ciężkiego upokorzenia staram się mój poroniony twór rehabilitować, to tym jedynie się ratuję i pocieszam, że w owym czasie miałem odwagę głosić to hasło i tą odwagą rehabilituję siebie wobec siebie samego.

Zakpił sobie Pan Bóg ze mnie, gdy zasadził ziarno jakiejś tropikalnej palmy w za małym kuble.

Goniłem całe życie i chciałem je utrwalić, te rzadkie chwile w życiu pojedynczego człowieka — wspominałem już o tym — w których świadomość innego, pozazmysłowego Bytu urasta do tej potęgi, że pozwala człowiekowi patrzeć Bóstwu oczy w oczy.

Może parę razy udało mi się te chwile pochwycić — ale jakie one biedniuteńkie w rzeczywistości!

W długich wędrówkach naokoło stołu — może przez tyle lat już parę razy ziemię okrążyłem — wyczulem, jaką nadludzką potęgą może być ta chwila:

Ogień nagiej duszy wyrывa wtedy z zawias drzwi domostwa, wszczynając pożar, każe ciemnym metalom rozlewać się niejako w wodnych strumieniach światła, wygania czarne szatany zjawy i to, co było ciemne, brudne, zakopcone, ba, nawet niewidzialne — okazuje się nam nagle w niebiańskiej, anielskiej czystości.

W tej chwili można całe światy wrzucić do tego anathaforutyglu, w którym się wszystko na *istotność* przemienia, a nawet w najostatniejszej fazie ewolucji dymu ani czadu się nie ujrzy.

Pismo Święte twierdzi, że z chwilą kiedy człowiek pierwotny grzech popełnił — liściem figowym wstyd swój pokrył. Tym liściem figowym, którym człowiek zmuszony jest pokrywać potęgę nagiej swej duszy, to zmysły — to najwięcej kłamliwe świadectwo urojonej rzeczywistości. — Cóż my wiemy o rzeczywistości?

Nie ma ani nie może być dowodu na to, że istnieje cośkolwiek poza nami, jeżeli wyeliminuje się człowieka, dla którego cały świat istnieje. Bo przecież dla żadnej innej inteligencji, prócz ludzkiej, realny świat istnieć nie może. I cóż znaczy realność? Zważ tylko mur, który odgranicza to moje wrzekomo „realne” życie od możliwości życia w sąsiadującym świecie; a przecież ten świat istnieć musi, a już nie mówić o możliwych wielorakich innych światach albo bezsprzecznej możliwości ich istnienia, które, Bóg wie jak, gdzie, dokąd i jak daleko się rozprzestrzeniają.

A tych możliwości lub metafizycznie dających się ogarnąć światów, jakiegokolwiek rodzaju one być mogą, jest bez liku, ale tego już rozumem ogarnąć nie można. Nie pojmujemy, czym one są ani jak je sobie wyobrażać mamy, ani też po co i na co istnieją.

A straszne, jeżeli do samej głębi tej prawdy sięgniemy. Nie wiemy, dlaczego sami istniejemy lub czym właściwie jesteśmy. I niepojętym jest „stworzenie” — jedno tylko słowo: „w jakiś sposób” określa naszą całą wiedzę.

Cała podstawa naszej wiedzy, ugruntowanej na świadectwie zmysłów, jest jak najzupełniej prostą koniekturą. O naturze samej — tej poza nami, a tej, która nie jest nami — cóż możemy wiedzieć? Człowiek przecież sam jest też tylko zjawiskiem-fenomenem, a on przecież sam tworzy naturę, która bez niego nie istnieje.

Módlmy się w ciężkiej pokorze! — *Oremus!*

I co jest prawdą?

Nie ma ani nie może być żadnej prawdy, bo natura, która koniecznie musi być podstawą wszechrzeczy, nie może być prawdą — naturę jako taką trzeba by uzasadnić — a dopóki jest zawarunkowana pytaniem, jak szeroko i jak daleko, a więc czasem i przestrzenią, z których ani jedno, ani drugie poza nami nie istnieje, nie może być istotną, pozytywną, abstrakcyjną rzeczywistością, jedynie tylko wrzekomą⁵³⁸ — przez nasze zmysły stworzoną.

Starano się byt uzasadnić głupią formułką: *Cogito, ergo sum*. Myślę, więc jestem!

Ha, ha! Jestem, bo jestem — istniejący tylko na *peryferii* świadomości — nic więcej!

Na peryferii — *to obszar mej istotnej świadomości*, to znaczy mego Nieświadomego, które to moje małe głupiutkie *cogito* — myślę! jak marny pyłek pianki na brzegu bezmiernego Oceanu wyrzuca — a obszar jest nieograniczony.

Módlmy się w ciężkiej pokorze! *Oremus!*

Więc co pozostaje dla człowieka, prócz bezwzględnej poddania się i pokory nieświadomego dziecka?

Wiecie przecież, co Bóg powiedział: „A zaiste, mówię wam, że jeżeli nie staniecie się jak któreś z nich, nie wejdziecie do Królestwa niebieskiego!”

Bo przecież nie jesteśmy w stanie rozpoznawać *absolutnie* i nigdy dowieść nie możemy, że istotnie istniejemy, i nikt mi nie dowiedzie, czy życie moje [nie] jest tylko jakimś potwornym snem, który może być lub też nie?

Hume dowiódł, że w rzeczywistości nie ma żadnego związku między przyczyną a skutkiem — bo między przyczyną a skutkiem tkwi złudzenie — *cóż więc stoi na przeszkodzie uważać życie za sen i na odwrót?*

Módlmy się w ciężkiej pokorze — bo nic nie wiemy ani wiedzieć nie możemy.

Myślenie jest naszą wiedzą — wiedza może być tylko wiedzą o materii — przecież nawet Spinoza, boskością pijany filozof, dowodził, że Bóg sam musi być w jakiś sposób materialny, ulatnia się, wyczerpuje itd. Materia zaś jest czymś bezwzględnie nieistniejącym poza nami — materia jest negacją — a negacją jest Szatan.

Cała nasza przez najgęstsze sito przesiana metafizyka staje się peremptoryczną, jeżeli wychylimy się poza granicę „drugich” przyczyn. Wszystko wtedy staje się zawrotnym przypuszczeniem, wszystko jest ciemnym obłokiem, w którym się wszelka ścieżyna myślenia kończy, wszystko jedno, jakąkolwiek drogę wybierzemy. Cokolwiek człowiek podniesie i w ramionach utrzymać zdoła, to już przyczyny, wynikające z miriadów przyczyn.

Módlmy się w ciężkiej pokorze, bo nic wiedzieć nie możemy ani nigdy nie poznamy granic między snem a jawą.

Kto zna świętą prawdę o śnie?

Sen, który jest myślą człowieka, a raczej sny są tym, co w człowieka spaniu istnieje, to kamień zawady, o który wszystkie teorie ludzkie się wywracają i absurdem się zdają — boć któż mi dowiedzie, żem nie został stworzony w śnie podczas mego spania i w tym śnie tylko istnieję?

Teraz pewno zrozumieć można, czym jest Bythos gnostyków, a Maja Hindusów?

Ale już nie będę się zapuszczał w odmęty mistycznej, jedynej objawionej wiedzy — wtedy nie pozostaje nam nic innego, jak tylko pokorne bicie się w piersi: *Oremus!* — bo nic nie wiemy ani wiedzieć nie możemy, dopóki mózg i zmysły mają nam prawdę świadczyć.

A przecież na to tylko mózg i zmysły — złośliwe, kłamliwe, przy tym bardzo liche narządy, okłamujące i okpiwające nas narządy, bo inaczej *istotna* prawda musiałaby nas rozsadzić.

I na to tylko istnieją zmysły i mózg, aby człowieka ustosunkować do jego „zewnątrz”, i aby go „prawda” rozsadzić nie zdołała, dusza — „naga dusza” — dozwala człowiekowi li tylko na wyjątkowe momenty, w których mu istotę i prawdę ujawnia — chwilę, momenty, które człowiek nazywa *natchnieniem* — a źródłem tego natchnienia, to właśnie to, co nagą duszą nazwałem, duszą, która nie potrzebuje ani zmysłów, ani mózgu, by móc się przejawiać.

Prawda, Obraz świata,
Kondycja ludzka

Wiedza, Pozory, Pokora

Sen, Kondycja ludzka, Życie
snem, Wiedza

Wiedza, Prawda, Kondycja
ludzka

⁵³⁸urzekomy (daw.) — dziś: rzekomy. [przypis edytorski]

Ukończyłem wędrówkę po obcym świecie, a i nic więcej nie mam do powiedzenia o drodze, którą dusza moja kroczyła.

A kończąc tę część drogi, którą odbyłem, zacząłem do Polski przywędrować, cóż mi więcej nad to powiedzieć, com już powiedział w wstępie do mego *Krzyku*?

Posłuchajcie:

Jestem tylko meteorem, który na chwilę zabłyśnie, na chwilę ludzkość straszy i przeraża, a potem nagle niknie — a szczęśliwy jestem, że tym przeświadczeniem żyję.

Droga, meteorom wyznaczona, jest miliard razy dłuższa aniżeli zwykłym gwiazdom. Te ostatnie jawią się w ściśle obliczonych czasach — nie chciałbym być gwiazdą! Być meteorem, to istotna moja tęsknota: zniszczyć na swej drodze kilka światów, roztopić je w sobie, wzbogacić się nimi i po miliardach lat znowu powrócić, stokroć razy gorętszym blaskiem rozpłonąć, wieścić nowe przemiany i wywody i znowu zniknąć — to, co w moich najkosztowniejszych snach przeżywam...

Niech zgasnę — czym prędzej zgasnę, bym mógł tylko w wzmożonej potędze powrócić...

A wróćę — wróćę!

TOM DRUGI. WŚRÓD SWOICH

I

Ilekcroć razy⁵³⁹ przystępowałem do jakiegoś nowego tworu, odczuwałem na miesiące przedtem dziwny niepokój, który się wprost fizyczną udręką stawał, i przykry lęk, który nie zezwalał mi na chwilę spoczynku — ale nigdy nie doznawałem tych uczuć w tej mierze, jak w tej chwili, kiedy powziąłem tę myśl, by napisać drugi tom *Moich współczesnych* — *Wśród swoich*.

Wśród obcych to epizod w moim życiu, który dla mnie nabrał niejako historycznego znaczenia, mogłem na niego patrzeć z dalekiej perspektywy — wszak to trzydzieści lat minęło, odkąd to wszystko przeżyłem — a w tej odległości mogłem na wszystkie wydarzenia patrzeć spokojnym, prawie że obcym wzrokiem — co byłoby mi oczywiście niemożliwym, gdybym był⁵⁴⁰ między obcymi pozostał i stworzył dla siebie nieprzerwaną ciągłość: długotrwałą terażniejszość.

Inaczej ma się rzecz z zamierzeniem, które teraz przedsięwziąłem. To moje „wśród swoich” zostało tylko na chwilę przerwane pobytem wśród obcych i jest dla mnie właśnie tą ciągłością i tą długotrwałą terażniejszością, wśród której już się z tą swobodą nie orientuję i orientować nie mogę, z jaką kreśliłem ów epizod mego życia, spędzony na obczyźnie.

Tamto już dawno przebrzmiało, ostatnim, choć silnym jeszcze echem dobiega uszu mej duszy. Tu wszystko żywe, drgającym życiem rozegrane, to moje „dziś”, to tylko ogniwo olbrzymiego łańcucha wszystkich wydarzeń mego najodleglejszego „wczoraj” — a na cośkolwiek spojrzę oczyma mej duszy, zlewa się to moje dziś z wszystkim, com wczoraj przeżył, w jeden dzień terażniejszy; a chociaż już się ku wieczorowi skłania, wiem, że wszystko, com przeżył, w tym jednym dniu się wydarzyło; bo tylko to, co obce, ma swoje wczoraj.

Tu sobie nie potrzebuję niczego „przyswajać”, bo żyję „swoim”, a ta swoistość, to moje najistotniejsze ja: immanencja i nieprzerwalna ciągłość.

A to „swoje”, którym na chwilę żyć nie przestałem, to ziemia, na której na świat przyszedłem — wielka i tajemnicza rzecz, dlaczego właśnie tam się urodziłem, a nie gdzie indziej; — to język, którym pierwsze me słowa wybelkotałem — a przecież nigdzie indziej nie mógłbym posługiwać się polskim słowem, gdybym się właśnie na tej ziemi nie był urodził.

Słowo pozostaje w nierozłącznym związku z ziemią.

Istnieje geografia zwierząt i roślin — tylko w takim, a nie innym klimacie może jakieś zwierzę bytować, w takiej a nie innej strefie żyje i rozwija się jakaś roślina — i tak samo istnieje ściśle określona geografia języka, jakim się autochtoni posługują.

To znaczy, że gdyby nawet cała ludzkość wyginęła, a po milionach lat na nowo do nowego życia miała być powołana, to na tej samej polaci ziemi, na której język polski swój królewski majestat święci — ten sam język polski niechybnie by do nowego życia wskrzeszon został; żaden inny język w geograficznej Polsce nie mógłby się ostać ani nie jest do pomyslenia. Cała ta porównawcza filologia języków ma o tyle sens, o ile się przyjmie oczywiście jeden język, który w danym klimacie, w danych warunkach ukształtowania ziemi się w ten lub ów sposób przekształca.

Tak jak zwierzę dostosowuje się do charakteru ziemi — metafizycznego charakteru, który wtedy tylko rozpoznać można, gdy się głęboko w niego wmyśli, a wtedy się zrozumie istotne prawo mimikry, bo z charakteru danego zwierzęcia lub rośliny można, na odwrót, wnioskować o charakterze ziemi — dostosowuje się język do tej ziemi; a na odwrót: można z języka wysnuć niezawodne wnioski o ziemi, nawet gdyby się jej nie widziało.

Ale o języku na samym początku mowy jeszcze być nie może: słowo wyłoniło się po długim, astronomicznym czasie z dźwięku — bo pierwsze słowo było śpiewem, rykiem, nabrzmiałym potęgą uczucia, czy to miłości, czy też krwiożerczej zemsty, pragnie-

Czas, Kondycja ludzka

Słowo, Ojczyzna

Słowo, Natura

Słowo

⁵³⁹ilekcroć razy — błąd logiczny (kontaminacja); popr.: ilekcroć a. ile razy. [przypis edytorski]

⁵⁴⁰gdybym był (...) pozostał (daw.) — konstrukcja czasu zaprzęskiego na oznaczenie czynności poprzedzającej tę wyrażoną zwykłym czasem przeszłym; znaczenie: gdybym wcześniej pozostał [przypis edytorski]

nia, chuci, bólu, zwycięstwa; język ten to surogat tego słowa, jakim się zwierzęta z sobą porozumiewają; artykułowane słowo potrzebowało bezmiaru wieków, by się wyzbyć olbrzymiego ciężaru, jakim było słowo, wyrażone za pomocą uczuciowych dźwięków. Niewiele mogło być tych „śpiewanych” słów, wyrażanych przeciągłym wyciem rozpacz, psalmodią jęków bólu, słodką ulewą dźwięków, rozpierającej miłości — na jedno nasze mówione słowo składały się długie muzyczne okresy — ile wieków było na to potrzeba, by z jakiegoś długiego hymnu ekstazy mogło się wyłonić słowo: kocham; ile wieków, by z dzikich skowytów, charczeń wywlokło się słowo nienawiści — a z przeraźliwych jęków oznajmienie ciężkiego bólu w jednym jedynym słowie.

W swojej strupieszalej pisowni dźwiga taki język bastardyczny, jakim jest język angielski, całą swoją genezę; każde słowo pisane jest jego historią powstania, przeobrażania, nawarstwienia — dlatego język angielski nie jest autochtonicznym, pozostanie nim odwieczny język Druidów — autochtoniczne języki nie tworzyły się nawarstwieniem, ale przeciwnie, odrzucaniem zbytecznego bogactwa, które stawało się uciążliwym balastem.

Słowo

II

To była wielka i uroczysta chwila, gdy wreszcie po długiej podróży ujrzał się na granicy — w Polsce.

Podczas tej podróży wydarzyła mi się dziwna rzecz, jakiej nigdy przedtem i nigdy już potem nie przeżywałem. Otóż krótko po wyjeździe z Krystianii (dzisiejszego Oslo) popadłem jakby w jakiś letargiczny stan, z którego nic a nic nie pamiętam, a przecież musiałem w tym stanie spełnić mnóstwo i to bardzo skomplikowanych funkcji. Musiałem przecież wysiąść w Kopenhadze, wymienić pieniądze, kupić bilet do Berlina, i musiałem się w Jedser przesiąść na prom, który cały pociąg przewoził do Warnemunde, tu znowu wykupić bilet do Berlina — otóż te 20 godzin pozostały jak najzupełniejszą luką w moim mózgu.

Obudziłem się ku memu zdziwieniu, a nawet z pewnego rodzaju lękiem i strachem, dopiero w Berlinie.

Można by sobie to od biedy wytłumaczyć działaniem alkoholu, ale ja wsiałem do pociągu całkiem trzeźwy — zresztą rygor kolei skandynawskich wyklucza od jazdy nawet choćby trochę podchmielonego pasażera.

Miałem czas przez cały ciąg jazdy z Berlina do Granicy rozmyślać nad tym zdumiewającym przeżyciem, które tylko ludzie wprowadzeni w mediumistyczny trans przeżywają — mózg mój w tej mojej podróży zdawał się być pozbawiony wszelkich czynności; spełniała je z jasnowidzącą pewnością dusza moja, to co Du Prel nazywa: *das transcendente Subjekt*. Uspokoilem się z wolna, tylko bezwiednie powtarzałem słowa niemieckiego poety Momberta:

*Schlafend trägt man mich
In mein Heimatland...*

I w istocie poniosła mnie moja dusza w dziwnym stanie do mej ojczyzny. Bo całkiem, doszczętnie i wyraźnie, zrozumiałem, że jestem w mej ojczyźnie, gdy posłyszałem język polski na dworcu w Granicy. Tragarze ofiarowywali swe usługi w polskim języku, wszyscy urzędnicy mówili po polsku, wszędzie naokoło mnie rozbrzmiewała mowa polska; — a co to znaczy, zrozumie tylko ten, wychowany jak ja w Wielkopolsce, gdzie element niemiecko-żydowski; tak ogromnie przeważał — przynajmniej w miastach, gdzie tylko mowę niemiecką się słyszało — w żadnym urzędzie nie odpowiadał urzędnik na polskie pytanie, a zresztą można było Polaków spotykać tylko na najniższych urzędach, a i ci byli wystraszeni, gdy się do nich ktoś po polsku odezwał: odpowiedź, dana w polskim języku, groziła mu utratą posady.

W polskich szkołach ludowych język polski był zupełnie wyrugowany i, aby go podtrzymać przynajmniej w nauce religii, na to trzeba było bolesnej martyrologii nie tylko Wrześni samej. Września dała tylko początek tego całego bojkotu dzieci polskich, który powoli ogarnął wielką część Poznańskiego. W paru zaledwie gimnazjach wykładano dwie godziny tygodniowo język polski, ale co to była za nauka! Uczeń znał daleko lepiej

Ojczyzna, Słowo, Polska,
Historia, Niewola

Szkoła, Słowo, Polityka,
Urzędnik, Nauczyciel

język polski od swego nauczyciela i częstokroć go poprawiał, polskich nauczycieli wyrzucano do Westfalii, nadreńskich prowincji lub Saksonii, a biada nauczycielowi, w ogóle każdemu urzędnikowi, w którego domu dzieci mówiły po polsku.

A pruska szkoła — ten istotnie szatański wynalazek, by dusze znieprawiać i mordować — robiła jednakowoż swoje; mimo całego bohaterskiego oporu, podsycanego głównie przez księży, za co im Polska po wszystkie czasy winna gorącą wdzięczność; mimo heroiczych i ofiarnych wysiłków pojedynczych jednostek, prześladowanych w barbarzyński sposób przez rząd pruski, mimo usilnej i wytężonej pracy prasy poznańskiej, która pracowała w daleko gorszych warunkach aniżeli w Kongresówce.

Tak! tak! germanizacja robiła olbrzymie postępy, język coraz więcej się psował i wykoszlawiał i w całe społeczeństwo wsiąkały coraz głębiej germańskie zwyczaje, sposób obejścia się, najordynarniejsze zmaterializowanie, bezwzględny brutalizm. Społeczeństwo, które w końcu musiało na jedno tylko zwrócić całą swoją uwagę: możliwość konkurencji z potężnym rywalem pruskim, aby się tylko materialnie ostać; społeczeństwo, które się lękało nie tylko utraty ziemi, ale haniebnego wywłaszczenia, musiało się jednostronnie orientować jedynie tylko w kierunku bogacenia się, a wszelkie usiłowania w kierunku kulturalnym sromotnie zawodziły; na ofiarnych pionierów, którzy wszystkie swe siły trawili, by podnieść poziom kulturalny w Poznańskim, nawet uwagi nie zwracano, a dobrze było, jeżeli się obeszło bez poniżających wstrętów i odpychającej niechęci.

Na ten temat mógłby śp. Rabski dużo, bardzo dużo powiedzieć. Przez dwa lata redagował „Przegląd Poznański” w postępowym kierunku, wcale nie radykalnym, nawet dość pojednawczym, ale skończyło się na tym, że „Przegląd Poznański” doszczętnie zbankrutował, a Rabskiemu do tego stopnia zbrzydła ta cała jałowa i niewdzięczna praca, tak go wyczerpywała ta nierówna walka z obskurantyzmem i wrogim stanowiskiem nie tylko klerykalnych, ale i konserwatywnych kół ziemiańskich, że wreszcie rzucił wszystko i przeniósł się do Warszawy.

Poznańskie nie wiedziało, jaką dotkliwą stratę poniosło; raczej było zadowolone, że pozbyło się osobnika, który istotnie sam jeden reprezentował poonczas istotną inteligencję, połączoną z dużym zasobem odwagi. I to bardzo ważne. Zapewne było w Poznańskim dosyć inteligentnych ludzi, ale — pozbawionych odwagi. Nikt prócz Rabskiego nie podjął się tego, nad wszelką miarę ciężkiego zadania, by iść wbrew skamieniałej opinii publicznej i odważyć się na roztworzenie okna na Zachód, by choć trochę powietrza wpuścić do tej stęchlizny, jaką się co inteligentniejszego w Poznańskim dusiło. A Poznańskie odgraniczyło się wtedy, zwłaszcza po likwidacji 1863 r., chińskim murem nie tylko od reszty Polski, Galicji i Kongresówki; a tym mniej chciało coś wiedzieć, co się na Zachodzie działo. A przecież tam nurtowały już od dawna nowe prądy, toczyły się zaciekle walki pomiędzy strupieszalą starzyzną, zabagnioną w rozleniwieniu ducha, a całym tym młodym pokoleniem, które kusiło się w ciężkich trudach i mozolach, by stary chiński mur rozwalić i dla wielkiej i właśnie w onym czasie bujnie rozkwitającej kultury na Zachodzie bramy do Polski na oścież otworzyć.

I wówczas w Galicji, a przede wszystkim w Kongresówce, rozpalila się gorąca praca umysłowa, by dla Polski chociażby mały kącik w ogólnym umysłowym rozwoju na Zachodzie wywojować, a już nie jako aktywny czynnik tego rozwoju, toć przynajmniej pragnieniem, by „w tyle” nie pozostać, by się orientować w tych wszystkich prądach, które naonczas Europą wstrząsały.

Rozwojowi umysłowości w Europie dotrzymała kroku jedynie tylko Kongresówka — oczywiście o tyle, o ile jej na to haniebna cenzura rosyjska pozwalała; krótkim oddechem podążała za nią Galicja w podstępnej i zjadliwej walce z Stańczykami — Poznańskie spało — nawet nie śniło mu się z tego snu budzić, a biada zuchwalcowi, który je za ramię targał.

Toteż żyło ono o 50 lat wstecz; dziś jeszcze, gdy się już pruskim jarzmem wykpić nie może, opiera się z wszystkich sił przeciw „najazdowi” inteligencji z Galicji lub Królestwa — dzielnicowa nienawiść w Poznańskim jest, niestety, rzeczywistym i bardzo bolesnym faktem, a lękam się, czy w ogóle nastąpi zupełne zlanie się w jedną całość mieszkańców wszystkich trzech zaborów.

Poznańskie z wszystkich sił opierać się zdaje — zbyt głęboko tkwią w Poznańskim pruskie tradycje — a nie ma w Poznańskim jednego człowieka, obdarzonego jaką taką

Polska, Historia, Konflikt,
Głupota

Historia, Wiedza, Polska,
Sen

inteligencją, który by nie był przed wszechświatową wojną patrzył z ciężką trwogą na przyszłość Poznańskiego.

Ile razy ja to słyszałem: jeszcze lat pięćdziesiąt, a Poznańskie doszczętnie się wynarodowi — za słabe były moralne i materialne siły Poznańskiego, by móc podjąć jakąś skuteczną walkę z tak przemożnym wrogiem jak Prusy; a zwłaszcza gdy zostały ustanowione antypolskie prawa, które wprowadzie na chwilę podnieciły Poznańskie do rozpaczego oporu i do ostatnich, istotnie bohaterskich wysiłków, by pruskiej nawale jakąś tamę przeciwstawić, ale i ten ostatni, Pyrrusowym zwycięstwem cieszący się opór, byłby niechybnie niezadługo przełamany.

Wśród społeczeństwa poznańskiego roilo się od sprzedawczyków, którzy ojczystą ziemią frymarczyli — do tego stopnia zatruł już prusacyzm duszę polską; pełno było denuncjantów najpodlejszego gatunku, Judaszów, którzy za parę srebrników nawet swoich przyjaciół rządowi pruskiemu sprzedawali.

I gdyby tu jeszcze chodziło o „germanienie”, jak Konopnicka śpiewa, byłoby jeszcze pół biedy. Dusza czysto germańska nie byłaby w stanie w tak haniebny sposób z ujarzmionym narodem się obchodzić, a nawet kto wie, czyby go ujarzmić chciała, ale tu o co innego chodziło: o plugawe sprusaczenie. Poznańskie nie miało do czynienia z rasowymi Germanami, li tylko z Prusakami, a to stanowi wielką różnicę.

Czysty Germanin ma swoje cnoty — znajdziecie go w coraz to czystszej formie, im dalej się od Prus odwrócić, a więc w Bawarii, Nadrenii, Wirtembergii — i on nie byłby w stanie duszy polskiej tak zepsować, jak to zdołał uczynić bastard Prusak.

Nie zgermanienie groziło Poznańskiemu, ale plugawe sprusaczenie, może więcej jeszcze znieawidzone w czysto germańskich osiedlach, jak u nas w Polsce.

Niczym jest „Prusak” w Polsce wobec bawarskiego wyzwiska: *Saupreusse!*

Poznańskie wypiera się dziś tego wpływu; mocą swego materialnego bogactwa chęłpi się tym, że jest fundamentem Polski; po kryjomu, po cichu, ale niemniej silnie nurtują w Poznańskiem antypaństwowe prądy; Poznańskie chciałoby stanowić odrębną Polskę, a co najmniej zostać autonomicznym państwem w państwie:

Otóż to skutki jadu, który Prusak w rdzennie polski organizm zaszczepił.

To, co polskiej duszy jest obce: bałwochwalstwo dla pieniądza i materialnej potęgi, rozwiemożniło się w duszy poznańskiego Polaka do tego stopnia, że gardzi głupim „Galicjokiem”, który jest „dziadakiem”, a którego państwo „na wyzerkę” do Poznańskiego wysłało; — aż nazbyt dobrze pamiętam te czasy, kiedy Galicjanie, wysłani do Poznania już to jako urzędnicy lub nauczyciele, nie mogli znaleźć dla siebie mieszkania w Poznaniu, chociaż było jeszcze wtedy mieszkań pod dostatkiem.

Ale po cóż wspominać te bolesne, powojenne czasy — pruska szkoła zaszczepiła ten jad, który paraliżował odruchy duszy polskiej — polska szkoła, da Bóg, dokona tego cudu, że ani śladu z dawnego sprusaczenia nie pozostanie.

Jak szalone postępy musiał prusacyzm w szkole zrobić na początku wszechświatowej wojny, kiedy już za czasów, gdy mój ojciec był nauczycielem ludowym, a więc 50 lat temu wstecz, już był uczynił ogromne wyłomy w duszy polskiej.

Ale tak jednak jeszcze źle nie było. Cała orgia prześladowań miała się dopiero rozpocząć po ustąpieniu kanclerza Capriviiego⁵⁴¹ i wycofaniu się z życia politycznego Józefa Kościelskiego⁵⁴².

Ten niezmiernie ciekawy i wysoce uzdolniony człowiek — poeta-polityk, niezwykle zręczny polityk, został fatalnie w Poznańskiem zapoznany⁵⁴³, a wreszcie zmuszony do wycofania się z życia publicznego.

A przecież jemu miało Poznańskie przeważnie do zawdzięczenia, że przez cały szereg lat śruba tortur, jakim społeczeństwo polskie za czasów Bismarcka podlegało, nagle funkcjonować przestała.

⁵⁴¹ *Caprivi, Leo von* (1831–1899) — pruski generał, polityk, w l. 1890–1894 kanclerz Rzeszy; okres jego rządów (tzw. era Capriviiego) wiąże się z przejściowym złagodzeniem polityki zwalczania socjalizmu (Caprivi odwołał odnośne ustawy) oraz przeciwstawiania się mniejszościom narodowym, w tym Polakom; Caprivi stawił raczej na rozwój i ekspansję gospodarczą Niemiec w Europie; ostatecznie został obalony przez opozycję junkrów. [przypis edytorski]

⁵⁴² *Kościelski, Józef Teodor* (1845–1911) — pochodzący z rodziny ziemiańskiej konserwatywny działacz polityczny zw. z Wielkopolską i Poznaniem; poeta i dramaturg. [przypis edytorski]

⁵⁴³ *zapoznany* (daw.) — zapomniany; pozostający poza sferą poznania, wiedzy. [przypis edytorski]

Polak, Władza

Niemiec, Polak

Polska

Nie znam bliżej okoliczności, w jakiej się nawiązał stosunek Kościelskiego do młodego cesarza Wilhelma II, wiem tylko, że stosunek ten był niezmiernie serdeczny. Cesarz wyróżniał Kościelskiego na każdym kroku, już o godzinie siódmej rano zjeżdżał przed mieszkanie Kościelskiego, by go zabierać na długie przechadzki, zapraszał go często do siebie — magnat polski imponował pruskiemu żołdakowi, a takim był zawsze Wilhelm II, ordynarny, brutalny podoficer *mit der grossen Schnauze*⁵⁴⁴, swoim wytwornym obejściem, a to rzeczywiście w Niemczech imponuje jeszcze po dziś dzień, trzeba tylko zauważyć nieśmiałość i niezręczne zachowanie się Niemców, gdy się dostaną w polskie towarzystwo — jednym słowem Wilhelm II ulegał coraz więcej urokowi, jaki na niego giętka, wielkopańska, w sam raz szczerza i w sam raz dominująca umysłowość wywierała nawet tam, gdzie cichy chichot ironii maskował uległość; prostolinijna, a niesłychanie butna i głupio zarozumiała dusza pruskiego króla żołdaków dała się z wolna ujarzmić cichym, delikatnym, a zdumiewająco zręcznym podejściom wysoce kulturalnej duszy polskiego magnata, tak że w końcu mógł się Kościelski na to odważyć, by Wilhelmowi sypać już całymi garściami piasek w oczy. Podczas gdy wmawiał w cesarza, że o jakiejś polskości na Górnym Śląsku nie ma mowy, nie szczędził swej fortuny, by wychowywać cały zastęp zdolnej młodzieży, która na Śląsku ducha polskiego budziła. Tym agitatorom, których Kościelski wychował, Polska ma dużo, dużo do zawdzięczenia — oni to przygotowywali ten powojenny plebiscyt, który bądź co bądź nadspodziewanie korzystnie dla Polski wypadł. A strach pomyśleć, jaki piekielnie wynaradawiający wpływ wywierała polska, aż do obrzydzenia prusofilską prasą! („Katolik”) i całe niemal duchowieństwo, z małymi tylko wyjątkami wyjątkowo przez rząd pruski prześladowane.

Polska, Religia, Polityka

A i w Poznańskim ogromne mnóstwo lekarzy, adwokatów Kościelski — ten, zdaje się, ostatni z magnatów polskich w Poznańskim — na uniwersytetach hojnie wspomagał, a nie było przykładu, by jakiś biedny a zdolny młodzieniec z pustymi rękoma z jego pracowni wychodził.

Ja niezmiernie rzadko się z nim spotykałem, mimo że był najbliższym sąsiadem moich rodziców — słynny Szarlej, gród Władysława Białego, a potem własność kasztelanów Kościelskich, był od mej rodzinnej wsi Łojewa tylko o ćwierć mili odległy, a z Szarleja do Kruszwicy drugie ćwierć mili.

Raz tylko zaszczylił mnie dłuższą rozmową, gdy poszukiwał nauczycieli do polskich szkółek w Berlinie, które po wszystkich częściach miasta wśród kolonii robotników polskich organizował.

Zapytałem go wtedy — a był to drugi rok panowania Wilhelma II — co sądzi o nowym cesarzu.

Figlarny uśmiech przebiegł przez piękne usta magnata:

— Hm — powiedział — jak takie młode pisklą dostanie się na takie wyżyny, przecież pan rozumie, co to za wyżyna: cesarstwo niemieckie, to nie dziw, że dostaje głupich zawrotów głowy, które nawet niepoczytalność wywołują. Ale to dobrze dla nas, inaczej nie mógłbym tu, w pruskim osiedziu, polskich szkółek zakładać.

Niespożyta zasługą Kościelskiego to — niezmiernie ciekawy fakt — jego gorące i serdeczne zajęcie się Janem Kasprowiczem. To nie był stosunek magnata do jakiegoś tam przygodnego pupila! — Kościelski, sam poeta, chociaż jego tęsknota tworzenia przerastała o całe niebo możliwości wypowiedzenia się, Kościelski, który korzył się w bałwochwalczym nabożeństwie przed Słowackim, a całego *Beniowskiego* umiał na pamięć, wyczuł snadź geniusz w Kasprowiczu, otaczał go bardzo delikatną i wyrozumiałą opieką, bo dusza Kasprowicza była harda i podejrzliwa i aż nazbyt wydelikaccona, by móc lub chcieć się korzyć przed tym, który mu jakąś przysługę zrobił. Już od rychłych lat, kiedy się pierwsze poezje Kasprowicza pojawiły, obchodził się z nim jak z sobie równym, podczas letnich wyczasów w Szarleju, podczas wielkich wakacji, zapraszał go do siebie, a do tego stopnia umiał ocenić nieskończoną wyższość Kasprowicza, że podczas ostatniego pobytu swego we Lwowie prosił go, by zechciał przeczytać mały tomik jego wierszy i ocenić, czy coś warte.

⁵⁴⁴*mit der grossen Schnauze* (niem.) — z wielką gębą. [przypis edytorski]

Tak! ten jego ostatni pobyt we Lwowie na tej słynnej „wystawie”, kiedy to w niezwykłym podnieceniu odsłonił karty, w jakie grał dotychczas z cesarzem Wilhelmem: po powrocie ze Lwowa popadł od razu w ciężką niełaszkę.

Zdaje się, że chytry i podstępny Franciszek Józef podstawił mu wtedy nogę.

Jeżeli ktośkolwiek w Poznańskim przez czas ostatnich pięćdziesięciu lat czeka sprawiedliwej i bezpartyjnej oceny swej działalności, tak politycznej, jak i społecznej, to właśnie Józef Kościelski.

Bez porównania większy jako człowiek aniżeli twórczy poeta, pozostawił po sobie jednakże jeden wielki i ciekawy poemat, a tym było własne jego życie, jego gorące aspiracje, jego wykwintny i wytworny umysł i ukochanie tego, czego osiągnąć nie mógł, a czemu bałwochwalczą cześć oddawał.

I on pierwszy wystawił pomnik Słowackiemu w parku Miłosławskim.

Zarządcą Szarleja był przez długi szereg lat niezmiernie zacny człowiek, powstaniec w '63. roku, Mikołaj Siemianowski, a mógł się szczyć nie tyle jaką towarzyszką swego życia. Pani Michalina nie posiadała wprawdzie głębszego wykształcenia, ale w zamian za to prawdziwą kulturę serca i współczującą, we wszystko wnikającą intuicję. Z głębokim wzruszeniem wspominam tę piękną postać, a nie wiem dlaczego, ile razy ją wspomnę, przypomina mi się matka Szopena, Justyna Krzyżanowska.

Dziwne, jak się czasem najodleglejsze asocjacje kojarzą.

Między rodzicami moimi a rodziną Siemianowskich istniała głęboka i serdeczna przyjaźń, przez długi szereg lat niczym niezakłócona; pamiętam, że matka moja z nikim tak chętnie i serdecznie nie przestawała, jak z panią Michaliną.

Siemianowscy byli obarczeni liczną rodziną, ale dla nas, obu braci, mego starszego brata Wacława i dla mnie, istnieli oczywiście tylko najstarsi synowie Siemianowskich — Józef i Kazimierz, nasi rówieśnicy do tego stopnia, że była tam zaledwie różnica w miesiącach.

Braci Siemianowskich mieliśmy codziennie w Łojewie, bo uczęszczali, dopóki ojciec ich nie wysłał synów do gimnazjum w Inowrocławiu, gdzie starszy Józef kolegował z Kasprowiczem — do szkoły mego ojca, a często, bardzo często, biegliśmy do Szarleja, gdzie pani Michalina nas jak własne dzieci traktowała.

A Szarlej wywierał na mnie od małego dziecka silne i tajemnicze wrażenie.

W rozległym parku, ścielącym się aż do brzegów Gopła, można było na każdym kroku natrafić na fundamenty dawniejszej warowni, a na drugiej stronie Gopła sterczał wysoki „kopiec” z głębokimi fosami i wysokim nasypem, oddzielającym fosę od kopca.

To słynne szwedzkie szańce, z których ponoć Szwedzi kruszwicki zamek ostrzeliwali — co jest wcale prawdopodobne, bo po dziś dzień tkwi mnóstwo tych kamiennych, okrągłych kul w tak zwanej Mysiej Wieży.

Na tym kopcu siadywał długimi godzinami młody Jan Kasprowicz i tu powstały pierwsze jego poematy.

Z młodszym bratem Józefa, Kazimierzem, wiązała mnie od najwcześniejszego dzieciństwa nie przyjaźń — to za mało, ale gorąca miłość. Pamiętam go jako zdumiewająco uzdolnione dziecko, przedwczesnie, a bujnie rozwinięte; ponieważ Kościelski miał do Siemianowskich nieograniczone zaufanie, więc podczas jego niebytności cały pałac stał dla niego otworem — pałac jak pałac, ale bardzo ciekawa i piękna biblioteka.

I do tej biblioteki znalazł sobie dostęp dziewięcioletni Kaziu i wchłaniał w siebie wszystko, co mu się pod rękę dostało. Od niego otrzymałem po kryjomu i w wielkiej tajemnicy przed rodzicami pisma Bolesławity⁵⁴⁵, z których *Czerwona para* takie wrażenie na mnie zrobiła, że po nocach sypiać nie mogłem. A już do prawdziwej egzaltacji doprowadził mnie *Kirdźali* Czajkowskiego i *Powieść bez tytułu* Kraszewskiego.

Jeżeli już o „wpływowologię” chodzi, to jestem głęboko przeświadczony, że ta najrychlejsza moja lektura stworzyła ten osad, przez który późniejsze wpływy i zdania przefiltrować się musiały.

Jeszcze do szesnastego roku mego życia pokutował w mej duszy bohater *Powieści bez tytułu*, Stanisław Szarski.

⁵⁴⁵ *Bolesławita* — pseudonim Józefa Ignacego Kraszewskiego (1812–1887), powieściopisarza, publicysty i działacza społecznego. [przypis edytorski]

A już nie rozumiem, jakim cudem do samego dna wstrząsnęły mą duszą pamiętniki Napoleona na Świętej Helenie — prawdopodobnie apokryf, ale niemniej ciekawy, a co najciekawsze, że takie wrażenie na mnie zrobił.

Poza tym spędziłyśmy, starszy brat mój i ja, całe lata dzieciństwa nad Gopłem, w Goplu, a podczas zimy na Goplu — to jezioro tak się zrosło z moją duszą, że siebie bez Gopła pomyśleć nie mogę.

Ale nigdy go więcej nie kochałem, jak podczas gwałtownych, kilkugodzinnych burz lipcowych, kiedy zaraz po południu robiło się tak ciemno, że świece trzeba było zapalać, kiedy olbrzymie błyskawice rozorywały niebo, które całe w ogniu stawać się zdawało, ryk grzmotów całą szkołą wstrząsał, a gęste pioruny sypały się na Gopło; pełno było na brzegu Gopła tych „piorunowych kamyszków”, które z przetopionego piasku powstały.

Nigdy go więcej nie kochałem, ale też się nigdy go tak nie bałem. Przecież mówiono mi, że właśnie to jezioro wszystkie pioruny ściąga, a biada temu, kto by się w tej chwili na nim znalazł.

Takich gwałtownych, długotrwałych burz nigdy potem nie przeżyłem. A może mi się to tylko tak zdaje, bo może żadne inne burze nie wywoływały na mnie takiego wrażenia, jak te, podczas których matka moja wyjmowała z szafy mosiężny krzyż, zapalała świecę gromniczną i odmawiała wraz z przerażonymi, śmiertelnie wylęknionymi dziećmi *Loretańską Litanię*⁵⁴⁶.

Ja słyszę, słyszę to:

— Wieżo z kości słoniowej —

— Módl się za nami! — wołały dzieci, zanosząc się od płaczu.

— Arko przymierza —

— Módl się za nami!

A niebo zdawało się na strzępy rozdzierać w straszliwych grzmotach, a tuż w pobliżu — bo za opłotkami zabudowań gospodarskich, walił raz po raz piorun w srebrne, wysokopienne topole, jakie dawniejszym zabudowaniom gospodarskim jako piorunochrony służyły.

A raz podczas takiej nocy, kiedy niebo w ogniu stawać się zdawało, uderzył piorun w szkołę — wyrzucił ojca z łóżka, w obrazie św. Cecylii, który wisiał nad łóżkiem matki, zrobił dziurkę, przeleciał do kuchni, spalił tam koszyk i żadnej innej krzywdy nie uczynił.

Obraz ten św. Cecylii przechowywała matka moja jako wielką relikwię.

Był to tak zwany „suchy” piorun, bo tuż po uderzeniu zwałił się deszcz, jak gdyby się chmura oberwała — inaczej byłoby uderzenie piorunu prawdopodobnie całkiem inne skutki wywołało.

A była to straszna noc; tym straszniejsza, że w domu nie było zapalek — rzadkość nanczas, i tak trzeba było całą tę noc przetrwać aż do rana, przerywaną co chwila: „A słowo stało się ciałem” wystraszonych dzieci, ilekroć razy szeroka błyskawica niebo rozorywała.

A kiedy jesienią zrywały się z całej nadgoplańskiej niziny tak silne wichry, że trudno było ująć parę kroków, a nocami tak się wzmagały, że nawet najokrutniejszy człek nie byłby psa na dwór wygnał, kiedy rozpoczęły się dzikie poświsty, skowyty, przeciągłe wycia wichru, toć to była najwspanialsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Powiedziałem, że bez Gopła siebie pomyśleć nie mogę, a i Gopło mnie ukochało. Trzy razy się w nim topilem, ale mnie przyjąć nie chciało — miałem tylko sposobność stwierdzić, że utopienie się to może najłagodniejszy rodzaj śmierci — nie chciało mnie przyjąć, mimo że nie było jednego lata, w którym by się paru ludzi nie utopiło. A ogromne wrażenie wywarła na mnie śmierć trzech chłopów, którzy wykradli parę miechów zboża z stodoły dziedzica folwarku Łojewa, chcieli je przewieźć przez zamarznięte Gopło; na środku lód się pod nimi załamał i wszyscy potonęli — uratowała się tylko jedna baba, ich współniczka — jej „kiecka” ją uratowała, bo mogła wydęta na powierzchni się utrzymać.

Och, jak mi się wżarł w pamięć ten ponury ranek, kiedy przez naszą wieś sunęły powoli te trzy trumny topielców, bez żadnego orszaku, nawet bez krzyża — boć to byli złodzieje — pochowano ich za parkanem cmentarza w Górze.

Żywioly, Modlitwa, Strach

Burza, Wieś

Piorun

Woda, Śmierć, Strój,
Kobieta, Złodziej

⁵⁴⁶*litania loretańska* — modlitwa katolicka na cześć Matki Bożej; w której po wstępnym błaganii, skierowanym do Trójcy Świętej, następują szeregiem (właśnie w stylu litanijnym) krótkie wezwania do Matki Bożej wskazujące jej szczególne cnoty. [przypis edytorski]

A w całej wsi była tylko jedna dusza, która głębokie westchnienie za zatraczone dusze topielców ku niebu wysłała: anielska dusza mej matki.

— Przeżegnaj się — powiedziała do mnie — tylko Bóg ich osądzi.

Zresztą cała wieś była jak wymarła, z pogardy dla niecnych złodziei.

Rodzice moi, a zwłaszcza matka, przestrzegali, byśmy — brat mój starszy i ja — nie przestawali zbyt z dziećmi chłopskimi, nie dla jakiegoś odgraniczania się, niech Bóg uchowa: ojciec mój był żarliwym demokratą, ale po prostu dlatego, że przykład, jaki te dzieci dawały, niekoniecznie był korzystny. Takich „Janków muzykantów” i tych wyidealizowanych dzieci chłopskich, od których się roi w naszej romantycznej, poromantycznej, a nawet pozytywistycznej literaturze, niezmiernie rzadko się po wsiach napotyka. Na ogół chłopak wiejski jest krnąbrny, zawadiacki, psotny, skłonny do znęcania się nad zwierzętami i słabszymi od siebie chłopakami, a w rzeczach płciowych bardzo szybko już uświadomiony. Od nich to dowiadywałem się mnóstwo rzeczy, które mi sen z oczu spędzały, a wstydliwą moją duszę piekącą udrekały i wstydem nękały. Przy drogach żadne drzewko się nie ostało — bo je z jakąś zapalczywą zaciekłością albo łamali, albo z kory obdzierali, a nie było gniazdka jakiegoś ptaka, z którego by nie powybiali jajek, albo doszczętnie tych gniazd nie niszczyli.

Ojciec mój toczył srogą walkę z tym barbarzyńskim wandalizmem — raz po raz odbywał się w łojewskiej szkole sąd ostateczny z taką doraźnością, że chłopaki wracając ze szkoły czuli, jak im w nogawkach coś mokrego ścieka — ale to na nic się nie zdało. Do dziś dnia wszyscy obywatele skarżą się na to barbarzyństwo, toteż nie dziw, że na Kujawach, przynajmniej w dawniejszym zaborze pruskim, po drogach zwykłych rzadko znajdziesz jakieś drzewo. Tylko szosy państwowe są doskonale zadrzewione, dzięki temu, że rząd pruski ustanowił dozorców i stróżów, którzy dzień i noc pilnowali drzew.

A dziwna rzecz, że do dziś dnia ten niszczycielski zapęd nie osłabł. Podczas mego ostatniego pobytu na Kujawach⁵⁴⁷ (1927) tak samo uskarżano się na ten wandalizm, jak za czasów mego dzieciństwa.

Wprawdzie mi dzieci w Łojewie, gdzie byłem obecny podczas uroczystości nazwy szkoły łojewskiej szkołą Kasprowicza, skruszonym chórem przyrzekały, że nie będą już odtąd, by uczcić pamięć tego największego syna ziemi kujawskiej, pastwić się nad zwierzętami ani też drzew niszczyć, ale bardzo pesymistycznie się do tego przyrzeczenia odnoszę.

Ten brak drzew daje się zwłaszcza zimą bardzo we znaki. Gdy przyszły zawieje śnieżne, bardzo częste i gwałtowne w czasach mego dzieciństwa, traciło się całkowicie wszelką orientację. Bywało, że znajdowano ludzi zamarzniętych gdzieś na polu, bo zblądzili z drogi i krążyli w koło godzinami, chociaż może niedaleko było jakieś osiedle. Za przewodnika służyło może gdzieś jakieś światełko, a śmiertelnie znużony wędrowiec mógł być szczęśliwy, jeżeli dotarł do całkiem innej wsi jak ta, do której zdążał.

A późną jesienią, kiedy już ziemia zaorana lub też szerniała sterczą rżyska, zamienia się ta cała bezdrzewna, naga płaszczyna w jakąś upiorną pustynię, a zwłaszcza wtedy, gdy się roztopi w jadowitej poświacie miesiąca. I w tej poświacie na bezdrzewnej pustyni chorzała nieraz dusza dziecka — nie na darmo żyje księżyc w okultyzmie hinduskim jako dawno już obumarła planeta, ale znajdująca się w ustawicznym rozkładzie zgnilizny, księżyc: jeden olbrzymi rezerwar wszystkich trujących wpływów, jadowitych miazmatów, stokroć razy według Paracelsa⁵⁴⁸ potężniejszych od tych, którymi rzeźalnie i lupanary tu na ziemi zioną.

W blasku miesiąca dojrzewają wszystkie zbrodnie i wszelakie ludzkie obłądki, a kiedy średniowieczna czarownica chciała mieć najskuteczniejszy środek, by komuś śmierć zadać, łany żyta zatrucić, pomór na bydło sprowadzić, wystawiała swoją koszulę, krwią menstruacji zbrukaną, na działanie światła miesiąca. Darła ją na strzępy, a gdy pierwsza pojawiła się rosa, rozrzucała te strzępy po polach, kawałeczki dawała bydłociu do pożarcia w paszy

⁵⁴⁷ mego ostatniego pobytu na Kujawach — chodzi o pobyt w lutym 1927 r.; Przybyszewski odwiedził jeszcze rodzinne strony w listopadzie tego roku; 23 listopada 1927 r. zmarł w Jarontach na aneurizm serca. [przypis edytorski]

⁵⁴⁸ Paracelsus, właśc. *Theophrastus Aureolus Bombastus von Hohenheim* (1493–1541) — słynny lekarz, alchemik i filozof niem., zasłużony dla rozwoju nowożytnej chemii, jego renesansowa filozofia przyrody zawiera elementy naukowe, przeplatane się z dywagacjami astrologicznymi, alchemicznymi, mistyką i magią; autor dzieła *Astronomia magna, sive philosophia magna, sive philosophia sagax*. [przypis edytorski]

Dzieciństwo, Wieś, Chłop,
Mężczyzna, Okrucieństwo

Drzewo, Przemoc

Księżyc

Księżyc, Czarownica,
Kobieta, Krew

— a kogokolwiek z bliźnich tym strzępem dotknęła, wywoływała straszliwe owrządzenie i śmierć — zgniłe, zatrute światło miesiąca było rodzicielką dżumy.

A dziwne: ile razy sięgam wspomnieniami wstecz aż het w najrychlejsze dzieciństwo, zastanawiam się nad tym niesamowitym wpływem tych nocy księżycowych, które tak kochałem i których się bałem — na cały mój ustrój nerwowy. Pewno, że był to jakiś rodzaj ukrytego lunatyzmu, całkiem tego samego rodzaju, jakim jest słynny *somnambulisme caché*.

Może niejednemu z moich czytelników wyda się to wszystko bredzeniem, ale owszem — ja tylko jedno mogę z całą pewnością stwierdzić, że księżyc świadomie czy też bezświadomie ma olbrzymi wpływ na duszę ludzką w mniejszym lub większym stopniu: może być tylko łagodnym narkotykiem, usposabiającym do cichych, spokojnych marzeń i rojeń, ale może być gwałtowną trucizną, gorszą od morfiny lub kokainy.

Och, niezapomniane noce, kiedy się wpatrywał w biegnący po niebie księżyc, a wraz rosła we mnie beznadziejna nieokreślona tęsknota nie wiadomo za czym i ku czemu, i taki ciężki smutek stłaczał się bolesnym ciężarem na duszę dziecka, i taki ogrom samotności wśród głuchej ciszy dawno już uspionej wsi.

Czemu ja o tym wszystkim piszę?

Otóż aż nazbyt jestem tego świadom, że cały mój twór powstał w tej księżycowej poświacie — całą tę ciężką melancholię, wszystkie bolesne tęsknoty, cały ten pesymizm życiowy i ten życiobójczy determinizm wychował we mnie Księżyc.

— Gdyby twoja siła twórcza — powiedział mi raz Dehmel — była równie potężna, jak twoja tęsknota, byłbyś geniuszem.

Niestety, we wszystkim wyprzedzała tęsknota możliwość wykonania. A ileż ja to już całkiem z tej siły twórczej, którą ja rozporządzam, ograbionych męczenników tęsknoty w moim życiu nie napotykałem!

Cały legion tych nieszczęśników, których zaciekle, a bezsilne pragnienie, by coś stworzyć, całkiem wykołowało — nie tylko to, ale całkiem poza nawias życia wyrzuciło, przesuwa mi się w tej chwili przed oczyma — a na ich czele kroczy człowiek, którego po dziś dzień w wdzięcznej pamięci chowam: Roman Żeromski.

Wieś Łojewo składała się z kilku „gospodarstw”, na których osiadło kilku zamożnych gospodarzy — Słabęccy, Halagierzy, Górni, a do najzamożniejszych należała Habrzyna Zofia, wdowa po dwóch braciach, którzy na suchoty szybko po sobie wymarli. Z tego podwójnego małżeństwa pozostało czworo dzieci, dwie córki i dwóch synów, z których jeden tylko pozostał przy życiu — Kazimierz, który podczas powstania w Poznaniu w 1918 roku chlubną odegrał rolę. Cała jego rodzina wymarła również jak ojcowie na suchoty — choroba zresztą na Kujawach bardzo częsta.

Była prostą chłopką, ale już wychowana w tej zamożnej sferze gospodarskiej, która za arystokrację wśród okolicznych chłopów-gospodarzy uchodziła, a więc przywykła do rządzenia i rozkazywania, przy tym inteligentna, rzutka, ogromnie energiczna, sama już po śmierci mężów gospodarowała i to z takim skutkiem, że jej gospodarstwo było wzorowe na całą okolicę i wielkie zyski przynosiło. A że była przy tym bardzo ambitna, poczęła rywalizować z okoliczną szlachtą, miała powóz i konie cugowe, sprowadzała guwernantki dla swych córek, a jej synów przysposabiał do gimnazjum właśnie ten Roman Żeromski, o którym mówię.

Ja na tym najwięcej skorzystałem, bo Żeromski, który bezustannie w naszym domu przebywał, gorąco się mną zajął i tak mnie w ciągu pół roku doskonale przysposobił, że wstępując do gimnazjum dwie klasy przeskoczyłem.

Człowiek bardzo inteligentny, o wysokich aspiracjach artystycznych, jak to później, gdy się z nim spotykałem, stwierdzić mogłem, chorzał namiętą manią, by zostać aktorem. W wolnych chwilach biegał po dużym ogrodzie, przylegającym do pięknego dworku Habrów, i deklamował — z pamięci — rolę Romea i Hamleta z takim zapalem, że nie zważał na to, iż chłopstwo obsadziło sztachety ograniczające ogród od drogi prowadzącej przez wieś; zdaje się, że go to jeszcze więcej zapalało, bo grał swoją rolę z tak bezpamiętnym zacięciem, że wkrótce cała wieś okrzyknęła go za wariata.

Jednego tylko miał nabożnego i żarliwego widza i słuchacza — dwunastoletniego chłopaka, przedtem doskonale już przez przeczytanie niemal całej biblioteki ojca przysposobionego, by piękność tych wierszy, które Żeromski deklamował, w siebie wchłaniać.

Księżyc, Narkotyki

Literat, Tęsknota

Chłop, Pozycja społeczna,
Kobieta, Gospodyni,
Bogactwo

Wtedy to dowiedziałem się o Szekspirze, a może z większą jeszcze żarliwością upajałem się *Królem Learem, Mackbethem, Hamletem i Romeo i Julią*, aniżeli mój mentor, który razem ze mną, a raczej dla mnie, a możliwe, że jedynie dlatego, by mieć jakiegoś słuchacza, dramaty te czytywał z takim wzruszeniem i z taką siłą ekspresji (wystawcie sobie chłopaka, na którego nawet najlichszy aktor — może właśnie dlatego — olbrzymie wrażenie wywiera), z którym często gęsto rzewnymi łzami się zalewał na nieszczęsne losy Szekspirowskich bohaterów.

To było moje pierwsze zapoznanie się z teatrem i dramatem. Wyobrażam sobie zdumienie mego profesora w drugiej klasie gimnazjum toruńskiego, który, aczkolwiek żarty Niemiec, dziwnie mnie sobie upodobał — Schlockwerder się nazywał — gdy przypadkowo zdradził mi się z znajomością Szekspira. Z początku myślał, że ja znam tylko nazwisko, ale gdy umiał parę dramatów streścić, podał mi rękę i powiedział: *Das ist brav* — ten uścisk ręki surowego profesora, który tylko w najrzadszych wypadkach ucznia pochwalił, pozostanie na zawsze w mojej pamięci, jak również chłosta cielesna, wymierzona przez niego, a na próżno do dziś dnia mózg wysilam, by zrozumieć, za co ją otrzymałem.

Biedny Żeromski pozostał wierny teatrowi; tułał się po prowincjonalnych teatrzykach, aby wreszcie jako sufler rozstać się z swymi biednymi snami o sławie, o triumfalnym panowaniu na deskach scenicznych, pogrześć w budzie suflerskiej wszystkie swoje tęsknoty i pragnienia; a jednym z najgorętszych jego pragnień była rola Żdzarskiego w *Dla szczęścia* dawnego jego ucznia.

Raté ça encore raté — ten bolesny wykrzyknik, który się wydarł z ust van Gogha⁵⁴⁹, gdy mu się nawet jego samobójstwo nie powiodło — brzmi mi bezustannie w uszach, gdy wspomnę Żeromskiego, który mi pierwszy otworzył oczy na scenę.

III

Do jakiegoś 1875 roku było położenie Polaków w Poznańskim względnie dobre. Można było poonczas jeszcze śpiewać pieśni narodowe, urządzać narodowe obchody i nosić maciejówki: czworograniaste kaszkiety z daszkiem na oczy. Rząd pruski na to wszystko przymykał jedno oko i na ogół panowała względna swoboda.

Jakiegoś antagonizmu narodowego, a tym mniej jakiejś nienawiści pomiędzy Niemcami a Polakami nie było prawie śladu. Tak np. jeszcze przez Fryderyka Wielkiego skolonizowane Sikorowo z swoją niemiecko-ewangelicką ludnością żyło w doskonałej przyjaźni z Łojewem i Szymborzem, a do niemieckiej szkoły w Sikorowie wysyłał nas — dwóch najstarszych synów — ojciec mój, byśmy się uczyli po niemiecku, bo w łojewskiej szkole język ten był na indeksie mego ojca.

Niewieleśmy skorzystali w tej szkole, bo dzieci niemieckie chętniej posługiwały się językiem polskim aniżeli niemieckim, właściwie dialektem niemieckim, tak zwanym *Platdeutsch*, jakim się dotychczas chłopcy niemieccy w Prusiech posługują.

Chwalono sobie na ogół pruskie porządki, pruską sprawiedliwość i pruskie zwyczaje; — chłopcy polscy, którzy odbywali trzyletnią służbę wojskową w głębi Niemiec, wracali do domów całkiem przekształceni na modłę pruską.

Obyczaj polski zatracał się w oczach — znikła sukmana i słynny cylinder, który pozostał po Francuzach, kiedy tedy wojsko napoleońskie ciągnęło na wyprawę do Rosji: jedną noc przenocował Napoleon w Szarleju — znikły szerokie spodnie zatykane do „palonych” butów; moja generacja chłopska już całkiem w stroju i ubiorze się przeobraziła. „Drejfrak”, jak jeszcze starzy pogardliwie nazywali sposób ubierania się Niemców, wszedł ogólnie w modę — tylko jeszcze kobiety trzymały się dawnego stroju. Język polski, przeplatany coraz gęściej wyrazami niemieckimi, kaleczał i wynaturzał się, a działo się to wszystko bez najmniejszego oporu, całkiem naturalnie, ba! to niezmiernie szybkie przeobrażenie było połączone z pewnym rodzajem dumy. Posługiwanie się językiem niemieckim oznaczało nawet wyższy stopień kultury. Gdyby wtedy pozostawiono Polaków w Poznańskim w spokoju, Prusy dopięłyby w kilkadziesiąt lat swego celu ostatecznego: bezwzględne wynarodowienie całej tej polskiej prowincji.

⁵⁴⁹ *Gogh, Vincent van* (1853–1890) — holenderski malarz-samouk o niezwykle oryginalnym, rozpoznawalnym stylu malarskim i kolorystyce; popełnił w obłąkaniu samobójstwo. [przypis edytorski]

Polak, Niemiec, Państwo,
Władza, Moda, Naród

Szlachta coraz więcej ubożała i coraz mniejszy wpływ wywierała — ta stara, przepiękna w swej bezgranicznej ofiarności generacja z 1831 r. i w już znacznie mniejszym stopniu z 1863 r. wymarła lub była na wymarcu, kółka rolnicze — potworzone wśród włościństwa głównie dla podtrzymania polskości — z wolna się rozluźniały, bo szlachta coraz mniejszy udział w nich brała, przepaść między wsią i dworem coraz więcej się pogłębiała; jeszcze kilkadziesiąt lat, a chłop polski stałby się najwięcej lojalnym poddanym pruskim.

Poznańskie oczekiwał los Warmii: nie ma więcej zażartych i wierniejszych pruskich poddanych nad Mazurów.

A może by to sprusaczenie Poznańskiego już daleko rychlej nastąpiło, gdyby go nie powstrzymał mąż dla nas isticie opatrnościowy:

Bismarck!

W chwili zupełnego zgnuszenia i sennego letargu, w jakim lud polski w Poznańskim spoczywał, kiedy już-już układał się do wygodnego snu, zerwał się ten wściekły Roboam i sromotnymi basahykami jął go smagać, by go na nogi zerwać, by mu przypomnąć, iż winien być czymś, co na nazwę „naród” zasługuje.

Nie było środków, których by ten Wallenrod pruski nie był zużył, aby przywieść Polaków do opamiętania i zmusić ich do uświadomienia sobie, że są Polakami.

Zaczął nasamprzód jątrzyć chłopą w jego najświętszych i najgłębszych uczuciach — tego samego chłopą, którego uważał za lojalnego poddanego pruskiego, podbechtywanego jedynie przez szlachtę i księży — właśnie z tego chłopą jął sobie robić zapalczywego wroga.

„Prawa majowe” — *Kulturkampf* — to był pierwszy etap w zdumiewającej czynności Bismarcka. Teraz dopiero zrozumiał chłop polski, że najgorszym jego wrogiem to Prusak, który mu gwałtem chce wydrzeć to, co integralną część jego istoty stanowiło: religię.

Kiedy poczęto księży rozpędzać, którzy na te prawa majowe się nie godzili, kiedy tyle i tyle kościołów pozamykano, a całe parafie pozostały bez opieki duchownej, zerwał się w chłopie polskim niezłomny opór i bunt.

Pamiętam pierwsze święto Zielonych Świątek, kiedy ks. Brenk, o którym było wiadomo, że zgodził się na to prawo i został księdzem rządowym, chciał odprawiać uroczystą mszę. Nagle powstał w małym kościele w Parchaniu zamęt, zgiełk, a wśród ludu, zgromadzonego na odbyć mającym się nabożeństwie, powstał nagle ogromny Haber, powinowaty Habrów z Łojewa, i gromkim głosem krzyknął: „Precz od ołtarza! A, ty narodzie, wał, co się zmieści, ale nie po głowie, bo poświęcona, ale tam gdzie nogi rosną!”

Wymknąłem się z kościoła, podczas gdy w świątyni Bożej księdza tak okładano, że zaledwie żyw dowlókl się do plebanii.

Oczywiście zjawiała się rychłe żandarmeria okoliczna, aresztowania, włóczenia po sądach, srogie więzienia, zamknięcie kościoła, istny sąd ostateczny.

A kiedy uwięziono arcybiskupa Ledóchowskiego⁵⁵⁰, późniejszego kardynała, wrzenie wśród chłopstwa się wzmogło, ale jeszcze chłop nie rozumiał, że tu nie o religię chodzi, ale jedynie o to, by go usunąć spod wpływu duchowieństwa, które poówczas było jedyną obroną polskości — to jedno tylko sobie uprzytomnił, że rząd pruski to antychryst, czyhający na zgubę dusz polskich.

Księża, którzy musieli opuścić swoje parafie, bo nie chcieli się godzić na prawa majowe, tworzyli cały legion dzielnych emisariuszy, którzy chyłkiem się ukrywali i wśród ludu coraz gorętszą nienawiść do Prusaków, a w szczególności do Bismarcka budzili.

Ale Bismarck spostrzegł się rychle, że dawka, którą usypiającemu już ludowi zastrzyknął, była zbyt silna. Środek zbyt gwałtowny. Przepelnione więzienia poczęły z wolna się opróżniać, surowe kary zostały zmniejszone, a nawet Haber, przywódca całego buntu, został po awanturniczej wyprawie do samego cesarza Wilhelma I za pośrednictwem ks. Radziwiłła ułaskawiony: tylko jeden rok spędził w więzieniu w jednej celi razem z jednym z opornych księży.

Teraz Bismarck odczekał spokojnie parę lat — nie szczędził wprawdzie szyderstw, ciężkich a bolesnych obelg w stronę szlachty polskiej; wykpiwał jej bezsilę i niemoc; zgrzytnął czasem złośliwie zębami, wytykając szlachcie, że już utraciła całkiem związek

Ksiądz, Państwo, Władza,
Urzędnik, Lud, Kara,
Przemoc, Bijatyka

Chłop, Ksiądz, Religia,
Władza, Państwo, Polityka

⁵⁵⁰Ledóchowski, *Mieczysław* (1822–1902) — arcybiskup gnieźnieńsko-poznański w l. 1866–85; za zwalczanie tzw. „ustaw majowych” więziony w r. 1874. [przypis edytorski]

z chłopem; robił propozycje, by się godziła na wykup swej ziemi, a potem wysyłał ją do Monte Carlo — a z wolna, z wolna, gdy widział, że to wszystko na nic się zdało, a naród polski w cięższy jeszcze niż przedtem letarg popada, jął się chwycić ostrzejszych środków.

Zamiast basalyków wziął do ręki skorpioń i nimi począł chlastać społeczeństwo polskie.

I teraz dopiero rozpoczęło się ostre, niesłychanie dokuczliwe i zażarte prześladowanie wszystkiego, co było naprawdę polskie w Poznańskim.

Prześladowanie dotknęło tym razem w pierwszym rzędzie szkołę, a ofiarą jego padł między innymi nauczycielami, których przeniesiono w głąb Niemiec, ojciec mój, którego dla późnego wieku przenieść nie było można, ale tym więcej bezustannie szykanowano.

Ojciec, gorący patriota, nie umiał poskromić swej nienawiści do Prusaków, przy każdej sposobności wygłaszał gorące mowy narodowe, aż wreszcie bezustanne denuncjacje całej ojca byt poważnie zagroziły. Ojciec się ciężko rozchorował — co trzeba było przed inspektorem szkolnym, zaciekłym Prusakiem, starannie ukrywać — i tak spadł cały ciężar prowadzenia szkoły na matkę moją i na mnie.

Och, to był bardzo znojnny czas dla mnie.

Pod pozorem choroby uwolniłem się na parę miesięcy z gimnazjum w Wągrowcu, z całą tą świadomością, że te parę straconych miesięcy będę musiał w ostatnim kwartale dogonić, by otrzymać promocję do wyższej klasy.

I dogoniłem, ale kosztem nieprzespanych trzydziestu nocy, a może było ich więcej, których wymagało dogonienie tego, com żmudzić musiał.

Nie żałuję tego. Może bym nigdy nie mógł się tak zbliżyć do duszy chłopskiej, jak przez przeciąg tych trzech miesięcy, a może nigdy nie miałbym sposobności tak ją na wskroś poznać.

Na wskroś? Pewno to za dużo powiedziane. Chłop ma w swej duszy skrytki, do których nie-chłopu bardzo trudno dotrzeć, w duszy jego pełno ukrytych wilczodolów, w które łatwo wpaść można: wyśmieję i za głuptasa uważa tego, który by pragnął do niego się „zniżyć”, a na odwrót, można go bardzo łatwo urazić jakimś nieopatrzonym słowem, choćby z najlepszą wolą i bez żadnego *arrière-fond* wypowiedzianym. Skryty, podejrzliwy, twardy i nieustępliwy, małowówny, zwłaszcza na starość, niezmiernie ambitny, butny, hardy i zacięty, gdy jest młody — na ogół jednak przewyciężają dodatnie cechy — jest, a przynajmniej był, bardzo gościnnie, a jeżeli nie znał zbytnich uczuć wdzięczności, to jednak okazywał szacunek i przychyłność dla tych, którzy mu coś dobrego wyświadczyli.

Ojciec mój cieszył się między nimi wielkim szacunkiem, a wzruszające wrażenie zrobiła na mnie liczna deputacja chłopska, która z Łojewa przybyła do Wągrowca na pogrzeb śp. ojca mego. Że go za jego plecami dereszem nazywano (od niemieckiego *dreschen* — młócić), nic nie stanowiło wobec tego, że ze strony chłopów nigdy żadnej krzywdy nie doznaliśmy.

Z wszystkich pisarzy polskich, którzy chłopą w swym tworze przedstawiali, wydaje mi się być najbliższym duszy chłopskiej Władysław Orkan, chociaż i u niego tendencja nieraz obraz tej duszy przesłania i zaćmiewa — swoją drogą chłop podhalański, biedny i w ciężkim znoju z życiem walczący, znacznie się różni od przeważnie zamożnego chłopą kujawskiego.

IV

Nawróciłem do moich lat dziecinnych głównie dlatego, by powiedzieć, w jak wrogim dla Polaka środowisku się chowałem. Wyobrazić sobie nie mogłem, by gdziekolwiek w Polsce mogło być inaczej, i byłem przekonany, że w Galicji tak samo Niemcy Polaków dławią, jak w Prusiech. Na uniwersytecie nie spotykałem — dziwna rzecz — żadnego kolegi z Galicji, a zresztą wszystkie te trzy zabory tworzyły odrębne towarzystwa. Najliczniejsze, a właściwie prawdziwe towarzystwo studentów-Polaków w Berlinie składało się przeważnie z młodzieży z Poznańskiego, a garść studentów z Kongresówki — przeważnie Żydzi — niebawem wystąpiła i utworzyła osobne kółko socjalistyczne, którego prezesem był jakiś krótki czas Stanisław Grabski, bo policja niezadługo cele i zadania tego

Chłop, Dusza, Tajemnica

Polak, Polska, Niemiec,
Historia

kółka wytropiła i wszystkich członków, jako *lästige Ausländer*⁵⁵¹ — odstawiła do granicy; — wiatyk na drogę wyprosiłem od zarządu niemieckiej socjalnej demokracji.

Tą doszczętną nieznaną Galicji, która by się i niejednemu z moich czytelników całkiem niewiarogodna wydała, i dziś dla mnie samego jest niepojęta — przecież lękałem się adresować do Nowaczyńskiego: w Krakowie, ulica Szewska; byłem przekonany, że list nie dojdzie, bo w Prusach odsyłano takie listy do biura tłumaczeń, gdzie przeważnie ginęły — otóż tym nieprawdopodobnym nieuctwem tłumaczy się po części to olbrzymie wrażenie, które duszą moją do samego dna wstrząsnęło, gdym się znalazł nagle w całkiem już polskim społeczeństwie. Byłem jak oszołomiony, gdym wszędzie naokół słyszał tylko język polski — tragarze, urzędnicy, kelnerzy, to wszystko mówiło do mnie po polsku i to po raz pierwszy uczulem, że jestem już całkiem wśród swoich, i już teraz nie potrzebowałem się lękać ani policji pruskiej, ani pruskich szpiclów, którzy mnie bezustannie w Berlinie w okresie redagowania „Gazety Robotniczej” śledzili.

Och, ci szpicle — to też osobny rozdział w moim życiu, śledzili mnie na każdym kroku, co chwilę robili w mym mieszkaniu rewizje, wzywali do urzędu policji, gdzie mnie podstępnie fotografowano, a gdy zjawił się jakiś agitator socjalistyczny z Warszawy, Paryża lub Londynu, niechybnie dostawałem się do aresztu policyjnego, by uniemożliwić mi danie jakiegokolwiek pomocy tym chytrym (Niemiec ma na to osobne słowo: *gerieben*) konspiratorom.

Z początku było to dosyć zabawne — pamiętam, gdym jakiegoś otyłego szpicla wodził przez trzy godziny po całym Berlinie wśród strasznie upalnego dnia; przystąpił nagle do mnie i prawie z łzami w oczach prosił mnie, bym zaprzestał tej gonitwy: on ma żonę i dzieci, spełnia tylko psi obowiązek, który doprawdy żadną rozkoszą nie jest. Ale w końcu poczęła mnie ta bezustanna asysta nużyć i męczyć, aż wreszcie się nerwy całkiem rozstroiły i z wolna poczęłem popadać w rodzaj obłędu prześladowczego. W każdym człowieku, który na mnie baczniej spojrział, widziałem szpicla; gdy ktoś przystanął przed oknem wystawowym, byłem przekonany, że to jakiś szpicel śledzi mnie, idącego po drugiej stronie trotuaru, w tym oknie; a wreszcie doszło do tego, że zaprzestał jeździć tramwajami, tak mnie denerwował każdy człowiek siedzący naprzeciw mnie.

Już dawno wystąpiłem z redakcji „Gazety Robotniczej” — a raczej usunięto mnie z niej wrzekomo za propagandę katolicką i to w tej chwili, kiedy mnie z ambon wyklinano jako prawdziwego antychrysta — a ja wciąż jeszcze pozostawałem pod obserwacją policji. Pobyt w Berlinie stał się dla mnie wprost męczarnią. Ciekawe, że do dziś dnia jeszcze nie mogę się całkiem z tej newrozy wyzwolić.

W Polsce — tak! tak! teraz zrozumiałem, że jestem w Polsce — między „swoimi”, głęboko odetchnąłem i uczulem w sobie jakąś wielką uroczystą radość.

Całe szczęście, że na pieniądze, które wiozłem do Polski, miałem czek na Wiedeń, inaczej bym był bez jednego centa przyjechał do Krakowa — ten czek mnie uratował. I dziwne, że mnie w Granicy nie aresztowano: ta rozrzutność mogła się wydać bardzo podejrzana.

A gdym dojeżdżał do Krakowa i w oddali zamajaczył mi się kopiec Kościuszki, serce się tak rozdręgało, że długą chwilę potrzebowałem, by się uspokoić.

Na dworcu oczekiwał mnie Alfred Wysocki⁵⁵², dzisiejszy poseł polski w Sztokholmie.

Wysockiego poznałem na dwa lata przedtem w Berlinie.

Nie wiem, dla jakich powodów opuścił Kraków, a raczej Wiedeń, gdzie studiował prawa, dość że znalazł się w Berlinie wcale w nieszczególnych warunkach. Z ciężkim trudem porał się z życiem w Berlinie, bo korespondencje, jakie z Berlina pisywał do krakowskiego „Głosu Narodu”, łoża jego różami nie zaścierały.

Polubiłem go, bo był inteligentny, ogromnie chciwy wiedzy, gorąco interesował się literaturą i sztuką, szybko się orientował we wszystkim, o czym dotychczas nie miał pojęcia, a przy tym zniewalający ku sobie miłym i układnym obejściem i rzadką uczynnością. Jeżeli się go o coś poprosiło, można było być pewnym, że przyrzeczenia dotrzyma.

Toteż w moim domu był prawie codziennym gościem i do niego się zwróciłem, gdym postanowił przenieść się do Krakowa.

⁵⁵¹*lästige Ausländer* (niem.) — uciążliwi cudzoziemcy. [przypis edytorski]

⁵⁵²*Wysocki, Alfred* (ur. 1873–1959) — prawnik i dyplomata polski, senator V kadencji sejmu II RP; autor wspomnień okresie Młodej Polski (*Sprzed pół wieku*, Kraków 1956). [przypis edytorski]

Nie miał on wielkiej uwagi do Krakowa, toteż usilnie mi Kraków odradzał; twierdził, że mnie wielkie rozczarowanie w Krakowie spotka; a sąd jego o tym mieście nie dorównywał wprawdzie wisielczej potędze inwekcji Adolfa Nowaczyńskiego, jakimi Kraków wciąż jeszcze z równowagi wytrąca, w każdym atoli razie mógłby komu innemu odebrać ochotę przyjazdu do Krakowa, ale nie mnie, którego zapaleńczą tęsknotę te odradzania i przestrogi raczej jeszcze podniecały.

— No, jak tu już jesteś, to sam się naocznie przekonasz — powiedział mi w drodze do hotelu trochę ironicznie, trochę stroskano, ale już był całkiem zrezygnowany.

Ale to powiedzenie nie było tak złowróżbne, jak odpowiedź Stasinka Sierosławskiego⁵⁵³, który po roku mego pobytu w Krakowie na moje kpiące pytanie: jak mu się moja przyszłość przedstawia, odpowiedział ponuro:

— Czarno! bardzo czarno!

Tego samego wieczoru dawano w Teatrze Letnim melodramat Krumłowskiego *Królowa przedmieścia*, który wtedy się cieszył ogromnym powodzeniem.

Pierwszy, który do mnie przystąpił, był Sewer-Maciejowski. Poznałem go już na rok przedtem, kiedy przyjechał razem z Micińskim do Berlina, w tej naiwnej nadziei, że jakiś teatr berliński wystawi mu razem z Micińskim napisany dramat *Marcin Euba*. Oczywiście, że ta nadzieja zawiodła, może tyle tylko zyskał, żeśmy razem przegadali parę godzin w jakiejś nocnej kawiarni berlińskiej, ale ta rozmowa tak na niego podziałała, że, jak Miciński mi opowiadał, całej nocy spać nie mógł. Toteż nie dziw, że pisał do Lutosławskiego — a Lutosławski był na tyle złośliwy, że mi treść tego listu zakomunikował — aby na Boga żywego zagroził mi drogę do Polski, bo całą młodzież zdeprawuję.

O tej indykcji⁵⁵⁴ Lutosławskiego Sewer nic wiedzieć nie mógł, więc przywitał mnie z wielką serdecznością, a może większą jeszcze ja mu się odwzajemniłem, a miło mi było posłyszeć, co Lutosławski o mnie do Sewera pisał: cały tydzień musiał wietrzyć pokój po moim wyjeździe z Hiszpanii, tak przesiąknął dymem hawańskich papierosów (owiniętych w delikatne liście kukurydzy) i odorem hiszpańskiej wódki, wyrabianej z trzciny cukrowej na Filipinach — Hiszpanie nazywali ją *caña*.

Ale te wszystkie rewelacje nie przeszkadzały ani mnie, ani Sewerowi, by przez cały mój pobyt w Krakowie żyć w jak najlepszych i bardzo serdecznych stosunkach — czy one były szczerze lub nieszczerze, to mnie w moich stosunkach do ludzi nigdy nic nie obchodziło, byłem zawsze całkiem zadowolony, jeżeli tylko forma zachowana została.

Zresztą nigdy nie wymagałem od ludzi tego, co „prawdą” nazywają. „Prawda” jest rzeczą bardzo kosztowną, a źle, nieumiejętnie zastosowana, może się stać obelżywą ordynarnością albo nachalnym wdzieraniem się w tajniki obcej duszy. „Prawda” kole w oczy, mówi stare przysłowie: po cóż u diabła mam komuś oczy kłuć albo pozwolić je sobie przekłuwać?

Gdyby jeszcze jakiś pożytek z tego wynikał, ale gdzież tam! Prawda jedna⁵⁵⁵ tylko najgorszych i najzaciętszych wrogów, bo nie znam człowieka, któremu bym mógł całą prawdę powiedzieć bez ryzyka nienawiści z jego strony.

A miałem przykład mówienia sobie prawdy, gdy w Skandynawii przebywałem. Wszystkie te prawdy kończyły się nie tylko zrywaniem stosunków, ale wprost ordynarną bójką i to taką, która jednego z najwięcej uznanych artystów kosztowała złamanie trzech żeber.

Nie! nie! Już ja wolę kłamstwo, bo wiem, że jest kłamstwem, aniżeli prawdę, która wcale prawdą być nie potrzebuje, a najczęściej jest tylko złośliwością, chęcią dokuczenia albo prostym, mściwym *ressentiment*.

I ilekroć razy napotykałem w literaturze na „prawdę”, zawsze miałem możliwość dopatrzenia się w tej prawdzie ukrytej chęci kłamania, uszczypliwości i braku dobrej woli, a co gorsza: braku wiary w to, co się wypisywało.

Pytałem się raz takiego szczęśliwca, który przez wszystkich był lubiany — może to za wiele — w każdym razie nikt mu nigdy nie dokuczył. Pytany przeze mnie, jakim cudem się to dzieje, uśmiechnął się delikatnie i powiedział: „Ja w całym moim życiu jednego słowa „prawdy” nie powiedziałem; nikt się ode mnie nie dowiedział, co o nim myślę,

⁵⁵³ Sierosławski, Stanisław (1877–1942) — krakowski dziennikarz i nowelista, konferansjer „Zielonego Balonika”. [przypis edytorski]

⁵⁵⁴ indykcja — niedykcja. [przypis edytorski]

⁵⁵⁵ jednać — zjednywać, przekonywać. [przypis edytorski]

Prawda, Obyczaj

Oko

a tym mniej, w jakim zachowaniu mam jego bliźnich. A gdym już gwałtownie został przypierany do muru, wtedy rozplywałem się w pochwałach, a gdym widział, że memu interlokutorowi te pochwały nie w smak — zakładałem na moje skrzypce surdinę i tak zawsze wyszło na to, że wilk był syty i koza cała”.

Na ten temat był niewyczerpany:

— Nie znam przykrzejszego natręta nad człowieka, który ode mnie prawdy się domaga. Jakim prawem? Z jakiej racji? A małoż to ja literatów znałem, którzy mnie potem głęboką nienawiścią darzyli, gdym im w przystępie złego humoru szczerze powiedział, co o ich tworze sądzę. Z jednym byłem nawet na „ty”, a rzeczywiście go bardzo ceniłem, ale napisał lichego dramatu i gwałtownie chciał, bym ten poroniony plód za arcydzieło uznał.

Tego było mi już za wiele — powiedziałem prawdę, a na drugi dzień ów pan udawał, że mnie nie zna.

I potrzeba mi było tego? Jaki to trud będzie mnie kosztowało, aby sprawę naprawić!

A zwracając się do mnie, chytrze się uśmiechnął:

— Wprawdzie ty twierdzisz, żeś się minął z twoim powołaniem, idąc między literaty, że w całym twoim tworze znalazłoby się zaledwie kilkanaście stronic, które sam za dobre uważasz; spowiadałeś się przed Lutosławskim, że grubo wątpisz, czy w ogóle jakiś talent posiadasz; — no! na takie kpiny możesz sobie sam pozwolić, ale ciekaw jestem, jak byś zareagował, gdybym ja z moją starannie ukrywaną prawdą wyjechał, że twój talent, to tylko talencik — prawda, że to gorsze od zupełnego braku talentu? — że operujesz, dajmy na to, paru sposobikami i tym ludziom głowy zawracasz?

Serdecznie się roześmiałem:

— Mylisz się — ani na chwilę nie wziąłbym ci tego za złe. Przeciwnie, rozczuliłbym się, że raz wreszcie znalazłem człowieka, który odważył się mi prawdę powiedzieć — przycisnąłbym cię do piersi lub rzucił ci się na szyję i ślubował ci dożgonną przyjaźń.

Spojrzał na mnie społe łba i zmrużył figlarnie oczy:

— I powiedziałbyś mi, że mnie jednemu zawdzięczasz całą kulturę, że ja ci dopiero oczy otworzyłem na ten ukryty świat, którego tak skrzętnie poszukujesz?

— Więcej jeszcze — odpowiedziałem — powiedziałbym ci, że już dawno przeczuwałem w tobie człowieka, który sam jeden ma mi coś do powiedzenia, że odtąd tobie jednemu będę się zwierzać z moich najskrytszych zamysłów...

Tu mi przerwał złośliwym, szyderczym uśmiechem, żywcem zapożyczonym z moich pism:

— He, he, he...

— He, he, he — zaśmiałem się echem.

Podaliśmy sobie ręce, wypiliśmy trzeci czy czwarty kieliszek wódki i tak zakończyła się nasza dyskusja o „prawdzie”.

Rzadko z którym z moich znajomych tak się zgadzałem, jak z tym wychowawcą jakiegoś arystokratycznego Chyrowa⁵⁵⁶.

Ale na to, by z „prawdą” być bardzo powściągliwym, nie potrzeba osobnego zakładu wychowawczego.

Całe mnóstwo ludzi przychodzi na świat tak niezmiernie wyczulonych i przeczulonych, że są w stanie samych siebie na największe przykrości narazić, aniżeli bliźniego swego jakąś prawdą dotkliwie ukłuć.

To są istotni męczennicy niemożności wyjawiania swej „prawdy”, bo może więcej jeszcze cierpią od tej prawdy, aniżeli ci, do których była zwrócona.

Tak zwany altruizm jest obosieczną bronią. Może obronić współczłowieka od przykrości, która często nie stoi w żadnym stosunku z tą, jaką takiemu altruście odcierpieć przychodzi.

Prawda, Pozory, Obyczaje

Współczucie, Cierpienie

⁵⁵⁶Chyrow — miasto na Ukrainie nad rzeką Strwiąż, niedaleko Przemyśla, w obwodzie lwowskim, w rejonie starosamborskim, lokowane w 1528, niegdyś prywatne miasto szlacheckie w województwie ruskim, własność Herbertów, potem Ossolińskich i Mniszców; tu: nazwa miasta użyta jako synonim renomowanej szkoły jezuickiej, gimnazjum męskiego, usytuowanego na terenie podchyrowskiej wsi Bąkowice, doskonale wyposażonego zakładu naukowo-wychowawczego (pracownie przedmiotowe, biblioteka, sala teatralna, muzeum przyrodnicze z kolekcją ptaków egzotycznych fundacji hrabiów Dzieduszyckich, ogród botaniczny itp.), funkcjonującego w Galicji od l. 80. XIX w. do 1939 r. [przypis edytorski]

A z ludzi, którzy na litościwą pobłażliwość istotnie zasługują, to ci, którzy nie są w stanie nikomu nic odmówić. Jakie stąd powikłania wyniknąć mogą i rzeczywiście wynikają, ten tylko zrozumie, który Bóg wie co przyrzeka, a potem w ciężkiej rozpaczy zrozumieć musi, że przyrzeczeń dotrzymać nie może, i zwykle ponosi nieraz bardzo uciążliwe koszty swego „niedołęstwa” — tak! tak! to ci niedołędy życiowi płacą zwykle życiu najboleśniejszy haracz.

Z konieczności przepychają się przez życie bezustannym kłamstwem — chociaż to kłamstwo jest dla nich ciężką tragedią, bo by jedno kłamstwo podtrzymać, trzeba sto innych wymyśleć — stąd pochodzi, że tak mało istotnie genialnych hochsztaplerów i — literatów (słyszę, jak boski Plato mi przyklaskuje).

Tego pamiętnego wieczoru w dniu mego przyjazdu do Krakowa poznałem na tej, swoją drogą nie bez talentu napisanej *Królowej przedmieścia* — nie pomnę tak pięknych jesiennych wieczorów i nocy, jak wtedy w Krakowie na początku września — całe mnóstwo ludzi, prawdopodobnie już uprzedzonych przez Wysockiego, że do Krakowa przyjeżdżam.

Na samym wstępie zastanowił⁵⁵⁷ mnie jeden człowiek — przystojny, starannie ubrany — przystanął nagle przede mną i powiedział jednym tchem:

— Byłbym szczęśliwy, gdybym był cielakiem, z którego skóry pańskie buty wyprawione.

Przez chwilę cośkolwiek zgłupiałem, ale nie przeczę, że byłem wzruszony tą przemową.

A równocześnie uczulem głęboki wstyd — przyplątało się do mojego mózgu, nie wiem dlaczego, wspomnienie komedii Gogola: *Rewizor z Petersburga*. To przykre wrażenie potęgowało się w ciągu całego wieczoru: zaledwie włożyłem papierosa do ust, już znalazło się jakby na wyścigi kilka zapalek, nie zdążyłem jeszcze zawołać na kelnera, a już zjawiał się z całą tacą wódek i przekąsek — zapytałem, gdzie mogę mój czek zrealizować, a w tej chwili wyplacono mi zawartość tego czeku i to w samych pięcioguldenówkach, aby suma pokazniej wyglądała. Okazało się, że ten pan, który wygłosił do mnie tę dziwną przemowę, był właścicielem fabryki fortepianów „Zdzisław Gabryelski” mieszczącej się na pierwszym piętrze narożnej kamienicy w Rynku: Krysztofora — naprzeciw Kościoła Mariackiego.

Po skończonym przedstawieniu zaprosił nas zamożny pan na Krysztoforach do bardzo obszernego swego mieszkania; — połowę tego mieszkania stanowiła wielka sala z wspaniałymi fortepianami: były tam Stainwaye i Bechsteiny, a przede wszystkim śliczne, małe fortepiany wyrobu czeskiego: Petroffy. Ilu nas tam się znalazło po ukończeniu przedstawienia, poszliśmy hurmem do Gabryelskiego — a wśród tych wszystkich uczestników znalazł się dziwnym przypadkiem Andrzej Niemojewski⁵⁵⁸.

Ja wówczas nie wiedziałem, kim jest pan Andrzej; zauważyłem tylko jego niechętnie spojrzania, gdy mnie — rewizora z Petersburga — otaczała cała młodzież z ciekawością i niekłamany uwielbieniem, które mnie w najwyższym stopniu żenowało; widziałem, jak coraz więcej się ode mnie odsuwał. Jaka szkoda, że nie wiedział, kto to ten pan Andrzej, inaczej bym nie miał słów dla jego talentu — nie pojmuję tylko, dlaczego wśród całej gromady, która pragnęła mnie jedynie uczcić, znalazł się i pan Andrzej.

Och! jaką ciężką nienawiścią miał krótko potem zapalać ku mnie, nienawiścią tym mniej zrozumiałą, bom mu nigdy żadnej krzywdy nie wyrządził, chyba tę jedną, że nie znał tomiku jego poezji *Polonia irredenta*.

W ogóle miałem małe pojęcie o tych wszystkich młodych poetach, którzy przyszli po Asnyku. Aż do Asnyka orientowałem się doskonale w literaturze polskiej — kochałem przed nim Berwińskiego, Sowińskiego, Asnyka samego dobrze poznałem, ale wśród

⁵⁵⁷zastanović (daw.) — zatrzymać; sprawić, że ktoś stanie. [przypis edytorski]

⁵⁵⁸Niemojewski, Andrzej (1864–1921) — poeta, pisarz i publicysta okresu Młodej Polski, społecznik, religioznawca, znawca astrologii, tłumacz (m.in. *Żywota Jezusa* Ernesta Renana, 1904 oraz *Dziejów wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom* Józefa Flawiusza, 1906), oraz wydawca wolnomyślicielskiego, antyklerykalnego, religioznawczego tygodnika „Myśl Niepodległa” (z czasem ewoluującego w kierunku antysemityzmu); autor poezji, dramatów, opowiadań i artykułów publicystycznych, m.in. cyklu poetyckiego *Polonia irredenta* (t. I–VII, Lwów-Kraków-Warszawa 1895–1898), powieści *Listy człowieka szalonego* z humorem portretującej środowisko cyganerii krakowskiej (1899), *Bóg Jezus w świetle badań cudzych i własnych* Warszawa 1909; publikował pod pseudonimami: Lambro, Lubieniec A., Rokita. [przypis edytorski]

młodsze pokolenie znalazłem Miriamę, Langego⁵⁵⁹ i Kasprowicza, a do dziś dnia jest mi przykro, że zbyt późno zapoznałem się z artystą tak szczerego i wielkiego talentu, jakim jest niechybnie Kazimierz Tetmajer.

Ja się w ogóle całkiem nie orientowałem w ówczesnym stanie literatury polskiej. A szkoda — wielka szkoda! Byłbym uniknął wielu przykrości i nieporozumień, które z mej strony mogły wyglądać na gruby nietakt, pyszałkostwo, a nawet śmieszny zarozumiałość. A niestety nie miałem nikogo, kto by mnie mógł poinformować o istotnym stanie rzeczy — możliwe, że nikt jeszcze wtedy jasno sobie sprawy z stanu ówczesnej literatury nie zdawał. Było paru wielkich panów, którzy na ten śmieszny kult Przybyszewskiego patrzyli z spokojną pobłażliwością, a nawet z sympatią starszych braci, uśmiechających się sukcesom beniamina, ale byli i tacy, których to mogło w wysokim stopniu drażnić, że nie było w Polsce o niczym innym mowy, jak tylko o tym zamorskim zwierzęciu, które Bóg wie skąd się do Polski przyplątało i, jak słusznie kiedyś jeden z tych urażonych powiedział, nic do niej nie wniosło prócz ciężkiego zamętu. Był czas, kiedy ten kult onego zamorskiego zwierzęcia stał się prostą idolatrią, obłąkaną idolatrią, w której zapominano, że obok mnie całkiem inne talenty i twórcze jednostki istnieją, którym co najmniej ten sam głęboki szacunek przynależy, co tej świeżo odkrytej „gwiazdzie”, jaką ja się nagle stałem.

Tylko człowiek, który spokojnie stał na uboczu i z cichym uśmiechem przyglądał się temu cyrkowi, rozumie, jaką mi krzywdę ten bezrozumny i bezkrytyczny zachwyt nad moim tworem wyrządził. Nie dziw więc, że już po paru miesiącach, odkąd objąłem redakcję „Życia”, uczulem się bardzo osamotniony i bezustannie musiałem się w ciągłych oświadczeniach sumitować, że „Życie” to nie „ja”, że w tym „Życiu” znajdziesz jeszcze chyba coś innego prócz mnie.

Dawno już weszło cudowne jesienne słońce nad rynkiem krakowskim — cud tego rynku tak mną wstrząsnął, że w jednej chwili po całonocnej libacji wytrzeźwiałem — kiedy znalazłem się z Wysockim razem przy teatrze.

— Uważaj — powiedział Wysocki — tędy idziesz do swego hotelu.

— A ty dokąd?

Wysocki uśmiechnął się melancholijnie.

— Ja? ja jadę ratować „Życie” — za godzinę pociąg odchodzi. Sewer dał mi parę listów polecających, bym od paru jego bogatych znajomych wydobyl jakieś pieniądze na ratunek „Życia”, inaczej trzeba pismo w przeciągu paru tygodni zwinąć.

Cóż mnie wtedy „Życie” obchodziło — nie zdawałem sobie całkiem sprawy, że dalsze istnienie „Życia” było dla ówczesnego „młodego” Krakowa rzeczą wielkiej wagi, a upadek tego pisma, mimo że nie miało ostro zarysowanego charakteru, nie było zdecydowane i we wszystkim wykazywało jakieś kompromisowe „demi”, równałby się całkowitej przegranej tego „młodego” Krakowa. — Daleko później zorientowałem się, czym by tego rodzaju pismo mogło się stać dla Polski, gdyby się znalazły odpowiednie fundusze, które by zabezpieczyły mu byt z góry na jakieś kilka lat; a poza tym dostało się w ręce bardzo śmiałego i bardzo zdecydowanego artysty, który by był znał doszczętnie i do głębi swoje społeczeństwo i zdawał sobie sprawę z warunków, w jakich mu pracować przyszło; a nie w ręce człowieka, pewno że ponad miarę śmiałego i odważnego, ale odwagą tego, który nie zna niebezpieczeństw, jakie mu grożą, odwagą lunatyka, który po cienkiej belce nad przepaścią balansuje.

Ta nagła nienawiść Andrzeja Niemojewskiego ku mnie, poczęta tej jednej nocy, w której mnie z taką zachłanną ciekawością oblegał „młody” Kraków — o jakiejś „młodej” Polsce nie było mowy — była symptomatycznym objawem wprawdzie nie nienawiści, ale niechęci. Nie każdy mnie tak nienawidził, jak umiał pan Andrzej, ale niezadługo mia-

⁵⁵⁹ Lange, Antoni (1862–1929) — poeta, tłumacz i krytyk literacki; debiutował w paryskiej „Pobudce”; od r. 1887 publikował w czasopiśmie warszawskich prekursorskie w Polsce korespondencje z Paryża o nowych prądach w sztuce (symbolizm, impresjonizm), w r. 1899 zamieszcza w „Tygodniu Ilustrowany” cykl o „Współczesnych poetach polskich”; współpracował z „Życiem” krakowskim; pisał również pod pseudonimem Napierski, A. Wrzesień, Z. Kwieciński i in. [przypis edytorski]

łem zrozumieć, jaką niechęć ku mnie musiał wywołać ten dziecinny entuzjazm, z jakim „młody” Kraków mnie przyjął⁵⁶⁰.

„Życie” potrzebowało na swego kierownika jakiegoś poważnego, przez wszystkich: i przez przyjaciół, i przez wrogów szanowanego artystę — Miriam powinien był „Życie” prowadzić — a otrzymało artystę, który żył w ustawicznym transie, potęgowanym jeszcze transem swego otoczenia.

Za późno się spostrzegłem, czym bym mógł „Życie” uratować, a nawet na silnych podwalinach postawić. — Kto wie, czyby nie było do dziś dnia przetrwało. Za późno, za późno rozumiałem, jakie trzeba było zająć stanowisko wobec społeczeństwa i wobec nachalnego „młodego” Krakowa. Ale jeżeli jakkolwiek artysta nie nadawał się na kierownika tak już ciężko poharatanej szalupy, jaką było „Życie”, mimo że parę miesięcy dopiero sobie liczyło, to — ja! Trzeba było postępować ostrożnie, bardzo oględnie, paktować na jedną i drugą stronę, podstępnie wślizgiwać się w opinię publiczną, aby ją po cichu, skrycie tak sobie urobić, że aniby się spostrzegła, kiedy już byłaby całkiem po „tamtej” stronie, której się tak lękała. Trzeba było nie dopuszczać do siebie każdego, który się tylko pod rękę nawinął, trzeba się było uniedostępnić, co najwyżej raz po raz łaskawie audiencję udzielić, albo też przyjmować raz na tydzień w roli jakiegoś *maitre*, przed którym ma się ogromny szacunek i tę bezwzględną ślepą wiarę w *autos epba*. Trzeba mi było być jakimś Mallarmé⁵⁶¹, który tak cudownie umiał utrzymać dystans do swego otoczenia, a nie biednym Verlainem, który się byle z kim pospolitował i, pijany, taczał się od jednego płotu do drugiego.

Wyobrażam sobie, z jakim zdumieniem musiał na mnie patrzeć ten oszołomiony Kraków, któremu już od dłuższego czasu w uszy trąbiono, jako że w swoich murach gości zdumiewający okaz *eines genialen Polen*, gdy mnie widział codziennie na Plantach w otoczeniu kilkunastu nieraz młodych ludzi, z którymi w kawiarni Szmita po parę godzin wysiadywałem. Stary kelner Lorenz obsługiwał ten długi stół, jak długo ja przy nim siedziałem, bo wiedział, że płacę; ja zawsze płaciłem przeważnie za tych, którzy nie byli wypłacalni i, świadomi tego, w sam czas się ulatniali, tak że w końcu sam zostawałem i na mnie spadał cały ciężar płacenia — ale to nic, bo stary Lorenz mi wierzył i udzielał mi kredytu bez wszelkich zastrzeżeń, i zdaje się, że nie zawiódł się na mnie! A cóż dopiero mógł sobie Kraków myśleć o człowieku, który by mógł bezopornie nim ować, ba! nawet bywać „Pod Baranami”, a on tymczasem raz po raz sypiał na Plantach, bo mu nie chciało się iść do domu, albo też w jakiejś żydowskiej knajpie przysłuchiwał się żydowskiej muzyce, której przedtem nigdy nie znał, do samego rana — a dosyć kosztowna była ta muzyka, bo trzeba było wprowadzić muzykantów w ten trans, w jakim ich muzykę odczuwało się jako coś niesłychanego, coś, czego się jeszcze nie przeżyło.

Och! jak oni grali, jak grali! Czasami miałem wrażenie, że się do domu obląkanych dostałem: jak mi raz czworo żydowskich muzykantów zagrało — w tym na wpół pijanym transie, który jeszcze palców nie paraliżował, przeciwnie, doprowadzał je na to pogranicze najwyższej sprawności, chwila jeszcze, a bezwładną poczęły żydowskie pieśni: Kol Nidre i pieśni Sądu Ostatecznego, to zdjął mnie zimny dreszcz — a na wytrzeźwienie lepszego środka nie byłbym mógł znaleźć. — Raz natrafiłem na bandę Cyganów — nigdy przedtem nie słyszałem cymbałów — przy tej muzyce wpadłem w taką ekstazę, że wszyscy zwrócili na mnie zdumioną uwagę i zrobiła się wielka cisza, gdym stanął na czele tej małej orkiestry — dla mnie istniały tylko cymbały — i jął dyrygować. Hej — hej! jakaż to była muzyka: pijani muzykanci, pijany dyrygent, tą wściekłą muzyką upiła się publiczność (panie Jezu! co to była za publiczność); wszystko się nią upiło: ściany, podłoga, posowa, a w końcu sam właściciel knajpy, bo wtedy, gdy już jakiś basista zastrajkował, wpadł w szal i tak długo obrabiał pracowicie jego głębę, aż ten na nowo smyczkiem dzikie harce począł wyprawiać na swojej basetli.

A w tym wszystkim wielki, ciężki smutek — ten do samego dna trawiący smutek,

Narkotyki, Alkohol,
Artysta

⁵⁶⁰dziecinny entuzjazm, z jakim mnie Kraków powitał — por.: Tadeusz Boy-Żeleński, *Ludzie żywi*; tegoż, *Znaszli ten kraj*; Adolf Nowaczyński *Przybysz* („ABC Literacko-Artystyczne” r. 1933, nr 40), tegoż *Pamięty* (*Wyspiander, Ruysbroëk admirabilis*); Stanisław Helsztyński, *Przyjazd Przybyszewskiego do Krakowa* („Twórczość” r. 1958, nr 2). [przypis edytorski]

⁵⁶¹Mallarmé, *Stephane* (1842–1898) — modernistyczny poeta i eseista francuski; twórczość jego cechuje cyzelowanie wiersza w kształcie dźwiękowym. [przypis edytorski]

boć to przecież nie było żadną zabawą; to tak na poczekaniu zanalizować się nie da.

Jeżeli jakiś artysta bawi się w pisanie pamiętników, to już niech ma tę odwagę robić to szczerze, nie upiększać wydarzeń swego życia, nie wycyganiać się z błędów, które popełniał, nie skomleć o przebaczenie ani nie wyszukiwać dla siebie łagodzących okoliczności. A czyżby można wyobrazić sobie nędzniejszą hipokryzję nad chęć wyłgania się z przykrego nałogu, jakim jest narkotyzowanie się — mniejsza o to, jakimi środkami?!

Żyjemy w marnych czasach, w których dokonuje się biedna i głupia rehabilitacja tych artystów, do których społeczeństwo rości sobie prawo, aby ich na „blank” „wypucować”.

I cóż to może kogo obchodzić, że Edgar Poe umarł na *delirium tremens*, że opium było gwoździem do trumny dla Baudelaire’a, że Verlaine zmarniał w jakimś szpitalu, Berwińskiego Ryszarda nikt całkiem trzeźwym nie widział, a ilu ja znałem publicystów, których morfina lub kokaina zabiła, bo bez tych środków nie byłiby już w stanie pracować, bo nadto już byli wyczerpani.

Haracz, jaki artysta społeczeństwu s płaca, pozostaje ten sam, czy go s płaca nerwami dociągniętymi do pracy czy też tymi męczeńskimi, które dopiero musi dociągnąć narkotykami.

W arsenale Szatana jest jeden środek, który myślącego człowieka w głębokie zdumienie wprawia: peruańskie *coca*.

Z opowiadań podróżników wiemy, że Peruwianie, którzy żują liście *coca*, jak żują marynarze prymkę, są w stanie pracować w minach przez 12 godzin bezustannie, a nawet dłużej, odbywają kilkunastogodzinne marsze bez pożywienia, dźwigając na barkach olbrzymie ciężary — a nie ulega wątpliwości, że *coca* tak samo jak haszysz wywiera na ciało astralne niesłychany wpływ i umożliwia mu spełnienie pracy, o jakiej by nawet w trzeźwym stanie nie mógł marzyć. Ale *coca* zbyt szybko organizm wyniszcza, a przy tym nie tak łatwo zaspokoić głód kokainy, połączone to ze zbyt wielkimi i uciążliwymi zabiegami. Łatwiej już wystarać się o morfinę, ale najpopularniejszym, najwięcej dostępnym i najwygodniejszym środkiem narkotycznym — to alkohol.

Ale alkohol i alkohol, to dwie całkiem odrębne rzeczy. — Alkohol wesoły — *vin gai* — ten najmniej szkodliwy: podnieci, rozwesela, użyty nawet w największych dozach, zwali z nóg pod stół; człowiek popada w kamienny sen, budzi się z bolesnym *katzenjammerem*, ślubuje sobie, że już się drugi raz nie upije, ale to głupstwo; bez tego alkoholu życie towarzyskie byłoby nieraz niemożliwe, nawet zabójczo nudne, podczas gdy nawet najgłupszy człowiek, podniecony alkoholem, zdoła ze siebie raz po raz jakiś dowcip wykrzesać, a najwięcej oschły osobnik powoli się rozkrochmala i przynajmniej przez jakiś czas czyni się znośny. Ten „towarzyski” alkohol płata wprawdzie rozmaite figle — jest zdolen rozwiązać rzemyczki od kiesy najbrudniejszego skąpca, pociągnąć za język najogłędniejszego milczka, łagodzi zażartą mściwość, staje się pomostem, na którym najwięcej zaciekli wrogowie się jedną, a granit nieustępliwości z wolna kruszeje.

Ten alkohol staje się nieraz wielkim dobrodziejstwem: jak niezmiernie dużo zawdzięcza mu społeczna opieka nad biednymi, jakie wspaniałe czyny dobroczynności jest w stanie wywołać, jakie szlachetne odruchy patriotyczne, jakie wspaniałe porywy w duszy ludzkiej rozżarzyć — wprawdzie niejeden gorzko na drugi dzień żałuje, że dał się „unieść” i „porwać”, ale to już za późno — wstyd mu przyznać, że działał pod wpływem alkoholu, więc chcąc nie chcąc dotrzymuje przyrzeczenia. Zdaje się, że nawet Franciszek Józef raz jeden potknął się na tej granicy, na której alkohol działa jeszcze neutralnie, a wtedy podarował narodowi polskiemu — Wawel!

I błogosławione skutki tego dobroczynnego alkoholu umiałem wykorzystać, gdy pomagałem tworzyć gimnazjum polskie w Gdańsku. Podczas moich objazdów z odczytami po kresach uzyskiwałem najwięcej podczas przyjęć, w których alkohol odgrywał w tym wypadku dobroczynną swoją rolę.

Ale jest inny alkohol, zły, strasznie niebezpieczny — *vin triste*, który w arsenale Szatana zajmuje bardzo poczesne miejsce, alkohol ludzi, którzy przychodzą na świat obarczeni jakimś przekleństwem, ludzi niezdolnych do życia bez tej fatalnej protezy, jaką jakkolwiek środek narkotyczny stanowi. I to właśnie, co dla drugich jest tylko chwilowym oszołomieniem, chwilowym spotęgowaniem sił nerwowych, nawet całkiem niepotrzebnym, bo normalny organizm nerwowy szuka tylko ujścia nadmiaru swych sił, dla tych ludzi staje się bardzo niebezpieczną protezą, bez której obejść się nie mogą, i dla tych

Alkohol, Radość, Czyn,
Smutek

ludzi jedynie, ludzi urodzonych pod znakiem straszliwego Saturna i trucicielskiego Księżyca, których dusze Szatan pławi w ciemnym morzu melancholii, szarpiącej tęsknoty i bezustannego dławiącego smutku, alkohol staje się — nałogiem.

Dla normalnego człowieka nie przedstawia alkohol żadnego niebezpieczeństwa, a jeżeli normalny człowiek jest zmuszony wymagać od swych nerwów takiej pracy, która jego normalne siły przekracza, wtedy ucieka się zwykle do morfiny, która wśród narkotyków cieszy się pewnym *intelektualizmem*; proszę mi wybaczyć ten paradoks, ale morfina potęguje istotnie siły intelektualne, nie oślepia, a co najważniejsze, nie znieprawia człowieka, nie zezwierzęca go.

Przeważnie wszyscy morfiniści to ludzie, którzy są zmuszeni żyć nadludzkimi wprost wysiłkami: lekarze, dla których pracy 24 godzin dziennie za mało, publicyści, którzy dzień w dzień po kilka felietonów dostarczać muszą! — Gdyby ktoś zechciał zrozumieć, co to za męczarnia pisać kilkukolumnowe sprawozdania z teatralnego przedstawienia, zaledwie kurtyna spadła po końcowym akcie — a o trzeciej rano musi „skrypt” pójść na maszynę; potem parę godzin snu i znowu galernicza praca przy biurku, bo na szóstą po południu nowy artykuł musi być gotów; a artykuł ten musi być cięty i interesujący, musi na klawiaturze duszy czytelnika coraz to dziksze harce wyprawiać, aby go zadowolić; a ten nieszczęsny publicysta musi ostatnich sił wydobywać, by się nie powtarzać, by bezustannie czymś nowym podniecać, a nawet ze zgniłej cytryny wydobyć jeszcze parę rzeźwiących kropel!

Wielki kontyngent wśród morfinistów stanowią aktorzy, ten nieszczęsny naród wśród artystów. Każdy inny artysta może wyprząc, jeżeli nie jest w stanie pracować, może rzucić pracę, jeżeli mu od ręki nie idzie — aktor grać musi, chociażby był Bóg wie jak wyczerpany, znużony i opadnięty. Zdawałoby się, że chyba cudem się z łóżka lub kanapy dźwignie, i istotnie się dźwiga, bo morfina jest tym cudotwórczym środkiem, który go na nogi stawia i na parę godzin jego nerwy pręży, że pękać się grożą.

Dużo morfinistów znajdziesz wśród uczonych — fanatyków pracy, dla których Bóg osobnego dnia nie przewidział, bo dla nich dzień o 24 godzinach za krótki; nawet okultysta tej miary, co Stanislas de Guaita⁵⁶², który zdawało się, że w pobliżu boskości bytował, umarł śmiercią, spowodowaną zatruciem morfiną.

Dla tych męczenników swego zawodu i dla tych fanatyków pracy jest morfina przez jakiś czas — oczywiście nie na zbyt długą metę — prawdziwym dobrodziejstwem, ale dobrodziejstwem niesłychanej lichwy: procenty, jakie organizm opłacać musi, przenoszą⁵⁶³ niezadługo wartość gotówki, jaką się zaciągnęło; w każdym razie wśród wszystkich narkotycznych środków jest morfina poniekąd szlachetnym środkiem: niszczy, ale przez pewien czas potęguje istotnie siły umysłowe.

A tego o alkoholu — w postaci *vin triste*, bo tylko ten staje się nałogiem narkotyku — niestety, powiedzieć nie można. Przez krótki tylko czas potęguje siłę nerwów, by ją niezadługo sparaliżować; a wtedy oddaje rzeczywiście usługi, bo stępia i znieczula nerwy — tracą swą wrażliwość na ból i cierpienie — ale oszłamia mózg i każe mu jakby na całkiem innej platformie pracować. Pod wpływem tego alkoholu dusza człowieka całkiem się przeobraża, wymienia się na inną, która oczywiście w człowieku bytować musiała, ale była trzymana na uwięzi przez duszę trzeźwą. I ot — ten smutny alkohol, ten, który był prawdopodobnie przyczyną strącenia aniołów do piekieł, wyważa tę duszę trzeźwą z zawias, odrętwia ją, a na arenę wkracza obca jakaś dusza, której istnienia nawet byś nie przypuszczał, a skierowana z szatańską złośliwością w stronę drogi, na której czyha na człowieka najcięższy Ból — zaprzepaszczenie i zagłada.

Omamem i złudzeniem chwilowa ulga w cierpieniu — szalbierczy środek, który na chwilę łagodzi ból zębów, by go jeszcze więcej spotęgować.

Psychologia alkoholizmu jest niesłychanie ciekawa, trzeba się tylko przy badaniu jego objawów wyzbyc wszelkich moralnych pomiarów, wstrętów i uprzedzeń, bo wtedy się do niczego nie dojdzie, trzeba go badać nawet nie jako chorobę, bo alkoholizm nie

Narkotyki

Narkotyki, Praca

Alkohol, Smutek, Upadek

Alkohol, Choroba, Dusza,
Ucieczka

⁵⁶²Guaita, Stanislas de (1861–1897) — poeta i ezoteryk fr. pochodzenia wł., autor mistycznych poezji, m.in. *Rosa mystica* („Róża mistyczna”, zbiór 1885) i dzieł okultystycznych: *Le Temple de Satan* („Świątynia Szatana”, 1892), *La clef de la magie noire* („Klucz czarnej magii”, 1895); członek Towarzystwa Różokrzyżowców, wraz z Joséphinem Péladanem założyciel L'Ordre Kabbalistique de la Rose-Croix. [przypis edytorski]

⁵⁶³przenosić (daw.) — przerastać. [przypis edytorski]

jest chorobą, ale tylko jednym z najgroźniejszych przejawów choroby, jaką jest dotknięte astralne ciało — astrosoma — człowieka.

To dusza człowieka, która jest chora, a tysiącorakie są jej objawy, a najboleśniej-
sze właśnie to to chore pragnienie, by uciec przed tą chorobą. Alkoholizm to to biedne
złudzenie strusia, który kryje głowę w piasku, bo zdaje mu się, że go nikt nie widzi.
Alkoholik wygania diabła Belzebubem, pragnie zwalczyć chorobę własnym jej objawem,
więc wiecznie kręci się w tym zaczarowanym kole, z którego żadnego wyjścia nie ma,
jeżeli się raz w nie dostało.

Kiedyś robiłem kiepski dowcip na temat moich studiów medycznych. Jak wiadomo,
studiowałem medycynę przez sześć semestrów, tak sobie mimochodem poza czynnościami
w redakcji „Gazety Robotniczej”. Twierdziłem, że wyleczyłem owczarkę w naszej wsi
rodzinnej, która na raka cierpiała. I istotnie ją z raka wyleczyłem, ale umarła na białą go-
rączkę. Otóż mniej więcej takim skutecznym środkiem na psychicznego raka jest alkohol.
Ból się znieczula kosztem mózgowego odrętwienia.

Tak — tak, z tego błędnego koła wydostać się nie można.

Przyszło się z „chorą” duszą na świat, szuka się ukojenia, a to już obojętne, jakim
środkiem człowiek przed cierpieniem uciec pragnie.

Tylko amerykańska głupota szuka zbawienia w abolicji — chociażby tysiąc razy wy-
tępił całkowicie alkohol, znajdzie ludzkość jakiś inny środek narkotyczny, stokroć razy
niebezpieczniejszy od alkoholu, a może żadne społeczeństwo nie czuje takiego pragnie-
nia oszołomienia się, jak właśnie najpierwotniejsze społeczeństwo. Wszak wszystkie nasze
narkotyki mamy do zawdzięczenia tak zwanym „dzikim” ludom.

Jedno tylko wielkie pytanie, czy to, co „chorobą” nazywamy, jest istotnie chorobą.

Ten geniusz, który jeszcze długo będzie musiał czekać, *zaczem*⁵⁶⁴ w całej swej wi-
zjonerskiej potędze całkowicie doceniony zostanie, Edgar Poe, kładzie w usta bohatera
swojej noweli *Eleonora*:

Ludzie mówią, że jestem chory, ale pytanie, czy chorobliwość nie jest
właśnie najwyższą inteligencją, czy to, co jaśniej i głębiej przeraża, nie wy-
kwitło właśnie z chorobliwości myśli, z chorobliwej formy bytu, która potę-
guje się i wysubtelnia nadmiernie kosztem innych funkcji psychicznych. Ci,
co śnią w jasny dzień, zapoznają się z wieloma rzeczami nieznanymi tym, co
śnią tylko w nocy... bez steru i busoli docierają do owego rozległego oceanu
„niepojętej światłości” — jak w przygodach nubijskiego geografa *agressi sunt
mare tenebrarum, quid in eo essent exploraturi*⁵⁶⁵.

W swoich *Marginaliach* opowiada Poe, jak wyobrażał sobie nieraz los człowieka, któ-
ry duszą wyniósł się ponad wszystkich innych ludzi i który właśnie dlatego z nieubłaganą
koniecznością musi uchodzić za chorego. Człowiek taki jest obłąkanym dla nie rozumie-
jącego go tłumu i dlatego musi ginąć jako męczennik pod ciosami kamieni, którymi go
obrzucają.

Po wszystkie czasy rozgrywała się ta odwieczna tragedia, której bohaterem był „cho-
ry”, „obłąkany”, bo w duszy miał wizję przyszłych generacji i miał ewangelię przyszłości;
jedyne, który, jak Ola Hansson słusznie zauważył⁵⁶⁶, mógł pchnąć i istotnie pchał naprzód
całą ludzkość.

Jeżeli więc z jednej strony *folie et génie sont congénères in radice conveniunt*⁵⁶⁷, jak
twierdzi wnikliwy psycholog francuski Moreau (*Psychologie morbide*), to z drugiej — ge-
niusz i męczeństwo są nierozłączne, a „zdrowi” po wieczne czasy będą kamienować swoich
wielkich „chorych”.

I właśnie Edgar Poe, ten święty męczennik swego olbrzymiego talentu, miał się za-
poznać z tym piekielnym *l'assomoir*, u którego szukał ucieczki nie tyle przed nadmiarem

⁵⁶⁴*zaczem* (daw.) — zanim. [przypis edytorski]

⁵⁶⁵*agressi sunt mare tenebrarum, quid in eo essent exploraturi* (łac.) — Wdarli się w morze ciemności, które
tylko w ten sposób można zgłębić. [przypis edytorski]

⁵⁶⁶*Ola Hansson słusznie zauważył* — w eseju *Barbey d'Aureville*, drukowanym w „Życiu” krak. w r. 1899 od nr
5. [przypis edytorski]

⁵⁶⁷*folie et génie sont congénères in radice conveniunt* (fr.) — geniusz i obłąkanie są nierozłączne. [przypis edy-
torski]

Choroba, Szaleniec,
Alkohol, Cierpienie,
Pozycja społeczna

strasznych zrzędzeń losu, bo straszniejsze jeszcze przeżywa nieraz „normalny” człowiek i nie pozwoli się opanować przez tego piekielnego „wampira”, jakim jest *vin triste*, ale ucieczki przed samym sobą; przed jednym z najboleśniejszych stanów psychicznych, jakie przeżywają tylko ludzie nadmiernie wyczuleni, żyjący niejako na dwóch platformach: rzeczywistości i snu, a raczej zdeformowanej rzeczywistości, a jeszcze więcej monstualnego snu; a stanem tym to lęk przed życiem, trwoga przed śmiercią, a równocześnie pragnienie śmierci — stanem tym to niesłychanie skomplikowane uczucie, którego stałymi komponentami przeraźliwy, do obłądki doprowadzający lęk we wszystkich tonacjach, począwszy od lekkich fizjologicznych drżeń serca, aż do obłąkanego Horla; radzę przeczytać tę wspaniałą nowelę, którą Maupassant cały swój twórczy zrehabilitował.

Alkoholizm Edgara Poe to nie ten brutalny nałóg! — Swoją drogą nałóg ten zbyt tragiczny, by mógł być brutalnym w istocie samej: objawy jego mogą być mniej lub więcej brutalne albo całkiem zbrodnicze, to już zależy od ogólnego psychicznego założenia danego osobnika — im ordynarniejsza psychika, tym ordynarniejsze będą przejawy alkoholizmu, im delikatniejsza, tym delikatniej będzie się ten wpływ alkoholu manifestował (czasami tylko jako ciężka, bezbrzeżna melancholia, pokrewna tej lunatycznej tęsknocie trujących faz miesiąca), ale nigdy alkoholizm nie stanie się tak bezwzględnie brutalny, zbrodniczy i ordynarny, jak „trzeźwa” erotomania — najbrudniejsza bajora, w jakiej Szatan duszę ludzką kąpie. I alkoholizm Poe’go nie wydaje się być straszną i przebolesną predyspozycją dyspomania, który, obarczony przekleństwem ciążyącym na całym szeregu ubiegłych generacji, ma w ogóle do wyboru obłądki w jakiegokolwiek bądź formie lub też fikcyjny ratunek przed tym obłądkiem w alkoholu — nie był dla Edgara Poe nieprzewyciężonym, chorobliwym popędem, bo miewał on okresy w swym życiu, w których mógł się obywać bez tej piekielnej protezy — jego alkoholizm był czymś innym, a co bezustannie zanalizować pragnął.

Krótko przed śmiercią pisze Poe do swego przyjaciela:

Prawda, że czasem do szaleństwa odurzam się alkoholem, ale nie od czuwam w tym żadnej rozkoszy. Nie za rozkoszą gonię „w onych chwilach”, w których narażam na szwank i życie, i sławę, i rozum. Było to u mnie zawsze *próbą ucieczki* przed wspomnieniami chytryści, niesprawiedliwości i niegodziwości: chciałem uciec przed straszną samotnością i przed uczuciem trwogi, która ukazywała mi w duszy jakieś nieokreślone, bliskie nieszczęście.

Oto usprawiedliwienie, jeżeli go ktoś pragnie — ubożuchna dusza człowieka, który koniecznie i na gwałt takiego usprawiedliwienia potrzebuje (tego rodzaju tragedie nie potrzebują usprawiedliwienia), ale jeżeli chodzi o wyjaśnienie i przyczyny, to wyjaśnienie Edgara Poe jest zbyt skąpe, by mogło chociaż rąbek tej całej tajemnicy odsłonić; ale musiało być skąpe, bo mieści się w nim cały szereg bolesnych przeżyć, a ból jest niezmiernie wstydlivy — nie znosi obfitych wynurzeń historycznego pragnienia obnażania swej duszy do naga — tej ordynarnej, a równocześnie kłamliwej ekshibicji Russa lub George Sand.

W zakulisowym życiu tak zwanej bohemy — cyganerii artystycznej — alkohol odgrywa wielką, ale przeważnie bardzo tragiczną rolę.

A ponieważ rzadko jakiś człowiek poza tą nieszczęsną bohemą zna istotną naturę tego alkoholizmu, więc roi się od plugawych legend, jakie się osnuwa wokół życia tych biednych cyganów; opowiada się o niesłychanych, rozpasanych i wyuzdanych orgiach, jakie wrzekomo się w tych cygańskich cenakłach⁵⁶⁸ odbywają. — O tym wszystkim ja, którego całe życie prawie że za obrębem tak zwanego „porządnego” towarzystwa upłynęło, to znaczy towarzystwa ludzi, którzy mają pieniądze, pięknie urządzone domy, stałe dochody, uporządkowane społeczne stosunki, którzy kładąc się do łóżka, nie potrzebują o tym myśleć, czym jutrzejszy dzień opędzą, a budząc się rano, nie wyczekują z rozpaczą trwogą, co im listonosz przyniesie: trochę nędznego grosza honorarium czy też rozkaz sądowy eksmisji za niezapłacone komorne — otóż ja o tych orgiach nic a nic nie wiem, a jeżeli kiedykolwiek coś przeżyłem, co by na upartego orgię nazwać można, to co najwyżej jakąś sutą kolację, jaką fundował rzadki mecenas sztuki. Wtedy „la!” się szampan,

⁵⁶⁸ cenakle (z łac. *cenaculum*) — jadalnia; także: wieczernik. [przypis edytorski]

Alkohol, Dusza

Alkohol, Uciezka,
Cierpienie,
Niebezpieczeństwo, Strach

Pozycja społeczna

ale zwykle na czczy żołądek, więc wielkiej pociechy z niego nie było, bo wtedy *vin triste* staje się trucizną, ani też zbytnie wesele w duszy rodzić się mogło, bo wszystko zatruwała myśl, że jedną flaszką tego szampana można by całe komorne opłacić.

Jacy oni śmieszni — ci mecenasi — wdzierają się gwałtem w towarzystwo artystów, z którymi ich nic nie łączy, wyrzucą jednej nocy sporo pieniędzy, by się pochwalić znajomością, a może nawet bruderszaftem z jakimś artystą, a potem utyskują, że artyści ich naciągnęli.

Gdyby taki mecenas miał odrobinę delikatności w swej duszy, to dałby spokój temu wszystkiemu, co potem daje pochop do legend o tych niesłychanych orgiach, a co w duszy artysty tylko niesmak i gorycz wywołuje.

W powojennych czasach podobno się stosunek do artysty mocno zmienił — podobno artysta daje sobie doskonale radę z tymi „mecenasami”, zdołał im wytłumaczyć, że wyrządza im wielki honor i szacunek, jeżeli raczy w ich towarzystwie przebywać, ale za moich czasów bywało inaczej! — Taki artysta, przeważnie nędzarz, patrzył na mecenasa z fatalnego punktu widzenia: pożycz mi coś czy też nie? ale, zaczem się odważył coś o pożyczce napomknąć, już go dawno odwaga cywilna opuściła, a ta dawka alkoholu, za pomocą której chciał ją w sobie wywołać, raczej go paraliżowała, miast mu dodać odwagi, coraz więcej go onieśmiała, tak że skończyło się wreszcie na jakimś niewyraźnym bełkocie. Ale nawet na ten bełkot nie byłby się zdobył, gdyby nie był uprzednio znalazł trochę odwagi w kilku kieliszkach.

Dusza artysty jest przeważnie niezmiernie wrażliwa, zwykle aż nadto przeczulona i wstydliva. Rzadko znajdziesz artystę, który się łokciami posługuje, który zawsze miejsce dla siebie znajdzie i zawsze jakoś koniec z końcem jest zdolen związać. I tych szczęśników należy szukać między artystami o przeciętnej wartości. Wśród istotnie wielkich może by się znalazł jeden tylko Wagner, który coraz kosztowniejsze kamizelki sobie skupywał, im więcej mu bieda doskwierała — jako wirtuoz życiowy dorównywał kroku wielkiemu artyście w sobie. Zwykle artysta wyniszcza w straszliwej, istotnie straszliwej i ohydnej męczarni trzy czwarte swoich sił na sprawy życiowe. Gdyby to społeczeństwo zdołało zrozumieć tę piekielną mękę, w jakiej artysta żyje, gdyby było w stanie zrozumieć to ohydne upokorzenie, na jakie artysta jest bezustannie narażony, ten obrzydliwy wstyd, jakiego się przez całe życie nalyka — ten wstyd, że najchętniej by duszę z siebie wypluł, natenczas miałyby pomniki, jakie artystom po śmierci stawia, jakiś sens: pomniki stałyby się tragicznymi krzyżami męczeństwa.

Gdy sobie uprzytomnię tę całą ohydę życiową, jaką od samego początku mojej „karier” artystycznej przeżywać musiałem, nie jestem w stanie zrozumieć tej energii, z jaką się jednakowoż z życiem uporałem, tylko nie pytajcie, jak. Z najgłębszą wdzięcznością myślę o prezesie Dyrekcji Kolei w Gdańsku panu Czarnowskiemu, który mnie w tej dyrekcji przytulil: te cztery lata, które jako urzędnik Dyrekcji Kolei przeżyłem, to jedyne, w których nie potrzebowałem życia przeklinać, bo wreszcie nie potrzebowałem się w nocy pocić z lęku, co jutrzejszy dzień przyniesie.

I nad tym niesłychanym wysiłkiem życiowej energii zastanawiał się Adolf Dygasiński⁵⁶⁹, którego mam w bardzo serdecznej i najgłębszego poważania pełnej pamięci — głęboko się zastanawiał tak już nad ranem, kiedyśmy na dowód bardzo czulej przyjaźni czapki pozamieniali.

— Ty jesteś jak ten odyniec — mówił — którego sfera psów opadła. Rady im dać nie możesz, więc uciekasz, ale po drodze wciąż się bronisz; tu jednego już kłem odwalifeś, że ruszyć się nie może, tamtemu brzuch rozprułeś — i znowu lecisz, i znowu po drodze jednego po drugim odwalasz — ale jak długo zdzierzysz?

Oj, drogim, niezmiernie drogim towarzyszem był mi Dygasiński, niestety, już krótko przed śmiercią, i kochanym był mi towarzyszem Artur Gruszecki⁵⁷⁰, któremu to „Stachu”

Artysta, Pieniądz

Artysta, Pieniądz

Artysta, Pieniądz

Moda, Artysta

⁵⁶⁹ *Dygasiński, Adolf* (1839–1902) — powieściopisarz, jeden z głównych przedstawicieli naturalizmu w literaturze polskiej (*Na warszawskim bruku, Zając, Beldonek, Gody życia*), a także publicysta, pedagog i encyklopedysta; w l. 1890–1891 jako wysłannik „Kuriera Warszawskiego” przebywał w Brazylii, skąd wysyłał korespondencję dotyczącą losów polskiej emigracji „za chlebem” (druk książkowy *Listy z Brazylii* 1891). [przypis edytorski]

⁵⁷⁰ *Gruszecki, Artur* (1853–1929) — prozaik, publicysta i księgarz; w l. 1883–1887 wydawca warszawskiego „Wędrowca”, związanego z naturalizmem polskim; autor licznych powieści obyczajowych. [przypis edytorski]

— „Stachu” nie chciało przejść przez gardło, bo był wściekły, że wszyscy naokół mówili mi „Stachu” — a jednak tak mnie kochał, że nie winił mnie o to, że stałem się — modą!

Życie moje obfitowało w groteskowe, potworne wprost paradoksy, aprosdoketa, jakich by nawet Nowaczyński nie był w stanie wymyślić, ale abym ja — który był bezustannie ze społeczeństwem na udry, który mu we wszystkim przeczył i ustawicznie sztorcem stawał — ja, który wszystko robiłem, by społeczeństwo do siebie zniechęcić, mimo że, wierny wersalskiej tradycji, tegom rozmyślnie nie robił — abym ja, który temu społeczeństwu odważył się rzucać obelgi w twarz — oczywiście tylko mimochodem — mógł się stać modą, to już rzadko który artysta taką niespodziankę przeżywał.

Jeżeli bym ja sobie z życia kpił, co nie zawsze mi się udawało, a kpiny te przeważnie grubo okupywać musiałem, to w tym wypadku życie sobie ze mnie zakpiło i to w tak złośliwy sposób, że mógłbym słusznie ze wstydu w ziemię się zakopać.

To już szczyt złośliwego odwetu, wobec którego niczym ta kpina, że musiał okupić życie moim powołaniem jako artysta.

Bogate było moje życie w najnieprawdopodobniejsze przeżycia, ale szczytem wszystkiego to to, że nagle stałem się w Krakowie modą.

Mam przed sobą ostatni zeszyt „Świata”⁵⁷¹ i rozpamiętuję treść artykułiku, nie wiem przez kogo pisanego, ale godzącego w samo sedno rzeczy.

Ale co mogło być przyczyną, że nabrałem tego rozgłosu nawet wśród tych, którzy mnie całkiem nie czytali albo mój twórczy znał tylko w dorywczych wyjątkach? Dlaczego stałem się tak głośny i osławiony? Dlaczego jedni nie mieli dość słów potępienia, a drudzy odnosili się do mnie z ślepym, a dla mnie niesłychanie przykrym uwielbieniem?

To pewno jakaś niesamowitość w mojej naturze, której zupełnie jestem świadom.

Już całkiem rychło jałem się interesować — i to z dziwnie gorączkową ciekawością, tymi niesłychanie ciekawymi osobnikami, którzy raz po raz w XVI, XVII, a przeważnie na schyłku XVIII stulecia, całą Europę niepokoiili, w zdumienie wprawiali, przez książąt i królów z największą pompą byli podejmowani, aby potem z szczytu chwały zvalić się w bezden najsmrotniejszej udręki i nędzy. Pełno w onych czasach na dworach książąt i królów tych tajemniczych magów, alchemików, astrologów, którzy po krótkich triumfach żywot swój w turmach więziennych kończyli, a mało tych, którzy zdołali haniebną ucieczką salwować swoje życie, aby znowu pod obcym nazwiskiem gdzieś w innym kraju cieszyć się — znowu na krótki czas — najwyższą łaską monarchów. Bo zwykle nigdzie miejsca zagrzać nie mogli. Zaledwie zdążyli rozgościć się w bogatych, dla nich przeznaczonych komnatach, które w rzeczy samej były złotym więzieniem, pilnie strzeżonym przez chytrze skomplikowany system szpiegowskiej straży, a już musieli wszystkie swe siły wyczerpać w jednym tylko kierunku: w jaki sposób wydostać się z tej złotej klatki.

Niezawodnie było wśród całej tej rzeszy, chępiącej się posiadaniem hermetycznej wiedzy, mnóstwo szarlatanów, oszukańczych awanturników, ale raz po raz napotyka się na jakieś nazwisko, jeżeli nie istotnie „wiedzącego”, „wtajemniczonego”, jakiegoś monarchę *omnium arcanorum* — takim przydomkiem ochrzczili adepci jedyne Paracelsa — to na nazwiska pomniejszych „monarchów”, którzy nie opanowali wszystkich arkanów, ale w każdym razie otrzymali w spuściznie po wielkich mistrzach jakąś część tej tajemniczej wiedzy, jaką ci „wtajemniczeni” wybrańcy rozporządzali, a nigdy z niej korzystać nie chcieli ani nie mogli, bo straszna klątwa i niechybna śmierć ich oczekiwała, gdyby się odważyli sprofanować chociażby cząsteczkę wielkiej tajemnicy.

Coś w mej naturze musiało być spokrewnionego z tymi wagantami, którzy błąkali się od miasta do miasta, od jednego dworu do drugiego i wszędzie budzili ogromne zaciekawienie, i wpływ wielki wywierali, i ludzkość w najwyższym stopniu niepokoiili; bo właśnie ci *minorum gentium*⁵⁷² w dziedzinie hermetycznej wiedzy, którzy wprawdzie żyli tylko okruciami istotnej „wiedzy” i nie osiągnęli nigdy ostatecznego stopnia wtajemniczenia, niemniej mogli być, i byli niezawodnie, gorącymi i szczerymi poszukiwaczami prawdy, rozporządzali istotnie wielkim zasobem wiedzy; ale daleko im było do tego, by z skały żywe źródło wody wykrzesać albo dokonać jakiegokolwiek transmutacji metalów.

⁵⁷¹„Świat” — dwutygodnik literacko-artystyczny, ukazujący się w Krakowie w l. 1888–1895 pod red. Zygmunta Sarneckiego. [przypis edytorski]

⁵⁷²*minorum gentium* (lac.) — niższego rodzaju, mniejszego znaczenia. [przypis edytorski]

I na nich właśnie mściła się nawet ta mała zdrada, jaką spełniali, gdy, oślepieni, tę trochę wiedzy, którą posiadli, zapragnęli w jakiś sposób wyzyskać. Klątwa, która iście wtajemniczonym groziła potępieniem i sromotną śmiercią (Paracelsa zamordowano w tajemniczy sposób w jakiejś knajpie pod Salzburgiem) spadała na nich w formie doczesnej udręki w podziemnych kazamatach, sromotą ciężkich katuszy na torturach, a często pogardą i hańbą wypalanych na ich ciele znamion.

Ta klątwa robiła z nich głośnych awanturników, szalbierzy i mateczników, którzy, jak dzisiejsze media, gdy siły ich się wyczerpują, nie wahali się posługiwać sztuczkami jarmarcznych kuglarzy.

Kiedyś zamierzałem napisać monografię jednego z najciekawszych oszukanych oszukańców — Johna Dec — który jakiś czas przebywał na dworze Stefana Batorego, a po zdumiewających awanturniczych perypetiach dostał się na dwór cesarza Rudolfa w Pradze. Tam został, po krótkim czasie iście królewskiej gościny, uwięziony w jednej z tych wież, z których tylko cudem wydobyć się można. A miał ci on robić złoto, ale to było ponad jego siły. Wydobył go z tej wieży jakiś potężny, istotnie „wiedzący” — połamanie nóg przy tej nieprawdopodobnej ucieczce było dobrodziejstwem wobec odzyskanej wolności. Zamiaru mego, by tego ukochanego Johna Dec przedstawić, jakim był (z pewnością jakiś mój „pociotek”) — wykonać nie mogłem, bo źródła bardzo rzadkie, a te, które istnieją całkiem niedostępne; to jedno tylko wiem, że był to szczery i namiętny poszukiwacz Prawdy — opętał go tylko Szatan Pychy, nieokielznane pragnienie, by dokonać tego, co mu się zdawało, że dokonać może, a dokonać nie mógł.

I to może straszniejsza tragedia jak⁵⁷³ ta, którą się wśród najwyszukańszych tortur przeżywa, stokroć razy gorsza klątwa dla niewiedzących, a którzy się chępią, że wiedzę posiadli, aniżeli była klątwa dla wiedzących, grożąca niechybną śmiercią — ta bolesna tragedia oszukanych przez swoją wiedzę, swoje pragnienia i tęsknoty, tragedia ludzi, którzy z bezwzględną wiarą zdobywają sobie to przeświadczenie, iż te majaki szatańskie są absolutną pewnością.

Tę tragedię przeżywali bez wątpienia ci wszyscy, którzy uważali się za „adeptów”, a nimi nie byli, przeżywali ją ci wszyscy, którzy, ufni w „wewnętrzne” przeświadczenie swego posłannictwa, nowe sekty tworzyli.

Zważcie tylko, jaką pętlicę nałożyłem sobie na szyję moim słynnym *Confiteor*⁵⁷⁴, które może daleko większego hałasu narobiło aniżeli swego czasu odprawa, jaką dał Mickiewicz swoim krytykom warszawskim⁵⁷⁵.

Zwalilem na siebie ciężar, którego dźwignąć nie mogłem, bo to moje *Confiteor* było tylko „moim” i tylko „moim” być mogło; — rozgłoszone jako wyznanie całej Młodej Polski, było absurdem, bo nigdy nie byłem więcej osamotnionym, jak z tym moim wyznaniem.

Powstał niesłychany zamęt, gdy zrobiono mnie rzecznikiem i apostołem jakichś nowych prądów i zamierzeń w literaturze, a tym samym coraz więcej mnie osamotniano, bo przecież żaden z tych wielkich talentów, w które *fin de siècle* w Polsce obfitowało, nie miał nic wspólnego z moim *Confiteor* ani też nie chciałby się do niego przyznać — przeciwnie, każdy z nich stronił od „Życia”, by się nie solidaryzować z hasłem, jakie w własnym imieniu rzuciłem.

Ale na gwałt zrobiono mnie prowodyrem Młodej Polski, której nigdy nie było, bo każdy z tych wielkich w młodym pokoleniu był sam dla siebie światem: Miriam i Kasproicz, i Lange, i Żeromski, i Reymont, i Tetmajer, a i tych nic z sobą nie łączyło, a cóż dopiero ze mną, który najniepotrzebniej w świecie mocą swej awanturniczej odwagi, a raczej lekceważenia tak zwanej współczesnej opinii, stałem się Janem Chrzcicielem i torowałem drogi dla tych wszystkich prądów, które już dawno w społeczeństwie nurtowały, ale nie miały dość siły, by móc się w starciu z starymi kanonami ostać, zniszczyć stare tablice i płomiennymi, zwycięskimi głoskami na nowych się wpisać.

⁵⁷³jak — dziś popr.: niż; to może straszniejsza tragedia niż ta, którą (...). [przypis edytorski]

⁵⁷⁴moim słynnym „*Confiteor*” (wyznanje) — w nr 1 „*Życia*” z 10. I. 1899 r. (odtąd „*Życie*” wychodzi jako dwutygodnik). [przypis edytorski]

⁵⁷⁵odprawa, jaką dał Mickiewicz swoim krytykom warszawskim — we wstępie petersburskiego wydania *Poezji* (1829), t. I, s. V–XXXII, pt.: *O krytykach i recenzentach warszawskich*. [przypis edytorski]

Ile razy wspominam pierwsze lata mego pobytu w Polsce, tym większe zdumienie mnie ogarnia. Przyjęcie, jakiego w Krakowie doznałem, przechodziło wszystko, com nawet w najśmielszych snach nie był w stanie wymarzyć — a właściwie nie myślałem w ogóle o żadnym przyjęciu. Gnany przemożną tęsknotą jechałem do Polski, ale przez głowę mi nie przechodziło, żebym ja miał kiedykolwiek jakąś rolę w Polsce odegrać. Byłem na to przysposobiony, że pies, kot o mnie się nie zatroszczy, że będzie tak, jak było w Berlinie: małe kółko artystów, żyjące całkiem poza obrębem społeczeństwa, które się całkiem nie troszczyło o tych *certain*s, tych *poètes maudits*, tych darmozjadów, o tę garść obłąkańców, majaczących o Sztuce dla Sztuki i tym podobnych bredniach, dla których śmierć głodowa była jeszcze najniewinniejszym ekwiwalentem za ich urojenia, uroszczenia, bezsensowe⁵⁷⁶ fanatyzmy, i za wszystkie te wywrotowe zakusy, by raz na zawsze ustalone i uświęcone kanony obalić. A tu nagle dowiedziałem się, że może w żadnym kraju artysta nie żyje tak w obrębie społeczeństwa, jak właśnie w Polsce; że to społeczeństwo rości sobie i ma istotnie prawa do artysty, by ten spełniał naczelną rolę w społecznym życiu, i to w tym sensie, by sztuka jego przyniosła społeczeństwu jak największe korzyści, uświęcała partyjne cele — uświęcała pojęcia dobrego i złego; i to właśnie pojęcia, jakimi społeczeństwo się kieruje, choćby były całkiem fałszywe — pojęcia szkodliwego i pożytecznego, mniejsza o to, że te pojęcia już za kilka lat doszczętnie zmienić się mogą. Bo przecież ta cała etyka społeczeństwa to ordynarny pragmatyzm amerykański, dla którego jedyną prawdą jest korzystny *business*, fałszem zaś wszystko, co na razie przynajmniej — mózg ludzki jest głupi i krótkowzroczny — szkodę przynosi.

Artysta, Pozycja społeczna,
Polska, Przywódca, Interes

Prawdą w znaczeniu społecznym jest korzyść i pożytek; etyka, jaką społeczeństwo żyje, to właśnie etyka pożytku; a etyka ta jest przeważnie fałszem, obłudą i kłamliwym frazesem; a z tą etyką, która człowiekowi tu na ziemi zapewnia spokój i szczęście, a wygodną ubikację⁵⁷⁷ w pozaświatowym bycie w niebie, stoi, niestety, istotna Sztuka w bezustannym i jak najwięcej wrogim przeciwieństwie.

Prawda, Korzyść, Interes,
Fałsz, Sztuka

Przeciwieństwo to, mało co widoczne w wielkopaństwowych społeczeństwach, które najspokojniej w świecie wyrzucało fanatyków prawdy poza nawias, a do wiary, jaką artysta wyznawał, odnosiło się z życzliwym uśmiechem lub też obojętnym, co najwyżej pogardliwym wrzuceniem ramion — ale przeciwieństwo to wyjaskrawia się i nabiera wielkiego znaczenia w małych społeczeństwach, a głównie takich bez politycznego samodzielnego bytu, w których artysta z natury rzeczy jest zmuszony być i nauczycielem, i ministrem oświaty, i prorokiem, i wodzem, ale z bardzo ograniczoną poręką, bo ma być tylko echem dążeń i pragnień społeczeństwa, rzecznikiem większości na niekorzyść tej mniejszości, która tak czy owak stanowi w każdym społeczeństwie małą garść ludzi wybranych — ludzi, którzy częstokroć mało mają do czynienia z wybrańcami społeczeństwa. Klasycznym przykładem w życiu społeczeństwa polskiego tego przeciwieństwa był bez wątpienia Słowacki — był on wybrańcem tej garści ludzi wybranych, a jakim cudem się stało, że i ta zwarta masa po śmierci jego za wybrańca go uznała, tego nikt nie zrozumie. Przecież nie ma się co ludzi: twórca *Króla Ducha* dziś w tych haniebnych powojennych czasach, czasach futbolu, radia i Forda, mniej jeszcze zrozumiały aniżeli za swego życia. A więc? Hm — może i w tworze Słowackiego dopatrzono się jakiejś korzyści i pożytku. Długo się zastanawiałem nad tym „cudem”, boć przecież nie ten Słowacki, nadludzko śmiały rewolucjonista, w mocy takiej odwagi, na jaką było stać chyba tylko wielkich proroków w *Starym Testamencie*, wkraczał w zwycięskim triumfie do Polski — och, nie! Słowacki zdaje się firmą tylko, pod którą coś innego do kraju przemycano!

Artysta, Poeta, Pozycja
społeczna, Przywódca,
Obowiązek, Korzyść

Ale już wprost niezrozumiałe jest dla mnie przyjęcie, jakiego doznałem w Krakowie. Jeden tylko Kazimierz Ehrenberg⁵⁷⁸ nie pozwolił sobie oczu zamydlić i nie przestawał mi gorąco dopiekać podczas całego mego pobytu w Krakowie.

⁵⁷⁶*bezsensowny* — dziś popr.: *bezsensowny*. [przypis edytorski]

⁵⁷⁷*ubikacja* (z łac., daw.) — pomieszczenie. [przypis edytorski]

⁵⁷⁸*Ehrenberg, Kazimierz* (1870–1932) — dziennikarz konserwatywny, krytyk teatralny i tłumacz sztuk teatralnych, syn Gustawa Ehrenberga (1818–1895, naturalnego syna cara Aleksandra I, działacza tajnego Stowarzyszenia Ludu Polskiego, poety, autora hymnu ruchu ludowego *Gdy naród do boju wystąpił z orężem*, zesłańca); od 1896 r. współpracownik konserwatywnego „Czasu” i „Głosu Narodu”, od 1902 r. sekretarz i recenzent teatralny warszawskiego „Wieku”, od 1905 r. publicysta polityczny „Kuriera Porannego”, w okresie międzywojennym związany z „Gazetą Polską”. [przypis edytorski]

Tylko on się mylił, gdy mnie nazywał „chytrym Wielkopolaninem”, posądzając mnie o przebiegłą komedię, imputował mi genialność rewizora z Petersburga, aż w końcu dał mi spokój, bo się przekonał, że to przyjęcie w Krakowie było dla mnie większą jeszcze niespodzianką aniżeli dla niego.

Mógł mieć wprawdzie żal do mnie, bo pierwsza jego inwektywa, dość niesmaczna, pozbyła go współpracownictwa dwóch najlepszych jego pracowników, Oszackiego i Konrada Rakowskiego⁵⁷⁹; żal ten przerodził się z wolna w tę dziwną zaciekłość, która z uznaniem graniczy — cieszył się nawet, gdy na mnie we Lwowie paru opryszków napadło i mi kilkanaście guldenów zrabowano, bo wreszcie wyszło na wierzch, że „teoria o nagiej duszy jest bardzo niebezpieczna, bo zdarza się, że nagie dusze odczuwają nagi głód za pieniędzmi nagich dusz!”. Ale bądź co bądź był mi Ehrenberg szczerym i otwartym wrogiem aż do czasu, kiedy się przekonał, że ten „chytry Wielkopolanin” wyszedł na swej chytrności już nie jak Zabłocki na mydle, ale jak biedny chochoł jakiś, który nieproszone przyszedł na wesele i przy tej sposobności tak oberwał, że już mu tchu nie stało. Bo szpillkowano go delikatnymi szydełkami, szturchano kijkami, gdy zaszła cięższa potrzeba, walono w niego cepami, a czasem wsadzano na różeń i przypiekano go na wolnym ogniu, gdyby⁵⁸⁰ jakiegos świętego Wawrzyńca.

A przecież Ehrenberg to nie byle kto — nawet Nowaczyński przyznał mi się raz w przystępie niezwykłej szczeroci: „Ja bym sobie z nimi wszystkimi — (szeroki gest kolisty) — dał radę, ale z tą bestią to wściekle trudno”.

I jak się to stało, żem nagle, nie wiedząc całkiem o tym, stał się w Krakowie rewizorem z Petersburga?

Jest jedyny człowiek w Polsce, który by mi tę zagadkę rozwiązał, zagadkę nie smutku tego wszystkiego (*tristesse de tout cela*), ale zagadkę bajecznego humoru tego wszystkiego, godnego pióra jakiegos Gogola o bardzo wysokiej kulturze, posługującego się na granitowym kole wyostrzonym skalpelem, z jakim się tylko wysoce dyskretny artysta, obdarzony darem śmiertcionośnej, bo delikatnej, sceptycznej, a zarazem bolesciwie kochającej ironii obchodzić umie: Boy-Żeleński.

On jedyny, którego najpóźniej w Krakowie poznałem — chociaż czułem, że przez jakieś dwa miesiące z boku mi się dyskretnie przypatruje, a gdy w końcu przyszedł do wniosku, że wśród ludzi, którzy go interesują, to znaczy wśród tych, którzy są w stanie niespodzianki robić, najprzedniejsze miejsce mnie przynależy, wtedy dopiero począł się do mnie zbliżać. Ale i on się pomylił — gorzej od Ehrenberga — nie ja jemu, ale on mnie wyrządził niesłychaną niespodziankę. Żeleński, który kończył medycynę, stworzył instytucję „kropli mleka”, a Żeleński, który się nagle przeobraża w wytwornego artystę — *humor*, z jakim przyswoił polskiej literaturze arcydzieła francuskich pisarzy, wkraça w dziedzinę najczystszej sztuki — to była dla mnie zdumiewająca niespodzianka. Nie myślałem, żeby człowiek, który umiał się całymi nocami zgrywać w karty w niekoniecznie dobrym towarzystwie i w niekoniecznie czystych lokalach, mógł się nagle stać prawdziwym olbrzymem pracy; i to pracy rzeczywiście twórczej, bo to, co Boy zdziałał, nie tylko graniczy z twórczością, ale nią jest w całym tego słowa znaczeniu, choćby już tym niesłychanym opanowaniem języka polskiego w jego najtajniejszej i zdawałoby się całkiem nieprzystępnej piękności! — Rzadko który twórca wniknął tak głęboko w arkana języka polskiego jak właśnie Boy, a co jest istotnie zdumiewające: żadnym sposobem nie można sobie uświadomić tego ogromu pracy, jaki tego rodzaju opanowanie języka Boya kosztować musiało; — niesłychana swoboda, z jaką tym językiem włada, każe zapominać o gigantycznym trudzie, z jakim Boy tę swobodę sobie zdobył! — To arcyzm wielkiego, twórczego jakiegos Liszta lub Paderewskiego: technika przestała istnieć, jest czymś, co samo przez się się rozumie.

A jak niezmiernie trudnym kunsztem jest tak zwane tłumaczenie, które wtedy tylko ma sens, o ile staje się odtwórczością, tego dowodem minimalna ilość istotnie od-

⁵⁷⁹ pierwsza jego inwektywa pozbyła go współpracownictwa [Juliana] Oszackiego i [Konrada] Rakowskiego — mowa o artyk. K. Ehrenberga pt. „Uwagi”, którego druk rozpoczęto w 248 nr „Głosu Narodu”. Oszacki i Rakowski (1876–1916) zamieścili w nr 42 „Życia” z 5. 11. 1898 r. oświadczenie (powtórzone we wszystkich pismach codziennych), że występują z redakcji „Głosu Narodu” oburzeni „Uwagami” Ehrenberga. (Rakowski pisywał potem do „Życia” krytyki teatralne, od r. 1900 współpracował stale z „Czasem”). [przypis edytorski]

⁵⁸⁰ gdyby — tu: jak gdyby; jakby, niby, jak. [przypis edytorski]

twórczych tłumaczeń w języku polskim, których szczyty stanowią w poezji tłumaczenia Miriama, Kasprowicza, Langego, Porębowicza, a w prozie jedynie tylko niezrównanego Felicjana (Faleńskiego).

Ale wracając do *nos moutons* zdaje mi się, że Żeleński nie stanie się dziejopisarzem tak zwanej „Młodej Polski”. Raz jeszcze powtarzam: nikt inny prócz niego nie byłby więcej do tego powołany⁵⁸¹, a najmniej ja sam, a to dlatego, że nie byłem ani nie umiałem być tak zwanym obserwatorem — niepojęte czasami, do jakiego stopnia ludzi nie widzę, a jeżeli mi się zdaje, że ich widzę, to nie ludzie obiektywni, ale wytwory mojej własnej fantazji — ludzie, od jakich się w moim mózgu roi, to nie ludzie „tacy, jacy są”, ale tacy, jakich bym chciał ich mieć, skrojeni na moją własną modłę, a częstokroć chwytałem zdumione spojrzenia w moją stronę, czym przypadkowo nie zachorował na ostre delirium, gdy się silił obcą duszę analizować. Tworzyłem sobie ludzi na własne lub wyimaginowane podobieństwo, więc nietrudno było mi ich kochać, ba! nawet się nimi zachwycać, a gdy w grę wchodził jeszcze jakiś poetyczny sentyment, jakieś tajemnicze „fis” — zasadniczy ton mej duszy, o czym dłużej pomówię — wpadałem wprost w ekstazę, w której memu listonoszowi darowałem łóżko, stróżowi mieszkania — całą pościel, z kelnerem robiłem sobie bruderszaft, bandę Cyganów, która mi nocami na cymbałach grała, opłaciłem doszczętnym bankructwem, to znaczy wyprzedaniem za bezcen wszystkich mebli.

A na to wszystko patrzył Boy z głębokim zrozumieniem, niemal z dobrotliwym uko-
chaniem — raz tylko ośmielił mi się powiedzieć, że na taki olbrzymi luksus, to znaczy absolutny brak dystansu do życia i ludzi, może sobie tylko wielki magnat pozwolić, ale z głębszym jeszcze przeświadczeniem zaraz dorzucił: „Ale to na nic by się nie zdało: nie ma tej fortuny w całej Polsce, której byś nie był w stanie w jednym dniu rozrzucić”. — Boy dobrze wiedział, że poruszył tu strony najcięższej tragedii mego życia: być stworzonym na magnata, a przyjść na świat nędzarzem, chociażby się Bóg wie jakim majątkiem rozporządzało.

Otóż nie jestem w stanie być dziejopisarzem Młodej Polski raz dlatego, że nie miałem ani nie mam żadnego dystansu do życia i ludzi i całkiem ich inaczej widzę, aniżeli są w istocie, a poza tym wszystko jeszcze za bliskie, a dla mej pamięci, która jest znowu inną tragedią mego życia swą fenomenalną siłą — zbyt żyjące i to do tego stopnia, że zdaje mi się, iż wszelkie przeżycie, im więcej się w czasie oddała — zyskuje na sile — oczywiście, ale się wypacza i dysformuje, bo staje się nieraz *cent fois grandeur naturelle*. Często przychwytyuję się na tej dążności, by drobne rzeczy wyolbrzymiać lub nadać im tę wartość, jakiej w istocie całkiem nie miały. „Wspomnienia” artystów trzeba w ogóle brać z wielką ostrożnością do ręki — Goethe był na tyle szczery, że nazwał swoje pamiętniki: *Dichtung und Wahrheit*⁵⁸² — sam nie wiedział, gdzie się prawda rozpoczyna, a gdzie się kończy twórcza koncepcja i na odwrót. Zresztą dla artysty nie istnieje życie w prostym słowa znaczeniu, boć on to życie twórczo przeżywa, a nawet najbiedniejsze życie przetwarza na utwór sztuki.

I znowu to tokowanie wokół jednej zagadki: co spowodowało to niezwykle przyjęcie, jakiegom od razu w Krakowie doznał?

Czyżby tylko sugestia orzeczenia Strindberga, jako że jestem *genialer Pole*? Zrobiłoby to parę felietonów Szukiewicza czy też pani Daszyńskiej, którą poznałem w Berlinie jako docentkę ekonomii społecznej przy *Humboldt-Akademie*? To chyba nie! Bo ani Szukiewicz, ani pani Daszyńska nie mieli tego autorytetu w Polsce, by móc wmówić w całe społeczeństwo jakąś urojoną wielkość; a ponieważ o wielkości w ogóle mowy być nie mogło ani nie było, więc pozostaje tylko ciekawość, z jaką społeczeństwo od pierwszej chwili do mnie się odnosiło. I ta ciekawość była dla mnie zabójcza, bo aby ją zaspokoić, trzeba było niesłychane rzeczy wymyślać, które bądź to podziw, bądź przestrasz, w każdym razie jakąś niesamowitość budziły.

I anim się spostrzegł, jak stały się moje żarty i kpinki najoczywistszą prawdą: byłem tym, który zajał się ludzką wątrobą, bo nie umiał jej rozróżnić od cielejącej — wypijał

⁵⁸¹ *zdaje mi się, że Żeleński nie stanie się dziejopisarzem tzw. Młodej Polski (...) nikt inny nie byłby do tego więcej powołany* — Tadeusz Boy-Żeleński odpowiada na to wezwanie w *Znaszli ten kraj* (1932) i *Ludzie żywi* (1929). [przypis edytorski]

⁵⁸² *Dichtung und Wahrheit* — „Prawda i zmyślenie”, tytuł autobiograficznej powieści Goethego. [przypis edytorski]

spirytus z sioi, w których preparaty ludzkie przechowywano, wieszalem koty, by zba-
dać, ile czasu kot na zdechnięcie potrzebuje; a potem rozpoczęły się już wyścigi między
mną a tym bezimiennym, którego nic utwór artysty nie obchodzi, li tylko jego życie
prywatne i w tym jednym wypadku okazuje się twórczy. Najbujniejsza fantazja artysty
nie jest w stanie sprostać legendotwórczej wyobraźni tego bezimiennego — to byłoby
jeszcze najmniejsze — ważne jest tylko to, że żadna prawda nie posiada tej bezwzględnej
wartości, jaką chęć się może legenda, nawet wtedy, gdy aż nazbyt widoczne są zna-
miona złośliwej tendencji, chęci ośmieszenia, a nawet plugawej obmowy — i zanim się
spozstrzegł — stałem się satanistą, który pragnął sataniczne praktyki na grunt krakow-
ski przeschpeczyć, stałem się uwodzicielem młodzieży, Antychrystem, który tę niewinną
młodzież gwałtownie deprawował, a nikt nie wiedział, jak byłem zdumiony deprawacją
tej młodzieży, jaką poonczas w Krakowie zastałem.

Jeśli chodzi o pornografię, to takiego jej bujnego rozrostu nigdzie poza granicą nie
spotykałem — ta odwaga, na którą się co tydzień polskie pisma, tak zwane „humory-
styczne” zdobywały, kosztowałyby nawet w tej wyuzdanej, osławionej Francji co najmniej
parę miesięcy więzienia, a tymczasem Konstanty Krumulowski szczył się tym, że obwo-
lano go najprzedniejszym pornografem polskim, a wątpię, czy jakieś pismo polskie może
się szczyć taką poczytnością, jak „Bocian”⁵⁸³.

Zaczem się jednak w tym wszystkim spozstrzegłem, natrafiałem na objawy takiego
przecenienia mego talentu, że m się go wstydzic poczynał i o ile możliwości unikał wszelkich
sposobności, w których by ten mój „wielki talent” pod niebiosa był wystawiany; a był
czas, w którym o niczym innym nie było w Polsce mowy prócz o mnie i tym przeraźliwie
ciężkim plecaku, jakim mnie wbrew mej woli obciążono — o bolesnym spadkobierstwie
po Szczepańskim i Arturze Górskim, słynnym tygodniku „Życie”.

Spółeczeństwo było jak zahipnotyzowane — nie było dnia, w którym by się nie ukazał
jakiś przychylny lub też srogą obfitością inwektyw ciężarny artykuł o mojej twórczości,
a śmiało twierdzić mogę, że nie było w Polsce artysty, o którym by się tak szeroko i z takim
uporczywym maniactwem rozpisywano, jak o mnie i o moim tworze. Historyk literatury,
który będzie kiedyś „rzeczowo i naukowo” badał one czasy, będzie zdumiony, jeżeli mu
cały materiał urośnie do potwornych rozmiarów odrębnej i bogatej biblioteki.

To osławienie mego nazwiska nie tylko mnie niepokoić jęło, luminarze społeczeństwa
wdali się w tę sprawę pouczającą przestroga, wyświetlaniem istotnej prawdy, objawami
ciężkiego zgorzenia lub też wzburzonym *Quo usque tandem, Catilina...*⁵⁸⁴ Wincenty
Lutosławski napisał w „Czasie” krakowskim szereg felietonów pod tytułem „Bańki my-
dlane”, w których dowiódł, że popularność moją zawdzięczam zbożnej pracy na korzyść
propinatorów galicyjskich, równocześnie pojawił się cały szereg obszernych broszur, co
jedna, to ciętsza i więcej jeszcze zajadła, a mogłaby być bardzo bolesna dla człowieka,
dla którego by literatura choć na jedną chwilę była „fachem”. — Rozprawiał się ze mną
na ostre i Józefat Nowiński⁵⁸⁵, twórca *Białej gołąbki*; wziął mnie na kiel wielki samotnik
Wacław Wolski i zmiażdżył mnie⁵⁸⁶ w „marzennej, ciemnej Iluzjonu dali”; sproszkował
mnie syjonista Bromberger; — wykpił Sygietyński⁵⁸⁷; schłostał Chmielowski⁵⁸⁸; grom-

⁵⁸³ „Bocian” — ukazujący się w Krakowie w l. 1896–1918 dwutygodnik satyryczno-obyczajowy dla panów,
założony przez Stanisława Lipińskiego, przyciągał publiczność secesyjną, modną typografią, kolorowymi ilu-
stracjami oraz pikanterią treści żartów i rysunków; pismo było wielokrotnie konfiskowane przez cenzurę za
„obrazę moralności publicznej”; Lipińskiemu udało się później wyłansować nowy tygodnik, „Nowości Ilustro-
wane” (1904–1925). [przypis edytorski]

⁵⁸⁴ *Quo usque tandem* (łac.) — dokądże tego będzie? (pierwsze słowa mowy Cyncerona przeciw Katylinie)
[przypis edytorski]

⁵⁸⁵ Nowiński, Józefat (1863–1906) — dramaturg i krytyk literacki; wysoce krytycznie o tytułowym autorze
pisał swoim w tekście *Stanisław Przybyszewski* z 1902 r. [przypis edytorski]

⁵⁸⁶ Wolski, Wacław (1867–1928) — poeta i prozaik, jego tekst *Wzloty na Parnas. Profile duchowe poetów współ-
czesnych* (Warszawa 1902) zawiera krytyczne uwagi o Przybyszewskim. [przypis edytorski]

⁵⁸⁷ Sygietyński, Antoni (1850–1923) — pseud.: Gosławiec; pisarz, publicysta (jeden z wydawców „Wędrow-
ca”), krytyk muzyczny i literacki, autor powieści pisanych pod wpływem naturalizmu francuskiego: *Wysadzony
z siodła*, *Na skalach Calvados*. [przypis edytorski]

⁵⁸⁸ Chmielowski, Piotr (1848–1904) — historyk literatury; pisał krytycznie o Przybyszewskim w swojej *Historii
literatury polskiej* (1900, t. VI) oraz bardziej szczegółowych studiach: *Najnowsze prądy w poezji naszej* (1901),
Dramat polski doby najnowszej (1902), *Dzieje krytyki literackiej w Polsce* (1902). [przypis edytorski]

kim „*apage satanas*” odzegał się ode mnie Zdziechowski⁵⁸⁹ — może nigdy przedtem i potem nie był spełniany z taką żarliwością nakaz społeczeństwa: *Caveant consules*⁵⁹⁰, jak poonczas, kiedy powołani i niepowołani konsulowie rzucili się jednomyślnie na mnie, aby się jakaś krzywda Polsce nie stała.

Dla jakiegoś bibliofila stanowiłoby to bardzo wdzięczne zadanie zebrać to wszystko, co o mnie i o moim „Życiu” przez cały szereg lat pisano — z wszech stron wdzięczne zadanie, bo w tej literaturze, w której jestem osi, przejawia się całe współczesne patrzyenie na sztukę: jest ona dokładnym wizerunkiem wszystkich prądów literackich i w niej się skryształizowały przełomowe dzieje sztuki u progu XX stulecia.

Stałem się bohaterem paru powieści, między innymi *Listów szalonego człowieka*⁵⁹¹, pisanej przez Andrzeja Niemojewskiego — w jakiejś powieści, której tytułu nie pamiętam, używał sobie Michał Bałucki⁵⁹², co się zmieści.

Z początku byłem zdumiony tym rozgłosem i huczkiem, jaki już od chwili mego przybycia do Krakowa naokoło nazwiska mego się zrobił, bo to, jakoby był słynny i rozgłoszony za granicą, to było prostą legendą — wprawdzie ceniono mnie i liczono się poważnie ze mną w centrach artystycznych, ale słusznie stwierdził Wincenty Lutosławski⁵⁹³ bezpodstawność tych legend o mojej poczytności w Niemczech, bo nawet w największych wypożyczalniach Berlina i Lipska nazwiska mego nie znalazł. Wprawdzie pod koniec mego pobytu w Niemczech cieszyłem się już taką powagą, że wspólnie z Meier-Graefem⁵⁹⁴ mogłem założyć słynne pismo „Pan”, które miało przez sześć lat odgrywać ważną rolę w piśmiennictwie niemieckim, a zreszty wokół siebie najwybitniejszych artystów nie tylko niemieckich, ale i francuskich, i belgijskich, i angielskich, ale to nie dawało jeszcze żadnej podstawy do tego rozgłosu, który od samego początku wprowadził mnie w głęboki ambaras.

Poczęto mnie na gwałt wysuwać na jakieś czołowe, reprezentacyjne stanowisko, które z całą moją naturą tak licowało jak order, który w ubiegłym roku otrzymałem⁵⁹⁵, a który podczas noworocznych życzeń mi dopiero wielki aktor Frenkiel⁵⁹⁶ w odpowiednim miejscu przypiął, przy czym wygłosił zdanie: „Dla ciebie order, to jak dla chłopca złoty zegarek!”. — Ile ja wskutek narzucania mi roli, do jakiej całkiem byłem nieodpowiedni, nietaktów popełniać musiałem, i to całkiem nieświadomie i bezwiednie, ilu ludzi musiałem do siebie zrazić, bom nie wiedział w danym razie, co robić i jak się zachować, ja, stary, biedny cygan, który chcąc nie chcąc musiał się po raz pierwszy zapoznać z frakiem, gdy był usilnie proszony na *five o'clocki* i rauty w pierwszych domach Krakowa! — I wyobrażam sobie zdumienie Lutosławskiego, który po powrocie z Hiszpanii do Krakowa stwierdzić musiał, że nawet „poważni” ludzie całkiem na serio mnie traktują, a wśród nich i prof. Baudouin de Courtenay⁵⁹⁷, i prof. Ulanowski⁵⁹⁸, który z szczególną przyjaźnią do mnie się odnosił i bardzo nad tym ubolewał, że żadną miarą nie mogłem się dostroić do

⁵⁸⁹Zdziechowski, Marian (1861–1939) — historyk literatury; swoje studia literaturoznawcze pisał z pozycji filozoficzno-religijnych (katolickich); o Przybyszewskim pisał krytycznie w *Szkicach literackich* (1900). [przypis edytorski]

⁵⁹⁰*Caveant consules [ne quid respublica detrimenti capiat]* (łac.) — Niechaj konsulowie czuwają [aby rzeczpospolita nie doznała uszczerbku]. [przypis edytorski]

⁵⁹¹*Stałem się bohaterem Listów szalonego człowieka* — (właśc.: Listy człowieka szalonego, 1899) powieść A. Niemojewskiego z życia artystów. [przypis edytorski]

⁵⁹²Bałucki, Michał (1837–1901) — komediopisarz, publicysta, autor powieści pozytywistycznych; jego komedie (m.in. *Grube ryby*, *Radcy pana radcy*, *Gęsi i gęski*) stanowią kontynuację tradycji Fredrowskiej, pewną dozę krytyki obyczajowej osładzając dobrodusznym humorem. [przypis edytorski]

⁵⁹³stwierdził Wincenty Lutosławski *bezpodstawność tych legend o mojej poczytności w Niemczech* — w studium pt. *Bańki mydlane. Pogląd krytyczny na tak zwany satanizm nagich a pijanych dusz z 1899 r.* [przypis edytorski]

⁵⁹⁴Meier-Graefe, Julius (1867–1935) — niem. pisarz i historyk sztuki, wydawca almanachu literackiego „Pan”. [przypis edytorski]

⁵⁹⁵order, który w ubiegłym roku otrzymałem — mowa o krzyżu oficerskim orderu „Polonia Restituta”, nadanym Przybyszewskiemu 2 maja 1925 r. (30 kwietnia 1927 r. otrzymał krzyż komandorski tegoż orderu). [przypis edytorski]

⁵⁹⁶Frenkiel, Mieczysław (1860–1934) — artysta dramatyczny słynny z kreacji aktorskich w komediach Fredry, Bałuckiego, Bliźnińskiego. [przypis edytorski]

⁵⁹⁷Baudouin de Courtenay, Jan (1845–1929) — wybitny językoznawca polski i radykalny publicysta; w l. 1894–1899 profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. [przypis edytorski]

⁵⁹⁸Ulanowski, Bolesław (1860–1919) — historyk prawa, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego od 1886 r. [przypis edytorski]

tej roli, którą mi Kraków przeznaczył, gdy widział serdeczność moich stosunków z tak cenionymi artystami jak Stanisławski albo Włodzimierz Tetmajer.

I wstydzilem się.

Może być, że choruję na mikromanię tych artystów, którzy dla swego sumienia artystycznego stawiają tak ogromne wymagania, że ich siły twórcze im w żaden sposób poddać nie mogą, w każdym razie wydał mi się ten cały mój dorobek artystyczny, z jakim do Krakowa przyjechałem, tak niewspółmierny do przyjęcia, jakiego doznałem, tak biedny i nikły, że żyłem w bezustannej rozterce z samym sobą.

Za wysoki piedestał stawiano dla mego tworu! — Trzy poematy: *Requiem aeternam*, *Wigilie*, *Nad morzem*, jedna nowela, *De profundis*, jedna powieść, *Homo sapiens*, i jeden tom krytyk, *Na drogach duszy* — to troszkę za mało, by wywyższać mnie kosztem wielkich talentów, jakie się dawno przed moim przyjazdem w Polsce pojawiły: Miriama, Antoniego Lange, Jana Kasprowicza — jedyny Tetmajer, który się cieszył popularnością, wzięciem i sławą. Boć i jego dotknęło to ohydne przekleństwo, jakie się na mnie nierychło zważyć miało: Tetmajer był naonczas *modą* — głośny był i podziwiany, a gdy stworzył tak wielkie arcydzieło, jakim jest bezsprzecznie *Legenda Tatr*, już było cicho wokół niego. O Miriamie wiedziała tylko garść ludzi — ciężką krzywdę wyrządzono Antoniemu Lange, a kiedyś głosił w jakimś towarzystwie, że *Na wzgórzu śmierci* jest najpotężniejszym poematem we współczesnej Słowiańszczyźnie, ośmielił się jakiś stary a bardzo poważany krytyk bluźnić: „Tak samo ludził się Mickiewicz co do Seweryna Goszczyńskiego”.

W redakcji „Życia”, niewielkim pokoiku, w którym się kilku ludzi gnieździło: Artur Górski⁵⁹⁹, Grzymała Siedlecki⁶⁰⁰, Alfred Wysocki, poonczas sekretarz „Życia”, znalazłem w jakimś kącie stos wydrukowanych arkuszy rozprawy Górskiego, wystosowanej jako odpowiedź na elukubrację Szczepanowskiego przeciw nowym prądom literackim — ale skończyło się na tych trzech czy czterech arkuszach — z niewiadomych powodów Górski pracę przerwał; w innym zaś kącie spoczywała nietknięta kolumna małego dziełka: *Legenda* Wyspiańskiego. Kiedyś się z tą *Legendą* po Krakowie obnosił i twierdził, że to utwór wielkiego talentu, spoglądano na mnie podejrzliwie, czy czasem nie robię niewczesnych żartów i ośmielam się wyczyniać kpiny z publiczności: Wyspiański uchodził wtedy za nieszkodliwego grafomana. Do pierwszych powieści Reymonta — poonczas trzy się ukazały: *Komediantka*, *Fermenty*, *Ziemia obiecana*, odnoszono się dość pobłaźliwie, a — aż do ukazania się *Ludzi bezdomnych* — uchodził Żeromski za wielkość, rozdmuchaną przez Warszawę.

Młodej Polski jeszcze nie było; ta Młoda Polska w ogóle nigdy nie istniała; z wszystkich tych ogromnych talentów, które objęto śmieszoną nazwą Młodej Polski, każdy był Młodą Polską, ale sam dla siebie — żadną miarą nie da się złączyć ten cały szereg twórców na wskroś samoistnych, na wskroś indywidualnych do tego stopnia, że nie ma prawie żadnego między nimi pokrewieństwa; jedyne, co ich łączy, to czas, w którym ci twórcy się pojawili, ale nic więcej! — Istniał tylko Młody Kraków, a jego twórcą był Ludwik Szczepański — gorący i namiętny wyznawca modernizmu Berlina i Monachium, a przede wszystkim wiedeńskiej secesji i wszystkiego tego, co było poonczas *modą* w Europie, już troszkę przestarzałą, ale dla Krakowa całkiem nową: Baudelaire i Oscar Wilde, a przede wszystkim Herman Bahr⁶⁰¹, Altenberg, Artur Schnitzler⁶⁰² — ten niemiecki modernizm

⁵⁹⁹ *Górski, Artur* (ur. 1870–1959) — pisarz, krytyk literacki (jego cykl artykułów pt. „Młoda Polska” wprowadził i utrwalił nazwę odnośnej formacji literackiej), współredaktor wraz z Leonem Wyczółkowskim krakowskiego „Życia” w 1898 r. (od czerwca do października); autor książki o Mickiewiczu *Monsalwat* (1908); publikował pod pseud. Quasimodo. [przypis edytorski]

⁶⁰⁰ *Grzymała-Siedlecki, Adam* (1876–1967) — krytyk literacki, pisarz i publicysta prawniczy; początkowo współpracował z *krak. „Życiem”*, w l. 1898–1901 wydawał własne czasopismo „Młodość”, współpracownik „Tygodnika Ilustrowanego” oraz „Kuriera Warszawskiego”; założyciel i dyrektor Teatru Ludowego w Krakowie (1905–1906), kierownik literacki Teatru im. Słowackiego pod dyr. Ludwika Solskiego (1906–1911), autor książki o Wyspiańskim (*Wyspiański. Cechy i elementy jego twórczości*, 1909) oraz lekkich komedii i fars scenicznych. [przypis edytorski]

⁶⁰¹ *Bahr, Herman* (1863–1934) — austriacki krytyk literacki (*Zur Kritik der Moderne* 1890, *Die Überwindung des Naturalismus* 1891) oraz pisarz (dramat *Die Mutter*, powieść *Himmelfahrt*), stylistycznie eksperymentujący zarówno z naturalizmem i ekspresjonizmem, jak i sięgający po środki impresjonistyczne. [przypis edytorski]

⁶⁰² *Schnitzler, Artur* (1862–1931) — prozaik i dramaturg austriacki, z wykształcenia i zawodu lekarz; jeden z najważniejszych przedstawicieli wiedeńskiego modernizmu (*Młodego Wiednia*), żarliwy antymilitarysta, autor m.in. nowel *Porucznik Gustl* (niem. *Leutnant Gustl*, 1900), *Oczy szeroko zamknięte* (niem. *Traumnovelle*,

i wiedeński secesjonizm przeszmuglował Szczepański do Krakowa jako całkiem „nową sztukę”.

„Życie” Szczepańskiego nie miało wyraźnego, zdecydowanego kierunku, było terenem, na którym samopas defilowały nazwiska twórców, nic niemających wspólnego z jakimś tam „modernizmem”; na łamach jego wypowiadali się społecznicy i początkujący anarchiści — w „Życiu” kielkował Nowaczyński, obok Andrzeja Niemojewskiego pisywał do tego „Życia” Cezary Jellenta⁶⁰³ i Zofia Daszyńska i na tej platformie spotykali się Baudouin de Courtenay z Izą Moszczeńską⁶⁰⁴, dużo miejsca zabierała Gabriela Zapolska, serdeczną opiekę roztoczył nad tym „Życiem” Sewer Maciejowski⁶⁰⁵, wiecznie młody Sewer, któremu po bankructwie Szczepańskiego „Życie” swój byt zawdzięczało.

Zdaje się, że jedyny Artur Górski zdawał sobie sprawę, czym to pismo być powinno, jeżeli miało ambicję stać się w ówczesnym piśmiennictwie polskim *ecclesia militans*⁶⁰⁶. W jego polemice z Szczepanowskim padło, jeżeli się nie mylę, po raz pierwszy hasło: „Młoda Polska”; jedyny Górski pragnął sformułować dążenia nowego pokolenia, a pod pseudonimem Quasimodo odważył się pierwszy przypuścić szturm do granitowego posągu wielkości Sienkiewicza⁶⁰⁷, w czym mu dzielnie pomagał Nowaczyński, który właśnie w „Życiu” ostrzył sobie pazurki do późniejszych drapieżnych, niebezpiecznych wycieczek przeciw wszystkiemu, co mu się nie podobało. A tego, co mu się podobało — tak szczerze i aż do samych trzew⁶⁰⁸ się podobało, tak że na klęczki padał — tego było piekielnie mało — może jedynie *Wesele* Wyspiańskiego z nóg go zważyło, chociaż były czasy, kiedy *Tamten* Zapolskiej obudził w nim wściekły entuzjazm, który stał się załącznikiem tej wielkiej miłości, jaką do Ehrenberga pała, i na odwrót.

Po wycofaniu się z „Życia” Szczepańskiego, który musiał sobie to „Życie” doszczętnie zbrzydzić, bo już się nigdy do niego nie zwracał, objął redakcję Artur Górski przy pomocy Sewera, który Bóg wie jakim cudem wydobyl trochę pieniędzy, by w konające „Życie” wstrzyknąć trochę odżywczej siły, ale już po paru miesiącach Górski się załamał — ten wytworny pan nie umiał ani nie mógł prowadzić dalej pisma, żyjącego z dnia na dzień z dziadowskiego grosza — wyzwoleniem dla niego, a i dla Sewera, było moje przybycie do Krakowa.

Wprawdzie zrobił Sewer — dziwna rzecz, właśnie w dniu mego przyjazdu — ostatnią próbę, czy nie uda mu się jeszcze jednej dawki ożywiającej dla „Życia” wydobyć, i w tym celu wysłał Alfreda Wysockiego, sekretarza „Życia”, gdzieś w odległe zakątki Galicji z rozpaczliwą prośbą o sukurs, ale Wysocki wrócił bez pieniędzy, natomiast z ciężką malarią.

I od tego czasu rozpoczęła się moja ciężka mitrega: i Górski, i Sewer przypuścili do mnie gwałtowny szturm — och! oni dobrze wiedzieli, co znaczy „moda” w Polsce, co znaczy być „modnym”, i doskonale zdawali sobie sprawę, że ja jedyny z moim coraz rozgłośniejszym nazwiskiem, wokół którego już od samego początku jęły się snuć najdziwniejsze legendy (jeszcze nie dochodziły do moich uszu, bo ja jeszcze nie wytrzymałem z tego fatalnego transu, w jaki mnie Kraków wprawił), mogę ożywić upadające pismo, tak że wreszcie mimo długiego oporu uległem, boć należę do tych nieszczęsnych ludzi, którzy nikomu nic odmówić nie mogą.

Był wprawdzie poonczas w Krakowie człowiek o ogromnej kulturze — za późno miałem się dowiedzieć, kim był Antoni Potocki⁶⁰⁹ — gdybym był go wtedy znał, nigdy bym

192.6); wprowadził do powieści formę monologu wewnętrznego; znał dobrze Sigismunda Freuda, jego teorie oraz metodę psychoanalizy. [przypis edytorski]

⁶⁰³Jellenta, Cezary, właśc. *Napoleon Hirszbard* (1861–1935) — krytyk literacki, współpracownik krakowskiego „Życia”. [przypis edytorski]

⁶⁰⁴Rzępecka-Moszczeńska, Izabela (1864–1941) — liberalna publicystka, później współpracowniczka konserwatywnego „Kuriera Warszawskiego”, w „Życiu” krak. drukowała drobne nastrojowe nowelki. [przypis edytorski]

⁶⁰⁵Maciejowski, Ignacy (1835–1901) — polski powieściopisarz, nowelista, dramaturg i krytyk literacki okresu przejściowego między pozytywizmem a Młodą Polską, przedstawiciel realizmu krytycznego w prozie modernistycznej; używał pseudonimów „Sewer” oraz „Gryf”. [przypis edytorski]

⁶⁰⁶*ecclesia militans* (łac.) — kościół wojujący. [przypis edytorski]

⁶⁰⁷odważył się pierwszy przypuścić szturm do granitowego posągu wielkości Sienkiewicza — w wyż. wym. cyklu artykułów Górski pisał m. in. „Nie ludźmy się. Kochamy go [Sienkiewicza] wszyscy i wszyscy niesiemy mu nasze holdy, ale dla literatury powszechnej więcej niż Sienkiewicz znaczy Przybyszewski”. [przypis edytorski]

⁶⁰⁸trzew (daw. forma) — dziś D.: (do) trzewi. [przypis edytorski]

⁶⁰⁹Potocki, Antoni (1867–1939) — krytyk literacki i historyk literatury. [przypis edytorski]

się nie zgodził na objęcie „Życia”, którego prawdziwie dojrzałym, stanowczym kierownikiem z jasnym programem i świadomością celów, jakim „Życie” służyć powinno, mógł być obok Miriama tylko on.

Za mało orientowałem się wtedy jeszcze w piśmiennictwie polskim.

Potocki patrzył na mnie, nie rozumiałem, dlaczego tak przenikliwie mi się przypa-
truje — przez miesiąc czasu od mego przybycia, widział, co się naokoło mnie dzieje; jak
w jasnovidzeniu uczułem, że to ktoś, komu się krzywda wyrządza, ale zaczęłam zdążyłem
się poinformować, kim jest Antoni Potocki, już był wyjechał do Paryża.

Ten sam Antoni Potocki po lat dziesiątkach miał wyolbrzymić moje znaczenie w pi-
śmiennictwie polskim w swoim dziele *Polska literatura współczesna* do tych granic, które
może być, że były mi wyznaczone, ale obręb ich, który zdołałem przekroczyć, zbyt ma-
ły, bym mógł doznać jakiejś satysfakcji przy czytaniu tych pięknych, mojej twórczości
poświęconych kart; raczej uczułem się zawstydzony i upokorzony, że nie zdołał tego
dokonać, czego najlepsi i mi najżyczliwsi ode mnie się spodziewali. Według Potockiego
ziściłem polegane⁶¹⁰ we mnie nadzieje — co do mnie, to ani na chwilę się nie ludzę, że
im sprostać nie zdołałem.

W jednym tylko trafił w sedno:

„Życie” Szczepańskiego to jeszcze widok owego obozu przed bitwą: rzą-
dzi też w nim oboźny, nie wódz. Po krótkim *interregnum*, w którym „Życie”
objął zawsze młodzieńczy Sewer, nastąpi czas właściwej walki. Obóz zamieni
się na świętą kohortę, idącą wyraźnie do ataku. „Życie” będzie jeszcze przez
rok pismem z formy, lecz z treści będzie jakby jedyną strofą zwycięskiego
peanu. Winkelrydem — wodzem i ofiarą zarazem — będzie Przybyszew-
ski⁶¹¹.

To ostatnie się ziściło, ale ten zwycięski pean skończył już po pierwszej strofie.

V

Po długich staraniach — a kilka lat to trwało, zdołałem wreszcie zdobyć to „Życie”,
którego byłem redaktorem od 15 października 1898 r. (rok II nr. 38 i 39), aż do skonu tego
pisma — 1 stycznia 1900 r. (rok IV nr 1), a więc przez całe pięć kwartałów.

Raz po raz przerzucam karty całego tego grubego tomu, rozpamiętywam z cichą me-
lancholią dzieje całkiem nieprawdopodobnych wysiłków, by w piśmie tym spełnić to,
com, obejmując redakcję, przyobiecywał.

Pismo to jako komplet jest taką rzadkością, że chcąc nie chcąc będę musiał dawać
z niego cytaty — wątpię, czy w całej Polsce znalazłoby się chociażby pięć kompletów
z tego czasu.

Pisze mi Sewer, oddając mi „Życie”, że nabył to pismo, aby wstrzymać jego upadek,
a następnie oddać je Młodej Polsce, gdyż „Życie” było ich organem, jego zaś pragnieniem
— aby się w tej formie i dążnościach utrzymało.

Nabyte „Życie” (pisze dalej) prowadziłem przy poparciu miłośników li-
teratury z Dr. Arturem Górskim przez cztery najcięższe w sezonie miesiące
do końca kwartału, a obecnie oddaję je w ręce najwybitniejszego [!!! Och,
Sewerze, Sewerze — coś ty mi narobił] modernisty, chlubnie znanego po-
za granicami kraju i najwięcej utalentowanego [to miało stać się dla mnie
gwóździem do trumny] przedstawiciela „Młodej Polski”.

Każdy zrozumie, jak mi ta emfaza wśród moich przysłych współpracowników za-
szkodzić musiała — z jaką niechęcią musieli powitać tego „najwięcej utalentowanego”,
a w kraju prawie nieznanego przedstawiciela tej Młodej Polski.

Przytaczam *in extenso* moją odpowiedź — oszczędzam sobie długich wywodów *ex
post*, com zamierzał, gdy dał się wreszcie skusić na podjęcie tego ciężaru, jakim było dla
mnie od samego początku — „Życie”.

⁶¹⁰ *polegane* — dziś popr.: pokładane we mnie (...). [przypis edytorski]

⁶¹¹ *Życie Szczepańskiego to jeszcze widok (...) będzie Przybyszewski* — cytat z *Polskiej literatury współczesnej*
Antoniego Potockiego (Warszawa 1912, t. II, s. 150). [przypis edytorski]

Dziękuję Panu Sewerowi za słowa, którymi mnie w kraju wita. Niestety, zupełnie na nie nie zasłużyłem.

Pracowałem tylko w szczęśliwszych warunkach, ale są inni, wyżsi o całe niebo ode mnie, wyżsi od wszystkich tych, których Polska z zagranicy importuje, wyżsi od tych, przed którymi społeczeństwo z bałwochwalczą czcią się korzy, i wyżsi, i zdolniejsi od tych, którzy poza granicami muszą szukać sławy i chleba, by się dać poznać własnym ziomkom.

Widzę teraz, jak już mi wtedy poczęło w głowie świtać, że może nie byłbym niczym w Polsce, gdyby mnie nie opatrzone stemplem: *Made in Germany!*

Polak, Niemiec

Są tacy wyżsi, ale społeczeństwo ich nie zna. Z tego jedynie powodu postanowiłem objąć „Życie”, aby podtrzymać ognisko, przy którym przez rok cały skupiały się najwybitniejsze siły „Młodej Polski”, a wreszcie dlatego, bo mam wiarę w nasze społeczeństwo, silną wiarę, że to społeczeństwo zechce raz wreszcie zrozumieć, że możliwość naszego istotnego odrodzenia tkwi w nauce i sztuce. Wtedy chyba damy dowód naszej najsilniejszej żywotności, jeżeli nasza niespożyta siła duchowa tak Europę opanuje i taki na nią wpływ wywrze, jak np. duch skandynawski.

(Był to czas, kiedy istotnie oładnęła duchowa potęga Ibsenów, Bjørnsonów, Garborgów, Hamsunów całą północną Europą, dzięki czemu też Europa dowiedziała się, że istnieją jakieś państewka, które się zowią czy to Norwegią, czy też Danią.)

Ale to wtedy tylko nastąpić może, jeżeli całe społeczeństwo poprze „nasze” wydawnictwo, nie pozwoli „nam” niszczyć najlepszych sił naszych na reporterstwie przy biurkach dziennikarskich albo je zużywać na przekłady z obcych literatur.

Ale to wtedy tylko nastąpić może, jeżeli „miarodajne organa” tego samego społeczeństwa nie będą „nas” obrzucać błotem, ale całą siłą poprą nasze usiłowania, choćby były i zupełnie sprzeczne z ideałami ogółu.

Trzebaż to wreszcie zrozumieć: co kilkadziesiąt lat odgrywa się ta sama smutna komedia. Dziś pojąć nie możemy, że z taką zaciekłością rzucano się na romantyków, a to samo pomimo tak świeżej tradycji teraz znowu się powtarza.

Czy to tak trudno pojąć, że sztuka potrzebuje „przeróżnych prądów”, tysiącznych „kierunków”, aby wreszcie wydać Mesjasza, w którego duszy to wszystko się zespała, przetapia i zlewa w jedno potężne koryto? Czyż to tak trudne do pojęcia, że potrzeba chaosu, by gwiazda porodzić się mogła?

Gwiazda

A jeżeli polskie społeczeństwo nie jest jeszcze dostatecznie zamerykani-zowane, jeżeli żyje jeszcze w nim ta święta tradycja, jaką nam w spuściznie nasi wielcy przekazali, że panowanie nasze to Królestwo Ducha, to niech nie niszczy sił. Niech pomni na to, że każda, chociażby słaba, jest konieczną składnicą tej wielkiej, potężnej siły, jaka się w Szekspirze czy Byronie, Mickiewiczu lub Słowackim objawiała...

(Ustawicznie miałem na myśli wielkiego człowieka artystę, dla którego pragnąłem być niczym więcej, jak tylko Janem Chrzcicielem — wierzyłem niezłomnie, że nadszedł już czas jego rychłego przyjścia, chciałem mu w splątanej dżungli ówczesnej umysłowości jakąś ścieżkę wyrąbać, przez którą już bez przeszkód mógłby kroczyć, chciałem obudzić dusze, tępy m snem spowite, by mogły godnie tego Mesjasza przyjąć, który naszemu panowaniu w Duchu nowego blasku miał przysporzyć. A jeżeli się nie mylę, zbytnio się nie ludzę, to istotnie spłanowałem potwornie wyboistą drogę tym, którzy przyjść mieli, by stworzyć tę istotną Młodą Polskę, której wtedy jeszcze nie było; przysposobiłem umysły na godne przyjęcie tych, którzy by może bez przygotowawczej pracy w „Życiu” nierychło byli zrozumiani, przeorałem kawał spiekłego ugoru, na którym właśnie miał w niebo wytrysnąć kipiący gejzer *Hymnów* Kasprowicza. Byłem istotnie poonczas Winkelriedem. Gdy pomyślę, co uchodziło w literaturze za zbrodnię, gdy „Życie” obejmował, a jaka przemiana w wartościowaniu nastąpiła, gdy ja już grzebał, to jestem zdumiony, jak

szybko się dokonała. Ten „nieczysty”, wywrotowy ton, który ponoć do piśmiennictwa polskiego wniosłem, stał się już jakąś naiwną fujarkową piosenką wobec erotycznych żarów Żeromskiego, a jeżeli ja wobec społeczeństwa posługiwałem się basałkami⁶¹², po mnie wolno już je było chlastać skorpionami.)

Nie chcę taić (piszę dalej), że objąłem „Życie” w upadku. Nie zobowiązuję się do niczego, nie robię żadnych przyrzeczeń, bo byt „Życia” nie zawisł ode mnie, ale od poparcia społeczeństwa, poparcia, jakiego — ze wstydem dla społeczeństwa — „Życie” dotychczas zupełnie nie znalazło.

(Znaleźć miało niestety tylko przez krótki czas, jak długo byłem „modą” — ale ta „moda” okazała się wkrótce wysoce niewygodna, drażniąca, wyzywająca, której się czym prędzej wyzbyć chciano, ale już na szczęście wtedy, kiedy pewne przeobrażenie w umysłach publiczności się dokonało.)

Programu nie mam żadnego, bo sztuka go nie ma. Wolno każdemu wtłaczać jakieś programy w artystyczne cele artysty samego, nie można nikomu zakazać, że wyczytuje z dzieł autora rzeczy takie, o których autorowi się nie śniło, ale trudno narzucać sztuce jakiś program. Sztuka granic nie zna, bo życie ich nie zna. Wszelki przejaw duszy, niezależnie od tego, czy jest w naszym — he, he! „naszym” — pojęciu dobry lub zły, jest substratem sztuki, zależy jedynie od tego, w jaki sposób jest odtworzony. A więc wszystko, co silne, co twórcze, co wielkie, niezależnie, czy pisał to jeden ze „starych” lub ktoś z „młodych”, czy jest w pojęciu „Przeglądu Powszechnego”

(pismo klerykalne, które w pierwszej chwili gwałtownie na mnie napadło)

moralne lub nie — znajdzie, jeżeli jest sztuką, w „Życiu” pomieszczenie.

Trzeba nam powietrza,

(wołałem po powrocie do Polski, gdym objął redakcję „Życia”)

trzeba rozwalić mur chiński galicyjskich lub wielkopolskich pojęć o sztuce,

(zapomniałem o Warszawie, gdzie pojęcie sztuki identyfikowało się z najplytszym utylitaryzmem)

jeżeli literatura nasza ma stanąć na wyżynie ogólnoeuropejskiej literatury.

Otóż to było moje najgorętsze pragnienie, by literatura polska mogła odegrać w europejskim piśmiennictwie tę samą rolę, jaka właśnie wtedy przypadła w udziale małym skandynawskim państewkom. Nie mamy bytu politycznego, jesteśmy kopcuszkami, których nikt nie zna, a przecież moglibyśmy zdobyć sobie szacunek i poważanie w panowaniu Ducha ogólnoeuropejskiego za pomocą naszej sztuki — ale nie tej, która jest na usługach czy to Kościoła, czy Narodu, czy dążeń społecznych, nie tej zaściankowej, pouczającej, „ducha podnoszącej” sztuki, to znaczy sztuki, służącej li tylko utylitarnym celom, których żaden inny naród nie zna ani go zupełnie nic nie obchodzi, bo to są wszystkie nasze, li tylko nasze, egocentryczne sprawy, z którymi żaden naród nic wspólnego nie ma, mieć nie chce i ze zdumieniem i z pobłażliwym uśmiechem dowiaduje się, że Europa cała z zapartym oddechem ich przebieg śledzi.

Przecież nie ludźmy się: nie ma w całej Europie żadnego narodu, którego literatura byłaby tak mało znana, jak literatura polska. Zresztą nie dziw — nie można wymagać od cudzoziemca, by dokładnie, ale to bardzo dokładnie zapoznał się z historią Polski, by móc choć trochę zrozumieć z tego, czym literatura polska żyła. Z wszystkich pism

⁶¹²basalyk — bicz zakończony kolczastą metalową kulką, pierwotnie używany przez Tatarów jako broń. [prypis edytorski]

Słowackiego jest cudzoziemcowi — a jedynie takiemu o wysokiej umysłowej kulturze — jeden utwór przystępny: *Genesis z Ducha*, ten wszechludzki poemat o królestwie Ducha, którego cele jedynie istnieją, a innych poza nimi nie ma; jest jeszcze ten cudzoziemiec o dobrej woli w stanie zachwycić się wszechludzkiem poematem miłości, jakim jest *W Szwajcarii*, zrozumie *Ojca zadżumionych*, pod wpływem Byrona pisane poetyczne powieści — ale tu już nie potrzebuje Słowackiego, bo ma Byrona — na dramaty Słowackiego wzrusza ramionami, bo nudzi go, irytuje ten poszekspirowski epigonizm — niedźwiedzią przysługę wyrządzono Słowackiemu, gdy usiłowano wprowadzić na francuską scenę jeden z jego dramatów, gorszą może jeszcze, aniżeli Moniuszce wystawieniem *Halki* w Mediolanie — otóż jeden z naszych największych zawodzi doszczętnie, jeżeli stanie na wszechświatowej arenie.

O Mickiewiczu wiedzą za granicą tyle, że Polacy uważają go za swego największego geniusza, ale niestety cudzoziemiec tego sprawdzić nie może. *Grażyna*, *Konrad Wallenrod* mogą go jeszcze zaciekawić swoim egzotykiem — *Dziady* to już księga zamknięta dla niego na siedem pieczęci, a aby mógł się zachwycić *Panem Tadeuszem*, musiałby strawić kilka lat na poznanie czasów napoleońskich w Polsce — kosztowałoby go to osobne studium — musiałby się zapoznać nie tylko z folklorem w Polsce, ale nawet kostiumologią polską! Najwięcej może jeszcze przystępnym tworem dla Europy to Krasieńskiego *Nieboska*. To już jest wszechludzkie — a walki, które się w tym dramacie rozgrywają, są doskonale w Europie znane, boć przecież każde państwo miało swoich białych i czerwonych. Ten symbol umożliwia mu zrozumienie *Nieboskiej* — od początku świata toczyła się ta walka między hr. Henrykiem i Pankracym — z tą samą zaciętością w Polsce lub Francji, jak za czasów starej Grecji. Ale istotnie pierwszym twórcą polskim, który całemu światu okazał potęgę ducha polskiego, stał się Jan Kasprówic, którego Miriam w uniesieniu wita:

Królewskie pieśni! Wielkie, uroczyste, organowe tony. Majestatyczne symfonie wiekuistych, niezniknionych tęsknot i pragnień duszy! Na usta cisną się słowa najradośniejszego zachwyty, najgorętszego uwielbienia na widok niesłychanej, olśniewającej, cudownej *transfiguracji* poety. Oto z *niewolnika* dotykanej rzeczywistości, z głosiciela szczęścia dla wszystkich, urasta nam w oczach kolosalny, wyzwolony orficzny pieśniarz najgłębszych, metafizycznych pierwiastków ducha człowieczego.

Runął kult zbiorowości, zerwane zostały niewolnicze pęta w *szłubie publicznej* — nic więcej wstrząsającego nad ten potężny hymn wyzwolenia: „Byłeś mi kiedyś bożyszczem o tłumie⁶¹³...” — w całej swej ogólnoludzkiej potędze staje przed nami olbrzymi Adam Kadmos, jedyny w Polsce, który mógł z monarszą dumą powiedzieć o sobie: „ON i JA byliśmy od początku!”

Nigdy nie zapomnę tej uroczystej chwili, gdym krótko przed przyjazdem do Polski przeczytał *Na wzgórzu śmierci*. Ten poemat, o którym już w pierwszym numerze objętego przeze mnie „*Życia*” pisałem, że jest dla mnie najwyższym objawieniem poezji wszechsłowańskiej — winien byłbym powiedzieć: poezji wszechludzkiej — był dla mnie niejako punktem wyjścia dla mojej usilnej pracy, by literaturę polską skierować na tory „drogi duszy”, na której się cała ludzkość spotyka — a na tej drodze nie znajdziesz niewolników, krępowanych czy to etycznymi lub społecznymi prawami, kroczą nią tylko twórcy, dla których jedynym imperatywem twórczości to pragnienie, by w sztuce swej dokonać jak najdoskonalszego samoobjawienia, a sztuka nie jest niczym więcej, jak tylko samoobjawieniem w najwyższej potędze, rewelacją najgłębiej ukrytych sił nie już w człowieku, ale w całym społeczeństwie.

I dlatego występowałem z taką zaciętką namiętnością przeciwko sztuce tendencyjnej, sztuce budującej i rzeźwiącej, sztuce o celach umoralnienia i uspołecznienia, sztuce demokratycznej czy też tej, która chępiła się wyłącznością o głupiej nazwie dekadentyzmu; a natomiast byłem żarliwym wyznawcą tej sztuki, która staje się religią, która stoi ponad życiem, nie zna ni granic, ni praw, ma tylko jedną odwieczną ciągłość i potęgę bytu duszy, kojarzy duszę człowieka z duszą wszechnatury, a duszę jednostki uważa za przejaw tamtej; a jeżeli komu pragnąłem służyć, to temu artyście, który był osobisty tylko wewnętrznie

Sztuka, Artysta, Twórczość,
Nieśmiertelność, Wolność,
Bóg, Obraz świata

⁶¹³Byłeś mi kiedyś bożyszczem o tłumie — początkowy wers VIII wiersza z cyklu poetyckiego *W ciemności schodzi moja dusza z tomu Krzak dzikiej róży* (1898). [przypis edytorski]

potęgą, z jaką stany duszy odtwarza, poza tym jest kosmiczną, metafizyczną siłą, przez jaką się absolut i wieczność przejawia.

Usiłowałem spełnić, by zejść na platformę rzeczywistości, wielki czyn patriotyczny, by świat zadziwił tą twórczą Polską, która by stratowaną potęgę polityczną mogła zastąpić wobec świata supremacją ducha.

I, aby ten cel osiągnąć, postawiłem sobie, gdy obejmowałem „Życie”, za wyłączne zadanie:

wychować społeczeństwo, by nauczyło się odłączać sztukę od spraw etycznych i dotyczących ekonomii społecznej —

by nauczyło się patrzeć na sztukę słowa, tak jak się nauczyło zapatrywać na sztukę barwy, plastyki i dźwięku — to znaczy: by z wolna, choćby bardzo z wolna dorosło do kultury czysto artystycznej, by nie żądało od słowa, aby mu się wysługiwało w pożytkowych celach, nie było środkiem jakiegokolwiek agitacji na rzecz jakiegokolwiek hasła — chociażby tak wzniesłego, jakim jest Ojczyzna!

To było mało wybijać okna na Europę — to pierwszy etap zadania, najważniejszym etapem było przedostać się przez ramy tego okna na wielką polanę i wkroczyć w triumfalnym pochodzie tam, gdzie dusze wszystkich narodów zlewają się w jedno ognisko: w człowieczeństwo, w którym nie ma ani różnic, ani wyodrębnień, jest tylko wspólnota wszystkich dusz — ta, która mi pozwala w jakimkolwiek bądź tworze jakiegokolwiek narodu przegądać się mojej duszy, jak w własnym „narodowym” zwierciadle.

Rojno i aż nazbyt gwaro zrobiło się naokoło tego nowego „Życia”, istotnie „nowego”, bo mało miało wspólnego z „Życiem” Szczepańskiego i intermistycznym „Życiem” Sewera i Artura Górskiego. Z jednej strony, a więc tej, do której się przyczepiła nazwa Młodej Polski, spotkało się z bezkrytycznym prawie entuzjazmem, chociaż ci artyści, którzy w pewnej mierze stanowili tę Młodą Polskę, jak Kazimierz Tętmajer, Reymont, Żeromski, trzymali się na uboczu i przez cały czas trwania „Życia” pod moją redakcją ani jednym tworem go nie zasilali — z drugiej zaś rzuciła się na nie prawie cała prasa polska z małymi wyjątkami z wrogą, zacieklą niemal nienawiścią, zbrojną w niezmiernie skuteczną broń, bo zupełny analfabetyzm w rzeczach sztuki. Dziś już przebrzmiało dawno to głupie hasło, rozbrzmiewające naoczas po wszystkich zakątkach Polski, a które się stało orężem, jakim głównie przeciwko „Życiu” występowano — to hasło nosiło nazwę dekadentyzmu, jakie przyjął literacki snobizm paryski jako *dernier cri*⁶¹⁴ literackiej mody. W Polsce oczywiście mało kto wiedział, co ten dekadentyzm w istocie swej oznaczał, z tym hasłem nie łączyły się żadne pojęcia literackie — przynajmniej w Polsce — tu stał się dekadentyzm równoznaczny ze zdechactwem fizycznym, wywołanym życiową birbantką, z brakiem wszelkiej „teżyzny” narodowo-społecznej i narodowej tradycji, wyzuciem się spod wszelkich praw moralnych i społecznych. Dekadentem był każdy, który nie uznawał Sienkiewicza jako najprzedniejszego geniusza, natomiast rozczytywał się w Baudelaire, Verlaine, Rimbaudzie, Edgarze Poe lub Maeterlincku — ale o tym dekadentyzmie Des Esseintes’a z *A rebours* Huysmansa mało kto wiedział; — dekadentem był przede wszystkim męczennik miłości, który swe nogi po Plantach krakowskich przewłóczył, i taki, który całe noce w kawiarniach wysiadywał, nad ranem do domu przychodził, by po południu znowu się w jakiejś kawiarni w jakimś kącie na kanapie rozciągnąć; dekadentem był impotent-erotoman, który niewinne dziewice uwodził, by je potem zdeprawowane do klasztoru wysyłać, i taki pan, który sobie kpił z największych powag w społeczeństwie, a w salonach pytał się pań, czy wiedzą, jak smakuje mózdzek noworodka — a za organ tego dekadentyzmu zostało okrzykane „Życie”, pilnie przez rodziców strzeżone, by się nie dostało w ręce pańienek przed ich zamążpójściem; „Życie” uchodziło przeważnie za ognisko wszelkiej deprawacji, cynizmu i sromotnego wyuzdania. Jaki oddźwięk znalazło „Życie” po tamtej stronie, można się dowiedzieć nawet z powieściowych utworów z onych czasów, a przede wszystkim Michała Bałuckiego (ostatnia jego powieść, nie pomnę jej tytułu) i Andrzeja Niemojewskiego *Listy szalonego człowieka*. Głównym bohaterem w obydwóch powieściach jestem oczywiście — ja.

A już wprost przekleństwem stało się dla mnie w Polsce, że przez parę lat pisałem po niemiecku — przecież pisał Krzywicki, że nie ma żadnej racji uważać mnie za pol-

Sztuka, Polska, Obyczaje,
Korzyść

⁶¹⁴*dernier cri* (fr.) — ostatni krzyk (np. mody). [przypis edytorski]

skiego pisarza — żem przez dłuższy czas przebywał w Skandynawii i rok cały obcowalem z Strindbergiem.

A jeżeli już na kogośkolwiek z twórców polskich wywarła literatura skandynawska jakiś wpływ, to już chyba nie na mnie, mimo że ją bardzo cenię. Ale konia z rzędem temu, który będzie w stanie wykazać w jakimkolwiek bądź z moich utworów wpływ skandynawszczyzny.

Wpływ inwoluje jakieś pokrewieństwo dusz, chociażby najodleglejsze. Z głębią i pokorną czią przynaję się do tego odległego pokrewieństwa, jakie zachodzi między mną a Dostojewskim, Edgarem Poe, poniekąd z Huysmansem lub Barbey d'Aureville, ale oddziela mnie głęboka przepaść od Strindberga, tego brutalnego, acz genialnego apostoła nienawiści, dla którego jako twórca byłem tysiąc razy więcej jeszcze obcy, aniżeli on dla mnie. On poza zaczarowane koło swej ciasnej nienawiści wyjść nie mógł — dusza moja, pojemniejsza, mogła wkroczyć w to jego koło i patrzeć na tę bolesną udrękę tego genialnego potępięca z głębokim współczuciem, ale też nic więcej, którego najcięższą tragedią było to, że nigdy nic nie ukochał ani ukochać nie był w stanie, a na odwrót, mógł wzbudzać podziw, ale nigdy miłość. A aby podlegać czyjemuś wpływowi, trzeba go ukochać.

A może wpływ skandynawszczyzny w tym się objawia, że pisałem studia o dwóch wielkich twórcach skandynawskich: malarzu Munchu i rzeźbiarzu Vigelandzie?

Ale czyż to tak trudno zrozumieć, że jeden i drugi byli tylko dla mnie ramami, w których obrębie mogłem dać własny już program, posłużyli mi za kanwę, na której mogłem swobodnie własną naukę o „nagiej duszy” dzierżyć? W jednej i drugiej rozprawie wypowiedziałem moje własne artystyczne zamierzenia, jakbym ich nigdzie indziej z tą swobodą wypowiedzieć nie mógł — nie przeczuwałem wtedy, że kiedyś obejmę „Życie”.

Ja Skandynawii mam tylko jedno do zawdzięczenia, a to mój tragizm, że właśnie tam moja miłość do Polski i tęsknota za nią stały się chorym wręcz maniactwem. A dalibóg, nie mogę powiedzieć, bym się zbyt wzajemnością kiedykolwiek cieszył. A był przecież czas, kiedy gwałtownie starano się mnie z niej wyżenąć⁶¹⁵, mnie — autochtona — który odwieczną przynależnością do Polski ma prawo się szczyścić jak rzadko kto w Polsce.

Stąd to pochodzi, że tak niezmiernie rzadko napotykasz w moim tworze na emfaticzną deklamację: Polsko! Polsko! Polsko! Najgłębsza miłość jest zbyt wstydliva, by się z nią obnosić i tym ją profanować.

Nie będziesz wymawiał po próżnicy imienia mego.

Z jakim ja głębokim wstrząsem czytałem wiersz Kasprowicza w jego cudownie pięknej — najgłębszą pięknoscia, w jakiej dusza ludzka objawić się może, pięknej *Księdze Ubogich* (XLI):

Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Ale tak samo w Kasprowicza duszy, jak mojej:

W mej pieśni, bogatej czy biednej —
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna —
Żyje tak rzadka na wargach
Moja najdroższa Ojczyzna.

Ja⁶¹⁶ się tam z Wami ni swarzyć, ni wadzić nie będę — nie miałem wprawdzie na „wargach” tych słów: Polska-Ojczyzna — chleb, jaki w Polsce zażywałem, był zakalcem, a wino moje piołunem zaprawione, ale prędeż by mi język usechł, zaczem zdołałbym tej mojej Polsce bluźnić: najszczytniejszemu dziełu, w jakim mi się Bóg objawił.

A już do ostatniej rozpaczy doprowadzał mnie ten bezustanny wrzask: Nietzsche, Nietzsche, Nietzsche!

⁶¹⁵wyżenąć (daw.) — wygnąć. [przypis edytorski]

⁶¹⁶jać — konstrukcja z partykułą wzmacniającą ci, skróconą do -ć. [przypis edytorski]

Już w pierwszym tomie *Moich współczesnych (Wśród obcych)*, omawiałem szeroko mój stosunek do tego potężnego poety, którego wciąż jeszcze, ale już coraz mniej, mianem filozofa szkalują. Nie będę się powtarzał, ale można sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy nagle zrobiono ze mnie nietzscheanistę! Zdawałem sobie wprawdzie sprawę, że w Polsce mało co, a prawie nic o Nietzschem nie wiadano — zdaje się, że wtedy tylko jedna praca o Nietzschem się ukazała: broszurka dr Zofii Daszyńskiej — cały „polski” Nietzsche streszczał się w tym jednym rozpaczliwym szlagwercie: *Übermensch*, i na tym słowie — co ono miało wyrażać, mało kto co wiedział — ujeżdżano jak na tysej kobyle; ale mimo to uczuwałem, ile razy sprzęgano moje nazwisko z Nietzschem, coś z posmaku, jaki się ma, gdy się zaśnieżdżała metalową płytkę liże. (To wrażenie mogłoby jedynie we mnie zdradzić „dekadenta”).

Nietzscheanistą i *Übermenschem* był jakiś łapserdak, który uwiódł jakąś biedną dziewczynę, a gdy ją sobie sprzykrzył, odstąpił ją komu innemu; *Übermenschem* był człowiek-szantażysta, który z zimną krwią popełniał oszustwa, a nawet własnego brata był w stanie sprzedać; *Übermenschem* stał się bohater mojej powieści *Homo sapiens*, ten nieszczęsny bankrut życiowy, który do obłędu dochodzi, bo go sumienie zabija, a klęka i kaja się przed fanatykiem wiary i ręce mu całuje, że ten fanatyk zdołał ludzkość ukochać. Mało kto rozumiał, że tytuł tej powieści *Homo sapiens* to rozpaczliwa ironia i posępna melancholia, z jaką na tych Falków⁶¹⁷, od których się pod koniec ostatniego stulecia w całej Europie roiło, spoglądałem; a jeżeli ks. Pawełski w „Przeglądzie Powszechnym” zapewniał, że takiego typu w Polsce nie ma, musiałem mu odpowiedzieć, że z takimi typami bezustannie się w Polsce spotykam, wstrętniejszymi jeszcze, bo Falka sumienie rozszarpuje, a przeważna część tego typu, jaki tu w Polsce poznałem, sumienia nie zna. I mało kto rozumiał, że ostatni wykrzyk Falka: *Vive l’humanité*⁶¹⁸ to ogłoszenie doszczętnego bankructwa sercowego i umysłowego.

Jeżeliby na uparte go chciano się w jakimś moim tworze tendencji doszukać, to najłatwiej odnalazłaby się właśnie w *Homo sapiens*, jedna z „najmoralniejszych” powieści, jakie znam. „Bo wszystko popełnione zło tak się mści i w dziesiąte pokolenia mścić się będzie” — teza, którą Ruszczyk w moim dramacie *Złote runo* wygłasza.

Tej całej wrogiej i nienawistnej kampanii przodowała Warszawa. Gnębił mnie bardzo dotkliwie i Rabski, i Chmielowski; pienił się Niemojewski; a dość lichymi żartami starał się Sygetyński wytyczne „Życia” ośmieszyć i zbagatelizować; poważny skądinąd badacz, prof. Krzywicki, „wyrzuchiwał” przeciwko „Życiu” ciężką kolubrynę i sypał najcięższymi pociskami z arsenału pozytywizmu; nie próżnowały pisma humorystyczne, które znalazły obfity żer w „nagiej duszy” i „metasłowie”; jak przed Antychrystem przestrzegała prasa klerykalna przed „Życiem”; a były wypadki, że uczniów, którzy „Życie” czytali, relegowano z gimnazjum.

Trzeba było tej całej nonszalancji życiowej i beztroski urodzonego cygana, a równocześnie bezrozumnej a fanatycznej wiary w tego jednego na tysiąc, a dziesięciu na sto tysięcy, by się oprzeć tym wszystkim, często bezecnym i niechlujnym napaściom i nie pozwolić się wytrącić z tej drogi, na jakiej tak łatwo było sobie nogi połamać. Wprawdzie znalazłem i tego jednego, i tych dziesięciu, ale potrzeba było wielkiej, zwartej kohorty, która by do zwycięstwa doprowadzić mogła — a tej nie było.

Na razie znalazł się ten jeden, któremu „Życie” miało niezmiernie dużo do zawdzięczenia: Stanisław Wyspiański.

Jedno z najsilniejszych artystycznych wrażeń, jakie w Krakowie na samym początku odebrałem, to były witraże tego niezrównanego artysty w kościele franciszkańskim. Nie mogłem się godzić całkowicie na jego polichromię, wydała mi się, aczkolwiek na wskroś oryginalna, zbyt „modernistyczna”, nie licująca z surową, majestatyczną powagą gotyku — nie wyobrażam sobie piękniejszej polichromii w jakimś wiejskim kościele, oczywiście takim, jaki od lat całych w mej wyobraźni sobie wypieściłem, o czym jeszcze później pomówię, ale do gotyckiej świątyni nie nadawał się ten cudownie stylizowany przepych polskich kwiatów polnych — wewnątrz surowego twardego krzyżackiego gotyku nie znosi tej ornamentacji, która by mogła się stać najszlachetniejszą ozdobą wnętrza jakiejś sło-

⁶¹⁷Falk — bohater powieściowej trylogii Przybyszewskiego *Homo Sapiens*. [przypis edytorski]

⁶¹⁸*Vive l’humanité!* (franc.) — Niech żyje ludzkość! [przypis edytorski]

wiańskiej prapolskiej gontyny — natomiast wprawiły mnie te płomienne, przebogate witraże w głęboki zachwyt.

Wprawdzie i tu charakter tych witraży mało co ma wspólnego z gotykiem, ale jest w nich taka płomienista żarliwość, takie olbrzymie *Te Deum* ekstatycznych barw, tryskających z bezdennej głębi widzącej wiary, tej polskiej wiary, która w ciemne mroki północy wkroczyła triumfalnym Dniem Odkupienia — błogim natchnieniem Zielonych Świątek.

Nie przemawia tu dusza średniowiecznego ascety, raczej do olbrzymiej potęgi rozrosła dusza Lenartowicza w jego *Zachwyceniu*.

Piszczalczka, którą sobie Lenartowicz z jakiejś nadwiślańskiej wierzbiny ulinił, przetworzyła się w olbrzymie piszczały boskiego organu, na którym twórczy geniusz Wyspiańskiego wygrywał potężne, nadludzkie hymny ekstatycznego upojenia Wiarą.

Może się to paradoksem wydać, ale nigdy nie mogłem się pozbyć wrażenia jakiegoś wprawdzie odległego, niemniej silnego pokrewieństwa duszy Wyspiańskiego z duszą Lenartowicza, od dziecka ukochanego przeze mnie poety, a gorąco uradował mnie hołd, jaki temu skromnemu „lirnikowi” złożył Jan Kasprowicz w swej pracy, jaką się habilitował na uniwersytecie lwowskim.

Oczywiście, że nie ma tu mowy o jakimśkolwiek wpływie, który by mógł ten skromny „lirnik” na przemożne dusze Kasprowiczów lub Wyspiańskich wywierać — to tylko jedna wspólna, ale niemniej zasadnicza struna, *jedyna*, na której dusza Lenartowicza się rozśpiewała, ale równocześnie *jedna* z najwnikliwszych wśród tysiąca strun na niebiosiężnej harfie jednego i drugiego twórcy.

Kto się głębiej, a raczej bardzo głęboko wżyje w objawienie Kasprowicza czy też Wyspiańskiego, temu nietrudno będzie wysłuchać z setek innych strun to niemal dominujące „g” Lenartowicza, to pokorne, skromne, zachwycone, rozmodlone „g” — święte, polskie „G”, które nic nie ma wspólnego z demonicznym, wirtuozowskim „g” Paganiniego — posłyszysz je nawet w symfoniach o tak olbrzymim rozpięciu, jak *Hymny* Kasprowicza, usłyszysz je, a więcej nadto: *ujrzysz je* w plastycznym tworze Wyspiańskiego — w jego kwiatach, w jego bezlicznych główkach dzieci, a nawet rozpoznasz je dokładnie w ilustracjach do *Iliady* — w jego Achillesie, Jutrzence, Thetis.

A i mnie uroczyście dusza, ilekroć razy w niej to „g” Lenartowicza posłyszę.

Jak dziś pomnę to piękne popołudnie październikowe — nigdy nie przeżyłem w Polsce tak cudownej jesieni, jak właśnie ta, na jaką w Krakowie po moim przyjeździe do Polski natrafiłem — kiedy Nowaczyński przyprowadził wreszcie Wyspiańskiego do małej kawiarni w Sukiennicach, by nas z sobą zapoznać.

Wyspiański nie miał wtedy jeszcze 30 lat, wyglądał niepokaznie, choć piękna twarz jego uwagę do siebie przykuwała, wydawał mi się być nieśmiałym — a przecież rzadko kiedy spotykałem twórców tak bezwzględnie pewnych siebie; a gdym się nie tał z moim entuzjazmem dla jego witraży, uśmiechał się bezradnie, coś niecoś przebąkiwał o oo. franciszkanach, którzy mu w pracy przeszkadzali, a nawet ją ubezwładniali bezustannym wtrącaniem się w jego twórcze zamiary; rozgrzał się trochę, gdym mówił o Paryżu, o witrażach w St.-Germain-l’Auxerrois, i St.-Germain-des-Pres; z zaciekawieniem słuchał moich opowiadań o katedrach w Toledo, Burgos, Avili; oczy mu się zaświeciły, gdym bardzo wysoko stawiał wartość artystyczną jego *Legendy* — z wolna lody się przełamały — Wyspiański stał się rozmowniejszy; zaczęliśmy mówić o Maeterlincku, o Szczepańskim, o „Życiu”, a po jakiej godzinie uczułem, że znalazłem artystę, z którym mógłbym podzielić trudy redakcyjne, to znaczy, któremu mógłbym poruczyć cały dział sztuk plastycznych.

Opowiadano mi dużo o dziwactwach Wyspiańskiego, więc nie wiedziałem, czy przyjmie propozycję, z jaką przyszedłem, a już przecież od paru tygodni szukałem go na próżno — jeżeli teraz przyszedł, to na pewno uległ namowom Nowaczyńskiego.

Wyłożyłem mu, o co chodzi; przyrzekłem mu absolutną swobodę w obrębie redakcji jego działu; dałem mu zapewnienie, że nie będę się w nic wtrącał, co w swoim zakresie postanowi — popatrzył na mnie bacznie, zamyślił się na długą chwilę, a potem ku mej szczerzej radości wyraził swoją zgodę.

Odtąd widywaliśmy się już codziennie, wzajemny szacunek ułatwił nam porozumienie, a gdy widział, że istotnie dotrzymuję mego przyrzeczenia i pozostawiam mu całkowitą swobodę w redakcji — w tym dziale, jaki mu poruczyłem — stał się redaktorem, ale nie na papierze, którego by poza jego obowiązkami nic nie obchodziło — przeciwnie — wziął niejako nadzór nad całym pismem.

Ja już od dawna odczuwałem ten dział naukowo-społeczno-polityczny, jaki redagowała pani dr Zofia Daszyńska, jako balast w piśmie, które przecież w głównej mierze było literaturze poświęcone.

Jedno z drugim się nie wiązało, a nawet wiązać się nie mogło wskutek diametralnej rozbieżności między poglądami moimi a pani Daszyńskiej. „Życie” Szczepańskiego wzorowane było na podstawie szablonu, jaki się już od kilkudziesięciu lat wytworzył w warszawskich tygodnikach, w których literatura nie klóciła się z społecznym pozytywizmem, bo była na usługach „pracy publicznej” — w moim „Życiu” dział ten stał się „ni przypiął ni przylatał”. Pani Daszyńska ciągnęła na lewo, ja na prawo, i na odwrót.

Do otwartej jednak wymiany zdań między panią Daszyńską a mną nigdy nie doszło. „Życie” za wiele jej zawdzięczało, by postawić kwestię na ostrzu noża, to znaczy, że „Życie” będzie pismem jednolitym: albo wyłącznie poświęconym literaturze, lub też nauce i naukom społecznym, przecież jeszcze przed miesiącem spłaciła pani Daszyńska stare długi „Życia” w kwocie 500 guldenów, a było to wielką ofiarą w tych warunkach, w jakich pani Daszyńska żyła, ofiarą, której „Życie” dalszy byt zawdzięczało.

To już Wyspiańskiego nic nie obchodziło — zupełnie nie uznawał tych względów, jakie mnie krępowały — a Wyspiański był bezwzględny tą bezwzględnością artystów, którzy poza obowiązkami wobec sztuki żadnych innych nie uznają, i tak wybuchła jednego dnia ta „pałacowa rewolucja”, jak nazwał złośliwie Rabski rozłam w redakcji „Życia”, który krótko po wstąpieniu Wyspiańskiego do „Życia” miał nastąpić.

W początkach mej redakcji nadsyłał do „Życia” obszerne korespondencje Andrzej Niemojewski, w których poza sprawami społecznymi wygłaszał swoje pozytywistyczne poglądy na sztukę.

Dwóch korespondencji udało się nie wydrukować, ale gdy nadeszła trzecia, wytłumaczyła mi pani Daszyńska, jakim poważaniem cieszy się w literaturze polskiej Niemojewski i jakim byłoby to dla niego afrontem, gdyby i teraz korespondencji jego nie pomieszczono.

Uległem ze względu na panią Daszyńską, ale przypadek chciał, że gdy nadeszła korekta, zjawił się w redakcji Wyspiański. Przeczytał artykuł i powiedział:

— Ja tych bredni drukować nie będę.

— Jak to pan?

— Mam zastrzeżoną zupełną swobodę w rzeczach sztuki, więc tego artykułu nie przyjmuję.

Z każdym słowem rozmowa między Wyspiańskim a panią Daszyńską się zaostrzała, a skończyła się oświadczeniem pani Daszyńskiej⁶¹⁹, że dalszego udziału w redakcji nie bierze.

Dla mnie scena ta była nad wszelki wyraz przykra, bo wiedziałem aż nadto dobrze, co „Życie” pani Daszyńskiej zawdzięcza, ale znowu w żaden sposób nie mogłem się wyzbywać niezmiernie cennej pracy Wyspiańskiego, któremu zewnętrzny wygląd „Życia”, jego w wysokim stopniu artystyczny układ, który zdobył sobie wysokie uznanie Miriamy, gdy mi pisał, że „Życie” pod tym względem może rywalizować z najwytworniejszymi wydawnictwami w Europie, wszystko bezwzględnie zawdzięcza.

I odtąd stało się „Życie” tym, czym powinno być od samego początku, a więc pismem ściśle literackim⁶²⁰.

Szablon tygodników warszawskich pozytywistów dawno się już był przeżył, bo właściwie przemycano w tygodnikach tak zwanych „literackich” głównie tendencje społeczne („Prawda”, „Głos”, „Przegląd Tygodniowy”), ale pismo takie to ni pies, ni wydra. „Spo-

⁶¹⁹skończyła się oświadczeniem pani Daszyńskiej — w „Życiu” nr 46 z 1898 r. [przypis edytorski]

⁶²⁰odtąd stało się „Życie” tym, czym być powinno — po oświadczeniu Daszyńskiej, że wycofuje się z Redakcji „Życia”, zmienia ono podtytuł z „Tygodnik Ilustrowany Społeczno-polit. i Naukowy” na „Tygodnik Ilustrowany Literacko-artystyczny”. [przypis edytorski]

lecznikostwo następowało przeważnie na pięty literaturze, a ta literatura zdobywała sobie o tyle miejsce, o ile była odzwierciedleniem społecznej ideologii”.

Toteż niesłusznie żegnała „Życie” pani Daszyńska rozżalonymi słowy, wyrażającymi zawód, jaki ją spotkał:

Nowoczesna sztuka zazdrosną jest i wyłączną, zahipnotyzować pragnie ludzi, odwrócić ich uwagę od wszelkich zadań społecznych, poniża naukę i wszelaką świadomą a celową działalność, w ludzie widzi przeszkodę dla indywidualności prawdziwych lub mniemanych wielkich ludzi⁶²¹.

A przecież tu chodziło o całkiem coś innego — co by pani Daszyńska powiedziała na to, gdyby ktoś zechciał ministerium sztuki zrobić apendyksem ministerium dla handlu, przemysłu lub robót publicznych?

I teraz weszło „Życie” na właściwe tory, chociaż w ostatnich czasach tak czy tak został dział naukowo-społeczny zepchnięty na krawędź i coraz więcej ustępował literaturze.

Przecież już w pierwszym kwartale pod moją redakcją drukowałem wspaniały poemat-dramat Wyspiańskiego *Warszawianka*⁶²², który niezadługo potem wystawiony na scenie teatru krakowskiego przez Tadeusza Pawlikowskiego⁶²³ za moim usilnym i gorącym wstawiennictwem (sam Pawlikowski nie miał dystansu do tworu Wyspiańskiego) — miał wywrzeć bardzo silne wrażenie. Marię w *Warszawiance* grała Wanda Siemaszkowa⁶²⁴ z taką wizyjną mocą i współtwórczą siłą, że wyolbrzymiła Marię do potęgi jakiejś złowrogiej Kasandry, a wstrząsający dreszcz wielkiego objawienia zbiegł całą widownię, gdy Maria-Siemaszkowa opadła całym ciężarem na klawisze szpinetu, wyczerpana proroczą wizją.

Rzadko kiedy przeżywał teatr krakowski tak wielką i uroczystą chwilę. Wprawdzie krótko potem padł dramat Wyspiańskiego *Leleweł* i paść musiał, mimo wszystkich wysiłków aktorów, bo ten całkiem niesceniczny dramat był raczej rozprawą, a nie dramatem, ale *Warszawianka* zaryła się już tak głęboko w serce krakowskiej publiczności, że odtąd zaczęto poważnie liczyć się z Wyspiańskim, który w dwa lata potem miał stanąć swym *Weselem* na piedestale wieszca narodowego.

Dla mnie był Wyspiański pogrobowcem tak zwanego romantyzmu, uosobionym w trójgłowym (polskim Triglavie) fetyszu, a może i bóstwie narodowym: Mickiewicz-Słowacki-Krasieński, ale wątpię, czy w całym wszechludzkiem piśmiennictwie znalazłby się twórca, który by się stał w tej ogromnej mierze „epilogiem” zdałoby się już całkiem zamkniętej epoki.

Jako człowiek był Wyspiański niezmiernie skryty i rzadko kiedy swe myśli wypowiadał. Nie można się było nigdy od niego dowiedzieć, co o tym lub owym artyście myśli; tylko wtedy, gdy była mowa o Matejce, zapalał się i nie znośli, jeżeli ktośkolwiek do Matejki krytycznie się odnosił.

Do pracowni jego, wąskiego pokoju w małej, teraz już nieistniejącej kamieniczce, naprzeciw głównej nawy Kościoła Mariackiego, trudno się było dostać i rzadko kogo do niej wpuszczał; zdawał się przyjaźnić z Lucjanem Rydlem, co mu nie przeszkadzało ośmieszać go wyraźną kpina, a wyobrazić sobie można zdumienie Włodzimierza Tetmajera, gdy go nagle zaprosił w kumy przy chrzcie swoich trojga dzieci.

O tym już zgoła nikt nie wiedział.

Kochał muzykę, a może mało kto znał tak dokładnie Wagnera w Krakowie, jak właśnie on — i w poezji doszukiwał się przede wszystkim muzyki: *de la musique avant toutes choses*; toteż nie dziw, że ukochał sobie Maeterlincka tomik poezji: *Serres chaudes*⁶²⁵ — każdy poemacik ilustrował na marginesie, a nawet poprzez drukowany tekst ołówkiem; a przeważnie odtwórcza wizja Wyspiańskiego górowała nad tekstem Maeterlincka. Cały

⁶²¹Nowoczesna sztuka (...) wielkich ludzi — cytat z oświadczenia Daszyńskiej w „Życiu” nr 46 z 1898 r. [przypis edytorski]

⁶²²drukowałem poemat-dramat Wyspiańskiego „Warszawianka” — w „Życiu” z listopada 1898 r. nr 45 i 46. [przypis edytorski]

⁶²³Pawlikowski, Tadeusz (1862–1915) — dyrektor teatru krakowskiego (w latach 1893–1899) i lwowskiego (1899–1906); reżyser. [przypis edytorski]

⁶²⁴Siemaszkowa, Wanda (1870–1946) — aktorka tragiczna teatru krakowskiego. [przypis edytorski]

⁶²⁵*Serres chaudes* — dosł.: Ciepłarnie; tytuł szkiców poetyckich Maeterlincka, będących próbą transpozycji muzyki i malarstwa do poezji. [przypis edytorski]

ten bezcennej artystycznej wartości tomik rozszarpano po śmierci Wyspiańskiego, kilka zaledwie stronnic zdołał uratować namiętny wielbiciel Wyspiańskiego w Krakowie, Włodzimierz Żuławski, kilka stronnic znajdziesz porozrzucanych w rękach prywatnych, którzy je powykupowali od żydowskich antykwariuszy, ale gdyby ktoś zdołał zebrać całość, spełniłby wielki istotnie czyn: nazwisko Wyspiańskiego, złączone z Maeterlinckiem, stałoby się bardzo ważną propagandą w Europie dla twórczości polskiej.

I kochał gotyk: widziałem u niego całe stosy rysunków, oddających z zdumiewającą wnikliwością najpiękniejsze szczegóły katedr gotyckich we Francji, w Paryżu, Chartres, Orleans, Amiens, których zwykle oko przeważnie nie dostrzega, a które on tylko dostrzec zdołał, bo sam miał w sobie tę skrytość i tajemniczość gotyckich mistrzów, którzy największe piękności starali się ukryć przed oczami *profanum vulgus*⁶²⁶.

Z jakim zachwytem wpatrywałem się w te jego architektoniczne rysunki, a jestem przeświadczony, że Wyspiański byłby się mógł, gdyby był zechciał, wypowiedzieć w architekturze z równą, jeżeli nie większą siłą, jak w malarstwie i literackim swym tworze.

O sobie nigdy *nic* nie mówił, niezmiernie rzadko objawiał swoje sympatie, a jeszcze rzadziej antypatie, chyba że czasami w mocno złośliwością zabarwionym sarkazmie dawał odczuć dystans między sobą a osobnikiem, którego nie lubił.

Gdy mu się ktoś sprzeciwiał w jego sądach i zamierzeniach, zdawał się słuchać, ale też tylko „zdawał”, bo w istocie obcy sąd dla niego nic nie ważył — był apodyktyczny aż do dziecinnego uporu nawet w takich rzeczach, które powinien był zrozumieć: np. brak pieniędzy. Ponieważ podówczas nikt w Krakowie nie mógł dostarczyć kliszy do rysunków, zamawiał je Wyspiański w Pradze, a te znowu były bardzo kosztowne. Zwróciłem mu uwagę, że „Życie” żadną miarą tych kosztów pokryć nie może, odpowiadał uporczywie: — Pieniądze znaleźć się muszą! — Ale skąd? — pytałem. — Każdy, kto ma pieniądze — odpowiadał — powinien by sobie za zaszczyt uważać, że łoży na „Życie”. — Roześmiałem się boleściwie na ten argument, ale żadnej rady nie było: klisze trzeba było na pocztę wykupić — trzeba było się zapożyczać. Raz i drugi dźwignął śp. Michałowski, ojciec młodo zgasłego malarza Michałowskiego, rówieśnika Artura Grottgera, jeżeli mnie pamięć nie myli, „Życie” z najcięższych opresji, ale to też tylko do czasu — wprawdzie „Życie” wzmogło się od razu kilku setkami abonentów, więcej aniżeli miało ich dotychczas, ale daleko było do tego, by mogło pędzić swój żywot o własnych siłach.

Kwestia finansowa Wyspiańskiego nic nie obchodziła: pieniądze musiały się znaleźć i na tym koniec.

Było z nim mówić o jego tworze, uśmiechał się o mało co że nie dobrotliwie, bo cóż mu mógł ktoś o nim samym powiedzieć?

Ile razy z nim mówiłem, miałem wrażenie, że mówię do artysty tak świadomego swej mocy, że go nic zgola jakiś obcy sąd nie obchodził, a ustawicznie przychodził mi na myśl wiersz niemieckiego liryka, Arno Holza, który kpi sobie z całego świata, bo:

*Ich bin mein eigener Dalai-Lama,
Ich bin mein eigener Jesus Christ!*

Stosunki, w jakich poonczas Wyspiański żył, były więcej niż oplakane — przypadkiem tylko się dowiedziałem, jak ciężko musi się z życiem borykać. Do Krakowa przyjechał wtedy jeden z bogatych Natansonów, który chciał w Warszawie stworzyć wydawnictwo, jakiego tam jeszcze nie było — słowa Natansona — i z tym przyjechał do mnie. Od razu zaprowadziłem go do Wyspiańskiego. Natansonowi chodziło o ilustracje do jakiegoś dzieła, a Wyspiański doskonale wiedział, z kim ma do czynienia. Uchodził przecież Natanson za człowieka, który nie wie, co z swym milionem począć. Ale miast zachęcić Natansona, czynił Wyspiański wszystko, by go od siebie odstręczyć. Z ciężkim trudem ratowałem sytuację, bo Wyspiański milczał, a gdy wreszcie Natanson położył na stole dwieście guldenów zaliczki, nie raczył nawet na nie spojrzeć. A przecież te pieniądze były w danym razie dla niego ratunkiem.

„Życiu” oddał Wyspiański nieocenione przysługi. Co za olbrzymia różnica w wyglądzie zewnętrznym „Życia” za czasów Szczepańskiego, a tego „Życia”, którym mógł Wyspiański swobodnie rozporządzać.

⁶²⁶*profanum vulgus* (łac.) — niewtajemniczony (ciemny) tłum. [przypis edytorski]

Kilka równoległych linii u góry i dołu jako obramowanie tekstu, umiejętnie rozmieszczenie tegoż, tak że obok jednej zadrukowanej kolumny pozostawała druga, na której zwykle był pomieszczony jakiś rysunek, staranny dobór rozmaitego typu czcionek — otóż to te najprostsze środki, które dawały „Życiu” ten wysoce artystyczny wygląd, który po dziś dzień mógłby świecić przykładem.

Praca Wyspiańskiego naokoło „Życia” była w ogóle dla całego druckarstwa polskiego niejako rewelacją. Na „Życiu” wzorowała się istotnie cała współczesna typografia polska.

Nieobliczalny i niedostępny, Wyspiański bywał niekiedy boleśnie szczery.

Byłem świadkiem przykrew sceny. Jeden z jego najgorętszych wielbicieli zaproponował mu na uczenie, którą specjalnie dla niego urządził — „ty”. Wyspiańskiego jakby osa ukąsiła:

— A to z jakiej racji? — zapytał, aksamitnie uśmiechnięty, ale tym swoim uśmiechem, który mógł człowieka na całe mile odrzucić.

Pooczas pozostawało „Życie” w bardzo bliskich i serdecznych stosunkach z czeskim miesięcznikiem „Moderní Revue” Arnosta Procházki. Już na parę lat przed moim przyjazdem do Polski zwrócił się do mnie Arnost Procházka, a drukował wszystko, com jeszcze w niemieckim języku ogłaszał, równocześnie w swoim miesięczniku. Nazwisko moje stało się nagle w Czechach popularne, zanim jeszcze ktoś w Polsce coś o mnie wiedział. A w Pradze studiował wtedy Maciej Szukiewicz i Szukiewicz rozgłosił pierwszy moje nazwisko w kilku felietonach w Polsce i zwrócił się do mnie kilkoma bardzo serdecznymi listami, a listy te były pierwszym nawiązkiem między mną a Polską. Tak więc dostałem się do Polski właściwie przez Pragę.

A wielką pomocą był mi Arnost Procházka, gdym objął „Życie”. Nadesłał mi cały szereg klisz reprodukowanych w jego piśmie z obrazów, sztychów i litografii nieznanymi dotąd w Polsce artystów, a którzy mieli wielki wpływ wyrzucić na młodą generację polskich malarzy, pisywał do „Życia” sam Procházka i jeden z najtęższych młodych twórców czeskich, Jerzy Karasek, który pierwszy zapoznał Polskę z tym wielkim twórcą, jakim jest Otokar Brzezina, z innej zaś strony wywarło wielkie wrażenie wspaniałe studium Oli Hanssona o Edgarze Poe⁶²⁷ i Barbey d’Aureville. Najobszerniejsze wywody na temat tak zwanej „nowej sztuki” nie zdołałyby zastąpić choć w części tego rewelacyjnego bogactwa, jakie Ola Hansson w tych swoich studiach nagromadził.

„Życie” zaś gromadziło na swoich łamach planowo i celowo z rodzimej i obcej literatury to wszystko, co by mogło polską sztukę wprowadzić na tory, na jakich mogłaby znaleźć na oścież otwartą bramę do tej wyjątkowej Europy, której uznania tak żarliwie pragnęła.

To by było wszystko bardzo pięknie, gdyby nie ustawiczny brak funduszy, które by mogły „Życiu” jaki taki pewny byt zabezpieczyć. Rwało się ustawicznie na całym tym płótnie. Zaledwie zadziergnięte szwy, bezustannie się rozpruwały, gdzie się jakąś dziurę zacerowało, w jakimś miejscu nowa i groźniejsza powstawała; i pewno ani ja, ani kochany Wyspiański nie zdołalibyśmy utrzymać „Życia” przy życiu, mimo że Wyspiański z coraz większym uporem twierdził, że pieniądze znaleźć się muszą, gdyby się nie był nagle zjawił na naszej widowni artysta o wysokiej literackiej kulturze i o środkach pieniężnych, którymi zwykle tego rodzaju artysta nie rozporządza:

Stanisław Wyrzykowski⁶²⁸.

Skąpa była twórczość Wyrzykowskiego, acz bardzo wytworna, przynajmniej w tych paru poematach, które w „Życiu” ogłosił, niemniej ukochał fanatycznie sztukę, a zaiste niemałe poświęcenia dla niej robił — jeżeli jakąś część swego majątku ofiarował „Życiu”, to doprawdy nie dlatego, by zrobić jakiś interes, bo zbyt dobrze znał stosunki, by nie wiedzieć, że wszystko, co daje, idzie *à fonds perdu*⁶²⁹ — ale jedynie z tej bezinteresownej miłości do jakiejś rzeczy, z którą się ukocha, a zarazem wie się doskonale, że trzeba dla niej ofiarę ponieść.

Wprawdzie nabył „Życie” Wyrzykowski tanio, bo zdaje się, że Sewerowi, właścicielowi „Życia”, zapłacił sto guldenów — dowód, jak nisko stały akcje „Życia” — ale zdawał sobie

⁶²⁷ studium Oli Hanssona o Edgarze Poe — w „Życiu” krak. z 1899 r. nr. 1–4. [przypis edytorski]

⁶²⁸ Wyrzykowski, Stanisław (1873–1949) — powieściopisarz, poeta i tłumacz, współredaktor krakowskiego „Życia” od stycznia do grudnia 1899 r., członek redakcji „Chimery”; napisał *Plon życia*, przekładał Poe’go, Nietzschego, Hofmannsthalę. [przypis edytorski]

⁶²⁹ *à fonds perdu* (fr.) — na przepadłe; na marne. [przypis edytorski]

sprawę, jak wielkie inwestycje go czekają, jeżeli to pismo ma już w dalszym ciągu bez wszelkich przeszkód wychodzić.

Stanisławowi Wyrzykowskiemu należy się bezwzględnie wdzięczna kartka w piśmiennictwie polskim, choćby już dlatego, że brał gorący udział w tej rewolucji — wówczas to było rzeczywistą rewolucją — jaką w piśmiennictwie polskim wywołało moje *Confiteor* (1 stycznia 1899).

Zbyt znane jest to moje „wyznanie wiary”, bym je miał tu *in extenso* przytaczać, ale to *Confiteor* wywołało ciężkie nieporozumienie między społeczeństwem a mną — wtedy wciąż jeszcze identyfikowano „Życie” ze mną, chociaż usilnie się starałem usunąć się na ostatni plan.

W całym tym moim programowym manifestcie, z którego i dziś ani jednego słowa nie mógłbym odwołać, żałuję tylko, że w zbyt młodzieńczej, brawurowej bucie cisnąłem w twarz społeczeństwu owo wzgardliwe i obelżywe przezwisko: „Mydlarze!”, które taką olbrzymią wrzawę wywołało, jakiej jeszcze w Polsce nikt nie wzniecił od czasu, kiedy to Mickiewicz rozprawiał się z swoimi warszawskimi krytykami.

Nie byłem jeszcze na tyle dojrzałym — a może za mało „chytrym Wielkopolaninem” — by, zamiast wołać pogardliwie: „Mydlarze”, stanąć na jakimś „wychowawczym” poniekąd stanowisku i wytłumaczyć — na ogół chętnemu posłuchu społeczeństwu — to ciężkie nieporozumienie między nim a twórcą, wywołane prawie li tylko przez złą wolę, nieuctwo lub też ślepą namiętność zawiści ludzi, którzy je o sztuce informują.

Nie trzeba było rzucać na oślep rękawicy społeczeństwu, które Bogu ducha winne, ale tym, którzy mu się na prowodyrów narzucają, tym, którzy nic nie rozumieją ani rozumieć nie chcą, tym, którzy według słów Rémy de Gourmont są dumni ze swego niezrozumienia i z frazesowych lachmanów, jakimi odziewają swą wstrętną nagość duchową, jak inni są dumni z swego talentu i bogactwa idei.

To nie społeczeństwo winne krzyżowaniu twórców, ale ten przepotężny „krytyk”, który nic nie rozumie, nie jest wrażliwy ani na poezję, ani na muzykę, nawet na najoczywistszą logikę, i głuchy jest, ale nie niemy, bo gdziekolwiek spotka się choćby z najszerszym przejawem sztuki, który mu się czymś nowym i dotąd jeszcze niebywałym wydaje, wrzeszczy wniebogłosy: „Ja nie rozumiem!”

Wiecznie powtarza się to samo!

Tak było za czasów Mickiewicza i to samo powtórzyło się za czasów istnienia „Życia”.

I zwykle znajdzie się w przełomach sztuki jakiś taki krytyk — ale przeważnie w liczbie mnogiej — jak spod ziemi wyrasta cały zastęp tych głuchych i ślepych, którzy nic nie rozumieją, ale za to z zacieklą furią tępią i trzebią na oślep wszystko, co się z ich odwiecznego, strupieszalego kanonu wyłamać pragnie.

A straszny jest ten krytyk, tym straszniejszy, że możność tego haniebnego *liberum veto* daje mu zwykle poważanie siwizny, wątłych łydek i jakichś tam zasług, gdzieś kiedyś i kędyś spełnionych.

Tak! Tak! Pomściło się na mnie obelżywe słowo!

Społeczeństwu, które wyczekiwało spokojnych, rzeczowych wyjaśnień, które było gotowe przyjąć nawet najśmielsze wyznanie wiary, byleby było tylko jasno wytłumaczone, już nie uprzejmie, ale z głęboką, niewyzywającą powagą uzasadnione, cisnęło się wtedy zuchwałe wyznanie, i to nieporozumienie pomściło się:

Bo w tej samej chwili zjawił się potężny ON w przeraźliwej liczbie mnogiej, i cała ta czeredź⁶³⁰ przeciwstawiła się społeczeństwu, głęboko zawstydzonemu, że czegoś nie rozumie, i wywijając rękoma uśmierzała lęk i trwogę ludzi słabego ducha, a z takich przeważnie społeczeństwo się składa:

„Cóż to za popłoch padł na was?! — Czegóż wy się wstydzicie? Patrzcież! My mamy odwagę głośno i w imię najświętszych ideałów, odwiecznych, ustalonych praw przyznać się, że nic nie rozumiemy — my, których za swych przewodników uważaliście, a Wy upadacie na duchu?!”

Jacyście Wy naiwni! Macie przecież do czynienia z megalomaniacznym obłądkiem: to, co czytacie, to stek niezrozumiałych, obłąkanych słów — to, co słyszycie, to infernalna kakofonia — to, co widzicie, to majak chorych oczu, przed którymi deliryczne wizje

⁶³⁰czeredź — dziś popr.: czereda. [przypis edytorski]

przelatują — idźcie zatem spokojnie do domów Waszych i cieszcie się, że — My! — nie dopuściliśmy, by Was na manowce wprowadzić!”

I publiczność przysłuchuje się z zapartym oddechem tej mowie, szczęśliwa, że wreszcie swobodnie odetchnąć może.

Publiczność nie zajmuje się sztuką — ma ona tylko głuchą tęsknotę za sztuką, ma pragnienie zrozumienia tych objawień w niejasnym przeczuciu, że są one zarówno objawieniem własnej jej duszy, ale nie jest w stanie sama o własnych siłach o wartości tych objawień w sztuce rozstrzygać. Nie śmie! Publiczność jest nieśmiała i pokorna. Czasami jedno słowo starczyłoby, aby obudzić w niej głębsze zainteresowanie — ba! nawet entuzjazm dla jakiegoś tworu — rozumie niby, ale nie rozumie, bo nie dowierza sobie i szuka bezradnie wokół siebie tego „powołanego”, który by jej rzeczy zaledwie przeczute mógł jasno uświadomić.

Publiczność zwraca się do artysty, ale ten się hermetycznie od niej oddziela śmiesznie głupim: *odi profanum vulgus et arceo*, więc zirytowana — wreszcie zirytowana — udaje się po poradę do wszechwiedzącego znachora, jaki tronuje w każdej szanującej się redakcji, by ten jej rzecz całą wytłumaczył.

A taki znachor-krytyk wie wszystko: nie miał nigdy pędzla w ręku, a jednakowoż poprawia z zdumiewającą pewnością obrazy malarzom, wytyka im błędy, które są istotnymi zaletami, a sławi ponad wszystko szczegóły, których malarz się wstydzi; — on wytyka pisarzom wpływy, o których im się nie śniło, przytacza wrzekomo kradzione ustępy z książek, których ten biedny autor nigdy nie czytał, robi go duchowym synem jakiegoś kraju, w którym ten nieszczęsny autor przypadkowo przebywał — o, *quos ego*⁶³¹? — poprawia mu dramaty, właśnie w tych miejscach, które autor w najgłębszym natchnieniu tworzył; — a przy tym sypie jak z rękawa taką oszalałającą obfitością wiedzy filozoficznej, historycznej, socjologicznej, zdumiewa znajomością Bóg wie jakich prawideł estetycznych, poczynawszy od Arystotelesa aż do Dmochowskiego, tak że publiczność, całkiem oglupiała tą przerażającą potęgą infernalnego nieuctwa i pychą nadętej tępoty, zapomina całkiem o obrazie czy to o utworze autora — podziwia tylko erudycję swego znachora, znajomość dat, galerii, obcowanie z uznanymi już wielkościami, a przede wszystkim niezawodną sprawność, z jaką każdy artysta zaszufadkowany być może.

Znachor ten leczy doszczętnie publiczność z tęsknoty za sztuką, która jest jedna i niepodzielna, natomiast ukazuje jej szafeczkę z tysiącami przegródek, całkiem taką samą, jaką po aptekach widzimy, a na każdej przegródce wypisany jakiś „izm”.

W przeciągu trzydziestu lat figurowałem w następujących „izmach”: idealizm, realizm, naturalizm, weryzm, solipsyzm⁶³², dekadentyzm, satanizm — podlegałem wpływom nocnych kawiarni w Berlinie, byłem mystagogiem i kapłanem przy czarnych mszach, wchłaniałem w siebie Strindberga, Nietzschego — ideologia moja wyrosła z szczepu niemieckich mistyków, Novalisa przede wszystkim.

O Jezu! Jezu, jaki Ci ja wdzięczny, żeś mnie doszczętnie wyprał z wszelkiej literackiej próżności — inaczej bym pewno dawno już ziemię gryzł albo przynajmniej boleśnie odcierpiał, jak on nieszczęsny Gerhart Hauptmann, który każdą nieprzychylną lub złośliwą krytykę odchorowywał.

Ale to jeszcze mało!

Między tymi zasadniczymi „izmami” są jeszcze tysiączne odcienia według zasady mieszaniny kolorów: kolory złożone lub podwójne; ponieważ można ułożyć kolor fioletowy z czerwonego i niebieskiego, dłączegóż by nie można połączyć „nagą duszę” z satanizmem i priapizmem, rozszałałem w piekielnych orgiach płciowych — zielony kolor otrzymuje się z żółtego i niebieskiego, dostrzegamy to w prerafaëlitycznej lubieżności, kąpiącej się w czystości Nazareńczyków — och, co za opętane wizje:

⁶³¹*quos ego* (łac.) — dam ja wam! [przypis edytorski]

⁶³²*solipsyzm* — skrajny idealizm subiektywny, zakładający, że świat nie istnieje obiektywnie, a istnieją tylko nasze wyobrażenia o nim. [przypis edytorski]

Klimt⁶³³ ożeniony z Maeterlinckiem, Corneliusz⁶³⁴ z Overbeckiem⁶³⁵, Beardsley⁶³⁶ z Botticellim⁶³⁷ niosą mirrę i kadzidło Courbetowi⁶³⁸ lub Delacroix⁶³⁹, Jacek Malczewski⁶⁴⁰ wyskoczył z głowy Böcklina — obaj malowali — centaury.

Ale dosyć tych błazeństw!

Publiczność teraz odetchnęła — teraz już wyzwolona: zrozumiała wszystko. Cóż ją teraz sztuka obchodzi? Szczęśliwa jest, że jedno dzieło może wepchnąć w szufladkę „symbolizmu”, inne zaś „secesjonizmu” — tamto znowu „dekadentyzmu” — publiczność stała się tak mądra jak jej Egregor⁶⁴¹ — wie już teraz, przed czym plackiem padać, z czego się wyśmiewać, co kadzidłem obwonić, a co błotem obrzucić.

Bo przy tym oglądzie sztuki dał potężny znachor-krytyk przede wszystkim jedną wytyczną: o ile jakiś utwór jest zdrowotny, społeczny i przynosi pożytek.

Ja na razie nie uświadamiałem sobie, że społeczeństwo może stawiać artyście jakieś wymogi, a społeczeństwo nie rozumiało, że mógł się jakiś artysta zjawić, który się odważył wystąpić z tak namiętnym protestem przeciw uroszczeniom społeczeństwa.

Wychodziłem z założenia, na jakie społeczeństwo żadną miarą zgodzić się nie mogło.

Spółeczeństwo szuka w sztuce celu i pożytku — przyzwyczyliło się do tej niezłomnej wiary, że i cały twór boski dla jego specjalnej przyjemności stworzony: kwiaty, by człowiek mógł je wahać, zwierzęta, by mu za pokarm służyły itd., itd. I to naiwne pojęcie starał się człowiek, który mało co nad małpę wyrósł, rozciągnąć i na objawienie, jakim jest sztuka. Zaczął o to pytać, jakie korzyści mu sztuka przynosi, jakie ma cele i jaki sens.

Przecież i życie całe ma jakiś sens i cel, a przede wszystkim ten, by Boga miłować, Go uwielbiać, dostać się po śmierci na Jego łono lub też bezustannie konać w męczarniach ognia piekielnego, poprzez całą wieczność; i to bezgranicznie naiwne ujęcie celu i sensu tego, co istnieje, to barbarzyńskie wartościowanie tego, co jest, miarą korzyści i pożytku, jakie człowiek z niego odnosi, wywołało ten niesłychany zamęt w pojęciach o sztuce.

A przecież sztuka jest całkiem tym samym, czym jest słońce, które nie na to chyba istnieje, by człowieka rozgrzewać, czym jest drzewo, które nie na to chyba rośnie, by człowiek mógł się w jego cieniu wylegiwać i owoce jego zjadać — i tak, jak natura jest sama w sobie celem, także i sztuka, niezależnie od tego, czy nam pomaga lub szkodzi, czy jest dla nas sympatyczna lub wstrętą, umoralnia nas, czy też „jad zepsucia” w nas sący. Och, ten słynny „jad zepsucia”!

*L'art, c'est l'art*⁶⁴²! Stary Beranger⁶⁴³ huknął przy tym pięścią w stół, oburzony, że się go ktoś o cele sztuki pyta, i trafił tym powiedzeniem w samo sedno.

Tu słyszę oburzony okrzyk:

Co za bezsens! Jakże można równać naturę z sztuką! Natura powstała bez udziału człowieka. Sztukę atoli wytwarza człowiek — człowiek zaś żyje w społeczeństwie, a więc sztuka powstaje w społeczeństwie, musi mieć zatem cele społeczne, ustrojowi społeczeństwa odpowiadające i najpomysłniejszemu jego rozwojowi podatne.

Otóż argumentacja z gruntu fałszywa!

Obraz świata, Religia,
Wierzenia, Sztuka, Korzyść

Sztuka, Natura

⁶³³ *Klimt, Gustav* (1862–1918) — malarz austriacki, przywódca secesji wiedeńskiej. [przypis edytorski]

⁶³⁴ *Corneliusz* — prawdopodobnie jeden z malarzy niemieckich nazwiskiem Cornelius: *Peter von Cornelius* (1783–1867), ilustrator utworów romantycznych, m.in. *Fausta* Goethego oraz autor obrazów apokaliptycznych wizji; *Fritz von Cornelius* (1869–1909), pejzażyista. [przypis edytorski]

⁶³⁵ *Overbeck* — prawdopodobnie Friedrich Overbeck (1789–1869), malarz i grafik niemiecki; autor obrazów o treści religijnej oraz fresków w kaplicach rzymskich. [przypis edytorski]

⁶³⁶ *Beardsley, Aubrey* (1872–1898) — rysownik angielski, w swych ilustracjach do utworów Wilde'a i in. stosował elementy ornamentacyjne i fantastyczne. [przypis edytorski]

⁶³⁷ *Botticelli, Sandro* (1447–1510) — malarz wczesnego renesansu florenckiego. [przypis edytorski]

⁶³⁸ *Courbet, Gustave* (1819–1877) — francuski malarz, naturalista. [przypis edytorski]

⁶³⁹ *Delacroix, Eugene* (1798–1863) — malarz francuski, przywódca kierunku romantycznego; tworzył portrety i obrazy historyczne. [przypis edytorski]

⁶⁴⁰ *Malczewski, Jacek* (1855–1929) — malarz, początkowo autor obrazów realistycznych o treści patriotycznej, później obrazów fantastyczno-symbolicznych. [przypis edytorski]

⁶⁴¹ *egregor* — termin z dziedziny ezoteryki, *mysłokształt* związany ze zbiorowością ludzką, rodzaj kolektywnej świadomości; między grupą a egregorem istnieje relacja symbiotyczna; w kategoriach spoza ezoteryki koncepcja egregoru opisuje w sposób psychoenergetyczny proces socjalizacji, wykształcania persony czy też tożsamości grupowej. [przypis edytorski]

⁶⁴² *L'art, c'est l'art* (fr.) — sztuka to [jest] sztuka. [przypis edytorski]

⁶⁴³ *Beranger, Jean Pierre* (1780–1857) — słynny piosenkarz francuski; czerpał z motywów ludowych. [przypis edytorski]

Człowiek sztuki nie tworzy ani tworzyć nie może, bo wtedy mógłby każdy, gdyby tylko „zechciał”, być twórcą. Można by się wtedy sztuki nauczyć, jak każdego innego rzemiosła.

Sztuka, Artysta, Twórczość

Sztuka jest czymś, co się w poszczególnych jednostkach mimo nieraz ich „woli” i częściej mimo jakiegokolwiek uświadomienia z ich strony na zewnątrz objawia. Przecież bezustannie pytamy zdumieni: „skąd mu się to bierze?”, a na to pytanie artysta odpowiesz nie ma. Czym jest to „coś” i to „skąd”, nie wiemy i rzadko który artysta to sobie uświadamia — istota sztuki dla nas nieznana. Wiem tylko, że to „coś” i jego źródło: to „skąd” *istnieje* jako objaw zewnętrzny ukrytych w człowieku, nieznanymi prawie potęg psychicznych, dla naszego badania rozumowego nieprzystępnych — *istnieje* jako objawienie człowieka w człowieku, to znaczy, człowieka poza jego zmysłami, objawienie jakiegoś ukrytego „Ja”, które mniemam być przynależnym do mojego „Ja”, którym żyję, ale i o tym z pewnością nic wiedzieć nie mogę: mówimy przecież, że obca siła — Duch Święty — człowieka natchnieniem nawiedza i twórczą łaską na niego spływa.

Sztuka, Kondycja ludzka,
Duch

A chcieć to objawienie wtłoczyć w jarzmo naszych ciasnych pojęć, naszych śmiesznych celów, jest co najmniej absurdem. Jakie to „coś” — ta obca siła, ujawniająca się w człowieku, rozkazująca mu *tworzyć*, ma „cele” — o rozwiązanie tej więcej niż transcendentnej zagadki może się kusić jakaś naiwna Theodicea, która się stara Boga uniewinnić, że obok Dobra stworzył Zło.

I osobniki te, przez które ona niepojęta siła twórcza w sztuce się objawia, nie są wytworem społeczeństwa: całkiem na odwrót!

Artysta

Społeczeństwo jest wytworem twórcy: jego objawieniem żyje i jemu jedynie zawdzięcza całą swoją kulturę i cywilizację.

I nowy krzyk oburzenia:

Jak to?! Przecież to nasza ziemia, nasze społeczeństwo twórcę wydało.

Nasza ziemia? Bez wątpienia! Na tę „naszą” ziemię wróciła dusza jakiegoś, łaską Bożą nawiedzonego osobnika, i ten stworzył ziemię. On to wlał w jej bezduszne kształty tę olbrzymią piękność, jaką z sobą z jakiegoś innego Bytu na tę ziemię przyniósł; on rozpałił swoją miłością martwe, rozległe równiny i stepy, że przed zdumionymi oczyma rozłuniły się nagle niepojętą pięknnością; on ożywił swoim nieśmiertelnym Duchem skamieniałe góry i odział je tym majestatem, przed którym się teraz korzycie; on wlał tajemniczy czar swej własnej duszy w jeziora i rzeki, stawy i strumyki; on rozhoworzył⁶⁴⁴ nasze lasy w tę tajemniczą, uroczystą pieśń, której niezgłębionych cudów nad słuchujecie; on nauczył Was patrzeć swoimi oczyma, patrzeć na tę ziemię, którąście wieki całe orali, rozgrzebywali, wszelkiego rodzaju korzyści z niej ssali, jako na wielką piękność — dojną krową była przedtem dla Was ta ziemia — twórca nauczył Was ją kochać!

A teraz widzę Was bijących się w piersi z ciężkim oburzeniem:

Myśmy wytworzyli Kochanowskich, Mickiewiczów, Wyspiańskich, Kasprowiczków!

O bolesna, dziecinna, naiwna złudo!

Przecież to oni Was stworzyli! Oni to z chaosu wyłowili jedność, rozbieżność złączyli w harmonię — potęgą przez ukryte moce w nich objawioną, a może nawet im samym nieświadomą, stopili pojedyncze rody, klany, szczepy, klasy w jeden naród i oni nadali społeczeństwu to przenajświętsze prawo, mocą którego istnieje:

Miłość Ojczyzny!

Badajcież każdą myśl, którą żyjecie — nicujcie uczciwie każde uczucie, jakim serce Wasze tętni, rozpatrujcie każde pojęcie, które stało się już dla Was zdawkową monetą, a wszędzie i zawsze przekonacie się, że życie tylko okruciami Objawień, które w sztuce Wam się w udziale dostały, której wszystko zawdzięczacie: świątynię, w której się o powszedni chleb modlicie — zwykle o nic więcej — taniec, w którym na chwilę wpadacie w stan rozkosznego podniecenia i to Wam każe o smutkach życia zapomnąć⁶⁴⁵, muzykę, chociażby najprymitywniejszą, a która Wam pozwalała przy banalnych dźwiękach mazurka gołymi pięściami zdobywać armaty Moskali!

A więc:

⁶⁴⁴rozhoworzyć (z ukr.) — rozgadać, rozśpiewać; sprawić, że ktoś a. coś zacznie opowiadać. [przypis edytorski]

⁶⁴⁵zapomnąć — dziś popr.: zapomnieć. [przypis edytorski]

Spółeczeństwo nie ma prawa narzucać twórcy swoich celów — nie ma prawa wymagać od niego, by dostosowywał się do tego, co mu na razie jest pożytkiem i korzyść mu przynosi.

Spółeczeństwo raz wreszcie powinno uznać objawieniowy charakter sztuki i kornie przyznać się do bezwstydu, z jakim dotychczas od objawienia wymagało, by tylko w kierunku jego maluśkich celów miało pracować i mu „korzyści” przynosić...

Sztuka nie ma żadnego celu, przynajmniej ani jednego z tych, które człowiek „celem” nazywa, a jeżeli społeczeństwu się zdaje, że *przypadkowe* korzyści, jakie z niej wssać umiało, a raczej te, które mu twórca sam czasami w błędnym zrozumieniu swoich własnych objawień narzucił, mają być celem sztuki, to tego fatalnego błędu wyzbyć się musi, inaczej zawrze wrota przed „korzyściami”, które będzie mogło wyciągnąć z dalszych „objawień” — a te korzyści będą mogły mieć stokroć razy donioślejsze znaczenie niż te, które z dotychczasowych „objawień” uzyskało.

Przecież już i „ściśła” nauka wyciągnęła dla siebie wielkie „korzyści” z „objawień” tak zwanego symbolizmu, który twierdzi, że dźwięk może wywołać i rzeczywiście wywołuje potopy barw — woń jakiegoś kwiatu „zabarwia” całkiem odwrotnie konglomeraty wrażeń, a zaledwie dostrzegalny przeblask jakiejś barwy może w nieświadomości, to znaczy w przepastnych, podświadomych głębinach duszy, wywołać całe życie w nieskończonej perspektywie. I nauka, a przede wszystkim psychiatria rozbudowuje się z wolna na „majaczeniach”, „oblędnych majakach” twórców i bada teraz z gorliwą powagą one stany, teraz już w nauce zarejestrowane jako stany zmierzchu (*Dammerungszustande* — *états de crépuscule*⁶⁴⁶), tak dobrze znane i tak niezrównanie opisywane przed tyłu i tyłu dziesiątkami lat przez T. A. Hoffmanna, Edgara Poe, Villiers de l’Isle Adama⁶⁴⁷, Barbey d’Aureville, a przede wszystkim przez Szekspira i Dostojewskiego.

Więc tylko spokojnie, nie tak chytrze, nie tak łapczywie: i z tej tak zwanej „nowej” sztuki, z tej całej przez Was wyklinanej, poniewieranej, zohydzonej i wyśmiewanej sztuki będziecie umieli wyciągnąć dla Waszego pożytku wielkie korzyści, ale przestańcież o tym gadać, że sztuka ma jakiś cel!

Może i ma, jeżeli w zamiarach Bóstwa, z którego łona sztuka się wyłoniła, tkwi to pojęcie tych naszych mizernych, maluśkich celów, ale bluźniłbym Bogu, gdybym go o te *nasze* cele posądział.

I aby się w paru słowach streścić:

Sztuka jako objawienie ukrytych w człowieku, a nieznanym mu potęg, których tylko małą cząsteczką, trzymaną na uwieży zmysłów, żyjemy, nie ma żadnego „celu”, przynajmniej żadnego z tych wszystkich, jakie mózg ludzki za „cel” uważa — o innych celach nic nie wiemy, i to jest treścią hasła *Sztuka dla Sztuki*, o którym dotychczas jeszcze tyle bezsensownych bredni się wypisuje, a raczej wreszcie wypisywać się przestało.

Bo mimo wszystko sztuka — poonczas — miała jakieś znaczenie, dysputy o sztuce zajmowały dużo miejsca nie tylko w miesięcznikach literackich, a było ich cztery czy pięć, ale i nawet w prasie codziennej; publiczność roznamiętniała się dyskusją o zagadnieniach sztuki i brała w niej gorący udział, nie taki co prawda, jaki bierze obecnie w meczu pięściarzy, ale w każdym razie udział ten pozwalał wnioskować o pewnej kulturalności tegoż społeczeństwa.

Kiedy raz po raz dostanie mi się rocznik jakiegoś pisma z onych czasów, to jestem wprost zdumiony, jakie wtedy jeszcze zainteresowanie budziła Sztuka i Literatura, jakie walki rozgrywały się w obronie pewnych haseł, jakie namiętne zapasy, by je zwalczać i unicestwić — rzecz w naszym czasie niepojęta i niezrozumiała! — Kogo dziś sztuka obchodzi? Namiętne starcia, jakie się codziennie rozgrywały w rzeczach sztuki, wywołują dziś pogardliwy uśmieszek politowania nad tym starym oblędem.

Ale to już wszystko przebrzmiało echa, *neiges d’antan* — zesłoroczny śnieg; to wszystko, co piszę, przyda się może jakiemuś badaczowi umysłowości polskiej po ten czas, tak

⁶⁴⁶ *états de crépuscule* (fr.) — stany na pograniczu świadomości. [przypis edytorski]

⁶⁴⁷ Villiers de l’Isle Adam, *Philippe Auguste* (1838–1889) — francuski poeta i dramaturg symbolista oraz pisarz naturalista, znany przede wszystkim dzięki powieściom kryminalnym; przez znaczną część życia borykał się z problemami finansowymi, z których wybawilo go wydanie w 1883 r. *Opowieści okrutnych*; był również autorem jednego z najważniejszych dramatów symbolistycznych pt. *Axel* (1885, wyst. 1894); przyjaźnił się ze Stefanem Mallarmé. [przypis edytorski]

Sztuka, Bóg, Korzyść,
Obraz świata, Twórczość

Sztuka

już dawny, dziś to ciekawym wspomnieniem dla tej generacji, która jeszcze przy życiu pozostała, a to wszystko tak intensywnie przeżywała, jakby już dzisiejsze pokolenie przeżywać nie zdołało ani nie umiało. Już coraz rozpaczliwiej szerząca się atrofia mózgu tak zwanego powojennego pokolenia nie pozwalałaby na to. Gdzież może mieć to pokolenie, prawie od kolebki przygotowywane do pogotowia wojennego, chociaż trochę czasu na czytanie, a już najmniej na rozmyślanie. Cały jego wolny czas wypełnia obłąd sportu, w którym w miarę jak mięśnie pęcznią, mózg karłowacieje; a co szlachetniejszego w duszy tego pokolenia pozostało, zabija ordynarny *football* — ohydne pięściarstwo; w wolnych chwilach — zidiociały dancing z swoimi piekielnie nudnymi charlestonami, i jak się te wszystkie tańce, świadczące o *dementia praecox*, nazywają.

Gdyby jeszcze w tym wszystkim dyszała jakaś rzeczywista namiętność, prawdziwe pragnienie upojenia zmysłów — coś z tego szerokiego życia, w którym człek raz kiedyś zapragnie o sobie i o całym świecie zapomnąć — ale gdzież tam! Nuda, szeroko rozdziałoną gębą ziejąca nuda — jakieś zidiociałe ruchy nieszczęsnych niedźwiedzi, którzy w klatkach obłąd dostają i godzinami całymi z jednej łapy na drugą przestępują.

Nigdy nie starałem się dopędzać ostatniego ekspresu tak zwanego modernizmu, najczęściej wybiegała mu moja własna lokomotywa z zajadłą niemal niechęcią (jaka szkoda, że nienawidzić nie umiałem) naprzeciw, ale zawsze pozostawałem w bliskiej z nim styczności — a przecież ja dziesiątki „izmów” przeżyłem, ale trudno mi się pogodzić z triumfalnym pochodem, z jakim kołowacizna obłąkanych owiec w współczesne życie wkracza.

Wstrętnym mi jest to głupie: „nie tak *in illo tempore* bywało”, ale z tym samym niesmakiem, z jakim Nietzsche patrzył na pruską kulturę — to jedno obozowisko żołnierskie, złożone z ludzi, militarnym drylem i tresurą doszczętnie z mózgowych czynności wyzbytych — patrzę na tę z dnia na dzień coraz więcej kurczącą się umysłową kulturę w Polsce, przed niedawnym czasem jeszcze bogatą i zasobną, a dziś już prawie ubożuchną, bo wszechwładny sport i dancing tak ją w brzuch kopnął, że wywaliła się już nie na dwie, ale cztery łopatki.

Sportowi poświęca się po kilka stron w każdym niemal piśmie — a dla rzeczy dotyczących sztuki znajdzie się zaledwie jakaś kolumna, kiepsko i nędznie redagowana, bo w naszym czasie jest jakiś międzynarodowy rekord sportowy stokroć razy ważniejszą rzeczą aniżeli pojawienie się istotnie wielkiego dzieła sztuki.

I gdyby się to na coś zdało!

Mogłoby się zdawać, że to jakiś stary tetryk głądzi. Gdzież tam! Nigdy więcej nie ukochałem młodzieży, jak w tym dorastającym pokoleniu, i żadną miarą nie mogę się pogodzić z tą myślą, że szósty krzyżyk pocznie mnie obarczać, ale lękam się dla Polski tego zamerykanizowania i tej mechanizacji młodzieńczych polskich sił, zbyt indywidualnych, by się nie miały popsować⁶⁴⁸ w tej uniformowej tresurze.

A dusza polska jest niezmiernie czuła i wrażliwa.

Raz przywiązałem do szyi psu szlachetnej rasy dzwonek, przywiązywany krowom, by się w lesie nie pogubiły. Pies był tą manipulacją całkiem sparalizowany. Na odgłos dzwonka rozstawał cudacznie nogi i nie umiał chodzić. A takim dzwonkiem dla duszy polskiej może się stać — a raczej już się staje: coraz raptowniejsze wybebeszowanie (jakby Ignacy Stanisław Witkiewicz⁶⁴⁹ powiedział) mięśni kosztem mózgu.

Kraków święcił wówczas swoje gody, bo nigdzie nie było można tak się wypowiedzieć, jak w tej w onym czasie rzeczywistej stolicy Polski, tej politycznie wprawdzie nieistniejącej Polski, ale wspaniałej urny popiołów, które przez długie lata miały się stać najżyźniejszą glebą, na której i wszcz, i w głąb rozrastała się bujnie rdzenna kultura Polski. I to nie mocą twórczych talentów, bo tych było mało, nawet bardzo mało w Krakowie, ale rozmachem młodego, nie twórczego Krakowa, mocą tego bujnego, młodzieńczego entuzjazmu, z jakim się do ostoi swych myśli i pragnień — do „Życia” odnosił.

Bo wśród twórców, bytujących w Krakowie, przerażał wszystkich Wypiański.

Sport, Sztuka

Polak, Ciało, Dusza,
Młodość, Starość, Pies

⁶⁴⁸popsować (daw. forma) — dziś popr.: popsuć. [przypis edytorski]

⁶⁴⁹Witkiewicz, Stanisław (syn) Ignacy (1885–1939) — malarz, dramaturg (*Tumor Mózgowicz*), powieściopisarz (*Pożegnanie jesieni*, *Nienasycenie*), krytyk artystyczny i teoretyk sztuki (*Szkice estetyczne*, *O czystej formie*). [przypis edytorski]

Był tam Maciej Szukiewicz, ale talent jego był wątły, wprawdzie piękny, ale suchotniczą pięknnością opadających liści jesiennych drzew; był Edward Leszczyński⁶⁵⁰ — bardzo wytworny parnasista; był Lucjan Rydel, ulubieniec profesora Tarnowskiego⁶⁵¹, jedyny poeta po Asnyku, którego profesor uznawał — Kasprowicz dla niego nie istniał, co najwyżej jako bluźnierca i wywrotowiec; nadziejnie zapowiadał się młody Jerzy Żuławski, profesor jakiegoś gimnazjum w Krakowie.

Gdzieś w jakiejś stęchłej piwnicy pisał w bezustannym natchnionym transie Jan August Kisielewski⁶⁵² swój zdumiewający dramat *W sieci*, który go tak wyczerpał, że już w *Karykaturach* i w *Sonacie*; dają się przykro odczuwać te tragiczne łamanie się talentu, którego może tylko na ten jeden dramat: *W sieci* stać było.

Z Kisielewskim często się spotykałem, ale za każdym razem miałem wrażenie, że chodzi naokoło mnie jak kot wokół gorącej miski. Szukał gwałtownie dostępu do mej duszy — nieufny, niedowierzający, wahał się i łamał w stosunku do mnie. Może i jemu przelatywało przez głowę, że to jakiś „rewizor z Petersburga” do Krakowa zjechał, więc usilnie się starał wybadać, o ile jego podejrzenia się sprawdzą, by mi w danym razie maskę z twarzy zedrzyć i mnie w całej mojej nicości ukazać: ale wszystkie zakusy w tym kierunku widocznie go zawodziły, bo coraz ufniejszym wzrokiem na mnie patrzył, zwłaszcza gdy z nieklamana radością powitał ten jego kapitalny dramat: *W sieci*. Z wolna począł mi dowierzać, ale powoli zrodziło się w jego duszy poczucie wyższości, a nawet pragnienie zaopiekowania się mną, bo według jego mniemania grzązłem coraz głębiej w „krakowskim bagienku”.

A rzadko kiedy byłem świadkiem tak bolesnej tragedii, jaką Kisielewski przeżywał. Piszę o nim obszerniej, bo był to, bądź co bądź, artysta zakrojony na wielką miarę, a zamierzenia jego głęboko sięgały.

W tych swoich trzech dramatach, z których *W sieci* znacznie przewyższa dwa pozostałe: *Karykatury* i *Sonatę*, dał nam Kisielewski idealny przekrój ówczesnej umysłowości, pragnień, szamotań się, niemocy i poronionych wysiłków tego młodego Krakowa, w którym i ja żyłem. Ile ja tych „szalonych Julek” widziałem naokoło, a ile tych Jurków, tego autoportretu Kisielewskiego, tylko bez jego talentu.

Teatr Bałuckiego z jego niesłychanie figlarnym, przeraźliwie głupim i tak przeraźliwie śmiesznym Krakowem, że wszystkie witkiewiczowskie „bebechy” się trzęsły od śmiechu na widok tych wszystkich panów radców i tych bajecznych „Fikalskich”, gdzie się nagle zapodział, na widowni ukazał się nagle ten nowy, młody Kraków — ale jakiś bardzo smutny, posepny, prawie że tragiczny tą swoją wewnętrzną szarpaniną, jałową a bolesną tęsknotą za czymś wielkim, za życiem, w którym by można nadmiar kipiących, ale niestety nietwórczych sił wyladować, ten Kraków kiepskiego *fin de siècle*, lichego blichtru wiedeńskiej secesji i altenbergowskiego snobizmu, a równocześnie bohaterkich wysiłków, by się z „sieci” starego Krakowa wyzwolić.

Gdyby tak głębiej spojrzeć, to można by się jednak głęboko zamyślić nad tragicznym losem tych właśnie, którzy usiłowali Kraków odtworzyć: Bałucki poszedł na Błonia jakiegoś poranku i samobójczą śmiercią życie zakończył, a mózg Kisielewskiego, obłądem spowity, daremnie się wysilał w męczeńskiej, jałowej pracy, by wtargnąć w to życie, które mu się w dalekiej perspektywie majaczyło: padł na progu twórczości, która Bóg wie jaką wielką przyszłość obiecywała.

Po długich, długich latach miałem go jeszcze spotkać krótko przed jego śmiercią w Monachium. Ale to już była doszczętna ruina i talentu, i człowieka, jakaś bolesna *macabre*, groteska, ale w całej swej śmieszności tak groźna, że aby ją odtworzyć, na to potrzeba byłoby jakiegoś Dostojewskiego.

A rzadko kiedy miałem przeżyć teatr, jako najoczywistszą rzeczywistość, jak na premierze tego dramatu: *W sieci*. Dyrektorem teatru krakowskiego był Tadeusz Pawlikowski

⁶⁵⁰Leszczyński, Edward (1880–1921) — poeta formy, parnasista, estetyk (*Harmonia słowa* 1912; *O symbolice mowy w świetle bergsonizmu*, „Museion” 1913); debiutował w 1898 r. na łamach „Młodości” i „Życia” krakowskiego; autor piosenek dla „Zielonego Balonika” (*Kabaret szalony*, 1908). [przypis edytorski]

⁶⁵¹Tarnowski, Stanisław (1837–1917) — jeden z najbardziej konserwatywnych historyków literatury, współautor słynnego pamfletu *Teka Stańczyka*. [przypis edytorski]

⁶⁵²Kisielewski, Jan August (1876–1918) — polski dramatopisarz, teatrolog i krytyk teatralny, eseista; autor modernistycznych sztuk *W sieci* i *Karykatury*, przedstawiające konflikt między artystą, cechującym się indywidualizmem, zwiększoną wrażliwością a moralnością mieszczańską. [przypis edytorski]

— polski książę meiningeński, który całą swoją magnacką fortunę poświęcił teatrowi — a zdumiony jestem, że nie napotkałem jeszcze na żadną monografię tego wielkiego pana, któremu teatr polski ma niesłychanie dużo do zawdzięczenia. Odżalować nie mogę, że w Krakowie tak rzadko się z nim stykałem — za dużo było ludzi naokoło niego, którzy na nim żerowali — natomiast zbliżyliśmy się serdecznie do siebie we Lwowie, gdy już ostatkiem grosza gonił. Wspaniałym wystawieniem mego dramatu *Odwieczna baśń* pożegnał się ze Lwowem. Do samego dna duszy rozgoryczony, widział pewno w tym moim królu, który ciska swoją koronę z ciężką wzgardą motlochowi pod nogi — siebie samego, dlatego dał temu mojemu dramatowi tak wspaniałą oprawę.

W każdym calu pan, ale niezmiernie kapryśny, nieobliczalny w tym fatalnym poczuciu dystansu magnata do aktora, czego mimo wszelkich wysiłków zamaskować nie umiał, zdobył się jednakowoż na wielki czyn. Stworzył zespół aktorów najpierwszorzędniejszej wartości, na jaki tylko wielki magnat nie liczący się z pieniędzmi zdobyć się może.

Nie byłem nigdy żadnym melomanem teatru, rzadko do niego uczęszczałem i to tylko wtedy, gdym przeczuwał, że teatr dać mi coś może. Teatr niemiecki odrzucił mnie od siebie na setkę mil, bliższy był mi już teatr skandynawski z swoją wielką prostotą i naturalnością, ale teatr krakowski był dla mnie zdumieniem.

To była bezwzględna szczerość, gdym pisał o artystach teatru krakowskiego, że w niczym swoim „europejskim” współzawodnikom nie ustępują; przeciwnie, przewyższają ich naturalną inteligencją, subtelnym, wszelkiego szablonu, rutyny i maniery wyzbytym wniknięciem w twórcze zamiary autora.

A rzadko jaki dyrektor teatru rozporządzał tak wspaniałym zespołem aktorów, jak Tadeusz Pawlikowski.

Nieporównany Kazimierz Kamiński⁶⁵³ i Ludwik Solksi — para dioskurów, rywalizujących z sobą li tylko potęgą talentu, bo zresztą nic z sobą nie mieli wspólnego. Całkiem inaczej przejawiał się wytworny, niesłychanie wnikliwy artyzm Kamińskiego, który z drobnej, ale bogatej mozaiki gestów, ruchów, paru od niechcienia rzuconych słów, umiał stworzyć jakąś niesłychanie żywą postać, jaką się już po tysiąc razy widziało, a teraz dopiero rozpoznawało jako niezniszczalny, wiecznie trwający typ; na całkiem innym polu harcował niespożyty talent Solskiego — szeroki, wybuchowy — zawsze byłem zdumiony, jak umiał Solksi ten swój temperament na uwięzi trzymać i wielki umiar artystyczny zachować.

I był jeszcze jeden: Roman⁶⁵⁴!

Głęboko utkwiał w mej pamięci ten zdumiewający aktor-artysta, który nie wysiłał swego mózgu — według Pawlikowskiego ten nieszczęsny mózg bardzo mu przeszkadzał — ale grał intuitywnym mózgiem rdzenia pacierzowego; — nie analizował, nie mędrkował, nie rozszczeptał paździerz — tylko grał — nie! nie grał, stawał się po prostu tym, kim mu być kazano, i był nim w każdym, najdrobniejszym ruchu, w spojrzeniu, w akcencie słowa, *timbre* głosu; — miałem wrażenie, że w głowie tego wyjątkowego artysty wcale nietrudno było godzić się jego własnej osobowości z postaciami, które grał. Gdzie się kończył Roman, a gdzie rozpoczynał narzeczony „szalonej Julki”, pewno on sam nie wiedział.

Oczywiście, że teatr Pawlikowskiego zatrudniał jeszcze cały szereg aktorów pomniejszych, wśród których poczesne stanowisko zajmował Węgrzyn⁶⁵⁵, aleć przecież nie piszę monografii teatru krakowskiego za czasów dyrekcji Pawlikowskiego, chodzi mi tylko o aktorów, którzy złotymi zgłoskami zapisali się na kartkach teatrologii polskiej.

Pawlikowski gorąco zajął się Kisielewskim. Wprawdzie był — jak mi opowiadał — przerażony olbrzymią objętością manuskryptu, z jakim się w jego kancelarii Kisielewski zjawił, i robił mu wyrzuty, że go nie uprzedził, bo byłby mu tragarza przysłał, ale musiał intuitywnie odczuwać, co w tym niepokojącym człowieczku, który się wcale nie wstydział swych zdartych kamaszy i podartych spodni, tkwiło, bo stało się coś niebywałego: Pawlikowski zasiadł z Kisielewskim do wspólnej pracy — kreślili, kreślili bez końca, aż

Teatr, Słowo

⁶⁵³Kamiński, Kazimierz (1865–1929) — aktor sceny krakowskiej z lat 1893–1904, grywał na scenach zagranicznych; zasłynął z kreacji aktorskich w dramacie psychologicznym. [przypis edytorski]

⁶⁵⁴Roman, Władysław (1865–1905) — aktor sceny krakowskiej. [przypis edytorski]

⁶⁵⁵Węgrzyn, Józef (1884–1952) — artysta dramatyczny teatrów warszawskich. [przypis edytorski]

wreszcie... pozostało jeszcze za dużo — premiera *W sieci* trwała od siódmej wieczorem do wpół do drugiej w nocy.

Kisielewski mało znał technikę dramatu — z tego jednego dramatu można było spokojnie dwa wykroić — zrozumiał to później i odłączył od *W sieci* — *Ostatnie spotkanie*. Swoją drogą starczyłby ten olbrzymi materiał, nagromadzony w tym jednym dramacie, jeszcze na jakąś świetną tragikomedię krakowskiego mieszczaństwa, przewyższającą o całe niebo krotochwile Bałuckiego, ale mimo tego braku umiaru artystycznego, mimo całego niedołęstwa w robocie samej — mam na myśli piąty czy też szósty akt dramatu w pierwotnej formie, który został ni w pięć, ni w dziewięć, doczepiony do pierwszych czterech, z których najlepiej zbudowany właśnie ten czwarty z wspaniałą perspektywą na tragizm dalszych losów szalonej Julki, przed którymi winna była zapaść kurtyna — zrobił ten dramat ogromne wrażenie. Lwią część powodzenia zawdzięczał Kisielewski wspaniałej obsadzie, jaką dał Pawlikowski temu dramatowi. Dramat ten nie znajdzie już tak łatwo tak wspaniałej szalonej Julki, jaką była Wanda Siemaszkowa — ani takiego Jura, jakim był Solski — a wątpię, czy znajdzie się jakiś wielki Roman, który by mógł odegrać rolę przyszłego męża Julii — na pozór „kretyna” — w środowisku, w jakim Julka poza domem rodzicielskim żyła, prawdopodobnie za takiego uchodził — a w istocie człowieka prostego, o prawdziwej głębi uczuć, takiego, którego by do rany przyłożyć można, który byłby w stanie do Bóg wie jakich poświęceń, ale oczywiście niezdołen, by zaspokoić snobiczną ambicję swej przyszłej żony, która oczywiście swoim kabotynizmem i artystycznymi aspiracjami tego zaciekle w niej zakochanego „kretyna” przerasta.

W sieci było pierwszym dramatem w Polsce, którym by się była mogła Polska przed „Europą” poszczycić — a przecież tak nam strasznie o tę „Europę” chodzi, która ponoć na wszystkie nasze poczynania pilnie spogląda! Gdyby ten dramat był uległ ocenie jakiegos istotnie twórczego Pawlikowskiego, bo ten wielki magnat, który krakowską sceną rozporządzał, był niestety tylko bardzo szlachetnym, bardzo wytwornym, niezwykle kulturalnym i inteligentnym dyletantem — przekleństwo starych, wymierających rodów — byłby ten dramat stał się jakąś ogromną tragedią niespełnionych pragnień, straszliwych, bo bezcelowych ofiar, rozpaczliwego, nieskończonego bolesnego szamotania się, a szalona Julka stałaby się olbrzymim symbolem tego smutnego, polskiego *fin de siècle*, z jakim tak dziecinnie i tak boleśnie wtedy kokietowała.

Zresztą nie wiem, czy Kisielewski — wówczas już opętany manią wielkości — byłby się zgodził na tak radykalne obrzezanie swego utworu, a kto wie? Gdyby się był wtedy ktoś znalazł i uświadomił mu zdumiewające majsterstwo Ibsena, który kończy swą tragedię *Upiory* właśnie wtedy, gdy stokroć razy boleśniejsza tragedia matki Oswalda ma się rozpocząć, tej matki, która — może być, że truje swoje dziecko, a może nie truje, bo na to sił jej nie starczy — może by wtedy Kisielewski poddał surowej rewizji całą postać „szalonej Julki”, niepomiernie ją pogłębił, a w chwili gdy z siebie ofiarę czyni, w chwili najwyższego napięcia, pozostawił nierozwiązanym to wszystko, co ją w jej dalszym życiu oczekuje.

Teraz dopiero: *Incipit tragoedia*.

Jaką głęboką i wnikliwą inteligencją musi rozporządzać ten wielki aktor — jedyny z tych wielkich, których poznałem, a któremu „myślenie” nie przeszkadza — Kazimierz Kamiński, gdy mi powiedział po przedstawieniu moich dramatów *Dla szczęścia* i *Złote Runo*: „To, co w tych dramatach dałeś, najwięcej zaciekawia mnie, żeś poprowadził ludzi na próg, poza którym rozpocznie się dopiero wściekła tragedia — a na tym progu pozostawiłeś ich dalszym losom. Włosy na głowie mi się jeżą z lęku, co poczną po zapadnięciu kurtyny w twoim *Złotym runie* Julka i Przeclawski”.

Barbey d’Aurevilly zarzuca Edgarowi Poe, że niszczy cały niesamowity urok noweli *Złoty skarabeusz* — w której, jak rzadko w którejkolwiek innej, wywołuje niesłychane napięcie uwagi czytelnika — suchym wytłumaczeniem szyfrowanego pisma, które służy za podstawę, na jakiej ta zdumiewająca nowela zbudowaną została — i ma zupełną rację.

Jeżeli już Poemu chodziło o wytłumaczenie zagadki, to trzeba było to całkiem inaczej zrobić, aniżeli tym fatalnym zakończeniem, które staje się oschłą algebrą ścisłego rozumowania.

*Caeterum censeo*⁶⁵⁶: trzeba tam kończyć, gdzie coś straszniejszego ma się rozpocząć.

I znowu powracam do Ibsena — do tego wielkiego budowniczego — bygmester Solness, to tragiczny jego autoportret — i myślę właśnie o tym, jakie olbrzymie wrażenie zrobił na mnie jego dramat *Upiory*, to było moje pierwsze zetknięcie się z Ibsenem — a miałem podówczas 18 czy też 19 lat.

Zaproszony przez mego profesora rysunków w Wągrowcu — bardzo mi życzliwego i oddanego Neumana, do jego rodzinnej wsi poza Puckiem, opodal wybrzeża Bałtyku, udałem się w tę podróż, połączoną z znaczną mitręgą, bo ustawicznie trzeba się było przesiadać.

W Bydgoszczy musiałem czekać na pociąg do Gdańska dwie godziny, i na dworcu kupiłem sobie za 20 fenigów Ibsena *Gespenster* w niemieckim wydaniu Reclama. Podczas tej podróży, w której poznałem morze, poznałem Ibsena.

Wchłonąłem w siebie ten dramat, do dna mej duszy mną wstrząsnął, chociaż dokładnie nie mogłem sobie zdawać sprawy, o co w tym dramacie chodzi; ale dziwna rzecz, do dziś dnia całkiem dla mnie niepojęta budowa tego dramatu całkiem mnie nie zastanowiła, choć poonczas była niesłychaną rewelacją — potwierdziła tylko we mnie przeświadczenie, które już dawno w sobie nosiłem, że tak, a nie inaczej trzeba się zabrać do budowy dramatu. — Można powiedzieć o moim pierwszym dramacie *Dla szczęścia* cokolwiek kto zechce, ale budowa tego młodzieńczego pierwszego dramatu mojego zdumiewa mnie czasami — kiedy jestem odrobinę łaskaw na siebie samego — prostotą, logiką, niemal antyczną surowością.

Swoją drogą pokutowała we mnie Moira i Ananke Ajschylosa i Sofoklesa — raz po raz zagościł w mej duszy któryś z dramaturgów niemieckich: Grabbe, Kleist, Zacharias Werner, ale oni wszyscy budować nie umieli, a dziwne, że bezustannie wczytywałem się w Szekspira, podziwiałem go i ubóstwiałem niemal, ale żadnego śladu z niego na twórczości mej nie pozostało.

Z rozmaitych *débaclé*⁶⁵⁷, jakich mnóstwo mnie w moim życiu spotykało, zdołałem uratować jedną relikwię — podarunek, który otrzymałem na imieniny, gdym miał lat piętnaście: *Dzieła dramatyczne* Williama Shakespeare, wydanie ilustrowane, ozdobione 545 drzeworytami, rysunkami H.C. Solonsa, w przekładach Koźmiana, J. Paszkowskiego i L. Urlicha, pod redakcją J.I. Kraszewskiego (Warszawa 1875).

Zdaje się, że to to samo wydanie, o którym Boy w jednej z swoich recenzji z przedstawienia Szekspira prawie że z miłosnym roztkliwieniem opowiada. I z tą samą miłością biorę raz po raz jeden tom po drugim — a jest ich trzy — do ręki, a przed „oczyma mej duszy” przesuwają się te chłopiące niemal lata, kiedy zaszczepiałem miłość do Szekspira w duszy moich kolegów, rozdawałem między nich role i tak wspólnie go czytywaliśmy w wolnych popołudniowych godzinach.

I właśnie w tym czasie zjechała do Torunia, gdzie uczęszczałem do gimnazjum, jakaś niemiecka prowincjonalna trupa aktorska.

Chyłkiem, po kryjomu dostałem się do teatru za te parę marek, które mi rodzice na podróż do domu przysłali — było to krótko przed wielkanocnymi wakacjami — i odebrałem tak wstrząsające wrażenie, które mógłbym tylko porównać z tym ogromnym wstrząsem, jakiego doznał bohater noweli starego, węgierskiego pisarza Gynalysa — czytelnikom moim radzę przeczytać tę piękną nowelę: *Opowiadanie komedianta*, gdy się po raz pierwszy dostał do teatru. I ja wtedy po raz pierwszy ujrzałem scenę jako jakieś zdumiewające objawienie, a tak się złożyło, że w tym wędrującym teatrze grano *Hamleta* i *Otella*. Próżno bym się silił na odtworzenie — chociażby w drobnej części — tego olbrzymiego wrażenia, jakiegom doznał, gdym te dwa, w czytaniu doskonale znane mi dramaty, ujrzał na scenie! Majaczy mi się jakiś młody aktor, który te role odtwarzał — ale nie! to nie majaczenie: tak mi się wżarł w pamięć, że często widuję go jak na jawie: — nogi pode mną zadygotały, gdym go dzień potem ujrzał na ulicy, wydał mi się jakimś niedostępnym półbogiem, a musiał zauważyć moje wzruszenie, bo chwilę przystanął i obejrzał się za mną. Ten bezmiar szczęścia, jaki wtedy uczułem! I wtedy to postanowiłem zostać aktorem, ale zakusy w tym kierunku rychło mi z głowy wywietrzały — pozostało tyl-

⁶⁵⁶*caeterum censeo* (łac.) — niezmiennie twierdząc. [przypis edytorski]

⁶⁵⁷*débaclé* (z fr.) — nagły upadek, katastrofa, załamanie (lodu, pogody itp.). [przypis edytorski]

ko silne poczucie sceny i tego wszystkiego, co z nią związane. Często zasię trapią mnie ciężkie sny, w których mam grać role w moich własnych dramatach. Budzę się wtedy w przerażeniu, bo jednego słowa nie pamiętam z żadnej roli, którą mi grać kazano.

Całkiem inne role były mi na scenie własnego życia wyznaczone, wobec których tragizm sceniczny mógłby się wydać niemal — farsą...

Wciąż i wciąż te dywagacje, ale w żaden sposób nie mogę ich uniknąć wobec tego ogromnego natłoku materiału, który mi pamięć rozsadza.

Pocieszam się tylko, że to, co zwykłego czytelnika znużyć może, stanie się ważne i ciekawe dla psychologa, który się rozgląda w ciemnej dżungli duszy twórczej — uniknie wtedy tych potwornych nieporozumień, jakie między moim tworem a społeczeństwem moi „krytycy” — oni jedynie — wywołali. A przecież tak łatwo było się porozumieć przy odrobinie dobrej woli.

Ale cóż?! Wszystkiemu na przeszkodzie stał ten straszliwy rozgłos naokoło mego nazwiska i to jego osławienie, które mnie do ostatniej rozpaczy doprowadziło.

To jedynie stało się przyczyną, żem niezadługo znalazł się w przykrym osamotnieniu.

Jakżeż można było dziwić się tej istotnej Młodej Polsce, jaką wtedy stanowili Żeromski, Tetmajer, Sieroszewski, Reymont, że nie chcieli figurować przy rydwanie, na jakim spoczywał „rewizor z Petersburga” — Przybyszewski? Paru tylko artystów było na to stać, by uśmiechać się na tę harlekinadę, jaka się wokół mnie odbywała, i zrozumieć całą powagę moich zamierzeń: Miriam, Lange, Kasprowicz.

Przez cały czas, gdym „Życie” prowadził, pozostawałem w korespondencji z Miriamem, który wówczas przebywał w Paryżu. Dawał mi niezmiernie cenne wskazówki i rady, a jego krytyczne uwagi były mi częstokroć wytyczną w mej pracy redakcyjnej. Lange dał do „Życia” wspaniałe tłumaczenie Flauberta *Kuszenie Świętego Antoniego*, a gdyby „Życie” nic innego nie było pomieściło prócz trzech potężnych hymnów Kasprowicza: *Dies irae*, *Salome*, *Święty Boże*, *Święty Mocny*, już tym samym byłoby zadokumentowało rację swego istnienia.

Jedna rzecz tylko ciężko mnie rozgoryczała: to absolutny brak solidarności moich braci po piórze. Gdy mi policja krakowska jeden numer „Życia” po drugim konfiskowała, nikt się jednym słowem nie odezwał, a rok przedtem brałem przecież udział w zbiorowym proteście najpoważniejszych pisarzy niemieckich, kiedy cenzura berlińska skonfiskowała jeden poemat Dehmle.

W całej prasie polskiej nie doznałem żadnego poparcia — może jedyny Matuszewski⁶⁵⁸ starał się mnie osłaniać swym niezbyt bogatym płaszczem krytycznej powagi, bo i jego szarpano za doskonale jego studium: *Słowacki i nowa sztuka*; byle jaki chłystek, zasiadający przy biurku redakcyjnym jakiegoś wpływowego dziennika, mógł wylewać i wylewał całymi garncami pomyje na „Życie”, a ośmielał ich do tych wściekłych inwektyw, brudnych i ordynarnych napaści brak chociażby najmniejszej solidarności, poczucia jakiegokolwiek łączności, bratniej przynależności do tego samego cechu („cech” w świętym i tajemnym znaczeniu, jakie miał w średniowieczu) ze strony tych artystów, których głos mógłby mieć doniosłe znaczenie.

Ja zdołałem się rychło z tym oswoić — jak się oswoja żołnierz z „huraganowym ogniem” — siedziałem przecież przez parę lat w strzeleckich rowach na niemieckim froncie, gdzie mnie też nie oszczędzano, ale mojemu współredaktorowi, Stanisławowi Wyrzykowskiemu, żółć się przelała, gdy w odezwie od redakcji pisał⁶⁵⁹:

Nie mamy powodu skarżyć się na obojętność. Chyba o żadnym piśmie polskim tyle nie mówiono i nie pisano, co o „Życiu”. Znikczemniałe lub głupie dziennikarstwo rzuciło się na „Życie” z niesłychaną zaciekłością... nie ma występku, o który by nas nie posądzano, nie ma oszczerstwa i potwarzy,

⁶⁵⁸Matuszewski, Ignacy Erazm Stanisław (1858–1919) — krytyk literacki, autor słynnego studium o modernizmie pt. *Słowacki i nowa sztuka*, Warszawa 1902, wyd. II z 1904 r. zawiera przychylne fragmenty poświęcone Przybyszewskiemu. [przypis edytorski]

⁶⁵⁹w odezwie od redakcji pisał — w 12 nr „Życia” z 1899 r., od którego ze względów finansowych zachodzą zasadnicze zmiany: 1) przekształcono je na miesięcznik, 2) nakładcą zostaje Władysław Jaroszewski. Poza tym odchodzi z redakcji Wyspiański, a Stanisław Brzozowski (poeta) zostaje „reprezentantem «Życia» na Lwów”. [przypis edytorski]

której by na nas nie rzucano, a nad naszymi głowami rozpasła się burza głupoty i nienawiści...

Wprawdzie odgraża się Wyrzykowski w tej odezwie, że „tej najemnej sforze, temu plugastwu, co płacze się nam u stóp, odpowiemy — kopnięciem nogi”, ale okazało się, że ta sfora silniejsza była od „Życia”; by móc taką walkę skutecznie podjąć, na to trzeba według słynnego orzeczenia Montecuculi⁶⁶⁰: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

To, co Wyrzykowski mógł łożyć na „Życie” — z najwyższym uznaniem wypada mi podkreślić jego bezinteresowną ofiarność, jego fanatyczne ukochanie sztuki, dla której byłby gotów w danym razie wszystko poświęcić (jak małym i błahym był wobec tego ten zatarg, który nas rozłączył!) — nie mogło na długo starczyć, bo Wyrzykowski nie był oględnym gospodarzem, gdy o „Życie” chodziło; ale w miarę, jak już pismo dochodziło do tej wyżyny, że mogłoby się już zrównać z jakimkolwiek europejskim pismem, poświęconym wyłącznie tylko literaturze, topniały środki, a bezustanne konfiskaty wszechmocnej cenzury krakowskiej, rozwydrzonej poczuciem, że nikt w obronie „Życia” nie stanie, przegryzały młode korzenie, jakimi — jakby się na początku było zdawało — „Życie” w duchową potrzebę społeczeństwa wrastać zaczęło. Środki Wyrzykowskiego się wyczerpały i niezadługo nuciłem sobie, przechadzając się po Plantach, strasznie smutną i melancholijną piosenkę, której się matka moja od niemieckich koleżanek nauczyła, gdy kończyła pensję w niemieckim poonczas Toruniu:

*Verlassen, Verlassen —
Verlassen bin I,
Wie der Stein auf den Strassen
Verlassen bin I...⁶⁶¹*

Byłem wtedy w istocie fatalnie opuszczony, ale agonia „Życia” miała się jeszcze przez długie miesiące przedłużyć.

Kiedy już miała po ustąpieniu z redakcji Stanisława Wyrzykowskiego dokonać się likwidacja „Życia”, zjawił się u mnie nagle młody człowiek, Wacław Jaroszewski, ponoć student medycyny, a równocześnie dziedzic jakiegoś majątku w Kalwarii pod Krakowem, i oświadczył mi, że to on właśnie nabył „Życie” od Wyrzykowskiego i zamierza je nadal prowadzić.

Dziwna rzecz, jak mało o tym człowieku wiem, mimo że był to jeden z najciekawszych, jakich w Krakowie poznałem. Nie miał żadnych aspiracji artystycznych — ani nie pisał, ani malował, ani rzeźbił — wiecznie się uśmiechał jakimś pobłażliwym, wszystko rozumiejącym uśmiechem i na wszystko mówił, zamiast „tak” — „tek”.

Do dziś dnia nie wiem, co go skłoniło do kupna doszczętnie już bankrutującego „Życia”. Może je sobie ukochał. Bóg go sam wie, co się kryło poza tym jego „tek” — może jakaś pańska fantazja przysłała mu do głowy, gdy się o drugiej po południu obudził, bo rychlej nie wstawał. Raz go we śnie widziałem: przegrał w karty cały majątek — poszedł do ogrodu i obwiesił się, ale z monoklem w oku i papierosem w ustach. Zawsze był w pełnej pańskiej, nonszalanckiej formie, a gdy raz mu ktoś bardzo dokuczył, podszedł do niego i po głębokim namyśle powiedział: „Tek! — po długiej chwili: — Tek! — a potem już z smutną melancholią: — Właściwie powinien bym pana wyrznąć w pysk, ale to już lepiej tak załatwić” — i rzucił mu na stół swoją kartę⁶⁶².

Na szczęście skończył się pojedynek bezkrwawo i „Życie” miało znowu być zabezpieczony — wprawdzie tylko na parę miesięcy, ale to umożliwiło „Życiu” *gloriosus* skon — właśnie w najpełniejszym „artystycznym” rozwoju, bo materialna podstawa już dawno skruszała.

⁶⁶⁰Montecuculi a. *Montecucoli, Raimondo* (1609–1680) — wybitny dowódca i teoretyk wojskowy; książę Świętego Cesarstwa Rzymskiego i neapolitański książę Melfi. [przypis edytorski]

⁶⁶¹*Verlassen, verlassen (...)* *Wie der Stein auf den Strassen (...)* (niem.) — Opuszczony, opuszczony, opuszczony jestem. Jak kamień przydrożny opuszczony jestem. [przypis edytorski]

⁶⁶²rzucił mu na stół swoją kartę — tj. wyzwał go na pojedynek. [przypis edytorski]

A był to ciężki czas — w którym trzeba było spać i być z kamienia, by mieć odrobinę spokoju: w swoim pięknym studium, pomieszczonym w ostatnich numerach „Życia”, pisze Artur Górski⁶⁶³:

Włodzimierz Tetmajer jest wielkim artystą. Ale w Polsce jest przekleństwem być wielkim artystą. W Polsce kwitnie bujnie rodzaj półartystów. W drugiej połowie można być kuglarzem, handlarzem, czym kto chce, można być wreszcie bezmyślnym. Ale biada tym, co szukają dróg nowych, dróg własnych, co wzięli w siebie ducha czasów przyszłych i tęsknotę za pięknem, które jest oczekiwaniem dusz królewskich i proroczych.

W trakcie pisania tych moich „pamiętników” wczytuję się w to z takim trudem dobyte „Życie” przez cały czas mojej redakcji; i właśnie natrafiłem na jeden ustęp mego własnego artykułu *O nową sztukę*⁶⁶⁴, który prawie to samo wyraża, co ten wytworny, absolutnie niezależny ode mnie krytyk-poeta powiedział.

Długie moje wywody w sprawie „nowej” sztuki kończę trochę emfaticznym, jak mi się dziś wydaje, ustępem:

Więc nie niszczymy, ale budujemy, rozszerzamy, pragniemy doskonalenia się istoty ludzkiej przez coraz szersze i głębsze uświadomienie się duszy ludzkiej.

(Zawsze pojmowałem sztukę jako samouświadomienie się człowieka w najtajniejszej swej głębi — bo „Sztuka jest jedynym objawieniem Duszy” — powinien bym był jeszcze dodać „i Religia”, ale te dwa pojęcia nierozzerwalnie łączyły się z sobą — w mej duszy przynajmniej, o czym w dalszym ciągu pomówię.)

Więc czegoż nas błotem obrzucacie (wołam zrozpaczony), czemu tamujecie nam drogi w naszych wysiłkach, w naszej znoonej pracy?

Szliście szerokim, bitym, złotym piaskiem usypanym i prostym jak wyciągnięta struna gościńcem. Bo czego potrzebowaliście w waszej sztuce? dobrych oczu, notatek z natury, chwytanej na gorącym uczynku, lepszych lub gorszych spostrzeżeń — *nature vue à travers le tempérament*⁶⁶⁵ (!) — a nawet bez temperamentu można się było obejść, bo „temperament” i „fantazja” to tylko krokwie, jakimi artysta się posługuje, gdy go „ściska obserwacja” zawiedzie — dlatego w waszej sztuce roi się od „talentów”.

(Cała dotychczasowa sztuka — sztuka realistyczna — jest bezdrożem duszy! Tym wyznaniem sam sobie nogę podstawilem.)

Nędzny to zarzut, że na naszej drodze tak ich mało.

Bo nasza droga to wąziutka drożyna w przepaściach, w bezsłonecznych głębiach: trzeba się wsłuchiwać w zaledwie posłyszalny szelest, wpatrywać się bezustannie w zaledwie uchwytny przebłysk — toteż idziemy niemal na oślepię, błąkamy się, jeden krok naprzód kosztuje nas kilka wstecz, boć torujemy nowe ścieżynki — a to strasznie trudna rzecz.

(Po trzydziestu latach: Nie trzeba mi było pisać, że na „naszej” drodze tych talentów tak mało — naokoło „Życia” było ich mało, bo „gruby zwierz”, jakby Irzykowski powiedział, idzie w pojedynkę. A ja wokół siebie miałem garstkę talentów, które dopiero później miały wyrósć z pieluch, jednakże nieraz zabląkał się do „Życia” ten najszlachetniejszy zwierz — jakiś olbrzymi, potężny zubr, który już tak gwałtownie wymiera: Kasprowicz i Wyspiański).

Ale dla tego „grubego zwierza” trzeba było drogi prostować; kto wie, jakby się obecnie stan naszego piśmiennictwa przedstawiał, gdyby — nie ja; „Życie” stało się dla tego zastępu Winkelriedem.

⁶⁶³w swoim pięknym studium... pisze Artur Górski — w nr 13–14 „Życia” z 1899 r. pt. „Włodzimierz Tetmajer” [przypis edytorski]

⁶⁶⁴mego własnego artykułu „O nową sztukę” — w „Życiu” nr 6 z 1899 r. (cytaty niedokładne). [przypis edytorski]

⁶⁶⁵*nature vue à travers le tempérament* (fr.) — dosł.: natura widziana przez pryzmat temperamentu. [przypis edytorski]

Toteż to głębokie i szczere przeświadczenie mej misji wypowiedziałem w końcowych zdaniach:

Nikt z nas nie powiedział o sobie, że stworzył coś skończonego — to tylko Wy macie waszych ogólnie zaaprobowanych geniuszów — naszym pragnieniem, naszą tęsknotą, to tylko: być Janem Chrzcicielem dla Tęgo, który przyjdzie — dla Potężnego, dla Mocnego, dla Nieśmiertelnego: Geniusza, w którym się Absolut objawi.

A ten mój Absolut, który niemiłosiernie wykpiwali warszawscy pozytywiści?! Najprostsza rzecz w świecie:

Dusza jest Absolutem, a drobniućką jej przejawem — to: „świadome” Ja.

Cała zaś tęsknota ludzka, dążenia do „ideału”, pragnienie doskonalenia się, to była właśnie tęsknota za uświadomieniem sobie coraz to nowych, coraz dalszych obszarów tego bezmiaru, w jakim absolutna Dusza bytuje.

Tak! Poza ciasnym kółkiem świadomych stanów naszego biednego „Ja” jest ocean wewnętrzny, morze tajni i zagadek, kędy się wicherzą dziwaczne burze, są tam kryjówki sezamu, pełne nieprzebranych skarbów i cudów, i rzeczy w słowach nieujętych.

O tym wszystkim mówił już na długo przede mną Miriam, ale mówił do muru z najtwardszego granitu — tragedią Miriamy było to, że przyszedł zbyt wcześnie — byłem o tyle od niego szczęśliwszy (!), że natrafiłem przynajmniej na garść ludzi, którzy byli w stanie zastanowić się nad tym, co się im do uszu „szepcze”, bo ta garść ludzi tylko na szept jest wrażliwa.

Tragedią zaś moją było to, że pragnąłem — *malgré tout*⁶⁶⁶ — tę wiedzę do głuchych uszu wtrąbić.

A mam przeświadczenie, że byłbym znalazł posłuch u społeczeństwa samego, gdyby mi nie był stanął na mojej drodze srogi, żelazny mąż, o „miedzianym” czole, który mnie od niego odgradzał.

Nie takich twórców, jak ja, spychał z drogi, na której artysta do społeczeństwa dostać się może — całkiem innych, o całe niebo wyższych ode mnie zdołał powalić tuż-tuż na progu.

A imię tego srogięgo męża, to ON!

Ale to już całkiem inny ON, jak ten, o którym mówiłem, gdy żalowałem młodzieńczego wyzwiska: „Mydlarze!”.

To nie ten krytyk, chociażby i najzacofańszy, i najwięcej nienawistny wróg wszelkiego rozwoju, przeważnie obarczony ciężką chorobą, jaką jest neofobia — lęk i wstręt przed wszystkim, co by go mogło chociaż na chwilę wytrącić z ścieżki szerokiej i wygodnej, na jakiej pierwsze kroki stawiał, gdy wreszcie „ryczkować” zaprzestał; to nie ten wróg, który z otwartą przyłbicą walczy — ten ON jest bezimienny, bo jest zbiorową potęgą, rozporządzającą całą armią „nieznanych” i bezimiennych — nie żołnierzy, ale — piratów.

To „piąte mocarstwo”, którym włada ten ukryty — ON — to *prasa*, obsługiwana przeważnie przez rozmaitych wykolejeńców, dyszących zazdrosną nienawiścią ku wszystkim, którzy ich choćby o głowę przerastają.

I cała ta armia otrąbiła na rozkaz tej ukrytej potęgi — żadną inną nazwą określić nie mogę, jak tylko tym przydomkiem „ON” — generalny szturm na okopy tej biednej twierdzy, której tak rozpacznie broniłem.

Wokół rozwył się ogień huraganowy — a arsenał moich wrogów był bardzo, bardzo bogaty, a najsukuteczniejszą bronią tego arsenału dostarczałem ja sam.

A trzeba wiedzieć, że prawie wszystkie pociski tych ciężkokalibrowych dział, jakimi ON kierował, były wymierzone już nie w „Życie” samo, ale we mnie, bo już od dawna identyfikowano „Życie” ze mną do tego stopnia, że rozpaczliwie bronić się musiał przed tym chytrym i przebiegłym manewrem, który całą Młodą Polskę ode mnie i „Życia” odstręczał, bo już nie było mowy o „Życiu”, tylko o Przybyszewskim.

⁶⁶⁶*malgré tout* (fr.) — mimo wszystko. [przypis edytorski]

I właśnie w tym czasie, kiedy z wolna mnie coraz złośliwsze liany najpotworniejszych legend spowijają i dusić poczęły, przeżyłem najgłębsze wstrząśnienie całego mego życia: podczas mego pobytu we Lwowie, dokąd zostałem zaproszony na odczyt, poznałem moją obecną żonę Jadwigę, z którą niezadługo srebrne gody święcić będę, a której ciężką tragedią stało się to, że była żoną Kasprowicza, a jej tragedia stała się i moją w szerszych jeszcze rozmiarach, boć to na mnie były wówczas zwrócone oczy całej Polski.

Zarzekalem się w pierwszym tomie *Moich współczesnych*, że o tyle tylko będę o moim osobistym życiu pisał, o ile ono będzie zawierało jakieś twórcze pierwiastki, a właśnie w tym moim przeżyciu, jak może w żadnym innym, dokonano się i dokonać się musiało to, co zewnętrzne życie twórcy daje jako istotną podwalinę do jego tworzenia.

Pisałem swego czasu:

Nie czepiajcie się z taką brutalną nachalnością mnie jako człowieka i sposobu mego życia; każdy artysta jest podwójną istotą: metafizyczną, a więc tą, która tworzy — i tą osobistą, która tej pierwszej jest narzędziem. Wszelakie osobiste cierpienia, wszelakie szczyty i bóle stwarza w artyście owa metafizyczna istota, by z nich czerpać świeże natchnienie, gwałtowny pochop do tworzenia. Artysta żyje nie tak, jak chce, ale tak, jak ta wieczna, metafizyczna istota w nim go urabia.

I otóż ta utajona, metafizyczna, twórcza istota we mnie sprzęgła mnie od pierwszej chwili nieprzewycięzalną siłą miłości z tą właśnie kobietą, którą niepojęte wyroki Tego, z którym twórca „był i jest przed początkiem”, wplotła już przedtem w koło przeznaczeń Kasprowicza.

Ciężki grad kamieni niechlujnego i fałszywego oburzenia spadł — może tylko w kilku wypadkach było szczere ze strony krótkowidzących ludzi, którzy nawet przeczuć nie mogli, czym się miało stać to przeżycie dla Kasprowicza w jego tworzeniu, który teraz dopiero niesłychanym napięciem bólu osobistego miał się wyolbrzymić do potęgi, jaka jego *Hymny* rozpięra — i nade mną oberwała się ta sama chmura kamiennego gradu — już nie na twórcę, ale na Judasza!

I jaki ten szal prześladowania, który do dziś dnia jeszcze — mimo całego zadośćuczynienia, jakie się społeczeństwu dało, bo wiąże mnie z moją żoną i ślubem cywilnym, i od 1 sierpnia 1925 roku — ślub w kościele katolickim — nam spokoju nie daje — och! jaki maluśki, marny i obłudny!

Cóż winna moja żona, że ukochała twórcę potężnego artysty, a z nim jako z mężczyzną zrosć się nie mogła? W chwilach wolnych od tak ludzkiego, zbyt ludzkiego rozgoryczenia, przyznawał Kasprowiczy, że nikt go tak głęboko nie rozumiał, jak właśnie ta, ta wyklęta, ta poza nawias społeczeństwa wyrzucona; a świadectwem jego wielkiej i wdzięcznej duszy to właśnie, że nigdy jej pamięci nie poniewierał i dzieciom na oścież dostęp do matki otworzył.

Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć: nie piszę tu jakiegoś peanu na cześć mej żony, raczej tej męczeńskiej ofiary, jaką jej zasię Przeznaczenie kazało złożyć z swego życia, by ten metafizyczny, twórczy, nigdy niesyty Moloch w duszy każdego twórcy mógł być zaspokojony.

I nie znam w całej wszechświatowej literaturze jednego wypadku, w którym by jedna i ta sama kobieta odegrała tak ważką rolę w życiu dwóch, wprawdzie bardzo spokrewnionych, a równocześnie całkiem sobie obcych artystów.

I dla jednego i drugiego stała się męczeńską glebą, na której równocześnie z głębokich podziemi bólu wyrwała się straszna pięść, Bogu grożąca w przebolesnym hymnie: *Święty Boże, Święty Mocny* — kiedy w tym samym czasie odbywała się na niej rozpaczna msza miłości, taka pełna bezdenne smutku, pozaświatowych upojeń i bolesnego przeświadczenia o tym, co jest najstraszniejsze w życiu: świadomość potępienia! — Kto wie, czy książka moja *W godzinie cudu* nie jest moją najgłębszą?

Potępienie?!

Któż dziś coś o nim wie — to pojęcie całkiem wykreślone z słownika tak zw. „po wojennego życia”, w którym ponoć ciężkie ongiś zbrodnie dziś dansingową zabawką — sumienie pęcherzyną, którą się kotu do ogona przywiązuje i bawi się wściekłymi skokami zwierzęcia, co chce się jej pozbyć, bo człowiek dawno się już wyzbył — ale był czas,

Małżeństwo, Ślub, Obyczaje

kiedy ta straszliwa świadomość potępienia ryła głębokie bruzdy na czole, śmiech u ust spłaszczala, a oczom nie pozwoliła się do snu kleić.

Świętokradztwem byłoby mierzyć tę miłość, która żonę moją za nawias społeczeństwa wyrzuciła, a mnie ciężkim przekleństwem obarczyła, bynajmniej nie Kasprowicza, bo umiał się ukorzyć przed wyrokami Tego, z którym „przed początkiem” bytował, ale przekleństwem haniebnej obłudy społeczeństwa, które toleruje nawet najhaniebniejsze zbrodnie, byleby się tylko bez publicznego rozgłosu obeszło — świętokradztwem, powtarzam, gdyby i nadal jeszcze miano tę wielką tragedię miłości mierzyć miarą dobrotliwą, wyrozumiałą, wspomagającą, jaką się teraz przykłada do bezliku rozwiedzionych małżeństw!

To było całkiem coś innego — coś, co dla współczesnego człowieka niełatwe jest do pojęcia, a może nawet całkiem niezrozumiałe:

W tej mojej nagłej, nieprzewidywalnej miłości ku tej kobiecie, która była żoną nie przyjaciela, bo z Kasprowiczem nie łączyło mnie nic więcej, jak tylko wspólnota tej samej ziemi, która nas zrodziła, tkwiło coś innego, jak zwykły samczy pociąg: znalazłem dopełnienie tego, za czym ta metafizyczna, twórcza istota we mnie tak długo daremnie tęskniła.

A teraz już nie mówię o żonie — mówię o tym męczeństwie, może być: cięższym i boleśniejszym dla duszy twórcy, w każdym razie potępieńczym męczeństwie, które było konieczne, by mogły się na świat cały rozkrzyczeć przebolesne *Hymny* Kasprowicza i tym męczeństwie ze mną, wyklętym, przez wszystkich opuszczonym, a przy którym ona jedna tylko wytrwała, tym wyklinanym, ośmieszanym *poète maudit*, który całymi garściami czerpał z jej bogatej duszy.

Aż nadto dobrze wiem, co mam jej do zawdzięczenia, gdym budował to najistotniejsze, com stworzył — dramaty moje.

Pełno jest kobiet, które się kręcą, płatają w życiu twórców, ale o żadnej nie będzie można powiedzieć tego, co mogę z najgłębszą powagą powiedzieć — nie o mej żonie, bo w tym wypadku osobiste stosunki żadnej roli nie odgrywają — ale o tej, która mocą swej inteligencji, zdumiewającej intuicji tak poważnie zaważyła na szali twórczości zarówno Kasprowicza, jak mojej. I ta spotwarzana, wyklęta może mieć tylko jedną wielką satysfakcję: bogactwo szali jednego i drugiego, której się dotknęła, pomnożyło się w dziesięcioraki sposób.

VI

Tymczasem „Życie” właśnie w tym czasie nabierało coraz silniejszego rozpędu. Nie było numeru „Życia”, który by się nie był stał, w pewnej oczywiście mierze — bo nie trzeba zapominać o tym okresie czasu⁶⁶⁷, w którym „Życie” wychodziło — czymś rewelacyjnym.

Olbrzymią zaiste rewelacją było pojawienie się pierwszych *Hymnów* Kasprowicza: *Dies irae*, następnie *Salome*, a w końcu: *Święty Boże, Święty Mocny*... Podówczas nie było w Polsce żadnego czasopisma, w którym te potężne objawienia ukazać by się mogły — jeżeli czymkolwiek mogłoby „Życie” uzasadnić nawet wobec najzacieklejszego wroga swoją rację bytu, to tym wielkim splendorem, jakim Kasprowicz „Życie” obdarzył. Tak zwany zwrot w twórczości Kasprowicza, który taki gorący entuzjazm wywołał w słynnej apostrofie Miriama, przytoczonej już przeze mnie — wywarł niezmiernie głębokie wrażenie na ten cały „Młody Kraków”, jaki mnie otaczał. Na razie rzadko kto zdawał sobie sprawę, że stanął wobec jakiegoś wielkiego objawienia, niemniej jednak wywołała ta żywołowa potęga, która duszę ludzką rozsadać się zdawała, jakieś dech zapierające zdumienie, przestraszał ten ogrom apokaliptycznych wizji, zimnym dreszczem zbiegał pacierze — siedlisko transcendentalnej duszy — groźny majestat nadludzkiej cierpień, w których się wila nie już dusza pojedynczego człowieka, ale dusza wszechświata.

Widzę przed sobą piękną i szlachetną twarz Stanisława Lacka, tego niezwykle uzdolnionego Żyda, którego już od samego początku do redakcji „Życia” powołałem, a który stał się dla tego pisma bardzo cenną siłą, jak się boleśnie skurczyła, kiedy czytał manuskrypt *Święty Boże*... zbiegające jego wargi mamrotały maniacko: „Na kolana, na kolana!”

⁶⁶⁷okresie czasu — dziś błąd stylistyczny (pleonazm); popr.: (o tym) okresie lub: (o tym) czasie. [przypis edytorski]

— a coraz więcej znalazło się takich, którzy w głębokim nabożeństwie na kolana padali przed tym, grozy Sądu Ostatecznego pełnym: *Tantum ergo sacramentum*⁶⁶⁸ — sakramentem Bólu, z którego ilów Wszechświat się wyłonił.

Wprawdzie już parę miesięcy przedtem wydrukowany w „Życiu” poemat Kasprowicza: *Dies irae* dokonał ogromnego zwrotu w ocenie wielkości Kasprowicza, którą dotąd jeszcze zapoznawano — tak się już ustaliła opinia o Kasprowiczu, jako o tym, który „służbę publiczną” spełnia i już na całe życie związany z tym obozem, dla którego poezja, niebędąca na usługach społecznych celów i dążeń, była jedynie jeżeli już całkiem nie zbytecznym luksusem, to w każdym razie czymś, bez czego społeczeństwo obyć by się mogło.

Z większym jeszcze zdumieniem powitano krótko potem *Salome*⁶⁶⁹, ten przepotężny symbol kobiety-samicy, woli wszechświata, pralona — pani, która kłam zadała słowom Jahweh, że wola jej będzie poddana mężowi, a on nad nią panować będzie, bo ponad wszelkim bytem święci się samica — ten wielki symbol, wobec którego — och! jak błahymi i bladymi słowami wydaje mi się to, com o tej salomeicznej potędze kobiety-samicy powiedział, gdym ją słauił jako Mylittę, nierządnicę babilońską, która nigdy pragnień nie gasiła, a ulubieńców swych w ogień piekła rzucała — gdym ją słauił jako Izis, która słońce w niepokalanym poczuciu porodziła, a nikt z śmiertelnych nie podniósł jej sukni — gdym ją słauił jako Athene, która nigdy nie zaznała łona matczynego, bo ją jasne przestrzenie mózgu zrodziły — i tę potęgę symbolizowałem w świętych dziewicach teutońskich lasów, przez które Wotan⁶⁷⁰ swą wolę objawiał — och! jak mizerne wydają się wszystkie moje wysiłki, by tę samą myśl wypowiedzieć wobec tej nadludzkiej *Salome*⁶⁷¹ Kasprowicza: to już nie symbol — to nagły piorun objawienia (och! jak głupia i dansingowa wobec tej *Salome* — „*star*” Herodessa *Salome* u Oskara Wilde).

Otóż:

już te dwa uprzednio w „Życiu” drukowane poematy zniewoliły cały młody Kraków i wszystko, co się naokoło „Życia” skupiało, do zbożnego i zdumionego podziwu dla tego, którego jeszcze do niedawna stawiano o mało co na tym samym piedestale, na jakim Andrzej Niemojewski się rozpierał (ślepotą wywołana tak zwanymi modernistycznymi prądami, a raczej modernistycznym kabotynizmem), ale z chwilą gdy się pojawił ten hymn nad hymnami: *Święty Boże* — ustała już wszelka dyskusja na ten, dziś dla nas niepojęty temat: czy Kasprowicza należy zaliczać w rząd istotnie wielkich twórców.

Cały młody Kraków — nie wiem, jak myślała Młoda Polska, a raczej wiem jedynie o Miriamie, który pierwszy mi wskazał drogę do Kasprowicza, ukorzyła się przed tym wielkim objawieniem potęgi twórczej w Kasprowiczu, a ekstatyczny zew jednego z najmłodszych do społeczeństwa: *Onorate l'altissimo poeta*⁶⁷² znalazł gorący oddźwięk w sercach wszystkich tych, którzy naokoło mnie trwali.

A wśród nich może najgłębszy w smutnej, samotnej, głębokiej i dlatego może właśnie ponurej duszy jednego z najmłodszych:

Władysława Orkana⁶⁷³!

Z głęboką miłością myślę o nim, gdy pamięcią się zwrócę w te dawne, dawne czasy, gdym go poznał. A poznałem go właśnie krótko po przeczytaniu bardzo miłej i kochanej powieści Sewera: *Matka*, w której opowiada nam o tym niezmiernie smutnym i ciężkim dzieciństwie Orkana, kiedy to już od małego dziecka i podczas wiosennej, tygodniami całymi trwającej słoty, a gorzej jeszcze, gdy przymrozki kwiaty na łąkach dawno już zwały i ziemię ścinać poczynają, chodził za owcami i krów pilnował. Wyobrażam sobie tego wątłego chłopaka, gdy się musiał zrywać o świcie, zaledwie się w zimnych nocach

Góry, Chłop, Ziemia,
Dusza

⁶⁶⁸ *Tantum ergo sacramentum* (łac.) — Przed tak wielkim sakramentem. [przypis edytorski]

⁶⁶⁹ *Salome* — tu: tytuł jednego z hymnów Jana Kasprowicza. [przypis edytorski]

⁶⁷⁰ Wotan (Ondyn) — w mitologii skandynawskiej bóg wojny, wichru, śmierci i zwycięstwa (częsta postać w utworach Wagnera) [przypis edytorski]

⁶⁷¹ *Salome* — żydowska księżniczka z dynastii herodiańskiej (wnuczka Heroda Wielkiego); według legendy biblijnej, gdy jej ojczym, Herod Antypas, władca Galilei, zachwycony tańcem dziewczyny obiecał spełnić każde jej życzenie, *Salome* za namową swej matki Herodiady zażądała głowy Jana Chrzciciela, przyczyniając się w ten sposób bezpośrednio do śmierci proroka. [przypis edytorski]

⁶⁷² *onorate l'altissimo poeta* (wł.) — uczcijcie najwyższego z poetów. [przypis edytorski]

⁶⁷³ Orkan, Władysław, właśc. Franciszek Ksawery Smreczyński (1875–1930) — pierwotnie: Smaciarz; pisarz młodopolski, swoją twórczość poświęcił ukazaniu życia biednej polskiej wsi podkarpackiej i Podhala; autor m.in. tekstów: *Komornicy*, *W roztokach*, *Drzewiej*. [przypis edytorski]

pod pierzyną ogrzać zdołał, i gnać owce i bydło w pole — ba! gdyby to było w pole, takie bezbrzeżne, kujawskie, gdzie na całe mile widzieć można, co się wokół dzieje, ale Boże uzał się nad tym podhalańskim polem, górzystym, lasami porośłym i znowu ba! gdyby to były lasy — ale te przetrzebione lasy wyglądają jak lany nędznego żyta, jak zgrzybiała, przeredzona broda starca. Dla dziecka Podhala — a jest nim w każdym calu ten piękny i rzeczywisty autochton tej ziemi: Orkan — ziemia ta jest oczywiście największą pięknnością, a gdziekolwiek się znajdzie, wszystkie jego tęsknoty i myśli wracają tędy — według pięknego określenia Potockiego, jak dzikie łabędzie w swoją ustron — ja zaś, który tak często przez Podhale do Zakopanego przejeżdżałem, nie mogę sobie nic smutniejszego wystawić nad to „skalne” Podhale. Z daleka tylko, z okien wagonu i to zwykle w pochmurnym, jeżeli nie dżdżystym, to irytującym kapuśniakiem rozplakany czasie — kiedy tam właściwie słońce świeci? — widywałem tę ziemię, która wydaje się być cała „zamarzłą kępą, a na niej wieczna leży zima” i zawsze musiałem myśleć o tej smutnej, niemal ponurej duszy Orkana, która wskutek prawa jakiegoś tajemnego, psychicznego mimikry w kształty tej ziemi się przyoblekła.

I zawsze podziwiałem tę jego niezmożoną, zaciętą siłę, jaką swej duszy marznąć nie pozwolił, i wciąż od nowa gorący żar miłości w niej rozniecał, a nieraz zastanawiałem się, jakim cudem znalazła się w tej *ponoć* chłopskiej duszy ta przeczulona prawie subtelność i delikatność uczuć, to dumne samopoczucie swego dostojnego człowieczeństwa! A jeżeli Orkan się kiedy z głęboką pokorą kajał, to jedynie wobec tych idealnych nadwartości życiowych, których już w zaraniu swego bytu poszukiwał, a niezadługo miał je sam stwarzać.

Na razie poznałem Orkana tylko z tych kilku utworów porozrzucanych w rozmaitych pismach i tych, które mi do „Życia” dawał — później dopiero miał się jego wielki talent w całej pełni rozwinąć, kiedy już „Życie” istnieć przestało, ale to, com z jego dorobku twórczego poznał, starczyło zupełnie, by się z nim bardzo poważnie liczyć i pokładać w nim te nadzieje, które już w bliskiej przyszłości nie tylko spełnił, ale do tego korca, jakiego się po nim spodziewano, jeszcze bogaty i szczodry czub dosypał.

Z wszystkich tych młodych i najmłodszych, którzy się wokół „Życia” kupili⁶⁷⁴ — on jeden pozostał mocą swego tajemniczego autochtonizmu, bo jeżeli ktośkolwiek z tych twórczych ludzi, jakich Podhale wydało, miałby prawo powiedzieć „Ja i Podhale — to jedno”, to tylko Orkan, który by mógł jedyny obok Kasprowicza powiedzieć, że jest „tym, który powstał z tej ziemi, który miał w sobie jej trud, jej tajemniczy lęk”; miał prawo powiedzieć o sobie, że był tym, „który zabrał z chat tej ziemi żalniki łez — a życie ich w swoich dum treść zamykał i w świat jak wielką świętość niósł.

Zresztą to chłopstwo Orkana wydaje mi się bardzo problematycznym.

To, że dusza Orkana była zmuszona niepojętymi wyrokami swego Przeznaczenia inkarnować się na nowo w łonie podhalańskiej chłopki, niczego nie dowodzi — nawet przeciwnie: można by na to patrzeć, jako na mądre i dobrotliwe zrządzenie Tego, który nad wszelkim życiem i śmiercią włada i prawami wiekuistych powrotów i nawrotów rządzi, że kazało się tej wyjątkowej duszy wśród tego chłopskiego otoczenia objawić, by stała się dla tych pariasów społeczeństwa — a byli nimi chłopi jeszcze do niedawna — pochodnią, która chłopstwu w najciemniejszych mrokach drogę wyzwolenia wskazywała, dźwignią, która to chłopstwo na wyższy szczebel kultury w męce i ponadludzkiem trudzie, mimo gwałtownego oporu tych, którzy stali się dla tego św. Krzysztofora większym ciężarem, aniżeli to małe dzieciątko, dźwigające brzemień najcięższych grzechów świata, z brudnej i ziemnej bajory zwierzęcego niemal życia z wolna wydobywała.

To, co istotne chłopstwo w życie społeczeństwa wnieść mogło, usymbolizowali rozmaici Witosi⁶⁷⁵; ani mi w głowie nie powstało, by wartość ich zasług obniżyć — owszem, owszem: jako czynnik „gospodarczy” odegrało chłopstwo ponoć nawet ważną rolę w nowym państwie; ale dusza chłopska nie wchodzi w rachubę jako czynnik kulturalny, chyba jako czynnik nienawistnej wrogości dla wszystkiego, co kulturą zalatuje.

Chłop, Zwierzę, Pozycja społeczna, Poeta

Chłop, Polityka, Dusza

⁶⁷⁴kupić się — gromadzić się, skupiać się (wokół czego). [przypis edytorski]

⁶⁷⁵Witos, Wincenty (1874–1945) — założyciel stronnictwa ludowego „Piast” i jego prezes; w l. 1920–1921 premier Rzeczypospolitej Polskiej; w l. 1923–1926 Prezes Rady Ministrów obalony przez zamach stanu Piłsudskiego (tzw. przewrót majowy); w 1930 r. aresztowany za działalność opozycyjną i więziony w Brześciu; w l. 1932–1939 przebywał na emigracji. [przypis edytorski]

Dostojna i piękna jest dusza Orkana w tej męczeńskiej misji, jaką jej spełnić nakazano. To samo nieporozumienie, głębsze i boleśniejsze jeszcze, gdy cała krytyka jak jeden mąż obwołała Kasprowicza chłopem, li tylko dlatego, że się w chłopskiej chałupie urodził.

Kasprowicz, ten ostatni z Piastowiczów, najczystszej krwi książęcej — istotny Król-Duch, jeżeli w ogóle poza Mickiewiczem lub Słowackim jakkolwiek twórca na to miano zasługuje — on, który całą przeszłość w siebie wchłonił, a olbrzymi cień swój na najdalszą przyszłość rzucił — ten, który przeżył i strawił całą kulturę Europy w migawkowym czasie, boć to było tylko dla niego anamnezą — Kasprowicz chłopem?!

Ja chłop polskiego bardzo cenię i szanuję, ale równocześnie wiem, że „natura” nie operuje tymi olbrzymimi skokami, by z łona bezkulturalnego chłopstwa mógł się zrodzić tak niesłychany i niepojęty fenomen, jakim jest Kasprowicz.

Na odwrót: dusza jakiegoś wielkiego mocarza raczyła sobie za gościńcę obrać chłopską lepiankę, bo snadź jej było potrzebne, aby przed dojściem do absolutu zapoznać się, a może i niepomernie wzbogacić — nędzą, udręką i męczeństwem chłopskiej doli.

Czego dowodzi, że Kasprowicz chłopem się urodził? Niczego innego, jak tylko tego, tego jedyne:

Nadeszła chwila, gdy Król-Duch, z królewskiego rodu Piastów się wywodzący, zapragnął wywieść najwięcej uciemiężaną, z bydłem roboczym zrównaną warstwę społeczeństwa do godności człowieczej — osłonił ją purpurowym płaszczem swego królewskiego majestatu, i stał mu się słupem ognia, który ma go z pustyni przeprowadzić do ziemi obiecanej.

Bez porównania mniejsza, ale w tym samym obrębie czynna misja została i duszy Orkana wyznaczona, a jak zbożnie i sumiennie spełniał Orkan tę swoją najcięższych ofiar wymagającą misję, dowodzi jego zsolidaryzowanie się z duszą chłop podhalańskiego i tak głębokie wczucie i wżycie się w tę pierwotną, na wpół jeszcze dziką duszę, a przede wszystkim jego gorące umiłowanie tej duszy, że może nikt z współczesnych nie może się poszczycić tak do samego dna i trzewi sięgającą jej znajomością, jak właśnie Orkan.

Pisał raz Nietzsche do swego przyjaciela, barona von Stein (Genua, grudzień 1882 r.)

Powiedział mi raz Wagner, że piszę po łacinie, a nie po niemiecku. Jest to w zupełności prawdą... Z Niemcami mogę mieć jakieś współczucie, ale nic więcej. Spójrzaj Pan na moje nazwisko: moi przodkowie byli polskimi szlachciami, a jeszcze matka mego dziadka była — Polką. Z tej półkrwi mojej zrobiłem sobie cnotę i pozwałam sobie mniemać, że o sztuce języka niemieckiego wiem daleko więcej, aniżeli to jest możliwym dla prawdziwego Niemca.

Otóż właśnie dla tego samego mógł Orkan wiedzieć więcej o chłopie aniżeli chłop sam — właśnie dlatego, że chłopem nie był. Znał, jak rzadko kto inny, psychologię chłopca, ale nim nie był. — Zbyt wielka kultura odgradzała od chłopca jednego z największych arystokratów Ducha — Kasprowicza, toteż rychło wziął z nimi rozbrat (zważyć należy, że Kasprowicz w głównej mierze miał do czynienia nie już z chłopstwem, które było na wymarciu — ale z tłumem proletariackim, od którego się uwolnił potężną apostrofą: „Byłeś mi kiedyś bożyszczem, o tłumie!”). Tętmajer stworzył przepiękną, rycerską i bohaterską *Legendę Tatr „skalnego Podhala”* — ale tam tylko gwara jest chłopska, a i ta obciążona grubym pokostem szlacheckiej kultury. — Może jedynym chłopem w pełni tego słowa znaczeniu był Reymont, chłop ucywilizowany — chłop z drugiej ręki, którego schłonęła wizja szlacheckiej epopei: *Pana Tadeusza*, i taką samą, tylko chłopską usiłował stworzyć, a jeżeli nie osiągnął zamierzonego celu, to tylko dlatego, że był istotnie sam chłopem. A znowu niczym nie wypełniona przepaść dzieliła Konopnicką od duszy chłopskiej, widzianej tylko z perspektywy szlacheckiego dworu, by mogła stworzyć w swoim *Balcerze z Brazylii* więcej — ideowo oczywiście więcej — nad to, czym Sienkiewicz rozrzewniał społeczeństwo u progu swej twórczości: ładnymi nowelami z życia „chłopskiego” (!!), stojącymi na tym samym poziomie, co *Dorf- und Bauernnovellen* niemieckiego Żyda Auerbacha⁶⁷⁶, i przewyższającymi te ostatnie li tylko o całe niebo — wyższym artyzmem.

⁶⁷⁶Auerbach, Berthold (1812–1882) — pisarz niem., autor poczytnej w XIX w. prozy o tematyce wiejskiej (m.in. *Schwarzwülder Dorfgeschichten*, tj. „Wiejskie opowieści ze Schwarzwaldu”, zbiór 27 nowel drukowanych w l. 1843–1880). [przypis edytorski]

Poeta, Chłop, Pozycja społeczna, Zwierzęta, Duch, Przemiana

Chłop, Literat, Szlachcic

I w tym samym stopniu, w jakim spełnił Orkan ponad wszelką miarę pokładane w nim nadzieje, zawiódł *Jan Kleczyński*⁶⁷⁷ — całkiem niepospolity talent, któremu niestety przedwcześnie prorokowałem bogatą przyszłość. Jeżeli o kimkolwiek przychodzi mi z wielkim trudem pisać, to właśnie o tym, który był i już na całe życie pozostanie jednym z tych rzadkich ludzi-twórców, którzy najbliżsi byli i są mojemu sercu. Trudno mi o nim pisać, ale żadną miarą nie mogę pominąć tego, który jako młodzieniec stworzył isticie kapitalne rzeczy — może mnie miłość ku niemu zaślepiła, ale przez blisko ćwierć wieku miałem czas sądy moje poddać gruntownej rewizji — i zdumiony jestem, że na pierwociny tego niezwykłego talentu patrzę tymi samymi oczyma, jakimi patrzyłem na samym początku.

A może to moje powiedzenie, a raczej zarzut, że Kleczyński zawiódł, całkiem niesłuszny — może go tym krzywdzę?!

Przecież ja sam byłem zawsze wrogiem zbyt płodnych pisarzy, a właśnie ci twórcy, których najwięcej ukochałem, bardzo mało po sobie pozostawili.

Nie mogę oczywiście zestawiać z Kleczyńskim takich nazwisk, jak Rimbaud, który nie potrzebował więcej napisać nad ten jeden, wspaniały poemat: *Le bateau ivre*⁶⁷⁸, by się już po wszelkie czasy uwiecznić, lub Edgara Poe, którego *Kruk* pozostanie zdumiewającym cudem i objawieniem twórczej duszy, a *La Sagesse* Verlaine'a starczy jak najzupełniej, by nazwisku jego zapewnić nieśmiertelność.

⁶⁷⁷ *Kleczyński, Jan* (1875–1939) — publicysta i krytyk artystyczny; pierwsze teksty literackie drukował w „Życiu” krakowskim (m.in. nowele *Słońce* i *Zosia*). [przypis edytorski]

⁶⁷⁸ *Le bateau ivre* — Statek szalony. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/przybyszewski-moi-wspolczesni>

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Przybyszewski, *Moi współcześni*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1959.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu z Funduszu Promocji Kultury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Elżbieta Flis, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-6273-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.